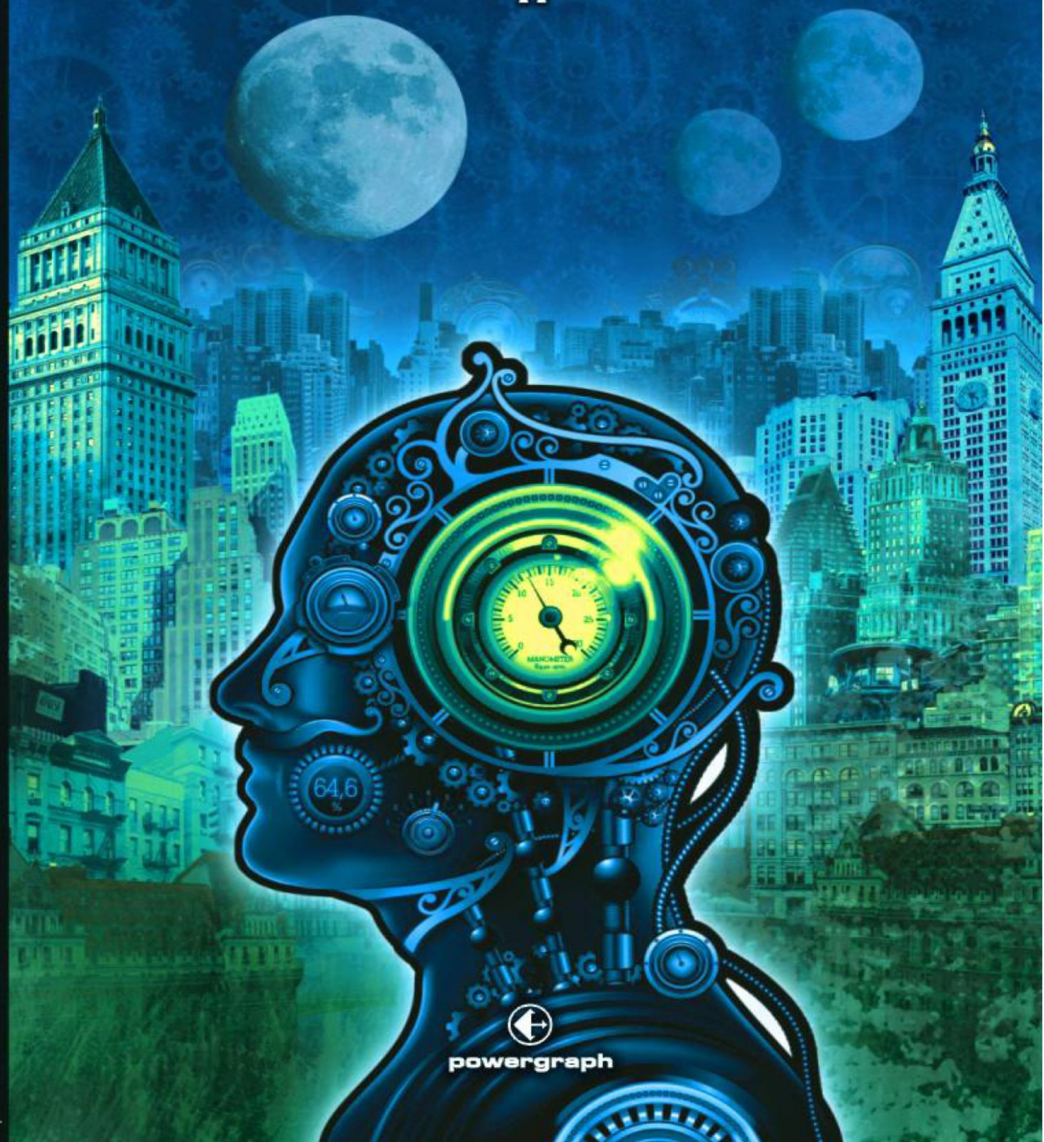


# Anna Kańtoch

## Przedsiębiorcy II



powergraph

Anna  
**Kańtoch**

**Przedsiębiorcy  
II**



COPYRIGHT © 2013 by Anna Kańtoch  
COPYRIGHT © 2013 by Powergraph  
COPYRIGHT © 2013 for the cover by Rafał Kosik

WYDANIE I

ISBN 978-83-61187-77-6

REDAKCJA Michał Cetnarowski, Kasia Sienkiewicz-Kosik

KOREKTA Maria Aleksandrow

ILUSTRACJA NA I OKŁADCE Rafał Kosik i Adelevin

PROJEKT GRAFICZNY SERII I OPRACOWANIE Rafał Kosik

SKŁAD Powergraph

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



WYDAWCA

Powergraph sp. z o.o.  
Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel./faks: 22 834 18 25

## CZEŚĆ I

### TRZYDZIEŚCI DWA SPOSOBY EFEKTOWNEGO UŚMIERCANIA LUDZI

#### Finnen

*Noc, gdy ogłoszono Skok, wspomniani jako serię obrazów. Miasto dyszące żądzą zabawy, otwarte na oścież drzwi winiarni, skąd wylewały się potoki światła i od czasu do czasu wytaczali się objęci wpeł pijacy. Śmiech i śpiewy. Plac Żonglerów i dziewczyna, którą mężczyzna trzymał na ramionach, wirując w koło. Odchylona do tyłu, z przymkniętymi oczami, na których osiadały płatki śniegu. Jej białe, nagie ręce przecinające mrok jak dwie jasne wstęgi. Na twarzy miała osobliwy wyraz sennej zadumy, kontrastujący z ożywieniem mężczyzny, który śmiał się i krzyczał na wiatr: „Hej, hej, jeszcze raz! Hej, hej, jeszcze raz!”.*

*Ciepło ludzi stłoczonych w knajpie, której nazwy nie pamiętam, krążące z rąk do rąk kubki z letnim kwaśnym winem, pitym, choć jego smak palił w gardle. Bezustanne potrącanie się i wpadanie na siebie przy wtórze chichotów, zapach perfum zmieszany z wonią potu i oddechów, w których czuć pieprzowe cukierki. Zaskakująco przyjemna intymność tańca do muzyki, której nikt nie słuchał, w momencie gdy taniec polegał już właściwie tylko na tym, by zwisać w ramionach przypadkowego partnera i szurać nogami po wyslizganej posadzce. Roześmiane, jaśniejące twarze z oczami błyszczącymi jak szkło i lękiem pulsującym płytko pod napiętą, wilgotną skórą.*

*Pamiętam dziewczynę, właściwie jeszcze dziecko, oderwaną*

*od wianuszka przyjaciółek, które od czasu do czasu machały jej z drugiego końca sali. Pozwalała trzymać się za rękę, ale nie pocałować, i przez cały czas mówiła. Każde jej słowo wydawało mi się odkryciem na miarę nowego wynalazku Archiwum i każde najdalej po dwóch sekundach zoypadało z pamięci. Była koścista i niezgrabna, jakby składała się z samych łokci i kolan, a jej piersi ledwo wypychały cienką bluzkę, jednak pragnąłem jej tamtej nocy bardziej niż jakiegokolwiek kobiety, jakbym kochając się z kimś, komu nie groził jeszcze Skok, mógł odeprzeć własną śmierć.*

*Wreszcie Kaira stojąca nade mną. Jej głowa i ramiona jak rzeźba z płonącego świetlika na tle wschodzącego słońca, i cierpliwy upór, kiedy kucnęła, ześlizgując się ze światła w cień, by dotknąć mojego ramienia.*

*- Już czas - powiedziała.*

## 1

Finnen malował w pośpiechu - czerwień oraz oranż, by podkreślić ślad, jaki zachodzące słońce zostawiało na czarnych płytach, biel strojów pielęgniarek i woskową żółć ich twarzy.

Trzy Skadranki pozowały cierpliwie na ostatnim, najwyższym z tarasów wieży art-zbrodniarzy. Podmuchy chłodnego wiatru od czasu do czasu przynosiły tu odgłosy miasta: nawoływania akrobatów, którzy popisywali się swą sztuką na Schodach Miedzianych, dźwięki muzyki i wybuchy narkotycznych śmiechów. Ten sam wiatr szarpał włosy, które wymknęły się spod dopasowanych pielęgniarzkich czepków, jednak żadna z kobiet nie podniosła lewej, ludzkiej dłoni, by je poprawić. W tym bezruchu był rodzaj zwierzęcej obojętności: twarze bez wyrazu wpatrzone w niebo, ręce luźno opuszczone wzdłuż tułowi i zaczerwienione z zimna nosy. A pod stopami Skadranek trzy bliźniacze sylwetki rozmazane na płytach tarasu - wykrochmalona biel unurzana w czerwieni słońca i metaliczne błyski noży oraz igieł w miejscu, w którym powinny znajdować się odbicia

prawych dłoni.

Finnen wiedział, że to będzie dobry obraz, czuł to każdym nerwem ciała. Bolał go nadgarstek, ręce grabiły z zimna, a pęcherz domagał się opróżnienia, lecz chłopak ani na chwilę nie zwalniał tempa. Nareszcie potrafił uchwycić wizję, która tkwiła w jego głowie, i przelać ją na płótno. To przychodziło tak łatwo i prosto, jakby nigdy nie było pustych godzin spędzanych w udreće przed rozpoczętym dziełem ani męczących rozważań, jakiej techniki czy której farby użyć. Właśnie teraz, gdy tworzył swój ostatni obraz w życiu, Finnen został obdarzony łaską geniuszu i przyjął ją z wdzięcznością, lecz bez zdziwienia.

Tak właśnie powinno być.

Malował, podczas gdy piąta osoba na tarasie - osoba, o której Finnen bezustannie zapominał, nie była bowiem częścią obrazu - wyrzucała z siebie potok słów.

- ... rzeczy, które można znaleźć na plaży - mówił mężczyzna siedzący tuż obok ze skrzyżowanymi nogami - martwe wodorosty, puste muszle, bursztyń, drewno z rozbitych statków oraz trupy topielców.

- Nie powinien pan siedzieć na tych płytach - odparł Finnen z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od płótna. Urhel Jayha, którego dostrzegał kątem oka na granicy pola widzenia, z jego perspektywy wyglądał jak stos szarych piór zwieńczonych siwo-czarną czupryną. - Są lodowato zimne, przezięb się pan.

- Zapłaciłem za najwyższej klasy odporność - wyjaśnił Jayha.  
- Zresztą czyż nie byłoby to zbyt wielką ironią losu, gdybym zapłacił za genozmianę, a potem został z tyłu z powodu kaszlu i bolącego gardła? Jak pan sądzi?

Finnen nie miał pojęcia, czy to naprawdę jest pytanie - przez większość czasu Jayha zdawał się mówić do siebie - przerwał jednak pracę i spojrzał na niego.

- Odporność ma sens, gdy człowiek dba o siebie choć trochę - oznajmił łagodnie, jakby tłumaczył coś dziecku. - A Przedksiężycowi bardzo nie lubią chorych. Nawet najłżejsza dolegliwość jest niebezpieczna podczas Skoku.

- Tak, wiem. Oczywiście, że wiem.

Finnen już miał wrócić do pracy, coś jednak go powstrzymało.

To był nowy impuls, nowe pragnienie. Pomyślał, że dobrze byłoby namalować jeszcze kiedyś inny obraz.

Człowiek w płaszczu z gołębih piór siedzący ze skrzyżowanymi nogami na tarasie. Czarne włosy z siwymi pasmami okalają młodą twarz - choć jeśli przyjrzeć się dokładnie, widać już pierwsze zmarszczki wokół oczu i ust. Niżej wiotkie nadgarstki oraz duże, niezgrabne dłonie, którym mężczyzna przygląda się, jakby rozważał, do czego właściwie służą.

To również mógłby być dobry obraz, lecz Finnen wiedział, że nigdy go nie namaluje, i poczuł ostry, nagły ból, jak cios prosto w serce. Tutaj i teraz kończyła się jego artystyczna kariera.

Wrócił do malowania. Dłoń lekko mu drżała, ale uspokajał się powoli. Sięgnął po czerń, by oddać kolor płyt tarasu; miękkie pociągnięcia pędzlem łagodziły ból i sprawiały, że Finnen znów skupił się wyłącznie na chwili terażniejszej, jakby przyszłość nigdy nie miała nadejść.

Obok szemrał cichy głos Jayhy.

- ... ptaki, które najbardziej lubią latać w czasie sztormu, a na ląd wracają tylko po to, żeby złożyć jaja i odchowac pisklęta. Ich gniazda znajdują się w szczelinach klifów, tak wysoko, że żaden człowiek nie zdołałby tam się wspiąć. Czy to one łączą się w pary na całe życie? Nie pamiętam już. Moja wiedza wycieka ze mnie, rozumie pan? Z każdym dniem jest jej mniej i mniej. Jutro przejdę ostatni zabieg, a wtedy nic nie zostanie. A ja będę mordercą.

- Dlaczego więc zdecydował się pan na genozmianę, skoro tak się to panu nie podoba? - zapytał Finnen, nie przerywając pracy.

- Poznałem kogoś, kto o morzu wie więcej niż ja, i pomyślałem sobie, że przy Przebudzeniu nie będzie miejsca dla nas dwóch. Ale dla morderców zawsze jest miejsce.

- Dość paskudny wniosek.

- Sądzi pan, że będę potrafił zabić, kiedy już przejdę wszystkie zabiegi?

- Jeśli nie, może pan zażądać zwrotu pieniędzy. I naprawdę powinien pan wstać z tarasu...

- Wie pan, że morskich ptaków nie można hodować tak jak

gołębi? One umierają w niewoli... A raczej umierały, kiedyś, dawno temu, gdy próbowano chwycić ostatnie okazy, zanim powymierały całe gatunki. Ja czasem udaję, że mój płaszcz zrobiony jest z piór petreli, nurów albo dumnych albatrosów...

Jedna z nieruchomych dotąd Skadranek drgnęła lekko i odwróciła się w stronę Finnena. Dwie pozostałe powtórzyły jej ruch, jak lustrzane odbicia.

Jeszcze chwila, błagam, jęknął w duchu chłopak. Zaciśnął szczęki, nadgarstek rwał bólem tak mocnym, że zamalowane płótno zmieniało się przed oczami w czarną plamę - ale dłoń sama odnajdywała miejsca, w których trzeba nałożyć farbę, być może teraz mógłby skończyć obraz nawet na ślepo.

I skończy, jeśli tylko dostanie tę ostatnią, króciutką chwilę.

Kobiety ruszyły w jego stronę - jedna na przedzie i dwie po bokach, nieco z tyłu, tak iż Finnenowi kojarzyły się z prującym fale dziobem okrętu. Odznaczające się za uszami różowe płyty skrzeli drgały lekko. Z bliska obłe, owadzie twarze pielęgniarek wyglądały, jakby ktoś rzeźbił je w glinie, a potem porzucił tuż przed ostatecznym szlifem, który anonimowej bryle nadaje indywidualny charakter.

Skadranie, ludzie roju.

- Już czas. - Pierwsza z kobiet położyła Finnenowi na ramieniu lewą rękę, podczas gdy prawa, ta zakończona chwytakami, nożami oraz igłami, musnęła łokieć chłopaka.

- Wiem.

Pędzel ostatni raz dotknął płótna, a potem upadł na taras i potoczył się pod nogi Skadranki. Przepelniony szczęściem Finnen, pojękując, masował nadgarstek.

- Już czas - powtórzyła kobieta. - Straciłyśmy go sporo, spełniając pana zachciankę i pozując, ale teraz nadeszła pora, by udać się na zabieg.

Finnen wstał, pod jedną pachę wziął złożone krzesło, a pod drugą gotowy obraz, po czym ruszył za trzema Skadrankami, na pożegnanie rzucając spojrzenie w stronę Urhela Jayhy. Mężczyzna wciąż siedział na lodowatych płytach tarasu, pogrążony w myślach o morzu, którego nigdy w życiu nie widział ani nie miał zobaczyć.



Okrągła sala zabiegowa miała wyłożone srebrem ściany, na których wytłoczono rzędy cyfr, oraz szyby w oknach tak ciemne, że przepuszczały ledwo odrobinę burgundowego światła. Pośrodku podłogi z szarych płyt antypoślizgowych znajdował się okrągły basen, wypełniony wodą w kolorze płatków róż, przykryty szybą, na której stało metalowe łóżko zaopatrzone w pokrętła do regulowania wysokości oraz pasy - pięć zazwyczaj używanych plus dwie pary dodatkowych, na wypadek e.ilyby pacjentem był odmieniec. Nad wezgłowiem na ruchomym i fantazyjnie rzeźbionym pałaku zwisała nietypowa lampa: szklana kula z uwiecznionymi wewnątrz świetlikami. W rogu pomieszczenia znajdował się na wpół przezroczysty parawan, za którym ktoś siedział.

Finnen przeniósł wzrok z lampy na parawan, a potem znów na lampę.

Nie macie pozwolenia na używanie oświetlenia gazowego w pomieszczeniach?

Oczywiście, że mamy - odparła jedna z pielęgniarek.

Druga i trzecia w tym czasie sprawdziły, czy pasy przy łóżku się nie poprzecierały. - Podobnie jak uniwersytet oraz kilka wyższych urzędów. Proszę się położyć.

Człowiek za parawanem poruszył się i Finnen dostrzegł, że sylwetka, którą z początku wziął za całkowicie normalną, jest zdeformowana.

Duszoinżynier, pomyślał. Dziwoląg.

Położył się na łóżku, oparł stopy na specjalnej podpórcie i pozwolił się przymocować pasami. Nie był pewien, czy krzątające się wokół niego pielęgniarki są tymi samymi, które pozowały mu na tarasie. Wszystkie wyglądały identycznie, a tamte stracił z oczu, gdy poszedł wypróżnić pęcherz oraz zmoczyć włosy przed goleniem.

Myśl o goleniu sprawiła, że natychmiast zaswędziało go naga

skóra na czaszce, ale było za późno, by się podrapać - obie ręce miał już przypięte pasami, tak samo zresztą jak i nogi. Wolna pozostała tylko głowa.

- Odrosną. - Jedna z pielęgniarek jakby odgadła jego myśli.

- Po zabiegu zaaplikujemy panu środek na porost włosów i znów będzie pan miał piękną, bujną czuprynę.

Skadranki nie tylko wyglądały identycznie, ale także mówiły podobnymi do siebie, pozbawionymi emocji głosami, wszystkie też miały skłonność do używania pełnych zdań, jakby czytały z książki. Jednak ta jedna w ledwo uchwytny sposób wydawała się inna od reszty, jakby bardziej... współczująca, a jednocześnie odrobinę ironiczna, choć możliwe, że Finnen po prostu widział to, co chciał zobaczyć.

Bardzo potrzebował współczucia i jednocześnie rozsądnie cieszył się, że go nie otrzymał. Zbyt łatwo przyszedłoby mu zrobić z tego wydarzenia tragedię - on w roli ofiary, jego poświęcenie i strata, osamotnienie i to, co odczuł jako zdradę Kairy.

Jednak mimo pokusy, by widzieć to właśnie w ten sposób, Finnen wiedział, że rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana.

Niech więc będzie tak, jak jest. Chłodny profesjonalizm Skadranek zapewniał przynajmniej, że nie rozplacze się w kluczowym momencie.

- Podać panu środki uspokajające?

- Nie... Tak. Może lepiej tak.

Ból wbijanej w ramię igły i krótki, gwałtowny przypływ seksualnego podniecenia, gdy strach zmienia się w odrętwienie. Jedna z pielęgniarek znalazła się akurat tak blisko, że mógł ją chwycić za rękę, co też zrobił, po czym przesunął kciukiem wzdłuż jej linii życia. Wyszarpnęła dłoń; na trzech twarzach zobaczył trzy identyczne wyrazy zaskoczenia i zmieszania.

Skadranki nie tylko wyglądały identycznie, mówiły podobnymi do siebie, pozbawionymi emocji głosami, ale także czuły to samo, w istocie były bowiem jedną osobowością w kilku (kilkunastu?) ciałach. Gdyby kochał się z jedną, pozostałe byłyby świadome każdej sekundy tego aktu.

Finnen wyobraził to sobie, a potem zamknął oczy i spróbował

się odprężyć. Wszystko wokół oddalało się od niego, obojętniało. Nawet Kaira, nawet ten moment, gdy poprosiła, by przeszedł genozmianę - zgodził się, a ona przyjęła to prostym skinieniem głowy, jak coś oczywistego, jak coś, co jej się należało.

Oczywiście powiedziała by „tak” niezależnie od okoliczności - wiedział o tym doskonale - ale nie powinno to wyglądać w ten sposób. Zabolala go jej pewność, że on się zgodzi, czuł się w pewien sposób pomniejszony, nieważny, jak pionek, którego we właściwej chwili można przesunąć z miejsca na miejsce. Odkąd wszedł do wieży art-zbrodniarzy, bezustannie towarzyszyło mu piekące poczucie żalu i goryczy. Z drugiej strony, gdyby wówczas odmówił, z nadzieją, że Kaira będzie zmuszona go prosić, mógłby się tego po prostu nie doczekać.

Mam do niej żal, bo nie pozwoliła mi odegrać dramatycznej sceny, pomyślał w dziwnym przypiływie dobrego humoru, jakby obserwował samego siebie z boku.

Unióś powieki, gdy usłyszał szmer płóz przesuujących się po podłodze. Odwrócił głowę. Parawan podjeżdżał w stronę łóżka, a razem z nim ukryty z tyłu dziwoląg.

- Jak się pan czuje? - głos był cichy, oddech mówiącego poświstywał lekko.

- Dobrze - odparł Finnen.

Świeżo wygolona czaszka wciąż swędziała, ale nawet to uczucie stało się mniej dokuczliwe. Ręce i nogi drętwiały. Jedna z pielęgniarek poruszała pokrętłami i łóżko się przechyliło - teraz stopy Finnena niemal dotykały podłogi, a jego głowa znalazła się na wysokości pasa Skadranek.

- Nazywam się Jez Liander, jestem lekarzem i będę nadzorował pana zabieg. W istocie można nawet powiedzieć, że sam go przeprowadzę, kierując dłońmi Skadranek. Wejdę w ich umysły i użyję ciał tak, jak animatorzy używają mechanicznych konstrukcji, rozumie pan?

- Rozumiem. Nie jestem dzieckiem. Po co pan mi to mówi?

- Mam obowiązek poinformować każdego pacjenta o przebiegu genozmiany. Mam również...

Duszoinżynierowi przerwał gwałtowny atak kaszlu. Jedna z

pielęgniarek weszła za parawan i przyłożyła mu do ust niewielki przedmiot, którego cień zniekształcił się na zasłonie, tak że Finnen nie potrafił rozpoznać, co to jest. Doktor Liander wziął kilka głębokich wdechów. Chłopak przeniósł wzrok na twarze pozostałych dwóch pielęgniarek - obie, nim powrócił na nie wyraz profesjonalnego chłodu, pełne były niepokoju.

- Mój stan zdrowia... - wychrypiał dziwoląg, gdy już mógł mówić. - Proszę się nim nie kłopotać. Ciało czasem odmawia mi posłuszeństwa, lecz moje zalety rekompensują wszelkie dolegliwości. Powiem panu teraz, jak przebiegać będzie procedura. Otóż zabieg przeprowadzimy pod wodą, która ma tę właściwość, że wzmacnia zdolności nie tylko telepatyczne, ale i telekinetyczne, tak że łatwiej będzie mi sterować ruchami Skadranek. Pan, znieczulony, ale przytomny, będzie oddychał przez maskę tlenową, a my w tym czasie zablokujemy ośrodki w mózgu odpowiedzialne za pana obecne talenty. Nie możemy ich zlikwidować, tego nie da się zrobić, ale poniekąd odetniemy panu do nich dostęp. Dopiero potem stopniowo przystąpimy do właściwej terapii genowej, by mógł pan pozyskać nowe zdolności, które, żywią nadzieję, przyniosą panu satysfakcję. Proszę zauważyć, że taka kolejność zapobiega niebezpieczeństwu przejściowej multiplikacji talentów. Jak wiadomo, Przedksiężycowi nie lubią osób wszechstronnie uzdolnionych, gdyby więc Skok zaskoczył pana w takim momencie, mógłby pan zostać z tyłu, a tego przecież byśmy nie chcieli, prawda?

- Ja z pewnością bym nie chciał - burknął Finnen. - Co do pana, to nie mam pojęcia.

- Jeśli więc wyraża pan zgodę...

- Wyrażam.

Gdy cień za parawanem wykonał nieokreślony gest, jedna z pielęgniarek uniosła prawą rękę. Z przegubu wysunął się dozownik. Kobieta nabrała na lewą dłoń odrobinę przezroczystego płynu i wmasowała go w łysinę Finnena. Chłopak poczuł, jak lodowaty chłód obejmuje mu głowę i spłza na drętwiejące błyskawicznie policzki.

- To miejscowy środek znieczulający - kontynuował duszoinżynier. - Nie ma powodu, żeby pozbawiać pana przytomno-

ści. Gwarantuję, że nie poczuje pan bólu, choć jeśli pan sobie życzy, mogę...

- ... eee... rzeba... - wymamrotał Fimien. Wargi też już mu zdrętwiały.

- Może pan doznać pewnych przejściowych sensacji, czuć dziwne zapachy albo mieć osobliwy smak w ustach, mogą też do pana powrócić na chwilę zagubione wspomnienia. To wszystko jest najzupełniej normalne, spowodowane przypadkowym podrażnieniem poszczególnych ośrodków w mózgu i nie należy się tym przejmować.

Chłopakowi przypomniał się Niraj przywiązany pasami do łóżka. Wbite w czaszkę igły i Issa dotykający ich z twarzą pełną czułości. Przerazenie czaiło się tuż obok, gotowe wcisnąć się Finnenowi do gardła, gdy tylko minie działanie środka uspokajającego. Pod pewnymi względami to było gorsze niż sam strach, jakby w nieskończoność rozciągnął się trwający ułamek sekundy moment pomiędzy przecuciem, że stało się coś potwornego, a wiedzą: owa ulotna chwila pustki, gdy spokój już znikł, a panika jeszcze nie zajęła jego miejsca.

Jedna ze Skadranek przelotnym gestem położyła mu dłoń na czole - raczej domyślił się tego z widzianego kątem oka ruchu, niż poczuł - a potem założyła Finnenowi maskę.

- Proszę zagryźć.

Zacisnął zęby na ustniku. Świat widziany przez wizjer wydawał się dziwnie nierealny. Coś ścisnęło mu nos, nie pozwalając odetchnąć, ale nim strach przedarł się do zamroczonego umysłu, rozległ się syk odkręcanej butli i chłopak z ulgą wciągnął w płuca powietrze, które smakowało gumą i suchością nagrzonej piwnicy. Skadranka umocowała maskę, przeciągając paski /a uszami Finnena, a potem za pomocą kolejnego pasa unieruchomiła mu głowę.

- Najlepiej będzie, jeśli pomyśli pan o czymś przyjemnym - dobiegł go głos Liandera. - Zaczynamy.

Zgrzyt, w którym Finnen odgadł dźwięk rozsuwanej szyby. Łóżko przechyliło się, przez chwilę utrzymywało chwiejną równowagę, a potem wpadło do wody. Nie była zimna, jak się spodziewał, raczej przyjemnie chłodna. Zagarnęła go i otuliła

niczym świeżo wyprane prześcieradło. Szarpnął się w więzach, ale bez szczególnego przekonania. Poprzez szybką wizjera widział srebrzyste bańki ulatujące od krawędzi ustnika w głąb strugi świetlikowego blasku. Jak głęboki jest ten basen?, zastanowił się przelotnie. Nie mógł ruszyć głową, by sprawdzić, przypuszczał jednak, że ma co najmniej dwa metry.

Zimny prąd obmył go i wydał koszulę, gdy Skadrunki wskoczyły do wody. Najpierw na poziomie oczu dostrzegł ich nagie łydki, pogrubione i nieco zniekształcone, ale wciąż niewątpliwie zgrabne, a potem resztę sylwetek. Wymykające się spod pielęgniarских czepków włosy falowały wokół twarzy jak rozpostarte macki meduz, a białe stroje wybrzuszyły się wokół ciał, lecz mimo to kobiety wyglądały równie elegancko i profesjonalnie jak w sali zabiegowej. Skrzela za ich uszami wydymały się w rytm oddechów, światło załamywało się na sterczących z przegubów ostrzach oraz dozownikach. Woda zmiękczyła chłodne uśmiechy Skadraneek, tak że teraz sprawiały wrażenie nieco smutnych.

Jedna z nich uniosła prawą, nieludzką dłoń i czubkiem noża dotknęła jego ogolonej głowy. I znów chłopak bardziej domyślił się tego, widząc kątem oka ruch, niż poczuł. Naprawdę nie bolało. W stronę lampy wraz z bańkami powietrza odpłynęła smuga czerwieni. Finnen śledził ją wzrokiem, dopóki mógł, zafascynowany zmieniającym się kształtem i kolorem: od zwartej chmury w barwie szkarłatu po różową mgłę, niewiele ciemniejszą niż woda. Czasem na kilka sekund zapominał o czyhającym tuż obok prerażeniu, ale pamięć zawsze wracała. Jak teraz, gdy pod wodą rozległ się głuchy dźwięk pilnika tnącego kość.

„Pomyśl o czymś przyjemnym”.

Myślał o Kairze. Nie dlatego, że dziewczyna jakoś szczególnie kojarzyła mu się z przyjemnością, lecz dlatego, że kojarzyła się ze wszystkim. Z radością i cierpieniem, niechęcią i sympatią.

O czymkolwiek by myślał, i tak prędzej czy później wróci do niej, więc równie dobrze mógł zacząć już teraz.

A więc Kaira.

Kaira siedziała na uniwersyteckiej ławce obok Dime. Naprzeciw nich kołysał się na krześle Esh Gurleen, mówiąc i jednocześnie ilustrując swój wykład rekwizytami: plikiem złożonych kartek oraz dwiema długimi szpilkami. Finnen obserwował ich z parapetu - trzy zanurzone w mroku sylwetki, trzy profile miękko otulone światłem świec. Teorię Gurleena słyszał już wcześniej, dlatego mógł skupić się na dziewczynie, która wpatrywała się w byłego nauczyciela z wyraźną fascynacją większą nawet niż ta na twarzy Dime, choć dla chłopaka słowa starszego mężczyzny były nowością, a dla Kairy nie.

- Światy Lunapolis przypominają stos kartek ułożonych jedna na drugiej - oznajmił Gurleen. - Najniżej pierwsza z odrzuconych rzeczywistości, najwyżej nasza, ta, której mieszkańcy wciąż jeszcze mają szansę na Przebudzenie. Trzymają się razem dzięki dwóm osiom. - Kolejno nabijał kartki na szpilki.

- Jedna z nich to Archiwum, czy raczej wszystkie Archiwa, a druga to Studnie. Ta pierwsza oś jest grubsza i solidniejsza, wystarczy więc wyciągnąć tylko ją, żeby wszystko się posypało...

Nagłym ruchem usunął jedną ze szpilek i kartki opadły na podłogę jak białe pióra.

- Moja demonstracja oczywiście jest bardzo kulawa - powiedział z odrobiną poczucia winy. - Gdybym miał tu moje pomoce naukowe... Kair o, pamiętasz mój przybornik matematyczno-fizyczny?

Potaknęła, uśmiechając się. Pomiedzy nią a Gurleemem przeskoczyła iskra porozumienia, która wygładziła zmarszczki mężczyzny, a z Kairy na krótką chwilę znów uczyniła małą, ufną dziewczynkę.

- No ale nie mam przybornika, więc muszę radzić sobie z tym, co jest. - Gurleen rozejrzał się z roztargnieniem, a Finnen w

przyplynie dziecinnej złościwości odsunął głębiej w mrok na w pół opróżnioną butelkę wina, która stała na parapecie. - I oczywiście tu nie chodzi o rozsypanie wszystkich rzeczywistości, ale o to, żeby połączyć je w jedną, niestarzejącą się. I to się uda, jeśli tylko zrobimy, co musimy zrobić. Wtedy wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek zostali z tyłu, a którzy jeszcze żyją, znajdą się na powrót w naszym świecie. Będziemy ich mogli nakarmić i wyleczyć...

- Mamy na to wystarczające środki? - wtrącił się Dime.

Gurleen wzruszył ramionami.

- W Halach codziennie marnuje się mnóstwo jedzenia, bo Kolejkę projektowano w czasach, kiedy Lunapolis liczyło znacznie więcej mieszkańców. Z lekami będzie gorzej, przyznaję, ale wielu nieszczęśników z przeszłości wystarczy porządnie nakarmić i ubrać ciepło, żeby doszli do siebie. Poza tym tutaj ich rany nawet bez środków przeciwbólowych czy maści będą się goić normalnie, a to już coś.

- Skąd pan to wszystko wie? - w głosie Dime zabrzmiało niedowierzanie.

Kaira rzuciła mu krótkie, ostrzegawcze spojrzenie, ale Finnen w duchu przyklasnął koledze. Sam wcześniej zapytał o to samo.

- Dotarłem do nigdy nieopublikowanych prac Aylena - wyjaśnił Gurleen. - Zachowały się co prawda tylko fragmenty, ale na szczęście wystarczająco obszerne, żebym mógł być cholernie pewny.

- I wciąż ma pan te prace?

- Zabrano mi je przy aresztowaniu. - Odruchowo dotknął blizn z tyłu czaszki, które odznaczały się wyraźnie pomiędzy białą jak twarożek szczecina. - Omal nie straciłem wtedy swoich zdolności, więc nie przejąłem się zbyt. Zwłaszcza że pamiętam, co tam było napisane. Nie wierzysz mi?

- Nie, ja... - Zapytany bezpośrednio Dime zmieszał się jak panienska. - Po prostu... to wydaje się tak nierzeczywiste...

- Bo to wbrew wszystkiemu, co kładziono ci do głowy, odkąd wyrosłeś z niemowlęctwa - odparł Gurleen. - Wybrani, którzy dostąpią Przebudzenia, złoty wiek dla garstki najlepszych kosztem tego, że cała reszta zgnije w przeszłości. Wszyscy



kiedyś w to wierzyliśmy, i co więcej, wszyscy mieliśmy nadzieję, że sami znajdziemy się wśród zwycięzców. Tyle że to bzdura.

- Po co Przedksiężycowi mieliby nas zwodzić?

- Może mają w tym jakiś ukryty cel. A może zwyczajnie sprawia im to frajdę. Skąd mam wiedzieć? Przedksiężycowi nie są ludźmi, spodziewanie się po nich ludzkich motywacji to nonsens. Zastanów się lepiej, młody człowieku, po co ja miałbym was oszukiwać? Narażać siebie i dziecko, które kocham jak własne? - Skinął w stronę Kairy, która rozkwitła zadowoleniem.

- Mam uwierzyć, że oszustwo Przedksiężycowych przejrzał jeden człowiek?

- Nie jakiś tam człowiek - zaprotestowała dziewczyna. - Aylen.

Finnen patrzył na twarz Dime i niemal widział, jak to nazwisko wgryza się coraz głębiej w świadomość chłopaka.

Aylen. Ten sam, który żył przed kilkudziesięcioma Skokami, w czasach, gdy gęsto zaludnione Lunapolis osiągnęło szczyt świetności. Ostatni naprawdę wielki i wszechstronnie utalentowany przedstawiciel zbliżającej się do kresu cywilizacji - potem nie było już nikogo takiego, Przedksiężycowi bowiem uznali, że ludzie nazbyt doskonali będą zostawać z tyłu, co ostatecznie doprowadziło do upadku Wieży Perfecti. Filozof i zarazem polityk, autor kilku traktatów o mocno kontrowersyjnych treściach i znakomity mówca. Wynalazca, dzięki któremu ich świat w kilkunastu Skokach pokonał niemal trzy wieki. Duszoinżynier równie dobrze radzący sobie z projektowaniem przyszłych morderców, jak i lirycznych poetów.

Okres jego największej twórczej aktywności był dość dobrze znany, lecz brakowało wiarygodnych źródeł opisujących lata wcześniejsze i późniejsze. Zwłaszcza śmierć Aylena była mocno tajemnicza. Oficjalnie jako przyczynę podawano wypadek, gdy uczony, wracając o świcie z kawiarni, w której lubił pisać, został stratowany przez pędzącego po schodach mechanoidea. Jednak żaden animator nie przyznał się do winy, a przy tym - podobno - rany na ciele Aylena niezupełnie pasowały do takiej wersji wydarzeń. Przekazywane z pokolenia na pokolenie półprawdy,

plotki i zwyczajne fantazje z czasem zmieniły się w jedną z najbardziej intrygujących legend Lunapolis.

Śmierć Aylena była tematem niezliczonych sztuk teatralnych i jeszcze większej liczby książek oraz artykułów prasowych, raz na jakiś czas pojawiały się też cudownie odnalezione dokumenty, które jakoby miały rozwikłać zagadkę - i które nieodmiennie zostawały dyskredytowane przez poważniejszych naukowców. Rosła liczba teorii spiskowych, i owszem - jedna z nich głosiła, iż największy umysł Lunapolis został zamordowany tuż po tym, jak odkrył coś, co władze miasta uznały za tak niebezpieczne, że informacja o tym nigdy nie miała zostać podana do publicznej wiadomości.

To ostatnie można by uznać za potwierdzenie słów Gurleena, podobnie zresztą jak i inną legendę. Zgodnie z nią Aylen był twórcą zaginionego później czy też zniszczonego urzędnika, które służyło do zaglądania w umysły Przedksiężycowych. Jednak krążących o Aylenie plotek było tyle, że dałoby się na nich zbudować każdą, nawet najbardziej szaloną teorię, i Dime najpewniej zdawał sobie z tego sprawę.

Rudowłosy chłopak spojrzał na Finnena.

- Ty mu wierzysz? - zapytał niepewnie.

- Chcę wierzyć.

- To nie to samo.

- Nie, niezupełnie to samo. - Finnen odwrócił się w stronę okna. - Ja ci nie pomogę, sam zdecyduj.

- O czym tu decydować? - zniecierpliwiła się Kaira. - Dime, niech to Skok pochłonie, naprawdę nie chcę ci robić przykrości, ale nie jesteś przecież dzieckiem i wiesz, jakie masz szanse dotrzeć do Przebudzenia. Tak realnie, ile sobie dajesz? Pięć procent? Więcej? Mniej?

Chłopak spuścił głowę i powiedział coś, ledwo poruszając ustami. Nawet światło świec nie zdołało ocieplić marmurowej bieli jego twarzy. Finnen miał wrażenie, że rudzielec zaraz się rozplacze.

- Ja jestem w takiej samej sytuacji, Finnen też. - Kaira zeskoczyła z ławki, oczy jej płonęły. - A nawet gdyby zdarzył się pieprzony cud i wszyscy byśmy przeżyli, to będziemy, kurwa,

świętować na stosie zwłok tych, którym nie wyszło. Uważasz, że to jest tego warte? Bo ja nie. Nawet jeśli istnieje możliwość, że Aylen się pomylił albo że Esh źle zinterpretował jego słowa, nawet jeśli jest niebezpieczeństwo, że Esh nas wszystkich okłamał - chociaż dla mnie to zupełna bzdura - to ja zamierzam zaryzykować, bo jest też szansa, choćby minimalna, że to prawda i że nam się uda. A wtedy przerwiemy całe to szaleństwo i ocalimy tysiące osób, które bez naszej pomocy zginą.

Finnen pomyślał, że Kairze do twarzy jest ze złością, a potem, że na miejscu Dime zapytałby teraz, co z nim zrobią, jeśli jednak odmówi współpracy. Problem polegał na tym, że nikt jak dotąd nie rozważał takiej opcji. Nie mogli zatrzymać Dime siłą, ale niebezpiecznie też byłoby pozwolić mu po prostu odejść.

Rudowłosa jednak nie zapytał.

- Tak, masz rację - powiedział wreszcie, unosząc głowę. A potem powtórzył, tym razem z większą pewnością siebie - oczywiście, że masz rację. Sam bym o tym pomyślał, gdybyś tylko nie zaczęła krzyczeć. Nie musiałaś tego robić, wiesz? Naprawdę chcę wam pomóc. Jeśli tylko będę się mógł na coś przydać... - Spojrzał na Finnena, znów z wahaniem, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, przez jego twarz przemknął skurcz strachu, zastąpiony zaraz wymuszonym uśmiechem. - Kto by pomyślał, że skończymy w ten sposób, co, Finnen? Wszystkie nasze szaleństwa z dzieciństwa nie mogą się z tym równać.

Finnen patrzył, jak uśmiech rudzielca staje się naturalniejszy, jak chłopak coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że to nic wielkiego, tylko kolejna przygoda. To był pomysł Kairy, żeby przyprowadzić tu Dime, a Finnen zastanowił się przelotnie, czy jeśli Dime zginie, dziewczyna choć przez chwilę będzie się czuła winna.

- Niech pan mu wyjaśni - zwrócił się do Esha Gurleena - co konkretnie mamy zamiar zrobić.

- Chcemy wysadzić wszystkie Archiwa - odparł mężczyzna, a Finnen nie potrafił nie okazać choćby odrobiny podziwu, staremu nauczycielowi udało się bowiem to powiedzieć z abso-

lutnym spokojem.

## 4

Odległe uczucie chłodu, bycia nagim, odsłoniętym, i sylwetki Skadranek pływające na granicy pola widzenia. Muśnięcia ich włosów i podwodne prądy wzbudzone ruchami zgrabnych gibkich niczym rybie - ciał. Delikatny nacisk, gdy wbijano mu igły w mózg, wrażenie, nie, raczej cień wrażenia, że wnika w niego coś lodowato zimnego. Lekkie szczypanie, łaskotanie.

Nagle wybuchnął śmiechem, omal nie wypuszczając z zębów gumowego ustnika, zaraz potem jego nozdrza wypełnił zapach smażonych kwiatów akacji, a jeszcze później przysłała rozpacz, lak świeża jak w dniu, gdy Ary'ego zabrał Skok. Czyste, jasne wspomnienie brata zachęcającego gestem małego Finnena, by usiadł przed nim na tacy - zaraz zjadą w dół Schodów Żłotników, pośród iskier i w łoskocie uderzającego o kamień metalu, śmiejąc się i wrzeszcząc na przemian.

A potem znów obojętność i odległe uczucie chłodu.

„Pomyśl o czymś przyjemnym”.

Zatem myślał.

## 5

W uniwersyteckiej auli spało kilkanaście osób - niektórzy na zsuniętych ławkach, inni na materacach, z których wyłaziły strzępy gąbki. Wszyscy zawinięci po czubki uszu w koce, wydzielające lekką woń zgnilizny. W ciemności słychać było regularne oddechy, od czasu do czasu też jęk, gdy komuś przysniło się coś złego.

Ze świecą w rękę Finnen przeszedł pomiędzy leżącymi, czerpiąc pewną przyjemność z obserwowania ludzi, którzy nie wiedzieli, że są obserwowani. Niemal identyczne sylwetki w mroku, dźwięki imion z trudem kojarzone z właściwymi

twarzami - albo i niekojarzone. Na razie tak właśnie ich postrzegał, zdawał sobie jednak sprawę, że z czasem puste kontury wypełnią się treścią. Kogoś polubi, a kogoś nie, ktoś wyda mu się interesujący, a ktoś inny głupi. Może nawet prześpi się z jedną z tych dziewcząt, które ubierały się w męskie stroje, ścinały krótko włosy i klęły, zagryzając chlebem łyki kwaśnego wina.

Wszyscy byli młodzi i bardzo zdeterminowani, to już o nich wiedział. Wiedział też, że nikt z nich nie ma jakichś szczególnych talentów czy umiejętności. To mogło być zaletą albo wadą, zależy jak na to patrzeć.

Gdzieś w auli spalili też Dime i Kaira, lecz Finnen nie potrafił rozpoznać ich w ciemności.

Wyszedł na korytarz, kierując się częściowo blaskiem świecy, a częściowo wpadającym przez wąskie okna światłem błękitnego Wołu. Dwa pozostałe księżyce skryły się za chmurami. Finnen nigdy wcześniej nie spędził nocy w przeszłości i ciemność wydawała mu się gęstsza, zimniejsza i jednocześnie cichsza niż w górnym świecie. Na ścianach uniwersytetu wisiały co prawda lampy gazowe, lecz żadna z nich nie działała, a z zewnątrz nie dobiegały odgłosy zabawy, tak naturalne w Lunapolis, które Finnen znał. Nawet jeśli poza murami uniwersytetu ktoś się poruszył, nawet jeśli przemknęła tam wychudzona sylwetka, prezentując w blasku Wołu bladą jak płótno twarz i płonące gorączką oczy, odbywało się to w pełnym powagi milczeniu. Czasem tylko rozlegał się zdławiony jęk, krzyk czy odgłosy walki. Finnen rzadko widywał mieszkańców tego świata, wiedział jednak, że stają się coraz słabsi, a jednocześnie mniej przewidywalni. To go martwiło, Esh Gurleen zawarł bowiem z miejscowymi układ, na mocy którego zostawiali w spokoju jego grupę, a teraz umowa mogła zostać zerwana.

Co będzie, jeśli zaatakują uniwersytet? Albo, co gorsza, jeśli opowiedzą o Eshu Gurleenie komuś z górnego świata? Teoretycznie istniała taka możliwość, choć obecnie mało kto decydował się na zejście w przeszłość, a nawet jeśli, robił to nie po to, by konwersować z nieszczęśnikami, którzy zostali z tyłu.

Spiskowcy mogliby się ukryć w którymś z całkowicie wymarłych światów, gdzie niewątpliwie byliby bezpieczniejsi, jednak w niższych rzeczywistościach jedzenie i rzeczy codziennego użytku ulegały zniszczeniu tak szybko, że na dłuższą metę nie dało się tam mieszkać. Lepiej zostać tutaj, tłumaczył Esh Gurleen, godząc się z obecnością nielicznych ocalałych, a gdyby któremuś z nich przyszło do głowy nas zaatakować... Cóż, są słabi i powolni, w razie czego zdążymy uciec.

Finnen uznał wagę tego argumentu, jednak nie potrafił przestać się martwić.

Krażył po uniwersytecie. Jedna sala, druga, trzecia. Chłód opuszczonych murów, gąbczasta wilgoć grzyba porastającego ściany i wierzący w nosie zapach kurzu. Odgłos własnych kroków rozbrzmiewał mu w uszach echem. Gdy chłopak szedł, czuł się jak intruz, a gdy przystawał w ciszy, patrząc na swój własny, olbrzymi i zniekształcony cień - jak duch nawiedzający wymarły budynek. Mijał tablice z wypisanymi imionami dawnych absolwentów, półki, na których rzędem stały zakurzone złote i srebrne puchary, zetlałe mapy i gabloty pełne rozsypujących się kości. Trafił wreszcie w miejsce, gdzie obok katedry na postumencie znajdował się podświetlony globus. To go zainteresowało - lampy gazowe nie działały, ale globus wciąż płonął od wewnątrz zielonkawym blaskiem.

Postawił świecę na ławce, oderwał od skóry kilka kropel zastygłego wosku i obrócił globus. Miękki zielonkawy blask zafalował jak woda w okrągłym naczyniu.

Ktoś poruszył się za jego plecami. Chłopak odwrócił się z mocno bijącym sercem.

- To tylko ja - uspokoił go Esh Gurleen. - Lubię czasem tu przychodzić nocą i patrzeć na ten globus. Dziwi cię, że świetliki w jego wnętrzu wciąż żyją, co? Ale gdybyś spędził w przeszłości tyle czasu co ja, wiedziałbyś, że takie rzeczy czasem się zdarzają. Zebrane w koszu pomarańcze gniją, ale jedna pozostaje świeża; ubrania strzępią się i drą, wszystkie, z wyjątkiem pary spodni czy koszuli, które wciąż są całe. Przeszłością rządzi chaos, a on może pozwolić sobie na odrobinę nielogiczności.

- Ludzi też to dotyczy?

- Masz na myśli, czy w którymś z odrzuconych światów żyje człowiek, który wciąż jest zdrowy i młody, podczas gdy wszyscy wokół chorują i starzeją się? Nie wiem, chociaż nie zdziwiłoby mnie to. Tyle że temu człowiekowi i tak nic by z tego nie przyszło. Po prostu dłużej by się męczył.

W głosie mężczyzny zabrzmiało tyle goryczy, że Finnen spojrzał zdziwiony. Znikła gdzieś energia ożywiająca Gurleena; wcześniej nie zwracało się uwagi na jego zmarszczki, a siwe włosy można było wziąć wręcz za wyraz ekscentrycznych upodobań, jak u Kairy, lecz w tej chwili dawny nauczyciel wyglądał na swoje lata.

On jest stary, po raz pierwszy uświadomił sobie Finnen z całą wyrazistością i to sprawiło, że spojrzał na Gurleena inaczej, z mieszaniną współczucia, lęku i ciekawości, bo tak rzadko widywał starych ludzi.

Esh Gurleen dotknął globusa.

- Spójrz uważnie - powiedział. - To nie jest świat, jaki znamy teraz, tylko ten z czasów pierwszych Skoków. Widzisz, to jest Lunapolis, wówczas znacznie mniejsze. A te ciemne plamy oznaczają gęstość zaludnienia. Ludzie dawniej mieszkali na całym kontynencie, nie tylko w stolicy. Wtedy wszystko wyglądało inaczej, bardziej... normalnie. - Użył tego słowa z wahaniem, jakby nie był pewien, czy może nazwać tak życie, jakiego nigdy nie zaznał. - Skoki zdarzały się co dwa-trzy pokolenia i zabierały tak niewielu ludzi, że w gruncie rzeczy mało kto o nich pamiętał. Znacznie więcej osób ginęło, gdy nie udały się zbiory, wylewały rzeki albo zimą od ataków wilków grasujących w lasach. Nie było duszoinżynierów ani genozmian. Potem Skoki zaczęły następować coraz częściej i wszystko się zmieniło.

Odtąd dzieci nie rodziły się ze związku kobiety z mężczyzną, tylko były tworzone, a ponieważ najlepsi duszoinżynierowie mieszkali w Lunapolis, więc tu ściągali ludzie. Stolica rozrastała się, podczas gdy inne miasta, nie mówiąc już o wsiach, upadały.

I teraz mamy sytuację, jaką mamy. Wyludniony, opustoszały

kontynent, na którym jedynymi istotami, jakie możesz spotkać, są automaty pilnujące upraw w szklarniach.

I Lunapolis, ostatnie miasto, też zresztą skazane na zagładę.

Finnen nie przerywał. Oczywiście wiedział o tym z lekcji udzielanych mu przez nauczyciela w dzielnicy sierot, miał jednak wrażenie, że streszczenie tej historii jest dla Gurleena w jakiś sposób ważne, że mówi on nie tyle do chłopaka, ile do samego siebie.

Starszy mężczyzna ocknął się z zamyślenia.

- Kaira śpi? - zapytał.

- Śpi.

- Biedactwo - mruknął Gurleen. - Ciężko przyjęła, kiedy powiedziałem jej, że nie zdołamy połączyć światów przed następnym Skokiem. Wściekła się i ja ją rozumiem, bo to znaczy, że znów mnóstwo ludzi zostanie z tyłu i że przynajmniej część umrze, zanim zdążymy im pomóc. Ale nie możemy sobie pozwolić na pochopne działanie. Prawdopodobnie będziemy mieć tylko jedną szansę i dlatego nasz plan musi być zapięty na ostatni guzik. Jeśli się pospieszymy i coś spieprzymy, to wszystko przepadnie.

- Wiem - zgodził się Finnen, ale widać mało przekonująco, bo Gurleen, odzyskawszy najwyraźniej nieco wigoru, lekko klepnął chłopaka w plecy.

- Nie ufasz mi, co?

- Nie o to chodzi. Nie widzę powodu, dla którego miałby nas pan okłamywać, chyba że jest pan szaleńcem, a na takiego pan nie wygląda. Problem polega na tym, że ma pan wokół siebie dzieci, które nie wiedzą, co je czeka. Dla nich to jest przygoda, a Kaira... Kairze chyba się wydaje, że wszystko będzie wyglądało jak w jednej z jej książek.

- Wiem. Większość z nich sam jej kupiłem. A co z tobą? Uważasz, że wiesz, co cię czeka?

- Nie, chyba tak naprawdę nie - odparł Finnen uczciwie, po czym uśmiechnął się. - Ale lubię sobie wyobrazać, że wiem, ot, takie drobne poczucie wyższości. Poza tym wiem, że nie wiem, a to już coś, prawda?

- I wydaje ci się, że z tą swoją wiedzą na temat niewiedzy



jesteś od nich lepszy? Na przykład od Kairy, która po prostu chce coś zmienić? - w głosie Gurleena niespodziewanie zabrzmiała złość. Chwycił Finna za ramię i szarpnął. Jak na starca, który jeszcze przed chwilą wyglądał na zmęczonego i pełnego goryczy, miał zaskakująco dużo energii.

- Takim pięknoduchom jak ty wydaje się, że poświęcenie czy bohaterstwo to słowa z książek. Tylko słowa, nad którymi dyskutuje się przy kawiarnianym stoliku z kieliszkiem wina w ręce. Coś, z czego można kpić albo zachwycać się z bezpiecznego dystansu i z poczuciem wyższości, bo przecież takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym życiu. Ale to nieprawda. One się zdarzały, kiedyś, dawno temu, i wciąż mogą się zdarzyć. Nawet teraz, kiedy większość naszego społeczeństwa trzęsie się o własną skórę i zagłuszając ten lęk, goni za przyjemnościami. Zwłaszcza teraz, rozumiesz? Dla Kairy poświęcenie i bohaterstwo to nie są abstrakcyjne słowa, tylko coś, co po prostu się robi. Bo tak trzeba. To właśnie tacy ludzie mogą coś zmienić. Nie tacy jak ty, którzy tylko gadają i wiecznie mają wątpliwości.

- Wiem - powiedział Finna. - Niech mnie pan puści. Proszę.

Gurleen sapnął i odsunął się. W oczach miał smutek; przygarbił się i zapadł w siebie, jakby ten wybuch wyczerpał resztkę jego sił. Przeczesał palcami siwe włosy.

- Przepraszam... - mruknął. - Poniosło mnie. Jesteś dobrym chłopcem i sporo dla Kairy zrobiłeś, a ja nie powinienem o tym zapominać.

- W porządku. - Finna masował ramię. Roześmiał się po chwili, gdy ból zaczął ustępować. - Powiedziałem wcześniej, że nie wygląda pan na szaleńca. Odwołuję to. Wygląda pan.

Rzyknął kolejny wybuch, ale potrzebował tych trzech zdań, żeby znów wskoczyć we własną skórę, bo wcześniej, gdy Gurleen mówił, poczuł się tak, jak musiała się czuć Kaira. Kaira wpatrzona w starca jak w obraz i gotowa oddać życie za jego teorię. Finna wpatrzony w starca jak w obraz i gotowy oddać życie za jego sprawę. Wystraszyło go to podobieństwo, choć teraz, gdy lęk się rozwiął, wspomnienie osobliwego wrażenia sprawiało mu niejaką przyjemność.

Gurleen odpowiedział smętnym uśmiechem, w którym wciąż widać było poczucie winy.

- Może i jestem szalony. Może nie da się połączyć światów, może to tylko rojenia starzejącego się, zdesperowanego idealisty. Sądzisz, że o tym nie myślałem? Myślę o tym każdej nocy. Ale tak czy inaczej zamierzam zaryzykować, a ty zrobisz, co zechcesz. Umówmy się więc, że przyszłość rozsądzi, kto z nas ma rację. A na razie chodźmy się napić na zgodę. I możesz mówić mi po imieniu. Nikt, kto ze mną pije, nie będzie tytułował mnie panem.

Gdy Finnen szedł za Gurleemem w stronę drzwi, coś jeszcze przyszło mu do głowy.

- Mówił pan... mówiłeś wcześniej, że ktoś próbował odebrać ci osobowość i że to nie była policja, tylko czyjaś prywatna straż, i że masz pewne podejrzenia, kto za tym stał.

- Mam, a co?

- No więc? - Kropla wosku z płonącej świecy spadła na dłoń Finna. Chłopak wzdrygnął się lekko.

Gurleen wzruszył ramionami, a długi, szczupły cień powtórzył jego gest.

- Brin Issa, któżby inny? Nie chciałem mówić tego przy Kairze, dość się już nacierpiała z powodu ojca.

- Czemu Issa miałby coś takiego robić?

- Pytasz, czemu Issa chciał zlikwidować człowieka, który może zniszczyć jego przyszłość? - W śmiechu Gurleena nie było wesołości. - Daj spokój. Issa wierzy w Przebudzenie i, co więcej, wierzy, że będzie jednym z tych, którym się uda. A jeśli ja połączę światy, to Przebudzenie nie nastąpi. Z jego punktu widzenia to rachunek strat i zysków, prosty jak dwa plus dwa. Poparcie dla naszego planu możemy znaleźć wyłącznie wśród biednych, bo oni najbardziej się boją że zostaną z tyłu. Bogaci, nawet jeśli czasem mają wątpliwości, czy ich talenty są wy starczające, zawsze będą woleli wierzyć w Przebudzenie i liczyć, że to właśnie oni je osiągną. A Issa nawet nie ma wątpliwości.

- Spotkałem go i rzeczywiście wyglądał na cholernie pewnego siebie. - Przytakując gorliwie, Finnen pragnął zmasać wspomnienie własnej naiwności, kiedy rozmawiał z ojcem

Kairy.

Gurleen otworzył usta i zaraz je zamknął.

- Jest coś jeszcze? - zapytał Finnen. Przechodzili właśnie obok auli, zniżył więc głos, by nie pobudzić śpiących.

- Widzisz - starzec również szeptał - Issa twierdzi, że ma stuprocentową pewność, iż jego geny są właściwe i to dzięki nim właśnie osiągnie Przebudzenie. Rozumiesz? Nie nadzieję, lecz pewność. Nie mam pojęcia, skąd mu się to wzięło, ale to czyni z niego wyjątkowo groźnego przeciwnika.

- A te wszystkie genozmiany, które przechodzi? Nie boi się, że straci podczas nich swoją wyjątkowość?

Weszli do małej salki, być może niegdyś służącej jako składzik pomocy naukowych. Gurleen sięgnął do wnętrza szafki i wyjął dwie zakurzone butelki wina.

- Issa twierdzi też, że wie, co jest w nim wyjątkowego, i że zmiany tego nie tykają. - Napełnił kieliszki, które uprzednio przetaił rękawem. Po tym zabiegu szkło wcale nie wyglądało na czystsze, lecz Gurleen wydawał się usatysfakcjonowany. - Może to ta jego złośliwość.

Znacznie później, w innych okolicznościach, Finnen przypomniał sobie tę rozmowę i zrozumiał jej znaczenie. Jednak nie teraz - w tej chwili po prostu wziął kieliszek i uniósł go w geście toastu.

## 6

*Jeszcze chwilka, już kończymy...*

Gdy głos rozległ się pod czaszką Finnena, w pierwszej chwili chłopak wziął go za jeszcze jedno wspomnienie, bo obrazy z przeszłości wciąż przepływały przez jego umysł.

„Pamiętasz, jak nurkowaliśmy nocą w stawie?”

„Pamiętasz, jak planowaliśmy wyjechać z miasta pustym wagonikiem Kolejki?”

Każdy kolejny obraz był bardziej wyblakły i budził mniej intensywne emocje. Finnen czuł, jak zewsząd napiera na niego lęk, jak gęstniejąca woda lada moment może zmiażdżyć mu

żebra i wdrzeć się do wnętrza, gdzie sztuczny chemiczny spokój z każdą sekundą stawał się coraz bardziej kruchy.

Nie wytrzymam, pomyślał.

*Oczywiście, że wytrzymasz, odparł ten sam głos pod czaszką. Wszyscy zawsze luźnymyją. Umiera się później, podczas Skoku.*

## 7

Pantalekis stanął przy budce z plackami i na brudnej dłoni wyciągnął monetę, tę samą, która pokazując raz po raz awers, przyprowadziła go do tego świata. Na twarz przywołał uśmiech i spróbował opanować drżenie. Nie bardzo mu wyszło, bo wciąż jeszcze miał gorączkę, a pusty żołądek skurczył się do rozmiarów łupinki kasztana. W dodatku ubranie, które Daniel jeszcze niedawno uważał za całkiem porządne, teraz - w tym czystym, lśniącym świecie - sprawiało wrażenie łachmanów. Nawet najsolidniejszy element jego stroju, czyli skórzane buty, wyglądały, jakby odziedziczył je po dziadku.

Daniel czuł, że ludzie się na niego gapią. Starał się więc nie rozglądać na boki, tylko skupił wzrok na potężnie zbudowanym sprzedawcy, który smażył placki, przewracając je z wprawą godną sztukmistrza, by potem wielkimi łapskami zwinąć płat ciasta i wypełnić go zgodnie z życzeniami klienta masą miodowo-orzechową, cząstkami kandyzowanych pomarańczy lub czymś, co według Daniela wyglądało jak siekane mięso z rodzynkami. Mimo chłodu mężczyzna nie nosił koszuli; pod jego skórą napinały się węzły mięśni, a na nagim torsie połykiwał pot zmieszany z kroplami gorącego tłuszczu, który tryskał z patelni i pozostawiał wzór czerwonych oparzeń niczym osobliwy tatuaż. Niektórzy klienci tylko kupowali, inni - zanim odebrali zamówiony placek - opierali łokcie na ladzie, po czym siłowali się ze sprzedawcą na ręce. Ten ostatni zawsze wygrywał, kwitując każdy pojedynek wybuchem radosnego śmiechu.

- Proszę... - Daniel nie wiedział, jak zwrócić na siebie uwagę,

wydukał więc jedno z nielicznych słów, jakie znał w miejscowym języku. Woń tłuszczu i ciepłego ciasta sprawiały, że usta miał pełne śliny.

Sprzedawca przerwał mieszanie masy miodowo-orzechowej, odwrócił się i powiedział coś niezrozumiałego. Daniel, uznając, że tamten pyta „Czego pan sobie życzy?“, palcem pokazał miskę z siekanym mięsem, po czym uniósł kciuk, zaznaczając, że placek ma być jeden. Zjadłby co prawda więcej, nie był jednak pewien, ile jest warta jego moneta.

Umięśniony już miał rzucić na patelnię kolejny płat surowego ciasta, coś jednak tknęło go w ostatniej chwili. Szczeknął w stronę Daniela - tak właśnie to zabrzmiało: krótki, ostry dźwięk, jak szczeknięcie psa - po czym widząc, że Pantalekis najwyraźniej nie rozumie, wyciągnął rękę i wziął monetę.

Na twarzy sprzedawcy odmalował się wyraz pogardy i satysfakcji jednocześnie. Ścisnął monetę w pięści, przybierając postawę pełną wystudiowanego oburzenia, po czym rozejrzał się dyskretnie, czy ma wystarczającą publiczność. Miał. Pantalekis, pod którym właśnie ugięły się kolana, wyczuwał za plecami kilka osób. Ich oddechy łaskotały go w kark, na granicy pola widzenia błyskały ciekawskie spojrzenia, ktoś chichotał, ktoś pytał o coś szeptem... Wszystko to docierało do Daniela stłumione, jak przez grubą zasłonę. Kręciło mu się w głowie, miał mdłości, a jednocześnie był tak głodny, że poczuł przypływ desperackiej odwagi.

- Co ci się, kurwa, nie podoba? - warknął, niepomny, że obiecał sobie nie używać ojczystego języka. - Moneta jak moneta. Za mało? To daj połowę...

Sprzedawca nie wyglądał już na usatysfakcjonowanego, teraz na jego twarzy przeważało zdumienie. Wolnym ruchem położył na ladzie monetę Pantalekisa, a potem sięgnął do koszyka, w którym trzymał drobne, i wyjął drugą identyczną.

Niemal identyczną.

Daniel patrzył na dwa miedziane krążki, jeden lśniący, a drugi zmatowiały, i czuł, jak przytłacza go bezmiar jego własnej głupoty. Jasne, że tak. Skoro w tym świecie istniało wiele różnych rzeczywistości, w których każda rzecz miała swoją bardziej lub

mniej zniszczoną kopię, to oczywiste było, że duplikaty monet nie mogą mieć takiej samej wartości jak pierwowzory.

Jakim cudem nie przyszło mu to do głowy?

Sprzedawca znów szczechnął (Daniel wciąż uważał, że miejscowy język brzmi jak odgłos kamyków sypanych na metalową tacę, jednak ten mężczyzna mówił tak, że przypominało to basowe ujadanie wielkiego psa), po czym wyciągnął rękę i spróbował chwycić Pantalekisa za ramię. Tylko spróbował, jego dłoń ześliznęła się bowiem po materiale kurtki, gdy Daniel gwałtownie szarpnął się w tył. Zastygł w osobliwej pozycji, na w pół leżąc, podtrzymywany przez tłum, który napierał na jego plecy, by zaraz potem stracić równowagę, gdy ludzie za nim się rozstąpili.

Ktoś coś krzyczał, ktoś jeszcze inny wyciągał po niego ręce, lecz ogarnięty paniką Daniel nie tracił czasu. Poderwał się, roztrzęcając tych, którzy próbowali zastąpić mu drogę, i pomknął w dół schodów.

Zatrzymał się dopiero na jednym z mniejszych placów, przy fontannie z rzeźbą nagiej dziewczyny tańczącej wśród węży. Znał to miejsce, oczywiście, że znał, tak jak całe miasto, choć jego pamięć bezustannie podsuwała mu inne wersje tych samych scenografii - nie tak czyste, nie tak... doskonałe. Poczekał, aż jego oddech się uspokoi, i zaczerpnął w dłoń wody. Przetarł mokrą od potu twarz, napił się. Był spragniony, a ponadto ciężar płynu w żołądku pozwolił na chwilę oszukać głód. Pantalekis, choć wciąż czuł lekkie zawroty głowy, mógł wreszcie myśleć nieco jaśniej.

Postanowił, że jeśli do zmroku nie wpadnie na żaden rozsądny pomysł, zrobi to, co zamierzał już wcześniej. Po prostu stanie na środku placu i zacznie krzyczeć, zaczepiać ludzi albo rozbije parę latarni. Agresywnym i bełkoczącym coś w obcym języku człowiekiem na pewno ktoś się zajmie. Mniejsza z tym, czy zabiorą go do miejscowego odpowiednika domu wariatów, aresztu czy izby wytrzeźwień - ważne, że będzie miał miejsce do spania, a prędzej czy później z pewnością dostanie też jedzenie. Może nawet dadzą mu czyste ubranie i pozwolą wziąć kąpiel. Wtedy Pantalekis złoży swój los w ręce innych. Niech oni się

martwią, co z nim począć. Było to najprostsze, najbardziej oczywiste rozwiązanie.

Powinienem dać się złapać przy tej cholernej budce z plackami, pomyślał. Miałbym to już za sobą.

A jednak nie potrafił zrobić tego ostatniego kroku. Wszystko w nim wzdragało się na myśl o cichych pokojach, w których ściany obite są białymi materacami, o różnokolorowych, ale zawsze jednakowo gorzkich pigułek i strzykawkach z przezroczystym płynem „na uspokojenie”. Być może miejscowi domyślą się, kim jest Daniel, i spróbują się z nim porozumieć, by potem mu pomóc, lecz możliwe też, że uznają go za schizofrenika i Pantalekis spędzi resztę życia w obcym świecie, śliniąc się do pielęgniarek, które będą przynosić mu supę. A to był bardziej optymistyczny scenariusz, istniało bowiem także zagrożenie, że wariatów traktuje się tu elektrowstrząsami lub chirurgicznym nożem.

Daniel zastanowił się przelotnie, czy nie wrócić do zniszczonych rzeczywistości, by w nich poszukać jedzenia. Niechby i było zgniłe, teraz zjadłby cokolwiek. Poza tym tam ludzie sami wtykali mu w rękę żywność, gdy jej potrzebował, i nie żądali niczego w zamian. Tutaj to nie działało, incydent ze sprzedawcą placków świadczył o tym nader dobitnie. Jednak Daniel już próbował wrócić, dzisiaj rano, gdy głód zaczął być dokuczliwy, lecz na drodze do wehikułów czasu stanął mu zwalisty mężczyzna o krągłej twarzy, który mówił coś, jednocześnie podsuwając Danielowi pod nos plik papierów. Najwyraźniej wydostanie się z umierających światów było stosunkowo proste, lecz powrót wymagał wypełnienia jakichś formularzy.

Może mógłbym ominąć tego typu, myślał Daniel. Albo nabażrać mu na tych kartkach cokolwiek. Na przykład parę chińskich ideogramów. Znał co prawda tylko te oznaczające liczby, ale co za różnica? Albo wierszyk o Zoe, która wszystkim dawała. Jeśli facet nie spojrzy, tym lepiej dla Daniela, a jeśli popatrzy i zrobi awanturę, to też dobrze.

Nie chciało mu się jednak wstać. Uwolniony na chwilę od rozpaczliwych nawoływań żołądka, Pantalekis poczuł senność. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że całą zeszłą noc i znaczną część

dzisiejszego dnia spędził, łażąc po mieście.

Spod na wpół przymkniętych powiek patrzył, jak czerwień nieba przechodzi w fiolet. Dni były tu krótkie i mroczne, skąpane w krwawym blasku słońca, za to noce długie i zaskakująco jasne; wystarczyło, że na niebie świeciły dwa z trzech księżyców. 1 najwyraźniej część mieszkańców wołała właśnie noc, z nastaniem zmroku place i schody były bowiem tak samo gwarne, jak za dnia, a kawiarnie zatłoczone. Chodząc po mieście, nawet tuż przed świtem, Pantalekis widział otwarte lokale, gdzie w kłębach słodkiego dymu ludzie dyskutowali, kłócili się albo omawiali sekrety, głowa przy głowie, szept do szeptu i uśmiech do uśmiechu. Młodzi mężczyźni z pierścieniami na palcach, w spodniach z błyszczących materiałów i w luźnych, wielobarwnych koszulach, na które zakładali ciemne, krótkie kamizelki. Dziewczęta z gałązkami kwiatów wplecionymi we włosy i kobiety o wymyślnie upiętych fryzurach - albo przeciwnie, z ogolonymi do skóry czaszkami - ubrane w długie do kostek suknie, które przy całej swej falbaniastej i koronkowej staroświeckości potrafiły nieoczekiwanie zaskoczyć odważnym rozcięciem bądź dekoltem tak głębokim, że widać było umalowane szminką sutki.

Niektórzy z tych ludzi zaskakiwali także przeróżnymi deformacjami. Pantalekis widział już sześciopalczaste dłonie, cztery ramiona na jednym torsie, kilkoro karłów - od krótkonogich i niezgrabnych po śliczne liliputki wyglądające jak baśniowe elfy, a także grupę mężczyzn o osobliwych, jakby zwierzęcych rysach twarzy. Albo trzecie oko niespodziewanie otwierające się pośrodku czoła dziecka, które matka niosła zawinięte w chustę.

Widział również oczodoły wypełnione drogimi kamieniami, miejsca po obciętych uszach odsłonięte przez uniesione spinkami włosy oraz szczątek języka w ustach pewnego mężczyzny, który wybuchnął gulgoczącym śmiechem. I protezy zastępujące nogi czy ręce - nie zwyczajne, takie, które lepiej lub gorzej udają naturalną kończynę, lecz pozłacane, posrebrzane i grawerowane, jakby to były osobliwe dzieła sztuki. Co więcej, właściciele owych protez nie chowali ich wstydliwie pod ubraniami, lecz wystawiali je na widok publiczny, tak aby



wszyscy mogli podziwiać zmyślne mechanizmy.

Podobne anomalie Pantalekis widział już wcześniej, w umierających światach, lecz dopiero tutaj, w otoczeniu ludzi, którzy w większości byli bardzo ładni i bardzo młodzi, stawały się rażące. Sąsiadujące ze szpetotą piękno z początku sprawiało, że Daniel, krążąc po mieście, na zmianę odczuwał to zachwyt, to znów obrzydzenie, lecz wkrótce przywykł i zobojętniał.

Zastanowił się przelotnie nad wiekiem tubylców. Czy ich wygląd był efektem środków opóźniających starzenie? Na Nowych Ziemiach również znano kilka różnych odmian anty-agapików, jednak tam prawdziwy wiek stosujących je dało się mimo wszystko rozpoznać. Sztucznie odmładzani mieli inny wyraz oczu, inaczej też się poruszali. Tutaj Pantalekis niczego takiego nie dostrzegał. Wyglądało na to, że większość mieszkańców nie skończyła jeszcze trzydziestki. Czy starszych siłą umieszczano w mniej lub bardziej zniszczonych światach, żeby tam umarli?

To zaniepokoiło Pantalekisa, postanowił jednak chwilowo o tym nie myśleć. Teraz najważniejsze było znalezienie jedzenia.

Rozważał dostępne opcje, a potem znów zapadł w senne odrętwienie. Ożywał się jedynie, gdy któryś z przechodniów przystawał i zaczynał mu się z ciekawością przyglądać. Ludzie gapili się na twarz Pantalekisa, której w umierającym świecie nie zdołał domyć lodowatą wodą, na półksiężycy brudu za paznokciami, tłuste włosy i przepocone, wystrzępione w wielu miejscach ubranie. Jednak największe zdumienie - ku niejakej konsternacji Daniela - budziły jego skórzane buty. Ktokolwiek na nie zerknął, zamierał w bezruchu z głupio otwartymi ustami, a Pantalekis unosił wtedy wzrok i spoglądał wyzywająco.

No dalej, mówiły jego oczy. Wezwijcie policję czy kogoś, kto odpowiada u was za ludzi, którzy noszą coś takiego. Byle szybciej, bo jestem kurewsko głodny.

Jednak wszyscy gapie prędzej czy później odchodzili, by zająć się swoimi sprawami.

Słońce właśnie zachodziło. Ostatnie, krwawe refleksy znaczyły stalową konstrukcję spowijającą budynek, na który bezmyślnie patrzył Pantalekis, światło odbiło się w gigantycznej płataninie

rur i rurek, a Daniel wreszcie zrozumiał, co widzi, ponieważ na krótką chwilę bezsensowny pozornie wzór ożył wraz z wędrującym słońcem i ułożył się w obraz kobiety zmieniającej się w wilka.

Mrok gęstniał, przechodząc od czerwonawej przytulności hotelowego baru po miękką aksamit czerni. Wokół placu i wzdłuż schodów zapaliły się gazowe latarnie. Każda była inna, co Pantalekis zauważył dopiero teraz. Szkło uformowane w kształt kwiatów i złożonych dłoni, głowy fantastycznych stworzeń, ryby, żaglowce oraz owady, których pękate tułowia promieniowały blaskiem, a przezroczyste odnoża wydawały się delikatne jak dziecięce włosy. Na cembrowinę fontanny wskoczyła dziewczynka ubrana w krótką kurteczkę, spódniczkę tak mikroskopijną, że ledwo sięgała uda, i wystające spod niej pasiaste gatki. Dziecko stało nieruchomo z wyciągniętymi do góry rękami, a potem przechyliło się w bok: jedna dłoń na cembrowinie, druga też, stopy celują w niebo, spódniczka opada aż do piersi. Wytrzymała w takiej pozycji zdumiewająco długo, skupiona niczym uczennica, która odrabia zadanie domowe. Później jej ciało zaczęło się składać - właśnie tak odebrał to Daniel. Kolana zgięły się pod osobliwymi kątami, ramiona też, tak że dziecko przypominało postawioną do góry nogami, połamaną lalkę. Jakimś cudem wciąż utrzymywała się na dłoniach

- najpierw obu, później już tylko jednej, gdyż druga oderwała się od cembrowiny i chwyciła stopę, a dziewczynka utworzyła z ciała idealny okrąg. Twarz małej była mokra od potu, ale promieniała zadowoleniem.

Przechodzący mężczyzna rzucił dziewczynce czerwoną różę, a ona ze śmiechem, w jednym podskoku, stanęła znów na nogi, podniosła kwiat i wpięła sobie we włosy.

Na placu zjawiała się grupa połykaczy ognia, których oczy i czoła zasłaniały zwierzęce maski. Tańczyli do wtóru granej na bębnach muzyki, a Pantalekis spoglądał na nich z tą odrobiną ciekawości, jakiej nie zdołał zabić głód. Potem na schodach dostrzegł anioła.

To właśnie była jego pierwsza myśl, choć przecież zdążył się

już przekonać, że w tym świecie aniołów nie ma. Skojarzenie jednak było oczywiste. Postać przerastająca o głowę wszystkie pozostałe, aureola jasnych włosów, a przede wszystkim złociste skrzydła, które nieznamy rozpościerał, schodząc po stopniach.

Chwilę później Daniel przekonał się, dlaczego anioł chodzi, a nie fruwa. Skrzydła tworzyły bowiem setki, może nawet tysiące pierścionków zawieszonych na nitkach i przytwierdzonych do drąga, który mężczyzna niósł na ramionach. Złocista kurtyna poruszała się w rytm kroków, chwytając blask mijanych latarni, a kiedy jasnowłosey dotarł na plac, zdjął z pleców całą konstrukcję, oparł ją na stojaku i zaczął głośno zachwalać towar - przynajmniej Pantalekis domyślił się, że właśnie to słyszy.

Przenośny sklep jubilerski, niech mnie szlag, pomyślał.

Nawoływania złotnika mieszały się z okrzykami młodziutkiego sprzedawcy ciastek, który prócz podawania łakoci robił też z papieru figurki ptaków. Niektóre wręczał pięknym kobietom, inne rzucał w niebo, tak że chwilę trzepotały w podmuchach wiatru, by potem spaść na ziemię. Cały plac już był nimi usłany, a do starych ciągle dołączały nowe egzemplarze, w miarę jak chłopak miał coraz mniej klientów i więcej wolnego czasu. Wreszcie, posmutniały, zdecydował się zamknąć interes. Niesprzedane ciastka przełożył do kosza, całe stoisko zaś zwinął w zgrabny tłu- moczek, który zarzucił sobie na plecy. Ruszył w górę schodów, a Pantalekis postanowił iść za nim. Nie zastanawiał się, dlaczego to robi. To nie była świadoma decyzja, raczej głos instynktu, który rzadko Daniela zawodził.

Chłopak wspinał się po schodach, posapując i od czasu do czasu przystając, by odpocząć. Pantalekis trzymał się tuż za nim; mógł sobie na to pozwolić, bo w tłumie przewalającym się w dół i w górę konstrukcji dzieciak i tak nie mógł się zorientować, że ktoś go śledzi. Mijali portrecistów przy sztalugach, żonglerów, muzyków i wywrzaskujących coś dziwaków, a po stopniach tam i z powrotem biegały mechaniczne zwierzęta, w których brzuchach podróżowali ludzie. Za każdym razem, gdy taki twór się zbliżał, Daniel sądził, że tym razem kogoś strątuje, lecz nie - miejscowi,

najwyraźniej nauczeni wieloletnim doświadczeniem, zawsze w porę uskakiwali. Pantalekis, wściekle głodny, skupiony na tym, żeby jednocześnie unikać kolizji i nie tracić chłopaka z oczu, nie miał sił ani ochoty na myślenie, niemniej do jego świadomości przebił się wreszcie pewien istotny fakt.

W mieście wyczuwało się atmosferę nerwowego podniecenia. Ludzie śmiali się, maskując lęk, ich oczy błyszczały alkoholowo-narkotyczną gorączką, pary obejmowały się i całowały, jakby jutro miała wybuchnąć wojna. Pantalekis to wreszcie dostrzegł, a potem zacisnął usta i nakazał samemu sobie o tym nie myśleć. Cokolwiek działo się w tym miejscu, on i tak nie mógł nic na to poradzić. Dla niego najważniejsze było zdobycie jedzenia.

Chłopak z koszem skręcił i po chwili znaleźli się na kolejnych schodach, tym razem ruchomych. W szumie gładko pracującego mechanizmu wjechali na górę i tu już Pantalekis postanowił poczekać, aż dzieciak trochę się oddali. Wokół było mniej ludzi, a latarnie, zdecydowanie nie tak wymyślne jak te na placu, stały w większych odstępach. Chłopak niestrudzenie piał się w górę; każde następne schody były bardziej puste, węższe i kręte, aż wreszcie zostali sami - młodzieniec dźwigający kosz oraz idący za nim mężczyzna.

Instykt podpowiadał Pantalekisowi, że taka sytuacja nie potrwa długo. Nawet tutaj, w miejscu, które wyglądało na jedną z uboższych dzielnic, prędzej czy później ktoś się pojawi. Przyspieszył, przeskakując po kilka stopni naraz. Zaalarmowany dźwiękiem kroków chłopak odwrócił się. Wyglądał na zdziwionego, lecz niewystraszonego. Postawił kosz na jednym ze stopni i otworzył usta, jakby chciał o coś zapytać.

Daniel nie dał mu szansy. Zebrawszy wszystkie siły, jakie mu zostały, uderzył dzieciaka pięścią w twarz, a kiedy tamten upadł, dla pewności jeszcze trzasnął jego głową o kant schodów. Kałuża czarnej w półmroku krwi dopełzała do butów Pantalekisa, gdy przeszukiwał kieszenie chłopaka. Schował sakiewkę z pieniędzmi, potem porwał kosz i pomknął w dół. Znalazł wąską bramę, kucnął w cieniu pod ścianą i uniósł wiklinowe wieczko. Pierwsze ciastko połknął w kilku kęsach

niemal bez gryzienia, kolejne smakował już wolno, uważając, czy jego żołądek nie zacznie się buntować. Na szczęście nie były bardzo słodkie, raczej lekko kwaskowate i owocowe.

Daniel wolałby co prawda mięso, ale dobre i to.

Nasycony, rozejrzył się uważniej. W wąskiej bramie zaczynały się schody, które wiodły do drzwi mieszkania.

Uchylonych drzwi.

Daniel widział wyraźnie szparę, przez którą sączył się księżycowy blask. Srebrzysty i bardzo... zachęcający.

Ktoś z miejscowych cudaków okazał się na tyle roztrzepany, że wyszedł, zapomniawszy zamknąć mieszkanie.

Mógłby się tam wśliznąć. Znaleźć pieniądze i czyste ubranie. Albo jeszcze coś do jedzenia, na przykład mięso, na które wciąż miał ochotę. Może wziąć kąpiel i przespać się, zanim roztargniony właściciel wróci. A nawet jeśli ów człowiek zjawi się wcześniej, to co z tego? W najgorszym wypadku wszystko skończy się pobylem na tutejszym odpowiedniku posterunku, na co Pantalekis był przygotowany.

Dla porządku zapytał jeszcze sam siebie, czy to możliwe, żeby miał tyle szczęścia - najpierw ciastka, potem puste mieszkanie - ale odpowiedź brzmiała: zdecydowanie tak. W gruncie rzeczy po trwającym niemal dobę pechu Daniel uważał, że w pełni na coś takiego zasłużył.

Wstał, wszedł po schodach i ostrożnie pchnął drzwi. Rozsunęły się ze zgrzytem.

- Jest tu ktoś? - zawołał dla pewności. Ktoś, kto mógłby ewentualnie znajdować się w mieszkaniu, oczywiście nie zrozumiałby pytania, ale powinien zareagować na głos.

W mieszkaniu panowała cisza. Rozedrgane księżycowe światło biło z krągłych szyb w suficie i padało na srebrno-złotą szachownicę ścian korytarza. Złote pola ozdobione były kwiatami z ametystów, a srebrne - pojedynczymi szmaragdami. Jeszcze nie tak dawno Daniel natychmiast rzuciłby się odrywać klejnoty, lecz skwitował je jedynie uśmiechem pełnym rozgoryczenia.

Przyglądając się tańczącym na ścianach refleksom, można by ulec złudzeniu, że korytarz znajduje się pod wodą.

- Jest tu ktoś? - powtórzył Pantalekis. Miał już niemal pewność, że nikt mu nie odpowie.

Mieszkanie było puste, i to w dodatku już od jakiegoś czasu, o czym Daniel przekonał się, gdy wszedł do jednego z pokoi i przesunął palcem po szklanym stoliku. Błat pokrywała cienka warstwa kurzu. Mężczyzna sprawdził jeszcze dla pewności inne pomieszczenia. Kurz był wszędzie, a w kuchni stał ponadto garnek, w którym na resztkach nierozpoznawalnej już potrawy bujnie rosła pleśń. Ktokolwiek tu mieszkał, wyszedł z domu przed kilkoma tygodniami i już nie wrócił.

Pantalekis dotknął ścian - promieniowały ciepłem, a więc system ogrzewania działał. Mimo to temperatura była ledwo znośna. Jeśli chce tu zostać, będę musiał rozpałić w piecu, pomyślał Daniel. I trochę posprzątać.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, nagle znacznie mniej zmęczony i senny. To było to. Jego kolejna wygrana na loterii życia. Jasne, że tu zostanie. Jeśli szczęście go nie opuści, być może nawet na dłuższy czas.

Znalazł łazienkę. Wyglądała podobnie do tych, które widywał w zniszczonych światach, choć oczywiście wszystko tu było w znacznie lepszym stanie. Ściany ośmiokątne pomieszczenia ozdobiono mozaiką która przedstawiała grupę dziewcząt bawiących się nocą w lesie. Szafki udawały pnie drzew, a lustra - wschodzące księżycy. Pośrodku łazienki znajdowało się wgłębienie w posadzce, okrągła niecka, która - kiedy nalało się do niej wody - wyglądała jak małe jezioro. Z braku lepszego słowa Pantalekis nazywał te zagłębienia wannami. Widywał je już, nawet w mieszkaniach na wyższych piętrach, co swoją drogą było niezbyt rozsądnym rozwiązaniem architektonicznym, ale po tym świecie dawno już przestał spodziewać się rozsądku.

Pochylił się i przesunął wajchę przy jednym z kranów. Niecka zaczęła się napełniać, kłęby pary zasnuły mgłą mozaikowe twarze dziewcząt i lustrzane księżycy.

Daniel znalazł w jednej z szafek kilka buteleczek z kolorowymi proszkami i płynami, odłożył te, które za bardzo śmierdziały detergentami, a resztę wrzucił do wody. Potem rozebrał się i z

ulgą zanurzył w gorącej kąpieli.

Zmywając z siebie pokłady wielotygodniowego brudu, wrócił do podstawowego pytania, tego, które spychał w głąb świadomości, gdy był głodny, chory i zziębnięty.

Gdzie, u diabła, się znalazł? Co to jest za świat?

Teoria pierwsza brzmiała tak, że to miasto zbudowane i zamieszkane przez Obcych. Nie było to tak zupełnie niemożliwe. Nowi Ziemianie od czasu do czasu znajdowali na planetach resztki pozaludzkich cywilizacji. Zawsze jednak były to ruiny, żaden człowiek nigdy nie spotkał przedstawiciela innego inteligentnego gatunku. Uczeni twierdzili, że kultury te wymarły dawno temu, w czasach gdy po Ziemi biegały dinozaury. Po Obcych pozostało tak niewiele, że do dziś nie wiadomo było, jak naprawdę wyglądali - większość specjalistów jednak skłaniała się ku hipotezie, że nie byli humanoidami. W tym miejscu pierwsza, najprostsza teoria Pantalekisa brała w łeb, bo otaczające go istoty, pomimo nietypowych mutacji oraz dziwacznych upodobań estetycznych, bardzo ludzi przypominały.

Pantalekis wypuścił brudną wodę i nalał sobie nowej, czystej. Wyciągnął się wygodnie, całym ciałem chłonąc ciepło.

Teoria druga wyglądała tak, że trafił do zagubionej ziemskiej kolonii. To także było możliwe. W czasach początków podboju kosmosu z Ziemi wyruszały statki wiozące na swych pokładach tysiące mężczyzn i kobiet. Mniejszości narodowe, sekty religijne albo po prostu ludzi przekonanych, że na planecie, na której wreszcie będą rządzić się po swojemu, zbudują Utopię. Każdy, kto miał wystarczającą ilość pieniędzy, mógł zorganizować taką wyprawę. A wśród tych, którzy zdecydowali się porzucić Ziemię, mnóstwo było osób określanych powszechnie jako „jednostki nieprzystosowane społecznie”. Marzyciele wierzący, że w nowym świecie będą żyć w harmonii z naturą, lecz także psychopaci, którym roily się wielbiące ich tłumy poddanych. Z częścią tych społeczeństw stracono później kontakt - czasem zresztą na wyraźne życzenie świeżo upieczonych kolonistów.

Czy ludzie z tego świata byli potomkami takich właśnie osób?

I czy możliwe, że ziemską kulturą przez kilkaset lat ewoluowała w stronę czegoś aż tak dziwnego?

Być może, odpowiedział sobie Pantalekis, leniwie ruszając w wodzie palcami stóp. Niepokoiło go co prawda to, że mowa tubylców z niczym mu się nie kojarzyła - a przecież powinna, bo Daniel był osłuchany z przeszło setką narzeczy Nowych Ziemi, język zaś nie zmieniłby się przez kilkaset lat aż tak bardzo, by choć w małym stopniu nie przypominać swego krewniaka. Możliwe jednak, że miejscowi byli potomkami ludzi mówiących w jakimś mało rozpowszechnionym, a teraz już zupełnie wymarłym dialekcie. Mutacje takie jak dodatkowe stawy czy cztery ręce również można było zrozumieć. Na Nowych Ziemiach próbowano wprowadzać podobne usprawnienia, ostatecznie jednak porzucono je jako nazbyt obciążające organizm.

Ale nie, do licha, nie. Daniel usiadł w wodzie. Mógł uwierzyć we wszystko - że koloniści wylądowali tu przed kilkuset laty, potem zaś posłali w diabły całą swoją nowoczesną broń i zajęli się wykuwaniem mieczy. A jeszcze później wymyślili, że od tej pory wszystko, co zrobią, nawet prosty mechanizm, będzie cholerną Sztuką. Jasne, czemu nie. Za nic jednak nie potrafił przyjąć do wiadomości, że ludzie zrezygnowali z najstarszego i najprostszego wynalazku, jakim jest koło, na rzecz biegających na czterech łapach mechanicznych stworów.

Coś takiego po prostu nie mieściło się w głowie.

Daniel wypuścił wodę i sięgnął po ręcznik. Wycierał się szybko, dygocząc z chłodu.

Istniała jeszcze trzecia teoria.

Że tak naprawdę to miasto zbudowali od dawna nieżyjący Obcy, a ludzie przybyli tu, zajęli opuszczone budynki i...

Ico?

I w jakiś sposób ulegli wpływom Obcych, podpowiedział mu cichutki głosik w tyle głowy. Zaczęli zachowywać się dziwnie, jednym słowem: zwariowali.

- Kurwa mać - wymamrotał Pantalekis, bo ta koncepcja wyjątkowo mu się nie podobała.

Człapiąc bosymi stopami i zostawiając na podłodze wilgotne



ślady, powędrował w stronę pokoju, który już wcześniej uznał za sypialnię. Tam zatrzymał się przed lustrem.

Jęknął.

Wyglądał okropnie. Żebra sterczały mu pod skórą jak u zagłodzonego psa, ręcznik zwisał na wystających biodrach. Oczy miał zapadnięte, wargi popękane i krwawiące, a skórę w wielu miejscach znaczyły czerwone plamy odmrożeń. I jego noga... Na widok sztywnego, gruzłowatego kolana i wykręconej stopy Daniel jak zawsze poczuł przypływ gorzkiej wściekłości. Pociemniało mu w oczach.

- Ktoś za to zapłaci. Jak własną matkę kocham, ktoś mi kiedyś za to zapłaci...

Pantalekis nie kochał matki i nie wiedział, od kogo miałby zapłaty zażądać, ale i tak zrobiło mu się trochę lepiej. Odetchnął i sięgnął do szafy.

Były tam same kobiece ciuszki, suknie, spódnice, halki i peniuary - dla połowy ubrań Daniel nie potrafił nawet znaleźć właściwej nazwy. Stropiony, otworzył drugą szafę, lecz tam znalazł wyłącznie koronkową bieliznę. Goły i coraz bardziej wściekły, przeszukał całe mieszkanie - nigdzie nie było spodni, na które liczył. Najwyraźniej w tym domu nigdy nie mieszkał mężczyzna.

Nieoczekiwanie złość mu przeszła i roześmiał się, rozbawiony tym drobnym przejawem pecha. Cóż, trudno. Nie miał zamiaru wkładać z powrotem śmierdzących ubrań, w których tu przybył. Zarechotał na myśl o właścicielce mieszkania, zastającej we własnej sypialni faceta w koronkach i różowych atłasach. No i co z tego? Jeśli Pantalekis wpadnie w łapy miejscowych stróżów prawa, i tak prawdopodobnie zostanie uznany za wariata, niezależnie od tego, w co będzie ubrany.

Wybrał najcieplejszą suknię, po czym wciągnął ją na gołe ciało, bo do włożenia bielizny nie mógł się zmusić. Potem zjadł resztę ciastek i wysypał na posadzkę w sypialni ukradzione monety. Było ich sporo, a zatem nawet jeśli miały niewielką wartość, i tak powinny wystarczyć, by kupić parę najpotrzebniejszych rzeczy.

Jedzenie.

Spodnie.

Może ciepłą kurtkę i parę porządnych butów.

Coś, czym można napalić w piecu, bo inaczej będzie musiał porąbać którąś z szafek.

Daniel podniósł przykrywający łóżko koc, wy trzepał go i ułożył się, zawijając aż po czubek brody. Było mu miękko, ciepło i wygodnie. Księżycowe światło trochę raziło, ale pomyślał, że potem się będzie zastanawiać, czy nie da się jakoś zasłonić tej cholernej szyby w suficie.

A jeśli pieniędzy zabraknie?

Wtedy zdobędę następne, odpowiedział sobie, zapadając powoli w sen.

Jestem przecież kurewsko wielkim szczęściarzem.

## 8

- Jak się czujesz?

Finnen otworzył oczy, gdy wilgotna szmatka dotknęła jego czoła. Nad nim pochylał się Urhel Jayha, człowiek, który kochał morze. Krążące wokół jego głowy świetliki wydobywały z głębokiego mroku zatroskaną twarz i podkreślały cienie pod oczami.

- Nie ruszaj się na razie - poprosił. - Nie masz nic przeciwko, żebym mówił ci po imieniu, prawda? Wydajesz się taki młody... Środek przeciwbólowy przestał już działać, a nie możesz dostać następnej dawki, bo podobno to opóźnia gojenie. Dam ci jednak coś na sen, za moment. Pomoże, bo dzięki temu prześpisz najgorsze chwile. Ze mną też tak było.

Chłopak chciał usiąść i zaraz z jękiem opadł na łóżko. Gdy poruszył głową, miał wrażenie, że ktoś zdiera mu z niej skórę.

- Mówiłem, żebyś leżał spokojnie. - Jayha zanurzył szmatkę w trzymanej na kolanach misce i ponownie przetarł czoło Finna. Chłód wody przynosił ulgę. - Naruszysz szwy. Chcesz się napić?

- Tak, proszę...

Jayha wstał, a świetliki podążyły za nim, rozjaśniając drogę.

Finnen nie był przyzwyczajony do tak gęstej ciemności. Łuki

okien były czarne, przesłona inoszyby zamknięta. Ani odrobiny księżycowego blasku. Jak tam, jak w przeszłości, pomyślał z nagłym przyływem lęku. Oddychał z coraz większym trudem. Mrok usiadł mu na piersi i dławił.

- To pierwsza tak pochmurna noc od wielu miesięcy - oznajmił Jayha, wracając z kubkiem wody. - Nie widać ani jednego księżycy, więc nie ma sensu odsłaniać inoszyby. - Usiadł, świetliki znów się ustabilizowały, tworząc złocistą aureolę wokół jego głowy. Twarz miał pełną współczucia, smutną i zmęczoną.

- Będę musiał trochę ci pomóc... Uwaga, zrobimy to ostrożnie.

Wsunął Finnenowi dłoń pod kark i pomógł unieść się do pozycji półsiedzącej. Potem przytknął mu kubek do warg. Każdy z tych ruchów był ostrożny, wielkie dłonie Jayhy potrafiły być delikatne jak u kobiety.

Chłopak zakrzuszył się.

- Dlaczego pan... Dlaczego pan się mną zajmuje? I czy...

- Pytasz, czy już jestem mordercą i czy przyszedłem cię zabić?

- W oczach Jayhy błysnęła odległa, wesoła iskierka. - Nie, moje zdolności jeszcze się nie ujawniły. Kilka razy dziennie jestem sprawdzany przez telepatę, a kiedy zacznę mieć mordercze myśli, natychmiast zostanę odizolowany i jak najszybciej wypuszczony na zewnątrz. Takie są tu zasady.

- Wiem... - Istotnie, Finnenowi ktoś coś podobnego mówił, gdy został przyjęty do wieży, ale chłopak pamiętał to jak przez mgłę. Myślał wtedy...

O Kairze, oczywiście. I o własnym nieszczęściu.

Napił się wody. Nagle cała sytuacja wydała mu się absurdalna. Przerazająca i zabawna jednocześnie. Teraz Jayha niańczy go jak matka, a gdy znajdą się poza wieżą, być może zechce go zabić. Może obaj będą chcieli się pozabijać, a te wielkie, zaskakująco delikatne ręce okażą się dłońmi mordercy.

Pamiętając, czym grozi każdy ruch, zdusił śmiech.

- A zajmuję się tobą - dodał Jayha, odstawiając kubek - bo o to poprosiłem. Wolałbyś może jedną ze Skadranek? Ja mam sporo czasu i nic do roboty, może oprócz rozmyślania, jak bardzo jestem nieszczęśliwy.

To mamy coś wspólnego, pomyślał Finnen, potem zaś - ponieważ grzeczność tego wymagała, i ponieważ miał już dość rozczulania się nad sobą - zapytał:

- Dlaczego jest pan nieszczęśliwy? Z powodu morza?

Jayha przytaknęła.

- Morze odeszło. - Rozpacz wykrzywiła jego twarz, zmieniając ją na kilka ulotnych chwil w tragiczną maskę. - Już nic nie pamiętam.

- Przykro mi... - szepnął chłopak, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Ale to było oczywiście za mało, o wiele za mało, by pomieścić wszystkie emocje. Współczucie dla człowieka, który okazał mu troskę. A przede wszystkim jego własny ból, wspomnienie zapachu farb oraz napierającej od wewnątrz potrzeby, by zacząć malować. I przekonanie, że jeśli teraz chwyci za pędzel, to wreszcie mu się uda, teraz, właśnie w tej chwili. Uchwycić coś ledwo uchwytnego, stworzyć dzieło, które wytrzyma próbę czasu. Tęsknił za wszystkimi swoimi obrazami - tymi, które namalował, i tymi, które dopiero miały powstać.

Nie rozplączę się, postanowił, zaciskając pięści. Bolało go gardło, w oczach wzbierały łzy. To głupie płakać z powodu utraconego talentu.

- Już dobrze. - Jayha ścisnął jego nadgarstek. - 1'rzyzwyczaisz się. Obaj się przyzwyczaimy. W końcu niektórzy ludzie przechodzą genozmiany po kilkanaście razy w życiu, prawda? - Finnen chciał skinąć głową, ale w ostatniej chwili zrezygnował. - A teraz dam ci coś na sen. Potrzebujesz odpoczynku.

Chłopak posłusznie przełknął podaną mu pastylkę. Zamknął oczy.

Wbrew temu, czego się spodziewał, nic mu się nie śniło.

## 9

Tej nocy półtorej godziny przed świtem chmury odsłoniły wreszcie dwa z trzech księżyców: Woźnicę i Wołu.

Lunapolis zalały fale różowawego i błękitnego światła, pod

którego wpływem otworzyły się kwiaty w nocnym ogrodzie Janadry. Odmieniec przyglądał im się z satysfakcją na pierwszym obliczu i sennym uśmiechem na drugim. Potem wezwał dwie służące, które - jak wszyscy mechaniczni w jego domu - miały bujne, kobiece kształty, choć zawierały w sobie osobowości zarówno męskie, jak i żeńskie. Pierwszej polecił podsycić płonący w trójnogach ogień - prawdziwy, nie świetlikowy, w ogrodzie było bowiem chłodno - drugiej nakazał przynieść olejek do masażu.

- A także wino oraz świeże owoce - dodał po chwili. - Spodziewam się gości.

Służącej nie zdziwiło, że jej pan oczekuje kogoś o tak późnej, czy może raczej wczesnej porze.

Gdy Zielona Jedenastka wróciła, Janadra zdjął koszulę i położył się na leżance w pawilonie. Ściany z cienkiego papieru, impregnowanego tak, by płomień nie uczynił im szkody, wpuszczały do wnętrza zimny blask księżyców, wypuszczały zaś ciepły odbłask ogni. Służąca założyła rękawiczki na swoje metalowe dłonie i ogrzała je nad trójnogiem, by nabrały temperatury ludzkiego ciała. Potem wylała na plecy Janadry odrobinę olejku i powolnymi, precyzyjnymi ruchami zaczęła masować.

Mężczyzna zamknął dwie pary oczu.

Niemal w tej samej chwili, gdy Jedenastka skończyła, w ogrodzie pojawili się pierwsi goście. Janadra włożył koszulę i gestem wskazał im miejsce przy stole.

- Witaj, Ankis. I ty, Issa. Częstujcie się. Mogę kazać przynieść ciastka i mięso, ale nie sądzę, żebyście o tej porze mieli na nie ochotę.

- Nie mamy. - Issa nalał sobie wina, po czym obejrzał się i w żartobliwym geście uniósł kielich. - Pogodnej nocy, Marouti. Ellono, jak ty urosłaś.

Dziewczyna, która przybyła wraz ze staroświecko ubranym, jasnowłosym mężczyzną, dygnęła niezgrabnie. Na jej twarzy malował się wyraz cierpienia.

- Uparła się, żeby przyjść ze mną. - Cichy śmiech świadczył, że Maroutiemu upór córki sprawił pewną przyjemność. - Nie

lubi zostawać w domu ze służącymi.

- Jeśli jesteś wystarczająco dorosła, żeby nie spać o tej porze, lo zasługujesz na odrobinę wina. - Issa nalał rubinowoczerwonego płynu, a gdy Ellona podeszła, żeby wziąć kieliszek, puścił go niespodziewanie i chwycił dziewczynę. Jedną ręką objął ją w pasie, drugą zaś przesunął po ciele od uda aż do piersi.

Krzyknęła cicho, podczas gdy Issa skrzywił się.

- Nie przesadzasz aby, Marouti? Ona ma pod suknią co najmniej pięć kilo żelastwa. Nie widzisz, jak biedactwo cierpi?

- Pogłaskał dziewczynę po policzku, a ona odpowiedziała oszołomionym uśmiechem.

Marouti zmarszczył brwi, lecz nim otworzył usta, Ankis zachichotał.

- Daruj sobie, Marouti. Issa tylko się z tobą drażni. Świetnie wie, że nie mamy innego wyjścia, i nic go nie obchodzi, czy ta dziewczyna cierpi, czy nie.

- To prawda? Drażnisz się ze mną?

- Oczywiście - mruknął Issa, nadal głaszcząc kciukiem miękkie, dziewczęce policzki. Ellona nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

- Ma wszystko, czego jej potrzeba - zapewnił Marouti z odrobiną zniecierpliwienia. - Środki uśmierzające ból, a także pancierz, który podtrzymuje rozwijające się ciało. Niestety... - zawahał się. - Ellono, idź, pobaw się w ogrodzie. Możesz wziąć ze sobą trochę owoców.

Dziewczyna oddaliła się posłusznie, a mężczyzna kontynuował:

- Ona nie najlepiej znosi przyspieszone dojrzewanie. Nie mówię o bólu, bo to jest normalne, ale jej psychika jest mocno chwiejna. Czasem Ellona zachowuje się jak dziecko, a czasem jak dorastająca panna. Ale pracujemy nad tym - zapewnił. - Jestem pewien, że w ciągu kilku tygodni uda mi się ustabilizować jej osobowość. Ellona zrobi, co do niej należy, możecie być tego pewni.

Z głębi ogrodu dobiegł okrzyk rozczarowanej dziewczyny:

- Te kwiaty nie są prawdziwe!

- Nie, kochanie. - Ankis, wciąż uśmiechając się szeroko,

podniósł głos, aby Ellona mogła go usłyszeć. - Tu jest za mało światła, żeby wyhodować rośliny. Kwiaty są z metalu, ale reagują na światło księżycy tak jak prawdziwe na słońce.

Issa wciąż patrzył na Maroutiego.

- Może Ellona wcale nie będzie musiała robić tego, co do niej należy. Moja córka wciąż żyje.

- Żyje, owszem, ale gdzie jest? - zapytał Janadra. - Ostatnio wspominałeś, zdaje się, że straciłeś ją z oczu.

- Tylko na chwilę. Przyznaję, dziewczyna zaskoczyła mnie, bo spodziewałem się, że po prostu ucieknie z domu... Ale - uśmiechnął się, leniwie obracając w dłoniach kieliszek wina - na szczęście okazało się, że los mi sprzyja. I zawdzięczam to częściowo tobie, Janadra.

- Mnie? - Odmieniec uniósł brwi, podczas gdy jego drugie oblicze poruszyło ustami jak gaworzące we śnie dziecko.

- Owszem. Spaprałeś sprawę z Archiwum, a ja musiałem naprawić twój błąd, pamiętasz? - Janadra skinął głową. - Cóż, kobieta, którą wysłałem do mieszkania Jainy Naroomi, żeby zlikwidowała ewentualne dowody twojej niekompetencji, rozpoznała na wirofotografiach moją córkę i powiedziała mi o niej. Gdy wiedziałem już, że Kaira kręci się wokół Archiwum, znalezienie jej nie było trudne.

- Szczęśliwy traf. - Janadra wzruszył ramionami.

- Zgadza się, ale tobie zabrakło zarówno szczęścia, jak i inteligencji. Zawiodłeś, Janadra.

Odmieniec mógłby odpowiedzieć, że tak naprawdę zawiódł nie on, lecz jego ludzie - jeden, który za bardzo naciskał na Jainę i nie przewidział, że kobieta wreszcie się zbuntuje, i drugi, który bezmyślnie dał się zabić w jej mieszkaniu. Mógłby, ale nie odpowiedział. Janadrze poniekąd odpowiadała sytuacja, w której Issa oraz pozostali uznają go za nieudacznika i nie będą więcej powierzać odpowiedzialnych zadań. Miałby wówczas więcej czasu, by tworzyć swoje ulubione księżycowe kwiaty. A kontaktami z Archiwum powinien zająć się kto inny, na przykład Ankis albo Tarkesh lub Darika. Wszyscy przecież, cała szóstka, potrzebowali uniwersalnego środka Fabbinięgo.

- Przykro mi - powiedział więc tylko krótko, nie kłopotując się,

by zabrzmiało to szczerze.

Issa patrzył na niego badawczo, a potem odwrócił wzrok, gdy do pawilonu weszła wysoka kobieta o złotej skórze, kocich oczach i miękkich ruchach. Zdobiona prawdziwym futrem suknia spływała z figury idealnej w każdym calu, lecz na nikim to wejście nie zrobiło wrażenia.

Na nikim, z wyjątkiem podrzędnej osobowości Janadry, która niespodziewanie otworzyła oczy i wyrecytowała sprośny wierszyk.

Janadra zaczerwienił się lekko, a podrzędna osobowość na powrót usnęła z niewinnym uśmiechem na twarzy. Ankis zachichotał.

- Spóźniłaś się, Darika - powiedział sucho Marouti. - Usiądź.

- Jesteśmy właśnie w trakcie omawiania niekompetencji Janadry - wyszczerzył zęby Ankis. - Przyłączysz się?

Darika znalazła wolny kieliszek i sięgnęła po wino.

- Do mówienia mojemu bratu, jak bardzo jest głupi? - odparła niedbale. - Powtarzałam mu to tysiące razy i szczerze mówiąc, już mi się nie chce.

- Gdzie Tarkesh?

- Śpi. Jest... zmęczony.

Lekka pauza przed ostatnim słowem świadczyła, że Tarkesh znowu przesadził z narkotykami synestetycznymi lub z opium.

Ankis ponownie zachichotał, jakby to było niesamowicie zabawne. Janadra przymknął oczy. Czasem wszyscy oni, cała szóstka jego rodzeństwa, wydawali się tak bardzo przewidywalni. Pulchny, a jednocześnie pełen energii i pomimo tuszy niesamowicie zręczny Ankis, pełniący w ich grupie rolę naczelnego wesołka. Darika, leniwa piękność ze swoimi futrami (rzecz jasna każde z nich miało status dzieła sztuki pierwszej klasy) i pretensjami kobiety, której mężczyźni ścielą się do stóp. Tarkesh, jej kochanek od dawna, niemal od zapomnianych dni wspólnego dzieciństwa, cierpliwie przeczekujący wszystkie zdrady i kaprysy, czasem tylko urządzający dzikie awantury, które zawsze kończyły się powrotem do punktu wyjścia. Marouti, jak zawsze sztywny i zachowawczy, w kamizelce z wysokim kołnierzem, która wyszła z mody przed kilkunastoma



Skokami. A także Issa - przewidywalny w swojej nieprzewidywalności, cichy ekscentryk, jak mówił ich ojciec. I wreszcie on, Janadra, najmłodszy i najbardziej beztroski - może też nieco już ową beztroską zmęczony, lecz wciąż niegotowy do podjęcia poważniejszych zobowiązań.

Oczywiście opisy te były mocno uproszczone - istniała przecież druga, posępna strona Ankisa czy nieoczekiwany rys delikatności w charakterze Dariki. Niemniej, mimo wszelkich niuansów, a także genozmian, jakie przechodzili przez ostatnie lata, Janadra nie mógł zaprzeczyć, że wszyscy oni utknęli w granicach określonych typów zachowania. A także znali się już nawzajem zbyt dobrze, by dać się czymś zaskoczyć.

- Co o tym myślisz, Janadra?

Odmieniec otworzył oczy, uprzytamniając sobie, że właśnie umknął mu fragment rozmowy. Issa patrzył na niego wyczekująco.

- O czym?

- Postanowiliśmy, że Marouti zajmie się towarzyszami Kairy, a ja i mój syn Niraj rozwiążemy problem człowieka z gwiazd. Masz coś przeciwko? - Ton rozbawionej wyższości w głosie Issy świadczył, że pyta tylko dla porządku, bo zdanie Janadry i tak nie ma większego znaczenia.

- Nie.

Słońce wstawało i księżycowe kwiaty zaczęły się zamykać. Wkrótce do pawilonu wbiegła Ellona, zmęczona, ale też chyba radośniejsza, jakby przynajmniej na chwilę zapomniała o bólu. Marouti przytulił ją mocno. Janadra na ten widok poczuł ukłucie w sercu. Jego ostatnia córka umarła niedawno (nie, dodał w duchu, bądź uczciwy wobec siebie: nie umarła, tylko została zlikwidowana, jak wszystkie inne). Zawiodła, choć w jej przypadku nikt nawet nie miał nadziei, że będzie inaczej. Nawet jej własny ojciec. Mała Muira od początku była nieudacznikiem, tak jak Janadra. Może właśnie dlatego odmieniec kochał ją miłością, na jaką było go stać, niezbyt głęboką, ale szczerą. I czasami za nią tęsknił.

Pasuje tu, pomyślał Dime. Kaira naprawdę tu pasuje.

Siedziała na podłodze uniwersyteckiej auli otoczona wianuszkami chłopców oraz dziewcząt i dyskutowała z zapalem. Błyszczały nie tylko jej oczy: cała postać Kairy promieniowała wewnętrznym blaskiem, na którego widok Dime odczuwał nieokreślony smutek.

Chłopak podciągnął nogi pod brodę. Nie miał dla siebie za dużo miejsca w tym kręgu - zajmował ciasną przestrzeń pomiędzy dziewczyną w brązowych ubłoconych spodniach i ciężkich buciorach a chłopakiem w podobnym stroju. Wszyscy zresztą, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, wyglądali tak samo, nawet fryzury mieli niemal identyczne - krótkie i praktyczne. W przeszłości brak ekstrawagancji był koniecznością i Dime sam szybko przyzwyczał się do włosów, które w razie potrzeby mógł przeczesać palcami, oraz ciemnych ubrań, na których kurz i błoto mniej rzucały się w oczy. Jednak w przypadku dziewcząt taki wygląd wciąż był dla niego czymś nowym i zarazem pociągającym.

Zerknął ostrożnie w stronę sąsiadki.

Tasha, przypomniał sobie, miała na imię Tasha.

Uśmiechnął się, próbując schwytać jej wzrok, ale dziewczyna przez cały czas patrzyła na Kairę, która tłumaczyła właśnie plan Gurleena.

- Nie ma potrzeby umieszczać ładunków wybuchowych we wszystkich Archiwach. Odrzuconych światów jest kilkaset, więc i tak nie starczyłoby nam materiałów. Ale wystarczy, że wysadzimy co dziesiąte Archiwum...

- To i tak mnóstwo budynków - odezwał się chudy chłopak o pociągłej twarzy i z długim nosem. Ionnie, Dime przywołał w pamięci kolejne imię, jedyny art-zbrodniarz wśród nich, niestety tylko złodziej o niezwykle zręcznych palcach i pajęczej zdolności wspinania się po ścianach. - A nas jest tylko czternaścioro. Jak, u licha, chcecie to zrobić?

- Musimy mieć więcej ludzi - odparła Kaira. - I znajdziemy ich, a Arikol będzie sprawdzać, czy możemy im ufać.

Okrągłolica dziewczyna o zabawnie sterczących włosach truskawkowego koloru pomachała wszystkim wesoło. Opaska przesłaniająca lewy, pusty oczodół dodawała jej zawadiackiego wdzięku. Dime wiedział już, że właśnie ona, na zmianę z czterorękim i karłowatym, ale barczystym chłopakiem o imieniu Tuir, najczęściej uzupełniała ich zapasy. Zdolności telepatyczne obniżyły jej inteligencję, pozostawiły jednak pewną dozę sprytu - metody Arikol były proste, lecz skuteczne, a jej niemądry uśmiech miał w sobie ujmującą naiwność, tak że bez trudu oszukiwała pracujących w Archiwum strażników. Przynosiła z górnego świata paski suszonego mięsa, ryż albo kaszę, kromki sprasowanego chleba, czasem też suszone owoce czy warzywa. Nigdy duże ilości, nigdy nic, co mogłoby się rzucić w oczy. Jednak gdyby nie ona, jedliby wyłącznie resztki żywności przywiezionej przez nieczynną już Kolejkę, które - zakonserwowane przez zerową temperaturę - leżały przymarznięte do stołów w wielkich lodowo-śnieżnych stosach.

Dime spojrzał na pocierane do krwi palce. Dziś rano, wściekle głodny, usiłował oderwać z takiego stosu dwa gołębie ciała i udało się to, dopiero gdy Tuir pożyczył mu nóż. Dobrze, że jest tak zimno, myślał wtedy Dime, ale co będzie, jak przyjdzie odwilż? W górnym świecie Kolejka codziennie przywoziła świeże dostawy, do pustych zaś wagoników mechaniczni służący ładowali to, co zostało niewykorzystane. Jednak nawet tam system zaczynał się sypać, bo w Lunapolis było coraz mniej ludzi, a Kolejka wciąż przywoziła zapasy obliczone na o wiele większą populację. Mechaniczni nie nadążali z usuwaniem gigantycznych ilości gnijącego jedzenia - z kilku ostatnich wizyt w Halach Dime świetnie pamiętał coraz silniejszy, nieprzyjemny zapaszek. A tutaj, w przeszłości, będzie znacznie gorzej. Wystarczy dzień-dwa temperatury wyższej niż zero, żeby lód stopniał i wszystko zaczęło potwornie cuchnąć. Co wtedy?

Były także inne problemy, na przykład ogrzewanie. Powoli kończyły im się szafki, które mogli porąbać, i niedługo będą musieli szukać opału poza uniwersytetem, a tam, wiadomo, zawsze istniało ryzyko natknięcia się na kogoś, kto został z tyłu.

Trzeba by pewnie chodzić w dużych grupach, jak po jedzenie... Albo - niech Przedksiężycowi nie pozwolą - jeśli ktoś zachoruje? W szpitalu na pewno nie obyłyby się bez pytań, nie wspominając już o tym, że strażnik przy windach mógłby wreszcie zwrócić na nich uwagę, gdyby pojawili się w Archiwum z kimś bladym jak płótno i lecącym przez ręce. No i kłopot największy - zbliżał się Skok, a pierwsza i podstawowa zasada Przedksiężycowych głosiła, że podczas Skoku wszyscy muszą przebywać w górnym świecie. Kto w tym czasie będzie w przeszłości, już tam zostanie. Trzeba więc zorganizować przejście całej grupy przez Archiwum tak, aby strażnik niczego nie zauważył...

Jednak Dime pocieszył się myślą, że Esh Gurleen z pewnością wziął wszystkie te problemy pod uwagę. Chłopak coraz bardziej ufał siwowłosemu mężczyźnie.

Tymczasem Tuir upierał się, że Kaira powinna nauczyć ich wszystkich walczyć.

- Potrafisz posługiwać się *darakką*, prawda? Tak mówił Finnen. No więc co za problem? Skoro mam narażać życie, to wolałbym umieć się bronić.

- Nie wiem, czy dam radę. - Dziewczyna potrząsnęła głową z powątpiewaniem. - Nie jestem w tym najlepsza, a poza tym nigdy nikogo nie uczyłam.

- Nie chodzi przecież o nic skomplikowanego. Nawet jeśli nauczysz nas kilku najprostszych ciosów, to już będzie dobrze.

- A skąd weźmiemy noże? - zapytał drobny blondynek, którego imienia Dime nie pamiętał.

Dyskusja rozgorzała na nowo. Ionne chwalił się, że mógłby je ukraść, Arikol z kolei upierała się, żeby kupić kilkanaście sztuk tańszych, mniej wytrzymałych ostrzy, na jakie było ich stać. Jedna z dziewczyn uważała, że powinni zdobyć broń palną, co rzeczywiście byłoby najlepszym rozwiązaniem, gdyby tylko ktoś wiedział, gdzie jej szukać. Tuir wciąż nalegał, aby Kaira uczyła ich walczyć, a dziewczyna nie dała się długo prosić. Dime zauważył, że propozycja sprawiła jej przyjemność, i znów poczuł przypływ smutku, który psuł całą radość. Bo chłopakowi coraz bardziej się tu podobało.

Plan Gurleena, czekające ich niebezpieczeństwo, nawet problemy z ogrzewaniem czy wydrapywanie gołębiego mięsa ze złodowaciałych stosów - wszystko to było nowe i na swój sposób ekscytujące. Trochę przerażające, ale jednocześnie pociągające. Jednak za każdym razem, gdy Dime patrzył na rozjaśnioną twarz Kairy (tak bardzo tu pasuje, przypomniał sobie), gnębiło go nieokreślone uczucie, że coś zdecydowanie jest nie tak, jak być powinno.

- Kiedy Finnen wróci? - zapytał Dime późnym wieczorem, gdy grzał ręce przy pękającym piecyku w kształcie żaby, a Kaira usiłowała umyć się w misce wody. Ponieważ byli sami, zdjęła bluzkę i gąbką omywała piersi. Czerwony odbłask płomieni podkreślał głęboką czerń jej skóry, sutki koloru kawy sterczały z zimna.

- Prawdopodobnie w dzień-dwa po Skoku - mruknęła Kaira, pochylając się, by umyć kark. Zwisające włosy zasłoniły jej twarz.

- Aha.

W gruncie rzeczy nie był pewien, czy chce wiedzieć.

Dime brakowało Finnena. W Lunapolis miał całe mnóstwo znajomych, ale nikogo takiego jak Finnen, kto znałby go od dziecka i rozumiał tak dobrze. Dlatego Dime odczuwał ów brak za każdym razem, gdy przychodziło mu do głowy jakieś ich wspólne wspomnienie, dowcip, który tylko przyjaciel mógł zrozumieć, albo gdy łapał się na myśli, że chętnie zapytałby Finnena, co on sądzi o tym czy o tamtym. Zwłaszcza teraz przydałby mu się ktoś dobrze znany, z kim mógłby pogadać i uporządkować chaos nowych wrażeń.

A mimo to Dime nie był pewien, czy chce wiedzieć, kiedy Finnen wróci. Więcej, nie był pewien... (Nie myśl o tym, nakazał sam sobie, ale nie potrafił przestać. Kaira zdjęła spódnicę i kucnęła nad miską)... czy w ogóle chce, żeby Finnen wrócił. Bo wtedy znów zacznie się kręcić wokół Kairy i będą szeptem omawiać jakieś sobie tylko znane sprawy, a poza tym...

Poza tym nie wiadomo, czy Finnen, który wróci, wciąż będzie tym samym Finnenem, z którym Dime się przyjaźnił.

Chłopak poczuł, że robi mu się zimno, jakby połknął bryłkę lodu. Przycisnął dłonie do żołądka. Wciąż wydawały się chłodne, mimo że grzał je przy piecyku.

Nie zapytał Kairy, dlaczego to właśnie Finnena poprosiła o przejście genozmiany, nie jego. Miał przeczucie, że odpowiedź mogłaby mu się nie spodobać.

## 11

Kawiarnia Ośmiornica, której osiem ośmiokątnych sal nieustannie zmieniało położenie, krążąc na trzech pierścieniach mocujących ją wokół metalowego trzpienia, była jednym z najbardziej znanych lokali w Lunapolis. Pomieszczenia różniły się od siebie, aby zaspokoić najróżniejsze potrzeby klientów - tonące w cieniu sofy dla kochanków, pojedyncze, ale dobrze widoczne stoliki dla tych, którzy szukali nowych znajomości, i wielkie okrągłe stoły dla hałaśliwych grup przyjaciół. Człowiek wychodzący na chwilkę do sąsiedniej sali nie wiedział, czy zdoła wrócić do swojego stolika, nie tylko jednak nie odstraszało to gości, lecz wręcz ich przyciągało. Podobnie zresztą jak i rozpowszechniana przez właściciela historia, jakoby to właśnie w Ośmiornicy dokonano jednego z najbardziej znanych art-morderstw w historii Lunapolis.

Dla stałych bywalców ani jedno, ani drugie atrakcją już nie było - oni wiedzieli, że Księżę Popieliska zginął rozplątany na idealne połowy nie w kawiarni, lecz przy wejściu do sąsiadującego z nią dziecięcego teatru. Znali też schemat, według którego poruszały się pomieszczenia. Trzymali jednak tę wiedzę dla siebie, bawiąc się kosztem nowicjuszy.

Ośmiornica słynęła także z ekranów, które od czasu do czasu zjeżdżały z sufitów i powiększały losowo wybraną osobę, tak aby wszyscy w sali mogli dokładnie jej się przyjrzeć (można było tego uniknąć, jeśli dało się właścicielowi solidną łapówkę). W ten sposób wiele par się rozstało, gdy jedna ze stron zobaczyła drugą w ramionach kogoś trzeciego, jednak większość klientów bardzo sobie ten pomysł chwaliła. Widząc

zjeżdżający ekran, mężczyźni prężyli mięśnie, a kobiety wdzięczyły się i od czasu do czasu odpinały górne guziki bluzek czy sukni.

Kawiarnia znana była również z niezwykle smacznych - i równie drogich - potraw z psiego mięsa oraz psich futer, kamizelek, butów, czapek i rękawiczek, prezentowanych przez dziewczęta i chłopców, którzy spacerowali po salach, nie mając na sobie nic prócz owych dzieł sztuki kuśnierskiej. Zarówno dziewczęta i chłopców, jak i futra można było nabyć za odpowiednią cenę, w pierwszych dwóch przypadkach niższą, w trzecim zdecydowanie wyższą. W Ośmiornicy bywali zazwyczaj ludzie bogaci, jednak mówiło się szeptem, że właściciel przymyka oko na mniej zasobny portfel, jeśli tylko klient jest odpowiednio dziwaczny, barwny czy po prostu znany.

Na to ostatnie po cichu liczyła Tellis, zbliżając się do zarezerwowanego stolika. Nie była co prawda barwna, ale zdecydowanie czuła się dziwacznie w tłumie wszystkich tych młodych ludzi. Zdjęła rękawiczki, położyła je na blacie i spojrzała na swoje dłonie - brzydkie, pomarszczone, z wyraźnie zaznaczonymi knykciami. Dłonie starej kobiety. Cóż, może to wystarczy, pomyślała z gorzkim uśmiechem. Może.

Złożyła zamówienie (sok pomarańczowy i ciastko z kremem, żadnych ekstrawagancji) i czekała. Już teraz żałowała, że dała się namówić Mahameniemu na spotkanie w Ośmiornicy. Żebyśmy choć raz się zabawili jak bogaci, powiedział z tym swoim wyszczerzonym uśmiechem, który tak ją drażnił. Wiedziała już wcześniej, że będzie żałowała, a mimo to przyszła i teraz siedziała tu, zaczerwieniona z upokorzenia i złości, podczas gdy ludzie przy innych stolikach obmacywali ją zaciekawionymi spojrzzeniami.

Dobrze przynajmniej, że na początku od razu uparła się, by każdy płacił za siebie. Mahamieniego z pewnością nie stać było aa zafundowanie jej wieczoru w takim lokalu. Już posiłek dla jednej osoby mocno nadszarpnie jego budżet. Jej zresztą też, jeśli o tym mowa.

Co z kolei przypomniało, że najwyższy czas zobaczyć się z Brinem Issą.

Na pozór przypadkowym gestem przesunęła ręką po karku, ścierając pot. Napila się soku. Smakował świeżymi owocami z kawałeczkami lodu, które już zaczynały topnieć w pomarańczowym płynie. Tellis było gorąco i duszno. W powietrzu unosił się zapach kwiatowych perfum, pudru do włosów i haszyszowego dymu, a pod tym wszystkim można było wyczuć charakterystyczną, gorącą i suchą woń pracującej maszyny. Kapitan rozejrzała się dyskretnie.

Za ażurową plecionką jednej ze ścian pracował mechanizm, który poruszał ośmioma salami kawiarni. Tam również znajdowało się wejście do umieszczonych w trzpieniu kuchni, toalet oraz windy. Ludzie siedzący w pobliżu mechanizmu pocili się obficie, ale i tak wyglądali na zadowolonych.

Po prawej i lewej stronie widać było łagodne łuki przejść - gdy następował moment szepienia, drzwi rozsuwały się automatycznie i długie, przeciągłe buczenie sygnalizowało wolną drogę. Siedząc przy ścianach - przeszklonych od podłogi aż do sufitu - można było podziwiać zmieniającą się panoramę Lunapolis. Tam właśnie rezerwowała stoliki garstka najbogatszych szczęśliwców.

Gdy doszło do połączenia pomieszczeń, wstrząs szarpnął salą ktoś krzyknął cicho, widać jeszcze nieprzyzwyczajony, ktoś inny wybuchnął śmiechem. Tellis ostrożnie odstawiła szklanekę. Pobyt w Ośmiornicy niewątpliwie sprawiał jej przyjemność - legenda miejsca robiła swoje - lecz jednocześnie cicha, rozsądna część jej umysłu podpowiadała, że to doprawdy niemądre płacić tyle pieniędzy za możliwość wypicia soku w miejscu, gdzie w każdej chwili ów sok może człowiekowi wylądować na koszuli.

Do sali wszedł Mahameni i jak zawsze na jego widok kapitan poczuła krótki, ostry przypływ niechęci. Był brzydki i odpychający, z tym swoim nieufnym spojrzeniem spode łba i rozczochranymi włosami. Dobrze, że choć ubranie miał czyste. Wygniecione jakby w nim spał, ale czyste.

Zmusiła się, żeby wstać i mu pomachać - wiedziała, że w ten sposób znowu zwróci na siebie uwagę innych gości - a on odpowiedział szerokim, wyszczerzonym uśmiechem. Zaprosiła



go do stolika.

- Sok pomarańczowy? - Obrzucił spojrzeniem blat. - Żartujesz, co?

Skinął na kelnerkę w futrzanych butach i zamówił butelkę wina oraz surowe gołębie mięso.

- Nie jadam psów - oznajmił. - Mam za dużo psich cech, żeby czuć się z tym dobrze.

Mahameni mówił głośno i dużo przy tym machał rękami, ale pozostali klienci szybko przestali zwracać na nich uwagę. W Ośmiornicy nikt nie był atrakcją dłużej niż kilka minut. Tellis spróbowała się uśmiechnąć. Początkowy odruch niechęci już minął; zawsze szybko mijał.

Mahameni jadł mięso i pił prosto z butelki. Kapitan odmówiła, gdy chciał ją poczęstować, ale po chwili naląła sobie wina do szklanki po soku.

Pomiędzy kolejnymi kęsami mężczyzna opowiadał, co mu się dziś zdarzyło. Nie pracowali już razem - jego przeniesiono do wydziału art-kradzieży, ona rozpracowywała sprawę martwego niemowlęcia znalezionej w Zimowym Ogrodzie. Mimo to spotykali się niemal codziennie. Najczęściej Mahameni mówił, a Tellis słuchała.

Nie chciał od niej niczego, prócz kilku chwil rozmowy pod koniec każdego dnia, co napełniało ją wstydliwą ulgą, a czasem także odrobiną goryczy.

- ... no więc mówię ci, facet nawet nie był art-złodziejem, rozumiesz, zero talentów, ale wymyślił sobie, że tak naprawdę liczą się chęci. Zaczął więc kraść, tu naszyjnik czy para spodni, tam mebel, dwa króliki z hodowli... Żadnego planu, nic. Nawet nie miał pojęcia, co z tym wszystkim zrobić. Kiedy go namierzaliśmy, w mieszkaniu miał poupychane mnóstwo różnych rzeczy, rozumiesz, dzieła sztuki i zwykłe badziewie, a pomiędzy tym pętały się luzem króliki i srały na wszystko. Złapaliśmy zwierzaki i oddaliśmy jednemu człowiekowi, żeby miał na nie oko, a potem poczekaliśmy, aż wróci i dawaj, za gościem. Zwiewał nam po dachach jak pieprzona wiewiórka, w życiu byś nie uwierzyła, że można tak szybko biec...

Tellis słuchała jednym uchem. Historyjki Mahamieniego miały

tę przyjemną właściwość, że były proste, więc nawet gdy nie zwracała uwagi na szczegóły, zawsze wiedziała, w którym miejscu należy się uśmiechnąć, a gdzie powiedzieć: „O, naprawdę?”.

Myślała o martwym niemowlęciu znalezionym przed dwoma dniami w Zimowym Ogrodzie. Martwiła się tą sprawą, bardziej niż była skłonna przyznać. W Lunapolis niezwykle rzadko zdarzały się morderstwa dzieci - takie maleństwa nie narażały się nikomu, a art-zbrodniarze nie tykali ich na mocy niepisanej umowy.

Lecz może i to się już zmieniło, pomyślała, na chwilę zupełnie przestając słuchać Mahameniego. Może doszliśmy do punktu, gdy ostatnie tabu zostaje złamane, bo art-mordercy nie mają już żadnej innej metody, żeby zwrócić na siebie uwagę. Prędzej czy później musiało do tego dojść. W gruncie rzeczy Tellis powinna chyba dziwić się, że stało się to dopiero teraz.

Napiła się jeszcze wina, które zostawiało na języku posmak garbników i nutę zimowych porzeczek.

Wciąż miała przed oczyma bladą, martwą twarzą pod cienką warstwą szarego lodu, i wciąż zadawała sobie pytanie, czy sprawcą tej śmierci mógł być art-morderca. Oddałaby wiele, żeby tak nie było, żeby zabójcą okazał się rodzic niezadowolony z pracy duszoinżynierów lub zazdrosny brat czy siostra. Takie przypadki się zdarzały, rzadko, ale jednak. Na przykład słynna sprawa trzech ciemnoskórych dziewczynek o niemal identycznych profilach genetycznych, które czystym przypadkiem odnaleziono pośród innych szczątków w Kwartale Kandrisa. Zwłoki znacznie różniły się stopniem rozkładu - pierwsze porzucono kilka lat, a trzecie kilka tygodni przed odnalezieniem. Wydarzyło się to dawno temu, niedługo po śmierci Aylena i w czasach, gdy Skoki nie następowały tak często jak teraz. Nieznany sprawca nie mógł być art-mordercą, bo takiemu zależałoby na rozgłosie, nie zaś na tym, by dowody zbrodni znikły cichcem podczas Skoku. Pozostawały więc motywy osobiste, lecz komu śmierć trzech dziesięcio- czy dwunastoletnich dziewczynek mogłaby przynieść korzyść?

Nikt się nigdy tego nie dowiedział. Straż miejska nie zdołała nawet ustalić, kim dzieci były ani - co jeszcze dziwniejsze -

która korporacja je stworzyła. Sprawa została odłożona *ad acta*, lecz ludzie nie zapomnieli i kolejne pokolenia młodych detektywów dowiadywały się o niej przy wieczornym piwie.

Kapitan pamiętała, że gdy pierwszy raz usłyszała historię trzech ciemnoskórych klonów, wydała jej się ona czymś w rodzaju ponurej, ale i fascynującej legendy. Teraz przywołała ją w pamięci niemal jako symbol nadziei.

Niech to będzie nawet szaleniec zabijający dzieci dla przyjemności, poprosiła w duchu. Ale nie art-morderca, nie jakiś rodzaj chorej, popieprzonej mody.

- ... i wtedy leży na ziemi, cały zaryczany, a zza rogu wychodzi nasz mechanoid, rozumiesz, sama blacha i dwóch animatorów w środku, a my nad tym facetem i sierżant mówi: tak ci się spieszy? Nie martw się, podrzucimy cię naszym kotkiem. Tylko trochę szkoda, że akurat wybieramy się w przeciwnym kierunku, niż byś chciał... - zakończył Mahameni, a Tellis uśmiechnęła się w odpowiednim momencie.

Gdy słońce do połowy schowało się za budynkami Lunapolis, z kątów sali wyroiły się świetliki. Krążąc po sali, wydobywały z półmroku coraz bardziej spocone twarze i coraz intensywniej błyszczące oczy. Niedaleko opadł ekran, ukazując powiększony obraz obejmującej się pary. Kobieta odwróciła się i gestem, który pozornie wyglądał na wstydlivy, a tak naprawdę był świadomie uwodzicielski, poprawiła wymiętoszoną bluzkę.

Mehus zamówił następną butelkę wina. Kto za to zapłaci?, przemknęło Tellis przez głowę, ale wypiła już wystarczająco dużo, żeby podobne pytania straciły znaczenie. Uprzytomniła sobie, że lubi towarzystwo Mahameniego i że ma to sporo wspólnego z poczuciem władzy. Mogłaby przecież w każdej chwili wyrzucić go ze swojego życia jak dokuczliwego śmiecia, kazać mu wstać i wyjść, nie odzywać się do niej nigdy więcej bez pytania o zgodę. Była pewna, że przyjąłby to z urazą w tych swoich psich ślepiach, ale bez słowa skargi. Po prostu wciągnąłby głowę w ramiona i schował się w swojej skorupie niczym żółw.

- Nie słuchasz mnie - powiedział, a ona bez cienia winy przytaknęła.

- Nie, nie słucham.
- Wciąż myślisz o tej babce? Naroomi Jaina? Męczy cię to?
- Mam teraz inną sprawę...
- Też nierozwiązana, co? Jesteś najlepsza i męczy cię, jak nie możesz dorwać drania. Ja to rozumiem. I wiem, że dasz radę. Z Naroomi też byś dała. - Pochylił się, oczy mu błyszczały. Tellis zaczęła mieć złe przeczucia, ale jednocześnie była oszłamiona winem i jej mózg pracował na zwolnionych obrotach.
- Może coś będę dla ciebie miał. Spodoba ci się. Popytałem tu i ówdzie, po godzinach pracy. O tę babkę, Naroomi.
- Co? - Uszczypnęła się w nadgarstek, najmocniej jak zdołała. Ból trochę ją otrzeźwił. - Co zrobiłeś?
- Pytałem o Jainę w Archiwum. Wiesz, że były podejrzenia, że ona wynosi wynalazki na zewnątrz? Nic konkretnego, ale szefostwo miało na nią oko. To mógłby być motyw, nie? Zdolna animatorka uprawiała drobny handelek na boku, potem zaczęli ją podejrzewać, a kupiec spanikował i nasłał na nią mordercę, bo bał się, że go wsypie. Albo odmówiła wynoszenia, ponieważ się bała, że cała jej kariera weźmie w łeb, i dlatego ją zabili. Pasuje, nie?
- Przepraszam na chwilę. - Wstała i poszła do toalety. Tam opłukała twarz zimną wodą i długo patrzyła w lustro. Była blada i wyglądała na zagubioną, a zmarszczki wokół oczu i ust rysowały się wyraźniej, niż zapamiętała. Spróbowała poprawić fryzurę, ale dłonie jej drżały, więc zostawiła rozpuszczone włosy.
- Wróciła do stolika. Mahameni patrzył na nią z niepokojem.
- Coś nie tak?
- Zostaw tę sprawę - powiedziała. - Słyszysz? Nie mieszaj się do tego. Jeśli... - omal nie powiedziała: jeśli mnie lubisz, ale jakie to miało znaczenie, czy ją lubił, czy nie? - Po prostu nigdy więcej nie pytaj o Jainę Naroomi. Najlepiej w ogóle o niej zapomnij.
- Ja tylko...
- Wiem, że chciałeś pomóc. - Prawdopodobnie, cholera, miał zamiar sprawić jej przyjemność. - Ale proszę, nie rób tego więcej.

Bardzo się starała, żeby zabrzmiało to stanowczo, i mimo lekkiego drżenia głosu chyba jej wyszło. Odetchnęła, rozluźniając mięśnie. Wyraz zaskoczenia na brzydkiej twarzy Mahamieniego właśnie przechodził w poczucie winy.

- Nie wiedziałem... przepraszam... - Zgarbił się, chowając głowę w ramiona. Tellis prawie go żałowała, ale wiedziała, że trzeba było to zrobić.

- Już w porządku. - Teraz powinni porozmawiać na jakiś niezobowiązujący temat, tak aby mężczyzna zdążył uznać to, co przed chwilą się stało, za mało ważny epizod. - Opowiedz mi jeszcze o twojej pracy.

Jak zwykle on mówił, a ona słuchała, lecz nastrój miłej pogawędki w najdroższej kawiarni w mieście gdzieś przysł. Tellis cały czas zastanawiała się, czy popełniła błąd, a jeśli tak, to w którym miejscu i czy zdoła go naprawić. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej żałowała, że nie podała Mehusowi żadnego sensownego powodu, dla którego powinien zrezygnować z dociekania prawdy o śmierci Jainy. Nie była pewna, czy Mahameni ufa jej wystarczająco mocno, by samo polecenie mu wystarczyło. Może tak. A może nie.

Na myśl o tej drugiej możliwości robiło jej się gorąco. Wytrzeźwiała już niemal zupełnie; była też z każdą chwilą bardziej roztargniona i co więcej, zdawała sobie sprawę, że to widać.

Mahameni plątał się w opowieści, a jego dowcipy stawały się bardziej wysilone. Kapitan wreszcie przestała odpowiadać kiwnięciami głowy i uśmiechami. Wymówiła się zmęczeniem i tym, że jutro musi wcześniej wstać.

Kiedy już zapłacili - każdy za siebie, choć Mahameni znów bezsensownie upierał się, by płacić za oboje - i zjeżdżali ciężką, okratowaną windą, Tellis zauważyła, że mężczyzna spogląda na nią w skupieniu, które na jego twarzy mogłoby wyglądać zabawnie, ale wcale tak nie wyglądało.

Tego samego wieczoru w innej, mniej eleganckiej kawiarni doszło do jeszcze jednego spotkania.

Marouti w masce sowy, która zasłaniała górną połowę jego twarzy, wziął za rękę Ellonę i poprzez drewniany mostek, przerzucony nad podziemnym jeziorem, poprowadził ją do półokrągłej, wykutej w skale niszy, gdzie stał stolik. Dziewczynka również nosiła maskę, w jej przypadku wodnego szczura, z kępkami prawdziwego futra na uszach i wąsami ze srebrnych drucików. Gdy usiedli, natychmiast otoczył ich rój świetlików, a kiedy Marouti odgonił je niecierpliwym gestem, lampki uformowały się w kształt osobliwego, bo zawieszzonego w powietrzu płomienia pochodni. Czerwony poblask odbił się od szarości nierówno obrobionego kamienia, pod powierzchnią wody przemknęła, ciągnąc za sobą smugę złotych iskier, ślepa, głębinowa ryba.

- Sztuczna? - zapytała Ellona, pomna swego doświadczenia z kwiatami.

- Prawdziwa - odparł Marouti. - Bardzo stara i bardzo cenna.

Wokół jeziora w podobnych skalnych niszach siedziały pary i grupki znajomych. W kawiarni, która oficjalnie nosiła nazwę PrzedSIONKA Przebudzenia, a którą stali bywalcy pieśczośliwie nazywali SIONKĄ, było ciasno: nisze mieściły najwyżej pięć, sześć osób, w wąskich przejściach dwoje gości mijalo się z wielkim trudem, a wysoki człowiek mógł - bez obawy, że uderzy głową w strop - wyprostować się jedynie na środku drewnianego mostka. Marouti kierował się jednak konkretnym powodem, gdy wybierał to miejsce.

- Mogę zdjąć maskę? - szepnęła Ellona. - Gorąco mi pod nią...

- Nie, nie możesz. Ostrzegalem, że jeśli chcesz ze mną pójść, będziesz musiała ją nosić. Ale nie martw się - dodał już łagodniejszym tonem - to nie potrwa długo.

Rozejrzał się - w leżącej niemal naprzeciwko niszy siedziały dwie kobiety, które również nosiły maski, a przed chwilą brzegiem wody przemknął zamaskowany młody chłopak. Nie znaczyło to bynajmniej, że wszyscy ci ludzie przyszli tu, by

załatwiać nielegalne interesy lub też spotykać się z kochankami, z którymi romansować z takich czy innych powodów nie powinni. Owszem, po to właśnie do niedawna były w Sionce maski, lecz z czasem zawłaszczyła je moda i teraz prawdziwi spiskowcy ginęli w tłumie tych, których tylko bawiło wyobrażanie sobie, że spiskowcami są.

Marouti zamówił mrożony deser owocowy dla Ellony, a dla siebie butelkę lekkiego piwa. Gdy opróżnił ją do połowy, w kawiarni zjawił się jasnowłosy młodzieniec ubrany w tani, krzykliwe kolorowy strój.

Marouti gestem zaprosił go do stolika.

- Ibris Marely - przedstawił się chłopak. Miał szczupłą, lisią twarz, jasne włosy spięte w kucyk i okrągłe okulary, za którymi jego błękitne oczy wydawały się wielkie i dziecięco niewinne. Mrugał ze zdenerwowania, ale poza tym sprawiał wrażenie opanowanego. - Pan eee... pan Sowa?

Ellona zaśmiała się i natychmiast umilkła, obezwładniona bólem. Marouti uspokajającym gestem ścisnął jej dłoń.

- Możesz się tak do mnie zwracać, jeśli chcesz - powiedział do chłopaka. - Bo przecież nie będziemy posługiwać się prawdziwymi nazwiskami, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. - Zbyt szybko, zbyt nerwowo. Marouti zastanowił się przelotnie, czy jednak nie popełnił błędu. Z drugiej strony zadanie, jakie miał dla jasnowłosego młodzieńca, nie było przecież trudne.

- C...co mam zrobić?

Wytłumaczył mu, że względu na obecność Ellony raczej sugerując pewne rozwiązania, niż mówiąc o nich wprost. Nigdy nie był pewien, ile dziewczyna rozumie. Czasem wydawała się pogrążonym we własnym świecie dzieckiem, a czasem zaskakująco bystrą obserwatorką.

Ellona kręciła się na swoim miejscu, podczas gdy Marely kiwał energicznie głową.

- Tak, jasne, nie ma sprawy, panie Sowa. Wszystko będzie zrobione, jak należy. Niech się pan nie martwi.

Kiedy przeszli do kwestii zapłaty, Ellona chwyciła Maroutiego za rękaw.

- Chyba muszę dostać następną tabletkę - jęknęła. - Znowu zaczyna okropnie boleć...

- Wytrzymaj jeszcze chwilę, kochanie. - Pocałował jej włosy tuż nad maską i z roztargnieniem spojrzął na Marely'ego.

- Połowa teraz, połowa, gdy wykonasz zadanie. Przyślę do ciebie człowieka z pieniędzmi.

- Nie. - Chłopak zaprzeczył gwałtownie. - Mnie się forsa i tak na nic nie przyda. Proszę ją przesłać takiej jednej dziewczynie... Zapiszę panu.

Ellona oparła czoło o ramię Maroutiego, wciąż pojękując i wiercąc się, aż maska wodnego szczura przekrzywiła się i wyjrzało spod niej załzawione oko. Mężczyzna objął dziewczynę, przyciskając jej twarz do piersi. Pod dłonią wyczuwał ciepło karku, niżej stalowe zimno gorsetu, który zniknął pod sukienką.

Marouti popełnił błąd w chwili, gdy wziął od Marely'ego kartkę i bez pytania wcisnął ją do kieszeni. Myślał o Ellonie, martwił się o nią. Na chłopaka nawet nie spojrzął.

Owszem, przyszło mu do głowy pytanie, dlaczegóż to pieniądze nie miałyby się mu przydać, zadowolił się jednak najprostszą, najbardziej oczywistą odpowiedzią - chłopak sądzi, że podczas Skoku zostanie z tyłu i nie zdąży ich wydać. A nie powinien był tego robić; powinien zapytać, co jasnowłosa ma na myśli.

Z drugiej jednak strony, jak znacznie później tłumaczył się Marouti, kto wpadłby na to, że człowiek taki jak Ibris Marely może pracować w straży miejskiej?

### 13

- Jaki grzeczny z ciebie chłopiec - drwił Unaj. - Tak, ojcze, oczywiście, ojcze, zrobię, co każesz, ojcze. A tymczasem nie masz pojęcia, od czego zacząć, prawda?

- Mam pojęcie - mruknął Niraj, nieco już zmęczony towarzyszącym mu głosem.

- Nie znajdziesz tego człowieka metodą wykrywania zaburzeń w strukturze świata, bo on się już zaadaptował, a w dodatku nawet nie wiesz, jak facet wygląda. Chcesz szukać nie wiadomo



kogo we wszystkich odrzuconych rzeczywistościach?

- On wciąż się wyróżnia - mruknął Niraj. - A skoro jest takim szczęściarzem, to pewnie już znalazł drogę na górę.

- Co więc zamierzasz zrobić?

- Zapytać w Archiwum, oczywiście.

## 14

Strażnik w Archiwum odłożył rozwiązywany test matematyczny i zmarszczył brwi.

- Tak, chyba pamiętam takiego jednego dziwaka. Ale nie jak wychodził, ja nie zwracam uwagi na tych, którzy wychodzą. Próbował się dostać do wind. Poprosiłem grzecznie, żeby podpisał formularz, ale facet wyglądał, jakby w ogóle nie rozumiał, co do niego mówię. A przecież to niemożliwe, prawda?

Niraj powoli skinął głową. Ostateczna unifikacja językowa nastąpiła przed kilkudziesięcioma Skokami, gdy do Lunapolis wlała się rzeka ludzi z różnych części kraju.

- Może to był szalenciec skokowy, który zaczął wariować trochę za wcześnie - wyraził przypuszczenie strażnik. - Albo facet po prostu robił sobie żarty.

Albo to człowiek z obcego świata, który naprawdę nie miał pojęcia, czego od niego chcesz, dokończył w myślach Niraj.

- Nawet jeśli to prawda - odezwał się jak zawsze nieproszony Unaj - to i tak nie znajdziesz go łatwo. Masz do przeszukania całe wielkie miasto. I przypominam, że nadal nie wiesz, jak on wygląda.

Niraj zapytał o to strażnika, który wzruszył ramionami.

- Dziwak, jak mówiłem. Chudy, brzydki i brudny, w ubraniu jakby je ze szmat uszył. Pewnie to taka nowa moda, co? Może właśnie tacy przetrwają do Przebudzenia. - Zarechotał z własnego żartu, ale w jego głosie słychać też było nutkę niepokoju.

- Może wszyscy powinniśmy tak wyglądać...

- Coś jeszcze?

Strażnik się zastanowił.

- Był okaleczony. Znaczący, kulał wyraźnie, chociaż nie pamiętam, na którą nogę. To ważne?

- Nie, chyba nie. - Niraj zrozumiał, że więcej od rozmówcy nie wyciągnie. Obcy oczywiście mógł się umyć i zmienić ubranie, ale nogi sobie naprawi. Dobre i to.

Podziękował strażnikowi i na pożegnanie wcisnął mu w dłoń monetę. Gdy odchodził, mężczyzna znów głowił się nad testem.

## 15

Dime miał wrażenie, że każdy kolejny dzień wstaje coraz bardziej zimny. Sypiał w ubraniu i pod dwoma kocami, a mimo to budził się zmarznięty. Wszyscy budzili się zmarznięci. W szarym świetle poranka uniwersytecka aula pełna była dygoczących upiórów o zapuchniętych oczach, które skupiały się wokół piecyka i grzały kolejno, unosząc koszule. Z rąk do rąk krążyły kubki z gorącą herbatą czy kawą, przygotowaną przez nieszczęśników, którym przypadł ranny dyżur i którzy w związku z tym musieli wstać jeszcze wcześniej. Potem Dime szedł się myć i jeśli miał szczęście, woda przyniesiona w wiadrach nie była zamrznięta. Gdy miał pecha, najpierw musiał rozbić warstwę lodu.

Mył się szybko, byle jak, bardziej po to, żeby się na dobre obudzić, niż być czystym, lecz i tak mijala dłuższa chwila, nim na powrót zaczynał czuć zgrabiące z zimna dłonie, a skóra odzyskiwała normalny kolor. Ubierał się w sztywne od brudu, rzadko prane rzeczy i wraz z innymi maszerował na śniadanie, składające się w lepszym dniu z dwóch-trzech kromek cienkiego ciemnego chleba, a w gorszym z rozgotowanej warzywnej papki. Później trzeba było iść do Hal - prawie godzinny spacer w jedną stronę, całą grupą, rozglądając się co chwila nerwowo na boki.

Miasto wydawało się wymarłe - rdza osypywała się z przemyślnych konstrukcji, które zdobiły budynki, po pustych schodach wiatr przeganiał śmieci, a okna straszyły czającym się za nimi mrokiem. W Lunapolis panowała cisza, z rzadka tylko

przerywana zgrzytem jakiegoś mechanizmu, który, choć na wpół zardzewiała, włączał się tylko po to, by schwytąć i zabić wciąż żywego nieszczęśnika. Czasem natrafiali na martwe ciała; zamrożeni ludzie z policzkami zapadniętymi od chorób albo paskudnie pokaleczeni, ich zamglone oczy, szron na rzęsach i sine usta. Odwracali wówczas głowy z poczuciem winy, lecz Dime wiedział, że przynajmniej niektórzy z ich grupy prócz wyrzutów sumienia doznają również czegoś na kształt wstydlivej ulgi, teraz bowiem, gdy miasto umarło, nie miał znaczenia dylemat, czy próbować pomóc jego mieszkańcom już w tej chwili, czy też, zgodnie z wolą samego Gurleena, skupić się na przyszłości.

Tak naprawdę owo wrażenie pustki było jednak fałszywe - nie wszyscy w tej rzeczywistości umarli czy też wkrótce mieli skonać, w mieście wciąż można było spotkać ludzi zaskakująco pełnych siły i zdesperowanych. Przed dwoma dniami przekonała się o tym ciemnowłosa i smagła Chira, animatorka najniższej klasy, która wbrew zaleceniom Gurleena odłączyła się od grupy i szukała jedzenia pod jednym z otwartych wagoników Kolejki. Tam napadł na nią mężczyzna w zwierzkształtnej zbroi i nim wezwani krzykiem towarzysze przybiegli jej na pomoc, zostawił dziewczynie na pamiątkę cztery głębokie rany ciągnące się od policzka aż do szyi. Metalowe pazury ledwo minęły tętnicę, a Chira, płacząc, gdy zakładali jej opatrunek, mówiła, że mężczyzna tak naprawdę niczego od niej nie chciał. Nie miał zamiaru odebrać jej jedzenia ani ubrania, nawet jej nie skłął, co nader często spotykało ludzi, którzy schodzili w przeszłość. Być może, na wpół szalony, w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że dziewczyna jest z górnego świata. Po prostu chciał kogoś skrzywdzić, kogokolwiek, byle mocno.

Takie rzeczy się tu zdarzały.

Tego samego dnia, gdy Chira została zaatakowana, pożar strawił Kwartał Skadrański. Siedzieli wówczas na schodach przed uniwersytetem, trzymając kubki herbaty w rękach i patrzyli, jak niebo na zachodzie oblewa się ognistą czerwienią łuny. Dime prosił wówczas w duchu Przedksiężycowych - a był przekonany, że wszyscy robią to samo - by ogień nie dotarł do

uniwersytetu ani do Hal. Istniał jeszcze inny problem, może nawet poważniejszy: co jeśli pożar rozszaleje się w całym Lunapolis, jeśli obejmie Archiwum, odcinając im tym samym drogę do górnej rzeczywistości? Ile czasu zdołaliby przetrwać poza miastem, w miejscu, w którym nie było niczego prócz skalnej pustyni, bo przecież szklarnie, w których automaty hodowały jedzenie, znajdowały się zbyt daleko, by do nich dotrzeć?

Takie myśli sprawiały, że Dime miał ochotę wycofać się i wrócić na górę, do życia, które dobrze znał. Nie był jednak pewien, jak przyjmą to inni (zwłaszcza Kaira, nie potrafiłby powiedzieć o tym Kairze), a poza tym zawsze, gdy chłopaka ogarniała desperacja, zdarzało się coś, co przywracało mu optymizm.

Na przykład Kaira, zazwyczaj dość odległa i zajęta własnymi sprawami, robiła się na chwilę miła.

Albo popołudniowe ćwiczenia z *darakką* - chłopak naprawdę je lubił i, co więcej, okazało się, że ma do tego talent. Był co prawda niezbyt silny, ale w dwójnasób rekompensował to zręcznością i szybkością. Bywało, że chwalił go nawet Gurleen, który niejedno przecież w życiu widział. W takich chwilach Dime czerwieniem z zadowolenia, a jego plany, by rzucić to wszystko i uciec do górnego świata, wydawały się, cóż... głupie. Dziecinne. Tchórzliwe.

Wieczorami zaś - które teraz, na progu zimy, nadchodziły szybko - gdy mieli czas dla siebie, siadali wokół piecyka w kształcie pękatej żaby i opowiadali sobie historie, czasem zabawne, a czasem przerażające. Dime bardzo lubił te chwile, miał wówczas okazję, by lepiej poznać członków grupy.

Społo już o nich wiedział. Na przykład Jaramei była jedyną znaną mu osobą, która miała oboje rodziców. Nie była dzieckiem prezentem, podarowanym na pożegnanie przez jednego z kochanków, jak to się zdarzało, lecz prawdziwym owocem miłości dwojga ludzi, choć oczywiście genetycznie udoskonalonym. Trzydzieści procent po mamie, trzydzieści po tacie, a reszta to geny dobrane przez Ekwilibrium, mówiła Jaramei, która potrafiła śpiewać, grać na fletni, a także kaligrafować i czasem, gdy ją o to poprosili, na arkuszach

pożółkłego papieru pisała ich imiona, dodając zjeżdżające po zapętlonych literach karzełki oraz wyglądające zza inicjałów dziewczęta o zamyślonych twarzach.

Dime uznał, że to niezwykle romantyczna historia. Dwoje ludzi, którzy kochali się tak mocno, zasługiwało na to, by żyć. A jednak zarówno matka, jak i ojciec Jaramei zostali z tyłu dawno temu, dziewczyna zaś wychowywała się w dzielnicy sierot. Chłopak uważał, że to niesprawiedliwe. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Po prostu nie powinny.

Albo Mercis Ionne, syn, wnuk i prawnuk złodzieja. Mercisowie kradli od kilkunastu Skoków, każdy zaś kolejny chłopiec był niemal stuprocentową kopią swego rodzica - w zależności od aktualnie panującej mody zmieniano mu jedynie kolor oczu, włosów lub skóry. Wydawało się, że Mercisowie odkryli zestaw cech zapewniających przetrwanie, przez wiele pokoleń mężczyźni z tej rodziny umierali bowiem w sędziwym wieku, z naturalnych przyczyn. A potem coś się zepsuło: dziadek Ionnego został z tyłu, ledwo zdołał odchowić syna, syn zaś zginął w przeszłości jeszcze szybciej. Nic dziwnego, że Ionne bardzo bał się Skoku.

Albo Tuir, który sierotą został tak wcześnie, że nie wiedział nawet, kim był jego rodzic. Miał jedno, jedyne wspomnienie sprzed czasów, gdy wylądował w ochronce - długowłosa, piękna kobieta siedzi w ogrodzie pod sztucznym słońcem i haftuje niebieską nicią pas materiału w kolorze krwi. „Jak myślisz, to twoja matka?” - zapytał pewnego razu Dime, lecz Tuir wzruszył czterema ramionami. Zbyt ładna, odparł, i zbyt bogata, bo przecież tylko bogacze mają sztuczne ogrody. Po co takiej kobiecie byłby karłowaty czteroręki dzieciak o takich sobie zdolnościach do mechaniki?

Jedynie najważniejszy z nich wszystkich Esh Gurleen wciąż pozostawał dla Dime tajemnicą. Chłopak nie raz i nie dwa próbował naciągnąć siwowłosego mężczyznę na zwierzenia, ale tamten zawsze zdołał się wykręcić.

- W moim życiu nie ma nic ciekawego - mówił. - Jestem zwykłym nauczycielem i mam zdolności takie, jakie prywatny nauczyciel mieć powinien. Dobra pamięć, talent do radzenia

sobie z dzieciakami plus niezbyt obszerna wiedza z paru różnych dziedzin. Nic, czym mógłbym się jakoś szczególnie chwalić. Dotychczas moim największym triumfem jest wychowanie Kairy.

- A wkrótce jeszcze większym będzie zawalenie światów?

- zapytał Dime. Dałby wiele, aby coś wreszcie zaczęło się dziać.

- Owszem. - Siwowłosy z powagą skinął głową. - Jeśli los pozwoli.

W przeciwieństwie do większości ludzi nigdy nie mówił: jeśli Przedksiężycowi pozwolą. Dime czasem miał wrażenie, że Gurleen Przedksiężycowych nienawidzi. Nie boi się ich, jak wszyscy, lecz nienawidzi.

- Kiedy? - naciskał chłopak, ale siwowłosy uśmiechnął się tylko. Nie był małomówny; gdy się napił, potrafił przez cały wieczór opowiadać zabawne anegdoty. Lecz najważniejsze kwestie albo pomijał, albo też zbywał żartem.

Dime wciąż nie wiedział, jak Gurleen wyobraża sobie wysadzenie wszystkich Archiwów w jednym czasie i skąd zamierza wziąć materiały wybuchowe. Wierzył jednak, że mężczyzna ma plan.

Myśli o planie sprawiły, że pewnego wieczoru chłopak uświadomił sobie jeszcze jedno.

- A jeśli podczas Skoku zostanie pan z tyłu, a my nie będziemy wiedzieli, co robić? - zapytał, gdy podgrzewali nad piecykiem wino. Pozostali członkowie grupy rozsiedli się niedaleko na materacach i grali w karty. Nikt nie zwracał uwagi na Gurleena i Dime. - Nie żebym uważał, że tak się stanie...

- Przemknęła mu przez głowę nielojalna myśl o nadmiernym upodobaniu Gurleena do wina. Czy tacy ludzie mogą dotrzeć do Przebudzenia? - Ale wie pan, to może spotkać każdego, więc może jednak powinien pan nam zdradzić, jak zawalić światy. Tak na wszelki wypadek...

Siwowłosy spojrzał na chłopaka z łagodną zadumą.

- Popelniasz ten sam błąd, co wszyscy - odparł. - Zakładasz, że ludzie, którzy zostają z tyłu, nie liczą się, bo praktycznie już nie żyją. Ale przecież to nieprawda. Gdy zostanę w przeszłości,

będziecie mogli przyjść do mnie, a ja wszystko wam wytłumaczę.

- Tak, oczywiście, jasne, że tak. - Dime przeklął swoją jasną cerę, która sprawiała, że rumieniec był tak bardzo widoczny. Miał wrażenie, że uszy mu płoną i czuł się jak skarcony uczeń.

Z kubkiem gorącego wina w dłoniach podszedł do okna. Padał śnieg i ciemność za szybą wyglądała jak obsypana białym konfetti. Miękkie, szczipione ze sobą płatki gładko sunęły przez mrok, osiadając na zamrożonym błocie i zlodowaciałych kałużach.

Dime przebywał z ludźmi Gurleena od dwóch tygodni, a wydawało mu się, że trwa to znacznie dłużej. Jednak nigdy wcześniej nie widział w przeszłości śniegu, tylko szron, który rankiem pokrywał rdzewiejące mechanizmy oraz ciała zmarłych.

Jeśli minusowa temperatura się utrzyma, pomyślał, miasto może wkrótce wyglądać całkiem ładnie.

A potem - ponieważ myślami wciąż był przy kwestii czasu - przyszło mu do głowy: „Skok już za cztery dni”.

I ośnieżone Lunapolis natychmiast straciło swój urok.

Gurleen położył mu rękę na ramieniu. Chłopak wzdrygnął się w odruchu na wpół powodowanym strachem, a na wpół wynikającym z wciąż gnębiącego go poczucia winy.

- Przepraszam... - wymamrotał znad brzegu gorącego kubka.

- Wszystko w porządku. Dobrze, że zapytałeś. To świadczy, że myślisz, a myślenie jest zawsze pozytywnym objawem. - Gdy nauczyciel żartobliwym gestem poklepał Dime po plecach, chłopak spróbował odpowiedzieć uśmiechem, ale nie bardzo mu wyszło. - Pomyśl o tym jako o czymś w rodzaju ochrony. Nie chcę mówić za dużo, bo zawsze istnieje ryzyko, że kogoś z was dopadnie straż miejska, a wtedy lepiej, żebyście wiedzieli mniej niż więcej.

A jeśli straż dopadnie ciebie?, zapytał w myślach Dime, ale nie powiedział nic. I tak wystarczająco już się wygłupił.

Jeszcze coś przyszło mu do głowy. Może był idiotą większym nawet, niż mu się wydawało. Odwrócił się i spojrzął na Gurleena.

- Kaira wie, prawda? Jej pan zaufał... A Finnen? Jemu też pan powiedział?

- Kaira i Finnen wiedzą tyle samo, co ty. Mojej dziewczynce nawet nie przyszło do głowy, że coś mogłoby mi się stać, ale Finnenowi owszem, i pieklił się znacznie bardziej niż ty. A odpowiedź dostał taką samą, więc proszę, nie rób scen. No chyba - mężczyzna wyszczerzył zęby w przelotnym uśmiechu - że koniecznie chcesz, ale po co, skoro to i tak nic nie da. Lepiej zużyj energię w bardziej sensowny sposób.

Dime wymamrotał coś, co musiało być kolejnym z licznych w jego życiu „przepraszam”, i wrócił do gapienia się w szybę.

Gurleen westchnął.

- W Halach brakuje mięsa, niedługo zostaną tylko warzywa i owoce... A po drewno na opał musimy chodzić coraz dalej. Najwyższa pora przenieść się do nowszej rzeczywistości, jak sądzisz?

- Tak, chyba tak.

- Zrobimy to, ale po Skoku - zdecydował siwowłósy. - Te kilka dni jeszcze jakoś wytrzymamy, a na czas Skoku i tak musimy wyjść na górę.

## 16

Kaira wróciła późnym wieczorem, gdy niemal wszyscy już spali. Tylko Dime czekał na nią, wpatrzony w śnieg wciąż padający za oknem.

Dziewczyna strząsnęła z włosów białe płatki, otworzyła wieczko latarni i zdmuchnęła świecę.

- Nie powinnaś sama wychodzić - w głosie Dime zabrzmiała pretensja, choć bardzo starał się jej wystrzegać. - To niebezpieczne.

Zdjęła kurtkę i poklepała *darakkę*, która wisiała przy jej pasie.

- Poradzę sobie w razie czego. Poza tym rozmawiałam z Gurleenem i nie miał nic przeciwko - dodała, jakby to wszystko wyjaśniało.



- Ale po co w ogóle wychodziłaś?

- Widziałam po południu kobietę, która szła w kierunku Hal.

- Rysy Kairy wykrzywiła nagle złość tak silna, że Dime cofnęła się odruchowo. - Nie, nie szła. Widzisz, nawet ja próbuję omijać niewygodne fakty. Wlokła się, czepiała ścian, przewracała, a potem znów podnosiła. I wyglądała na tak słabą, że nie mogła dotrzeć daleko.

- I chciałaś jej pomóc? - Chłopak nadal nic z tego nie rozumiał.

- Nie. Przecież i tak nic nie mogłabym dla niej zrobić. Chciałam tylko... - Wzruszyła ramionami. Usta nadal miała zaciśnięte w wąską kreskę, ale złość chyba jej już minęła, teraz twarz dziewczyny wyglądała raczej na zaciętą w wyrazie posępnej desperacji. - Zamknąć jej oczy, rozumiesz? Gdybym znalazła ją martwą. Czasem robię to dla tych ludzi. Powinam też zabierać ich ze schodów, ale na to nie mam siły, a poza tym oni szybko przymarzają...

- Ale po co?

- Bo tak trzeba i przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić. Uważasz, że ci, którzy zostali z tyłu, nie zasługują na odrobinę szacunku?

Ton Kairy zabrzmiał tak zaczepnie, że Dime natychmiast się wycofał.

- Nie, nie o to chodzi... - zaplątał się. Po raz drugi tego wieczoru został skarcony. Jeśli jednak w rozmowie z Gurleenem rzeczywiście chyba słusznie mu się należało, to teraz uważał, że dziewczyna przesadza. Nie chciał się jednak z nią spierać.

- Po prostu trochę to dziwne... I martwię się o ciebie - dodał pośpiesznie.

Kaira przysunęła krzesło bliżej piecyka i rozpuściła włosy. Urosły w ciągu ostatnich tygodni, tak że teraz mogła splatać je w biały, zabawnie sterczący warkoczyk.

- Skoro uważasz, że to takie dziwne, zawsze możesz zmienić towarzystwo - mruknęła, wyciągając dłonie w stronę ognia.

- Na przykład na Tashę albo Jaramei. Mogę się założyć, że one też tak myślą.

Dime bardzo chciałby, żeby Kaira była zazdrosna o czas, jaki spędzał z Tashą i Jaramei. Chciałby, ale wiedział, że tak nie jest. Nie był to też żart; Kaira czasem mówiła mu takie rzeczy w żartach, teraz jednak wydawała się roztargniona, odległa i wciąż - mimo wszystko - z jakiegoś powodu zła.

Wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął jej włosów.

- Hej, nie kłóćmy się, co?

- Ja się nie kłóczę. - Potrząsnęła głową, wciąż nie patrząc na chłopaka. - Poza tym przecież z tobą nie można się pokłócić.

## 17

Pomieszczenie, do którego zaprowadziły go Skadrunki, miało kształt sześciopłatkowego kwiatu i czarne ściany z wąskimi szparami okien, w które wprawiono czerwone szyby. W kątach zalegał mrok, a pośrodku, obłany strumieniem krwistego blasku, stał znany już Finnenowi półprzezroczysty parawan, przed nim zaś krzesło.

Gdy usiadł, sylwetka za parawanem drgnęła lekko. Chłopak spoglądał na nią z fascynacją: baniasta głowa z trudem trzymająca się na chudziutkiej szyi i wątłych ramionach, palce... czy ten człowiek rzeczywiście miał po dziesięć palców u jednej ręki? Wydawały się tak drobne i stłoczone, że z pewnością zamiast czynić właściciela zręczniejszym, tylko utrudniały mu życie.

- Jak się pan czuje? - zabrzmiał głos, który Finnen już znał, suchy i chrypiący.

- Ma pan na myśli, czy mam ochotę kogoś tu zamordować? Oczywiście, ale to miałem ochotę zrobić już wcześniej, przed genozmianą.

Za parawanem rozległo się ni to kaszlnięcie, ni śmiech.

- Ma pan poczucie humoru. Świetnie. Ale ja nie o to pytam. Jak się pan czuje po naszej kuracji? Wciąż miewa pan bóle głowy?

- Nie, już nie - odparł z odrobiną ociągania.

- To dobrze, naprawdę znakomicie. Pierwszą genozmianę

zazwyczaj przechodzi się najciężej, potem człowiek się przyzwyczaja.

- Kiedy zacznę... odczuwać skutki?

- Zapewne już wkrótce, za dzień, może dwa. Ale proszę nie liczyć na mordercze instynkty. Panienska, która z panem przyszła, zapłaciła za to, byśmy zrobili z pana zręcznego złodzieja i skrytobójcę, a nie art-mordercę.

- Wiem - burknął Finnen. - Przecież żartowałem.

- Będzie pan zabijał, owszem, sprawnie i szybko, ale jak miemam, nie czerpiąc z tego przyjemności. Choć za dodatkową opłatą moglibyśmy jeszcze zmienić pana talenty...

- Tak żeby zrobienie naszyjnika z czyichś wnętrzności wydawało mi się bardzo pociągające? Nie, dziękuję. Preferuję nieco inny rodzaj sztuki.

Ironia najwyraźniej do duszoinżyniera nie dotarła, bo odparł z całkowitą powagą:

- Oczywiście, rozumiem.

Finnen nie sądził, aby tamten rozumiał. W gruncie rzeczy miał wrażenie, że Jez Liander w ogóle nie dostrzega w nim człowieka, lecz jedynie pacjenta: zbiór kości, mięśni i komórek mózgowych, które należy odpowiednio zmodyfikować, by uzyskać spodziewany efekt. Skadranki traktowały go w podobny sposób. Codziennie rano któraś z nich (nie miały nawet osobnych imion, więc Finnen darował sobie odróżnianie) stawała przy jego łóżku i zadawała mnóstwo pytań: jak mu się spało, czy coś mu dolega, co ma ochotę zjeść na śniadanie i czy czuje się gotów, by przejść do kolejnego etapu ćwiczeń. Odpowiedzi słuchała z uwagą, lecz wszystko, co poza nie wykraczało - próby zagadywania, dowcipy, nawet niewinne uwagi na temat pogody - było uprzejmie zbywane. Finnen miał przykre wrażenie, że takich jak on przebywało tu już zbyt wielu: wystraszonych, ale nadrabiających miną i marnymi żartami. Własna nieoryginalność bolała go, jednak chłopak starał się ów ból traktować z lekceważącym rozbawieniem, bo doprawdy miał teraz mnóstwo poważniejszych problemów na głowie.

Fizycznie z każdym dniem czuł się lepiej - popołudniowe ćwiczenia na specjalnych urządzeniach sprawiły, że znikła war-

stewka tłuszczu na brzuchu i ramionach, która tak go irytowała, a mięśnie nabrały siły. Z dnia na dzień stawał się zręczniejszy i szybszy. Na przykład wczoraj Skadranka, która przyniosła mu śniadanie, upuściła przypadkiem kubek, a on odruchowo, w ogóle o tym nie myśląc, schylił się i go złapał, nim szkło rozbiło się na podłodze. Każdego wieczoru za pomocą Szybkiego Systemu Nauki pakowano mu też bezpośrednio do mózgu informacje o różnego rodzaju zamkach, kluczach, kratach, tajnych hasłach i innych zabezpieczeniach.

Niemniej coraz lepszej kondycji i większej wiedzy towarzyszyło zagubienie. Psychicznie czuł się dokładnie tak samo, wciąż był Finnenem, który za dużo myśli i który lubi o sobie myśleć, że za dużo myśli, wciąż też miał ochotę malować, choć jednocześnie bał się tego i od czasu ostatniego wieczoru na tarasie nawet nie dotknął pędzla.

Nie zmieniłem się, powtarzał sobie, najpierw z ulgą, a potem - mimo wszystko - z odrobiną rozczarowania. Co jeśli on, Finnen, okaże się jedyną osobą odporną na genozmianę? Czy coś takiego w ogóle było możliwe?

Jeśli tak, to przynajmniej naprawdę będę oryginalny, myślał, odzyskując dobry humor. A poza tym zatrzyma nowe, lepsze ciało, bo przecież tego mu nie zabiorą. I nie będzie musiał zabijać, ani artystycznie, ani w żaden inny sposób. A Kaira wścieknie się, kiedy jej powie, że zmarnowała tyle pieniędzy.

Każda z tych myśli na swój sposób sprawiała mu przyjemność i razem niemal rekompensowały wrażenie, że jeśli rzeczywiście tak się stanie, to być może ominie go coś nowego i ciekawego.

Duszoinżynier milczał za swoim parawanem, a Finnen cierpliwie czekał na pozwolenie odejścia. O szyby zabębnił deszcz, strużki wody ściekały po szkle w kolorze krwi. Pomieszczenie, już wcześniej mroczne, stało się jeszcze ciemniejsze. Mimo to Liander nie obudził lampek świetlikowych.

Może on tam umarł za tym parawanem, przemknęło Finnenowi przez głowę. Pomyślał o zdeformowanym ciele zwisającym bezwładnie w uprzęży, która utrzymywała duszoinżyniera w pionie i - przypięta do stelaża, który z kolei umocowany był na niewielkim podeście - pomagała mu się

przemieszczać. Chłopak nigdy nie widział jego twarzy, ale często słyszał zgrzyt płóz, gdy całość: człowiek, lniane pasy i konstrukcja z metalu, sunęła korytarzem, osłaniana przez dwie Skadrunki niosące parawan.

Zsunął ze stopy kapeć i dużym palcem dotknął posadzki. Była tak zimna, że aż się wzdrygnął. Deszcz za oknami nadal padał, bębniąc równym, usypiającym rytmem. Chłopak wsłuchał się w ciszę i dopiero teraz, gdy się skupił, usłyszał lekko poświstujący oddech Liandera.

Może zasnął, pomyślał Finnen i odchrząknął.

- Nie śpię - odparł duszoinżynier. Jego zdolności telepatyczne były teoretycznie jednostronne, potrafił kierować ciałami Skadranek i nic więcej, jednak chłopak był przekonany, że coś z jego myśli przenikało jednak do umysłu siedzącego za parawanem człowieka. - Prawdę powiedziawszy, chciałem sprawdzić, jak bardzo cierpliwy potrafi pan być.

Po co?, nie zapytał Finnen, czego pewnie się po nim spodziewano. Powstrzymanie się przed tym - a ciekawość go gryzła - sprawiło mu niejaką satysfakcję.

- Mogę już odejść? - zapytał zamiast tego.

- Tak, oczywiście.

Wyszedł, żegnany suchym, zgrzytliwym śmiechem, który lada moment miał przejść w kaszel.

Przed drzwiami czekała już na niego Skadranka, która skinęła głową, by szedł za nią. Zirytowało go to.

- Naprawdę sam potrafię trafić do swojego pokoju. Czy wszędzie ktoś musi ze mną chodzić? Boicie się, że wykradnę wasze sekrety? Albo zasztyletuję kogoś ukradkiem w kącie?

Na Skadrance ironia zrobiła równie małe wrażenie jak na duszoinżynierze. Widać wszyscy byli tu pozbawieni poczucia humoru.

- Takie są zasady - odparła chłodno i ruszyła w dół schodami, które skręcały się na kształt muszli. Nad nimi na plafonach widniały wyblakłe malowidła przedstawiające ludzi wylegujących się pod drzewami, tańce na łące i kosze pełne owoców.

Były to sceny zaskakująco sielskie jak na siedzibę artzbrodniarzy i Finnen zapytał kiedyś, skąd się tu wzięły, jednak

za odpowiedź musiało mu wystarczyć wzruszenie ramion Skadrunki.

- Były tu już wcześniej - powiedziała, mając zapewne na myśli czasy, gdy w wieży nie urzędowali jeszcze art-zbrodniarze, a może i takie, gdy art-zbrodniarze w ogóle nie istnieli.

Z wysokości drugiego piętra Finnen usłyszał znajomy głos. Przechylił się przez poręcz - w hallu na dole stała Kaira, deszcz ściekał jej z włosów i płaszcza, kapiąc na czarno-białą mozaikę przedstawiającą kwiat wilczej jagody, symbol art-zbrodnia- rzy. Przed nią, z założonymi na piersiach rękami, tkwiły dwie Skadrunki niczym żywe uosobienie nieprzejednania.

- Zaczekaj. - Finnen chwycił za łokieć pielęgniarkę, która mu towarzyszyła.

- Chcę się z nim zobaczyć - mówiła tymczasem Kaira. - Czy to jest tak skomplikowana prośba? Tylko na chwilę...

- Przykro mi - odparła jedna ze Skadranek tonem, który wyraźnie świadczył, że wcale przykrości nie odczuwa. - W czasie trwania kuracji nasi paq'enci nie mogą przyjmować wizyt. To mogłoby wpłynąć na ich psychikę, która jest teraz bardzo wrażliwa.

- Psychice Finnena nic nie będzie. - Przez twarz dziewczyny przemknął wyraz zniecierpliwienia. - Poza tym, czy nikomu nie wpadło tu do głowy, że wizyta przyjaciela raczej pomoże, niż zaszkodzi? A ja jestem jego przyjaciółką. Na pewno chciałby się ze mną zobaczyć.

Finnen wychylił się jeszcze bardziej, zaciśnięte na poręczy palce bolały. Przyszło mu do głowy, że Kaira bardzo się zmieniła przez ostatnich kilka tygodni i w niczym nie przypomina już tamtej zagubionej dziewczyny, którą poznał na placu Wodnym. Była bardziej pewna siebie, a jednocześnie jakby... twardsza i smutniejsza. I - co chłopak uświadomił sobie w tej właśnie chwili, jakby doprawdy nie było lepszych momentów - zdecydowanie bardziej pociągająca.

Ciekawiło go, jak skończy się pojedynek dwóch równie upartych osobowości. Sam stawiał raczej na pielęgniarki - miały większą praktykę w tego typu starciach, a poza tym były we dwie.

- Przykro mi - powtórzyła Skadranka tym samym płaskim tonem. - Mamy swoje zasady. Nie mogą ich łamać.

- W takim razie chcę się widzieć z kimś, kto tu rządzi. - Noga pod spódnicą poruszyła się, jakby dziewczyna tupnęła.

- To nie nie da. Poza tym nasz przełożony teraz odpoczywa i nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzać.

- Będę tu czekać, dopóki do mnie nie przyjdzie.

- Może pani tu czekać choćby i do Przebudzenia, ale dalej pani nie wejdzie.

Mierzyły się wzrokiem jak trzy psy przed walką. Finnen zastanowił się, czy Kairze przyjdzie do głowy zaproponować Skadrantom pieniądze. To był najprostszy i prawdopodobnie skuteczny sposób.

Nie przyszło. Takie rozwiązania najwyraźniej nie mieściły się w jej wizji rzeczywistości. Chłopak uśmiechnął się lekko, niemal z czułością. Kaira mogła być pewna siebie i ładna, ale nadal miała niewielkie pojęcie o zasadach, według których działa świat.

Po kilku chwilach Kaira jakby oklapła; jej ramiona, dotąd wojowniczo uniesione, opadły, ale usta wciąż miała zacisnięte w wąską kreskę. Finnenowi przemknęła przez głowę myśl, której niemal natychmiast się zawstydził.

„Dobrze jej tak”.

Dziewczyna odwróciła się z ociąganiem, a w progu jeszcze przystanęła - teraz Finnen widział ją, tylko gdy wychylił się przez poręcz tak mocno, że stojąca obok Skadranka chwyciła go za łokieć i pomrukiem wyraziła dezaprobatę.

- Czy mogłabym... - powiedziała Kaira. Usta wciąż zaciskały się w kreskę, oczy miała lekko zmrużone. Stała na tle otwartych drzwi, strugi deszczu podświetlone blaskiem latami tworzyły za jej plecami połyskliwą kurtynę. Długi, szczupły cień znaczył posadzkę jak maźnięcie szarej farby. - ... czy mogłabym zobaczyć się z Finnenem przynajmniej w wieczór Skoku?

W tym momencie Finnen pozwolił sobie na odrobinę współczucia i jeszcze więcej żalu, zaraz wypartego innym, znacznie silniejszym uczuciem.

Chciał namalować Kairę taką, jaką widział teraz - z rękoma w kieszeniach, deszczem za plecami i twarzą zaciętą w wyrazie smutnej, niepotrzebnej już i bezsensownej złości, bo odpowiedź Skadrunki była oczywista:

- Nie. Przykro mi. Mamy swoje zasady.

- Zasady, jasne... - Kaira wzruszyła ramionami, a Finnen odwrócił się i z całą mocą przekonywania, na jaką było go stać, kazał przynieść sobie - teraz, natychmiast - arkusz papieru i węgiel do szkicowania.

## 18

Gdy jego ręka zawisła nad białą, nieskalaną powierzchnią, poczuł nawrót lęku. Potarł czoło i odetchnął, starając się zwalczyć uczucie ssącej pustki w żołądku. Uda mu się, musi się udać. Przecież miał ten obraz w głowie, widział dokładnie każdą kreskę i cień. Poza tym to tylko szkic węglem. Nawet przy założeniu, że duszoinżynierowie odebrali mu część talentu, na prosty rysunek powinno wystarczyć.

Dłoń lekko mu drżała, gdy maznął pierwszą niepewną linię. Wydawała się w porządku, więc dodał drugą. Serce uspokajało się powoli, oddech wyrównywał, a sylwetka Kairy nabierała kształtów. Ciemna twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i chmura białych włosów, ręce w kieszeniach i zarys długich nóg pod spódnicą do kostek.

Finnen rysował, lewą ręką przytrzymując leżącą na podłodze kartkę, a prawą dociskając węgiel tak mocno, aż rozboleł go nadgarstek. Na papierze czarne smugi mieszały się ze śladami pozostawionymi przez spocone palce. W pokoju pociemniało, a chłopak oddychał coraz ciężiej. Mdlące uczucie strachu przerozdziło się w ponurą determinację.

„Musi się udać”.

Kolejne gwałtowne dźgnięcie węglowym sztyftem wyszarpięło kartkę spod dłoni. Finnen złapał rysunek i spojrzał na niego, po raz pierwszy naprawdę spojrzał na szkic i zobaczył to, co narysował, a nie to, co sobie wyobrażał.



Kaira wyglądała na nim jak upozowana drewniana lalka. Twarz miała pustą, wręcz głupią, podobną do siebie tylko o tyle, o ile nieudana karykatura może być podobna do pełnego wdzięku oryginału. Cały szkic sprawiał wrażenie zrobionego przez pozbawione talentu dziecko, któremu siłą wbito do głowy podstawy artystycznego rysunku. Proporcje zostały zachowane, owszem, ale całość była pozbawiona choć odrobiny życia.

Chłopak włożył dłoń między zęby i zacisnął szczęki. W ustach czuł smak węgla, potu i krwi. Ból popłynął w dół, do żołądka, gdzie ospale wzbierały mdłości. Finnen jęknął. W uszach słyszał monotonne dudnienie, obraz rozmazywał się przed oczami. Było mu gorąco. Niezgrabnym ruchem - jakby ręce nie należały już do niego - przedarł kartkę na pół. I jeszcze raz, a potem znowu, aż z kartki zostały strzępy. Musiał to zrobić, bo ten rysunek był najwstrętniejszą rzeczą, jaką w życiu widział, nawet bardziej obrzydliwą niż rozkładające się w przeszłości zwłoki.

Odwrócił się, nadal tak samo niezgrabnie, niezbornymi ruchami, ręce rozjeżdżały mu się na posadzce, gdy próbował się podeprzeć. Uniósł głowę i zobaczył stojącą w progu Skadrankę. Być może tkwiła tam cały czas, a może przyszła dopiero teraz, zwabiona jego jękiem. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć - Finnen miał pewność, że byłoby to znane mu już „Przykro mi”, wymówione głosem pozbawionym emocji.

Wstał, potknął się, ale utrzymał równowagę i w dwóch skokach przebył dzielącą go od kobiety odległość. Chwycił jej białą, świeżo wykrochmaloną koszulę, na której jego palce zostawiały smugi węgla oraz krwi, i popchnął Skadrankę na ścianę. Usta kobiety ułożyły się w wyrazie zdziwienia, a jej oczy rozszerzyły się.

- Nie potrafię już rysować - wydyszał Finnen. - Nie. Potrafię. Rysować. - Każde słowo akcentował kolejnym szarpnięciem za bluzkę.

Głowa kobiety uderzała o ścianę, lecz jej rysy po początkowym przestraszeniu wróciły do zwyczajowego opanowania.

- Wiedział pan, że tak będzie. Podpisał pan zgodę.

- Nie musieliście zabierać mi wszystkiego. - Położył dłoń z rozcapierzonymi palcami na policzku kobiety. Miał ochotę wbić paznokcie w miękką skórę i zostawić na niej krwawe ślady. Wyobrazził sobie wszystkie Skadrunki w Wieży, nagle z okrzykiem bólu łapiące się za twarze, i ten obraz mu się spodobał. Każda z nich była tak samo winna.

- Musieliśmy zabrać pana największy talent i pan dobrze o tym wie - powiedziała ta z nich, która stała najbliżej, patrząc mu w oczy.

Finnen wreszcie puścił ją i odwrócił się w stronę okna, o które bębnił deszcz. Przeszedł kilka kroków i oparł czoło o chłodną szybę. Nie czuł już gniewu, tylko otepiałą rozpacz. Nic w życiu mu nie wyszło, nawet ten atak złości wydawał się bezsensownie dziecinny. Miał wrażenie, że stojąca za jego plecami kobieta pogardza nim i, co więcej, uważał, że słusznie.

- Uspokoił się już pan? - dobiegł go z tyłu lekko podejrzliwy głos. - Bo jeśli nie, to wezwę...

- Nie trzeba nikogo wzywać. - Patrzył przez okno na zalany deszczem taras, na którym namalował swój najlepszy i jednocześnie ostatni obraz. Gdyby miał wystarczająco dużo zręczności i jeszcze więcej odwagi, z tarasu dostałby się na schody obiegające wieżę dookoła i uciekł stąd tuż przed zabiegiem. Tamtego dnia całkiem serio rozważał ten pomysł.

- Co się stało z Jayhą? - zapytał, nim Skadrunka znikła za drzwiami. Zatrzymała się.

- Jego talenty już się rozwinęły, więc jesteśmy zmuszeni trzymać go w odosobnieniu - odparła z ociąganiem.

- Aha - mruknął Finnen, wciąż zapatrzony w szybę, na której deszcz rozmazywał światła latarni zawieszonych nad tarasem.

- Aha.

Niraj już kolejny dzień tkwił pod siedzibą Związku Dmuchaczy Szkła, naprzeciw wejścia do Hal. Z miejsca, gdzie stał, mógł obserwować szeroką na kilkanaście metrów bramę,

w którą od rana aż do późnej nocy wlewał się tłum mężczyzn i kobiet. Czasem Nirajowi wydawało się, że to, co robi, nie ma sensu - ludzi było zdecydowanie zbyt dużo, aby w zbitej masie wypatrzeć tę jedną, charakterystyczną sylwetkę, jednak nie miał lepszego pomysłu. A poza tym, myślał, przytupując dla rozgrzewki, człowiek z gwiazd jest kulawy, będzie szedł wolniej, mam więc szansę, żeby go zauważyć.

Zatarł ręce i chuchnął, patrząc na obłoczek pary, który uniósł się z ust. Dziś rano temperatura znacznie się obniżyła, a niebo zasnuły śniegowe chmury o barwie brudnego owczego runa. Mróz ścinając kałuże pozostałe po niedawnym deszczu, zamienił niemal cały plac Żonglerów w wielkie lodowisko, po którym ludzie poruszali się ostrożnymi, posuwisto-drepczącymi krokami. Od czasu do czasu ktoś upadał, sam albo czepiając się przyjaciół, których pociągał za sobą. No i dobrze, myślał Niraj, obserwując jedną taką grupkę: piszcząca dziewczyna na dole i dwaj roześmiani chłopcy na górze, wszyscy machający nogami niczym przewrócony na plecy, szczęśliwi żuk. Może kulawy przyjdzie od strony Schodów Siepaczy i będzie musiał przejść przez plac, a wtedy pewnie też się przewróci. A ja będę mógł go dorwać.

Na placu, prócz ludzi zdążających z koszykami do Hal, sporo było tancerzy, mimów, pieśniarzy, krążyli wokół drobni sprzedawcy. Im lód zdawał się nie przeszkadzać - widać nauczyli się już po nim poruszać, a zimno nie robiło na nich wrażenia. Niektórzy nie mieli nawet płaszczy, tylko barwne, obcisłe i zdecydowanie zbyt cienkie na tę pogodę trykoty. Niraj wiedział, że odporność na niskie temperatury jest standardowym dodatkiem genetycznym w pakiecie talentów związanych z pracą na zewnątrz. Nic wielkiego, po prostu coś, co pozwalało tym ludziom lepiej prezentować swoje zdolności. Zazwyczaj nimi gardził, jednak teraz, garbiąc się i poruszając w kieszeni kurtki zeszytwniałymi palcami, był zwyczajnie zazdrosny. Wszyscy powinni mieć taką odporność, myślał, nie tylko pieprzeni artyści i sprzedawcy kielbasek. Skoro wszyscy mamy udoskonalony wzrok i potrafimy widzieć w półmroku, to moglibyśmy równie dobrze nie czuć zimna. Zwłaszcza teraz,

kiedy pory roku wzięły w łeb.

Tak naprawdę w Lunapolis istniały tylko dwa okresy, które uczciwie można było nazwać porą roku: ponura, ciemna i lodowata zima oraz chłodne lato. Oba trwały bardzo krótko i były przedzielone tygodniami kapryśnej, deszczowej i nijakiej pogody. Teraz zbliżała się zima, co Niraj a nie nastrajało zbyt optymistycznie. Zastanowił się ze złością, czy Przedksiężycowi nie mogliby choć raz w drodze łaski przenieść ich podczas Skoku od razu do lata, nie miał jednak wielkiej nadziei. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzały. Niezależnie od tego, ile lat przeskakiwali, zawsze ostatecznie lądowali w tej samej porze roku.

Pieprzone sukinsyny, wymamrotał, właściwie już bez złości. Wściekanie się na tajemniczych panów Lunapolis miało równie wiele sensu, co pretensje do wody, że zawsze płynie w dół, nie w górę. A Niraj szczyił się tym, że rzadko robi rzeczy pozbawione sensu.

Spojrzał w niebo, z którego zaczął sypać drobny śnieg. Przypominające ziarenka ryżu płatki osiadały na ramionach i włosach przechodniów, cienką warstwą przykrywały zamrożone kałuże, czyniąc je tym bardziej zdradliwymi. Mimo iż niedawno minęło południe, mrok zgęstniał tak bardzo, że na placu zapaliły się latarnie. Ich światła, z trudem przedzierające się przez białą zasłonę, przypominały rozmazane widma.

Niraj zastanowił się, czy nie powinien wejść do najbliższej kafejki, by tam przeczekać śnieżycę, popijając gorącą kawę z likierem migdałowym. Takie rozwiązanie kusilo, ale odrzucił je - widoczność wciąż była wystarczająco dobra, że mógł zauważyć charakterystyczną sylwetkę utykającego człowieka. Może nawet teraz, gdy zła pogoda odstraszyła wiele osób i plac świecił pustkami, miał na to większą szansę.

Skulił się, coraz bardziej zmęczony i zły. Do końca jego zmiany został jeszcze kwadrans - za chwilę przyjdzie jeden z ludzi Brina Issy, by go zastąpić, lecz Niraj wiedział, że te ostatnie minuty będą wlec się w nieskończoność. Był zmarznięty. Głodny i spragniony. A przede wszystkim miał dosyć czekania. Należał do ludzi czynu i chciał, żeby coś wreszcie zaczęło się

dziać.

Przecież ten facet musi prędzej czy później trafić do Hal. Wszyscy tu przychodzą, więc przyjdzie i on, zwłaszcza że brakuje mu pieniędzy, aby kupić przetworzone jedzenie. Co prawda nie znał nawet ich języka, ale skoro rzeczywiście miał takie szczęście, jak mówił ojciec, powinien tu trafić choćby przypadkiem.

Alternatywą było, jak pomrukiwał czasem złośliwie Unaj, poszukiwanie kulawego mężczyzny w całym wielkim mieście, a na to Niraj nie miał najmniejszej ochoty.

Zresztą kiedy już znajdzie człowieka z gwiazd, będzie się mógł popisać.

Uśmiechnął się i choć na chwilę zapominając o głodzie oraz zimnie, delikatnym, niemal pieszczotliwym ruchem dotknął wiszącej u pasa *darakki*, a potem aktywatora tarczy deflekcyjnej, który nosił przywiązany do nadgarstka lewej ręki. Nigdy wcześniej nie walczył z kimś, kto miał los po swojej stronie, i perspektywa starcia bardzo mu się podobała.

Jeśli tylko do walki dojdzie, szepnął Unaj, ale Niraj zdołał go uciszyć. Ostatnio nabrał w tym wprawy, niemniej złośliwe komentarze niechcianego towarzysza pozostawiały w nim cień niepokoju, którego długo nie potrafił się pozbyć.

Powiedz mi, Niraj, kiedy ostatni raz jadłeś pomarańcze? Pamiętasz, że znalazłeś w swoim pokoju skórki, ale nie pamiętasz, jak obierałeś owoce ani jak wkładałeś je do ust, prawda?

Albo: powiedz mi, Niraj, kim jest połykaczka ognia z placu Siepaczy, która za każdym razem, gdy cię widzi, uśmiecha się ciepło i zagaduje, wyraźnie sugerując, że coś między wami było? Czy ty w ogóle wiesz, jak ona ma na imię? Kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłeś? Czy poszedłeś z nią do łóżka? Jaka wtedy była? Jej dotyk, nagie ciało, jej miłosne szepty? Pamiętasz cokolwiek?

Zamknij się, zamknij się, zamknij się.

Unaj zamilkł tym razem chyba na dobre, a Niraj uniósł głowę. Nad nim przesuwiał się właśnie wagonik Kolejki, wlokąc za sobą szary cień. *Zgrzyt-zgrzyt*, pod wpływem wiatru kołysał się leciutko na linie, by po chwili zniknąć w otworze lwiej

paszczy, która rozwierała się nad bramą Hal. Zrobione z czerwonych szyb oczy kamiennego zwierzęcia w półmroku śnieżycy wydawały się połyskiwać złością, a zwierzęcy pysk bardziej niż kiedykolwiek sprawiał wrażenie naznaczonego piętnem potwornego głodu, takiego, który skręca trzewia w supeł i doprowadza do szaleństwa.

Niraj przymknął oczy. Śniegowe płatki topniały na jego czole, policzkach i powiekach, przynosząc ulgę jak delikatna piessczota tysiąca chłodnych palców. Mam zadanie do wykonania i wykonam je, myślał. Niech tylko facet się zjawi, bo od tego czekania zaczynam powoli dostawać świra.

Miał ochotę na walkę. Porządną, długą walkę, taką, w której jedyną regułą jest to, że nie ma żadnych reguł. Choć miał nadzieję, że ostatecznie nie będzie musiał zabijać człowieka z gwiazd, nie dlatego bynajmniej, żeby czuł litość, lecz ponieważ szczęście kulawego intrygowało go tak samo jak Brina Issę.

- Jeśli się okaże, że ludzie już wiedzą, kim ten mężczyzna jest, zabij go, a ja postaram się wyciszyć całą sprawę. Ale jeśli jeszcze się nie ujawnił, spróbuj go pojmać i przyprowadź do mnie.

Tak powiedział Issa, a Niraj, choć zazwyczaj przyjmował polecenia w milczeniu, zapytał: „Dlaczego?”. Nie spodziewał się odpowiedzi, niemniej ją otrzymał.

- Ciekawi mnie jego szczęście - odparł zapytany. - Sądzę, że gdybyśmy przeciągnęli tego człowieka na naszą stronę, mogliśmy je wykorzystać.

Niraj skinął głową na znak, że się zgadza. Nie zapytał, do czego wykorzystać. Był mądrym synem, który wie, że nie należy nadużywać dobrego humoru ojca.

Finnen szedł korytarzem, starając się poruszać jak najciszej. Drogę oświetlały mu rozmieszczone co kilka metrów latarnie z czerwonego lub błękitnego szkła, lecz właściwie ich nie potrzebował. W mroku widział bardzo dobrze, znacznie lepiej niż kie-

dyś, a poza tym wiedział, gdzie iść i tak naprawdę wystarczały mu wyczulone zmysły słuchu i dotyku.

Schody w górę, skręcić w lewo, w kolejny cichy i pusty korytarz. Kuliste lampy mrugały gazowymi płomieniami, oświetlając prosty wzór płytek, którymi wyłożono ściany: czarne romby na przemian z czerwonymi, na czerwonych kwiat wilczej jagody. Mijał rząd rozsuwanych drzwi, których kraty zdobił motyw żmij wijących się w krzewach akantu. Z niektórych pokoi dobiegały dźwięki, przytłumione chrapnięcia i szelesty, odgłos niespokojnych kroków, a nawet śpiew, tak cichy i przejmujący, że Finnen zatrzymał się, żeby posłuchać.

W kieszeni niósł klucz i był z siebie całkiem zadowolony.

Właściwe drzwi były przedostatnie. Prawdopodobnie - Finnen dla pewności wyświetlił sobie jeszcze w głowie widzianą niedawno mapkę, a potem dopiero cicho zapukał.

- Kto tam? - z drugiej strony dobiegł trwożliwy głos na granicy szeptu.

- To ja, Finnen. Przyszedłem porozmawiać.

- Chwała niech będzie Przedksiężycowym za ich łaski - mruknął Urhel Jayha. - Zamknęli mnie tu, wyobraża pan sobie? Powiedzieli, że moje zbrodnicze talenty już się ujawniły i jestem niebezpieczny, więc mnie zamknęli. Od dwóch dni nie rozmawiałem z nikim poza pielęgniarką, która przynosi mi jedzenie. Jeżeli w ogóle można nazwać to rozmową...

- Wiem. Dlatego przyszedłem.

- Sympatyczny z ciebie chłopak. Naprawdę sympatyczny...

- w głosie Jayhy zabrzmiała nutka przymilności, której Finnen wcześniej nie słyszał. - A czy istnieje może szansa, żebyś mnie stąd wypuścił, co? Tylko na chwilę, żebym przeszedł się po korytarzu i rozprostował nogi. Mam dość gapienia się na te same osiem ścian. Nie narobię ci kłopotów, obiecuję.

W ciszy chłopak słyszał niespokojny oddech człowieka po drugiej stronie. Musiał stać naprawdę bardzo blisko - Finnen wyobraził sobie, jak Jayha przyciska policzek do zimnego metalu, jak szepce w szparę i spoconą dłońią ściska rzeźbioną gałkę z nadzieją, że drzwi lada moment się rozsuną. Coś było

nie tak. Mężczyzna, którego znał, nie zachowywał się w ten sposób, mówił też innym tonem i dobierał inne słowa.

- Nie, przykro mi - odparł więc, choć klucz palił go poprzez materiał kieszeni. - Nie mogę pana wypuścić.

- A może dałbyś radę jednak coś wymyślić? - mruczał Jayha tym samym słodkim głosem. - Taki zdolny z ciebie chłopak... Jestem pewien, że gdybyś tylko się postarał...

- Przykro mi - Finnen powtórzył to z całą stanowczością, na jaką było go stać. - Ale mogę przez chwilę dotrzymać panu towarzystwa. Porozmawiać z panem.

- O czym mielibyśmy rozmawiać?

Chłopak zastanowił się.

- O morzu, na przykład. Pan bardzo lubi morze, prawda?

- Ach, morze... - Zza drzwi dobiegł śmiech, który spodobał się Finnenowi jeszcze mniej niż przymilny głos. - Oczywiście, że pamiętam. Wiesz, synku, że to najlepsze miejsce, aby pozbyć się zwłok? Wypływasz łódką, obciążasz trupa, a potem *plum!* Prosto do wody. Ciało wsuwa się pod powierzchnię gładko jak naga dziewczyna pod kołdrę. I już. Nikt nigdy nie dowie się, co zrobiłeś.

- Chyba już pójdę - wymamrotał Finnen. Czuł się jak idiota. Na samą myśl, że mało brakowało, a wypuściłby tego człowieka, zrobiło mu się niedobrze. Jakim cudem mógł w ogóle o tym myśleć? I było drugie, jeszcze gorsze pytanie.

„Czy ja też taki będę?”.

Z sykiem podkręcanych płomieni lampy gazowe wybuchły naraz dwakroć silniejszym blaskiem, zalewając korytarz strumieniami błękitnego i czerwonego światła, a ściany odbiły echo pospiesznych kroków. Z obu stron zbliżały się do Finnena Skadrunki, jedna od lewej, a druga od prawej. Chłopak skulił się w oczekiwaniu na nieuniknione.

Spodziewał się, że pielęgniarzki będą wściekłe, lecz one uśmiechały się lekko - w dodatku chyba po raz pierwszy szczerze.

- Podobało się panu? - zapytała jedna z kobiet.

- Słucham?

- Włamanie do naszej szafki w celu zdobycia klucza do pokoju pana Urhela Jayhy - wyjaśniła cierpliwie. - I grzebanie w



szufladzie biurka, żeby obejrzeć plan Wieży. A także wywabienie nas ze służbówki pod pretekstem, że w łazience znalazł pan kałużę krwi. Czy to wszystko się panu podobało?

- Ja... - Finnen odetchnął, starając się opanować oszołomienie. Pierwszy dziecięcy odruch nakazywał mu zaprzeczyć i przeprosić za nieposłuszeństwo, jednak zdołał się przed tym powstrzymać. Wiedział, że Skadranci mu nie uwierzą, a on wyjdzie na głupca. Zdecydowanie wolał być uważany za młodzieńca pełnego fantazji, choć niesubordynowanego.

Powiedział więc prawdę:

- Tak, bardzo mi się podobało.

Skadranka uśmiechnęła się szerzej, ukazując lekko pozółkłe zęby.

- W takim razie obawiam się, że pana również będziemy musieli zamknąć. Nie możemy pozwolić, aby pana talenty wyrządziły jakąś szkodę.

- A więc moje talenty już się ujawniły, tak? Niczego więcej mam się nie spodziewać?

Gdy kobieta skinęła głową, Finnen poczuł przyływ lęku, a po chwili, kiedy już z uwagą badacza przeanalizował swoje dzisiejsze pragnienia, obezwładniające uczucie ulgi. Nie miał najmniejszej ochoty nikogo zamordować ani nawet o tym rozmawiać, nie wyobrażał sobie także wrzucanych do morza zwłok.

Odpowiedział Skadrance uśmiechem. Jednak zrobiły z niego głupca, pozwalając mu wierzyć, że kontroluje sytuację, podczas gdy w rzeczywistości z pewnością przez cały czas wiedziały, co planuje. Mimo to chłopak był gotów serdecznie je wyściskać.

- Jak długo będę zamknięty?

- Zgodnie z zaleceniem duszoinżyniera przez dwa-trzy dni. To wystarczy, żeby ostatecznie zakończyć proces usprawniania mięśni. Wyjdzie pan stąd tuż po Skoku.

Skok. To już jutro, pomyślał Finnen. Jeszcze przez chwilę usiłował się cieszyć, lecz dobry humor rozmywał się coraz bardziej we wszechogarniającym uczuciu chłodu.

Strażnik w Archiwum rozwiązał kolejny test matematyczny i położył go na pozostałych. Tworzyły już spory stosik, a i tak były zaledwie dziesiątą częścią tych, które mężczyzna trzymał w domu. Westchnął, patrząc na kartki z mieszaniną dumy i obawy. Nie wiedział, czy to wystarczy, żeby przetrwać Skok, ale miał nadzieję, o tak, wciąż miał nadzieję.

Jak wszyscy w Lunapolis, podpowiedział mu instynkt i strażnik wykrzywił się w kwaśnym uśmiechu.

Sięgnął po następny test. *Interpolacja i aproksymacja. Wydawnictwo Uniwersyteckie*. Papier był pożółkły, a litery wyblakłe. Wszystkie testy, które mężczyzna rozwiązywał, pochodziły sprzed wielu Skoków, z czasów gdy na uniwersytecie było jeszcze wystarczająco dużo studentów, by opłacało się utrzymywać profile naukowe. Teraz zostały już tylko artystyczne, bo artystów wciąż nie brakowało. Nieliczni ludzie o uzdolnieniach matematycznych musieli radzić sobie sami, ucząc się od wynajętych preceptorów lub ze starych, zakurzonych książek.

Mężczyzna już miał zacząć zaznaczać właściwe odpowiedzi, gdy ostry ból w nadgarstku przypomniał mu, że robi to od kilku godzin. Uniósł dłoń i poruszał nią przez chwilę, prostując i zginając palce. Lepiej, dużo lepiej.

Wtedy zauważył dziewczynę.

Stała na zewnątrz, tuż przy progu, jedną ręką przytrzymując przed twarzą czarną maskę nura. Drugą odciągała połę zimowego płaszcza. Pod spodem była naga; na oczach oszołomionego mężczyzny płatek śniegu wylądował na jednym ze sterczących sutków i stopniał. Dziewczyna miała piersi w kształcie łez, może nieco zbyt ciężkie, ale ładne, i brzuch zaokrąglony lekko przez warstewkę tłuszczu. W pępku połyskiwał zielony kamyk, a włosy łonowe były wystrzyżone w kształt kosmatego serca.

Przelknął ślinę, czując, jak robi mu się gorąco. Zapomniany test spadł z jego kolan. Gapił się jak idiota, z pełną świadomością, że tak też wygląda. Dłonie mu się pocily, w ustach zaschło,

a w otworach maski oczy nieznajomej połyskiwały kpina, jakby dziewczyna doskonale wiedziała, co mężczyzna przeżywa.

Patrzyli na siebie, aż wreszcie strażnik zrozumiał, że dziewczyna nie wykona pierwszego kroku. Jeśli nie wtrąci się ktoś z zewnątrz - na co się nie zanosilo - będą tkwić tak w bezruchu aż do Skoku.

Odchrząknął i wstał. Bardzo chciał zrobić coś, co uczyniłoby tę sytuację przewidywalną, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Skierował się w stronę nieznajomej.

Mógł na przykład zapytać dziewczynę, czy dobrze się czuje, a potem, zależnie od tego, jaka byłaby odpowiedź, zabrać ją do domu albo do najbliższego szpitala.

Mógł skarcić ją i przepędzić, tak jak się karci i przepędza niesforne dzieci.

Mógł wreszcie zaprowadzić ją w ustronne miejsce i zatonać w jej ramionach, o nic nie pytając.

Gdy stanął przed nią, dziewczyna pod maską wciąż była trzema różnymi osobami. Wymagającą opieki wariatką. Dzieckiem, któremu zachciało się niemądrych i niebezpiecznych żartów. Uwodzicielską kochanką, która jakimś cudem – kierowana kaprysem bądź specyficznym gustem - wybrała właśnie jego, mężczyznę o sylwetce baryłki i twarzy różowoskórego prosięcia.

A potem nieznajoma odwróciła się, kiwając na strażnika palcem w czarnej rękawiczce bez palców, i pierwsze dwie możliwości przestały istnieć.

## 22

Mechaniczny ptak wylądował na parapecie i zastukał dziobem w szybę. Marely wpuścił go i wysłuchał nagranej informacji. Była krótka, zaledwie jednozdaniowa.

*- Jesteśmy w dzielnicy sierot, przy placu Kół Zębanych, w domu zdobionym ruchomą konstrukcją układającą się we wzór sfer niebieskich.*

Dopiero po chwili, gdy Marely sądził, że nic więcej nie usłyszy i już wyciągał rękę, by wykasować wiadomość, z głębi

mechanicznych trzewi dobiegło jeszcze:

- *Pamiętaj, komu masz darować życie.*

Jak mógłbym zapomnieć, mruknął do siebie, wypuszczając ptaka, po czym podszedł do śpiącej na kanapie dziewczyny. Wyglądała słodko, z dłonią tuż przy różowych ustach i cieniem długich rzęs na policzkach. Miała ciemną oprawę oczu, ale włosy jasne, barwy wyblakłej na słońcu słomy. Zawsze podobało mu się takie połączenie.

Marely pogłaskał ją delikatnie, tak żeby nie obudzić. Miał wrażenie, że powinien coś powiedzieć, ale nic spec'alnego nie przechodziło mu do głowy, a nie chciał psuć tej chwili banałem.

Zresztą wszystko co najważniejsze już zostało powiedziane.

## 23

Tellis ubrała się starannie: długa do połowy łydki szara spódnica, o ton jaśniejsza kamizelka z szerokim, dzierganym na szydełku kołnierzem, ciepły płaszcz oraz rękawiczki z mysiej skórki - jedyny luksus, na jaki mogła sobie pozwolić. Przejrzawszy się w lustrze, uznała, że wygląda dobrze: chłodno, spokojnie i profesjonalnie. Nic z tego nie było prawdą - kapitan nie była ani chłodna, ani spokojna, a to, co zamierzała zrobić, nie miało nic wspólnego z profesjonalizmem. Niemniej kobieta przez lata zdążyła się już nauczyć, że czasem pozory bardzo dobrze zastępują rzeczywistość.

Siwiejące włosy spięła dwiema perłowymi spinkami, a na usta nałożyła odrobinę błyszczyku. Dziś był wieczór Skoku i pierwsi ludzie już zdążali na plac Wodny, ciągnąc za sobą lampiony, które płynęły na tle chmur podświetlonych zachodzącym słońcem. Przez okna mieszkania wpadały odgłosy śmiechów i wesołe okrzyki, lecz kobieta słyszała je już tak często, że nie dała się oszukać. Co najmniej połowa z mieszkańców Lunapolis wcale nie bawiła się dobrze. Kapitan pamiętała to z czasów własnej młodości - wyzywający uśmiech na twarzy i prezentowana wszem i wobec pewność siebie, podczas gdy

wewnątrz człowiek cały się trzęsie.

Przed swoim pierwszym dorosłym Skokiem Tellis wymiotowała ze strachu przez całą noc, ale kiedy wyszła z domu, miała nienaganny makijaż, który skrywał bladość policzków, a głowę zadzierała wysoko. Sądziła wówczas, że to kwestia przyzwyczajenia, że po dwóch, trzech Skokach przestanie się bać i nie będzie już musiała udawać, ale to nie działało w ten sposób. Nieważne, ile razy powtarzała „Co ma być, to będzie”, nieważne, jak często przekonywała samą siebie, że przeżyła i tak dłużej niż większość ludzi i jeśli teraz zostanie z tyłu, to wciąż będzie mogła mówić o cholernym szczęściu - przed Skokiem bardziej niż kiedykolwiek czuła, że nie chce umierać. Była stara, czasem zmęczona i na wpół ślepa, ale kochała życie.

Wyszła z domu, zanim jeszcze ciżba na schodach zgęstniała na tyle, że z trudem dało się przez nią przecisnąć, i skierowała się w stronę placu Żonglerów. Szeroko otwarte drzwi tamtejszych kafejek i restauracji ukazywały niemal puste wnętrza. Dopiero po Skoku tłum tych, którzy przetrwali, wieje się do ciepłych pomieszczeń, by bawić się i świętować. Kelnerzy już porządkowali stoły i wypisywali menu kredą na tablicach. „Promocja! Tylko u nas! Tylko w wieczór Skoku!”. Tellis zastanowiła się, jak wiele chłopców i dziewcząt, uwijających się teraz jak w ukropie, zostanie dziś z tyłu. Kiedyś tuż po Skoku na Schodach Aylena zobaczyła na wpół ukończony obraz. Z płótna wyłaniał się zarys głowy młodej kobiety, a pod sztalugami leżały porzucone farby i pędzle, lecz malarz i modelka zniknęli. Na swój sposób był to jeden z najsmutniejszych widoków, jakie kapitan kiedykolwiek ujrziała.

Gdy stanęła przed domem Brina Issy, odetchnęła, starając się opanować nerwy. Może nie będzie go dziś w domu, szepnęła bardziej tchórzliwa część jej umysłu. Kusząca perspektywa, jednak nie - Tellis wołała już mieć to za sobą, a poza tym naprawdę potrzebowała pieniędzy.

Ujęła ciężką rzeźbioną kołatkę i zastukała. Drzwi otworzył mechaniczny służący, który gdy zapytała o Brina Issę, skinął głową, po czym gestem nakazał jej podążyć za sobą. Na razie szło nieźle, choć Tellis wiedziała, że najgorsze jeszcze przed nią.

Służący zaprowadził kobietę do małego pokoiku, wyglądającego na coś w rodzaju poczekalni.

- Pan Issa przyjmie panią za jakiś kwadrans. Teraz ma gościa.

Usiadła przy niskim stolyczku z czerwonej laki i wzięła do ręki czasopismo zostawione tu zapewne po to, by tacy jak ona mieli się czym zająć podczas czekania. Bezmyślnie przerzuciła kilka kartek, jednak żaden z artykułów nie przyciągnął jej uwagi. Wreszcie skoncentrowała się na głosach dobiegających zza drzwi, za którymi - jak zgadywała - znajdował się gabinet Issy.

Ciekawe, jaki to gość?

Wstała i bez śladu zażenowania przyłożyła ucho do zimnego metalu. Głosy były przytłumione, ale mimo to dało się rozróżnić słowa.

- Wezmę jedną z buteleczek, dobrze? - mówiła kobieta. - Nigdy nie wiadomo, do czego może się przydać ten specyfik.

- Już ja wiem dobrze, do czego chcesz go wykorzystać - odparł Issa, na co jego rozmówczyni wybuchła śmiechem, w którym słyhać było wyraźną nutę zmysłowej chrypki.

- Jeśli myślisz o tym samym, co ja, to znaczy, że jesteś bardzo niegrzecznym chłopcem, Brinie Isso.

Chłopcem? Kto, u licha, miałby odwagę nazywać Issę chłopcem? Tellis zmarszczyła brwi, lecz nim zdążyła nad tym pomyśleć, drzwi rozsunęły się, a ona w ostatniej chwili odskoczyła. Minęła ją kobieta idąca tak szybko, że kapitan zdążyła dostrzec tylko wysoką sylwetkę, futro niedbale narzucone na ramiona i błysk czarnych jak smoła oczu. Nieznajoma znikła, pozostawiając za sobą obłok perfum o zapachu ambry i cedrowego drzewa, a Tellis spojrzała wprost na Brina Issę, który stał w progu gabinetu. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

- Kapitan Tellis. - Nim zdołał się opanować, jego rysy wykrzywił krótki spazm złości. - Co pani tu robi? Kto panią wpuścił?

- Pański służący - odparła. Jego reakcja dodała jej pewności siebie. A więc Issa nie był aż tak niewzruszony, za jakiego chciał uchodzić. - Powiedziałam mu, że muszę widzieć się z panem w pilnej sprawie.

- Doprawdy? A jakaż to pilna sprawa?  
- Potrzebuję więcej pieniędzy.  
- Umówiliśmy się na pięćdziesiąt surimów i dostała je pani. Przez posłańca, tak jak było uzgodnione. Nigdy nie powinna pani przychodzić do mojego domu. Czy ktoś panią widział?  
- Nikt prócz pańskiego służącego i kobiety, która stąd wychodziła.

Issa chyba odetchnął z ulgą. To znaczyło, że ufał kobiecie równie mocno jak służbie. Wspólniczka?, zastanowiła się kapitan. Nieznajoma wiedziała o specyfiku, który być może był właśnie tym, co Jaina Naroomi ukradkiem wynosiła z Archiwum.

- Proszę wejść. - Issa z ociąganiem cofnął się w głąb gabinetu, a Tellis weszła i dyskretnie omiotła spojrzeniem pomieszczenie.

Przeszklona szafka z wypchanymi ptakami nie zrobiła na niej wielkiego wrażenia - wiedziała, że Issa jest bardzo bogaty. Podobnie nie zwróciła większej uwagi na kolekcję przedmiotów, których dziwaczność w pewien sposób pasowała do osobowości gospodarza. Jej wzrok przyciągnęła natomiast stojąca na biurku buteleczka z ciemnego szkła.

- Mam szczerą nadzieję, że nie przysłała tu pani, żeby mnie szantażować. - Issa usiadł za biurkiem. Tellis sama przysunęła sobie krzesło. Nie zamierzała stać przed nim jak uczeń, który dostaje burę od nauczyciela. - Nic pani na mnie nie ma, a poza tym znam wypróbowane metody na szantażystów i proszę mi wierzyć, nie chciałaby się pani z nimi zapoznać.

- Nie dlatego przysłałam. - Przełknęła dumę, która kazała jej się oburzyć na taką sugestię.

- A więc po co?

- Chciałam z panem porozmawiać. Zapłacił mi pan, żebym usunęła z mieszkania Jainya Naroomi ewentualne dowody prowadzące do człowieka, który ją zamordował. Wykonałam swoje zadanie, ale zrobiłam coś jeszcze, prawda? Coś, czego pan się nie spodziewał. Trafiłam na zdjęcia pana córki i oddałam je panu. Czy to nie jest warte dodatkowych pieniędzy?

- A więc nie szantaż. - Issa patrzył na nią w zamyśleniu. -

Tylko żebractwo.

- Nie. - Mięśnie jej twarzy drgnęły wyraźnie. Była pewna, że to zauważył. Zaciśnęła dłonie, nakazując samej sobie się uspokoić. - Po prostu uczciwa wymiana. Oddałam panu przysługę, a teraz proszę o coś w zamian.

- O pieniądze.

- Tak, pieniądze.

- Ile?

Przełknęła ślinę.

- Drugie pięćdziesiąt surimów. Chciałabym poprawić sobie wzrok.

- To spora suma.

- Czy pana córka nie jest tyle warta? Nie znalazłby jej pan bez mojej pomocy.

- Mam swoje metody na wszystko, także na odnajdywanie niesfornych dzieci. Pani tylko przyspieszyła to, co nieuniknione. Nie jestem pewien, czy to jest warte pięćdziesiąt surimów.

Spojrzała w okno, za którym zapadł już zmrok. Ile czasu zostało do Skoku? Pół godziny? Mniej? W kątach pokoju obudziły się świetlikowe lampki i zbite w złotą kulę zawisły pomiędzy ich twarzami. Blask odbijał się w ciemnym szkle buteleczki, która wciąż przyciągała uwagę Tellis.

- Mogę dziś umrzeć - powiedziała cicho.

- Każdy z nas może dziś umrzeć - odparł łagodnie Issa, a potem dodał z lekkim uśmiechem - a przynajmniej prawie każdy.

Kapitan milczała, bo nie było nic więcej do dodania. Przychodząc tutaj, obiecała sobie, że nie będzie prosić ani tym bardziej błagać i nie wspomni, że Brin Issa jest pierwszą osobą, od której wzięła łapówkę po latach ciężkiej i uczciwej pracy, z której była dumna i którą kochała bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę czy kobietę w swoim życiu. Nazbyt przypominałoby to żale uwiedzionej w późnym wieku dziewczycy, a na to nie chciała pozwolić.

- Pójdę już. - Wstała, a Issa pozwolił jej do trzeciej aż do drzwi.

- Proszę zaczekać.



Odwróciła się.

- Dam pani te pieniądze, pod warunkiem że nigdy więcej pani tu nie przyjdzie.

Skinęła głową. Warunek był oczywisty.

Mężczyzna sięgnął do szuflady biurka i odliczył stosik pięciosurimówek. Gdy Tellis wyciągnęła po niego rękę, poczuła przypływ chciwości, który sprawił, że sama sobie wydała się brudna. Jednak wątpliwości szybko minęły i kapitan zacisnęła dłonie na monetach. W dotyku były gładkie, jeszcze ciepłe od palców Issy.

Nie powiedziała „dziękuję” ani niczego w tym rodzaju. Nie czuła wdzięczności, tylko gorzką satysfakcję z dobrze wykonanego zadania. I nie chciała poniżyć się bardziej niż to konieczne.

Issa spoglądał na nią, jakby czegoś jeszcze się spodziewał, a potem odprawił ją gestem dłoni. Jednak Tellis nie ruszyła się z miejsca.

- Co jest w tej buteleczce? - zapytała.

- Słucham?

- Zastanawiam się, co tam jest. - Skinęła w stronę stojącej na biurku butelki z ciemnego szkła, w której wciąż odbijał się blask świetlikowych lampek. Nie pytała, aby otrzymać odpowiedź - była pewna, że Issa nie zechce jej udzielić - lecz by raz jeszcze, choć przez króciutką chwilę, zobaczyć, jak jej rozmówca traci swoje słynne opanowanie.

Nie spodziewała się odpowiedzi, a jednak ją otrzymała, po krótkiej chwili milczenia, gdy w oczach Issy rozbłysło coś nieprzyjemnego. I

- Uniwersalny Środek Fabbiniego.

Zmarszczyła brwi. Nazwa była jej znana, specyfik wymieniano często jako jeden z tych, które spowodowały najdłuższe Skoki. Wiedziała też, że to wynalazek zakazany decyzją Przedksiężycowych, do Przebudzenia zamknięty na dziewiątym piętrze Archiwum. A więc buteleczki rzeczywiście były kradzione. Nie miała jednak pojęcia, do czego płyn służy. Instynkt podpowiadał, że nie powinna pytać - widziała przecież błysk w oczach Issy - lecz ciekawość okazała się silniejsza.

Mężczyzna odpowiedział:

- Zapobiega starzeniu się, w niewielkim stopniu może też człowieka odmłodzić.

Tellis wstrzymała oddech, a potem, powoli, jej dłonie same zacisnęły się w pięści. W odpowiedzi wykrojona z ciemności twarz Issy wykrzywiła się w porozumiewawczym uśmiechu, jakby dzielili wspólny sekret.

Jeszcze przez chwilę kapitan miała nadzieję, że ojciec Kairy żartuje, że chce po prostu zrobić jej na złość, ale nie - jego gładka skóra i stare, mądre oczy mówiły, że usłyszała prawdę. Już przy pierwszym spotkaniu powinna zauważyć, że Issa wygląda nienaturalnie młodo jak na ojca jedenaściorga dorosłych dzieci. Jednak wtedy jej myśli zaprzętało wymyślanie usprawiedliwień dla łapówki, którą dostała pierwszy raz w życiu.

Tak więc w stojącej na biurku Issy buteleczce znajdowało się to, czego Tellis tak bardzo pragnęła. Mniej zmarszczek i siwych włosów, lepsze samopoczucie. Wygląd kobiety może nie młodej (nie była aż tak naiwna, by na to liczyć), ale przynajmniej już nie staruszki, na którą wszyscy patrzą z mieszaniną litości i chorobliwego zainteresowania. Mogłaby zabawić się z młodymi ludźmi, znaleźć sobie kochanka i sypiać z nim, niedręczona zażenowaniem oraz pytaniami, dlaczego mężczyzna się nią zainteresował. Mogłaby... Cóż, mogłaby po prostu na powrót poczuć się sobą.

Przelknęła ślinę. Wiedziała, że Issa czeka, aż zacznie go prosić, by dał jej choć odrobinę specyfiku.

Nie poprosiła. Kosztowało ją to całą siłę woli, na jaką mogła się zdobyć, ale zdołała odejść bez słowa.

## 24

Schody były puste, choć leżące na stopniach śmieci świadczyły, że niedawno przeszedł tędy tłum. Blask gazowych latarni wylawiał z mroku rozbite butelki, których zawartość barwiła błoto na odcień brudnej purpury, pomięte papierowe rożki, w jakich zazwyczaj sprzedawano cukierki lub lukrowane ciastka,

strzępy gazet i zdeptane setkami obcasów konfetti.

Ktoś zgubił maskę fauna - teraz połamaną już i ubłoconą, ktoś inny szeroką złotą bransoletę. Tellis niedbale trąciła ją czubkiem buta, sprawdzając, czy jest warta tego, by się schylić. Nie była, więc kapitan wsunęła dłonie do kieszeni i rozejrzała się. Na rurach układających się we wzór nieznanych jej równań matematycznych wisiał latawiec; podmuchy wiatru szarpały ogonem z papierowych kokard. W jednym z mieszkań na parterze trwała sprzeczka - Tellis nie rozróżniała słów, ale z tonu wywnioskowała, że to ostra, namiętna kłótnia kochanków. Poza tym na schodach panowała cisza... choć niezupełnie.

Kobieta przymknęła oczy i skupiła się. Wówczas usłyszała dobiegający z dala szmer tłumu zgromadzonego na placu Wodnym. Niespokojne szepty, nerwowe śmiechy i okrzyki wydawane przez setki gardeł układały się w pomruk to cichszy, to znów głośniejszy, pulsując równomiernie jak olbrzymie serce miasta.

Potem jej serce uderzyło mocniej i Tellis wiedziała już, co się działo. Gdy otworzyła oczy, po niebie płynęły litery. Widziała je pod takim kątem, że rozpoznawała kształty tylko najbliższych, lecz treść słów i tak jej nie interesowała. Ważne było samo pojawienie się napisów, bo to oznaczało, że do Skoku pozostało około dziesięciu minut. Jak zawsze w takich chwilach poczuła strach, ten najgłębszy, najbardziej paraliżujący, bo związany z całkowitą bezradnością. Jeśli Przedksiężycowi zechcą, aby została z tyłu, to zostanie i nic nie będzie mogła na to poradzić.

Sprzeczka kochanków osiągnęła apogeum, a w jednej z bram, którą Tellis dotąd uważała za pustą, poruszył się cień - długi, wychudły, z głową wciśniętą między ramiona. Właściciel owego cienia zaraz cofnął się głębiej w mrok, lecz kobiecie tyle wystarczyło, by domyślić się, kto to jest. Oczywiście, pomyślała, podczas gdy jej wargi wykrzywił gorzki uśmiech, powinnam wiedzieć, że mój pech nie skończy się na rozmowie z Brinem Issą.

- Mahameni, proszę cię, wyjdź - rzuciła w ciemność bramy, jednocześnie zastanawiając się nad sensownością tego kroku. Za dziesięć minut jedno z nich lub nawet oboje być może znikną w przeszłości, a tymczasem kapitan zamierzała wysłu-

chać oskarżeń Mahameniego i - jeśli tylko zdoła - obronić się przed nimi. Jednak właściwie dlaczego nie? Życie toczyło się nadal, anonimowi kochankowie wrzeszczeli na siebie z pasją, Tellis czuła się winna, a Mahameni z pewnością miał mnóstwo pretensji - i żadne z nich nie chciało spędzić tych dziesięciu minut na trwaniu w zwierzęcym, katatonicznym przerażeniu.

Tak więc zaczekała na Mehusa, który podszedł do niej niepewnym krokiem, ale z wypisaną na twarzy determinacją, której się zresztą spodziewała.

## 25

Gdy na niebie ukazały się pierwsze litery, Finnen zbliżył się do szyby oddzielającej jego pokój od tarasu. Z wysokości ostatniego piętra Wieży napisy wydawały się wręcz gigantyczne, o rozmazanych konturach i tak bliskie, że chłopak był niemal pewien, iż wystarczyłoby tylko wyjść na zewnątrz, by dotknąć którejś z liter. W porównaniu z ich intensywnym szkarłatnym blaskiem bladło światło gazowej latarni. Finnen wykręcił głowę i spróbował coś przeczytać, jednak zdołał odszyfrować jedynie końcówki wyrazów.

Zamrugał; oczy bolały go jak wtedy, gdy zbyt długo patrzył w słońce, i już po chwili wszystkie znaki, nawet te dotąd najwyraźniejsze, zlały się w jedno, a on miał wrażenie, że po niebie pełźnie ognista luna. Spojrzał więc w dół, na płytki tarasu, tak jasno teraz oświetlone, że można by tam znaleźć zagubioną igłę. Widać było nawet maleńkie plamy, które pozostawiła farba ściekająca z pędzla Finna. Chłopak przyłożył czoło do chłodnego szkła i wtedy ją zobaczył - czupryna barwy puchu z dmuchawca, wynurzająca się znad krawędzi tarasu z prawej strony, tuż przy ścianie. Z wrażenia wstrzymał oddech.

Kaira.

W ślad za czupryną pojawiła się twarz barwy węgla, a potem dłonie. Dziewczyna chwyciła krawędź i podciągnęła się. Sprawiała wrażenie radosnej, choć całe jej ciało drżało z wysiłku, a włosy zlepił pot. Musiała wejść po schodach wokół

Wieży, a potem przez ostatnich kilkanaście metrów wspinać się po żelaznej konstrukcji spowijającej siedzibę art-zbrodniarzy. Finnen sam rozważał przebycie tej drogi, tyle że w dół. Jednak tak naprawdę nie myślał o tym poważnie. Nawet teraz, po geno- zmianie, nie był pewien, czy zdobyłby się na to.

Kaira szła wzdłuż szeregu przeszklonych drzwi. Pukała do każdego, osłaniając dłonią oczy, próbowała zaglądać do środka. Finnen załomotał w szybę i dziewczyna odwróciła się. Uśmiech na jej twarzy stał się jeszcze szerszy. Podeszła i powiedziała coś, a gdy rozłożył ręce, dając znać, że nie rozumie, palcem pokazała zamek, potem zaś wykonała ruch, jakby przekreślała klucz.

Bezradnie potrząsnął głową.

Kaira położyła dłonie na szybie, tak aby przylegały do dłoni Finnena. Wciąż się uśmiechała. Do Skoku pozostało kilka minut i jeśli dziewczyna się bała, nie było tego po niej widać.

- Zrobiłaś ze mnie zabójcę - powiedział chłopak.

## 26

- Byłaś u Brina Issy? - zapytał Mahameni. Miał minę, która w innej sytuacji wydałaby się zabawna. Jak pies, pomyślała Tellis, niechętnie decydujący się skarcić pana, który zapomniał o swych obowiązkach.

- Tak.

- Czy ty i on... czy wy... - Widać było, że mężczyzna usiłuje uprzejmie sformułować to pytanie. Cała sytuacja naprawdę zaczynała ją bawić.

- Czy my co?

- Czy to on zapłacił ci za to, żebyś nie zajmowała się śmiercią Jainy Naroomi? Bo ktoś ci zapłacił, prawda?

Mogła zaprzeczyć - ostatecznie Mahameni nie miał niczego prócz niejasnych podejrzeń. Jednak prawdopodobnie nie dałaby rady zrobić tego na tyle przekonująco, by rozwiązać jego wątpliwości. A Mehus, wiedziała o tym dobrze, pomimo swojej służalczej postawy potrafił być nieludzko uparty, gdy już wbił sobie coś do głowy. Jeśli teraz Tellis zaprzeczy, on będzie dalej

węszyć, aż wreszcie dowie się prawdy.

- Zakładając, że tak właśnie było, co zamierzasz z tym zrobić?

Zmieszał się wyraźnie, a to ją ucieszyło. Przynajmniej w tej rozmowie wciąż była górą.

- Nie zrobię nic, co mogłoby ci zaszkodzić - zapewnił gorliwie.

- Chcę tylko, żebyś się zastanowiła. Proszę. Nie musisz... nie powinnaś robić takich rzeczy.

A co ty możesz o tym wiedzieć?, zapytała w myślach z goryczą. Mogłaby powtórzyć mu wszystkie usprawiedliwienia, które dzień po dniu wmawiała sama sobie. Że gdyby nie przyjęła propozycji Issy, zrobiłby to ktoś inny i w rezultacie i tak wyszłoby na to samo, tyle że ona zostałaby bez pieniędzy. Albo że zgodziła się wziąć łapówkę ten jeden jedyny raz, po to, żeby poprawić sobie wzrok i móc dzięki temu lepiej pracować.

Była jednak na tyle inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że tak naprawdę to są wykręty, zwłaszcza biorąc pod uwagę, iż pierwsza suma przekazana jej przez Issę stopniała, zanim kapitan zdążyła wybrać Korporację, która miałaby udoskonalić jej oczy. Nie chciała chować się za wymówkami. Podjęła pewną decyzję i teraz była gotowa stawić czoła jej konsekwencjom.

Patrzyła więc na Mahamieniego w milczeniu z miną nie tyle wyzywającą, ile - miała nadzieję - wyrażającą spokojne oczekiwanie. Płynące niebem litery w kilkusekundowych odstępach rzucały na ich twarze czerwony blask, a gdy ten zniknął, oślepią kobieta miała wrażenie, że całe schody pogrążają się w pulsującym szkarłatnymi powidokami mroku. Światło i ciemność, światło i ciemność. Od tej zmienności Tellis zaczynało się kręcić w głowie. Zbladła, a wyraz jej twarzy nie był już tak spokojny.

- A więc miałem rację, tak? - Mahameni pierwszy przerwał milczenie. - Jaina wносиła coś z Archiwum, jakiś lek pewnie, bo to długo trwało, a potem odmówiła, bo się bała o swoją karierę. I to Issa jej płacił, a kiedy się zbuntowała, postanowił ją zabić, tylko coś poszło nie tak, bo w mieszkaniu było dwoje ludzi i jedno z nich jakimś cudem, może przypadkiem, a może dzięki szczęściu, zabiło wynajętego mordercę tuż po tym, jak ten poderżnął Jainie gardło. A kiedy Issa nie otrzymał raportu

o wykonanym zadaniu, zaniepokoił się i postanowił zapłacić tobie, żebyś zajęła się wszystkim. Wtedy, w mieszkaniu Jainy, nie szukałaś prawdy, bo od początku wiedziałaś, co tam zaszło. Ty miałaś tylko zatuszować całą sprawę i w razie czego usunąć dowody, które mogłyby prowadzić do Issy. Tak?

Krótki ruch głową można było uznać zarówno za potwierdzenie, jak i zaprzeczenie. Oczywiście Mahameni dobrze odgadł. Mógł się mylić tylko w jednej kwestii - być może to nie Issa wynajął niewidzialnego zabójcę, lecz jego pachnąca ambra i cedrowym drzewem przyjaciółka. Albo jeszcze ktoś inny, bo ojciec Kairy mógł mieć więcej współników.

- W takim razie powinnaś teraz to wszystko naprawić - oznajmił Mahameni z naiwną stanowczością. - Co z tą sprawą zamordowanego dziecka? Wyjaśniłaś ją?

Tym razem skinęła głową znacznie energiczniej. Jak się okazało, dziecko było nieszczególnie trafionym prezentem na pożegnanie kochanków i zmarło przypadkiem, z powodu zaniedbania, a matka porzuciła je, by uniknąć konsekwencji.

- Czyli teraz możesz w spokoju zająć się Brinem Issą. Powinien zostać ukarany.

Parsknęła śmiechem, w którym nie było ani odrobiny wesołości, i na chwilę, tylko na krótką chwilę przymknęła oczy, a kiedy je otworzyła, zakręciło jej się w głowie jeszcze mocniej. Rozpaczliwie usiłowała znaleźć jakiś punkt oparcia, ale miała wrażenie, że świat wokół wiruje w plamach czerni i czerwieni. Instynktownie przysunęła się do Mahamieniego, który chwycił ją za łokieć.

- Ja... przepraszam - wymamrotała, upokorzona własną słabością. - Mam kiepski wzrok i przy takim oświetleniu...

- Rozumiem - uspokoił ją. - Ale naprawdę powinnaś przemyśleć to, co ci powiedziałem.

Wbiła wzrok w plamę na płaszczu Mehusa - raz widoczną, a raz nie. Plama była w porządku, bo tkwiła nieruchomo w jednym miejscu. Kapitan czuła zapach mężczyzny, ostrą woń potu i tanich pachnidel, wcale nie aż tak nieprzyjemną, jak się spodziewała. Ile czasu zostało do Skoku?

Minuta, najwyżej dwie, odpowiedziała sobie sama.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - oznajmiła Tellis, mimo lęku i zawrotów głowy dość pewnym głosem. Pomagała jej złość, bo jakie prawo miał Mahameni, żeby odgrywać przed nią pieprzonego idealistę? Był zbyt młody, głupi i mało doświadczony, by zdawać sobie sprawę z konsekwencji tego, co właśnie zaproponował. - Na takich ludzi jak Issa nie ma sposobu. Nawet teraz nie mam żadnego dowodu łączącego go z Jainą, rozumiesz? Żadnego prócz jego własnych słów, a kiedy przyjdzie co do czego, moje słowo przeciwko jego, to jak myślisz, komu uwierzą?

Mówiła coraz szybciej i bardziej nerwowo; czas przeciekał jej przez palce w czerwonych rozbłyskach światła. Skok z każdą sekundą był coraz bliżej. Zaciśnęła dłoń na rękawie płaszcza mężczyzny i ścisnęła materiał, na wpół wciąż wściekła, a na wpół przerażona.

- Więc pogrzeb w jego przeszłości - usłyszała. - Skoro Issy nie można powiązać z tą sprawą, to może da się z inną? Bo założę się, że facet ma na sumieniu mnóstwo paskudnych rzeczy. Może nie, co? A jeśli ktoś potrafi się do tego dogrzebać, to tylko ty...

- ... bo jestem najlepsza. - Uśmiechnęła się słabo, choć nie mógł tego zobaczyć.

Napisy znikły i wokół zapanowała ciemność. Za chwilę pojawiają się nowe litery, już poskokowe. Może je zobaczy, a może nie.

- Bo jesteś najlepsza - odparł Mahameni i materiał jego płaszcza wysliznął jej się z rąk. Próbowwała go zatrzymać, z całych sił zaciskała palce, ale oczywiście nic to nie dało. Nigdy nikomu nie udało się ocalić drugiego człowieka przed Skokiem.

Mahameni Mehus zniknęła.

- Oczywiście ja się na to zgodziłem, więc nie powinienem mieć pretensji - dodał Finnen. Z drugiej strony szyby patrzyła na niego uśmiechnięta Kaira. Ona także coś mówiła. - Tak wynikałoby z logiki, prawda? Ale ludzie nie zawsze są logiczni.



Czasem rozsądek to jedno, a emocje to zupełnie coś innego. Nienawidziłem cię, Kairo, myślę, że przez kilka ostatnich dni naprawdę cię nienawidziłem.

Słowa wpadały w ciszę i stawały się przeszłością, czyli czymś, co ważne jest tylko w kontekście opowieści. „Pamiętasz, jak bardzo byłem wtedy na ciebie wściekły?”, będzie mógł powiedzieć. I oboje uśmiechną się do swoich wspomnień. Teraz nie miało to już znaczenia, teraz liczyło się tylko to, że Kaira przyszła do niego w noc Skoku, ryzykując życiem.

Szkarłatne litery znikły i taras na powrót zaalało zwyczajne, blade złote światło latarni gazowej.

To już, pomyślał chłopak. Zaraz nastąpi Skok.

Dziwne, ale się nie bał. Udzielił mu się spokój i pewność siebie Kairy, której twarz promieniała blaskiem. Wcześniej, nim Finnen poznał Kairę, sądził, że to tylko poetycka metafora, lecz dziewczyna rzeczywiście potrafiła wyglądać, jakby ktoś zapalił wewnątrz niej świecę. Usta Kairy ułożyły się w słowa, które rozpoznał, mimo że nie słyszał dźwięku.

- Wszystko będzie dobrze.

Przyszło mu do głowy...

... że ona naprawdę w to wierzy...

... i naprawdę jest szczęśliwa.

- A najzabawniejsze w tym wszystkim jest to - powiedział

- że nawet wtedy, kiedy się na ciebie wściekałem, w głębi duszy wiedziałem, że gdyby mi dano drugą szansę, wybrałbym tak samo. Wiesz o tym, prawda?

Na niebie znów pojawiły się szkarłatne litery i Kaira roześmiała się, odrzuciwszy w tył włosy. A potem pomachała Finnenowi i odeszła tą samą drogą, którą przyszła, znikając za krawędzią tarasu.

Issa wrzucił do kubka kości i zagrzechotał nimi. Uśmiechnął się. W padającym z inoszyby blasku jego skóra miała niebieskawo-ocień; na policzkach i czole drgały refleksy światła. Obok

przy stole siedział Marouti, w roztargnieniu bawiąc się skórką pomarańczy. Pionowa zmarszczka pomiędzy jego brwiami świadczyła, że intensywnie o czymś myśli.

Za nim Darika brała w palce maleńkie kawałeczki pokrojonego melona i szybko, zręcznie wsuwała je do ust, po czym oblizywała wargi różowym językiem. W półprzymkniętych oczach widniała rozkosz - częściowo niewątpliwie wystudiowana, częściowo zaś prawdziwa. Czwartą, ostatnią osobą przy stole wpatrywała się w Darikę z zachwytem. Był to czarnoskóry mężczyzna, niegdyś zapewne bardzo przystojny, teraz zaś wychudzony, o znękanej twarzy.

- Zagramy? - głos Issy zabrzmiał na tle grzechotu toczących się kości. - O coś konkretnego? Tarkesh?

Czarnoskóry mężczyzna odwrócił się w stronę pytającego. Widać było, że robi to niechętnie, jego wzrok jak przyciągany magnesem wciąż wracał do kobiety, zajętej teraz zlizywaniem z palców soku.

- O co mielibyśmy grać?

- O nasze najcenniejsze dzieła sztuki, na przykład. A zakładem niech będzie... na przykład to, które z naszych dzieci przeżyją dzisiejszy Skok, a które nie. Obstawiamy. Ile masz dzieci, Tarkesh?

- Żyjących?

- Oczywiście, że żyjących, głuptasie - parsknęła Darika.

Coś drgnęło na twarzy Tarkesha. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna usiłował przypomnieć sobie uczucie zażenowania, lecz nie zdołał i ostatecznie jego rysy na powrót zastygły w wyrazie zachwytu, który jako jedyny przebijał przez warstwę niewątpliwego wyczerpania i smutku.

- Siedem - oznajmił Tarkesh po namyśle. - Myślę, że mam siedmioro żyjących dzieci.

- Myślisz - mruknęła złotoskóra kobieta, a potem uniosła do góry trzy palce. - Tylko tyle. Wszystko to dziewczynki, za które zapłaciłam masę pieniędzy w Principium. I są śliczne, ale żadna nie ma mojego wdzięku. Może to po prostu coś, co nabywa się z wiekiem. - Zakończyła zdanie śmiechem jak kropką.

- Ja mam jedenaście córek i jednego syna - dodał Issa. - Obstawiam, że Niraj przetrwa. Jest mi potrzebny i uznałbym za wyjątkową złośliwość ze strony Przedksiężycowych, gdyby zechcieli go zabrać. To - uśmiechnął się lekko - rzecz jasna wybór nieracjonalny, podyktowany czystym egocentryzmem, ale moim zdaniem taki jest równie dobry jak każdy inny.

I sędzę, że Noora zostanie z tyłu. Ta mała ma niewiele więcej rozumu niż kotka w rui. Jej jedyną zaletą jest to, że jest mi wierna, biedactwo, ponieważ potrafię w niej wzbudzić zarówno strach, jak i miłość.

Świadome okrucieństwo tych ostatnich słów sprawiło, że Marouti drgnął lekko. Issa patrzył na niego, jakby oczekiwał jakiejś reakcji, ale mężczyzna odwrócił głowę.

- Ona jest teraz z moim synem, wiesz o tym, prawda? Z Inoe i prawdopodobnie z jego przyjaciółmi. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

- Z powodu moralności? Daj spokój, Marouti, nikt w tym pokoju w coś takiego nie wierzy. Mógłbym ewentualnie jej tego zabronić z czysto pragmatycznych powodów, bo pewne przyjemności należy sobie dawkować, inaczej człowiek szybko się wypali, z czego moja urocza, głupiutka córka nie zdaje sobie sprawy. Jednak nie zależy mi na niej aż tak, abym miał się wysilać.

Marouti powoli, z niechęcią skinął głową.

- No więc - ponaglił go Issa - który z twoich synów przetrwa, a który nie? Bo twoją Ellonę oczywiście wyłączamy, tak samo jak Kairę.

- Powinienem tam z nią być - bąknął Marouti. - Z Elloną. Dzisiaj jest noc Skoku.

- I co z tego? - w głosie Issy zabrzmiała irytacja. - Jakie to ma dla nas znaczenie?

- To zła noc - powtórzył uparcie Marouti. - Niespokojna. Ellona może się obudzić...

- A kiedy się obudzi, pewnie ze dwudziestu służących przybiegnie od razu, żeby ją utulić. Daj spokój, Marouti. Zaczynam żałować, że was zaprosiłem. Ty wciąż jesteś myślami przy swojej córce, Tarkesh potrafi jedynie gapić się na biust swojej

siostry, a ona - skinął podbródkiem w stronę złotoskórej kobiety, która posłała mu szelmowski uśmiech, po czym wypluła na dłoń dwie pestki arbuza - wyżre mi do świtu wszystkie owoce. Jeśli nie chcecie grać ani nawet rozmawiać, może po prostu położmy się spać, bo to zaczyna tracić sens.

- Nie. Masz rację, Issa, jak zawsze masz rację. Zagrajmy. Obstawiam...

Gdy mówił, księżycowy blask nabrał czerwonego zabarwienia. Marouti przerwał i dopiero po chwili podjął urwany wątek. Darika przyknęła oczy; na jej usta wypełził słodki i drapieżny uśmiech. Nawet Tarkesh oderwał wzrok od kobiety, po czym spojrzał na okrągłe ślepie inoszyby pulsującej naprzemiennie błękitnym i czerwonym światłem.

Issa zebrał rozrzucone po stole kości i wrzucił je do kubka.

- Zaczynajmy.

Wysoko ponad nimi przepływały niebem pierwsze litery Skoku.

## 29

Noorze śniło się, że ojciec przyszedł do jej pokoi. Miał ściągniętą gniewem twarz i coś mówił, a ona nie potrafiła zrozumieć, o co mu chodzi. Im bardziej się starała, tym bardziej jego słowa przypominały belkot. Czula się osaczona - to właśnie we śnie było najwyraźniejsze: uczucie osaczenia i bezradności.

Dusiła się, podeszła więc do okna i otworzyła je. Na zewnątrz świeciło słońce i było ciepło, tak jak bywa tylko raz w roku, latem, przez krótki okres, gdy kwitną drzewa zimnorośli. Ich słodko-cierpki zapach czuło się już w powietrzu. Noora weszła na parapet. Pod jej stopami otwierała się głęboka na kilkanaście pięter przepaść, lecz dziewczyna się nie bała. Wiedziała, że potrafi fruwać.

Pofrunęła, ścigana słowami ojca, coraz bardziej wściekłymi i mniej rozumiałymi. Na początku poruszanie skrzydłami przychodziło jej z trudem, potem się przyzwyczaiła. Miasto

pod nią było słoneczne i piękne. Szerokie schody, wielkie place, wysokie budynki. Jeden z nich był tak ogromny, że przesłaniał wszystko, także niebo. Noora wiedziała, że musi nad nim przelecieć. Poszybowała więc w górę, lecz rząd pięter zdawał się nie kończyć.

Czarna brzydka bryła przytłaczała monstrualnym ogromem, nie było już niczego innego, tylko ona i Noora, maleńka kruszynka desperacko posuwająca się metr za metrem w stronę szczytu, którego nawet nie potrafiła zobaczyć. Dziewczyna słabła, skrzydła były coraz cięższe, a powietrze wokół gęstniało. Wreszcie uczepliła się budynku i zaczęła pełznąć po ścianie. W górę i jeszcze w górę. Przecież gdzieś musi być koniec.

(Jakąś częścią umysłu wiedziała już, że śni i że to jej własna świadomość produkuje kolejne piętra. Koniec, nakazała samej sobie, chcę zobaczyć koniec. Potrafię to zrobić).

I wreszcie go zobaczyła - płaski dach, czarny i wielki jak cały budynek. Za nim powinno coś być. Słońce, niebo, zielone pola ciągnące się aż po horyzont. Lecz tak naprawdę budynek wcale nie był duży. Stał w pokoju, a Noora zamiast nieba zobaczyła wypaczony sufit, ciemny i zaplamiony wilgocią, z którego sypał się tynk. Zrozumiała wówczas, że nie ma ucieczki; może krążyć tam i z powrotem po labiryncie pokoi, lecz nigdy nie wydostanie się na zewnątrz, bo „zewnątrz” po prostu nie istnieje.

Obudziła się i usiadła na łóżku. Resztki snu wciąż tłukły jej się w głowie, wirowały jak zabawki na dziecinnej karuzeli, a razem z nimi kręciło się całe pomieszczenie. Gdyby teraz spróbowała wstać, pewnie nie zdołałaby utrzymać równowagi. Noora zgięła się wpół i przycisnęła palce do pulsujących bólem skroni. Nie było tak źle, by nie wiedziała, gdzie jest - wręcz przeciwnie, wiedziała doskonale - ale miała przemożne wrażenie, że nie jest to miejsce, w którym powinna być.

Poruszyła się i jej bosa stopa trafiła na nagie ciało. Ktoś leżał na podłodze, pochrapując cicho. Uszy dziewczyny drażniła jękliva melodia fletu i harfy, słyszała też znacznie przyjemniejszy szum wody. Zamrugła, oślepiąca blaskiem powoli odzyskiwała zdolność widzenia. Na środku komnaty

płonęła świetlikowa rzeźba: rozłożyste, bezlistne drzewo, po którego gałęziach pełzały purpurowe ognie. Niżej z kamiennej misy wytryskał strumień wody, czasem tak wysoki, że sięgał najniższych konarów. Wtedy ognie gasły na chwilę z sykiem, a pomieszczenie wypełniały kłęby pary.

Noora była naga i spocona jak wszyscy w komnacie, jak ciała leżące pokotem na podłodze, łózkach i otomanach i jak dwóch niewidomych grajków, rzępolących w kącie na swych instrumentach, choć nikt ich nie słuchał. Ostra woń seksu przebijała przez zapach ciężkich, kwiatowych perfum.

Jedno z ciał leżących na podłodze poruszyło się, przewróciło na plecy i uniosło powieki. Patrzyło wprost na Noorę ciemnymi jak wnętrza studni oczami w twarzy barwy mąki. Dziewczyna drgnęła, ale zaraz pojęła, że ono tak naprawdę jej nie widzi. Wzrok miało skoncentrowany na punkcie w przestrzeni daleko poza Noorą, może nawet poza rzeczywistym światem.

Ono. Nie kobieta i nie mężczyzna, lecz jedno i drugie. Ciało istoty było blade i miękkie, ręce oraz nogi krągłe, jak utoczone przez dziecko z plasteliny - bez zaznaczonych pod skórą stawów czy mięśni, jakby wewnątrz był tylko tłuszcz. Nie miało rzęs ani brwi, jedynie śmieszny, złotawy puch na głowie, przypominający tygrysie futro. Noora nie pamiętała, jak ono się nazywa, ale chyba dotykała w nocy jego czy jej. Wtedy hermafrodyta wydawał się pociągający w pewien zabawnie perwersyjny sposób, teraz jednak czuła wyłącznie niechęć.

Wstała i opłukała twarz w fontannie; chłodna woda przyniosła jej ulgę, sprawiając, że dziewczyna zaczęła jaśniej myśleć. Która mogła być godzina? Czy Skok już nastąpił, czy jeszcze nie?

Wzrokiem policzyła leżące w komnacie ciała. Byli wszyscy, co oznaczało, że albo mieli cholerne szczęście, albo Noora obudziła się za wcześnie. A dziewczyna nie była tak naiwna, by na serio rozważać tę pierwszą ewentualność.

Chwyliła brzeg marmurowej misy i zacisnęła palce. Nad jej głową strumień wody zamieniał kolejne ogniki w kłęby pary, a ona stała, naga, drżąca i lepka od potu, próbując przypomnieć sobie, jak to wszystko się zaczęło.

Od Inoe, oczywiście. To była jego wina.

Piątego syna Maroutiego znała od dawna. Byli w podobnym wieku, a Marouti czasem przyprowadzał chłopca ze sobą, gdy przychodził odwiedzić Issę. Dzieci bawiły się wtedy razem w ogrodzie. Nie pamiętała, żeby go wówczas lubiła, choć nie przypominała sobie też jakiegóś szczególnej antypatii. Dogadywali się niezłe i tylko tyle, bo Inoe znikał z życia Noory, gdy tylko jego ojciec wracał do domu, a dziewczynka zapominała o nim aż do następnego spotkania.

Potem Marouti zaczął odwiedzać Issę sam i kontakt dwojga młodych się urwał. Tym bardziej Noora zdziwiła się, gdy przed dwoma tygodniami posłaniec przyniósł jej pachnący limonką liścik oraz wyciętą z czarnego papieru jaskółkę, co w języku miłosnych zalotów oznaczało, że chłopak liczy na coś znacznie bardziej pikantnego niż zwykła romantyczna przygoda.

Noora nigdy wcześniej nie dostała jaskółki. Miała całą szufładę sójek, sporo pokrzewek, a nawet kilka myszołowów, lecz nikt dotąd nie dał jej jaskółki.

Poczuła się przyjemnie zaintrygowana, zwłaszcza iż miała świadomość, że gdyby zapytała ojca o zdanie - czego rozsądnie nie zrobiła - ten zapewne uznałby, że Noora jest za młoda na takie doświadczenia.

Pamiętała, jak wtedy, przed dwoma tygodniami, gładziła palcem ostre krawędzie wyciętej z papieru sylwetki i jednocześnie obracała w ustach słowo „zepsuta”. Miało smak słodko-cierpkich ciastek winogronowych, wsuwanych ukradkiem do ust w nocy, gdy grzeczne dziewczynki powinny już spać. Wypowiadając je, Noora wyobrażała sobie rówieśnice szepczące tak za jej plecami: szybkie, ukradkowe spojrzenia pełne niechęci i zarazem podziwu, ponieważ tylko ona odważyła się zrobić coś, na co wszystkie miały ochotę.

Potem Inoe opowiedział jej o swoim pomysłe. Pamiętała, jak leżał na łózk, z głową wspartą na zgiętym łokciu, demonstrując ciało pokryte bliznami po walkach *darakką*.

- Urządzimy imprezę - mówił z podnieceniem godnym raczej kogoś znacznie młodszego. - Weźmiemy wszystko, co potrzeba, zamkniemy się w moich pokojach i zaczniemy bawić już w południe. Będziemy kochać się i pić, a kiedy nastąpi

Skok, wszyscy będziemy nieprzytomni. - Roześmiał się, jakby to był najlepszy dowcip. - Rozumiesz? Żadnego strachu, żadnego oczekiwania, tylko mnóstwo zabawy, a potem niech się dzieje, co chce. I jeśli nawet ktoś z nas zostanie z tyłu, to przynajmniej będzie szczęśliwy.

- I nieświadomy tego, co się stało - uzupełniła Noora.

- Właśnie. - Inoe wyszczerzył zęby. - Oczywiście potem i tak się zorientuje, ale na to już nic nie poradzimy. Co o tym myślisz?

- Nie wiem... - Dziewczyna potrząsnęła głową. Z jednej strony tradycja nakazywała bawić się po Skoku, a nie przed, z drugiej... cóż, niewątpliwie byłoby to coś nowego, a ona zawsze lubiła nowości.

- Założę się, że Przedksiężycowi uwielbiają, kiedy my się boimy podczas Skoku. Siedzą sobie w swojej studni i tylko czekają, aż zaczniemy się trząść. Ale my wykręcimy sukinsynom numer - uśmiech Inoe był szeroki, chłopięcy - i niech się wypchają.

Wówczas Noora zawahała się, bo może robienie na złość Przedksiężycowym było jednak zbyt nowe, a tym samym niebezpieczne. Niemniej pomysł chłopaka przypadł jej do gustu, więc się zgodziła. Nie od razu, rzecz jasna, lecz po prawie tygodniu namawiań, starań i górze prezentów, jakie otrzymała od Inoe, co było konieczne, gdyż Noora z całą pewnością nie chciała być aż tak zepsuta.

A teraz jakimś przedziwnym zrządzeniem losu obudziła się tuż przed Skokiem i przyszło jej do głowy, że to może być kara.

Uklękła w przecuciu graniczącym z pewnością, że jeśli tego nie zrobi, to się przewróci. Oparła czoło o brzeg kamiennej misy. Chłód przyniósł tyle ulgi, że dziewczyna zdołała zachować przytomność. Miała wrażenie, że cała krew spłynęła jej do stóp, ciągnąc olbrzymim ciężarem w dół, a wyżej została tylko mdląca pustka. Noora była tak strasznie słaba, że nie potrafiła nawet podnieść ręki. Spojrzała na własne ramię, jakby należało do kogoś innego, i spróbowała wyobrazić sobie ruch pod skórą - jak pracują mięśnie i napinają się bladospine żyły o ściankach tak cienkich, jakby były z papieru. Na samą myśl robiło jej się



niedobrze. Własne ciało budziło w niej obrzydzenie, czuła się więcej niż winna, czuła się brudna. Przypominała sobie całe minione popołudnie, chwila po chwili, aż do momentu, gdy wypite wino i wypalone haszyszowe fajki wreszcie odebrały jej świadomość.

Spektakl erotyczny, tak nazwał to Inoe, a ponieważ Noora nigdy wcześniej nie brała w czymś takim udziału, na początku była zafascynowana.

Pamiętała trzy ciała: jedno czarne, jedno białe i jedno pokryte tatuażami w kolorze purpury, które splecione w miłosnych zmaganiach układały się tak, by tworzyć litery alfabetu. Widzowie nagrodzili ów pierwszy występ brawami. Noora klaskała z tym większą energią, że zgubiła się tuż przed pointą i nie zrozumiała dowcipu.

Pamiętała dwie dziewczyny - olbrzymkę i liliputkę. Ich wzajemne karesy wyglądały zabawnie i też zostały nagrodzone stosowną porcją braw.

Pamiętała parę uprawiającą dziki, pierwotny seks: mężczyzna szarpał kobietę za włosy i bił po twarzy, ona opierała się, pokwikuując, by wreszcie ulec z cichym sapnięciem. Miało to pewien urok świeżości, lecz już wtedy Noora zaczynała się czuć nieswojo.

Wreszcie pamiętała dwóch młodych mężczyzn, z których jeden brzytwą wycinał na skórze drugiego skomplikowane wzory. Ciał prędkimi, pełnymi gracji ruchami, tak by nie naznaczyć ciała na trwałe, a jednocześnie wystarczająco głęboko, by popłynęła krew. Zlizywał ją później równie szybko i z wdziękiem rozdwojonym językiem, podczas gdy jego partner pojękiwał z rozkoszy.

Noora przypomniała sobie, jak Inoe ścisnął ją za rękę i szeptał: „My będziemy najlepsi, zobaczysz”.

Pamiętała... Nie chciała pamiętać.

Potęgotała w sobie poczucie winy, podczas gdy po jej policzkach spływały łzy. Odbijała się w nich czerwień skokowych liter; światło wpadało przez ślepie inoszyby długimi falami, w hipnotycznie równym rytmie. Czerwień liter i błękit księżycy, ta pierwsza mocna i krwista, ten drugi blady, tak iż ginął w

zetknięciu z blaskiem świetlikowej rzeźby.

- Nie róbcie mi tego - szlochała na wpeł przytomna z prze-  
rażenia Noora. - Błagam, błagam. Zrobię wszystko, przyznam  
się ojcu i zniosę każdą karę, tylko nie zostawiajcie mnie z tyłu.

Z każdą minutą czuła się coraz bardziej winna i to na swój  
sposób było dobre, ponieważ głęboko pod strachem kryła się  
nadzieja, o której dziewczyna nie chciała myśleć, ponieważ  
nawet wypowiedzenie w duchu tych kilku słów mogłoby spr-  
wić, że się nie ziszcą.

Ale może jeśli Noora będzie żałowała wystarczająco mocno, to  
Przedksięzycowi ją oszczędzą.

Fale czerwonego światła przestały wpadać do sali. Napięcie  
było teraz tak wielkie, że dziewczyna przestała cokolwiek  
widzieć. Ciała leżące na posadzce i na łózkach, świetlikowe  
drzewo, dwaj muzycy w kącie - wszystko to zlewało się w ciąg  
barwnych plam. W uszach rozbrzmiewał jej własny, ciężki i  
świszczący oddech. Potem muzyka urwała się i gdy Noora zro-  
zumiała, że to już, teraz, ogarnęła ją ciemność, z której  
wychynęła po chwili z wysiłkiem pływaka, docierającego do  
powierzchni gęstej wody.

Nim obraz przed jej oczami ustabilizował się i wyostrzył,  
minęło jeszcze kilka sekund. W tym czasie muzyka wróciła -  
teraz jednak rozbrzmiewał samotny dźwięk harfy, bez towarzy-  
szącego mu fletu. Dziewczyna policzyła ciała. Brakowało pięciu  
imprezowiczów oraz flecisty. Ulga, jaka ją zalała, była tak  
wielka, że Noora przez dobrych kilka minut kłęczała na zimnej  
posadzce, kołysząc się w tył i przód, i szeptała: „Dziękuję,  
dziękuję”.

Gdy uniosła głowę, spojrzała wprost na harfistę. Chłopak  
wciąż szarpał struny, choć po jego policzkach płynęły grube  
krople łez.

Noora wstała i rozejrzała się za czymś do ubrania. Strach  
otrząsnął ją ostatecznie. Postanowiła, że najlepiej będzie, jeśli  
wróci do domu. Jeżeli będzie miała szczęście, ojciec - który  
pewnie bawił się teraz z przyjaciółmi - nawet nie zauważy jej  
nieobecności.

Kiedy wciągała przez głowę zaplamioną winem męską koszu-

łę, usłyszała odgłos kroków, a gdy materiał zniknął sprzed jej twarzy, zobaczyła stojącą w progu dziewczynkę.

Nie dziewczynkę, poprawiła się w myślach. Dziewczynę, bo to nie było już dziecko. Chwilę trwało, nim Noora skojarzyła nowo przybyłą z puciołowatą kilkulatką, którą widywała jakiś czas temu. Ellona, najmłodsza córka Maroutiego, uświadomiła sobie. Jasna cholera, jak ona urosła. Widać ojciec sztucznie przyspieszył jej rozwój.

Patrzyły na siebie: Ellona z oczami okrągłymi ze zdumienia oraz zaczerwieniona po czubki uszu Noora, która nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa. Wreszcie pomogła jej świadomość, że jest starsza, więc to ona pierwsza powinna coś zrobić.

Odchrząknęła.

- Cześć - powiedziała. - Jeśli się bałaś Skoku, to już nie musisz. Jest po wszystkim.

- Nie boję się Skoku. Papa mówi, że ja na pewno przetrwam.

Noora skinęła głową, choć wątpiła, by Marouti powiedział córce prawdę. Ellona była już na tyle dorosła, że mogła zostać z tyłu. Ostatecznie jednak każdy ojciec ma prawo chronić swoje dziecko, nawet jeśli oznacza to oszustwo.

Młodsza dziewczyna wciąż patrzyła na starszą. Ciało Ellony należało już do kobiety, lecz jej oczy nadal były oczami dziecka, co czyniło całą sytuację jeszcze dziwniejszą. Noora cieszyła się, że zdążyła przynajmniej założyć koszulę, choć ta ledwo sięgała jej ud.

- Miałam sen - zaczęła Ellona. - Byłam w...

- Zaczekaj - przerwała jej desperacko Noora. - Poszukam jeszcze czegoś do ubrania, a potem usiądziemy gdzieś w spokojnym miejscu i tam opowiesz mi, co ci się śniło.

### 30

Ellona zaprowadziła Noorę do gabinetu, gdzie starsza dziewczyna poczuła się jak w domu, tak bardzo pomieszczenie przypominało pokój Brina Issy. Było równie mroczne i pełne staroświeckich przedmiotów, wśród których znajdowały się części

od dawna nieużywanych mechanizmów, wgnieciony półpancerz i kilka lamp naftowych z kloszami w kształcie kwiatów, a także, czego u Issy akurat nie było, złote oraz żelazne naczynia. Ellona usiadła obok gabloty z kolekcją grawerowanych dzbanów - najmniejszy z nich miał wielkość jej małego palca, największy, gdyby był pełny, z trudem dałoby się podnieść. Noora podała jej koc, po czym naciągając dół koszuli, ostrożnie przycupnęła w fotelu naprzeciwko.

- Nie przejmuj się - powiedziała pocieszająco. - Ja też czasem budzę się w środku nocy i potem trudno mi zasnąć. Może powinnaś poprosić ojca, żeby zabrał cię do lekarza. Mógłby przepisać ci coś na sen.

Ellona potrząsnęła głową. Ten energiczny gest, podobnie jak jej oczy, także był bardziej dziecinny niż dorosły.

- Nie, ja nie mogę zażywać więcej leków. Już i tak biorę ich za dużo.

- Z powodu bólu? Bo za szybko rośniesz?

Przytaknęła, a Noora poczuła się nieswojo. Miała nadzieję, że mała nie dostanie teraz ataku. Dziewczyna nie umiałaby jej pomóc, a w noc Skoku znalezienie kogoś przytomnego graniczyło z cudem.

Jakby zgadując jej myśli, Ellona oznajmiła:

- Ale teraz jest w porządku. Nic mnie nie boli. - Zmarszczyła brwi, z powagą wsłuchując się w swój organizm. - No, może trochę, ale da się wytrzymać. Jeszcze nie czas na tabletkę. Teraz się martwię, bo miałam zły sen i on został, o, tu. - Wskazała głowę. Z każdym gestem, z każdym wypowiedzianym słowem Noora coraz lepiej rozumiała, jak bardzo się pomyliła. Pomimo wyraźnie rysujących się piersi oraz wcięcia w talii to jednak wciąż było dziecko. - Czy ty też masz koszmary?

- Czasem tak.

- Co ci się śni?

Noora zawahała się, gdyż jej własny sen był boleśnie łatwy do interpretacji nawet dla człowieka nieszkolonego w tej sztuce. Wątpliwe jednak, by Ellona chciała cokolwiek interpretować. W tej chwili przede wszystkim potrzebowała wsparcia i starsza dziewczyna mogła jej to dać.

Opowiedziała więc swój niedawny sen, podczas gdy skulona na fotelu Ellona kiwała z powagą głową. Pod koniec dziewczynka wsunęła do ust kciuk i zaczęła obgryzać paznokcie.

- Mnie się kiedyś też śniły takie rzeczy. - Jej słowa były niewyraźne, stłumione. - Że jestem zamknięta gdzieś i nie mogę się wydostać. Ale ostatnio nie. Ostatnio mam inne koszmary.

- O czym?

Ellona zmarszczyła brwi. Wyraz zaabsorbowania na jej twarzy był niemal zabawny, a Noora miała pewność, że usłyszy teraz opis jednego z typowych snów świadczących o trudach dojrzewania lub o braku poczucia bezpieczeństwa. Albo o jednym i drugim. Myliła się.

- Jestem w jakimś pomieszczeniu - zaczęła wolno dziewczynka. - Dużym, wysoko sklepionym. To jest gdzieś w przeszłości, bo pełno tam kurzu i brudu. I jest tam takie, nie wiem, jakby akwarium?

Akwarium, tak, Noora odruchowo skinęła głową, potwierdzając, że istnieje takie słowo.

- Jest duże i zajmuje całą ścianę, a w środku ma taką wstrętą zielonkawą wodę. Ja ją widzę, bo tam są też świetliki, znaczy, w tej sali. I one krążą przy akwarium, blisko przy szybie, i wtedy mogę zobaczyć różne... - przełknęła ślinę - ... rzeczy.

- Rzeczy?

- Aha. Czasem śmieci, jakieś brzydkie, szare rośliny czy coś. A czasem widzę twarze i ciała. To są dzieci, wszystkie dziewczynki trochę młodsze ode mnie, ciemnoskóre i prawie identyczne.

- Pływają w tej wodzie?

Ellona zastanowiła się nad doborem odpowiedniego słowa.

- Unoszą się - zdecydowała ostatecznie. - Są martwe, więc nie mogą pływać. I jest ich dużo.

- Dużo, czyli ile? Dziesięć, dwadzieścia?

Ellona potrząsnęła głową.

- Więcej.

Noora patrzyła na nią w skupieniu. Martwe, ciemnoskóre i niemal identyczne dziewczynki z czymś jej się kojarzyły, nie potrafiła jednak przypomnieć sobie z czym. Artykuł w gazecie,

coś, co ktoś kiedyś jej opowiedział? Czy ta mała stroiła sobie z niej żarty? Powolnym, badawczym spojrzeniem przesunęła po sylwetce Ellony aż do bosych stóp i łydek wystających spod koca. Na łydkach widniały czerwone, odcisnięte ślady po - jak zgadywała Noora - zdjętym na noc mechanizmie, który miał kształtować zbyt szybko rozwijające się ciało. Potem wróciła do twarzy. Niedziecinna powaga w połączeniu z niedoroślą naiwnością, skłonność do właściwego dobierania słów... To były cechy samotnego dziecka, wychowywanego bez towarzysztwa rówieśników. Kaira też czasem czytała o czymś w książce, a potem udawała, że to jej się przydarzyło. Zabawne, ale Ellona nawet z wyglądu przypominała Kairę. Obie miały niemal ten sam odcień skóry i podobne rysy twarzy.

- Nie wierzysz mi? - głos dziewczynki zabrzmiał lęklonie, w oczach widać było błaganie. Noora pojęła, że są też znaczne różnice. Gdy Kaira kłamała, robiła to bardziej dla siebie niż dla innych, jak dziecko, które samo sobie opowiada bajkę. Nie zależało jej, tak jak Ellonie, by rozmówca uwierzył.

Powodowana impulsem, Noora wyciągnęła ręce, które Ellona skwapliwie chwyciła - też zupełnie nie jak Kaira, zazwyczaj pogrążona we własnym świecie i bierna. Przez głowę starszej dziewczyny przemknęły obrazy: Kaira z nosem w książkach, Kaira odpowiadająca na pytania półsłówkami, Kaira pozwalająca się czesać i stroić jak lalka, ale z miną wyraźnie mówiącą, że znosi to wyłącznie dlatego, że akurat nie ma nic lepszego do roboty. Noora naprawdę starała się zainteresować ją czymkolwiek poza książkami - modą, makijażem, plotkami z towarzysztwa, lecz i tak zawsze kończyło się na tym, że biegła wokół siostry, podczas gdy ta kiwała głową, myślami odległa o setki kilometrów.

Wszystko to trwało ledwo ułamek sekundy, potem obrazy znikły, a Noora przytuliła Ellonę.

- Oczywiście, że ci wierzę, kochanie. Chodź, połóżysz się do łóżka, a ja zostanę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

Jednak gdy chciała wstać, Ellona przytrzymała ją i przysunęła usta do jej ucha.

- Czasem śni mi się coś jeszcze... - wyszeptwała.

- Co takiego?

- Że muszę zrobić coś ważnego i że to coś jest straszne, bardziej okropne niż... - zawahała się. Gdyby teraz Noora spojrziała jej w twarz, zobaczyłaby zapewne zabawny w swej powadze wyraz skupienia - ... niż to, co robią art-mordercy.

- A co to takiego, kochanie? Co ważnego musisz zrobić?

Ellona potrząsnęła głową. Noora czuła na policzku jej gorący oddech i łzy. Przytuliła mocniej wiotkie, drżące ciało. Głos dziewczynki był cichy, a słowa zniekształcone płaczem, lecz Noora i tak zrozumiała, że dziecko powtarza:

- Nie wiem, nie wiem...

### 31

Daniel Pantalekis posłał gapiącemu się nań chłopakowi mordercze spojrzenie, a ten - niechętnie, bo niechętnie - odwrócił się i odszedł, doganiając towarzyszy, którzy szli w dół pod gazowymi lampami o kloszach w kształcie piwonii. Wieczorne niebo było bezchmurne, trzy księżycy lśniły na nim pełnią blasku. Dzisiejszego wieczoru w tym samym kierunku zdawali się podążać wszyscy: obwieszane klejnotami kobiety i mężczyźni z poupychanymi po kieszeniach butelkami wina oraz dzieciaki ciągnące na sznurkach latawce.

Pary przystawały, by się objąć i pocałować; w większych grupach co chwila słychać było wybuchy śmiechu. Gdzieś w dole miasta zaczynała się potężna impreza i Daniel bardzo chciał przyłączyć się do tłumu, wiedział jednak, że nie powinien tego robić. Po pierwsze, był sam, a wśród ciągnących schodami ludzi nie widział nikogo samotnego. Po drugie, nie do końca podobało mu się ich zachowanie - w tych śmiechach wyczuwał zdecydowanie zbyt dużo niepokoju i nerwowości. A po trzecie, zdawał sobie sprawę, że wygląda co najmniej dziwacznie. Miał bowiem na sobie stare spodnie, te same, które nosił w zniszczonych światach, z trudem doprane do jako takiej czystości i pocerowane zieloną nitką (innej nie mógł znaleźć), a także kurtkę, ewidentnie damską, przy czym to ostatnie

rzucało się w oczy, mimo że spędził cały wieczór, pracowicie odrywając wielkie złote guziki i zastępując je drewnianymi.

Na wszelki wypadek cofnął się głębiej w cień. Dobry Boże, tak bardzo tęsknił do ludzi. Wcześniej, gdy każdego dnia musiał walczyć o przeżycie, a wokół miał same wychudłe zombie, nie odczuwał tego tak bardzo, tylko czasem, w nocy, gdy budził się z najgłębszego snu, doskwierał mu ciężar samotności. Lecz teraz był wśród osób normalnych i zdrowych. Niemal każda kobieta budziła w nim pożądanie, niemal każdy mężczyzna wydawał się tak sympatyczny, że Daniel chętnie napiłby się z nim i pogadał.

I poprosił o pomoc w powrocie do domu, dobry Boże, przede wszystkim poprosił o pomoc.

Czasami doprowadzało to Daniela do szału - był wśród ludzi, a jednocześnie nie był, obcy, bezustannie chowający się w cieniu jak szczur, oddzielony od nich grubą barierą obcości i nieznamomości języka. Dwa razy próbował porozumieć się z kimś przypadkowym i zawsze kończyło się to tym, że Pantalekis tchórzył, nim zdążył cokolwiek wytłumaczyć za pomocą gestów. Bo równie mocny jak tęsknota za towarzystwem był strach - że zamkną go w pokoju bez klamek, że pokroją, aby zobaczyć, co ma środka, że... do licha, możliwości było mnóstwo. Ostatecznie Daniel nie miał pewności, jak na Nowych Ziemiach potraktowano by przybysza z obcego świata, więc dlaczego sam miałby się spodziewać życzliwości?

Od kilku dni Pantalekis żył na nieustającej emocjonalnej huśtawce. Bywały noce, gdy barykadował meblami drzwi mieszkania, a potem siadał na podłodze pod oknem i nadśluuchiwał głosów dobiegających z zewnątrz. Chciało mu się wyć, tak bardzo pragnął być teraz z ludźmi, którzy na zawsze mieli pozostać dla niego anonimowymi głosami w ciemności. Rozróżniał śmiechy rozbawionych nastolatków, namiętne szeptki kochanków, szybkie, jazgotliwe dźwięki kłótni czy wreszcie na wpół troskliwe, na wpół surowe słowa, jakimi dorośli strofowali dzieci. Czuł się jak widz w teatrze, który chyłkiem wszedł bez biletu i ukrywa się teraz w kącie, zafascynowany i chory ze strachu, że mogą go złapać. Potem, za dnia, wychodził ze swojego mieszkania i



przemykając w tłumie, rzucał przechodniom ostrożne spojżenia. Czy to ty pokłóciłaś się ze swoim chłopakiem zeszłego wieczoru?, pytały jego oczy młodą dziewczynę. Czy to ty stłukłeś pod moimi drzwiami butelkę wina, a wcześniej bełkotałeś coś bez ładu i składu? To ty, ty, ty?

I czasem ci obcy, czując na sobie wzrok Pantalekisa, spoglądali w jego stronę, on zaś gwałtownie odwracał głowę i głębiej chował się w tłum. A najdziwniejsze było to, że mimo iż Daniel niewątpliwie zachowywał się nietypowo i nietypowo wyglądał, to pomijając owe króciutkie chwile zainteresowania, w gruncie rzeczy nikt nie zwracał na niego uwagi. Bywały momenty, gdy doprowadzało go to na skraj histerycznego wybuchu śmiechu. Hej, miał ochotę wrzasnąć, jestem kosmitą w damskim ubraniu, naprawdę nic was to nie obchodzi?

Zdawał sobie sprawę, że zaczyna świrować, i przerażała go ta świadomość, bo zawsze miał się za człowieka twardo stąpającego po ziemi, a teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebne mu były rozsądek i trzeźwość umysłu. Wiedział też, że prędzej czy później tęsknota za towarzystwem zwycięży i zamiast chować się przed ludźmi, wyjdzie im naprzeciw i będzie nagabywał tak długo, aż wreszcie, do cholery, ktoś się nim zainteresuje. Jednak z uporem strusia chowającego głowę w piasek wciąż odwlekał ten moment. Jutro, powtarzał sam sobie każdego wieczoru, jutro to zrobię, po czym wymyślał powód, dla którego nie mógł dzisiaj.

Ostatnio tym powodem było narastające w mieście napięcie. Pantalekis wyczuwał je, choć wszyscy wokół maskowali strach pozorami dobrego samopoczucia. Dotyczyło to naprawdę wszystkich: mężczyzn i kobiet, dziwadł i normalnych osób, młodszych i starszych. Nawet dzieci zdawały się wiedzieć, że coś jest nie w porządku. Z początku Daniel sądził, że mieszkańcom miasta grozi atak, względnie jakaś naturalna katastrofa, potem jednak uznał, że to musi być coś innego, bo przecież w obliczu takiego zagrożenia ludzie nie usiłowałiby za wszelką cenę udawać, że wcale się nie boją a ponadto choć spróbowaliby przygotować się do obrony. Tymczasem nie widział niczego, co świadczyłoby o zbrojeniu się, przygoto-

wywaniu zapasów czy kryjówek, za to na schodach spotykał coraz więcej pijanych i naćpanych małolátów, którzy balowali tak, jakby nazajutrz miał się skończyć świat.

To porównanie przyszło Pantalekisowi na myśl zupełnie naturalnie. Ale przecież nie chciał w to wierzyć, natychmiast więc wyrzucił je z głowy, wymazał z pamięci. Jeśli rzeczywiście nad miastem zawisło coś strasznego, Daniel był ostatnią osobą, która mogłaby na to coś poradzić, więc nie zamierzał się przejmować.

W dzień ta logika nawet działała, zresztą wtedy Pantalekis miał wystarczająco dużo problemów ze zdobywaniem pożywienia i opału do piecyka, ale nocą... Nocą gdy wreszcie udawało mu się usnąć, przychodziły sny, w których odnajdywał dalekie echo dręczących go w dzieciństwie koszmarów.

Najczęściej śnił o tym, że stoi pośrodku wymarłego miasta, w pełnym słońcu, i ma wrażenie, że coś nadchodzi. Niczego więcej w tym śnie nie było, tylko pustka porzuconych domów, upiorny żar lejący się z nieba koloru rozżarzonego do białości żelaza i ta świadomość. Że coś nadchodzi, że w stronę miasta prze nieustępliwie fala skoncentrowanego zła, gotowa zmieść wszystko na swej drodze. We śnie nie było potwora - jedynie jego zapowiedź - lecz to czyniło koszmar tym bardziej przerażającym, tak iż Daniel budził się nad ranem w zmiętej, cuchnącej potem pościeli i pełen pogardy do siebie czekał na mętne światło świtu, drżąc przy skradzionej świeczce.

Właśnie w takiej chwili podjął nieodwołalną, jak mu się zdało, decyzję.

Czas zacząć działać.

Oczywiście gdy już coś się wyjaśni, na dobre czy na złe, bo to, co nabrzmiewało w mieście, zbliżało się do punktu krytycznego. Wyczuwał to szóstym zmysłem i w tej kwestii był gotów zaufać samemu sobie. Zawsze miał nosa do niebezpieczeństwa.

Niedaleko przeszła kobieta prowadząca dziecko, dziewczynkę tak drobną, że uwiązany do jej nadgarstka lampion wydawał się zdecydowanie zbyt duży i ciężki. Gdy powiał wiatr, dziewczynka zatrzymała się z rozkrzyżowanymi ramionami, z jednej strony ciągnięta przez kobietę, z drugiej przez naprężony sznu-

rek. Jej buzię wykrzywił ból, ale nie krzyknęła, co więcej, właśnie teraz zauważyła Pantalekisa i przyjrzała mu się w skupieniu, a on miał wrażenie, że to dziecko o naznaczonej cierpieniem twarzy jest pierwszą osobą, która naprawdę go widzi - nie jako przelotną ciekawostkę, lecz kogoś zupełnie obcego.

Skulił się instynktownie, mała pisnęła, a kobieta odwróciła się, zirytowana, i zsunęła jej z rączki pętelkę sznurka. Pchnięty podmuchem wiatru lampion uniósł się, by zaraz wpaść na otulającą jeden z budynków konstrukcję i utknąć pomiędzy rurami. Pantalekis odetchnął z ulgą, patrząc, jak matka i córka - bo założył, że to właśnie matka i córka - oddalają się pospiesznie w dół schodów.

Poczekał jeszcze, aż minie go kilku spóźnionych imprezowiczów, po czym, gdy schody opustoszały, ruszył w przeciwnym niż tłum kierunku. Od rana nie miał nic w ustach i była najwyższa pora, by znaleźć coś do jedzenia.

Z rękoma w kieszeniach swojej damskiej kurtki pomaszerował w stronę miejsca, które odkrył przed kilkoma dniami. Był to budynek jak na tutejsze standardy niezbyt wysoki, ale za to rozłożysty, z szeroką fasadą i płaskim dachem, na którym można by wylądować samolotem, oraz ścianami oplecionymi rurami powyginanymi w kształty pożerających się nawzajem zwierząt. Przy krótszym z boków znajdowała się brama o skrzydłach tak ciężkich, że Daniel wątpił, by kiedykolwiek ją zamykano, była wystarczająco szeroka, by przeszła przez nią para słoń.

Nad nią sterczała lwia głowa - prawdopodobnie z metalu, choć Pantalekis nie był pewien. Tak naprawdę niezbyt go to obchodziło. Przez otwartą paszczę zwierzaka wjeżdżały do środka okrągłe wagoniki, takie same, jakie widywał w zniszczonych światach, a mężczyzna świetnie wiedział, że jest w nich jedzenie, całe mnóstwo mrożonego, surowego zarcia.

Gdy po raz pierwszy znalazł się przy budynku, podszedł do bramy wystarczająco blisko, by zerknąć i zobaczyć, co się dalej z tym jedzeniem dzieje. Otóż leżało na szerokich, długich stołach, a wokół kłębił się tłum. Ludzie ładowali do koszyków

złodowaciałe grudy. I nie płacili, Daniel był tego pewien. Stchórzył i zamiast wejść do środka, powędrował z powrotem w miasto znaleźć frajera, któremu mógłby wyciągnąć z kieszeni kilka monet - ot, w sam raz, by wystarczyło na zakup słodkiego placka lub rożka wypełnionego kawałkami mięsa.

Daniel jednak zdawał sobie sprawę, że długo tak nie wytrzyma. W końcu ile można nosić damskie ciuchy i jeść wciąż to samo żarcie?

To ostatnie sprawiało, że mężczyzna coraz częściej myślał o hali pełnej mrożonego mięsa i warzyw. Bardzo chciał napchać sobie nimi kieszenie, a potem wrócić do mieszkania i spróbować coś ugotować. Nie był w tym dobry, ale prosta zupa mogłaby mu wyjść. Na przykład rosół podobny do tego, jaki przyrządzała Sarimel. Na samą myśl ślina napływała mu do ust.

Już cztery razy znalazł się w pobliżu hali, lecz jak dotąd brakowało mu odwagi, by wejść do środka. Męczyło go, w jaki sposób ludzie za to jedzenie płacą - bo na pewno nie monetami, jak przy budkach. Mieli wszczepione w ciało chipy kredytowe? Owszem, to było możliwe, choć w takim razie dlaczego we wszystkich innych miejscach używano zwyczajnych, staroświeckich pieniędzy? Druga opcja - że całe to jedzenie jest darmowe i każdy może brać tyle, ile chce, za nic nie płacąc - przerażała Pantalekisa jeszcze bardziej. Przywykł już, że ma szczęście, ale to było zdecydowanie zbyt dużo, przywoływało w pamięci na wpół zapomniane sceny z bajek, które dawno temu oglądał w świetlicowym kinie.

Piernikowe chatki kuszące zagubione w lesie dzieci. Stoły uginające się pod ciężarem zatrutego jedzenia - zjedz choć odrobinę, a zaśniesz na sto lat lub zła czarownica zrobi z ciebie wieszak na kapelusze. To oczywiście były bzdury, jednak nie mógł nic poradzić na to, że na widok hali wszystko w nim krzyczało, że to pułapka. Na próżno sam sobie tłumaczył, że gdyby ktoś rzeczywiście chciał go schwytać, mógłby to zrobić na wiele znacznie prostszych sposobów.

Ale nie dziś, po ostatnim koszmarze Pantalekisa postanowił bowiem, że nie stchórzy i wejdzie do środka.

Nieoczekiwanie z pomocą przyszło mu to, że Hala okazała się niemal pusta, tylko przy jednym ze stołów kręciła się grupka dzieciaków przebierających w zmrożonych grudach.

Pantalekis stał przy wejściu, dygocąc z niecierpliwości. Wystarczyło przejść przez bramę, przebiec dwadzieścia metrów do pierwszego stołu, napełnić kieszenie, a potem zwiać. Nawet biorąc pod uwagę, że w jego przypadku „przebiec” oznaczało tak naprawdę „szybko przekuścić”, nie zajęłoby to dużo czasu. Zwłaszcza że nie musiałby patrzeć na to, co bierze, bo wszystko, na co natrafi, prawdopodobnie okaże się lepsze od kolejnego kupionego w budce placka.

Odetchnął, wciągając w płuca chłodne powietrze. Przez ostatnich kilka dni pogoda była parszywa, jeszcze dziś po południu padał śnieg, lecz pod wieczór przejaśniło się niespodziewanie i teraz nad głową Daniela wisiało usiane gwiazdami niebo. Spojrzał w nie, jakby miał tam zamiar znaleźć coś, co doda mu odwagi, zobaczył jednak tylko lunę. Przynajmniej tak mu się na początku wydawało, ale przecież żadna luna nie pełza po niebie niczym dziwaczna, prostokątna i czerwona chmura, a już na pewno, na litość boską luna nie składa się z karnych szeregów cyfr czy może liter.

Reklama, zaświtało Pantalekisowi pod czaszką, bo skojarzenie było oczywiste, choć w jego świecie obok napisów podróżowałyby niebem także gigantyczny obraz. Lecz to w niczym nie zmniejszyło niepokoju Daniela. Nigdy wcześniej nie widział tu takich reklam, a w tym miejscu wszystko, co nowe, było potencjalnym zagrożeniem. Pantalekis czasem o tym zapominał, ukołysany oswojoną już dziwacznością kolejnych dni, lecz gdy tylko pojawiała się coś niespodziewanego, jego ciało, obdarzone najwyraźniej lepszą pamięcią niż umysł, natychmiast reagowało, pompując adrenalinę. Teraz też odruchowo zamarł, gotowy do ucieczki, jednak nie było dokąd uciekać. Czerwone litery nadciągały, zajmując niemal całe niebo i budząc na placu przed halą ruchliwe cienie.

Wydobyte z mroku rurowate konstrukcje nagle wydały się niepokojąco żywe: na jednym z budynków w napływającej falami krwawej poświacie otworzyły się i zamknęły metalowe

usta, nieco dalej sennym ruchem przeciągnął się skrzydlaty wąż. Wszystko to było złudzeniem - takim samym jak te, które widywał już podczas zachodu słońca, ale też wszystko wydawało się zdecydowanie zbyt realne jak na nerwy Pantalekisa. Miał wrażenie, że napisy na niebie głoszą „Nagroda za głowę Daniela Pantalekisa, to ten brzydki, kulawy facet, dostarczcie go żywego albo martwego, a dostaniecie mnóstwo forsy”. To było idiotyczne, jednak irracjonalne uczucie okazało się silniejsze. Pantalekis kwiknął, kiedy padł na niego krwawy blask, skulił się i pomknął w stronę otwartego wejścia do hali.

Tam zatrzymał się zdyszany pod ścianą, ze zgrozą obserwując, jak czerwona fala omywa próg. Światło niemal musnęło czubek jego lewego buta, ale cofnął się w ostatniej chwili. Dzieci kręcące się przy stołach spojrzały na niego z typowym dla tego świata przelotnym zdziwieniem, które nigdy nie przeradzało się w głębsze zainteresowanie, po czym przemaszerowały obok, dźwigając kosze pełne jedzenia. Pantalekis wychylił się ostrożnie. Dzieci szły przez pusty plac, przepychając się, śmiejąc i od czasu do czasu przystając z uniesionymi głowami. Na drobnych twarzach, które skąpane w czerwieni wyglądały, jakby ktoś zdarł z nich skórę, nie widać było ani odrobiny niepokoju. Daniel wsunął rękę w strumień blasku i obrócił ją, rozcapierzając palce. Nic się nie stało, oczywiście. Czymkolwiek były znaki na niebie, ich światło nie szkodziło ludziom.

Poczuł się głupio, ale tylko trochę. Przywykł ufać swojemu instynktowi i wolał przesadzić z ostrożnością, niż niepotrzebnie ryzykować. Oderwał się od ściany i rozejrzał po hali. Od strony stołów buchało zimno; lodowe grudy leżały na blatach, ale i na podłodze, gdzie topniały, odsłaniając zawartość. Owoce, warzywa i mięso, przede wszystkim gołębie, całe, razem z piórami, Pantalekis widywał już takie w koszykach ludzi wychodzących z hali.

Wciąż miał ochotę na rosół z gołębca, bo zgadł już, że właśnie to gotowała Sarimel.

Już miał oderwać się od ściany, gdy nad stoły ze zgrzytem nadjechał wagonik. Wówczas przesunęły się jak na taśmie, te wypełnione cofnęły w głąb hali, a ich miejsce zajęły puste.

Pantalekis drgnął lekko, lecz tym razem cel tego, co widział, był tak oczywisty, że mężczyzna uspokoił się niemal od razu. Tymczasem wagonik zatrzymał się nad jednym z pustych stołów i otworzył jak pękający strączek grochu. Z hurgotem, jakby ktoś zrzucił kamienie, posypała się zamrożona żywność, a Daniel odruchowo wstrzymał oddech, gdy dotarła do niego fala gryzącego zimna. Wagonik zamknął się i odjechał, opadły drobinki lodowego pyłu. Dopiero wtedy Daniel podszedł do stołu, ostrożnie, bo jednak gdzieś tu mogła się kryć pułapka - choć w głębi duszy wiedział już, że żadnej pułapki nie ma. Hala była po prostu halą: wielkim pomieszczeniem, które Pantalekisowi kojarzyło się trochę ze świątynią a trochę z prosektorium.

Podszedł do stołu i podniósł grudę, z której wystawała pazurzysta łapka. Mróz parzył go w palce, lód lepił się do skóry. Schował gołębia do kieszeni - niezbyt mądry pomysł, bo nim dotrze do domu, będzie miał mokrą kurtkę, ale trudno. Jutro przyjdzie tu z koszykiem albo przynajmniej z uszytym z materiału workiem, jeśli nie znajdzie koszyka. Co dalej? Marchewka, pietruszka, groszek, to były rzeczy, które kojarzyły mu się z rosółem, no może prócz groszku, ale go lubił, więc czemu nie. Spieszył się. Nie podobało mu się, że przy stole, w tej białej zimnej pustce, jest tak bardzo na widoku, tak... odsłonięty. Kieszenie miał coraz bardziej wypchane, lód zaczynał topnieć, a wilgoć nieuchronnie przesączała się przez podszewkę aż do spodni. Na udach poczuł chłód. Pomyślał, że czeka go nieprzyjemna droga do domu, a potem, że to przecież tylko kwadrans szybkiego spaceru, później wysuszy się i ogrzeje przy piecu. I ugotuje wreszcie ten rosół.

Zaalarmowany odgłosem kroków za plecami, odwrócił się, z sercem w gardle i zamrożoną pomarańczą w dłoni. Mężczyzna, który szedł w jego stronę, zatrzymał się, tak że znieruchomiały Pantalekis mógł mu się dobrze przyjrzeć. Młody człowiek, najwyżej dwudziestoparoletni, miał czarne, kręcone włosy i wielkie, ciemne, negroidalne oczy, ale jego cera była zaskakująco blada, a rysy twarzy zdecydowanie kaukaskie. Szerokie bary i złamany nos świadczyły, że prawdopodobnie

umiał i lubił się bić.

Pantalekisowi nie spodobało się to, co zobaczył. Żałował teraz, że przez ostatnich kilka dni czuł się tak bezpiecznie, że przestał nosić przy sobie nóż.

Czarnowłosy coś powiedział. Głos miał spokojny, niemal łagodny, lecz Pantalekis nie dał się nabrać. W jego świetle takim tonem policjanci mówili: „Jeśli pójdzie pan z nami, to nikomu nic się nie stanie”, trzymając przy tym dłonie sugestywnie blisko kabury z bronią. Cofnął się odruchowo i zatrzymał, dopiero gdy krawędź stołu wbiła mu się w biodro. Czarnowłosy powtórzył swój apel, tym razem z nieco większym naciskiem, po czym lewą ręką wykonał niepozostawiający wątpliwości, szeroki i zapraszający gest. Prawą dłoń... tak, oczywiście, prawą dłoń trzymał tak, by łatwo mu było sięgnąć do pasa, za którym tkwiło coś, co wyglądało jak rękojeść miecza.

Daniel przełknął ślinę. Właściwie dlaczego nie? - zaświtało mu pod czaszką. Mógłby pójść z tym człowiekiem. To rozwiązywało wiele problemów i przecież jeszcze do niedawna sam tego chciał. Kłopot polegał na tym, że czarnowłosy najprawdopodobniej reprezentował dokładnie ten typ ludzi, których Pantalekis nie lubił i którzy z kolei nie przepadali za osobami pokroju Daniela. Chudzi cwaniacy rzadko kiedy dobrze dogadują się z barczystymi osiłkami.

Choć w razie czego zawsze mógł uciec. Przecież miał szczęście.

Shczęście. Mimo panującego wokół chłodu Daniela oblało gorąco. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał?

Gwałtownym ruchem sięgnął do kieszeni i zaczął wyrzucać z nich topniejące grudy lodu.

- Tylko się nie denerwuj, stary - mamrotał. - Daj mi minutkę, OK? Już kończę... moment.

Na dzień jednej z kieszeni znalazł to, czego szukał - monetę. Oczyszczył ją z przylepionych strzępów nici, po czym położył na dłoni.

- Mam iść z tym facetem czy nie? - powiedział na głos, unikając patrzenia w twarz czarnowłosego, choć i tak kątem oka zauważył, że tamten wygląda na zniesmaczonego i, co



gorsza, coraz bardziej zniecierpliwionego. - Awers na „tak”, rewers na „nie”.

Rzucił monetę na posadzkę i kucnął. Awers. Zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco. Czarnowłosy podszedł bliżej, Daniel słyszał stukot jego podkutyh (podkutyh, niech to szlag!) butów na kamiennych płytkach. Ciężko padł na monetę i na dłoń Pantalekisa, gdy ją podnosił. Ręce mu się trzęsły.

- Chwila... - jęknął, niepomyślnie tego, że tamten go nie rozumie. Znowu rzucił monetę. Awers, jakżeby inaczej. I jeszcze raz.

Tak, tak.

Czarnowłosy warknął coś, schylił się i szarpnął Daniela za ramię.

Już... - sapnął Pantalekis, wstając. - W porządku, idę. Zadowolony? I czego się tak wnerwiasz? Chuj ci w dupę, durny ćwoku!

Po tym wybuchu Pantalekis odzyskał odrobinę dobrego humoru. Wciąż dygotał, ale jednocześnie czuł ulgę. Było po wszystkim.

## 32

Tasha wyciągnęła na środek pokoju piecyk w kształcie gruszki, rozpałała w nim i zawiesiła nad ogniem pękaty imbryk.

- Napijemy się herbaty - oznajmiła z właściwą sobie energią.  
- Wszystkim nam to dobrze zrobi.

Nikt nie zaprotestował, choć Dime widział po minach ludzi zebranych wokół piecyka, że nie są szczególnie przekonani, czy akurat herbata może im pomóc. Szesnastokątny pokój o ścianach pokrytych zielonymi płytkami wypełnił zapach płonącego drewna zimnorośli i odgłosy przyciszonych rozmów. Dime, Jaramei, Mirris oraz Arikol, czyli ci, dla których nie starczyło miejsca przy ogniu, stali obok okna, naciągając rękawy kurtek na zgrabiące dłonie. Spore pomieszczenie nagrzewało się powoli, w powietrzu wciąż wisiał ślad woni rozkładającego się jedzenia, które pozostawili poprzedni lokatorzy. Dime przetarł rękawem szybę i wyjrzał na zewnątrz.

Dwa piętra niżej zobaczył parę dzieciaków z zadartymi głowami wpatrujących się w okno. Uśmiechnął się i pomachał im, pomimo iż wątpił, by mogli to zobaczyć. Sam jeszcze nie tak dawno temu mieszkał w dzielnicy sierot i też pewnie zainteresowałoby go, że do jednego z pustych domów ni stąd, ni zowąd sprowadziła się grupa dorosłych.

Chłopiec powiedział coś do dziewczynki, po czym szturchnął ją w bok i pobiegł w dół schodów. Mała, opatulona w wiele warstw odzieży chroniącej przed zimnem, ruszyła za nim niezgrabnie, jak zabawny tłumoczek na krótkich nóżkach. Dime spojrział w niebo, nieoczekiwanie tak czyste, że gwiazdy i dwa księżycy dawały więcej światła niż szare od brudu latarnie. Piękna pogoda na Skok, pomyślał, po czym odwrócił się, przenosząc wzrok na jedyny działający zegar.

Statystycznie biorąc, jednej piątej osób zebranych w pokoju pozostało półtorej godziny normalnego życia.

Tasha rozdała kubki oraz pełniące ich rolę głębokie miseczki, po czym w dwóch turach rozlała herbatę, mrużąc do tych, dla których nie starczyło naczyń z uszkiem: „Przepraszam, nic innego nie znalazłam, poczekaj, aż trochę przestygnie”.

Gdy stanęła przed Dime, chłopak wyciągnął w jej stronę salaterkę, lecz Tasha pokręciła głową.

- Lepiej połóż ją na parapecie. Przepraszam, nic...

- Wiem.

Dziewczyna zaczerwieniła się lekko.

- W innych mieszkaniach musi być sporo kubków, ale Gurleen powiedział, że powinniśmy trzymać się razem, więc...

- Wzruszyła ramionami.

- Czemu? - Dime ostrożnie dotknął brzegu salaterki i szybko cofnął palec.

- Co „czemu”?

- Czemu powinniśmy trzymać się razem? Jakie to ma teraz znaczenie?

Zmieszła się.

- Nie wiem... Gurleen powiedział... Uważasz, że nie ma raqi? Tym razem to Dime wzruszył ramionami.

Tasha kończyła rozlewać herbatę, a Dime śledził ją wzrokiem,

gdy szła przez pokój. Jeszcze przed kilkoma godzinami dziewczyna była kimś w rodzaju bohaterki, bo to właśnie ona wyważyła na zewnątrz strażnika, tak aby cała grupa mogła swobodnie wyjść z przeszłości. Koleżanki mówiły jej wtedy, że świetnie sobie poradziła, a koledzy obrzucali spojrzeniami pełnymi podziwu i dwuznacznymi żartami. Teraz jednak blask tamtego wyczynu osłabł i Tasha bliska była stoczenia się na swe dawne miejsce w hierarchii ich nieformalnej grupy. Miejsce, które - podobnie zresztą jak i to przeznaczone dla Dime - znajdowało się niebezpiecznie blisko dna. Chłopak nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Przecież oboje bardzo starali się być mili i uczynni.

Dziewczyna wróciła do Dime, gdy tylko skończyła rozlewać herbatę.

- Właściwie nie powinniśmy się przejmować Skokiem - powiedziała. - A przynajmniej nie tak bardzo jak kiedyś. Bo teraz nawet jeśli ktoś z nas zostanie z tyłu, to i tak ma szansę dożyć do momentu, kiedy Gurleenowi uda się połączyć wszystkie światy. Prawda?

Dime skinął głową, czując, jak w jego serce wlewa się otucha. Skok nie był już wyrokiem śmierci, teraz istniała nadzieja. Rozejrzał się - inni chyba myśleli podobnie, bo nastroje w grupie były zdecydowanie bardziej optymistyczne, niż można by przypuszczać. Mirris nawet roześmiał się w pewnym momencie z żartu Jaramei i śmiech ten zabrzmiał całkiem naturalnie.

- Kaira wie, gdzie nas szukać, prawda? - zapytała Tasha, a Dime natychmiast spochmurniał.

- Tak, ale wątpię, żeby dziś przyszła.

Miała na tyle taktu, by nie pytać dalej, za co chłopak był jej wdzięczny. I bez cudzej pomocy zdawał sobie sprawę, że traci Kairę. To bolało, lecz nie aż tak bardzo jak dzień czy dwa wcześniej. Jego fascynacja ciemnoskórą dziewczyną mijała, choć wciąż była na tyle silna, by Dime czuł żal na myśl o tym, że Kaira wkrótce stanie mu się obojętna. Teraz wydawało się to jeszcze nieprawdopodobne, a jednak rozsądek podpowiadał, że tak będzie. Dime miał nielichą wprawę w zakochiwaniu się i odkochiwaniu i wiedział, że to początek końca. Życzył sobie

tylko - o co ze wstydem zdążył już poprosić Przedksiężycowych - nie stracić Kairy na rzecz Finnena. Heroicznie postanowił, że w razie czego nie będzie miał pretensji, wolałby jednak, żeby jego szlachetność i - przede wszystkim - przyjaźń z Finnenem nie zostały wystawione na taką próbę.

W szybę od zewnątrz uderzył kamyk, wyrывая Dime z zamyślenia. Spojrzał przez okno. Na schodach stała znana mu już para dzieciaków. Chłopiec niecierpliwie wymachiwał rękami, dziewczynka obok przytupywała dla rozgrzewki.

- Chyba czegoś od nas chcą - powiedziała Tasha, która również przysunęła twarz do szyby.

- Powiadomię Gurleena. Może to coś ważnego.

Esh Gurleen siedział obok piecyka z głową zwieszoną na pierś. Wyglądało na to, że śpi. Gdy Dime potrząsnął nim, Gurleen chrapanął i zakłysnął się, potracając stojący obok pusty kubek. Chłopak podniósł go.

Wyraźnie wyczuwalna woń świadczyła, że tym razem Gurleen zrezygnował z wina na rzecz dolanego do herbaty spirytusu. Prawdopodobnie, z goryczą uświadomił sobie Dime, w kubku było zdecydowanie więcej spirytusu niż herbaty.

Rozejrzał się bezradnie. Do Skoku pozostała godzina. Chira i Jaramei obejmowały się przy ścianie, tuż przy dłoni pięknej kaligrafki spoczywała zapomniana fletnia. Nalle, Sura i Tuir grali w karty, choć sądząc po odgłosach kłótni, nie szło im najlepiej. Mirris, sam najwyraźniej niezbyt trzeźwy, od kilku minut usiłował opowiedzieć pointę dowcipu, ale ciągle przerywały mu albo Arikol, albo Occri, obie rozchichotane i również nieco wstawione. W kącie pokoju Ionne i Hannen całowali się z zapalem i wyglądało na to, że nakaz trzymania się z całą grupą coraz bardziej im ciąży. Tasha, wciąż stojąc przy oknie, patrzyła na Dime z narastającym niepokojem.

A chłopak nie miał pojęcia, co robić. To Gurleen podejmował decyzje. Czasem jeszcze robiła to Kaira, ale Kairy oczywiście nie było.

Dime powinien się wściec, lecz zamiast tego poczuł wzbierającą falę paniki. Choć dawny nauczyciel Kairy lubił zaglądać do

kieliszka, o czym wszyscy wiedzieli, takie zachowanie nie było do niego podobne. Gurleen nie zostawiłby swoich podopiecznych w najważniejszej chwili.

Działo się coś złego.

Dime wzdrygnął się, gdy Tasha dotknęła jego ramienia.

- Nie możesz go dobudzić? - Ruchem podbródka wskazała siwowłosego mężczyznę, który z każdym kiwnięciem coraz bardziej osuwał się na posadzkę.

- Jest zupełnie pijany - chłopak zniżył głos. - Żeby go obudzić, musiałbym chyba wylać mu na głowę wiadro zimnej wody.

Oboje w tym samym momencie spojrzeli na zegar. Niecała godzina do Skoku. Co w takiej sytuacji zrobiłaby Kaira?, zastanowił się Dime. Albo Finnen?

Tasha patrzyła na niego, wyraźnie czekając, aż podejmie decyzję. W szybę uderzył kolejny kamyk. Nalle i Tuir obejrzeni się, zaraz jednak wrócili do gry.

- To jak, próbujemy go otrzeźwić? - zapytała również szepem Tasha.

Dime jeszcze raz omiół zrozpaczonym spojrzeniem całą ich niewielką grupę. Mógłby zapytać Surę, co robić, w końcu Principium dało dziewczynie ostry jak brzytwa umysł. Tyle że jej inteligencja czasem wydawała się tak bardzo oderwana od rzeczywistości... Może więc lepszy będzie Tuir, przecież ktoś, kto często ryzykował, przenosząc w przeszłość jedzenie, powinien wpaść na jakiś pomysł. Albo...

Nie.

Przez całe swoje życie Dime polegał na innych. Może już wystarczy.

- Chodź. - Chwycił Tashę za rękę i pociągnął za sobą. Gdy cicho wyslizgiwali się z pokoju, zwróciła na nich uwagę jedynie Chira, która mrugnęła porozumiewawczo.

Zbiegli po schodach. Na zewnątrz czekali chłopiec i dziewczynka, oboje wyraźnie zdenerwowani.

- Już myślałem, że nikt tu nie przyjdzie i będziemy musieli wejść na górę - parsknął chłopiec, chowając do kieszeni kurtki procę. - Słuchajcie, dzieje się coś dziwnego. W dzielnicy jest

straż miejska. Widziałem ich mechanoidy.

- Straż miejska? - powtórzył Dime, czując, że robi z siebie idiotę. W tej chwili sformułowanie najprostszego zdania było poza zasięgiem jego możliwości.

- Straż miejska, aha - poświadczyła dziewczynka. - I wcale nie chodzi im o nas. My nic złego nie zrobiliśmy.

- No to pomyśleliśmy, że to przez was i że powinniśmy was ostrzec - dodał chłopiec. - Musimy już iść. Nie chcemy żadnych kłopotów.

- Nie, jasne, że nie. - Dime mógł już myśleć, choć szło mu to opornie. - Dobrze z was dzieciaki. Powiedzcie tylko jeszcze, gdzie widzieliście te mechanoidy.

- Tam, niedaleko, przy placu Sznurów. - Chłopiec machnął ręką ku zachodowi, po czym razem z małą towarzyszką zniknął w ciemności.

Tasha ścisnęła Dime za ramię.

- Może oni nie nas szukają może...

- Daj spokój. - Obrócił się w stronę dziewczyny. Światło zakurzonej latarni sprawiało, że jej blada twarz nabrała chorobliwie szarej barwy. Kąciki ust drgały lekko, jakby zaraz miała się rozplakać.

Co w takiej sytuacji zrobiłaby Kaira? A co Finnen?

- Wróć na górę i ostrzeż wszystkich - powiedział Dime. - Ja pójdę zobaczyć te mechanoidy.

Dziewczyna zawahała się, ale gdy popchnął ją lekko w stronę bramy, ruszyła naprzód. Potem Dime tłumaczył sobie, że postąpił słusznie - wysłał dziewczynę z zadaniem bezpieczniejszym, sam zaś wziął na swoje barki to niosące większe zagrożenie. Jednak jeszcze później, gdy życie chłopaka skurczyło się do kilku pozostałych mu dni i gdy z powodu bólu czasem w ogóle nie mógł myśleć, a czasem jego świadomość przypominała świeżo naostrzony nóż, przyszło mu do głowy, że być może było w tej decyzji coś jeszcze.

Może po prostu bał się wejść na górę i powiedzieć wszystkim, że muszą uciekać. Nie chciał być świadkiem wybuchu paniki i bezradności, kiedy jego koledzy i koleżanki odkrywają, że nie mogą liczyć na Gurleena. Już raz to przeżył - głębsze niż

zwyczajny wstyd zażenowanie, gdy patrzył na kiwającego się mężczyznę, a potem gwałtowny przypływ paraliżującego strachu. Nie miał zamiaru doświadczać tego ponownie, tym razem w towarzystwie ludzi, których lubił.

Znał drogę do placu Sznurów. Trzeba było minąć gmach Małej Opery, którego ściany oplatały rury ułożone w kształt diabelskich twarzy (ich usta rozwarte były w śpiewie, lecz Dime zawsze się wydawało, że to raczej krzyk), potem skręcić w prawo i przejść obok nieczynnych ruchomych schodów. Blisko, może ze dwieście metrów. Gdyby było dalej, może Dime przystanąłby, zastanowił się, stchórzył i wrócił do domu. Tam, gdzie jego miejsce. Żałował potem, że tego nie zrobił, żałował ze wszystkich sił, najpierw pokonując poczucie winy, a później już bez wstydu, rozmazując w ciemności łzy na policzkach lepkich od krwi.

Jednak stało się to, co się stało: Dime szybkim krokiem przeszedł owe dwieście metrów, podczas gdy pod jego czaszką tłukły się niespokojne, rwane myśli. Że na pewno zdoła coś zrobić, że jeszcze chwila, a wymyśli sprytny plan, dzięki któremu ocali Gurleena i pozostałych. W wyobraźni widział już rozjaśnioną twarz Kairy i wyraz podziwu w jej oczach, gdy dziewczyna o wszystkim się dowie. Obrazy wytłumiały panikę jak miękka poduszka; umysł chłopaka zapętlił się w kilku nonsensownych migawkach, lecz nawet one znikły, gdy Dime ostrożnie wyjrzał na plac. Bez genialnego planu, za to z drżącymi kolanami i sercem boleśnie wybijającym rytm w piersi. Zobaczył je. Mechanoidy, o których mówił chłopiec. Nie zwyczajne - ale takie, jakie widział raz w życiu, gdy podczas Skoku wybuchły zamieszki. Dwa wysokie na kilkanaście metrów metalowe potwory, pewnie wspierające się na stopach wielkości stołów, z rękami, które mogły rozrywać ściany jak papier. Żelazne czaszki szczyrzyły się na tle rozgwieżdżonego nieba, w szparach oczu płonął żółty blask. Głowy poruszały się lekko - w prawo, w lewo - jak łby nasłuchujących psów.

Serce Dime zjechało w dół, do żołądka, a on sam, oparty o ścianę, trzymał się na nogach resztkami sił. Czy z tej odległości

mechanoidy mogą usłyszeć Gurleena i innych? Rozpoznać ich głosy?

Był prawie pewien, że tak.

Jęknął i ponieważ zdążył sobie sprawę, że to właśnie był błąd. Nie pierwszy, ale ostatni, jaki zrobił tej nocy. Bo jeden z potworów zareagował, odwracając się w jego stronę, i schylił się, wyciągając ręce - hipnotycznie płynnym ruchem, bez zgrzytów, jakie zazwyczaj wydają mechaniczne stawy, bez żadnego dźwięku, jakby żelazny gigant był przywidzeniem.

Chłopak oderwał się wreszcie od ściany i zaczął uciekać.

## **Interludium Kai Kaien**

Skok przynosi zmiany.

Z tą myślą Kai Kaien zrywa się o poranku i pędzi do lustra, nagi, różowy chłopiec z puciołowatymi policzkami, złotymi kędziorami i wałeczkami dzieciennego tłuszczu pod kolanami.

Patrzy, czy się zmienił, szuka oznak nadciągającej dorosłości, a kiedy ich nie znajduje, zaczyna płakać. Łzy spływają z wielkich oczu koloru chabrow na usta tak czerwone, jakby wysmarowano je rozgniecionymi malinami. Na zmianę płacze i tupie ze złości, tupie i płacze. Gdy wchodzi matka, rzuca jej w twarz oskarżenie, a ona, zdezorientowana, tłumaczy, że przecież nie to miała na myśli. Skok, owszem, przynosi zmiany, ale nie takie, Przedksiężcowi nie mogą w jednej chwili uczynić z dziecka mężczyzny.

Zamknięty w matczynych objęciach Kai Kaien czuje zapach kobiety - ciepły, z lekką nutą ryżowego pudru, i budzą się w nim tęsknoty, którym dziecięce ciało nie może sprostać. Został zaprojektowany tak, by dawać i czerpać rozkosz, jego talent to sztuka miłości, lecz dziewczęta, które spotyka, gdy wieczorami wymyka się z domu, śmieją się z niego. Czasem droczą się, pozwalając, by im wsunął



rękę za dekolt lub pod spódnicę, i udają, że chłopiec sprawia im nieopisaną przyjemność, a gdy tylko w to uwierzy, odpychają go przy wtórze chichotów przyjaciółek.

Kai Kaien odchodzi rozżalony i potem długo w noc rozważa, czy mgiełka w oczach dziewcząt była prawdziwa, czy tylko taka mu się zdawała.

## CZEŚĆ II

### SKOK PRZYNOŚI ZMIANY

#### Finnen

*Kiedy byłem mały, brat opowiedział mi pewną legendę. Według niej nasze Przebudzenie wcale nie miało być pierwszym, wcześniej były inne, a Przebudzeni sami stawali się Przedksiężycowymi i wyruszyli w podróż do gwiazd.*

*Pamiętam, że pytałem Ary'ego, jak to możliwe, że Przedksiężycowi odeszli, a jednocześnie zucił się tutaj, ale nie potrafił mi odpowiedzieć. Byłem wówczas przemądrzałym dzieciakiem (niektórzy sądzą, że wciąż nim jestem) i uznałem, że to głupia bajka.*

*Potem przekonałem się, że legenda była dość popularna - w Szklanych Piaskach znały ją z wczesnego dzieciństwa niemal wszystkie sieroty. I wszystkie bardzo szybko z niej wyrastały. Kiedy człowiek zajmuje się tak poważnymi sprainiami jak ściąganie ze straganów ciastek czy zastaioianie pułapek na szabrowników, nie można już wierzyć w bajki.*

*Ja wyrosłem tak bardzo, że zapomniałem o legendzie na długie lata.*

#### 1

Rankiem po Skoku porucznik Teremus Nekke znalazł się na posterunku jako pierwszy. Zwolnił człowieka z nocnej służby (było ich na niej trzech, na wszelki wypadek, gdyby któryś został z tyłu, lecz dwaj poszli do domu wczesnym świtem), po czym rozsunał kratę w swoim boksie i rzucił płaszcz na krzesło.

W sali panowała cisza, świetliki leniwie wirowały pod stropem, przez którego środek biegła osobliwa ozdoba - miedziany ni to kręgosłup, ni to roślinny motyw, częściowo wtopiony w sufit, a częściowo wiszący pod nim niczym dekoracyjna belka. Odchodzące od niego łukowate zebra-kolumny miały barwę starego złota i były gładkie jak wypolerowana na wietrze kość.

Było chłodno, więc Nekke przyciągnął do swojego boksu piecyk i rozpałił w nim ogień. Ciepły blask ślizgał się po kracie. Czasem, gdy porucznik miał chwilę wolnego, a nie chciał oglądać panującego na biurku bałaganu, gapił się właśnie na tę kratę, śledząc wzrokiem kręte arabeski płynnie przechodzące w litery i litery zmieniające się w zwierzęce sylwetki, które z kolei przekształcały się w arabeski - i tak bez końca, w nieprzerwanym cyklu metamorfozy.

Dorzucił jeszcze kilka grud węgla drzewnego i zawiesił nad płomieniem czajnik. Zauważył, że Skok zabrał jego ulubiony kubek z utłuczonym uszkiem. Cóż, trudno, przyzwyczai się do innego. Gdy woda się zagotowała, zaparzył kawę, osłodził ją trzema łyżeczkami cukru i popijając, zjadł kilka orzechowych bułek. Wiedział, że czeka go ciężki dzień, zwlekał więc z zabranieniem się do pracy.

Oto zadania na dzisiaj: po pierwsze, podliczyć straty, jakie spowodował Skok, po drugie, zorganizować krótkie pożegnanie ludzi, którzy zostali z tyłu, po trzecie, podzielić pracę pomiędzy pozostałych, dopóki nie znajdzie się zastępstwo. Nekke już czuł znużenie, a przecież jeszcze nic nie zdążył zrobić. Orzechowa bułka smakowała jak papier, gdy przeżuwał ją ze starannością człowieka, któremu w dzieciństwie wbito do głowy, że należy dobrze się odżywiać, aby zachować siły. Był zmęczony nie tylko czekającym go zadaniem, ale całym życiem, bezsensownością wszystkiego, co robił.

Przywołał w pamięci scenę sprzed kilku tygodni: oto przed powrotem do domu pali przy oknie wieczornego papierosa, gdy niespodziewanie staje obok niego Susma Kehti - człowiek, którego Teremus Nekke czasem, w przypiływie wzmocnionej alkoholem czułości, nazywa przyjacielem.

- Wiesz, że nie damy rady utrzymać porządku w mieście, co?

- mówi Susma, patrząc w wiszący za oknem mrok.

Porucznik odpowiada krótkim skinieniem, powtórzonym przez odbicie w szybie - wymizerowane, z workami pod oczami i bruzdami wokół ust, choć przecież Nekke nie jest stary. Jeszcze nie jest i prawdopodobnie nigdy nie będzie.

- Prędzej czy później - Lu na polis pogrąży się w chaosie

- kontynuuje Susma. - Przy następnym Skoku albo jeszcze następnym. Ludzi jest co prawda coraz mniej, ale nas też. I mało kto ze strażników tak naprawdę ma jeszcze serce do tej roboty. Nas, starą gwardię, Przedksiężycowi zazwyczaj oszczędzają ale to nonsens ludzić się, że tak będzie do końca. My też się wykruszymy, a kto przyjdzie na nasze miejsce? Widzisz kogoś, kto mógłby cię zastąpić na stanowisku porucznika? Albo mnie? Popatrz na młodych, niektórzy dochodzą nawet do stopnia kapitana, a jacy są? Kiepsko wyszkoleni, niegodni zaufania, tchórzliwi albo idiotycznie brawurowi. Zaciągają się, bo sądzą, że dzięki temu będą mieć powodzenie u dziewczyn, a potem odchodzą, bo im się nudzi albo zabiera ich Skok. Połowa z nich nie potrafi napisać najprostszego raportu, a druga połowa za działkę syne- stetyku puściłaby wolno art-mordercę, nawet gdyby ten zabił im matkę. - Odbicie Susmy śmieje się gorzko. - A my musimy ich tolerować, bo nikogo innego nie ma. Pamiętasz książki, które czytywaliśmy w młodości? Te o wielkich bitwach i wojskach dowodzonych przez generałów? No więc ja się czasem czuję jak taki generał, który wie, że bitwę przegra, a mimo to prowadzi do niej swoich żołnierzy. Bo nic innego nie potrafi, rozumiesz? Myślałeś kiedyś o tym, żeby dać sobie spokój? Zrezygnować ze służby i zamknąć się mieszkaniu z gromadką chętnych dziewcząt i skrzynką rumu? Myślałeś, prawda? Ale nie zrobisz tego, nikt z nas tego nie robi, bo wtedy Przedksiężycowi jak nic dali- by nam kopa w sam środek tyłka.

Odbicie Teremusa Nekkego przytakuje, lustrzana dłoń unosi do lustrzanych ust papierosa, a potem sunie w dół, czerwony ogienek rozmazuje się w pierwszych kroplach deszczu, które bębnią w szybę od zewnątrz. Nawet na siebie nie spojrzeli, Susma mówił to, o czym porucznik doskonale wiedział - i wie-

dział, że tamten wie - a mimo to rozmowa, choć niewątpliwie dziwna, była ważna. Nekke czuł potem ulgę. To, co najbardziej istotne, zostało powiedziane na głos, nie pozostawiając żadnych niejasności.

Porucznik zastanowił się, czy Susma zdołał przetrwać, a jeśli nie, to czy będzie miał odwagę odwiedzić przyjaciela w przeszłości. I co mu powie? Czy w takich sytuacjach w ogóle jest coś, co można powiedzieć? Potem pomyślał o Ninn. Czy Ninn się udało? Byli parą przez dwa tygodnie i na samym początku, gdy uczucie zauroczenia było najświeższe i najżywsze, chcieli nawet spędzić razem noc Skoku. Jednak mijały kolejne dni, w czasie których coraz rzadziej o tym wspominali. Wreszcie Ninn oznajmiła, że pójdzie z przyjaciółmi na plac Wodny, a on nie zaprotestował. Oboje za bardzo się bali. Zaangażowania, utraty i późniejszej rozpacz. Tak będzie lepiej, powiedział Nekke, i wciąż w to wierzył, choć wiedział też, że jeśli Ninn przetrwała - i jeśli on skontaktuje się z nią na co rzecz jasna się nie zdobędzie - to ów akt tchórzostwa wyrośnie między nimi jak mur.

Wypił ostatni łyk kawy, zjadł resztę bułki, po czym z niechęcią pochylił się nad leżącymi na biurku raportami. Nie uniósł głowy, gdy usłyszał skrzypnięcie rozsuwanych drzwi. Był przekonany, że jeden z kolegów również przyszedł nieco wcześniej, by stawić czoła ciężkiemu dniu. Zaalarmowała go dopiero woń krwi, ciężki, metaliczny zaduch rzeźni, który uderzył w niego niczym ściana.

Porucznik odwrócił się i zobaczył upiora, postać jak z legend, w które od dawna nikt nie wierzył. Mężczyzna stał na środku sali w sztywnym od krwi ubraniu, niegdyś zapewne jasnym, a teraz niemal jednolicie brązowoczerwonym. Brązowoczerwone były też jego włosy pozlepiane w strąki i zwisające po obu stronach umazanej szkarłatem twarzy, w której wyróżniały się niespodziewanie koła czystej, bladej skóry wokół oczu. Jasnoblękitny kolor tęczówek powinien sprawiać wrażenie radosnego, ale wcale taki nie był.

Teremus Nekke zauważył, że mężczyzna, choć najprawdopodobniej szalony, nie jest uzbrojony i nie wygląda na agresywnego, zatrzymał więc dłoń w pół ruchu do szuflady,

gdzie chował służbową *darakkę*. W razie potrzeby zdąży jeszcze po nią sięgnąć.

- Przyszedłem zgłosić śmierć jedenastu osób - oznajmił upiór i wtedy porucznik go rozpoznał.

- Ibris? Ibris Marely?

Upiór wolno skinął głową.

- Chyba tak.

- Co się stało? - Nekke zaraz pożałował pytania. Zaduch krwi był porażający, porucznik oddychał jak najpłycej, a mimo to ohydny, mięsno-żelazisty posmak osadzał mu się w ustach i wdzierał do gardła. Z trudem powstrzymał chęć splunięcia zgęstniałą śliną na posadzkę. - Albo nie, nie odpowiadaj. Najpierw wykąp się i przebierz. Potem wróć.

- Zgodnie z siódmym punktem regulaminu...

- Na zgniłe flaki Przedksiężycowych, kogo obchodzi w takiej sytuacji regulamin? Przyjdź czysty, wtedy pogadamy.

- Mam rozumieć, że to służbowe polecenie?

- Jeśli tak ci wygodnie.

Co się temu człowiekowi stało? Przecież Nekke znał Marely'ego, nie najlepiej, ale znał. Należał do gatunku młodych mężczyzn, o jakich mówił Susma: ani przesadnie kompetentny, ani nazbyt uczciwy, lecz mimo to wykonujący swoją pracę wystarczająco dobrze, że dochrapał się stopnia starszego sierżanta. W żadnym razie nie służbista cytujący z pamięci punkty regulaminu.

Marely zawahał się.

- Z powodów osobistych wolałbym nie wracać do mieszkania, które zajmowałem wcześniej.

- Więc znajdź sobie inne mieszkanie, opuszczone. - Nekke tracił cierpliwość. - Po Skoku powinno być ich sporo. Wszyscy tak robią.

- Co nie oznacza, że jest to zgodne z prawem.

Porucznik jęknął w duchu. Gruba kropla potu spłynęła mu z czoła na skrzydełko nosa.

- W takim razie skorzystaj z łaźni, która jest w podziemiach, a ja pošlę kogoś po czyste ubranie. Do licha, sam po nie pójde, tylko zejdź mi z oczu.

Gdy czerwonobrazowy upiór wyszedł, Teremus Nekke wyciągnął z rękawa mundurowej bluzy chustkę, otarł twarz, po czym otworzył okno i odetchnął pełną piersią. Spróbował sobie przypomnieć, co wie o Marelym. Nie było tego dużo, bo niczym się nie wyróżniał (przynajmniej jeszcze do niedawna). Sierżant miał tylko dwie cechy, które zapadały w pamięć. Pierwsza to te śmieszne, okrągłe i kolorowe okulary, które zdejmował chyba tylko do snu, choć wzrok miał doskonały. Upierał się, żeby nosić je nawet w łaźni parowej, gdzie co chwila musiał przecierać szkła. Może sądził, że dodaje mu to oryginalności? Albo chciał uchodzić za kogoś okaleczonego?

Te jasne koła wokół oczu to właśnie przez okulary, uświadomił sobie Nekke. Miał je na nosie, kiedy bryzgała krew, a potem... co? Zgubił? Zdjął i wyrzucił, zamiast wyczyścić i założyć ponownie? To nie było podobne do sierżanta, którego znał.

Drugą charakterystyczną cechą błękitnookiego młodzieńca była jego miłość do pewnej smukłej, jasnowłosej dziewczyny. Porucznik widywał ją niemal codziennie, gdy wieczorem czekała przed budynkiem posterunku. Czasem patrzył na oddalającą się parę i wiedział, że łączy ich to bezkrytyczne, bezwstydnie szczęśliwie i namiętne uczucie, jakiego zaznać można tylko w młodości. Widać to było w każdym spojrzeniu Marely'ego i słychać w każdym jego słowie, bo chłopak oczywiście nie mógł się powstrzymać, by bezustannie o dziewczynie (jak ona miała na imię?) nie opowiadać. Teremus Nekke zazdrościł im tej miłości. Nikt z jego pokolenia nie potrafił tak kochać - jakby nie było Skoków i grozy nadciągającego końca świata. Jednocześnie litował się nad Marelym.

Marelym, który teraz w podziemnej łaźni zmywał z siebie krew, a wcześniej oznajmił, że z powodów osobistych wolałby nie wracać do mieszkania, jakie dzielił z jasnowłosą, smukłą dziewczyną.

Teremus Nekke sięgnął po papierosa i wypalił go, strzepując popiół na posadzkę. Zaczynał rozumieć, co się stało. Jeszcze przed kilkoma Skokami coś podobnego byłoby nie do pomyślenia, ale Susma miał rację - w Lunapolis wszystko zmierzało prostą drogą w stronę chaosu.

Przeszedł na koniec sali, gdzie w większym, nieużywanym boksie stały szafki z drewna zimnorośli. Nie było na nich śladu kurzu, a Nekke dopiero teraz zauważył, że szyby w łukowato sklepionych oknach lśnią nieskazitelną czystością. W przyływie wisielczego humoru pomyślał, że jeśli Skoki będą następować jeszcze szybciej, to władze miasta przynajmniej zaoszczędzą na automatach czyszczących.

Znalazł teczkę sierżanta Ibrisa Marely'ego - nie bez problemu, bo Skok likwidował brud, a nie bałagan - po czym rozłożył papiery na niewielkim stoliku. Z czarno-białej fotografii spojrziała na niego twarz młodego mężczyzny. Jasne włosy miał związane z tyłu, u nasady nosa widać było odciski pozostawione przez oprawki zdjętych okularów. Wydawał się lekko zdenerwowany, zerkał nawet niepewnie w bok, jakby potrzebował aprobaty kogoś, kto stoi poza kadrem.

Podpis głosił: Ibris Marely, syn Ibrisa Zohry, dziecko korporacji Ekwilibrium.

Oczywiste kłamstwo.

## 2

Pół godziny później, gdy posterunek zapełnił się ludźmi, sierżant Ibris Marely, już wykąpany, z mokrymi włosami i w świeżym ubraniu, siedział w boksie Teremusa Nekkego. Za jego plecami przy rozsuniętej kracie zebrała się publiczność - cztery osoby, które nie miały nawet zamiaru udawać, że pracują.

Porucznik podał Marely'emu kubek.

- Częstuj się. Wiem, że lubisz kawę z kardamonem. - Tak naprawdę nie wiedział, ale zapytał kogoś, kto znał sierżanta lepiej. Dawnego sierżanta.

Jasnowłosa wypił łyk i skrzywił się lekko. Nekke wyszczerzył zęby w niewesołym uśmiechu.

- Paskudna, co? Nie martw się, mnie też nie smakuje. Ale kiedyś naprawdę ją lubiłeś, choć pewnie trudno ci w to uwierzyć.

Marely nie odpowiedział. Siedział na krześle rozluźniony, z



rękoma na kolanach, nieruchomą twarzą i czujnym wzrokiem. Cała jego postawa mówiła: oto człowiek na tyle mądry, by nie lekceważyć zagrożenia, a jednocześnie wystarczająco pewny siebie, by za bardzo się nim nie przejmować. Nekke wyobraził sobie w tym samym miejscu dawnego sierżanta, który udawałby opanowanie, jednocześnie mrugając ze zdenerwowania.

Porucznik westchnął. Wiedział już, że z nowym Marelym nie pójdzie mu łatwo.

- Czy coś z dawnego ciebie w ogóle zostało? Cokolwiek? Na przykład miłość do tej dziewczyny, jak jej tam...? Może chcesz, żeby po nią posłać?

Na twarzy chłopaka coś drgnęło. Żal, odrobina poczucia winy?

- Nie chcę.

Nekke powiódł wzrokiem po przysłuchujących się rozmowie współpracownikach.

- On jest szaleńcem skokowym - wyjaśnił tym, którzy byli na tyle tępi, by nie domyślić się wcześniej. - Oszukał komisję werbunkową, podając, że jest dzieckiem Ekwilibrium, a nikomu nie przyszło do głowy, żeby to sprawdzić.

Pozbawiony owłosienia mężczyzna gwizdnął przeciągle, jedna z dwóch kobiet zaśmiała się krótko, z uznaniem, i zaraz umilkła speszona.

Ibris Mareły przysunął krzesło bliżej Nekkego.

- Zdaje pan sobie sprawę, że zgodnie z prawem nie mogę mieć z tego powodu kłopotów? Nie odpowiadam za to, co zrobiła moja poprzednia osobowość, jestem teraz innym człowiekiem. Mężczyzna, który podał wam fałszywe dane, już nie istnieje.

- Wiem, ale ty masz jego wspomnienia, a ja chcę wiedzieć, co się stało dziś w nocy. Kto zabił tych wszystkich ludzi? I dlaczego? Poza tym... Moment.

Przeklinając w myślach bałagan, porucznik przetrząsnął leżące na biurku papiery. Wreszcie znalazł to, czego szukał.

- Z tego dokumentu wynika, że ktoś zgłosił podejrzaną działalność w dzielnicy sierot. Co to, na zły gust Przedksiężyco-  
wych, znaczy „podejrzana działalność”? Dzieciaki znów

złapały w pułapkę jakąś szybę? I kto to zgłosił? A z tego - potrzęsnał drugą kartką, podpiętą do pierwszej spinaczem - wynika, że dostałeś pozwolenie na wzięcie czterech ludzi, nie wiadomo których, i użycie dwóch mechanoidów. Też nie wiadomo których. Kto to zatwierdził?

- Manehdra - mruknął łysy mężczyzna, ten sam, który wcześniej gwizdał.

Nekke zmiął w ustach kilka barwnych przekleństw. Manehdra, jeśli przetrwał - a prawdopodobnie przetrwał, bo wobec cholerycznych pierników Przedksiężycowi byli zaskakująco łaskawi - to odsypiał teraz nocną popijawę i w pracy zjawi się najwcześniej koło południa, z bólem głowy i w paskudnym humorze.

- Kim byli ludzie, których wzięłeś ze sobą? I gdzie są teraz?

- Chimari został z tyłu, a Inie Urmili pozwoliłem wrócić do domu, bo martwiła się o siostrę, dla której to był pierwszy dorosły Skok. Blinne i Karan są w szpitalu.

- Ranni?

- Nie, pilnują pewnego mężczyzny i chłopaka. Mógłbym opowiedzieć wszystko od początku? Myślę, że tak będzie zdecydowanie łatwiej.

### 3

Finnen dostrzegł Kairę przed wieżą art-zbrodniarzy. Siedziała na cembrowinie nieczynnej fontanny zgięta w pół, z łokciami przyciśniętymi do brzucha i wzrokiem wbitym w buty. Wyglądała na chorą, zmęczoną lub smutną - albo wszystko naraz. W białych włosach zauważył czerwone pasemka, które wydały mu się akcentem nieco zbyt frywolnym jak na kogoś tak ewidentnie nieszczęśliwego. Poza nią na placu nie było nikogo - tylko jedna żywa dusza w ten chłodny poskokowy ranek, gdy cały świat lśnił czystością i nawet niebo wyglądało jak świeżo wymyte.

Finnen szedł w stronę Kairy przepelniony życzliwością. Wybaczył jej wczorajszej nocy i jego własna wielkoduszność

nastroiła go pozytywnie do wszystkiego i wszystkich. Był gotów pocieszać, bo dziewczyna niewątpliwie tego właśnie potrzebowała. Przy tym część jego umysłu - ta bardziej przywiązana do wizerunku Finnena jako młodego cynika - podpowiadała, że powinien się pospieszyć, zanim minie mu ów szczególny przypływ altruizmu.

- Ktoś został z tyłu? - zapytał. - Kto? Ionne? Chira? Dime?

- Przy tym ostatnim dobry nastrój Finnena został wystawiony na próbę.

Uniosła głowę. Miała poszarzałą, ściągniętą niepokojem twarz i rozpacz w oczach. Finnen poczuł nagłą, absurdalną ulgę - bo Kaira z całą pewnością nie wyglądałaby tak po zniknięciu Dime - a zaraz potem równie absurdalną satysfakcję.

- Gurleen? Kairo, tak mi przykro...

A przecież mówił mu, żeby zdradził komuś szczegóły swojego planu, ale ten stary głupiec tak się uparł... Lęk wezbrał w Finnenie, zmywając wcześniejsze emocje, a wtedy dziewczyna pokręciła głową, powoli, w skupieniu, ze wzrokiem utkwionym w dali, jakby stojący przed nią chłopak był zrobiony ze szkła równie czystego jak wszystko wokół.

- To nie Gurleen. A w każdym razie nie tylko on. Stało się coś strasznego. Byłam tam, w tamtym mieszkaniu w dzielnicy sierot, i nikogo nie zastałam, tylko gruzy, bo ściana jest rozwalona, jakby rozerwał ją mechanoid. Taki, jakiego ma straż miejska, rozumiesz?

- Może zdążyli uciec... - wybąkał Finnen. - Widziałaś ślady krwi?

- Nie, ale to równie dobrze może oznaczać, że zginęli przed Skokiem. Wtedy krew i ciała zostałyby w przeszłości.

- Albo to znaczy, że udało im się zwiąć. Kaira, nie zakładaj od razu najgorszego.

- Wtedy zostawiliby wiadomość...

- Może nie mieli czasu albo nie szukałaś wystarczająco dobrze. Chodź, przejdziemy się i sprawdzimy. No już, wstawaj.

- Chwycił dziewczynę za ramię i szarpnął w górę. Była ciężka, jakby wypełniająca ją rozpacz ściągała ciało w dół. Energia,

która pozwoliła mu postawić Kairę na nogi, brała się z desperacji i Finnen wiedział, że nie starczy jej na długo. - Nic nie wymyślisz, jeśli będziesz tu po prostu siedzieć.

- A jeśli niczego nie znajdziemy? - Odwróciła się w stronę chłopaka. Nie prosiła o pocieszenie, Finnen na szczęście w porę to zrozumiał.

- Wtedy zejdziemy w przeszłość. Tam albo znajdziemy martwe ciała, albo kogoś, kto został z tyłu i będzie coś wiedział - odparł.

A potem, ponieważ mimo wszystko był słabym człowiekiem i czuł się przytłoczony coraz szybszym biegiem zdarzeń, nad którymi nie panował, powiedział jednak: „Nie martw się, wszystko będzie dobrze”, bardziej po to, żeby pocieszyć siebie niż Kairę.

Dziewczyna milczała i był jej za to wdzięczny.

## 4

- Czy ta rozmowa jest nagrywana?

- Tak.

Ibris Marely splótł dłonie na blacie biurka.

- Tydzień temu - powiedział wolno, z namysłem, jakby każde słowo musiał wyszukiwać w głowie - skontaktował się ze mną pewien człowiek. Nie przedstawił się, napisał tylko, że jest gotów złożyć mi... pewną propozycję, bo słyszał, że jestem człowiekiem... niezbyt uczciwym.

Kolejne pauzy były coraz dłuższe, wreszcie Marely całkiem umilkł. W jego oczach widać było udrękę kontrastującą z pozornym spokojem twarzy. Teremus Nekke czekał cierpliwie.

- Czy pan wyobraża sobie, jakie to dla mnie trudne? - podjął po chwili Marely. - Mówię „ja”, ale tak naprawdę przecież chodzi o kogoś zupełnie innego, ja nigdy nie zrobiłbym rzeczy, które on robił. Czy ma pan pojęcie, jakie to uczucie zbudzić się niczym z długiego snu i odkryć, że wiodło się podłe, występne życie, było się kłamcą i oszustem? Czuć wstręt do samego siebie, nienawidzić tamtego człowieka i jednocześnie wiedzieć, że w pokrętny, chory sposób ty i on to jedna osoba?

Być odpowiedzialnym za jego czyny, na które nie miało się najmniejszego wpływu?

- Bez przesady, nasz sierżant nie był aż taki zły... W każdym razie nie gorszy niż wielu innych.

Na twarzy Marely'ego odmalował się wyraz pogardy tak skoncentrowanej, że porucznik cofnął się lekko.

- I to ma być usprawiedliwienie? Ze są jeszcze gorsi niż on... ja?

Nekke sięgnął po zmiętą paczkę i wyjął z niej ostatniego papierosa. Ręce lekko mu drżały. Z trudem tłumił narastającą niechęć.

- Zgódźmy się może, że jak na faceta, który urodził się kilkanaście godzin temu, ma pan mnóstwo problemów, i w końcu przejdźmy do rzeczy, dobrze? Czego chciał tamten mężczyzna?

- Spotkaliśmy się w kawiarni, która ma taką głupią nazwę Przedsiónek Przebudzenia, ale ludzie i tak mówią na nią...

- Sionka, wiem. Też zresztą głupio.

Marely przytaknął.

- Nosił maskę, więc obawiam się, że niestety nie zdołałbym go rozpoznać, chyba że po głosie. Złożył mi wówczas propozycję: sto surimów w zamian za wykonanie pewnego zadania.

- Jakiego?

- Powiedział, że w noc Skoku w dzielnicy sierot zbierze się grupa kilkunastu osób. Ja i moi ludzie mieliśmy zabić wszystkich, z wyjątkiem starszego mężczyzny oraz czarnoskórej, białowłosej dziewczyny. Tym powinniśmy nie tylko darować życie, ale w dodatku jeszcze umożliwić ucieczkę tak, żeby nie domyślili się, że ktoś nam za to zapłacił.

- Brzmi skomplikowanie. - Nekke wydmuchnął papierosowy dym.

- Pan nie wydaje się zszokowany. - Miejsce pogardy zajął równie wyraźny niesmak.

Porucznik leniwie, nawet z pewną dozą podziwu zastanowił się, jak facet to robi. Mimikę miał oszczędną, rysy niemal nieruchome, a mimo to z jego twarzy można było czytać jak z książki.

Inna rzecz, pomyślał ponuro Nekke, że była to książka nieco monotonna.

Westchnął.

- Nie, nie jestem zszokowany. - Nie takie rzeczy w życiu widział i nie o takich słyszał. Nie był stary, ale czasem tak właśnie się czuł. Nowo narodzony idealizm Ibrisa Marely'ego męczył go tylko i irytował. - Jedna rzecz mnie ciekawi. Skoro pan, to znaczy pańska poprzednia osobowość wiedziała, że w czasie Skoku i tak zniknie, to czemu połaszczyła się na pieniądze?

- Ja... on...

- Niech pan mówi „ja” albo „on”, jak pan chce, byle konsekwentnie. Nie komplikujmy tego bardziej niż trzeba, zgoda?

- W takim razie niech będzie „ja”... Ja wziąłem te pieniądze z powodu dziewczyny, żeby mogła przejść genozmianę. On ją bardzo kochał.

Marely najwyraźniej nie był w stanie powiedzieć „ja”. Nekkego zirytowało to bardziej niż wszystko wcześniejsze razem wzięte. Miłość tamtych dwojga, nawet jeśli nie była tak idealna, jak mogło się wydawać - a nie była, bo przecież wisiał nad nią cień nieuchronnej skokowej zmiany - nie zasługiwała na tego rodzaju koniec.

Jesteś sentymentalnym idiotą, skarcił się w myślach porucznik, po czym policzył do pięciu. Gdy gniew nieco opadł, rzucił:

- Dalej.

- Czarnoskórej i białowłosej dziewczyny nigdzie nie widziałem, ale reszta się zgadzała. Dzisiejszej nocy w dzielnicy sierot rzeczywiście zebrała się grupa młodych osób, wśród których był jeden starszy mężczyzna...

## 5

Do Szklanych Piasków, dzielnicy zwanej Sierocińcem, dotarli, idąc pieszo przez niemal puste miasto. Kaira narzuciła tak szybkie tempo, że Finnen mimo swoich świeżo wzmocnionych mięśni z trudem za nią nadążał. Milczeli przez całą drogę - ona

była pogrążona w myślach, on i tak nie wiedziałby, co powiedzieć, żeby znów nie zabrzmiało to rozpaczliwie naiwnie.

Kaira zaprowadziła go pod budynek, w którym na wysokości drugiego piętra ziała dziura o średnicy kilku metrów. Finnen rozejrzał się i nie zobaczył ani gruzu, ani unoszącego się w powietrzu pyłu, ani nawet szkła z ocalałej połowy okna. Kawalek muru po prostu zniknął, rozplynął się w powietrzu, nie pozostawiając po sobie śladów. Konstrukcja przedstawiająca sfery niebieskie była w tym miejscu rozdarta, z najgrubszej rury lała się gorąca woda, a te cieńsze sterczały wygięte na zewnątrz. Ich ostro spilowane końce wyglądały jak kły.

- To musiało się stać przed Skokiem. - Finnen wiedział, że to, co mówi, nie jest odkrywcze, jednak milczenie zbyt mu ciążyło. - Dlatego nie ma gruzu ani kurzu, ani nic. I te rury... Widziałas kiedyś coś takiego?

Odezwiąj się, poprosił Kairę w duchu, ale ona tylko pokręciła głową. Wyglądało na to, że jego słowa ledwo do niej docierały.

Skok zabierał rzeczy tak bardzo uszkodzone, że nienadające się do użytku - o tym wszyscy wiedzieli, choć ludzka i przedksiężycowa definicja tego terminu czasem się różniła, o czym za każdym razem przekonywały się dziesiątki zbieraczy staroci i tysiące dzieci przywiązanych do wyliniałych misiów i bezokich lalek. Wszyscy wiedzieli też, że czasem zdarza się, iż Skok kasuje tylko uszkodzoną część, a resztę zostawia. Finnen słyszał o przypadkach, gdy zniknął zardzewiały kawałek rurociągu albo fragment ściany, na której wyrósł grzyb. Jednak nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego na własne oczy.

- Mechanoid... mechanoid musiał rozerwać konstrukcję, a potem przyszedł Skok i wyrównał poszarpane krawędzie rur, ściał je równo jak od linijki i...

I wygląda to, jakby tak właśnie miało być, dodał w duchu, niczym pieprzone dzieło sztuki.

Finnen spostrzegł, że Kaira patrzy w tę samą stronę - tam, gdzie obok ocalałej połówki okna zwisał doskonale widoczny ze schodów przedmiot w kolorze jaskrawego szkarłatu.

- To kurtka Mirrisa - powiedziała cicho. - Jak mogłam jej wcześniej nie zauważyć?

Przez kilka paskudnych sekund Pantalekis walczył, żeby strząsnąć z siebie resztki snu. Instynkt podpowiadał, że dzieje się coś nietypowego - więc może groźnego - a on powinien być przytomny. Wiedział, że znajduje się w obcym miejscu, nie w mieszkaniu, do którego przywykł tak bardzo, że nazywał je swoim, zdał sobie z tego sprawę, jeszcze zanim usiadł na łóżku, łapiąc oddech, i zanim sięgnął do pulsujących bólem skroni.

- Ty popierdolony skurwysynu... - jęknął pod adresem młodzieńca, który siedział na krześle przy łóżku i przyglądał mu się z leniwym zainteresowaniem.

Był to ten sam mężczyzna, którego Daniel nazwał ćwokiem i z którym poszedł jak ostatni głupiec, jak pieprzona sierotka z bajki, a potem, jak jeszcze większy kretyń, wypił podane mu wino. Zorientował się, że coś jest nie tak, dopiero gdy podłoga ruszyła na spotkanie z jego głową.

- Otrułeś mnie, draniu - sapnął, czując przepelniający go gniew. Nie strach, bo ten zniknął. Mimo iż pod czaszką mu łomotało, Pantalekis był wystarczająco przytomny, by zdać sobie sprawę, że gdyby czarnowłosy ćwok zamierzał go zabić, zrobiłby to wcześniej. - Dosypałeś mi czegoś, ty...

Daniel umilkł. Wciąż coś było nie tak, bardzo nie tak... Dopiero po chwili dotarło do niego, o co chodzi.

Odrzucił kołdrę, odsłaniając poły białej, babskiej koszuli, którą miał na sobie, oraz wyglądające spod niej nogi. Prawa, chuda i poznaczona plamami odmrożeń, była taka, jaka powinna być. Lewą za to od kolana aż po stopę spowijał sztywny opatrunek w jaskrawozielonym kolorze. Daniel na próbę poruszył dużym palcem. Poczował ból, ale odległy, stłumiony. Wahając się pomiędzy złością a nadzieją, spojrzał na młodego mężczyznę.

- Co mi zrobiliście? Będę teraz mógł normalnie chodzić? Po co... dlaczego? - Pytań było tak dużo, że nie wiedział, które wybrać. Zresztą rozmowa nie miała sensu, przecież ćwok i tak



go nie rozumiał.

Rozwahał, jak rozegrać tę sytuację, a przy okazji, aby zyskać na czasie, rozejrzał się.

Łóżko znajdowało się w kwadratowym - cóż za miła odmiana po tych wszystkich wielokątach - pokoju o ścianach pokrytych mozaiką, składającą się z kolorowych, ułożonych jeden na drugim pasów. Najpierw pomarańcz, potem fiolet, nad nim błękit, zieleń i żółć, jakby mieszkał tu pieprzony fanatyk tęczy. Na posadzce leżały równie barwne dywaniki i jeśli w ich rozmieszczeniu był jakiś sens, to Pantalekis nie potrafił go dostrzec. Umeblowanie było skromne: tylko łóżko, dwa krzesła, stolik i szafka, wszystko na szczęście zwyczajnie brązowe, z drewna, choć o przesadnie fikuśnych jak na gust Daniela, powyginanych kształtach. Przez trzy wąskie okna wpadało światło świadczące o tym, iż dochodzi południe. Pantalekis poszukał wzrokiem swoich rzeczy, ale znalazł tylko stojące przy łóżku buty.

Czarnowłosa również na nie spojrział.

- Prawdziwa skóra - powiedział z podziwem. - Ciekawe, jakim cudem udało ci się zdobyć takie dzieło sztuki? Ukradłeś je komuś?

Daniel poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. Jego serce zerwało się do szaleńczego galopu.

- Ja nie... jakim... jakim cudem cię rozumiem?

- Będzie prościej, jeśli będziesz mówił moim językiem - odparł czarnowłosa. - Ja twojego nie znam.

Pierwsze oszołomienie minęło i Pantalekis pomyślał, że musieli wpakować mu znajomość miejscowego języka prosto do głowy, gdy stracił przytomność. Najprostsze wyjaśnienie, a jednak, kurwa mać, to nadal było przerażające. Na Nowych Ziemiach podobny proces zająłby tydzień-dwa, w zależności od uzdolnień klienta. Tutejszym specem wystarczyło kilka godzin. Chyba że spał dłużej, niż myślał? Przejechał dłonią po policzku, sprawdzając stan szczeciny, która wciąż wydawała się dość krótka. Nie był też przesadnie głodny ani osłabiony. Nie, z całą pewnością nie spędził ostatniego tygodnia w śpiączce.

- Umiesz mówić naszym językiem - powiedział ćwok. - Po

prostu spróbuj.

- Ja... - odchrząknął Daniel. - Nie wiem...

Słowa pojawiły się w jego głowie znikąd i same spłynęły na wargi, oba krótkie, dźwięczne i tak bardzo obce, że Pantalekis zadrżał lekko.

- Nie wiem - powtórzył, smakując poszczególne głoski. Tym razem poszło łatwiej. - Czy potrafię...

- Oczywiście, że potrafisz. Przecież właśnie to robisz.

Spojrzał na ćwoka spode łba. Zaczynał go naprawdę nie lubić.

- Bawi cię to, co? Wydaje ci się, że to takie łatwe?

Powiedział dwa zdania i na moment wpadł w panikę. Jego nowa umiejętność nie miała nic wspólnego ze znajomością gramatyki, logiką czy przywoływaniem w pamięci wykutych słówek, była czysto instynktowna. Wyglądało na to, że z mówieniem w miejscowym języku jest trochę jak z chodzeniem po krawędzi dachu. Człowiek mógł to robić, pod warunkiem że nie zastanawiał się, co wyprawia, w przeciwnym wypadku przerażenie natychmiast podcinało mu nogi.

Odetchnął, postanawiając: żadnej paniki, żadnego przerażenia. Przecież sam tego chciał. Powinien się cieszyć, że nie musi machać rękami jak kretyn czy rysować obrazków.

- O co chodzi z moimi butami? - Ćwok miał rację, to wcale nie było takie trudne.

- Przedmioty zrobione z prawdziwej skóry mają rangę dzieł sztuki i są bardzo drogie, a ty nie wyglądasz na kogoś, kogo byłoby na nie stać. Twoje spodnie... - Ćwok zaśmiał się. - Człowieku, miałeś cholernie wielkie szczęście, że Skok nie zdarł ci ich z tyłka.

Ostatnie kilka słów nie miało dla Pantalekisa sensu, jednak nie zamierzał się tym martwić. Wreszcie uwierzył, że naprawdę potrafi się z miejscowymi dogadać. Na wyjaśnianie różnic kulturowych przyjdzie czas.

- Jestem Daniel Pantalekis - oznajmił z taką godnością, na jaką było go stać, biorąc pod uwagę sytuację. - Butów nie ukradłem, dała mi je pewna kobieta, a co do moich spodni, to przykro mi, ale innych nie mam. Nie chcesz na nie patrzeć - forma „pan” zaświtała mu w głowie, jednak zignorował ją - to

podaruj mi nowe, nie mam nic przeciwko temu. Poza tym potrzebuję pomocy, a ponieważ ty z jakiegoś powodu mnie szukałeś, więc myślę, że też czegoś ode mnie chcesz. Może się dogadamy.

- Jestem Unaj. - Ćwok wyszczerzył zęby. - I tak, może się dogadamy.

## 7

Na drugim piętrze w jednym z pokoi znaleźli stojący na środku piecyk w kształcie gruszki, puszkę zielonej herbaty, pięć kubków i trzy miseczki, talię kart rozrzuconych na posadzce, fletnię oraz książkę z marginesami zabazgranymi przez rysunki Jaramei. A także czerwoną kurtkę Mirrisa, oczywiście. Wszystko to świadczyło, że grupa Gurleena była tu ostatniej nocy, że pili herbatę i próbowali zabić czas. Nie wiadomo jednak, co się stało z nimi później, czy uciekli, zostali zabici, czy może - w najmniej prawdopodobnej wersji - wszystkich zabrał Skok.

Kaira kucnęła przy krawędzi wyrwy w ścianie, wychyliła się i sięgnęła po kurtkę. Finnen odruchowo chwycił dziewczynę za ramię, choć gdyby straciła równowagę, osiągnąłby prawdopodobnie tylko tyle, że spadłby wraz z nią. Zerwał się wiatr, który ciskał w ich stronę krople wody z rozerwanej rury; były gorące, Finnen czuł ich ślady na skórze jak ukąszenia.

Kaira odsunęła się od wyrwy, usiadła na posadzce i zaczęła przetrząsać kurtkę. Sprawdziła kieszenie, potem zerwała podszewkę i wywlokła na zewnątrz warstwę izolacyjną. Mięła ją w palcach, rwała na drobne strzępy, jakby naprawdę wierzyła, że znajdzie tam ukrytą wiadomość. Finnen nie chciał na to patrzeć, obejrzał więc ściany pokryte glazurowanymi płytkami w kolorze ciemnej zieleni i z wrytym motywem koniczyny oraz meble z drewna i sztucznej, lakierowanej skóry. Jednak niczego ciekawego nie dostrzegł. Piecyk był czysty i zimny, w kubkach znaleźć można było resztki herbaty mocno zaprawionej wódką. Podniósł fletnię, dmuchnął w nią i zaraz odłożył, speszony

radosnym dźwiękiem.

Jeden z rysunków Jaramei był niedokończony, karty leżały w nieładzie na posadzce. Jakby ktoś je porzucił podczas ucieczki? Czy może po prostu cisnął je na podłogę, znudzony grą? Piecyk stał, nie leżał przewrócony, ale przecież tego typu sprzęty specjalnie projektowano tak, by były bardzo stabilne. Kilku kubków brakowało - może się stłukły, a może nie wszyscy pili herbatę.

Co mu to mówiło?

Niewiele. Jeśli w tym pokoju doszło do tragedii, to jej ślady znajdowały się w przeszłości.

- Zostaw to. - Podszedł do Kairy i łagodnym gestem wyjął jej z rąk zmaltretowaną kurtkę. - Powinniśmy iść.

Dziewczyna skinęła głową. Byłoby prościej, gdyby się rozplakała, pomyślał, ale ona tylko przygryzała dolną wargę, aż pojawiła się krew.

- Ktoś nas obserwuje - powiedziała, zerkając przez wyrwę w murze.

Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. Istotnie, dwa piętra niżej, na Schodach Blasanych Zabawek stał młody chłopak, prawie dziecko, jak Finnen mógł ocenić z tej wysokości. Ubrany w zbyt obszerną, jaskrawożółtą kurtkę, kulił się przy ścianie przeciwnego budynku.

- Może on coś wie. - Kaira ożywiła się.

Gdy zeszli na dół, chłopak wciąż tam był, wciąż skulony, jakby usiłował wtopić się w czern ściany, co biorąc pod uwagę barwę kurtki, miało niewiele sensu. Finnena uderzyła szpetota jego twarzy. Poszczególne elementy - oczy, nos, wykrój ust, brwi - wydawały się najzupełniej zwyczajne, może nawet ładne, jednak razem tworzyły całość wręcz odpychającą. Było to na swój sposób fascynujące, jakby...

*Jakby ktoś poskładał mnie z niepasujących zestawów brzydota z normalności to dzieło sztuki ja słyszę wasze myśli.*

Minęła chwila, zanim Finnen zrozumiał, co chłopak powiedział.

- Telepata?

Tak.

Chłopak odwrócił się i odsunął nieco od ściany, ale nadal unikał ich wzroku, patrząc w przestrzeń pomiędzy Finnenem a Kairą.

- Jak się nazywasz?

*Ali Johar.*

- Wiesz, co tu się stało dzisiejszej nocy?

*Trochę.*

- Możesz nam powiedzieć? - Kaira chciała coś dodać, lecz Finnen ścisnął ją ostrzegawczo za łokieć. Dziewczyna była niecierpliwa, a telepaci ze swoim niskim poziomem inteligencji łatwo się peszyli.

*Mój kolega przyszedł do nas w nocy. Mówił w dzielnicy są ludzie dorośli ludzie i mechanoïdy straży. Ostrzegł tych ludzi mówił że po nas straż by nie przyszła że po nas nie. My nic złego nie zrobiliśmy.*

- Ci ludzie też nic złego nie zrobili. - Finnen zaczynał się przyzwyczajać do cudacznego sposobu mówienia Johara, zwłaszcza że ten, może nieco uspokojony, przynajmniej pomiędzy poszczególnymi zdaniami robił teraz przerwy. - Udało im się uciec?

*Nie wiem kolega nie mówił. Nie chciał mieć problemów. Tylko ostrzegł i poszedł. Ja byłem ciekawy więc przyszedłem rano. Myślałem że tu będą ci dorośli ale ich nie ma. Wy jesteście. Macie ponure myśli zwłaszcza ona.*

Skinął w stronę Kairy.

*Ponure ciemne myśli. Chcecie iść w przeszłość i szukać tam krwi i ciała.*

- Masz rację. - Finnen cofnął się, ciągnąc Kairę za sobą.

*Mogę pójść z wami?*

- Nie, nie możesz - odparł. Ale w tym samym momencie Kaira zapytała:

- Po co?

*Chcę pomóc.*

Johar ożywił się.

*Ja się nie boję kłopotów. Jestem głupi ale nie aż tak. Wiem że umrę i że to wina Przedsięwzięcowniczych. Jeśli ktoś chce z nimi walczyć to ja chcę pomóc.*

- Nikt nie chce walczyć z Przedksiężycowymi, coś ci się pomyliło - zirytował się Finnen. - Chodź, Kairo.

Jednak dziewczyna wywinęła się z jego uścisku i pochyliła w stronę Johara.

- Przyjdź jutro o zachodzie słońca na plac Haków - powiedziała.

- Co ci strzeliło do głowy? - zapytał Finnen później, gdy już szli podniebnym traktem. - Przecież to idiota.

- Co z tego? - Kaira zatrzymała się i oparła o poręcz. Z dołu, stłumiony przez odległość, dobiegał gwar miasta zbudzonego po długiej, poskokowej nocy. - Wszyscy telepaci to w mniejszym bądź większym stopniu idioci i wszyscy się przydają.

- To jeszcze prawie dziecko.

- Co z tego? - powtórzyła uparcie. - Myślisz, że to ma znaczenie? W takich czasach jak te dzieci powinny szybko dorastać. Prędzej czy później i tak czeka je próba Skoku, więc niech się zawczasu przyzwyczajają, że życie jest parszywe.

- No proszę, jak szybko stałaś się cyniczna. Jestem pod wrażeniem.

Kaira wychyliła się przez poręcz. Napięcie wyostrzyło jej rysy.

- Słyszysz? - zapytała.

- Nie... tak, słyszę.

I rzeczywiście słyszał. W dole, ledwo rozpoznawalny przez zgiełk miasta, rozlegał się przeciągły, samotny krzyk oszalałej z rozpaczyny istoty ludzkiej.

## 8

Późnopołudniowe słońce świeciło pod ostrym kątem wprost w szyby gabinetu Manehdry, gdzie za biurkiem rozsiadł się Teremus Nekke. Nie powinno go tutaj być, uznał jednak, że skoro zwierzchnik do tej pory nie przyszedł (to nazbyt optymistyczne oczekiwania, ale może zabrał go Skok?), prawdopodobnie dziś w ogóle się nie zjawi, a Nekke potrzebował chwili samotności.

Czerwony blask płonął na miedzianych grzbietach akt ustawionych rzędem na półce i rozlewał się na drewnie biurka połyskliwą plamą. Na blacie prócz stosu papierów przywalonych przyciskiem z napisem „Pilne” znajdował się tylko jeden przedmiot - fonograf, którego złote okucia odbijały słoneczne światło niczym miniaturowe lusterka, a ciężka tuba wyrzeźbiona została w kształt kwiatu naparstnicy.

Nekke poczęstował się łykiem rumu z ukrytej w szufladzie butelki i wcisnął przycisk „Start”.

Pomieszczenie wypełniły szумы i trzaski, po czym rozległ się głos Ibrisa Marely'ego.

## 9

Tego dnia Finnen i Kaira przewędrowali miasto z jednego krańca na drugi cztery razy. Od wieży art-zbrodniarzy do Szklanych Piasków, potem do Archiwum, w przeszłość i znów do dzielnicy zamieszkaanej przez sieroty, by w końcu wrócić do domu Finnena. Prawie dziewięć godzin marszu i sporo kilometrów, które sprawiły, że następnego dnia chłopak obudził się z zeszywniałymi, protestującymi przy najdrobniejszym ruchu mięśniami.

Szli podniebnymi traktami, skracając sobie w ten sposób drogę i od czasu do czasu schodząc na dół w nadziei znalezienia wolnego mechanoida, lecz było ich wyraźnie mniej niż zazwyczaj - Skok musiał zabrać sporo animatorów - te zaś, które widywali, zawsze okazywały się zajęte, jakby w dzień po Skoku wszystkich mieszkańców Lunapolis ogarnęło lenistwo połączone z rozrzutnością i nikomu już nie chciało się chodzić pieszo. Raz zatrzymali się w maleńkiej kawiarence, gdzie zjedli po bułce z rodzynkami, a Finnen kupił butelkę lemoniady.

Przez cały czas chłopak patrzył, jak Kaira rozpaczliwie czepia się nadziei, jak wgryza się w nią, nie chcąc puścić. Gdy wędrowali przez dwa miasta - najpierw to właściwe, a potem odrzucone, z przetrąconym kręgosłupem, które już zaczynało umierać - trwała w szizofrenicznym rozdwojeniu, zbyt niewin-

na, by przygotować się na to, co w przeszłości zastanie, i zbyt inteligentna, by szczerze łudzić się, że wszystko będzie dobrze. Finnen wiedział, czego powinien się spodziewać, podpowiadały mu to rozsądek i statystyka. W noc Skoku ktoś z grupy Gurleena został schwytany lub zginął w Szklanych Piaskach. Może nie oni wszyscy, ale ktoś z nich na pewno tak. Straż miejska bywała nieudolna, lecz z pewnością nie do tego stopnia, by pozwolić uciec kilkunastu osobom, na które urządziła polowanie.

Przy czym schwytanie oznaczało przesłuchanie i tortury, a śmierć... cóż, śmierć to śmierć, mnóstwo krwi oraz sztywniejące w zimnym powietrzu ciało, na które trzeba będzie spojrzeć.

Co jeśli to właśnie spotkało Dime?

Finnen zdołałby to znieść. Więcej: potrafiłby uczynić tę śmierć częścią swojej historii, użyć jej do podkreślenia własnych tragicznych rysów. Może nie przyszłoby mu to łatwo, ale z pewnością o wiele łatwiej niż w przypadku śmierci matki, a potem Arty'ego.

Nim dotarli do Archiwum, zdążył rozważyć cały problem. Kwestia sprowadzała się teraz do tego, że on miał pewien mechanizm obronny, a Kaira nie.

Dlatego gdy wreszcie znaleźli się w odrzuconej wersji Szklanych Piasków i zeszli z podniebnego traktu na dół, objął dziewczynę. Chciał... sam nie wiedział, pocieszyć ją zawczasu, przygotować na to, co może zobaczyć, albo - po prostu - przelać w nią trochę własnej siły. Jednak Kaira tkwiła w jego ramionach jak kawałek drewna, więc puścił ją i zamaskował zakłopotanie lekkim klepinięciem w ramię.

- Chodźmy - powiedział. - Nie ma na co czekać.

Stanęli przed znajomym domem z równie znajomą wyrwą na wysokości drugiego piętra. Z poszarpanego muru zwisała czerwona kurtka, zachodzące słońce podświetlało krople rozpryskujące się w miejscu, gdzie o ziemię uderzał strumień gorącej wody z jednej z rozerwanych rur. Pozostałe, cieńsze, wyginały się na zewnątrz, ułożone niemal w okrąg, niczym wieniec spragnionych światła metalowych kwiatów. Jedyłą



różnicę stanowiło, że ich krańce nie były równo ścięte, lecz porozdzierane, bo tak zostawiły je łapy gigantycznego mechanoida. I oczywiście wszędzie leżał gruz oraz szczątki szyb, w których tańczyły refleksy słońca.

Gdy wspięli się na drugie piętro, zastali tam piecyk w kształcie gruszki, puszkę zielonej herbaty, pięć kubków i trzy miseczki, talie kart rozrzuconych na podłodze, fletnię oraz książkę z marginesami zabazgranymi przez rysunki Jaramei. A także szczątki brakujących naczyń na posadzce i jedenaście ciał - siedem w mieszkaniu i cztery w korytarzu - nad którymi niczym zasłona unosiła się stężała w nieruchomym powietrzu woń otwartych trzewi.

Finnen obszedł wszystkich, zostawiając za sobą krwawe ślady. Spoglądał trupom w twarze, odwracał je na plecy, kiedy było trzeba. Niektórych rozpoznawał jedynie po ubraniach czy charakterystycznych deformacjach.

Byli tu wszyscy, z wyjątkiem Gurleena i Dime, co zbudziło nadzieję - jego oraz Kairy.

- Widzisz? Nie ma Gurleena, może udało mu się uciec...

Bez przekonania skinęła głową, a potem kucnęła i zwymiotowała bułkę z rodzynkami. Finnen podał dziewczynie butelkę z lemoniadą, by przepłukała usta. Gdy uniosła twarz, skórę miała szarą jak popiół, a na jej czole perlily się grube krople potu. Odgarnął do tyłu jej wilgotne włosy, na wpół z czułością, na wpół z irytacją.

- Słyszałaś, co powiedziałem? Nie ma tu Gurleena, więc...

- Dlaczego ich zabili? - zapytała. - Czy tak postępuje straż miejska z buntownikami? Zabija wszystkich albo prawie wszystkich? Powiedz mi.

- Nie wiem...

- Wiesz lepiej niż ja. Mieszkałeś przecież w Sierocińcu.

Finnen westchnął. Przy innej okazji chętnie zrobiłby Kairze wykład na temat tego, że bycie sierotą bynajmniej nie oznacza ożywionych kontaktów z lunapolijskim światem przestępców, jednak to nie było dobre miejsce ani czas na takie pogadanki. Poza tym dziewczyna pod pewnym względem miała raq'ę, słyszał bowiem różne historie i potrafił odpowiedzieć na jej

pytanie.

- Na mój rozum zabiliby tylko tych, którzy stawialiby najbardziej zaciekły opór, a resztę by aresztowali i poddali przesłuchaniu. Tutaj mamy jedenaście ciał i dwie zaginione osoby. Zakładając, że zabrali Dime i Gurleena, brakuje tu sensu. Mam na myśli, że dwóch aresztowanych na jedenastu zabitych to za mało. Z tej dwójki jeden, powiedzmy, może okazać się tak twardy, że nic nie powie, a drugi na tyle miękki, że już przy pierwszych torturach załamie się i zwariuje. Albo okaże się, że schwytali kogoś, kto jest tylko pionkiem i nic nie wie.

- A oni chcieliby wiedzieć, prawda?

- Owszem, plany grupy buntowników, kontakty, wszystko... Dlatego to wygląda trochę... dziwnie.

Finnen zająknął się przy ostatnim słowie, które niezbyt pasowało do sytuacji, lecz Kaira niczego nie zauważyła.

- Może to wcale nie była straż miejska, tylko ktoś inny? - zapytała.

Skinął podbródkiem w stronę wyrwy w murze, przez którą wpadało światło zachodzącego słońca.

- Tylko straż ma mechanoidy zdolne rozrywać ściany budynków.

- W takim razie ktoś nas zdradził. Ktoś, kogo tu brakuje. Nie Gurleen, to oczywiste. Zostaje więc Dime.

Finnen przytaknął. Też na to wpadł, choć wciąż miał wątpliwości.

Odłożył je na później i spojrzał na dziewczynę. Wydawała się spokojna, lecz właśnie dlatego wiedział, że to, na co patrzy, wcale nie jest Kairą. To była maska, a on miał nieodparte wrażenie, że pod nią prawdziwa Kaira krzyczy z bólu.

- Powinniśmy już iść - powiedział. - Niedługo zrobi się ciemno.

Odpowiedziała roztargnionym skinieniem. Obeszła zwłoki, tak jak wcześniej Finnen, podczas gdy lepka krew mlaskała pod podeszwami butów. Poruszała się z ostrożnością kogoś, kto nie jest pewien własnego ciała, wszystkie jej gesty poprzedzone były chwilą wahania, jakby za każdym razem dopiero przypominała sobie, co należy zrobić. Pochylić się nad martwą

Surą i zamknąć jej oczy, przejść dwa kroki, pochylić się nad Mirrisem i zamknąć mu oczy...

Świadomość pojawiała się na jej twarzy i znikwała jak światło w dogasającej świetlikowej lampie, blask i ciemność, Kaira przytomna i Kaira pusta, chodząca wokół niczym mechaniczna lalka, jest, nie ma jej. Finnen spoglądał na to zafascynowany i przerażony jednocześnie, w długich, strasznych sekundach mroku mając wrażenie, że już jej nie odzyska, że Kaira zostanie tam, dokąd uciekała, gdy gasło światło. Jednak zawsze wracała i kiedy zamknęła już wszystkim zmarłym oczy, zatrzymała się i spojrzała na chłopaka. Słoneczny blask zgęstniał w międzyczasie do rubinowej barwy starego wina, cienie kładły się na posadzce jak miękkie, wychudzone i rozedrgane ćmy. Lecz widoczność wciąż była dobra, jeszcze przez kilka minut, nim zmierzch połknie miasto, można będzie dostrzec najdrobniejsze ślady tragedii, która się tutaj rozegrała.

Ona tego właśnie ode mnie chce, pomyślał Finnen, ona...

- Powiedz mi, co tu się dokładnie stało - powiedziała Kaira. - Proszę. Ja muszę wiedzieć.

- Skąd miałbym...

- Nauczyci cię w wieży art-morderców zabijając, to powinieneś też umieć odczytać ślady z miejsca zbrodni. Przynajmniej spróbuj. Proszę, zrób to dla mnie.

No tak. Po Kairze nie powinien spodziewać się subtelności. Finnen potarł czoło. Przecież to bez sensu, co ma zabijanie do odczytywania śladów? Jednak aby uspokoić dziewczynę i pokazać jej, że się stara, podszedł do ciała, które leżało najbliżej wyrwy w murze. Była to Tasha - wykrzywione w męce rysy twarzy kontrastujące z osobliwym spokojem zamkniętych oczu, jedna noga zgięta w kolanie, a druga wyprostowana, lewa ręka i znaczna część tułowia zamienione w krwawą miazgę ze sterczącymi odłamkami kości. Nie chciał na to patrzeć. Ci ludzie niewiele go obchodzili - nikogo z nich nie lubił na tyle, by choć udawać, że teraz żałuje - widział też w życiu sporo trupów i potrafił znieść widok wywleczonych flaków. Niemniej był wyczerpany i miał zwyczajnie dość. Mimo to pochylił się nad Tashą i wówczas coś zaskoczyło, jak

wtedy, gdy dostrzegął jeden ciekawy element i w umyśle zaczynał budować wokół niego cały obraz, dobierając szczegół po szczególe niczym fragmenty układanki. Pojawiło się podniecenie; Finnen nie czuł już zmęczenia.

- Ona musiała zginąć pierwsza - powiedział. - Kiedy mechanoid rozdarł ścianę, była najbliżej i łapa stwora cisnęła ją na posadzkę, zabijając na miejscu. Pozostali zaczęli uciekać...

## 10

- ... Chimari, Blinne i ja czekaliśmy na korytarzu w pełnych zwierzkształtnych zbrojach, z pałkami i *darakkami*. - Z tuby w kształcie kwiatu naparstnicy płynie spokojny głos Marely'ego.

- Nie podeszliśmy zbyt blisko, żeby tamci w mieszkaniu się nie zorientowali, a poza tym było ich sporo, więc na wszelki wypadek, gdyby ktoś się wymknął, zostawiliśmy Karana w drugim mechanoidzie, żeby pilnował tylnego wyjścia. Ina Urmila w pierwszym rozbiła ścianę...

## 11

- ... uciekali, a na korytarzu czekali już na nich strażnicy - mówi Finnen. - Musieli mieć na sobie zwierzkształtne zbroje, bo Nalle został rozdarty na strzępy pazurami... Ionnemu ktoś wbił w gardło *darakkę*, tak że zadławił się własną krwią. Tuir dobiegł najdalej, ale jeden ze strażników dogonił go i prawie odgryzł mu głowę wilczymi szczękami... Oni...

## 12

- ... tłoczyli się w drzwiach, przeszkadzając sobie nawzajem, przewracali się i deptali. Kilku próbowało wynieść siwo-włosego mężczyznę, którego kazano mi oszczędzić. Był

zupełnie pijany i opóźniał ich, ale mimo to go nie zostawili. Tu mieliśmy największy kłopot, bo trzeba było zlikwidować ich tak, żeby nie zrobić starcowi krzywdy...

### 13

- ... w tym czasie stojący na zewnątrz mechanoid zabijał tych, którzy nie mogli wydostać się z pokoju, bo w drzwiach tłoczyli się inni. Mechanoidy mają długie ramiona, mógł więc sięgać do środka i wygarniać ich jak pestki z owocu granatu. Potem... potem ciskał nimi o ściany, czasami raz, a czasami kilka razy, jak w przypadku Arikol, aż łamały im się kręgosłupy i pękały czaszki...

### 14

- ... kiedy przyszedł Skok, a ja... ja się zmieniłem, wszystkie ciała znikły i w mieszkaniu został tylko ten pijany starzec. A ja nie mogłem dotrzymać umowy i go wypuścić, bo byłem już innym człowiekiem. Więc postąpiłem tak, jak powinienem postąpić: odtransportowałem go do szpitala, żeby tam wytrzeźwiał. To samo zrobiłem z rudowłosym młodzieńcem, którego schwytaliśmy wcześniej, a co do którego nie byłem pewien, czy należy do grupy, czy nie, więc moja... poprzednia osobowość postanowiła chwilowo darować mu życie. Na szczęście, bo w przeciwnym wypadku mielibyśmy tylko jednego człowieka, którego można przesłuchać, a tak mamy dwóch.

- Czemu chłopak trafił do szpitala? Też nadużył alkoholu?

- w głosie pytającego słychać cień ironii i zmęczenie.

- Nie, był trzeźwy, ale kiedy mechanoid go podniósł, wpadł w coś w rodzaju szoku, nie ruszał się ani nie mówił, więc uznałem, że szpital będzie dobrym rozwiązaniem. Jest tam teraz razem z siwowłosym. Blinne i Karan ich pilnują, tak że nie mają szansy uciec, a kiedy tylko dojdą do siebie, zostaną

przetransportowani do Arkadii i tam przesłuchani. Powiadomiłem już kogo trzeba.

- Nie przyszło panu do głowy, że to może być dwóch zupełnie niewinnych ludzi? Że wszyscy, których kazał pan zabić, mogą być niewinni?

- Nie sądzę - odpowiedź pada bez wahania. - Niewinni nie ukrywają się w dzielnicy sierot. Tak czy inaczej musimy dotrzeć do sedna tej intrygi. Dowiedzieć się, kim ci ludzie byli, dlaczego w noc Skoku zebrali się w Szklanych Piaskach i czemu ktoś zapłacił mojej dawnej osobowości, żeby ich zlikwidować...

Teremus Nekke z westchnieniem wcisnął przycisk „Stop” i w gabinecie zapanowała cisza. Odchylił się w fotelu, zamknął oczy. „Dotrzeć do sedna intrygi” - kto, na zły gust Przedsięwzięcowych, tak się wyraża? Poza tym wyglądało na to, że dwóch schwytanych dziś w nocy ludzi zostanie poddanych przesłuchaniu i być może torturom, choć nic złego nie zrobili. Wręcz przeciwnie: to przecież oni oraz ich znajomi byli celem ataku. Zakrawało to na wyjątkowo ponury żart. No ale to nie była sprawa Nekkego. Jeśli Marely zawiadomił władze Arkadii, porucznik nic już nie mógł zrobić.

Zastanowił się przelotnie, co stanie się z sierżantem, i z niejaką goryczą doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nic. Błąd - który w postaci stosu trupów gnił teraz w przeszłości

- popełniła jego poprzednia osobowość, nie on. Pociągnięci do odpowiedzialności mogą zostać jedynie ci, którzy towarzyszyli mu tej nocy, choć kara z pewnością nie będzie zbyt dotkliwa. Ostatecznie oni tylko wykonywali rozkazy, a to usprawiedliwienie sprawdzało się znakomicie w czasach, gdy w szeregach straży miejskiej zaczynała brakować ludzi.

Nekke otworzył oczy, słysząc zgrzyt przesuwanych drzwi. Do gabinetu wszedł Marely. Kontury jego sztywno wyprostowanej sylwetki zmięczył półmrok wczesnego zmierzchu, a na przystojną, młodzieńczą twarz padał cień.

- Przyszedłem powiedzieć, że mężczyźni, których aresztowaliśmy w nocy, zostali już przeniesieni do Arkadii. Młodszy twierdzi, że nazywa się Ries Dime. Starszy na razie nie chce

mówić.

- Nie obchodzi mnie to.

Marely zawahał się.

- Czy mógłbym... - odezwał się po chwili. - Czy mógłbym liczyć na pana pomoc przy staraniach o nowe mieszkanie? Byłbym wdzięczny...

- Nie będzie pan wdzięczny, bo nie pomogę. Mieszkanie może pan sobie znaleźć sam, zgodnie z prawem albo nie. Mam to w dupie.

Marely wyprostował się jeszcze bardziej. Nekke pomyślał z odrobiną rozbawienia, że to także różni go od dawnego sierżanta - tamten garbił się lekko, ten trzymał postawę, jakby zamiast kręgosłupa miał stalowy pręt, co dodawało drobnej sylwetce wzrostu.

- Pan mnie nie lubi, prawda?

- Niespecjalnie - przyznał ze znużeniem porucznik.

- Ponieważ wykonuję swoje obowiązki? Bo w przeciwieństwie do wszystkich tych ludzi - gest dłoni nie pozostawiał wątpliwości, że Marely ma na myśli pracujących w sąsiednim pomieszczeniu strażników - staram się postępować zgodnie z prawem?

- Jeśli wygodnie panu w to wierzyć... Czego pan właściwie ode mnie chce? Litości? Zrozumienia?

- Na zrozumienie i tak nie mam szans. Nikt z was nie wie, jak to jest zostać wyplutym w akcie chaotycznej kreacji, wybranym z miliona dostępnych możliwości, i mieć przed sobą tak niewiele życia.

Nekke roześmiał się. Dopiero wieczorem, gdy wrócił już do domu, uświadomił sobie, jak bardzo jego rozmówca musiał być zagubiony i zdezorientowany. Jego nowa osobowość liczyła sobie zaledwie kilkanaście godzin, nic więc dziwnego, że odruchowo szukała współczucia. To był ostatni raz, gdy porucznik widział Marely'ego tak... odsłoniętego. Później spotykał go przy różnych okazjach i nigdy już nie dostrzegł w nim ani odrobiny słabości. Zastanawiał się czasem, czy Ibris Marely byłby innym człowiekiem, gdyby tego popołudnia dostał to, czego chciał.

Porucznik wstał i wciąż rechocząc, minął stojącego w progu

mężczyznę. Przy okazji klepnął go w plecy.

- Wybrany spośród miliona dostępnych możliwości, co? Człowiek, któremu zostało niewiele życia? Wszyscy tak mamy.

Kwadrans później widział przez okno, jak sierżant opuszcza posterunek. Na schodach czekała jasnowłosa dziewczyna. Przez chwilę wyglądało na to, że zamierza do wychodzącego podejść, jednak zrezygnowała. Marely minął ją, idąc z wysoko uniesioną głową. Twarz miał chmurną, wzrok wbity w nieistniejący punkt ponad głowami przechodniów. Na dziewczynę nawet nie zerknął.

Odprowadziła go spojrzeniem, a potem odeszła, pochylając ramiona, jakby przybyło jej dziesięć lat.

## 15

Tellis zbudziła się wczesnym wieczorem z płytkiego, niespokojnego snu. Leżała nieruchomo, wsłuchana w dudnienie własnego serca i w ciszę tak głęboką, jakby ktoś przyłożył jej dłoń do uszu, ciszę prawie doskonałą. A jednak nie do końca, bo z jej obrzeży dobiegały ledwo słyszalne, stłumione cienie dźwięków. Zgrzyt gnieczonego metalu? Brzęk rozbijanych szyb? Krzyk? Głosy miasta, które kilkanaście godzin wcześniej rozpoczęło powolny lot w stronę entropii i czekającej na końcu śmierci.

Kapitan usiadła na łóżku i sięgnęła do kieszonki kamizelki po zegarek. Dostała go w prezencie, gdy przetrwała swój pierwszy dorosły Skok, i do dziś widok wysadzanego brylantami cacka budził w niej wspomnienie łez w oczach matki. Pstryknięciem otworzyła kopertę i sprawdziła godzinę.

Jej prywatny czas liczył się teraz nie „do”, lecz „od”.

Siedemnaście godzin od Skoku. Szesnaście i pół godziny od momentu, gdy wreszcie dotarło do niej w pełni, że to nie Mahameni został z tyłu, lecz ona. Mniej więcej osiem godzin od chwili, gdy pokonała pierwszą falę paniki, przeszła przez rozpacz i wreszcie postanowiła, że spróbuje żyć najdłużej, jak się da, a potem, kiedy będzie już słaba i chora, zabije się. Przynajmniej tyle mogła zrobić: zdobyć truciznę i sama wybrać



czas oraz miejsce własnej śmierci.

Ta decyzja przyniosła jej częściową ulgę - było po wszystkim, dokonano się. Los Tellis został przypieczętowany i kapitan nigdy już nie będzie musiała się martwić kolejnymi Skokami.

W ciągu ośmiu godzin, odkąd zaczęła na trzeźwo rozważać własną sytuację, zdążyła znaleźć puste mieszkanie i zabarykadować się w nim, bo po okolicy krążyły wtedy grupy agresywnych wyrostków ze zdobytymi, Przedksiężycowi wiedzą skąd, nożami *darakka* i pałkami wyglądającymi jak te, których używała straż miejska. Tellis postanowiła poczekać, aż sobie pójda, i w międzyczasie zasnęła, wyczerpana płaczem. Sen przywrócił jej nadwątlone siły, myślała teraz jaśniej i...

Wizja butelki z trucizną, którą zamierzała zdobyć, przypomniła jej inną butelkę, którą widziała niedawno. Jej serce zaczęło bić szybciej, wnętrza dłoni pokrył pot. Jak mogła do tego stopnia poddać się hysterii, by zapomnieć o czymś równie ważnym? Po trzykroć głupia, żalosna starucha. Zwinięta w kącie, łkała i myślała o śmierci, podczas gdy w zasięgu ręki znajdowało się... nie, nie ocalenie, nie była tak naiwna, ale przynajmniej coś, co - być może - znacznie przedłużyłoby jej życie i uczyniło je znośniejszym.

Chodziła po pokoju, walcząc z zawrotami głowy. A co jeśli butelki już nie ma, co jeśli ktoś ją zabrał albo zniszczył, nieświadom, jak cenna jest jej zawartość? Co jeśli Issa skłamał? Pociła się coraz bardziej i oddychała szybciej, przed jej oczami zaczęły tańczyć plamy jak drobinki popiołu. Wreszcie usiadła na łóżku i całą siłą woli, na jaką mogła się zdobyć, nakazała samej sobie spokój.

Wdech, wydech.

Brin Issa pokazał jej buteleczkę i powiedział, że wewnątrz znajduje się środek przedłużający młodość. Mógł z niej zakpić, oczywiście że tak, lecz mógł też mówić prawdę. Za tym ostatnim przemawiało to, że Jaina Naroomi wynosiła coś z Archiwum i robiła tak wiele razy, czyli nie mogło to być pojedyncze urządzenie, lecz raczej właśnie lek, który trzeba było podkraść partiami, nawet Mahameni był wystarczająco bystry, żeby na to wpaść. A Issa pomimo młodzieńczego wyglą-

du miał w oczach coś, co mogło świadczyć, że w rzeczywistości jest znacznie starszy i...

Uspokój się.

Powiedzmy, na pięćdziesiąt procent, że w domu Issy wciąż znajduje się duplikat butelki z Uniwersalnym Środkiem Fabbinięgo. Ludzie znają tę nazwę, do licha, ja sama słyszałam ją wiele razy, ale mało kto wie, na czym polega działanie specyfiku. Jeśli więc nawet ktoś butelkę znajdzie, to istnieje także spora szansa, że zostawi ją w spokoju jako nieprzydatną.

Z podniecenia znów zrobiło jej się gorąco i zaczęła szybciej oddychać. Pora ruszać w drogę.

Ostrożnie wyśliznęła się z mieszkania, wyszła na schody i rozejrzała się. Nic, cisza. Po grupach agresywnych wyrostków pozostał szlak znaczony szkłem z rozbitych latarni, na kilku odłamkach widać było paciorki krwi - Tellis zauważyła je w ostatniej chwili, bo napuchłe, czerwone słońce właśnie chowało się za dachami. Wzdłuż schodów zapaliły się latarnie. Działała mniej więcej co trzecia, pozostałe nigdy już nie zostaną naprawione. Na ten widok kapitan poczuła nieokreślony smutek, który przegoniła nerwowym szarpnięciem głowy. To nie był czas na sentymenty.

Pięła się w górę schodów, patrząc uważnie, gdzie stawia stopy, i jednocześnie rozważała, co powinna zdobyć.

Przede wszystkim przydałyby jej się buty z jak najgrubszymi podeszwami, mocne, solidne i wysokie, takie, które nie pozwolą skrócić kostki. Po drugie, płaszcz cieplejszy niż ten, który miała na sobie. Albo kurtka. Nadciągała zima i choć w odrzuconych światach pogoda bywała bardzo zróżnicowana, rozsądek nakazywał spodziewać się mrozów. Rękawiczki grubsze niż z mysiej skórki - nie tylko dla ochrony przed zimnem, lecz także do pracy, na przykład do krojenia podczas przygotowywania posiłków.

Teraz jeszcze, gdy nad odrzuconą rzeczywistością nie zapanowała w pełni entropia, lżejsze rany będą się jeszcze goić - choć powoli i z wyraźnym trudem, przyjdzie jednak taki czas, gdy najdrobniejsze naruszenie skóry doprowadzi do gangreny i w rezultacie śmierci. Potrzebuję więc leków, bandaży, czegoś

do odkażania, myślała. I każdego dnia, nie, lepiej dwa razy dziennie trzeba będzie rozbierać się, stawać przed lustrem i poszukiwać na ciele skaleczeń, otarć, siniaków...

Gdy coś chrupnęło jej pod stopą, kapitan odskoczyła, oblana zimnym potem. Szkło, niech to Skok. Dokuśtykała do najbliższej latarni, zdjęła but i bardzo ostrożnie, chwytając przez połą płaszcz, wyciągnęła wbity w podeszwę odłamek. Jej pantofle - niewielki obcasik, szara tasiemka do wiązania, na czubku odrobina prawdziwej skóry - w terażniejszości wydawały się szczytem solidnej praktyczności, lecz tu były głupią i, co więcej, niebezpieczną fanaberią.

Dotarwszy na plac Siepaczy, zatrzymała się przy porzuconej budce z napojami i naleśnikami. Wyglądało na to, że ktoś tu grasował - sos rozmazany był po ladzie, z przewróconego kociołka wylał się olej, zatapiając rozsypane orzechy i cząstki kandyzowanych pomarańczy, wokół leżały nadgryzione placki. Tellis znalazła ocalałą butelkę cytrynowej lemoniady i napiła się. Potem sięgnęła po jeden z mniej zmalretowanych naleśników, oderwała część, na której widniały ślady zębów, a resztę zjadła w marszu. Ciasto było lodowato zimne, ale dzięki temu przynajmniej miała pewność, że zachowało świeżość. Cisza wokół coraz bardziej działała na nerwy.

Z początku Tellis sądziła, że dzieje się tak dlatego, iż przyzwyczajona jest do gwaru, jednak nie chodziło o to. A przynajmniej nie tylko. Tu, w przeszłości, cisza wydawała się... gęsta, napierająca na klatkę piersiową i ramiona nieznośnym ciężarem. I te głosy - ulotne niczym widma i drażniące jak sen, który wymyka się tym bardziej, im intensywniej człowiek próbuje go sobie przypomnieć. Czasem Tellis wydawało się, że rozróżnia dźwięki walki, wrzaski i nawoływania, a czasem miała wrażenie, że nasłuchuje odgłosów umierającego organizmu, jakby przyłożyła ucho do piersi zdychającego psa. W takich chwilach znów musiała używać całej siły woli, by zachować spokój.

Wyglądało na to, że w części miasta, przez którą wędrowała, prawie nie ma ludzi. Tylko od czasu do czasu w oknie mignęło blade, wystraszone oblicze albo na schodach minął Tellis pędzący nie wiadomo dokąd mechanoid. Dopiero niedaleko

domu Issy spotkała młodą kobietę. Nadeszła z naprzeciwka, w poszarpanej sukni, bez płaszcza i z opuszczoną głową, a kiedy ją uniosła, Tellis w świetle latarni dostrzegła, że po twarzy nieznamym płyną strumyczki krwi, niczym ruchliwy i czerwony tatuaż. Ściekały z czoła, spod włosów, tam więc musiała znajdować się rana.

- Widziała pani mojego brata? - zapytała kobieta.

- Niestety, nie - odparła Tellis najspokojniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Pomoże mi pani go szukać? Proszę, on jest sam, na pewno strasznie się boi...

- Jestem stara i słaba, więc niewielki będzie ze mnie pożytek.

- Kapitan uciekła się do wybiegu. - Nie potrafię nawet szybko chodzić. Ale ktoś młodszy na pewno chętnie pomoże...

Drugi argument - ewidentne kłamstwo - widać trafił nieznamym do przekonania, bo skinęła głową i odeszła, ciągnąc za sobą po stopniach strzępy sukni. Kilkadziesiąt kroków dalej Tellis natknęła się na mężczyznę skulonego pod ścianą domu Issy. Żył jeszcze, choć było widać, że nie potrwa to długo. Włosy miał zlepione krwią, która ściekała na kark i ramiona. Z prawego ucha została miazga, cios prawdopodobnie rozłupał mu czaszkę. Tellis nie zamierzała się przyglądać, zastanowiła się tylko przelotnie, czy nie jest to aby poszukiwany przez kobietę brat. Potem odeszła w poczuciu, że zrobiła coś wstrętnego i zarazem w tej sytuacji całkowicie słusznego. Teraz mogła pozwolić sobie wyłącznie na pomaganie ludziom, którzy będą w stanie zwrócić otrzymaną przysługę, a ani na wpół szalona kobieta, ani tym bardziej konający mężczyzna do takich osób nie należeli.

Gdy weszła do domu Brina Issy, ścisnęło jej się serce na widok dokonanych tu zniszczeń. W korytarzu leżały posągi: przewrócone drewniane obok potłuczonych marmurowych czy rozbitych niemal w drobny mak glinianych; żelazne łapy trójnogów sterczały spomiędzy gruzu. Nad tym wszystkim krążyły roje ogłupiających świetlików. Niektóre splatały się w wirujące wstęgi, wydobywając z mroku poszczególne elementy pobojuwiska, inne, ukształtowane na wzór płomieni pochodni, sunęły zako-

sami po posadźce niczym armia zwariowanych, purpurowych skrzatów. Tellis zakłęła, natychmiast widząc w wyobraźni gabinet Issy: wybebeszone szafki, szyby w szczątkach, stłuczona tak cenna buteleczka...

Z najwyższym trudem odepchnęła od siebie podobne wizje, po czym zaczęła przedzierać się przez pobożowisko. Jedną stopą ostrożnie wymacywała grunt, odsuwała co większe kawałki marmuru oraz gliny, by wreszcie postąpić krok naprzód. I następny. Trwało to upiornie długo, płomienie-skrzaty odbijały się od jej łydek, wirujące wstęgi mamiliły wzrok i myliły. Trzydzieści centymetrów nad posadzką trwała zażarta bitwa blasku i cienia, wyżej panował mrok. Tellis szła, kłęła i spływała potem, omal nie przepłacając zawalem serca chwil, gdy jasno oświetlony przedmiot (głowa rzeźby, przewrócony trójnóg) zniknął nagle, a ona potykała się w ciemności.

Na końcu korytarza zatrzymała się, zdeorientowana. W prawo, w lewo?

W lewo, zdecydowała, przypominając sobie drogę, jaką prowadził ją mechaniczny sługa. Minęła kilka pomieszczeń, w tym jedno, z którego buchało gorąco oraz jasność tak nieznośne, że zaintrygowana, ostrożnie zajrzała przez uchylone drzwi. Światło ją oślepiło, żar wypełnił płuca. Kapitan zamrugała. W powodzi jaskrawej bieli zaczynała rozróżniać poszczególne przedmioty.

Ujrzała na wpół rozbitą, żelazno-szklaną konstrukcję w kształcie piramidy, podłogę zasłaną pędami uschłych kwiatów i zastawiony stół, a nad nim sztuczne słońce wielkości piłki, które rozżarzyło do czerwoności metalowe naczynia i wypaliło dymiącą dziurę w drewnie zimnorośli.

Tellis cofnęła się i przyspieszyła kroku. Lada moment cały dom Issy mógł stanąć w płomieniach.

Przy świetle księżyców wpadającym przez okna wspięła się na drugie piętro i odetchnęła z ulgą, wandalę, którzy grasowali na parterze, tu bowiem najwyraźniej nie dotarli. Odnalazła gabinet Issy i kłaśnięciem spróbowała obudzić świetliki, lecz albo ich nie było, albo też bardzo szybko przestały działać. Zapaliła więc stojącą na biurku lampę naftową.

Z mocno bijącym sercem zaczęła przetrząsać szuflady. W pierwszej znalazła pióra, воск do pieczętowania oraz papier listowy, w drugiej stos dokumentów, w trzeciej wirofotografie, na których nagie dziewczęta i nadzy chłopcy zabawiali się z mechanoidami wielkości naturalnych zwierząt. Dopiero w czwartej natknęła się na to, czego szukała.

Dwie butelki z ciemnego szkła. Nawet nie jedna, na co liczyła, lecz dwie. Żadna nie była podpisana, więc obie wsunęła do kieszeni płaszcza. Dla pewności przeszukała jeszcze pozostałe szuflady, jednak nic ciekawego nie znalazła.

Gdy wyszła na zewnątrz - szybkim krokiem, lecz nie biegnąc, bieg byłby zbytnią nieostrożnością, biorąc pod uwagę jej wiek oraz kiepską widoczność - mężczyzna z rozwaloną czaszką wciąż żył i, co więcej, sprawiał wrażenie dość przytomnego.

Tellis pochyliła się nad nim i delikatnie poklepała po policzku.

- Masz tu siostrę, która może cię szukać? - zapytała.

Ranny wypuł z siebie niewyraźne słowo wraz z kilkoma kroplami krwi.

- W porządku, już dobrze. Wszystko w porządku. - Tellis mruzczała uspokajająco, jednocześnie odkręcając jedną z butelek.

- Zaraz dam ci coś, co pomoże. Albo i nie.

Nabrała na palec odrobinę przezroczystego płynu i rozsmarowała na dolnej wardze mężczyzny.

- Dalej - ponagliła go. - Spróbuj. To jest dobre. No już.

Ranny obliznął usta. Tellis czekała z zapartym tchem.

Po chwili oczy mężczyzny rozbliły. Zdołał nawet unieść głowę i wyprostować zgięte dotąd w kabłąk plecy.

- Ja... - wychrypiął. - Dziękuję. Już mi lepiej. Chyba sobie pójdę...

- Chyba jednak nie... - mruknęła Tellis. Niezależnie od tego, co znajdowało się w butelce, nie mogło to działać aż tak dobrze, by przywrócić zdrowie komuś, kto miał ucho praktycznie biorąc wgniecione do środka czaszki.

Wtarła płyn we własne dziąsła. Smak miał cierpki, lekko ziołowy i... tak, Tellis rzeczywiście coś poczuła, choć przez kilka pełnych napięcia sekund nie była pewna, czy aby wyobraźnia nie płała jej figla. Jednak efekt nie pozostawiał miejsca na

wątpliwości. Zniknął ból w karku, który dokuczał kapitan od dłuższego czasu, a ona sama poczuła się wypoczęta i rześka, jakby właśnie wstała z łóżka po długim, spokojnym śnie. Nawet jej wzrok nieco się wyostrzył, choć to już rzeczywiście mogło być złudzeniem.

Stała chwilę nieruchomo, pozwalając, by wraz ze łzami spływało napięcie. Dopiero teraz w pełni dotarło do niej, jak bardzo się bała i jak niewielką miała w gruncie rzeczy nadzieję.

Otarła twarz, zapamiętała buteleczkę - różniły się odcieniem szkła - po czym wyjęła z kieszeni drugą. W tej pod korkiem tkwiła umocowana igła. Jakby specyfik należało wprowadzać bezpośrednio do krwi?

Cóż, Tellis nie zamierzała tego testować. A przynajmniej nie na samej sobie. Pochyliła się raz jeszcze i dziabnęła rannego igłą w ramię. Mężczyzna chciał się odwrócić, lecz ożywiająca go energia znikła.

- Co... - zdołał jedynie wymamrotać, po czym na powrót skulił się pod ścianą. Tellis wiedziała, że nie ma wiele czasu.

- Czujesz coś? - zapytała.

Oczy zachodziły mu mgłą, jednak Tellis zdawało się, że zdążyła jeszcze dostrzec w nich zdziwienie.

Powiedz coś, poprosiła w myślach, cokolwiek.

- Cokolwiek - odpowiedział mężczyzna, zdobywając się na upiorny uśmiech - to bardzo szeroki termin.

Po czym skonał, wciąż z uśmiechem, który stężały na jego wargach, jeszcze bardziej przypominał grymas cierpienia.

Wolnym ruchem kapitan schowała do kieszeni drugą buteleczkę. Wyglądało na to, że zamiast jednego cudownego leku dostała dwa. I już wiedziała, do czego może wykorzystać ten dodatkowy.

## 16

- Zamierzasz zemdleć?

- Nie.

- To dobrze, bo ja nie zamierzam cię nieść.

Słaby, wysilony dowcip wywołał w odpowiedzi równie słaby, sztuczny uśmiech. Cóż, na nic więcej nie zasługuję, pomyślał Finnen, chwytając Kairę za łokieć, by nie potknęła się o stopień. W księżycowym półmroku klatki schodowej włosy dziewczyny połyskiwały seledynem jak wyblakłe wodorosty, a białka jej oczu przypominały dwie mleczne kulki.

- Już niedaleko, wiem, że jesteś zmęczona...

Jednak to nie tylko zmęczenie, wiedział o tym doskonale. On sam był równie wyczerpany długotrwałym marszem i marzył tylko o tym, żeby usiąść, a mimo to nie słał się na nogach. Kaira, dziewczyna twardsza od niego, zgubiła gdzieś po drodze wolę walki i Finnen czuł się teraz, jakby prowadził po schodach zardzewiały automat.

- Ostrożnie...

Zatrzymali się przed kratą rzeźbioną w roślinne wzory. Chłopak jedną ręką sięgnął do kieszeni po klucz, a drugą wciąż podtrzymywał Kairę. Oparta ciężko o jego ramię, sprawiała wrażenie, że lada moment rzeczywiście będzie musiał ją nieść.

Sapnął z ulgą, rozsuwając kratę, a potem drzwi. Kilkoma pstryknięciami odsłonił wszystkie inoszyby i mieszkanie zalały fale drgającego światła w odcieniu srebrzystej zieleni.

Zaprowadził dziewczynę do kuchni.

- Usiądź sobie i odpocznij. Powinnaś coś zjeść.

Tak naprawdę on też powinien coś zjeść. Żołądek przyrósł mu do kręgosłupa, a głód już kilka godzin wcześniej osiągnął etap, gdy pojawiają się mdłości.

- Nie mam ochoty.

- Musisz. - Finnen zmierzał w stronę obłożonego lodem schowka.

Rozpalił w piecu i podgrzał wczorajszy rosół. Nie było go dużo, ot, tyle co na jedną porcję, uznał więc, że sam zadowoli się kromką chleba z serem. Kilkoma kromkami. Pochłaniając je, czekał, aż zupa zacznie wrzeć.

- Wtedy, kiedy zabiliśmy tamtego człowieka w mieszkaniu Jainy... - Kaira po raz pierwszy od dłuższego czasu powiedziała więcej niż trzy słowa. - Myślałam, że skoro wytrzymałam tamto, to wytrzymam wszystko, ale...



- Ale się myliłaś, prawda? - Wcisnął jej w dłoń gorący kubek, pilnując, by chwyciła za uszko. - Nikt nie jest przygotowany na to, co dzisiaj widzieliśmy.

- Ty wydawałaś się całkiem dobrze przygotowany... - mruknęła z czymś, co zabrzmiało jak wstyd. Finnen chciał, żeby to było to. Wstyd wydawał się zdecydowanie lepszy niż apatia.

- Kiedy mieszkałem w Sierocińcu, mieliśmy taką zabawę... Chociaż może zabawa to niewłaściwe słowo, może to był rodzaj chłopięcej inicjacji albo próba udowodnienia, kto z nas ma większe jaja. Po prostu głupia, szczeniacka wyzywanka, która polegała na tym, że chodziliśmy do Kwartалу Kandrisa i patrzyliśmy na zwłoki, w im gorszym stanie, tym lepiej. A niektóre z nich naprawdę były bardzo paskudne, uwierz mi. Przeszedłem przez to tylko dwa razy, zanim zmaźrałem, ale wystarczyło, żeby, cóż... - szukał właściwego słowa, a gdy znalazł, powitał je smutnym uśmiechem - ... mnie zahartować.

- Ja nie mogłam patrzeć na ciała moich przyjaciół jak na zwłoki anonimowych osób. Ja ich znałam.

- Ja też, i co z tego? Kairo, nie rób z ich śmierci aż tak wielkiego dramatu. Wyrosłaś w Lunapolis i nawet jeśli przez całe dzieciństwo trzymano cię pod kloszem, to musisz wiedzieć, że tu nie należy się do nikogo za bardzo przywiązywać. A poza tym - w głosie Finnena zabrzmiała irytacja - przecież nie miałaś na to przywiązanie czasu. Znałaś ich ile, trzy tygodnie? I naprawdę chcesz mi wmówić, że polubiłaś ludzi Gurleena tak bardzo, że ich śmierć jest dla ciebie potwornym ciosem?

- Nie chodzi o to, czy ich lubiłam, czy nie. Chodzi o to, że oni byli ostatnią nadzieją dla Lunapolis. A teraz nie żyją.

Zazwyczaj górnotne wyrażenia Kairy bawiły go, a czasem nawet budziły rozczerzenie, ale dziś czuł wyłącznie narastającą złość. To przez zmęczenie, pomyślał, lecz nie zdołał przekonać samego siebie.

- Gurleen żyje.

- I nie wiadomo, gdzie jest. - Kaira przygryzła dolną wargę.

- Co w takim razie zamierzasz zrobić? Wrócisz do tatusia i przeżyjesz resztę swoich dni jak grzeczna panienska, czekając,

aż wreszcie zabierze cię Skok?

Odstawiła kubek na stół powolnym, uważnym ruchem, jakby naczynie wykonane zostało z wyjątkowo kruchego szkła.

- A jeśli tak, to co ty zrobisz? Nadal będziesz się ze mną od czasu do czasu widywał?

Tak, chciał odpowiedzieć, bo w podobnych sytuacjach kłamstwo było jego naturalnym odruchem. Powstrzymał się jednak. Ta chwila zasługiwała na prawdę.

- Nie.

- Dlaczego?

Jak miał jej to wytłumaczyć? Że niemal od samego początku, od pierwszego ich spotkania Finnen przeczuwał istnienie pewnej historii, której chciał być bohaterem - lecz mógł nim być tylko i wyłącznie przez swój związek z Kairą? Ona była najważniejsza, to dzięki niej miał szansę podźwignąć się z szeregu anonimowych ludzi-widm, o których nikt po śmierci nie pamięta.

Gdyby jednak zrezygnowała, gdyby rzeczywiście wróciła do Issy, sama stałaby się człowiekiem-widmem, a tego Finnen nie potrafiłby jej wybaczyć.

Spróbował to wyjaśnić, lecz zaplątał się w połowie, zły na siebie, bo słowa rzadko go zawodziły, i na Kairę, która bezmyślnie kiwała głową.

- Nie rozumiem - przyznała, gdy wreszcie umilkł, nazbyt wyczerpany, by dalej się irytować. - To, co mówisz, nie ma dla mnie sensu. Ja po prostu chciałam pomóc ludziom z przeszłości i myślałam, że tobie też na tym zależy.

- Bo zależy.

Chociaż gdybym wybrał inną drogę, to pewnie równie mocno zależałoby mi na czymś innym, pomyślał, ale tego nie powiedział. Dziewczyna miała już wystarczający mętlik w głowie.

- Co mam teraz zrobić? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ty musisz zdecydować.

- Daj mi trochę czasu, dobrze? Mogę tu zostać do rana?

- Oczywiście, że możesz. Za kogo mnie masz?

Sądził, że zaśnie, ledwo położy się na łóżku, ale jednak nie

potrafił. Tkwił w mroku, nasłuchując dobiegających zza ściany szmerów. Kaira, najwyraźniej też nie śpiąc, wierciła się na swoim posłaniu. Czasem myślał, że powinien pójść do niej, przeprosić i pocieszyć, znajdując właściwe słowa. W wyobraźni tasował różne scenariusze, lecz żaden nie wydawał się odpowiedni. I w gruncie rzeczy Finnen zdawał sobie sprawę, że gdyby to zrobił, to nie z sympatii ani nawet z powodu współczucia, ale z powodu własnego lęku, po to, by wpłynąć na jej decyzję.

Co będzie z nim, jeśli Kaira rzeczywiście wróci do Issy? Jak ma żyć dalej sam jako złodziej i zabójca?

Zasnął tuż po tym, jak zegar wydzwonił kwadrans po pierwszej, gdy się zaś zbudził, było już jasno.

A Kaira zniknęła.

## 17

Dwaj niosący lektykę mechaniczni służący zatrzymali się na podniebnym trakcie. Z przytulnego wnętrza, odrzucając stos poduszek oraz koców, wygramolił się Brin Issa. Zimno zaatakowało rozleniwione ciepłem ciało; palce stóp obutych w cienkie, eleganckie lakierki zeszywniały niemal natychmiast. Issa skrzywił się i poruszył nimi na próbę, a potem tupnął raz i drugi dla rozgrzewki. Przy każdym oddechu z jego ust unosił się obłoczek pary, brzeg wysoko uniesionego kołnierza był już wilgotny i nieprzyjemnie lepiał się do warg. Śnieg padał miękkimi, szepionymi ze sobą płatkami, powoli zasypując ich ślady.

- Zaczekacie tu na mnie - oznajmił Issa.

Dwie metalowe głowy pochyliły się lekko, ruchem tak powściągliwym i powolnym, że warstewki białego puchu na lśniących czaszkach przetrwały nienaruszone. Czerwona Trójka wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć - Issa spojrział na niego - lecz sługa zrezygnował, a metalowe rysy zastygły w wyrazie obojętności identycznej z tą u jego towarzysza.

Issa czasem żałował, że nie ma już służących z krwi i kości. Ci

prawdopodobnie staraliby się go zatrzymać, wyperswadować tak ryzykowną wyprawę i choć ich słowa byłyby podyktowane nie tyle troską o chlebobawcę, ile niechęcią do marznięcia na zimnie, byłyby to przynajmniej jakaś odmiana.

- Jeśli nie wrócę do zmroku, idźcie do domu - dodał, istniała bowiem szansa, że ktoś podrzuci go z powrotem jednym z więziennych mechanoidów.

Nie marnując więcej czasu, ruszył przed siebie. Starał się utrzymywać równe tempo. Szybki marsz rozgrzał go trochę, choć palce stóp nadal miał zlodowaciałe. Lakierki zdecydowanie nie nadawały się na mróz, lecz przecież Issy nie czekała długa droga.

To był najdalej wysunięty na zachód podniebny szlak i Lunapolis już jakiś czas temu zostało za plecami mężczyzny. Gdyby podszedł teraz do poręczy i spojrział w dół, poniżej zobaczyłby skały, spomiędzy których gdzieś wyrastają kępy rachitycznych zimnorośli. Na tej wysokości cisza aż dzwoniła w uszach, tym głębsza, że nie było nawet wiatru.

Issa widział już koniec podniebnego traktu. Wyglądało na to, że urywa się nagle jak ucięty nożem, wypluwając idącego nim człowieka wprost w szaroniebieską zimową pustkę, nad którą kłębiły się śniegowe chmury. Issa sam przez chwilę uległ złudzeniu, ostatni raz był tu przecież przed kilkoma Skokami. Lecz nie, do traktu przymocowane zostały spiralne schody z metalu. Wciąż sprawiały wrażenie dość solidnych, mimo że prawdopodobnie nikt już o nie nie dbał.

Issa przystanął na najwyższym stopniu i patrzył na rozciągający się pod nim widok.

Więzienie, zwane Arkadią, zbudowane zostało na potężnych żaroodpornych słupach, wbitych w skalną szczelinę, w której płonął ogień. Podsypany przez ropę z podziemnych złóż, dzień po dniu dostarczał energii dziesiątkom najfantastyczniejszych, najbardziej przemyślnych urządzeń torturujących, i dzień po dniu pożerał ciała skazańców, którzy konali, nie wytrzymawszy nawet ćwierci mąk, jakie dla nich przewidziano.

Niegdyś Arkadia była zapewne budynkiem w kształcie prostego sześcianu, lecz z czasem obrosła masą przybudówek,

przysadzistych wieżyczek, łuków i pinakli, brzydkich, kamiennych, na pozór zupełnie niefunkcjonalnych, jak narosła pleniące się na chorym organizmie. Co gorsza, każdy z tych potworków miał swoją własną ozdobę w postaci kolejnej konstrukcji z rur i rurek. Pojedynczo dobudówki byłyby piękne, lecz razem, zachodząc na siebie, splątane i wynaturzone do granic karykatury, tworzyły przykry dla oczu chaos, który w tych miejscach, gdzie uroda konstrukcji była jeszcze widoczna, tylko podkreślał szpetotę całości. Budowla ta, jak wiele rzeczy odrażających, budziła u mieszkańców Lunapolis specyficzny rodzaj fascynacji. Mówiono o niej „Tak brzydka, że aż godna podziwu” i prawdopodobnie temu właśnie zawdzięczała swoje istnienie, gdyby bowiem Arkadia była odrobinę ładniejsza, a tym samym zwyczajna, Przedksiężycowi z pewnością zmietliby ją już z powierzchni ziemi.

Drogą od strony Lunapolis zbliżał się właśnie psopodobny mechanoid, prawdopodobnie wiozący w swoim brzuchu aresztanta lub też kogoś, kto wyjednał u władz miasta pozwolenie i teraz odwiedzał przyjaciela czy członka rodziny. Issa bez trudu zdobyłby takie pozwolenie, lecz wolał, aby jak najmniej osób wiedziało o jego wizycie. Szedł więc schodami, które dawno temu zamontowano dla petentów ubogiego stanu, tych, którzy przychodzili pod mury Arkadii, by błagać o uwolnienie swoich bliskich - i najczęściej odchodzili z kwitkiem.

Schodząc, Issa obserwował, jak maleńki z tej wysokości mechanoid zręcznie porusza się po pajęczej sieci kładek oraz mostów, które łączyły więzienie ze stałym lądem. Wystarczy, że animator zagapi się, a metalowy pies wyląduje w ogniu. Issa pragnął, żeby tak właśnie się stało. Co prawda znajdował się zbyt daleko, by obserwować szczegóły, lecz przynajmniej nuda niekończącego się wędrowania w dół (spiralne schody, w głowie się kręci, śnieg wciąż sypie z szarych, skłębionych chmur) zostałaby przerwana.

Jednak mechanoid bezpiecznie dotarł do celu, a Issa zgodnie z jakimś osobliwym pojęciem sprawiedliwości pośliznął się na jednym z oblodzonych stopni i omal nie poleciał w dół. Odпочyając, czuł, jak krew żwawo krąży mu w żyłach.

Uśmiechnął się. To było lepsze niż obserwowanie ginącego mechanoida. Niemal zdążył zapomnieć, że bliskość niebezpieczeństwa potrafi wywołać tak prostą, fizyczną reakcję.

Jeszcze przed kilkoma miesiącami Issa w takiej sytuacji nie poczułby prawie nic, lecz teraz jego stępione zmysły na powrót odzyskały ostrość. Zbudzony jak po długim śnie, znów cieszył się życiem. Potrawy smakowały mniej mdło, kobiety budziły większe pożądanie, nawet mróz w pewnym stopniu sprawiał przyjemność.

Zaczęło się w chwili, gdy Kaira opuściła dom, by upozorować własną śmierć, lecz pełnię zmysłowego pobudzenia Issa zawdzięczał ostatniemu Skokowi, kiedy to Esh Gurleen został aresztowany. Awantura, jaką po tym wydarzeniu zrobiła Maroutiemu reszta rodzeństwa, na swój sposób Issę bawiła. Przyjemnie było patrzeć, jak jego bracia i siostra pod wpływem emocji wychodzą ze swoich ról. Ankis wrzeszczał, nie pamiętając zupełnie, że powinien sypać dowcipami, Darika z uwodzicielskiej stała się wulgarna, Tarkesh ożywił się, a Marouti, biedny, stary, sztywny Marouti wyglądał, jakby miał się rozplakać niczym dziecko.

Właśnie wtedy Issa po raz pierwszy w pełni pojął, że mogą ponieść klęskę. Wcześniej nikt nie dopuszczał takiej możliwości, nawet mimo kilkudziesięciu nieudanych eksperymentów. Byli przecież długowieczni i mieli mnóstwo czasu, by udoskonalić metodę.

Lecz czas kurczył się nieuchronnie i zostały im już tylko dwie córki, dwie ostatnie szanse. A starsza z nich, Kaira, na skutek fatalnej pomyłki Maroutiego być może ostatecznie wymknęła się spod kontroli.

Issa nie chciał i nie mógł się z tym pogodzić. Wszyscy w ten czy inny sposób zamierzali walczyć o nieśmiertelność, to nie ulegało wątpliwości, lecz Brin Issa miał jeszcze jeden cel. Chciał nie tylko, żeby im się udało, lecz także aby zawdzięczali ów fakt właśnie Kairze. To była kwestia ambicji.

Jego córka, jego zwycięstwo.

Świadomość, że teraz będzie to o wiele trudniejsze, sprawiała, iż walka zapowiadała się znacznie ciekawiej. Issa zawsze lubił

wyzwania. Nie będzie miał więcej córek, musi więc się udać tej albo żadnej.

Schodząc, usiłował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz czuł tak przyjemne napięcie. Dawno temu zamówił swoją genetyczną kopię, klona, którego oddał na wychowanie znajomej kobiecie, a gdy chłopiec podrośł na tyle, że uwidoczniło się wyraźnie podobieństwo do pierwowzoru, Issa zabrał go do specjalnie przygotowanego domu w przeszłości i urządził polowanie. On, Marouti, Ankis oraz Darika kontra przerażona ofiara, niemal bezbronna, bo wyposażona tylko w krótki, zwyczajny nóż. Mimo to chłopiec radził sobie całkiem nieźle, co jego twórca wspominał z ojcowską dumą. Długo uciekał labiryntem zakurzonych, mrocznych korytarzy, nożem próbował podważyć kraty w oknach, sypiał krótko i czujnie niczym zając, zawinięty w stosy na wpeł zgniłych szmat. Znajdowali jego ślady, jakby tropili zwierzę: jeszcze ciepłe legowiska i resztki żywności, odchody i plamy moczu. Zakładali się, kto pierwszy dopadnie uciekiniera, i to Issa wygrał, co prawda nie do końca uczciwie, lecz nie mógł przecież pozwolić, by jego klona zabił ktoś inny.

Co dziwniejsze, Issa pamiętał pościg, ale nie finał, nie ów moment, gdy wreszcie chłopca odnalazł. Sprawilo mu to przyjemność czy może przykrość? Jakie to uczucie wbić *darakkę* w kopię samego siebie?

Irytowało go, że nie pamięta. Czuł się oszukany przez czas, ograbiony z czegoś, co mu się należało. To mógł być jeden z najbardziej emocjonujących momentów jego życia, a on o nim zapomniał.

Zszedł już na dół i zostawiwszy za sobą metalowe schody, podążał w stronę Arkadii. Pod warstwą białego śniegu skały okazały się zdradliwie śliskie i nierówne, z kłębiastych chmur sypnęło jeszcze gęstszym śniegiem. Lekki wiatr przynosił ze sobą pierwsze tchnienia ciepła, które stopniowo przechodziło w gorąc. Pod butami mężczyzny zadudniły metalowe płyty mostu. Na policzkach czuł ukąszenia płonącego poniżej ognia, skóra eleganckich lakierków rozgrzewała się, tak iż najpierw bólem dały o sobie znać odmarzające palce, a po chwili Issa miał

wrażenie, że całe jego stopy tkwią w rozżarzonych kleszczach. Gdy przyspieszał kroku, woda z roztopionego śniegu chlupotała mu pod nogami.

Rozpiął płaszcz, potem zdjął go i niósł przewieszony przez ramię, podczas gdy zimne strużki spływały z włosów na kark i za koszulę. Minął pierwszego strażnika, później kolejnego, za każdym razem witany tą samą pełną zdziwienia miną, która - gdy tylko Issa pokazał plik dokumentów - przeradzała się w ostrożny szacunek. W budynku pozwolił sobie na chwilę odpoczynku, znalazł łazienkę, w której przeczesał mokre włosy, poprawił mankiety koszuli i przetaił lakierki. Skały pozostawiły na ich skórze kilka wyraźnych rys, z którymi nic nie można było zrobić. Dzieło sztuki zostało bezpowrotnie zniszczone, a Issa przyłapał się na myśli, że nie ma to dla niego znaczenia. Z dnia na dzień jego związki z tym światem się rozluźniały. Każdego ranka wkładał najbardziej eleganckie, najdroższe rzeczy - bo tylko takie miał - choć równie dobrze mógłby chodzić ubrany w zszyte ze sobą dwa płaty płótna. I co dzień w owym eleganckim stroju odprawiał rytuał zwany życiem towarzyskim. Te same gesty, miny i odpowiednie do każdej sytuacji słowa... Był niewolnikiem kultury, w jakiej się wychował, lecz nie próbował z nią walczyć, bo to też nie miało znaczenia. Wkrótce Issa zostawi ją za sobą.

Zapomni o wszystkich kobietach, które kochał - albo przynajmniej wydawało mu się, że kocha - i o tych, których nienawidził, ich imiona zresztą już teraz mu się myliły, a twarze były zatarte. Z pamięci wypadną dzieci, które spłodził: długi szereg zwyczajnych, miękkich i chętnych w łóżku córek oraz trzy niezwykle, jak Kaira. Synów tylko kilku, bo Issa zawsze wolał dziewczynki. I kolekcja dzieł sztuki, dawniej oczko w głowie, a przecież ją też porzuci bez żalu. Już teraz coraz rzadziej się nią zajmował.

Być może zabierze ze sobą wspomnienie Kairy, dziecka, któremu będzie zawdzięczał nowe życie. A może nie.

W lustrze posłał samemu sobie ostrożny uśmiech i wyszedł z łazienki.

W budynku było ciepło, lecz nie przesadnie, jak na zewnątrz.



Issa, z płaszczem wciąż przewieszonym przez ramię, szedł łukowato sklepionym korytarzem, mijając zakratowane okna. Pod ścianami z nagich szarych kamieni leżały stosy kartek powiązanych w paczki konopnymi sznurami. Papier był wilgotny, w kilku przypadkach na wpeł zgniły, a sznury poprzecierane. Jedna z paczek rozsypała się i kilka metrów korytarza zasłane zostało zapisanymi stronicami, na których widniały odciski ubłoconych butów. Issa z ciekawości pochylił się i spróbował przeczytać kilka słów.

„Oskarżony przyznaje się... kradzież oryginalnego genotypu wraz z ciężkim pobiciem strażnika... zastosowano tortury...”.

Wyprostował się. Niedaleko słyszał szum tuneli pneumatycznych, którymi w Arkadii przesyłano wiadomości, z większego dystansu dobiegał stłumiony przez grube mury krzyk. Właśnie wtedy, słuchając tych odgłosów i wdychając woń gnijącego papieru, Issa pojął, że to koniec, że nie tylko czas się kończy, lecz także Lunapolis ginie, popadając w coraz większy chaos, a pierwszy etap jego zadania może okazać się łatwiejszy, niż sądził.

Nie bez trudu znalazł biuro dyrektor Suhenri. Nie podniosła się na jego powitanie, gestem tylko zachęciła gościa, by podszedł do biurka, za którym siedziała. Była piękną kobietą, zdecydowanie zbyt urodziwą jak na kogoś, kto pracuje w takim miejscu. Włosy barwy lipowego miodu spływały na jej wąską dziewczęcą twarz, gdy studiowała papiery przyniesione przez Issę. Miała cudowne dłonie: białe, z palcami długimi i smukłymi jak świece. Wreszcie podniosła wzrok. Uważnym spojrzeniem oceniła twarz nowo przybyłego, a potem jego strój. Issa pozwalał na to cierpliwie. Wiedział, co dyrektor teraz myśli.

Jego ubranie świadczyło, że jest człowiekiem bardzo bogatym, lecz to, że przyszedł sam, pieszo i bez towarzystwa sług, wydawało się co najmniej dziwne.

Czy naprawdę jest tym, za kogo się podaje?

Co, jeśli tak?

Co, jeśli nie?

A może to prowokacja?

Biała, na pozór nieskazitelnie nieruchoma maska twarzy kobiety drgała leciutko za każdym razem, gdy pojawiała się kolejna myśl. Issa czekał. Wiedział, że Suhenri będzie miała wątpliwości, i wiedział, że zostaną one rozstrzygnięte na jego korzyść. Każda inna decyzja byłaby mniej bezpieczna i rozsądna.

Gdy dyrektor wróciła do studiowania papierów, mężczyzna rozejrzał się. Ściany gabinetu wyłożone zostały miedzianymi płytkami, na których wyryto sceny tortur. Issa spojrzął pod nogi: identyczne obrazki widniały na płytkach podłogi i - zadarł głowę - wyżej, na suficie. Choć nie, nie do końca identyczne. Owszem, powtarzały się sposoby dręczenia - ten sam uciążliwy korowód ciał przypalanych i podtapianych, wywlekanych wnętrzości i łamanych kończyn - lecz inne były miny katów oraz ofiar. Na suficie i na podłodze kaci wyglądali na smutnych, ofiary zaś na wesołe, a na ścianach odwrotnie. Issa zastanawiał się, co anonimowy artysta chciał w ten sposób przekazać. Tymczasem Suhenri odsunęła na bok papiery.

- Zgoda - oznajmiła. - Pomogę panu w miarę moich możliwości.

Wy tłumaczył, o co chodzi, podczas gdy dyrektor kiwała głową. Twarz miała zastygłą w wyrazie spokoju coraz bardziej sztucznego i z coraz większym trudem utrzymywanego. Jej błękitne oczy wyrażały wyłącznie niechęć.

Gdy skończył mówić, wstała zza biurka. Dopiero teraz Issa zauważył, że Suhenri tylko do pasa była kobietą. Biodra, na których wznosił się tułów, były żelazne, nogi mechaniczne, uformowane w kształt koźlich, z wyrytymi w metalu poskręcanyimi włosami. Poruszała się niezgrabnie, jak ktoś nieprzyzwyczajony do ich używania, kopyta stukwały na płytkach podłogi. Spojrzała na Issę wyzywająco. Wiedział, że chciała, aby zapytał ją, dlaczego tak wygląda, co się stało, i w odmiennych okolicznościach być może by to zrobił, teraz jednak jego głowę zaprzętały ważniejsze sprawy.

Poprowadziła go korytarzem łudzaco podobnym do tego, którym tu przyszedł. Po drodze mijali rzędy drzwi, czasem uchylonych. Za nimi widać było urzędników pracowicie kle-

piących w maszyny do pisania. Prawdopodobnie przepisywali zeznania. Issa pomyślał o zwożonych tu przestępcach - nie zwykłych art-zbrodniarzach, bo tych umieszczano w areszcie miejskim i szybko skazywano na przeniesienie do mechanicznego ciała, lecz o buntownikach i spiskowcach. Do Arkadii trafiali wydawcy nielegalnych pisemek, artyści, którzy odważyli się w złym świetle przedstawić Przedksiężycowych, a nawet ludzie, którzy publicznie wyrażali dezaprobatę dla decyzji prezydenta. Przy czym - z czego Issa doskonale zdawał sobie sprawę - aresztowania były bardzo chaotyczne, zwłaszcza tuż przed Skokiem, gdy oficerowie straży miejskiej, chcąc udowodnić swoją przydatność, urządzali wzmożone obławy. W ich sieć wpadały głównie płotki - wystarczyło powiedzieć parę słów za dużo albo znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. A z drugiej strony znane były przypadki, gdy niemal jawni buntownicy prześlizgiwali się straży przez palce. Sam Issa znał co najmniej dwóch artystów, którzy w swych dziełach zawierali treści obrazoburcze oczywiście dla każdego inteligentnego, wykształconego człowieka i którzy jak dotąd cieszyli się nieskrępowaną wolnością. W powszechnym mniemaniu zawdzięczali to wysoko postawionym przyjaciółom, lecz Issa wiedział, że to tylko część prawdy.

Druga, znacznie bardziej ponura część wyglądała tak, że mało kto miał teraz głowę do długich, żmudnych śledztw o niepewnym wyniku. Bo i dlaczego miałby mieć? Przebudzenie zbliżało się wielkimi krokami, ludzi ubywało i wiele spraw po kilka razy przechodziło z rąk do rąk, a byli i tacy oficerowie straży, którzy całkiem serio twierdzili, że Przedksiężycowi w czasie Skoków sami likwidują najbardziej niebezpiecznych wicherzycieli, więc nie ma się czym przejmować. Teraz, tak blisko Przebudzenia, liczyły się przede wszystkim szybkie, spektakularne sukcesy.

W kolejnym korytarzu, w który skręcili, było wyraźnie cieplej, pod ścianami nie piętrzyły się już sterty papierów, a uchylone drzwi ukazywały biurka z milczącymi maszynami do pisania. Issa rozpiął kołnierzyk koszuli, Suhenri przyspieszyła kroku.

Ciepło przechodziło w nieznośny, suchy upał, kojarzący się Issie z pylistym zaduchem pustyni. Słysząc już było pierwsze

wrzaski i łomot żelaza, a także - cichszy, bardziej w tle - szum pracującej maszyny. Z wylotu korytarza bił gorąc pospołu ze światłem tak jaskrawym, że gdy w nie wkroczyli, Issa przestał cokolwiek widzieć. Mimo to szedł dalej, bo słyszał, że Suhenri idzie, a nie chciał zostać w tyle. Wyczuł moment, gdy zmieniło się podłoże, pod stopami miał już nie kamienie korytarza, lecz coś, co dudniło metalicznie. Most? Zamrugał, oczy powoli przyzwyczajały się do światła. Jednocześnie podłoże drgnęło pod jego nogami.

Zobaczył, że to, co wziął za most, było jednym z kilku ramion gigantycznej istoty stojącej po kolana w ogniu. Zamiast głowy miała pulsujące rozpaloną żółcią miniaturowe słońce, za którym widać było skrawek nieba wycięty w kształt koła - znajdowali się bowiem we wnętrzu monstrualnie wielkiej i płomieniście suchej studni. Mechaniczny tułów giganta skręcał się jak w tańcu, ramiona wędrowały w górę, w dół i na boki. Płynąc na jednym z nich poprzez jasną, gorącą przestrzeń, Issa próbował dostrzec sens w ruchach żelaznego olbrzyma. Wyglądało to tak, jakby dotykał on wybranych cel-klatek umieszczonych jedna nad drugą na kamiennych ścianach studni. Wiele cel było pustych, lecz w niektórych znajdowali się ludzie, na wpół albo i całkiem nadzy, spływający potem i brudni, z żebrami niemal przebijającymi się przez skórę. Kilku krzyczało, łomocząc pięściami w kraty. Gdy gigant zatrzymał jedno ze swych ramion przy takiej właśnie celi zamieszkaanej przez wrzeszczącego więźnia, jej lokator zamarł w bezruchu, zawieszony pomiędzy nadzieją a przerażeniem. Pomimo odległości Issa wyraźnie rozpoznał te dwa, jakże sprzeczne ze sobą uczucia.

Dyrektor Suhenri zauważyła zdziwienie na twarzy towarzysza.

- Kiedy ramię zatrzymuje się przy celi - wyjaśniła beznamiętnym tonem - to czasem oznacza, że mechaniczny strażnik przyniósł więźniowi jedzenie, a czasem, że przyszedł zaprowadzić go na przesłuchanie.

- W takim razie po co ramiona zatrzymują się przy pustych celach?

- Bo kiedy maszyna została puszczona w ruch, wszystkie były

pełne, a nam nie oplaca się grzebać w jej wnętrznościach.

Poprzez wnętrze mechanicznej istoty przeszli na inne, niższe ramię. Issa oddychał z coraz większym trudem, krzyki więźniów wwiercały się w uszy. Jeden ze skazańców wspiał się na kraty i zawisł na nich rozkrzyżowany, wyrzucając z siebie potok przekleństw. Potem oddał moc, który wyparował, nim dotarł na dno studni. Issa starał się nie patrzeć w dół, na płomień, ani w górę, na słońce. Spoglądał więc na więźnia, do którego celi zbliżało się żelazne ramię. Skulona tuż przy kratkach chuda, chłopcę sylwetka nie wyglądała znajomo, twarz przesłaniały włosy, lecz kolor tych włosów... kolor Issa rozpoznał bez trudu, ta przeblyszująca spod warstwy brudu, wciąż ogniście ruda barwa była nie do pomylenia.

Słyszac zgrzyt hamującego mechanizmu, więzień cofnął się ostrożnie w głąb celi. Nadzieja w jego oczach szybko zgasła, teraz wypełniało je wyłącznie przerażenie tak wielkie, że chłopak sprawiał wrażenie na wpół przytomnego. Suhenri rozsunęła drzwi, jednocześnie drugą ręką sięgając po ukryty w kieszeni bluzy poskramiacz. Issa w myślach pochwalił jej przezorność, choć nie sądził, by broń do czegokolwiek miała się przydać.

Chłopak został złamany prawdopodobnie już podczas pierwszego przesłuchania. Nie potrafiłby teraz uciec, nawet gdyby otwarto mu drzwi na oścież. Z lewej połowy jego ciała od piersi aż po stopę kat zdarł wąskie paski skóry - i zrobił to tak przemyślnie, że purpurowy wzór odsłoniętego mięsa układał się w roślinny ornament. Prawej dłoni już nie miał, zastąpiły ją wbite w przegub giętkie stalowe witki, które falowały przy najlżejszym ruchu. Ich uniesione końcówki przypominały paszcze węży gotowych zaatakować, gdy tylko ofiara poderwie się do ucieczki. To dlatego chłopak poruszał się tak ostrożnie. Po prawej stronie ciała, głównie na brzuchu i udzie, widniało wystarczająco dużo śladów ukąszeń, by rudowłosy nabrał doświadczenia. A gdy chłopak odwrócił się do ściany i skulił, Issa dostrzegł, że z jego łopatek wyrastają dwa bliźniacze, zakrwawione skrzydła, zbudowane z materiału, który wyglądał jak świeżo odarta z mięsa kość.

Niegdyś Issa być może podziwiałby robotę kata. Albo inaczej - może pozwoliłby sobie na odrobinę współczucia, bo twarz rudzielca jak na ironię pozostała nietknięta i widać było, że jeszcze niedawno był to całkiem ładny chłopiec. A Issa czasem żałował zniszczonej młodzieńczej urody.

Teraz nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie.

Podszedł do skulonej w kącie sylwetki.

- Poznajesz mnie? - wymruczał. Za plecami słyszał szmer oddechu Suhenri, która stanęła przy kracie i prawdopodobnie udawała, że bardzo interesuje ją to, co dzieje się na zewnątrz.

- Rooooosze - wyjąkał chłopak. Zniekształcone słowo świadczyło, że coś jest nie tak z jego językiem. - Ja szyyyyysto powieeeeecieee... Niss wieceesej niee wieeem...

- Wszystko powiedziałeś, tak? Nic więcej nie wiesz? A oni wciąż cię dręczą?

Przy każdym zdaniu więzień gorliwie kiwał głową.

- Laszeeeeko?

- Dlaczego? Cóż, szczerze mówiąc, sądzę, że zatrudnieni tu kaci chcą wykazać się swoją sztuką, a że więźniowie tak szybko się łamią... Sam rozumiesz. Albo i nie rozumiesz, mniejsza z tym. Naprawdę mnie nie poznajesz?

Spojrzenie pełne napięcia, na twarzy wyraz intensywnego umysłowego wysiłku. I nadzieja, wyzierająca bardzo nieśmiało spod krańcowego wyczerpania. On sądzi, pomyślał Issa, że jeśli sobie przypomni, to nie będą go już torturować.

Po chwili chłopak skulił się jeszcze bardziej, zapadł się w sobie.

- Neeee...

- Już dobrze. - Issa wyjął z kieszeni płaszczą płaską manierkę. Nie przyszedł tu, żeby cieszyć się nieszczęściem chłopaka, tylko żeby zabrać jego zeznania, których nikt niepowołany nie powinien czytać. - Napij się.

Rudy chciwie przyssał się do wylotu butelki. W tutejszych warunkach pragnienie było torturą niewiele mniejszą niż ból kaleczącego ciała.

- Wystarczy. - Issa schował manierkę i już chciał odejść, gdy chłopak chwycił go za nadgarstek.

- Szyyyyy jaaa umreee? - zapytał.

Zaskoczony mężczyzna w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć.

Zresztą, co za różnica?

- Tak - odparł.

Rudy przymknął oczy.

- Dzieeeekujeee...

## 18

Tellis zbudziła się, gdy słońce stało wysoko na niebie. Niech to Skok, pomyślała, wygrzebując się spod sterty koców. Pękaty piecyk w kształcie gołębia wyglądał jak rozpalony, płonąc czerwienią promieni wpadających przez okno. Żłudny ogień i żłudne wrażenie ciepła, bo w sypialni było zimno. Wciąż owinięta w jeden z koców, Tellis wsunęła stopy w buty i poczłapała do łazienki.

Która mogła być godzina? Zapewne późna, może nawet dochodziło południe. Mimo to kapitan zmusiła się, by wszystkie poranne czynności wykonać jak zawsze starannie. Od tego mogło zależeć jej życie.

Ochłapała twarz wodą, by na dobre się przebudzić, a potem sprawdziła, czy w nocy nie nabiła sobie siniaka. To zdarzało jej się czasem, gdy pod wpływem koszmarów rzucała się na łóżku. Na szczęście wszystko było w porządku. Niewielkie otarcie na prawej pięcie, efekt noszenia nowych butów, nie zmniejszyło się co prawda, ale też nie wyglądało na większe. Jeśli nie zacznie się goić do jutra, Tellis potraktuje je dodatkową kroplą Uniwersalnego Środka Fabbiniego.

Rozsmarowała na języku odrobinę specyfiku, założyła ciepłą bieliznę, a wokół pasa przywiązała dwa płaskie skórzane bukłaki. Szukała ich długo, znacznie dłużej niż pary porządnych butów, lecz w końcu znalazła dokładnie to, czego potrzebowała. Do jednego wlała Uniwersalny Środek Fabbiniego, do drugiego zaś telepatyczny specyfik. Żaden z bukłaków nie był na tyle duży, by rzucać się w oczy pod

warstwami odzieży - co najwyżej wyglądała na odrobinę tęższą, niż była naprawdę, lecz cóż, stare kobiety mają prawo mieć warstwę tłuszczu na brzuchu i wokół bioder.

Jesteś stara, powtarzała sobie każdego ranka, by zabić resztkę próżności, która mogłaby jej zaszkodzić.

Wróciła do sypialni, przez głowę wciągnęła ciepłą koszulę, założyła pończochy, spodnie i buty na grubej podeszwie. Potem jeszcze jedna koszula z pikowanego materiału, płaszcz i dwie pary rękawiczek - przy czym zarówno wierzchnie rękawiczki, jak i płaszcz były brudne i wystrzępione. Dla większego efektu Tellis owinęła szyję szalikiem, który wyglądał, jakby walczyły o niego dwa psy, rozczochrała włosy, a wilgotne policzki maznęła sadzą z piecyka. Zastanawiała się, czy to nie przesada, jednak lustro podpowiadało, że nie. Sprawiała teraz wrażenie starej, załamanej kobiety, a o to właśnie chodziło.

Spójrzcie, jaka jestem bezradna, mówił jej wygląd, gdy wychodziła na zewnątrz. Nie warto mnie zaczepiać, bo cóż wartościowego mógłby mieć ktoś taki jak ja?

To działało, nikt nie próbował jej okraść, nikt nie zwrócił uwagi, że buty kapitan, choć pokryte warstwą błota, są bardzo solidne, a błysk w oczach nie pasuje do kogoś, kto stracił wolę życia.

Już w drodze do Ośmiornicy zjadła kawałek tofu i kromkę chleba. Twardą skórkę trzymała w ustach tak długo, aż zmiękła i Tellis mogła bezpiecznie ją pogryźć. Ostatnie, czego potrzebowała, to złamany ząb.

Wspięła się aż do placu Tarczy, potem przeszła na ruchome Schody Żelazne i dalej w górę. Niebo było czyste, temperatura spadła poniżej zera i lód zamarzł w kałużach. Z metalowych konstrukcji na fasadach budynków zwisały maleńkie sople niczym setki przezroczystych igieł. Tellis walczyła z ochotą, by zerwać jeden z nich i polizać, jak to robiła razem z innymi dziećmi, gdy była mała. Gdy przystanąła, by odpocząć, zobaczyła własną postać odbitą w jednym z oszronionych okien - twarz połamana na drobne fragmenty skośnymi liniami mroźnych kwiatów, zniekształcona i zwielokrotniona w pęk



zachodzących na siebie oczu, nosów i ust. Gdzieś głęboko w niej zbudziło się wspomnienie.

Czy to prawda, że kiedyś w taki właśnie dzień pojechaliśmy za miasto? Czy patrzyliśmy, jak wagoniki Kolejki zmierzają w stronę Lunapolis, a chwilę potem, jak śnieg zaczyna padać z na pozór czystego nieba, pokrywając cienką warstwą skały? Czy to właśnie wtedy ktoś - jej ojciec? dziadek? - stanął i wyciągnął rękę, białe płatki osiadały mu na włosach, rzęsach i dłoni, palce celowały w szarą, zimową pustkę, gdzie widać było nieliczne, poskręcane od wiatru zimnorośla?

- Stamtąd pochodzimy - powiedział. - Tam było nasze miasto. Nazywało się... Pamiętaj o nim, dziecko.

Wspomnienie wierciło się w brzuchu Tellis jak niespokojne zwierzę. Jak nazywało się miasto, kim był ten mężczyzna i czy ludzie kiedyś naprawdę wyjeżdżali poza Lunapolis? To ostatnie wydawało się nieprawdopodobne. W ciągu całego dorosłego życia kapitan nikt nigdy nie zaproponował jej takiej wycieczki, nie słyszała nawet o człowieku, który miałby na coś podobnego ochotę.

Z czystego na pozór nieba zaczął padać śnieg. Marzły jej uszy, więc naciągnęła na głowę kaptur. Dwa razy minęły ją niewielkie grupy hałaśliwie zachowujących się mężczyzn - kulila się wtedy odruchowo i specjalnie szła chwiejnym, powolnym krokiem kogoś, kto nie czuje się zbyt dobrze i nie wie, dokąd zmierza.

Przyspieszała, gdy tracili ją z oczu. Raz u wylotu bocznych schodów dostrzegła grupę znacznie bardziej niebezpieczną - troje ludzi w zwierozbrojach, węszących niespokojnie w powietrzu. Z żelaznych zębów wilka ściekała krew, tygrys przebierał niecierpliwie łapami, a stojąca z tyłu niedźwiedzica miała częściowo zdruzgotany hełm, tak iż nad metalowym pyskiem widać było pół ludzkiej twarzy.

Tellis cofnęła się, sięgając jednocześnie pod warstwy odzieży do bukłaka, który znajdował się po prawej stronie. Zamoczyła palec w oleistej cieczy i oblizała go. Teraz mogła już słyszeć splątane, pełne bólu i wściekłości myśli zwierzoluździ.

I przekonała się, że miała rację - tamci rozszarpaliby ją na strzępy niezależnie od jej wyglądu, zabiliby ją dla czystej przy-

jemności zabijania, po to, by dzięki cudzej śmierci sami mogli choć przez chwilę poczuć się lepiej.

Ominęła ich, idąc bocznymi schodami. Ośmiornica była już niedaleko, więc Tellis przyspieszyła. Z trudem powstrzymywała się, by nie zacząć biec. W myślach upominała się: co będzie, jak się poślizgnie i skręci kostkę albo - co gorsza - złamie nogę?

W płucach brakowało tchu, w sercu odezwał się ostry ból, jakby ktoś wbił pod żebro długą igłę. Zwolniła, potem znów przyspieszyła. Według zegarka miała czas, lecz kapitan Tellis już mu nie wierzyła - mechanizm rozregulował się kilka dni temu i teraz starała się odzwyczaić od odruchowego spoglądania na tarczę.

Napis, jaki zostawiła na ścianie Archiwum, głosił: „Będę czekać od południa przez godzinę w miejscu, gdzie piliśmy wino, choć nie było nas na nie stać, i gdzie opowiadałeś o człowieku, który kradł, choć nie był art-złodziejem”.

Długie zdanie wypisane kawałkiem węgla i wciśnięte pomiędzy inne napisy. Tellis potrafiła zacytować część z nich z pamięci:

„Suuri Kusmin, proszę, przynieś coś na gorączkę. Mieszkam w naszym dawnym domu przy placu Solnym”.

„Jesteśmy w Głębińcach i czekamy. G + M”.

„Niech moja śmierć spadnie na twoje sumienie, ojcze. Nienawidzę cię i mam nadzieję, że zabierze cię następny Skok. Malaja”.

„Jest tu mała dziewczynka, nazywa się Prisha i dawniej mieszkała przy Schodach Łańcuchów pod numerem 43. Tutaj jej ulubiona lalka spłonęła w pożarze, mógłby się ktoś zlitować i przynieść tę lalkę z górnego świata? Szmacianka, oczy z brązowych guzików, na sukience wyhaftowane czerwone serce”.

Napisów było sporo, choć nie aż tak dużo, jak można by się spodziewać po liczbie ludzi, którzy zostali z tyłu podczas ostatniego Skoku. Widać wielu nie wierzyło, że ktoś z górnego świata przyjdzie ich odwiedzić.

Tellis wierzyła. Musiała wierzyć, mimo że każdy kolejny dzień przynosił nowe rozczarowanie. Wymyślała dla Mahameniego wytłumaczenia - może nie mógł przyjść z powodu pracy, może

miał pilne zadanie do wykonania... Ostatnio usprawiedliwiała go tak już w drodze, zanim wyszła na plac przed Ośmiornicą, przygotowując się w ten sposób na cios.

Lecz dziś usprawiedliwienie okazało się niepotrzebne, gdyż Mahameni tkwił samotnie przed nieczynną, nieruchomą kawiarnią, zgarbiony, z rękoma w kieszeniach i śniegiem osiadającym na włosach. Obawa przed rozczarowaniem była jednak tak silna, że kapitan jeszcze przez chwilę wmawiała sobie, że to nie może być on, Mehus z pewnością znów nie mógł przyjść, a to inny mężczyzna, podobny z postury do jej dawnego podwładnego. Dopiero gdy znalazła się wystarczająco blisko, że widziała już jego twarz, pozwoliła sobie uwierzyć.

- Mahameni! - krzyknęła.

Pomachał jej, niepewny i jakby... zażenowany? W oczach miał ów przeprasający wyraz, którego tak bardzo nienawidziła.

- Przeczytałem twoją wiadomość i jestem, przepraszam, że nie wcześniej - oznajmił. W ustach obracał już następne słowa, a kapitan wiedziała, jak będą brzmiały. Nie chciała, by je wypowiedział, było jednak za późno. - To powinienem być ja, przepraszam, wtedy, przy Skoku, myślałem, że to ja zostałem z tyłu, bo tak właśnie powinno być, nie ty, tylko ja, przepraszam...

Odwróciła głowę, walcząc z nagłym przyływem goryczy i złości. To była prawda. Dlaczego Przedksiężycowi zabrali właśnie ją, inteligentną i uzdolnioną, a oszczędzili pokracznego psoczwolowika, którego jedynym talentem był wyczulony węch? Z powodu jej wieku? Dlatego że przyjęła od Issy łapówkę? To tak cholernie niesprawiedliwe...

Lecz powiedzieć mogła tylko jedno:

- Przecież to nie twoja wina. - Własne słowa brzmiały w jej uszach obco, fałszywie. Oddychała, wciągając głęboko w płuca ostre zimowe powietrze. Nie jego wina. Powoli zaczynała w to wierzyć.

- Dobrze się czujesz? Powiedziałem coś nie tak?

- Wszystko w porządku. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Cieszę się, że jesteś. - Słowa wypadły prawie naturalnie.

- Potrzebujesz czegoś? Lekarstw, ciepłych ubrań, czegoś do

jedzenia?

- Ten świat jeszcze całkiem nieźle się trzyma, jeśli nie zauważyłeś. - Kolejnym, głębokim wdechem stłumiła niebezpieczną nutkę złości w głosie. - Na razie jedzenia mamy pod dostatkiem. Ale tak, będę potrzebowała paru rzeczy, potem ci powiem, czego konkretnie. Teraz chodź.

Rozejrzała się i choć wyglądało na to, że prócz nich na placu nie ma nikogo, pociągnęła Mahameniego w głąb jednej z sal Ośmiornicy, która czystym przypadkiem znieruchomiała tuż nad ziemią. Tu było cieplej, a przede wszystkim dyskretniej.

- Odwróć się - zakomenderowała w półmroku, wdychając woń kurzu pomieszaną z zapachem drogich alkoholi. Szkło z rozbitych butelek chrzęściło pod stopami.

Posłuchał, zwierciadła na ścianach odbiły jego zdziwienie.

Spod warstw ubrania, odsłaniając nagi blady brzuch, wyjęła jeden z bukłaków. Zaczerwieniła się przy tym, unikając spoglądania w lustro. Jak ona wygląda? Brudna, ze skołtunionymi włosami i sylwetką zniekształconą przez noszony na pasie skarb. Akurat teraz, w towarzystwie być może jedynego mężczyzny, który potrafiłby jeszcze dostrzec w niej kobietę.

Głupie, niepotrzebne myśli. Gorsze nawet niż głupie, bo niebezpieczne.

- Już.

- Co to? - zapytał na widok skórzanego naczynia.

- Środek wzmacniający zdolności telepatyczne. Sądzę, że jeśli zażyjemy go jednocześnie, będziemy mogli słyszeć nawzajem swoje myśli.

- Próbowłaś?

Skinęła głową.

- Owszem, ale tylko sama. I nie wiem, jak długo to działa. Ja od czasu do czasu biorę kroplę i wtedy przez kwadrans słyszę myśli osób, które znajdują się w pobliżu. Przydatna rzecz, kiedy trzeba ominąć niebezpiecznego zbira, ale nie mogę używać tego stale, bo płynu jest niewiele. Mniejsza z tym, postaram się zdobyć więcej. Mam nadzieję, że jeśli zażyjemy kilka kropel, będziemy się słyszeć z większej odległości i dłużej.

- Ale po co? - Zdumienie na jego twarzy było niemal zabawne.

- Bo istnieje szansa, że to działa także pomiędzy światami. Kiedy ty będziesz w górnej rzeczywistości, a ja tutaj.

W oczach Mahamieniego pojawił się błysk.

- Znaczy, że ty... że ty i ja...

- Ze spróbujemy wspólnymi siłami znaleźć haka na Brina Issę. Ty będziesz szukał w górnym świecie, a ja tutaj. Wiem - niecierpliwym machnięciem zbyła słowa, które już miał wypowiedzieć - bogaci najważniejsze dokumenty zabezpieczają tak, żeby w czasie Skoku ulegały zniszczeniu i nie wpadły w przeszłości w niepowołane ręce. Wiem. Ale założę się, że Issa nie zabezpieczył w ten sposób wszystkiego.

Mahameni wyszczerzył zęby w szerokim, wilczym uśmiechu.

- Serio chcesz to zrobić? Prawie już straciłem nadzieję...

- A co lepszego mam tu do roboty? Czekać na śmierć? Teraz jestem wolna i mam całe mnóstwo czasu. Ty będziesz miał gorzej. Jeśli zgodzisz się pomóc mi, może ucierpieć na tym twoja praca.

- Pierdolę to - uciał Mehus krótko i w tej chwili kapitan prawie go lubił.

- Pamiętaj, że ten środek wcale nie musi działać pomiędzy światami, to tylko mój domysł - dodała, by nie dać się ponieść szaleńczej nadziei. Jednak było za późno, nadzieja już ją zagarnęła: że jeszcze na coś się przyda, że dostanie kolejną zagadkę do rozwiązania. A jeśli wszystko pójdzie dobrze, zdoła upokorzyć człowieka, który upokorzył ją, zetrze z jego twarzy ten pełen wyższości uśmiech i zmaże w ten sposób własną winę.

Myśli, że być może Brin Issa nie ma na sumieniu niczego poważniejszego niż chęć zatuszowania morderstwa Jainy Naroomi, w ogóle do siebie nie dopuszczała. Był bogaty i był starszy, niż wskazywałby jego wygląd. Jego przeszłość musiała kryć w sobie niejedną brudną tajemnicę.

Ciekawe, czy uda mi się go zgubić, pomyślał Daniel, po czym w tłumie przelewającym się przez plac przyspieszył kroku aż do chybotliwego truchciku. Jego noga sprawowała się nad wyraz dobrze, potrafił już nawet zgiąć kolano, lecz wołał ją oszczędzać. Chodził więc jak dawniej, opierając ciężar ciała na prawej stopie. Lekarz ostrzegwał go, by się nie przemęczał, i choć Daniel zazwyczaj uważał takie gadanie za stek bzdur, to tym razem gotów był posłuchać. Ostatecznie to zakrawało na cholerny cud - stracił już nadzieję, że kiedykolwiek będzie się normalnie poruszał, a tu proszę: ledwo tydzień, a jemu niewiele brakuje, by mógł podnieść nogę i kopniakiem przyłożyć dowolnemu draniowi w jaja.

Lekki ból przypomniał mu, że nie jest aż tak dobrze, zwolnił więc, przy okazji oglądając się dyskretnie za siebie. Blasznany sukinsyn wciąż za nim laził. A w każdym razie laził za nim jakiś blasznany sukinsyn, bo Daniel nie był pewien, czy to ten sam, którego widział, gdy wychodził z domu Issy. Pantalekis nie odróżniał automatów, może jedynie te o kobiecych rysach twarzy, a i to tylko wtedy, gdy mógł im się przyjrzeć z bliska.

Kiedy przystanął, blaszak również się zatrzymał i udał, że nagle zaczęły go interesować papierowe figurki ptaków wystawione na jednym ze straganów. Czyli jednak ten sam, niech to szlag. Wyglądało na to, że Issa wysłał za Danielem jednego ze swoich metalowych ludzi. Po co? Żeby tylko Pantalekisa śledził, czy także po to, by w razie czego, gdyby śledzonemu zachciało się za bardzo oddalić, sprowadził go do domu?

Tak czy inaczej, na razie nie mógł tego sprawdzić. Opcja dalekich wycieczek odpadała - w miarę sprawnie i szybko Pantalekis mógł się poruszać jedynie po płaskim terenie, a w tym cholernym mieście wszędzie były schody. Dokładnie takie, do jakich teraz dotarł. Zawrócił więc, z niejakim zadowoleniem konstatając, że blaszak cofa się gwałtownie, odszukał na placu pustą ławkę i usiadł.

Nie ulegało wątpliwości, że znalazł się w mocno skomplikowanej sytuacji. Od tygodnia mieszkał w domu Brina Issy, jadł

posiłki z nim oraz jego rodziną i niewątpliwie zawdzięczał mu, że znów może normalnie chodzić. Powinien się odwdziżyć i chętnie by to zrobił, choćby dlatego że nie wierząc w bezinteresowną dobroć, wołał szybko spłacić dług. Tymczasem nie dano mu takiej szansy. Owszem, Niraj - który, diabli wiedzą czemu, przy pierwszym spotkaniu przedstawił się jako Unaj - powiedział, że potrzebne im będzie szczęście Pantalekisa, ale to było wszystko. Gdy Daniel próbował naciskać, Niraj wzruszał ramionami, a Issa uśmiechał się i mówił, żeby Pantalekis czuł się w jego domu jak gość.

Jak gość, dobre sobie, myślał. Oni - przy czym to słowo wyłączało Noorę, która najwyraźniej o niczym nie miała pojęcia - czegoś od niego chcieli. Podstawowe pytania brzmiały więc: czego i czy Pantalekis zdoła im to dać, a jeśli nie, to czy da radę zgrabnie się z tego wszystkiego wywinąć. To ostatnie napawało go największym lękiem, zwłaszcza teraz, gdy zauważył, że Issa wysłał za nim blaszaka.

Kusiła go myśl, żeby uciec - nie w tej chwili, rzecz jasna, lecz za kilka dni, gdy stan jego nogi jeszcze się poprawi. Przy takim tempie zdrowienia za tydzień będzie skakał po schodach jak młody królik. Lecz to oznaczało, że wróciłby do punktu wyjścia. Co prawda zostałaby mu znajomość miejscowego języka, jednak co z tego, skoro znów musiałby się ukrywać. Poza tym nie wytrzymałby długo bez towarzystwa ludzi, a nie mógł mieć pewności, że ewentualni nowi znajomi potraktują go lepiej niż Issa i Niraj.

Nie, zdecydowanie zostanie i przekona się, czego od niego chcą. Potem będzie się zastanawiał, co dalej. Ponadto jego szczęśliwa moneta powiedziała, że powinien iść z Nirajem, a on był skłonny jej zaufać. W końcu wyprowadziła go już z ruin wprost do czystego, porządnego świata.

Odruchowo sięgnął do kieszeni, zamierzając powtórzyć pytanie, lecz zrezygnował. Nie chciał nadużywać tej metody. Za każdym razem, gdy rzucał monetą, miał wrażenie, że Bóg w niebie leniwie otwiera jedno oko, po czym przygląda się Pantalekisiowi. A Daniel nie był człowiekiem, który łatwo znosił Boskie zainteresowanie. Tak naprawdę z trudem znosił

pewność (prawie pewność, pomyślał, bez przesady), że Bóg, czy też cokolwiek, co w tym świecie rolę Boga pełni, w ogóle istnieje.

Nie chciał o tym myśleć. Ostatnio o wielu rzeczach nie chciał myśleć.

Na przykład o tym, co tutaj nazywano Skokami. Daniel zdążył się już przekonać, że jego znajomość miejscowego języka nie jest doskonała. Znaczenie większości słów było jasne i oczywiste, lecz zdarzały się takie, które zamiast czytelnego przekazu niosły ze sobą jedynie mętne skojarzenia, a nawet takie, które były wyłącznie pustymi dźwiękami. Słowo „Skok” należało do drugiej grupy. Gdy Daniel po raz pierwszy je usłyszał, odniósł wrażenie - właśnie wrażenie, nie pewność - że ma to związek z przesunięciem czasowym, z postępem, a także z bólem i przeżeniem. Zapytał więc Issę, a gdy ten wyjaśnił mu ideę Skoków, Pantalekis poczuł się jeszcze bardziej zdezorientowany. To było... zbyt dziwne, zbyt zwariowane jak na jego gust. Prawdę powiedziawszy, w pierwszej chwili gotów był sądzić, że Issa robi z niego idiotę, ale przecież na własne oczy widział odrzucone rzeczywistości. Wtedy zaczął się bać, że któregoś dnia Skok jego także zabierze. Jednak Issa uspokoił Daniela.

- Tym akurat nie musisz się martwić - powiedział. - Gdybyś nie odpowiadał potrzebom Przedksiężycowych, zginąłbyś razem ze swoimi przyjaciółmi tuż po tym, jak wylądowaliście w najniższym z odrzuconych światów. To, że przeżyłeś, a potem udało ci się przeskoczyć wszystkie rzeczywistości aż do naszej, świadczy, że twój zestaw genów jest idealny. Dotrwasz aż do Przebudzenia, nie przejmuj się. - Uśmiechnięty Issa protekcyjnym gestem poklepał Daniela po ramieniu. - Pomyśl, jak bardzo by ci zazdrościli mieszkańcy Lunapolis, gdyby się dowiedzieli, kim jesteś. Dla nich każdy Skok jest testem i nawet jeśli przejdą jeden, to odpaść mogą przy następnym. Ty przetestowany zostałeś tylko raz, w chwili lądowania, i wyszedłeś z tej próby zwycięsko.

Dla nich, nie dla nas. Pantalekis zanotował w pamięci osobliwy dobór słów. Lecz teraz ważniejsze było co innego.



- A skąd miałbym mieć ten niby idealny zestaw genów?

Issa wciąż się uśmiechał, jednak Daniel odniósł wrażenie, że mężczyzna jest teraz ostrożny i jakby... zaniepokojony? Pantalekis odruchowo też zaczął się denerwować. Z dwóch swoich gospodarzy, Issy oraz Niraja, zdecydowanie wolał tego drugiego. Niraj był typem żołnierza, który niewiele myśli, za to dobrze wykonuje rozkazy, i choć w nim też tkwiło coś dziwnego - w tym świecie wszystko i wszyscy chyba byli dziwni - to Daniel rozumiał go o wiele lepiej niż Issę. Pantalekis nie miał bladego pojęcia, do czego ten człowiek dąży.

Brin Issa odpowiedział mu dopiero po chwili:

- Jakie to ma znaczenie? Powiedzmy, że czystym przypadkiem trafiłeś najwyższą wygraną w kosmicznej loterii. - Ostatnie słowo nie oznaczało co prawda loterii, lecz rodzaj popularnej w Lunapolis gry hazardowej, a Daniel nauczył się już odruchowo przekładać w głowie miejscowe pojęcia na te bliższe mu kulturowo. Na tej samej zasadzie upraszczał w myślach miejscowe imiona, a także tłumaczył nazwy własne. I tak, na przykład, „Miasto Księżycowego Światła” stało się w jego prywatnym słowniku „Lunapolis”: krótkie, proste, chwytliwe.

Wyjaśnienie Issy przyjął z irytacją. Było oczywistym unikiem, lecz znał ojca Niraja wystarczająco długo, by wiedzieć, że niczego więcej z niego nie wyciągnie.

Daniel poruszył się na ławce. Mimo ciepłego płaszcza zaczynał marznąć, jednak nie miał jeszcze ochoty wracać do domu. Zatarł ręce i postawił kołnierz, chowając weń brodę. Zerwał się wiatr, od którego zlodowaciały mu koniuszki uszu. Pożałował, że nie ma czapki. Czy w tym świecie w ogóle znano czapki? Chyba nie. Kobiety nosiły tu czasem barwne chusty, lecz mężczyźni chodzili z gołymi głowami.

Pantalekis zagapił się na grupę akrobatów, którzy pośrodku placu utworzyli z własnych ciał wysoką na trzy piętra piramidę, po czym zastygli w bezruchu i trwali tak już od dobrego kwadransa. Tym niepotrzebne były ciepłe ubrania, wystarczyły im obcisłe, kolorowe trykoty. Genetyczna odporność na zimno, jak jakiś czas temu wyjaśnił Pantalekisowi Niraj.

Czemu nie, pomyślał Daniel, czym prędzej odwracając uwagę od niebezpiecznego tematu. Bo kolejną po Skokach kwestią, nad którą wołał się nie zastanawiać, był problem, kim u diabła są mieszkańcy Lunapolis.

Zadał to pytanie Nirajowi, lecz odpowiedź otrzymał bardzo niejasną.

- Lunapolis było zawsze. - Młody mężczyzna wzruszył ramionami, jakby zirytowany, że musi tłumaczyć oczywistość.

- I nic mi nie wiadomo o tym, żebyśmy mieli być potomkami ludzi z Nowych Ziemi, czy jak tam to miejsce się nazywa. Oni czasem lądują w naszym świecie, ale zawsze umierają. Ty jesteś pierwszy, któremu udało się przeżyć.

- Od zawsze, to znaczy od kiedy? - dociekał Pantalekis. - Możesz podać jakąś konkretną liczbę?

Co prawda Niraj nie wyglądał na dobrze wykształconego, ale przecież na Nowych Ziemiach nawet małe dziecko potrafiło podać datę początków ludzkiej cywilizacji.

- Od jakichś trzystu paru Skoków, nie pamiętam dokładnie - powiedział syn Issy.

I na tym dyskusja utknęła, Niraj nie potrafił bowiem przełożyć tej liczby na tutejsze lata. Swoją drogą, później Pantalekis zdołał się dowiedzieć, że czas obiegu planety wokół Słońca w tym świecie wynosił trzysta sześćdziesiąt dwa dni - prawie tyle samo, co w przypadku Starej Ziemi, doba zaś liczyła mniej więcej dwadzieścia trzy ziemskie godziny. Jedno podobieństwo mogłoby być przypadkiem, lecz dwa wyglądały zdecydowanie niepokojąco.

Po rozmowie z Nirajem Daniel znalazł Issę i jemu również zadał pytanie, na kiedy datują się początki Lunapolis oraz czy mieszkańcy miasta nie są aby przypadkiem potomkami emigrantów ze Starej Ziemi. Odpowiedź, choć dłuższą i ubraną w wiele mądrze brzmiących słów, otrzymał dokładnie taką samą.

Pantalekisa dziwił ponadto osobliwy brak zainteresowania Brina Issy, który owszem, słuchał, jak Daniel opowiada o życiu na Nowych Ziemiach, czasem prosił o przybliżenie tej czy innej kwestii, ale wszystko to w tonie miłej pogawędki

przy piwie, jakby rozmawiał ze znajomym mieszkającym w innym mieście, a nie z przybyszem z obcego świata. Nie było w nim żadnej gorączkowej ciekawości, żadnej fascynacji czy zdumienia, nic, czego można by się w takiej sytuacji spodziewać. Pantalekisiowi nie mieściło się to w głowie. Jedyne wyjaśnienie, jakie zdołał znaleźć, to że Issa zwyczajnie jest zbyt zblazowany, by okazywać zainteresowanie. Niraj próbował naśladować obojętność ojca, co różnie mu wychodziło, i tylko milutka, kształtna Noora otwarcie o wszystko wypytywała.

Na wspomnienie córki Issy Daniel wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. Dziewczyna niezupełnie była w jego typie - nad delikatne panienki zazwyczaj przedkładał wysokie, silne i zdecydowane kobiety - jednak lepszy rydz niż nic. Poza tym biorąc pod uwagę, że ledwo orientował się w miejscowej kulturze, nie był wcale pewien, czy rzeczywiście miałyby teraz ochotę sypiać z silną i zdecydowaną kobietą.

Słońce powoli zachodziło, chłód narastał. Piramida z ludzkich ciał zaczęła się rozsypywać: nie chaotycznie, lecz metodycznie; ci, którzy tworzyli czubek, ześlizgiwali się po barkach tworzących zbocza towarzyszy, robili fikołki i podzwaniiali doczepionymi do kostiumów dzwoneczkami, aż wreszcie, rozłożywszy szeroko ręce, z triumfalnym uśmiechem stawali na ziemi. Za nimi szli następni, aż wreszcie cała piramida zmieniła się w rząd ludzi, którzy skłonili się głęboko.

Daniel zaklaskał leniwie i zaraz potem wstrząsnął nim chłód. Pora wracać.

Wówczas zobaczył, jak przez tłum na placu przedziera się Brin Issa. Rozglądał się, najwyraźniej kogoś szukając. Po chwili dostrzegł Pantalekisa i ruszył w jego kierunku.

- Witam. - Issa usiadł na ławce. - Nawiązywałeś nowe znajomości?

Uśmiechał się, ale oczy miał czujne. Daniel znał ten wyraz twarzy.

- A gdyby nawet, to co? - Issa budził w nim niepokój, może nawet lęk, a mimo to Pantalekis nie potrafił się powstrzymać, by nie sprawdzać granic cierpliwości tego człowieka.

- To przypomniałbym ci o naszej umowie. - Oczy starszego mężczyzny przypominały dwa wypolerowane kamyczki w kolorze jasnej zieleni. Już się nie uśmiechał.

- Jak pamiętam, nasza umowa dotyczyła tego, że nie zdradzę nikomu, kim jestem, a nie, że nie będę z nikim rozmawiał.

- Jedno wiąże się z drugim. Gdybyś, powiedzmy, spotkał piękną kobietę i ona zapytałaby, dzieckiem której korporacji jesteś, to co byś odpowiedział?

- Nie mam pojęcia.

- Właśnie, a brak odpowiedzi już byłby podejrzany. Nie martw się, przygotujemy ci odpowiedni życiorys, zdobędziemy też dla ciebie dokumenty, ale na to trzeba czasu. A na razie lepiej, żebyś nie wychodził na dłużej z domu.

- To nie jest mój dom. - Daniel był rozdrażniony. - To, co ja nazywam domem, jest daleko stąd, a wy obiecaliście, że skontaktujecie się w moim imieniu z Nowymi Ziemiemi.

- Kto ci coś takiego powiedział? - Issa wyglądał na zaskoczonego.

- Twój syn.

- W takim razie Niraj jest większym idiotą, niż myślałem. Nikt w Lunapolis nie jest w stanie nawiązać kontaktu z obcymi światami, nie mamy takiej technologii.

Pantalekis poczerwieniał.

- Ty pieprzony draniu...

Issa uniósł ręce w obronnym geście - całkiem przekonującym, gdyby nie to, że jego oczy się śmiały. Pantalekis niczego teraz nie pragnął tak, jak zmasać uśmiech z twarzy tego sukinsyna. Zwyciężył jednak instynkt samozachowawczy. Ludzi pokroju Brina Issy nie było się bezkarnie, więc Daniel zacisnął pięści, aż paznokcie wbiły mu się w skórę, i dławiąc się wściekłością, meł w ustach przekleństwa.

- Spokojnie. - Issa zademonstrował rząd białych zębów, teraz śmiejąc się już całkiem otwarcie. - Wciąż jeszcze masz szansę wrócić do domu. Pomyśl logicznie: dotarliście tu we czwórkę, prawda? Ty, dwoje ludzi, którzy zginęli w najniższej rzeczywistości, oraz jeden, który został na orbicie, tak?

Pantalekis przytaknął odruchowo.

- Tamten człowiek, nie pamiętam jego imienia, prawdopodobnie wrócił do miejsca, które nazywasz Nowymi Ziemiemi. Czy w takim razie moje przypuszczenia będą nazbyt śmiałe, jeśli stwierdzę, że opowie on tam, co się przydarzyło jego towarzyszom, i że już wkrótce w najniższej rzeczywistości wyląduje ekipa twoich rodaków, zafascynowanych fenomenem naszego skromnego świata?

Słowa Issy docierały do Pantalekisa powoli, przedzierając się przez warstwę czerwonych chmur wściekłości, które spowijały jego umysł. Wreszcie Daniel odetchnął. Tak, Issa miał rację.

Wtedy tknęła go inna myśl i spojrzał na rozmówcę spode łba.

- Moment. Mówisz, że to się zdarzało już wcześniej, tak? Przed nami byli inni, którzy lądowali w najniższej rzeczywistości i tam ginęli?

Brin Issa skinął głową.

- Owszem, było parę takich przypadków. No, może nieco więcej niż parę, ale na pewno nie dużo.

- W takim razie dlaczego istnienie waszego świata nie jest znane na Nowych Ziemiach? Bo ja nigdy nie słyszałem o planecie, na której ludzie padają jak muchy, ledwo wylądają. A wiadomość o czymś takim trudno byłoby przegapić... Chyba że... - zapalił się do własnego pomysłu - ... że tamci wcześniejsi to nie byli ludzie z Kerberosa, jasne, że nie, bo niby dlaczego mieliby właśnie stamtąd przylecieć, jest mnóstwo innych możliwości. Na przykład Cierro Alfa albo Initlaka, zwłaszcza Cierryjczycy to urzędasy z gatunku tych, co koordynaty takiego świata wpakowaliby do teczki z napisem „Ścisłe tajne” i pogrzebali pod stosem papierów.

- Ale twoi rodacy by tak nie postąpili, co?

- Pewnie, że nie. Ludzie z Kerberosa zawsze mieli jaja - w głosie Pantalekisa zabrzmiała duma. Instykt ostrzegał co prawda, że w tym, co przed chwilą powiedział, jest trochę myślenia życzeniowego, jednak Daniel postanowił go zignorować. Tak samo jak kwestię ewentualnych późniejszych problemów, z których najważniejszym było jak skontaktować się z ludźmi z pewnością nie tak głupimi, żeby wylądować na powierzchni morderczej planety. Uznał, że nad takimi

kwestiami będzie się zastanawiał potem. Chwilowo wystarczała mu nadzieja na powrót do domu.

Nadzieja to jednak nie pewność, Pantalekis spojrział na Issę chytrze.

- A zakładając, że nikt nie przyleci i zostanę tu do końca życia, na co mogę liczyć?

- Na wszelkie wygody, jakie może ci zapewnić tak bogaty człowiek jak ja - gładko odparł Issa. - Oraz, oczywiście, na gwarancję, że nigdy nie zostaniesz z tyłu.

Daniel wpatrywał się w rozmówcę, szukając oznak kłamstwa, lecz twarz mężczyzny była doskonale niewinna. Może nawet zbyt doskonale, może...

Pantalekis odepchnął od siebie wątpliwości. W razie czego znajdzie na sukinsyna sposób.

- W porządku - mruknął. - Pasuje mi taki układ. Wolałbym tylko, żebyś mi wreszcie powiedział, czego ode mnie chcesz.

- Mówiłem już. Potrzebne nam będzie twoje szczęście.

Daniel po chwili wahania zdecydował się na szczerość.

- Ono jest tutaj mniejsze niż w tych, jak to nazywacie, odrzuconych rzeczywistościach. Tam wystarczyło, żebym pomyślał o jedzeniu, a już ktoś przychodził i wpychał mi je w ręce - tutaj się tak nie dzieje.

- Wiem. - Issa znajomym już, lekko protekcyjnym gestem poklepał Daniela po ramieniu. - Ale na nasze potrzeby twoje tutejsze szczęście powinno w zupełności wystarczyć.

## 20

Noora stała w eleganckich trzewiczkach na wysokim obcasie, balansując niepewnie na najwyższym szczeblu drabiny. Świetliki sunęły w ślad za jej palcem; blask padał na rząd grubszych i cieńszych, ale zawsze jednakowo starych tomów. Dziewczyna, przekrzywiając głowę, z trudem odczytywała częściowo zatarte tytuły.

Mimo że od Skoku upłynął ledwo tydzień, książki w jej pokoju już wydawały się zakurzone, jakby patyna wieku była nieod-

łącznym elementem biblioteki. Noora kichnęła.

- Jest.

Wyszarpnęła książkę z szeregu pozostałych, omal nie tracąc przy tym równowagi. Na szczęście zdążyła drugą, wolną ręką chwycić krawędź półki. Szafka zachybotła się niebezpiecznie, a zdeorientowane świetliki pomknęły w stronę podłogi.

Dziewczyna zakłęła, po czym ruszyła w dół, ostrożnie wymacując stopami szczebel po szczeblu. Gdy zeskoczyła z ostatniego, wdepnęła wprost w kałużę drgającego blasku. Spojrzała na nią z dezaprobatą. Odkąd Kaira zniknęła...

(Nie zniknęła, umarła, dlaczego tak bardzo boisz się to przyznać?).

... świetliki w jej pokojach zaczęły dziczeć.

Noora położyła książkę na toaletce, gestem przywołała lampki - na szczęście posłuchały - i przejrzała się w lustrze. Poprawiła kilka niesfornych kosmyków, wygładziła wystającą spod płaszcza spódnice, po czym posłała własnemu odbiciu pełen zadowolenia uśmiech. Nie szła co prawda na spotkanie z mężczyzną, lecz z kobietą, ale któż jak nie kobieta, choćby i bardzo młoda, potrafi naprawdę docenić piękno przedstawicielki swej płci?

Porwała książkę i stukając obcasami, wymknęła się z pokoi Kairy. Korytarze i schody były puste, dopiero na parterze, tuż przy drzwiach wyjściowych, natknęła się na Brina Isse, Niraja oraz Ankisa. Pan domu właśnie odbierał od gościa płaszcz i przekazywał go mechanicznemu służce. Niraj, uderzając czubkami butów o ścianę, strzępywał z nich świeży, puszysty śnieg; białe płatki topniały na włosach całej trójki.

Niech to Skok pochłonie.

Było za późno, by się cofnąć, bo tamci już ją zauważyli. Zresztą przecież nie robiła niczego złego, prawda?

Prawda, lecz dlaczego, gdy Issa na nią skinął, zabrakło jej tchu i podeszła na nogach miękkich jak z waty?

- Aleś ty elegancka, siostrzyczko. - Niraj wyszczerzył zęby. Brakowało mu subtelności ojca, więc bez trudu zorientowała się, że to ironia, a nie prawdziwy komplement.

- To z pewnością dlatego, że wybiera się na spotkanie z kimś,

kto potrafi docenić modną fryzurę i drogie ciuszki. - Zdumiewająca domyślność Issy jak zawsze sprawiła, że serce Noory na moment stanęło. Do licha, powinna się już przyzwyczaić, a poza tym przecież naprawdę nie robiła niczego złego, nie była Kairą i wolno jej było widywać się z przyjaciółmi.

- Bliżej, dziewczyno.

Gdy Issa ujął ją pod brodę i przesunął palcem po policzku, poczuła znajomą mieszankę lęku i miłości. Tkwiące tuż pod skórą wspomnienie piekącego bólu poruszyło się leniwie, jak przez sen.

- Ojczy...

- Dokąd się wybierasz?

- Do Ellony, poznałyśmy się w noc Skoku, to miła dziewczyna i bardzo samotna, nie ma żadnych przyjaciół, więc obiecałam, że czasem wpadnę i dotrzymam jej towarzystwa... - Umilkła, skulona pod spojrzeniem ojca, teraz już całkowicie pewna, że strasznie się myliła, że nie wolno jej było tego robić. - Powinnam zapytać cię o zgodę, prawda? - Entuzjazmem próbowała zmyć winę. - Przepraszam, następnym razem zapytam, nie przyszło mi to do głowy, bo nigdy wcześniej... Gniewasz się na mnie? Ukarzesz mnie?

Wspomnienie bólu zbudziło się i zaczęło krążyć w żyłach, rozprawiając po całym ciele pulsujące ciepło. Issa przesunął palec z policzka dziewczyny na usta, powoli obrysowując ich kontur.

- Już dobrze, nie masz się czego bać. Po prostu zastanawiam się, czy mała, głupiutka Ellona jest dla ciebie odpowiednim towarzystwem. Z drugiej strony - oczy mężczyzny błysnęły zimno, górna warga uniosła się na ułamek sekundy, odsłaniając zęby - ty też nie grzeszysz zbytnim rozumem, więc cóż za różnica. Co to za książka?

- *Opowieści z Czasów Odległych*, Kaira bardzo ją lubiła... Ja nie przepadam za czytaniem, ale Ellona tak, a ponieważ przeczytała już wszystko, co ma w domu, więc obiecałam, że przyniosę jej coś nowego. Mogę, prawda? Kaira na pewno nie miała by nic przeciwko.

- Na pewno nie. - Issa roześmiał się niespodziewanie. -



Ankis, jak sądzisz, czyż to nie zakrawa na szczególną ironię losu?

- Nie nazwałbym tak tego. - Ankis odezwał się po raz pierwszy. Jak na niego był niezwykle poważny.

- No już, zmykaj. - Issa delikatnie popchnął dziewczynę w stronę drzwi.

## 21

- A jak byś to nazwał? - zapytał Issa, gdy kwadrans później on i Ankis siedzieli w najmniejszym z salonów: zimowym lub błękitnym, jak go czasem nazywano ze względu na kolor ściennych obić.

Mężczyźni rozgrzewali się gorącym winem, a Ankis dodatkowo zdjął buty i przysunął stopy do piecyka w kształcie kociego łba. Poruszał zaczerwienionymi od żaru palcami, wzdychając przy tym z rozkoszy.

- Użyłbym słowa „niebezpieczne” - odparł, po czym schylił się, by pomasować stopy uwolnione z grubych skarpet, w rezultacie czego westchnienia zmieniły się w pojękiwania. - Czyś... ty... na głowę upadł... Issa? Najpierw pozwoliłeś, żeby Noora dowiedziała się, kim jest Daniel Pantalekis - w jego ustach zabrzmiało to jak „Danjil Pantekli” - a teraz jeszcze nie masz nic przeciwko temu, żeby widywała się z Elloną? Przecież to proszenie się o nieszczęście.

- Jak, twoim zdaniem, miałem uchronić ją przed odkryciem prawdy o Pantalekisie, skoro już zdecydowałem się wziąć tego człowieka pod swój dach? Poza tym widzisz, ja znam swoje dziecko. Noora, biedactwo, jest mi oddana, ale lubi od czasu do czasu poczuć się buntowniczką, tak tylko trochę, żebym zwrócił na nią uwagę i ukarał. Gdybym coś ukrywał, kusiłoby ją pewnie, żeby się tego dowiedzieć i potem rozgadać, a tak będzie trzymać buzię na kłódkę.

- A Ellona?

- To samo. Skoro Noora chce się z nią spotykać, wolę, żeby robiła to jawnie niż w sekrecie.

Ankis przechylił się i zacisnął palce na przegubie dłoni Issy.

- Jesteś pewien, że nie pozwalasz jej na to, żeby, jak by to powiedzieć, podnieść sobie poprzeczkę? Żeby gra była ciekawsza, żebyś musiał się bardziej starać i żeby zwycięstwo tym samym było słodsze? Issa, na kości Przedksiężycowych w Studni, nie chcę ci prawić morałów, bo mnie też daleko do doskonałości, ale jeśli tak, to wiesz przecież, że ryzykujesz przyszłością nas wszystkich.

- Wiem.

- Chciałeś zaryzykować z Danielem, bo uznałeś, że facet ma tak fenomenalne szczęście, że bardziej przyda się żywy niż martwy, w porządku. Ale Noora i Ellona razem? Co jeśli Noora domyśli się, kim to dziecko jest?

Issa delikatnym, lecz stanowczym gestem odsunął dłoń Ankisa.

- Pomyśl: nawet jeśli, to jakie jest zagrożenie, że przekaże tę wiedzę akurat komuś, kto będzie umiał wyciągnąć właściwe wnioski?

- Niewielkie - przyznał Ankis. - Niemniej istnieje.

Issa wzruszył ramionami.

- Noora zawsze ze wszystkimi wątpliwościami przychodziła do mnie. Teraz w razie czego też to zrobi.

- Obyś miał rację. - Ankis wyszczerzył zęby. - Pamiętaj tylko, co miłość do córki zrobiła z Maroutim.

Issa pamiętał, rzecz jasna. Marouti popełnił fatalny błąd, który mógł zrujnować wszystkie ich plany, i w rezultacie omal nie stracił Ellony. Gdy głosowali, czy odebrać mu córkę i oddać ją na wychowanie komuś bardziej odpowiedzialnemu, jednym tylko głosem przeważyło zdanie, że nie należy tego robić, gdyż dziewczynka jest do ojca bardzo przywiązana. Niemniej Marouti popadł w niełaskę, poczucie winy miał wypisane na twarzy, a podczas spotkań prawie się nie odzywał. Jakżeby Issa miał o tym zapomnieć? Uważał, że to nie miało z nim nic wspólnego.

- Ja nie kocham żadnego z moich dzieci - powiedział. - Ja ich nawet nie lubię. W zupełności wystarcza mi wiedza, czego się po nich spodziewać.

- W porządku, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. - Ankis uniósł dłonie na znak zgody. Zbyt leniwy, by wyszukiwać mniej oczywiste argumenty, zazwyczaj jako pierwszy wycofywał się z dyskusji.

Issa mógłby mu powiedzieć, że niepotrzebnie się martwi. Zapowiedział już Nirajowi i Noorze, że każdego wieczoru zostaną sprawdzeni przez sprowadzonego do domu telepatę. W ten sposób zyskał pewność, że żadne z nich nie odważy się pisać słowa na temat pochodzenia Pantalekisa, a ponadto w przypadku Noory mógł także kontrolować jej podejrzenia dotyczące Ellony. Niebezpieczeństwo zostało więc jeśli nie zlikwidowane, to przynajmniej znacznie zmniejszone.

Mógłby o tym powiedzieć, ale nie powiedział. Dawniej siedziałby cicho z przekory, a także po to, by Ankis nie śmiał zwątpić we władzę Issy nad córką i synem. Teraz milczał z czystego lenistwa.

## 22

Wściekłość na ojca Niraj wyładowywał na czterorękim automacie, z którym ćwiczył walkę *darakką*. Mająca przewagę dwóch ramion i działająca na najwyższych obrotach maszyna bez trudu odpierała pełne furii ataki. Już kilka razy czubek jej noża minął zaporę tarczy deflekcyjnej i trafił w lekki pancierz, lecz mężczyzna nie zamierzał się poddawać. Czuł, jak pod pancierzem rozlewają się świeże sińce, uszy wypełniał mu trzask wyładowań elektrycznych i odgłos zderzającej się ze stalą stali.

Krok do przodu, krok w bok, obcasy uderzały o płyty posadzki, na której drgają plamy słonecznego światła, dźwięki odbijają się od wysokiego sklepienia, po czym spływają w dół, głuche i puste. Niraj prawą dłonią trzymał *darakkę*, palcami lewej zaś wciskał guziki, które przesuwały aktywny obszar tarczy. Chciało mu się pić, próbował przełknąć ślinę, lecz jego krtań zwierzała się tylko w bolesnym, suchym skurczu. Gdy ostrze uderzało w zaporę, tarcza na moment rozbłyskiwała

błękitnym światłem, a powietrze wypełniał zapach ozonu, jak po burzy. Niraj nie czuł w nim świeżości. Bolały go mięśnie, wydechane powietrze zdawało się mieć temperaturę pustynnego żaru, pot zalewał oczy. Mimo to zacisnął zęby i walczył dalej, choć głos rozsądku podpowiadał, że jest u kresu wytrzymałości. Przegapił kolejny wredny cios, gdy automat, przrzuciwszy *darakkę* do lewej dolnej dłoni, dźgnął go w biodro na granicy zasięgu pancerza, Niraj jednak natarł ponownie, z wściekłością i rozpaczą, też stosując nieczyste zagrywki, bo to nie było miejsce ani czas na honorowe zachowanie.

Niestety, wszystkie sprytne, szermiercze sztuczki zdawały się na nic - przekłeta maszyna walczyła tak, jakby znała jego myśli i potrafiła z góry przewidzieć każdy ruch. Każda kontra trafiała na natychmiastową rekонтę, każdy cios na blokadę. Automat chwilami zachowywał się zupełnie jak człowiek - pozwalał Nirajowi myśleć, że zdobywa przewagę, wycofywał się, a potem podstępnie atakował. W żelaznym torsie nie było ludzkiej osobowości - nie w takim sensie, jak w przypadku mechanicznych służących - lecz znajdowała się tam pamięć kilkunastu mistrzów szermierki i to z ich wiedzą oraz talentem walczył teraz Niraj.

Walczył i przegrywał, czując narastającą frustrację.

Nawet to, że nigdy żaden dwuręki szermierz nie pokonał czteroręki, ustawionej na najwyższe obroty maszyny, nie miało znaczenia. Niraj był najlepszy, powinno więc udać mu się to, co nie udało się innym. Miał niejasne przeczucie, że to mogłoby wszystko naprawić. Był prostym człowiekiem, dla którego życie stanowiło pole nieustannej walki - wygrywasz albo przegrywasz, jesteś na górze albo na dole. A zwycięzcy słusznie gardzą tymi, którzy ponieśli porażkę.

Dlaczego ojciec mi nie ufa?, po raz kolejny zapytał w myślach i niemal w tej samej chwili wyczuł na balkonie dla widzów obecność. Brin Issa, co mu się czasem zdarzało, przyszedł popatrzeć na ćwiczenia syna.

Niraj, na wpół ślepy, z mięśniami omdlewającymi ze zmęczenia, zaatakował jeszcze raz, wkładając w ostatnich

kilka ruchów resztkę siły, jaka mu pozostała. I wtedy stał się cud - ostrze jego *darakki* prześliznęło się tuż obok aktywnego obszaru tarczy i z metalicznym odgłosem dotknęło klocowatego torsu.

Maszyna zastygła w bezruchu, a Niraj, zataczając się jak pijany, odszedł na bok. Krew dudniła mu w uszach, zmęczenie zmieniło mięśnie w galaretę, z największym trudem trzymał się na nogach. Bardziej dzięki szczęściu niż czemukolwiek innemu znalazł ławkę i na nią opadł. Oddychał ciężko, łapiąc powietrze otwartymi ustami.

Dlaczego nie czuł radości?

Niedaleko rozległy się leniwe brawa. Niraj uniósł głowę, ocierając przy okazji pot z czoła, i zobaczył ojca. Na twarzy Issy malował się podziw niepozabawiony pewnej dozy pobłażliwości, jaką zazwyczaj rezerwuje się dla popisów uzdolnionych dzieci. Na ten widok Niraj poczuł, jak do gardła podchodzi mu gorycz. Issa sam przecież walczył, powinien więc docenić dobrego szermierza, powinien...

Przed wszystkim ojciec powinien był mu zaufać. Po co straszyl telepatą? Czyż Niraj nie był dobrym synem, czy nie robił wszystkiego, o co ojciec go prosił?

Pochylił się, przyciskając dłonie do skroni. Za każdym razem, gdy zaczynał myśleć o swoich synowskich zasługach, czuł ucisk w głowie, który - jeśli nie porzucał tematu - wkrótce przeradzał się w paskudny ból.

- Jestem pod wrażeniem - odezwał się Issa i podszedł bliżej.

- Naprawdę? - mruknął Niraj. Z każdym kolejnym głębokim wdechem pozbywał się zmęczenia. Teraz na jego miejsce powinna napłynąć euforia, niezależnie od tego, co o walce myślał jego ojciec. Do licha, przecież wygrał starcie, choć miał na to niemal zerowe szanse.

Czekał na uderzenie radości, która wypełni go od stóp do głów, zamiast niej jednak czuł mulistą niepewność i zagubienie. Miał wrażenie, że zapomniał o czymś ważnym, że powinien być teraz zupełnie gdzie indziej i robić coś innego... A może automat wcale nie działał na najwyższych obrotach i Niraj był głupcem, spodziewając się podziwu za walkę, którą wygrałby z

łatwością początkujący szermierz. Issa o tym wiedział i dlatego miał taki wyraz twarzy...

Dość. Przestań.

Spróbował przypomnieć sobie chwilę, gdy włączył urządzenie. Czy naprawdę przesunął gałkę do maksimum? Jaką liczbę pokazywał wskaźnik?

Nie pamiętał.

Ojciec wciąż patrzył na niego ciemnymi oczyma.

- Naprawdę - powiedział. - Zapłaciłem za twój szermierczy talent, więc dlaczego nie miałbym go podziwiać? Szkoda, że nie wydajesz się przesadnie szczęśliwy.

- Jestem zmęczony - wykręcił się Niraj.

Nie potrafił jasno myśleć. Marzył tylko o tym, by podbiec do automatycznego szermierza i sprawdzić, w jakiej pozycji znajduje się ten przekłety wskaźnik. Powstrzymywała go jedynie obawa, że nie zdołałby wytłumaczyć ojcu swego zachowania.

- Tak, zauważyłem, że ostatnio bywasz zmęczony - mruknął Issa. Serce Niraja zwolniło rytm. „Ostrożnie!”, ostrzegał wewnętrzny głos, a jednak młody mężczyzna nie potrafił przestać myśleć o wskaźniku.

W jakiej pozycji się znajdował? Błagam, niech Przedsięwzięcowi dozwolą, żeby pokazywał maksimum mocy. Wtedy wszystko będzie w porządku.

- Dobrze się czujesz? - Oczy Brina Issy patrzyły badawczo.

Niraj wyprostował się i spróbował się uśmiechnąć. W ustach czuł metaliczny posmak, jakby ktoś położył mu na języku monetę. Strach - coś, czego doświadczał tak rzadko, że rozpoznał go dopiero po chwili. Myśl, że się boi, przeraziła go jeszcze bardziej. Błędne koło. Potrzebował odpowiedzi. Dobrej odpowiedzi, i to jak najszybciej, bo Issa przewiercał go spojrzeniem.

- Chyba zbyt dużo ćwiczę. - Tego wykrętu Niraj, zdaje się, też już kiedyś użył. Spocił się, ale zaczął oddychać z większą łatwością, gdy napięcie na twarzy Issy zelżało. Mimo to mężczyzna wzrok wciąż miał czujny i Niraj wiedział, że niebezpieczeństwo nie minęło.

- Niedobrze jest się za bardzo forsować. Wypocznij sobie

przez kilka dni.

- Nie chcę stracić formy.

- Nie stracisz. Możesz na przykład poćwiczyć z Danielem. Dla ciebie to będą prawie wakacje, a on nauczy się kilku podstawowych pchnięć i uników. Mogą mu się później przydać.

- Z Danielem? Tym... obcym? Szczęściarzem? - Niraj przypomniał sobie, jak bardzo liczył na walkę, w której po jednej stronie stanęłyby jego umiejętności, a po drugiej szczęście nieznanego. I jak bardzo był rozczarowany tym, jak łatwo poddał się przybysz z innego świata.

- Owszem. Masz coś przeciwko?

- On jest słaby - w głosie Niraja zabrzmiała pogarda. Potrząsnął głową. - Żaden z niego przeciwnik.

Issa uśmiechnął się, a wyraz czujności wreszcie zniknął z jego oczu. Niraj odetchnął. Widać powiedział dokładnie to, czego się po nim spodziewano, i tym samym przekonał ojca, że wszystko jest w porządku.

- Tym bardziej przyda mu się trochę ćwiczeń. - Zdawkowym, pozbawionym czułości gestem Issa poklepał syna po plecach. - Poza tym mam dla was obu zadanie, więc już teraz możecie zacząć się przyzwyczajać do swojego towarzystwa.

Zadanie? Nim Niraj zdążył zapytać, ojciec już wyszedł.

Chłopak skoczył w stronę znieruchomiałego na środku sali automatu i pochylił się nad tarczą.

Wskaźnik pokazywał maksimum mocy.

## 23

Finnen stłumił jęk i zsunął się po łagodnie spadzistym dachu. Szlag, omal nie zaklął na głos. Zatrzymał się pół metra niżej, przebijając palcami warstwę delikatnego puchu i desperacko wbijając paznokcie w twarde, zimny lód. Niech to Skok. Z wrażenia zrobiło mu się gorąco. Poruszył się ostrożnie, wciskając obcas butów głębiej w zmarzlinę. Kto by pomyślał, że będzie tu tak ślisko? W świetle trzech księżyców śnieg mienił się niemal wszystkimi kolorami tęczy - od srebra, poprzez odcienie

błękitu i różu, aż po głęboki fiolet - wyglądając przy tym zwo-  
dniczo niewinnie, jakby zapraszał, by po nim pospacerować.

Finnen czekał, aż uspokoi mu się oddech, a serce przestanie  
łomotać o żebra. W czarnym stroju na tle śniegu rzucał się w  
oczy jak płat sadzy na kremowym ciastku. Czy powinien się  
ubrać na biało? Bez sensu, wtedy w ciemności, kiedy wreszcie  
zejdzie z tego przekłętego dachu, każdy by go zauważył. Czy  
art-złodzieje mieli jakiś sposób na rozstrzygnięcie tego dylema-  
tu? Czy w ogóle istniało coś w rodzaju art-przestępczej mody,  
praktycznej i zarazem eleganckiej? I czemu, u licha, w Wieży  
nikt go o takich problemach nie poinformował?

W dole, na tarasie, usłyszał kroki strażnika. Szedł sztywno,  
jego buty uderzały w płyty z metalicznym pogłosem i nie  
słysząc było oddechu ani innych, charakterystycznych dla ludzi  
dźwięków: zacierania rąk, poklepywania się po ramionach czy  
pogwizdywania dla dodania sobie animuszu. Bez wątpienia  
mechaniczny. Finnen patrzył w rozpościerające się nad nim  
nocne zimowe niebo, na trzy różnobarwne księżycy, których  
wspólny blask sprawiał, że było jasno prawie jak w dzień, i w  
duchu błagał, żeby strażnik nie spojrział w górę.

Błagał bezosobowe siły rządzące kosmosem, ale nie  
Przedksiężycowych. Ich nie zamierzał o nic prosić.

Strażnik przeszedł, a Finnen odczekał jeszcze chwilę, po czym  
w obłoku białego puchu zsunął się z dachu na taras. Wylądował  
miętko, nie narobiwszy więcej hałasu niż siadający na poręczy  
mechaniczny ptak, co napełniło go odrobiną dumy. Opadły  
śnieg zgarnął rękawem poza krawędź tarasu. Ze śladami, jakie  
zostawił na dachu, nic nie mógł zrobić, miał jednak nadzieję, że  
strażnik, gdy będzie wracał, także nie zada sobie trudu, by  
spojrzeć w górę.

Przeszedł na koniec tarasu, wspiął się na poręcz, a potem -  
ostrożnie i powoli - wyciągnął rękę i chwycił się faliście  
wygiętej rury. Gdy za dnia obserwował przez lornetkę budynek,  
odległość nie wydawała się zbyt duża, jednak teraz ledwo  
starczyło mu długości ramienia, musiał wychylić się  
niebezpiecznie i omal nie stracił równowagi. Kolejny dowód na  
to, że jego nowym talentom daleko było do ideału.



Inna rzecz, że pełznąć po rurze w dół, mógł się cieszyć siłą i sprawnością, o jakich do niedawna tylko marzył. I to sprawiało mu przyjemność, podobnie jak umiejętność poruszania się lekko jak cień (rzecz jasna pod warunkiem, że pod śniegiem nie było zdradliwego lodu), a gdy przychodziło do otwierania skomplikowanych zamków, jego ucho wychwytywało najcichsze dźwięki w głębi mechanizmu. Jednak wciąż czuł się dziwnie nie na miejscu, nie jak prawdziwy art-złodziej, lecz jak ktoś, kto dla kaprysu tylko się w art-złodzieja bawi. Zastanawiał się, czy wszyscy po genozmianie tak mają? A jeśli tak, to kiedy mu to przejdzie?

Być może, odpowiadał sobie w myślach, wcale nie chciał, żeby mu przeszło. Malował teraz obrazy niewiele lepsze od dziecięcych bohomazów, lecz wciąż uważał się za artystę.

- Bo bycie artystą - wymruczał buntowniczo na wysokości trzynastu pięter, gdy lodowaty wiatr wiał mu w plecy, a palce drętwiały pod cienkim materiałem rękawiczek - to stan ducha, a nie tylko talent.

Spróbował przypomnieć sobie, w jaki dokładnie kształt układały się rury na fasadzie budynku. Stado - pięć? nie, sześć sztuk - pędzących czworonogich zwierząt, prawdopodobnie koni, choć równie dobrze mogły to być gazy czy inne kopytne. Finnen pełził w tej chwili wzdłuż grzbietu przewodnika stada i jeśli wszystko pójdzie dobrze, dotrze w ten sposób do okna, o które mu chodziło. Będą tam kraty, lecz wierzył, że potrafi sobie z nimi poradzić.

Palce drętwiały mu coraz bardziej, a ziemia była tak daleko, że z tej wysokości światła gazowych latarni wyglądały jak płomyki świec. W sercu Finnena narastała słodka groza upadku - świst wiatru w uszach, ciało odbija się od metalowych zwierzęcych grzbietów, po czym w fontannie krwi, tkanek oraz kości rozpryskuje na bruku. Lecz nie to wyobrażenie było najgorsze.

I nie myśl, że może zostać aresztowany, a potem umieszczony w mechanicznym śludze. Najgorsza - bo najbliższa spełnienia - była świadomość, że gdy go przyłapią, wyjdzie na niezdarne głuca.

Kogoś, kto nie jest art-złodziejem, tylko w art-złodzieja się

bawi, i w dodatku robi to nieudolnie.

Po raz kolejny zadał sobie pytanie, po co właściwie się naraża. Potrafił przecież obejść się bez jedzenia w restauracjach i kupowania dzieł sztuki, tak że pieniądze wcale nie były mu potrzebne. Mógłby żyć tak, jak żyła spora część mieszkańców Lunapolis - biorąc jedzenie z Hal i samemu gotując, a nowe ubrania znajdowałby w mieszkaniach opuszczonych podczas Skoku. Wyglądałby co prawda jak biedak, ale kogo by to obeszło?

Teraz, gdy coraz bardziej zziębnięty pełził wzdłuż rury, ta perspektywa wydawała mu się pociągająca, wiedział jednak, że kiedy tylko wróci do ciepłego mieszkania, znów zacznie tęsknić za niebezpieczeństwem. Nie wytrzyma zamknięty w ośmiu ścianach swojej pracowni, gdzie wciąż jeszcze, mimo wietrzenia, unosił się zapach terpentyny, a posadzka była zachlapana farbami. Myślałby o obrazach, które miał w głowie, a których nie potrafił przelać na płótno, o Dime i przede wszystkim o Kairze. Bez ustanku walczyłby ich ostatnią rozmowę, zastanawiając się, gdzie popełnił błąd, czy gdyby użył innych słów, gdyby był miłszy i bardziej współczujący, Kaira by została?

Złodziejskie wyprawy odciągały go od wspomnień, a poza tym Finnen był innym człowiekiem nie tylko pod względem nowych umiejętności. Potrzebował teraz większych dawek adrenaliny i ta zmiana czasem budziła w nim niepokój.

Dotarł do zakratowanego okna i przykucnął. Zginał i rozprostowywał palce zgrabiałe w cienkich rękawiczkach. Zastanawiał się wcześniej, czy nie wziąć grubszych, ale wtedy prawdopodobnie miałyby kłopot z chwytaniem drobnych elementów konstrukcji. I spodnie też były do kitu: przetarły się na kolanach, a zdarta skóra piekła nieznośnie, przywołując wspomnienia z dzieciństwa, gdy Finnen przewracał się, a brat zaraz podbiegał, zaniepokojony.

Zdjął rękawiczki, wsunął dłoń między kraty i od wewnątrz namacał zamek spinający oba skrzydła. Powinien sobie z nim poradzić. Sięgnął pod kurtkę po doczepiony do pasa przyborek, w którym trzymał komplet wytrychów. Na ślepo namacał

najcieńszy.

Po chwili rozległo się ciche kliknięcie i Finnen rozsunął kraty. Szyba zajęła mu nieco więcej czasu - musiał wyciąć kawałek i odłożyć go ostrożnie na bok, tak by się nie rozbił i nie narobił hałasu. Przez wycięty otwór chłopak wsunął się do środka...

... i spadł z wysokości kilku metrów. Lewa kostka zapłonęła bólem, a Finnen omal nie wrzasnął. Dusząc w sobie wszystkie znane przekleństwa, schylił się i rozmasował staw. Na szczęście noga nie sprawiała wrażenia skrzywionej, ale z pewnością była mocno nadwerżona. Jeśli go zauważą, nici z szybkiej ucieczki.

Trudno, skoro dotarł tak daleko, nie zamierzał się teraz wycofywać. Zanotował jedynie w myślach, by na przyszłość sprawdzić nie tylko rozkład pomieszczeń, lecz także wysokość, na jakiej znajdują się okna.

Przyświecając sobie wyjętym z kieszeni świetlikowym szkłem, wolno ruszył korytarzem. Po obu stronach miał teraz nisze - niektóre były puste, w innych znajdowały się złote i gliniane posągi. W półmroku ich kształty sprawiały wrażenie nie do końca ludzkich, wydawały się zdeformowane, jakby przedstawiały dziwolągi, lecz Finnen nie przystanął, żeby to sprawdzić.

Od czasu do czasu mijał też - i przy okazji liczył - drzwi, nad którymi płonęły świetlikowe pochodnie. Wówczas, nie zważając na ból w kostce, przyspieszał kroku, by jak najszybciej znaleźć się poza strefą czerwonopomarańczowego światła.

Był w połowie korytarza, gdy usłyszał zbliżające się kroki mechanicznego strażnika. Nie wpadł w panikę - miał później pamiętać, że nie wpadł w panikę, choć jeszcze przed kilkoma tygodniami zapewne to właśnie by się stało - tylko wsunął się do jednej z pustych nisz i zastygł w bezruchu jak posąg. Strażnik minął go. Nie zauważył, że przybyła jedna rzeźba, ani tym bardziej że ta dodatkowa, w przeciwieństwie do pozostałych, wygląda całkiem normalnie.

Finnenowi chciało się śmiać.

Tym że strażnik, mijając okno z wyciętym kawałkiem szyby, zwróci uwagę na przeciąg, chłopak się nie martwił. Mechaniczni mieli sporo zalet, ale na pewno nie należała do

nich wrażliwość na chłód.

Siódme z kolei drzwi po prawej otworzył wytrychem i wślizgnął się do sześciokątnej komnaty oświetlonej łagodnym blaskiem świetlików, które wirowały pod sufitem. Pośrodku stało łoże tak wielkie, że zmieściłaby się na nim cała sypialnia Finnena, na nim zaś - na plecach, z rozrzuconymi rękami - leżała kobieta. Zwinięty w kłębek na jej piersi kot nawet nie otworzył oczu. Oddychał równomiernie, od czasu do czasu strzygąc we śnie uszami. Kontrast stalowoniebieskiego zwierzęcego futerka i białego ciała dziewczyny zachwycił Finnena. Przez chwilę chłopak zastanawiał się, czy scena ta nie wyglądałaby lepiej, gdyby dodać do niej czerwień krwi, doszedł jednak do wniosku, że to zepsułoby kompozycję. Uśmiechnął się przy tym z nikłą satysfakcją - wciąż postrzegał świat jak malarz, nie jak art-zabójca.

Z przybornika wyjął strzykawkę ze środkiem usypiającym i zbliżył się, by wbić igłę w kark zwierzęcia. Ostrożnie, bardzo ostrożnie. Kot wydawał się niesamowicie miękki, delikatny, a zarazem pełen wewnętrznej siły i gracji nawet we śnie. Finnen nigdy wcześniej nie widział tak doskonałej istoty. Ręce same mu się wyciągały, by go pogłaskać. Nie wbić igłę, po prostu pogłaskać. Wiedział jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Przytomnego, wyrrywającego się zwierzęcia nigdy w życiu nie zdołałby wynieść z komnaty.

Gdy palce Finnena musnęły aksamitną sierść, kot otworzył ślepią. Zielone, czujne i zarazem pełne niechęci. Rozwarł pysk, ukazując igielki zębów, zasyczał i czmychnął w kąt sypialni. W tym momencie przebudziła się kobieta, a Finnen w ostatniej chwili zasłonił jej usta dłonią.

- Cicho - szepnął nerwowo. Co, u licha, miał teraz zrobić? Uśpić ją środkiem przygotowanym dla kota? Mało prawdopodobne, by starczyło go dla istoty dziesięć razy cięższej.

Kobieta zamrugała. Interpretując to jako próbę porozumienia, chłopak szepnął:

- Będziesz cicho?

Skinęła głową, więc po chwili wahania cofnął dłoń. Kobieta uśmiechnęła się i dopiero teraz, gdy w kącikach jej oczu zaryso-

wały się zmarszczki, Finnen pojął, że wcale nie była młoda.

- Przyszedłeś ukraść mojego kota?

- Tak.

- A nie byłbyś może zainteresowany mną? - Kuszącym ruchem rozsunęła poły lekkiej koszulki.

Nie była młoda, ale dość ładna. W każdym razie miała ładne ciało: wciąż jędrne, bez najmniejszej skazy, gładkie i zarazem chłodne jak zamrożone mleko sojowe. Finnen położył palce u nasady jej szyi. Wyczuwał teraz powolne, miarowe tętno. Nie była wystraszona ani - co spodobało mu się znacznie mniej - podniecona. Patrzyła na nocnego gościa wyzywająco, kąciki jej ust unosił lekki, ironiczny uśmiech.

Jakby na coś czekała?

Finnen zorientowałby się wcześniej, gdyby nie zasunął drzwi wiodących na korytarz. To był błąd, bo żelazna płyta przepuszczała tylko najgłośniejsze dźwięki. Dlatego usłyszał kroki dopiero wtedy, gdy mężczyźni byli już blisko, tuż za drzwiami.

Kobieta otworzyła usta i wrzasnęła, a dwaj strażnicy wpadli do jej sypialni. Żywi, nie mechaniczni, skąd tu tacy? - przemknęło mu przez myśl. Schylił się odruchowo po tkwiące w cholewkach butów noże i prostując się, dostrzegł, że może ich zabić. Precyzja przewidywanego ruchu uderzyła w niego, tak że na ułamek sekundy zastygł, porażony pięknem. Potem nie marnował więcej czasu. Gdy podeszli, chcąc osaczyć go z obu stron, wyprostował się gwałtownie i wbił im noże w gardła, nim zdążyli użyć swoich ostrzy.

Gdyby miał choć chwilę, by móc się spokojnie zastanowić, z pewnością by tego nie zrobił. Uznałby, że nie będzie dość szybki. A jednak dał radę i poczuł euforię.

Potem dwa ciała upadły, brocząc krwią z otwartych tętnic, a kobieta na łóżku zaczęła szlochać. Nie zabił jej, choć powi nien. Nie mógł jednak, nie teraz, gdy znikło straszliwe piękno tego czynu. Potraktował kobietę przeznaczonym dla kota środkiem. Starczyło go, by ją oszołomić - szlochała przynajmniej ciszej - ale nie pozbawić przytomności. Wiedział, że stan ten nie potrwa długo. Pięć, góra dziesięć minut.

Tyle miał czasu, by wydostać się na zewnątrz.

## **Interludium Irmí Rejko**

Irmí Rejko śni o lataniu. Co noc unosi się na prądach powietrznych, czując na twarzy podmuchy wiatru, co dzień rysuje na kartkach papieru mięśnie ptasich skrzydeł, które kopiuje ze starych książek. Czasem ostrym kuchennym nożem kroi przywożone Kolejką gołębie. Zawsze doznaje rozczarowania, bo zamrożone ptaki nigdy nie były zdolne do normalnego życia, a więc także do lotu. Nie mają właściwych mięśni, to grudy klonowanego mięsa, którym nadaje się formę gołębia jedynie z powodu tradycji.

Irmí Rejko bardzo chciałby pokroić prawdziwego ptaka, sprawdzić, dzięki czemu lata, a później skonstruować Skrzydła. Prawdziwe Skrzydła, takie, jakie są w Archiwum, a jakich Rejko nigdy nie będzie miał, miasto podzielone jest bowiem między biednych i bogatych. Bogaci mają wszystko, a biedni tylko sny.

Czasem Rejko wychodzi na podniebny trakt, staje na poręczy i rozłożywszy ramiona, smakuje powietrze.

Wie, że nie urodził się - jak inni ludzie - do pełzania po ziemi.

Wie, że kiedyś będzie latał.

Lecz ponieważ wie także, że ten dzień jeszcze nie nadszedł, zawsze schodzi z traktu i wraca do domu, by śnić swoje sny.

## CZEŚĆ III

### MIASTO PODZIELONE

#### Finnen

*Wydostałem się z tamtego domu, przepelniony zarówno grozą, jak i wspomnieniem piękna. Chciałem, żeby piękno wróciło i zmyło grozę. Chciałem znów widzieć świat tak, jak widzą go art-zabójcy, jak płótno, na którym bez poczucia winy maluje się śmierć. Przelotnie doznane uczucie pozostawiło mi w ustach słodki smak, za którym, wiedziałem to, będę tęsknił do końca moich dni. Jednocześnie samo wspomnienie tego uczucia sprawiło, że było mi niedobrze.*

*Dłonie miałem pokryte lepką, szybko zasychającą warstwą krwi. Szedłem, usiłując wytrzeć ją o poly płaszcza. Plakałem. Był wczesny świt, słoneczne światło ledwo zaczęło się przedzierać przez warstwę szarych chmur i latarnie wzdłuż schodów wciąż się paliły. Nieliczni przechodnie patrzyli na mnie z niepokojem i omijali w bezpiecznej odległości.*

*Winny, winny, winny - słowo to, powtarzane raz po raz, najpierw było ostre jak nóż, ale potem stępiało i zmieniło się w pustą dźwięk. Jednak wstręt w żołądku pozostał. Zatrzymałem się przy murze, pochylilem i spróbowałem się go pozbyć. Wstrętu, grozy, wspomnienia piękna, wszystkiego. Gdy skończyłem wymiotować, nie czułem się lepiej. Gorzej też nie.*

*Czułem się jak nie-ja.*

*Nie-ja otarłem usta i nie-ja spróbowałem wytrzeć krew resztką śniegu, którą znalazłem w załomie muru. Nie dało się, zbyt była zaschnięta. Nie-ja wróciłem do domu i nie-ja*

*zobaczyłem Kairę czekającą na nie- -mnie przed drzwiami nie-mojego mieszkania. Nie-ja zdecydowałem, że lepiej, aby nie wiedziała, jak bardzo nie-mnie jej brakowało.*

*- Wiedziałem, że się stęsknisz i wrócisz - powiedział ten, który nie-był mną.*

*- Nieprawda, nie wiedziałeś - odparła, na co nie-ja nie znalazłem odpowiedzi, bo oczywiście miała rację.*

## 1

- Widziałam cię, jak się kręciłeś koło domu mojego ojca - oznajmiła Kaira. - Stałeś na schodach i patrzyłeś w okna. Na swój sposób sprawiło mi to przyjemność. Żaden mężczyzna nigdy wcześniej nie patrzył w moje okna.

- Może powinnaś zadać sobie pytanie dlaczego - mruknął Finnen, szukając w kieszeni klucza. - Wróciłaś do ojca?

- Nie. Przez chwilę chciałam wrócić, owszem, poszłam nawet pod dom i wtedy cię zobaczyłam. Ale się rozmyśliłam.

Odwrócił się, żeby nie dostrzegła wyrazu ulgi na jego twarzy. Poszedł do łazienki, a dziewczyna podążyła za nim.

- Masz krew na rękach.

- A ty masz dziś dzień dostrzegania oczywistości. - Odkręcił kran i zanurzył dłonie w strudze gorącej wody. - Może spróbuj z czymś bardziej skomplikowanym?

- Cieszysz się, że tu jestem. - Uśmiechnęła się przelotnym, szybkim i nieśmiałym uśmiechem kogoś, kto wie, że zaraz będzie musiał spoważnieć. - Muszę ci coś powiedzieć. Dime nie żyje, to raz. Poza tym to on nas zdradził, teraz możemy być już pewni. Od początku tak sądziłam, bo przecież nie zrobił tego Gurleen, a wszyscy inni zginęli. Sam wiesz. A skoro Dime nas wystawił, to nie został aresztowany, straż miejska nie aresztowałaby swojego własnego informatora, prawda?

- Chyba nie.

- Zaczęłam więc o niego pytać, trochę tutaj, w górnej rzeczywistości, a trochę na dole, na wszelki wypadek, gdyby został z tyłu podczas Skoku. I wczoraj... - zająknęła się - ...



wczoraj, kiedy zesłam w przeszłość, spotkałam tam pewnego człowieka, który powiedział, że wie, iż wypytuję o rudego chłopaka, i że on go widział. Dime został z tyłu i próbował dostać się do Archiwum, chyba po to, żeby zdobyć któryś z wynalazków, i został zabity przez ludzi, którzy wpadli na ten sam pomysł.

- Gdzie jest ciało?

Patrzyła na niego i zrozumiał, że nie chce usłyszeć odpowiedzi.

- Tamci mieli na sobie zwierzkosształtne zbroje i rozszarpali go na strzępy. Przykro mi.

Biedny, głupi Dime, pomyślał Finnen. Wziął pieniądze, by przejść genozmianę i mieć większe szanse podczas Skoku, wszyscy właśnie dlatego pozwalali się kupować. A tymczasem Skok go zabrał.

Ciekawe, czy poszedł do Archiwum, żeby zdobyć Skrzydła?

- Jesteś pewna, że to był on?

- Tak. Poprosiłam tamtego człowieka, żeby go opisał jak najdokładniej, i tak zrobił. Wszystko się zgadzało. Przykro mi. Wiem, że Dime był twoim przyjacielem.

- Był zdrajcą.

- To też.

Finnen zakręcił wodę i posmarował wyszorowane, piekące dłonie grubą warstwą kremu.

Kaira nadal gapiała się na niego, jakby spodziewała się, że chłopak zaraz się załamie, zacznie płakać, a może nawet zemdleje.

- Ja Dime nie obwiniam - powiedziała po chwili, gdy nie nastąpiło nic takiego. - Nie sędzę, żeby zrobił to z własnej woli. Musieli mu grozić, szantażować... Dime był dobrym człowiekiem, wiem o tym.

- I jego śmierć nie pójdzie na marne? - Zastanawiał się, czy Kaira zauważy ironię.

Nie zauważyła.

- Jego śmierć nie pójdzie na marne - potwierdziła z uroczystą powagą. - Właśnie dlatego przyszłam. Musisz mi pomóc, Finnen.

Chłopak wybuchnął śmiechem. Po prostu nie potrafił się

powstrzymać. Śmiał się i śmiał, czując, jak z każdą kolejną salwą historycznego chichotu opada z niego napięcie.

Kaira wyglądała na zdezorientowaną i lekko urażoną.

- Przepraszam - wykrztusił, przeczesując palcami włosy. Krem zostawił na nich tłusty ślad. - Przepraszam.

- Czy to znaczy, że mi nie pomożesz? Myślałam...

- Myślałaś, że masz mnie w garści, co? Że możesz odejść, kiedy chcesz, nie mówiąc ani słowa, a potem tak po prostu wrócić i powiedzieć, że znowu mnie potrzebujesz? A ja zrobię, co każesz? - Szła za nim do kuchni, niemal deptając mu po piętach.

- Mam wiele różnych wad, Kairo, ale nie sądziłem, że można mnie podejrzewać o przesadną uległość.

- Powiedziałeś...

- Wiem, co powiedziałem. Ale, jak mówiłem, mam całe mnóstwo wad.

Rozpalił w piecu i powiesił nad ogniem czajnik. Przygryzając nerwowo dolną wargę, Kaira śledziła każdy jego ruch oczyma, w których było nieme pytanie.

- Nie miej takiej miny - mruknął z irytacją, gdy cisza zaczęła się przedłużać. - Oczywiście, że ci pomogę. Nigdy w życiu bym sobie nie darował, gdybym przegapił zakończenie tej historii. Nie mam wyjścia, prawda? Wolałbym tylko, żebyś nie była tak cholernie pewna, że jestem na każde twoje zawołanie.

- Przepraszam. Nie o to chodziło... Przepraszam. - Sprawiała wrażenie szczerze zawstydzonej, ale Finnen wiedział, że to nie potrwa długo.

Wyjął z szafki dwa kubki i puszkę z herbatą.

- W czym? - zapytał, zalewając liście.

- Co?

- Nie powiedziałaś, w czym mam ci pomóc.

- W wykonaniu planu Gurleena, oczywiście.

- Jak mogłem na to nie wpaść - wymamrotał.

- To da się zrobić, naprawdę. Nie będzie łatwo, ale da się zrobić - mówiła szybko, jakby się bała, że Finnen w międzyczasie zmieni zdanie. - Gurleen twierdzi, że damy sobie...

- Twierdzi? Widziałaś się z nim?

- Poniekąd. Jego osobowość została przeniesiona do mechanicznego mózgu, który jest teraz w Muzeum Sztuki Użytkowej. Rozmawiałam z nim kilka razy.

- Moment. - Potarł czoło. To wszystko zaczynało się robić coraz bardziej skomplikowane. - Dlaczego do mózgu, a nie do mechanicznego ciała?

- Nie wiem. Może dlatego, że osobowość Gurleena w ciele mogłaby zdominować inne podosobowości i się zbuntować? A mechaniczny mózg i tak nie jest w stanie nic zrobić.

- Czemu w takim razie nie skazano go na śmierć, skoro jest taki niebezpieczny?

- Bo ma wiedzę, która może okazać się potrzebna? - Kaira zaczynała się irytować. - Co za różnica?

- Dla mnie wielka. Przyszło ci do głowy, że to może być zastawiona na ciebie pułapka?

Milczenie. Nie, nie przyszło.

- Skąd się w ogóle o Gurleenie dowiedziałas? O niego też rozpytywałaś?

Potrząsnęła głową. Białe włosy z czerwonymi pasemkami opadły miękko na twarz.

- Poznałam kilkoro dzieciaków z dzielnicy sierot, a one mają swoje sposoby.

Finnen wsypał do obu kubków cukier i jeden z nich podał Kairze.

- W porządku, potem się nad wszystkim zastanowimy. - Nie miał dziś sił na roztrząsanie kwestii Gurleena i jego planu, zwłaszcza że i tak pewnie nie doszliby do żadnych sensownych wniosków. - Na razie muszę ostrzec, że jestem kiepskim złodziejem. Dzisiaj niemal wpadłem przy próbie kradzieży. Kobieta musiała mieć przy łóżku alarm wzywający straż, a ja nawet nie zauważyłem, kiedy go wcisnęła. Nie wiem, czy na coś ci się przydam.

- Jak uciekłeś?

- Zabiłem ich - przyznał z niechęcią.

- Strażników? Więcej niż jednego?

- Dwóch.

- W takim razie na pewno się przydasz. - Patrzyła na niego z szacunkiem, może nawet z odrobiną fascynacji. Przez chwilę sądził, że zapyta, jakie to uczucie.

- Nie jestem pewien, czy mi się to podoba - powiedział, choć nie zapytała.

- Oczywiście, że ci się nie podoba - przytaknęła gorliwie.

- Komu mogłoby się podobać? Ale trzeba przyjąć, że czasem będziemy musieli to zrobić. To straszne, wiem, ale myślę, że nie możemy pozwalać sobie na litość. Nasz cel wymaga...

- Daruj sobie.

Kaira postawiła na stole pusty kubek.

- Pójdę już - oznajmiła. - I przepraszam, jeśli przeze mnie czujesz się teraz winny. Naprawdę mi przykro.

Owszem, Finnen czuł się winny, ale nie tak bardzo, jak powinien. Wtedy, w tamtej chwili, to nie był on. Nie on dostrzegł, że może zabić strażników (a także jak bardzo ów czyn będzie piękny), i nie on, prostując się, wbił im ostrza w gardła. Został wyrwany z ciała, zastąpiony kimś innym. W linii jego życia znalazła się przerwa, którą badał ostrożnie i z ciekawością.

Czy chciał, żeby to się powtórzyło? Tak, chyba tak, zwłaszcza gdyby znów znalazł się w sytuacji, która wymagałaby natychmiastowej reakcji. Czy się bał? To też, bo zdawał sobie sprawę, że w ten sposób ostatecznie może stracić samego siebie - takim, jakim był.

Odprowadził Kairę do drzwi. Już na schodach dziewczyna zatrzymała się i odwróciła.

- Tak z ciekawości, co chciałeś dziś ukraść?

- Kota. - Finnen z irytacją poczuł, że się rumieni. Zamierzał zamordować to cudowne zwierzę, a potem sprzedać futro, pazury oraz mięso i sama myśl o tym wywoływała w nim wstyd większy niż wspomnienie zabitych strażników.

- Żywego kota?

- Aha. Lepiej już idź. - Miał sporo spraw, które powinien przemyśleć w samotności.

Najważniejsza z nich była kwestia wina Dime.

Kaira powiedziała, że zdradził, bo grożono mu albo go szantażowano, i musiała to być prawda, lecz Dime wybrano nie

dlatego, że wiedział więcej niż inni, lecz dlatego że był bierny. Finnen znał go długo i wiedział, że działanie nigdy nie było mocną stroną rudzielca. Dime miał naturę marzyciela, mógł wyobrazić sobie, że wyda Gurleena, ale nie posunąłby się dalej. Nie poszedłby z informacją o grupie buntowników na posterunek straży, więc straż musiała przyjść do niego.

To z kolei rodziło pytanie, jakim cudem się o nim dowiedzieli.

## 2

Czekała na niego na szczycie schodów wyłożonych dywanem w kolorze fuksji, pod płonącym ślepiem inoszyby. Zimny, księżycowy blask kontrastował z ciepłem jej uśmiechu.

- Ibris Marely?

- Tak. Rajsja Namida?

Przytaknęła.

- Miło mi poznać. Proszę za mną, zaprowadzę pana w nieco przytulniejsze miejsce.

Miała wprawę w ocenianiu ludzi, więc wystarczył jej rzut oka na idącego obok mężczyznę. Był ubrany elegancko - w czerń, biel i czerwień, które ostatnio znów stały się modne - lecz nosił ów strój jak ktoś, kto do elegancji jeszcze nie zdążył przywyknąć. Jasne włosy opadały, falując po obu stronach ładnej, młodzieńczej twarzy. Wyprostowany sprawiał wrażenie wyższego, niż był w rzeczywistości. Wydawał się onieśmielony, a mimo to wyczuwało się w nim niewątpliwą charyzmę.

By dodać mu odwagi, posłała w jego stronę kolejny krzepiący uśmiech.

- To pana pierwszy wywiad?

- Tak. To widać, prawda?

- Trochę - zachichotała. - Ale proszę się nie martwić, jestem pewna, że świetnie pan sobie poradzi. W razie czego zawsze możemy powtórzyć nagranie.

Zaprowadziła go do okrągłego pokoju. Inoszyba w suficie była zasłonięta, a na rzeźbionym nefrytowym stoliku, takiejż szafce i na zgrabnym damskim biureczku płonęło kilka świec różnej

wysokości. Rajsa uznała, że ich blask stworzy przytulniejszą atmosferę niż świetliki czy księżycowe światło. Obok stolika przyjemnym ciepłem promieniował piecyk w kształcie pękatej sowy.

Gdy gestem wskazała gościowi głęboki fotel, za oknem zaczął padać śnieg.

- Na pewno pan zmarzł. Podać panu coś ciepłego do picia? Kawę, herbatę, gorącą czekoladę z rumem?

- Nie... a może tak. Dziękuję. Czekolada będzie w sam raz.

- To pomoże panu się odprężyć - zachęciła, zauważając przy okazji, że Marely ma piękne dłonie: białe, wąskie, z motywem pnączy powojnika wytatuowanym na każdym z palców. Spodobała jej się ta ozdoba.

Pochylając się nad piecykiem, Rajsa zadbała, by kształtna łydka wyłoniła się spod czerwono-czarnej sukni, a gdy podawała gościowi kubek z czekoladą, zrobiła to tak, by poczuł zapach jej perfum i by kuszący rowek między piersiami znalazł się niebezpiecznie blisko jego twarzy. Na nic więcej sobie nie pozwoliła, domyślała się bowiem, że Ibris Marely gardzi kobietami, które odsłaniają zbyt wiele ciała. Pewnie zresztą miał słuszność, tajemnica była znacznie bardziej pociągająca.

- Możemy już zacząć?

- Nie widzę urządzenia nagrywającego. - Marely rozejrzał się, skonsternowany.

Zachichotała. Urządzenie ukryte było pod nefrytowym stolikiem, to jeden z jej najlepszych sekretów.

- Proszę się tym nie przejmować.

- Nie jestem pewien, czy powinienem udzielać tego wywiadu. Zrobiłem tylko to, co każdy człowiek na moim miejscu powinien zrobić.

- Ale czego inni ludzie jakoś nie robią, prawda? Jest pan niezwykłym człowiekiem. Niezwykłym i zarazem skromnym. Myślę, że czytelnicy chętnie zapoznają się z pana historią. A więc

- udając, że mości się na fotelu, kolanem trąciła przycisk nagrywania - proszę zacząć od początku...

### 3

Teremus Nekke podniósł porzuconą na jednym z biurków gazetę, otworzył na trzeciej stronie i zaczął czytać:

„Co pan zrobił tuż po narodzinach?”

Najpierw udałem się na posterunek, żeby przyznać się do tego, co zrobiła moja poprzednia osobowość. Niestety, nie zostałem tam dobrze przyjęty (śmiech). Nie mam o to pretensji, rozumiem, że sytuacja musiała być niezwykle trudna dla kolegów dawnego Ibrisa Marely'ego.

Dla pana zapewne też nie było to łatwe?

Nie było, ale czułem się zdecydowanie lepiej, gdy się przyznałem.

Po co więc napisał pan sam na siebie donos?

Wizyta na posterunku była tylko pierwszym krokiem. Chciałem jeszcze zostać oczyszczony z zarzutów oficjalnie, przez sędziego. Bez tego nie zaznałbym pełnego spokoju.

Jak potraktowano pana w sądzie?

Prawdę powiedziawszy, urzędnicy uznali mnie za wariata i śmiali się ze mnie (śmiech).

Czuł się pan upokorzony?

To bolało, owszem, ale czy człowiek inteligentny, o jasnych zasadach moralnych, może doznać upokorzenia ze strony ludzi, którzy takich zasad nie mają? Nie sędzę. Było mi ich żal i cóż, można powiedzieć, że poczułem się bardzo samotny, co zdecydowanie nie poprawiło mi humoru (śmiech).

Jaki wyrok zapadł w pana sprawie?

Oficjalnie uznano, że ja oraz moja poprzednia osobowość to dwa różne podmioty prawne, nie jestem więc odpowiedzialny za jej czyny.

Spódziewał się pan takiej decyzji?

Tak.

Wciąż jest pan strażnikiem miejskim?

Nie, wysłałem już swoją rezygnację. Nie sędzę, żebym dobrze się czuł, pracując w tym samym miejscu i na tym samym stanowisku, co moja dawna osobowość. Jej koledzy też z pewnością

mieliby trudność z zaakceptowaniem nowej sytuacji.

Co więc będzie pan teraz robił?

Tuz po zakończeniu sprawy w sądzie otrzymałem bardzo ciekawą propozycję. Okazało się, że moje postępowanie, dla wielu zabawne, zwróciło jednak na mnie uwagę pewnych wysoko postawionych osób, które cenią sobie tak niemodne dziś cechy jak uczciwość.

Zdradzi nam pan, jaka to propozycja?

Myślę, że mogę to zrobić (śmiech). Od początku przyszłego tygodnia obejmuję stanowisko inspektora do spraw wewnętrznych straży miejskiej.

Więc będzie się pan spotykał z dawnymi kolegami na nieco innym gruncie?

O tak (śmiech), na to wygląda. I myślę, że niektórzy z nich nie będą zadowoleni.

Będzie pan badał nieprawidłowości w funkcjonowaniu straży miejskiej?

Tak, na tym polega moje zadanie.

Czuje się pan właściwym człowiekiem na właściwym miejscu?

Być może zabrzmi to nieskromnie, ale tak właśnie się czuję. Pracowałem w straży przez dłuższy czas i śmiało mogę powiedzieć, że znam to środowisko na wylot. I nie mam o nim najlepszego zdania. Strażnicy są skorumpowani, leniwi, pozbawieni morale.

Czy nie wynika to przypadkiem z sytuacji, że żyjemy u kresu czasu?

Owszem, żyjemy u kresu czasu, ale co z tego? Rozumiem, że jednostki słabe mogą czuć się tym sfrustrowane i dlatego szukają ucieczki w łatwych przyjemnościach, ale przecież strażnicy tym bardziej powinni dawać dobry przykład. To na ich barkach spoczywa dbanie o bezpieczeństwo nas wszystkich, to oni w oczach przeciętnego człowieka reprezentują prawo. Jeśli zawiodą - a zawodzą każdego dnia - jak możemy się spodziewać, że zwykli ludzie będą postępować uczciwie i z godnością?

Jeśli znajdzie pan strażnika, który zawiodł, zamierza pan okazać litość?



Litość to bardzo piękne uczucie, uważam jednak, że czasem dla dobra ogółu nie można sobie na nie pozwolić.

Nie ma pan zbyt dobrego zdania o ludziach?

Nie (śmiech), przyznaję, że nie mam. Pewnie dlatego niektórzy za mną nie przepadają, jednak jakoś to znoszę (śmiech). Muszę przyznać, że przeraża mnie świat wokół. Czy może pani uwierzyć, że jeszcze w czasach naszych dziadków czy babć rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej? Nie było tej desperackiej pogoni za przyjemnością, za nowym, silniej działającym rodzajem narkotyków, za zabawą, miłostką, erotyczną przygodą. Mężczyźni znali jeszcze wówczas takie pojęcia jak honor, a kobiety ubierały się skromnie i starannie wybierały partnerów. Nie na kilka dni i nie tylko dla rozkoszy, ale po to, żeby wspierać się nawzajem w doskonaleniu.

Dziś również mamy zasady...

Tak, ale jakie one są? Że dziewczynie nie wypada przyjść samej na plac Wodny w noc Skoku, choć oczywiście wypada jej chodzić bez towarzystwa do kawiarni i tam polować na mężczyzn? Że nie powinna przyjmować papierowych figurek myszołowa, zanim nie dostanie co najmniej kilkunastu pokrzewek i sójek? To są karykatury dawnych społecznych reguł, okaleczone, żalosne szczątki czegoś, co dawniej miało głęboki sens. Niegdyś zasady coś znaczyły, podczas gdy te dzisiejsze nie znaczą nic, młodzież przestrzega ich, bo jest to dla niej element pewnej gry, zabawy. Tak jak podczas partii kart akceptuje się odruchowo, że kolor czerwony jest silniejszy od czarnego, choć nikt tego nie rozumie i na dobrą sprawę mogłoby być odwrotnie. Co gorsza, istnieją ludzie, dla których najlepszą zabawą jest łamanie owych reguł. Przy tym niektórzy robią to w ukryciu, jak sprytni karciani oszuści, a jeszcze inni zupełnie jawnie, nawet nie starając się udawać, że jakiegokolwiek reguły mają dla nich znaczenie.

Ci ludzie mają szansę podczas Skoku?

O tym, kto zostanie z tyłu, a kto przetrwa, decydują wyłącznie Przedksięźcowi.

Oczywiście, byłam tylko ciekawa pana opinii.

Jeśli chodzi o moją opinię, to powiem tyle, że zdziwiłoby

mnie, gdyby Przedksiężycowi podczas Skoku patrzyli wyłącznie na cechy fizyczne, zdolności czy intelekt. Dlaczego wszyscy tak ślepo zakładają, że liczy się wygląd i takie czy inne talenty, i a moralność nie ma żadnego znaczenia?

Uważa pan, że Przedksiężycowi wybierają ludzi uczciwych, honorowych, przestrzegających prawa?

Cóż, z całą pewnością nie wyłącznie takich, bo mielibyśmy zupełnie inne społeczeństwo (śmiech). Jak wiadomo, Przedksiężycowi są dość kapryśni w swoich decyzjach. Myślę : jednak, że może to być jedno z ważniejszych kryteriów wyboru, a że ludzi prawych ogólnie jest mało, więc nikt jak dotąd tego nie zauważył. Analitycy skokowi skupiają się na wynikach poszczególnych korporacji, a nie przychodzi im do głowy, żeby sprawdzić, ilu lotrów zostaje w przeszłości.

Zakładając, że ma pan rację, co by to znaczyło?

Przede wszystkim byłaby to ogromna szansa dla wszystkich tych, których rodzice mieli za mało pieniędzy, żeby zapłacić za wybitne talenty czy oszałamiającą urodę. Nie jesteś piękny, mądry ani uzdolniony w żadnym kierunku? Spróbuj przynajmniej być skromnym, przyzwoitym człowiekiem. To zwiększy twoje szanse. Głęboko w to wierzę.

Teraz mówi pan jak żywa reklama korporacji.

Tak, chyba tak (śmiech). Jednak to, o czym mówię, nie wymaga żadnych nakładów finansowych, okaleczenia ani nawet cierpienia podczas genozmiany. Wystarczy się postarać. To cała tajemnica. Skoro zdradził nam pan już swój sekret, może zdradzi pan jeszcze plany na przyszłość? Coś oprócz pracy na stanowisku inspektora?

Moją prywatną ambicją jest dotarcie do sedna sprawy, z którą zetknąłem się w noc Skoku tuż po moich narodzinach. To intrygująca zagadka, a poza tym mam do niej najwyraźniej sentyment (śmiech). Nie chce pan zdradzić nic więcej?

Nie, jeszcze na to nie pora. Mogę poza tym powiedzieć tylko tyle, że nie zamierzam się oszczędzać i będę pracował za trzech. Mam w końcu bardzo mało czasu. Tylko do następnego Skoku, kiedy zostanę zastąpiony przez inną osobowość.

Czuje się pan pokrzywdzony?

W żadnym razie. Cieszę się, że Przedksiężycowi dali mi szansę na zaistnienie, choćby tak krótkie. I mam nadzieję, że w czasie, jaki mi pozostał, zrobię jak najwięcej dobrego".

Nekke odłożył gazetę, mrużąc pod nosem. Pieprzony sukiny-syn. Pieprzony, szkodliwy sukiny-syn. Co on chce osiągnąć? Odebrać ciężko pracującym ludziom tę odrobinę spokoju, jaka im jeszcze została? Ludziom, którzy przy każdym Skoku mogli zostać z tyłu, którzy potracili w ten sposób ukochane osoby? Owszem, strażnicy często działali na granicy prawa, czasem nawet ją przekraczali, ale do licha, co dzień narażali życie i nie zasługiwali na to, żeby wtrącał się w ich postępowanie jakiś zadzierający nosa idiota, wygłaszający zza biurka swoje mądrości.

Porucznik pożałował, że przy ostatnim spotkaniu był dla faceta tak łagodny. Przydałoby się, żeby ktoś powiedział draniowi parę dosadnych słów prawdy. Albo porządnie przyłożył mu w zęby. Może wtedy odczepiłby się od ludzi, którzy chcieli jedynie w spokoju wykonywać swoją pracę.

I co to za „intrygująca zagadka", z którą Marely zetknął się tuż po narodzinach? Chodziło o tajemnicze zebranie w Szklanych Piaskach, wtedy, w noc Skoku? Jeśli tak, to akurat w tej kwestii Nekke gotów był dawnego sierżanta poprzeć - sam chętnie dowiedziałby się, kim byli ci ludzie, co robili w dzielnicy sierot i kto pragnął ich śmierci.

Jednak sprawa nie należała już do jego jurysdykcji. Porucznik miał teraz inne zadania, a i tak zmarnował na czytaniu część poranka. Odnalazł więc w panującym na biurku bałaganie raporty i wciąż nie mogąc pozbyć się uczucia goryczy, wrócił do swojej niedocenianej pracy.

#### 4

- Czytasz to? - Noora wskazała numer „Księżycowego Kuriera", który leżał na łóżku obok kolan Ellony.

- Tylko przeglądałam zdjęcia. Nie przepadam za gazetami, wolę książki. - Dziewczyna przyciskała do wątlej, zakutej w

żelazo piersi swój skarb: gruby tom w skórzanej, wyświechtanej oprawie, z tytułem wypisanym złotymi literami. - Jest bardzo piękna, dziękuję, że mi ją dałaś.

- Należała do mojej siostry. Kaira chciałaby, żebyś ją miała.

Wcale nie była tego pewna, ale Ellona patrzyła z taką wdzięcznością, że Noora nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć czegoś miłego.

- I cieszę się, że wolisz książki. Są znacznie bardziej interesujące.

Nigdy żadnej nie przeczytała, ale to też brzmiało dobrze.

Noora usiadła obok Ellony, odsuwając gazetę na bok. Przy okazji jej wzrok padł na czarno-białe, ziarniste i niezbyt wyraźne zdjęcie. Widziała je już wcześniej, gdy przy śniadaniu czytała zamieszczony w tym właśnie numerze wywiad.

Ibris Marely. Intrygował ją ten człowiek. Ciekawe, jak naprawdę wygląda, bo patrząc na fotografię, trudno było zgadnąć. Niewątpliwie miał ciekawe poglądy.

- Uczeszę cię, a ty w tym czasie możesz sobie poczytać, co ty na to?

- W porządku. - Ellona rozłożyła książkę na kolanach. - Tylko nie szarp, proszę.

- Nie będę.

Ellona miała piękne włosy: czarne i gęste, a jednocześnie delikatne jak jedwab. Noora lubiła je czesać, a potem wplatać w nie kwiaty. Lubiała też malować Ellonę i dobierać jej stroje. Mała była cudowna z tą swoją uległością. Słodka laleczka, która tak bardzo chciała się podobać. Choć z drugiej strony wcale nie aż tak dziecinna, jak mogłoby się wydawać. Noora wciąż nie mogła się zdecydować, czy myśleć o Ellonie jako o dziewczynce, czy dziewczynie.

- Śniło ci się coś ostatnio? - zapytała ostrożnie.

- Coś złego?

- Tak ogólnie - wymijająco odparła Noora.

- Wciąż mam ten sam sen. O dziewczynkach utopionych w przeszłości w wielkim, zakurzonej akwariu z zieloną wodą. Mają martwe, białe oczy i dłonie, które wyglądają jak szare liście. I z twarzy są podobne do mnie, wiesz? Mówiłam ci?

- Tak. - Noorze ścisnęło się gardło. Co to znaczyło? - Może powinnaś o tym komuś powiedzieć? Wiesz, komuś, kto mógłby pomóc.

- Rozmawiałam z tatą i on uważa, że to przez ból. Jak dorosnę i nie będę potrzebowała tego - wskazała widoczny pod lekką, nocną koszulką żelazny gorset - sny miną.

- Dlaczego ojciec zdecydował się sztucznie przyspieszyć twój rozwój? - Noora już od jakiegoś czasu chciała o to zapytać. To było dość niezwykle: Skoki zabierały niemal wyłącznie dorosłych, więc ludzie byli raczej skłonni opóźniać rozwój swoich dzieci, a nie go przyspieszać.

- Bo kiedy dorosnę, zostanę kimś niezwykłym. - Ellona wyprostowała się z dumą. Gdy się poruszyła, spinka - jedwabny motyl na kwiecie maku - spadła na łóżko. Noora podniosła ją i wpięła z powrotem w czarne włosy.

- Więc teraz nie masz żadnych talentów? - Ostrożnym, lęklwym spojrzeniem obrzuciła widoczne pod pancerzem sino-czerwone bruzdy. Przypominały jej o bliznach, które sama nosiła na plecach. Ale ona została słusznie ukarana przez ojca, a w imię czego męczyło się to dziecko?

- Nie mam.

Zupełnie jak Kaira, pomyślała Noora, czując pulsujący pod skórą niepokój. Ellona była zaskakująco podobna do jej siostry pod względem wyglądu, co - zwłaszcza w kontekście opowieści o utopionych dziewczynkach - wydawało się cholernie dziwne, a teraz jeszcze okazywało się, że dziewczynka także nie miała żadnych talentów. I jeszcze książka - Noora wysunęła się zza pleców towarzyszki, po czym rzuciła okiem na jej twarz. Tak jak sądziła, Ellona ulubioną książkę Kairy czytała z wyraźnym zainteresowaniem. Kolejna niepokojąca zbieżność.

- Nie przeszkadza ci to?

Ellonę wciągnęły *Opowieści z Czasów Odległych*, a Noorze sprawiało to zarówno przyjemność, jak też trochę zirykowało. Mała powinna z nią rozmawiać, rozproszyć ten nieznośny, pulsujący pod skórą niepokój, a nie czytać.

- Ze nie mam teraz żadnych talentów? Nie, czemu miałyby

mi przeszkadzać? Będę miała, jak dorosnę. O tym też czasem śnię, wiesz.

- Nie bardzo rozumiem.

- No - Ellona zmarszczyła brwi. Jako grzeczna dziewczynka odłożyła w końcu książkę, ale jej wzrok podejrzanie często uciekał w stronę zapisanych stron. Noora zaczynała żałować, że przyniosła *Opowieści*. - Śnię, że jestem kimś niezwykłym, ale nie wiem kim. Czasem te sny są przyjemne, jakbym... nie wiem, jakby wszyscy mnie podziwiali, a czasem nie, bo mam uczucie, że muszę zaraz zrobić coś strasznie ważnego i że może mi się nie udać albo zabraknie czasu, albo coś. Nie pamiętam treści, tylko uczucia. To nie ma znaczenia. Tak mówi mój ojciec. Że mam się tym nie przejmować, bo on starannie dobrał moje geny i wszystkiego się dowiem, jak przyjdzie czas. A ja mu wierzę, więc się nie przejmuję.

Lekko wyzywający ton, jakim zostało wypowiedziane ostatnie zdanie, świadczył, że dziewczynki nie należy dalej wypytywać. W porządku, Noora uznała, że znajdzie inny sposób na zaspokojenie ciekawości. Może wystarczy porozmawiać z Brinem Issą, który znał ojca Ellony od dawna, a ich córki były zaskakująco podobne, powinien więc coś wiedzieć.

- To dobrze, że się tym nie przejmujesz. - Noora wstała z łóżka, myśląc jednocześnie, że ona na miejscu dziewczynki przejmowałaby się jak jasna cholera. - A skoro o twoim ojcu mowa, to może poprosimy go, żeby pozwolił ci iść ze mną na tańce?

Buzia Ellony rozpromieniła się, ale radość zaraz zgasła.

- On się nigdy nie zgodzi...

- Owszem, myślę, że się zgodzi, jeśli będziesz pod moją opieką. Mam zapytać?

- Tak, proszę, tak! To byłoby cudowne!

Noora uśmiechnęła się pod nosem z satysfakcją. Cóż, najwyraźniej istniały przyjemności, które przebijały nawet czytanie *Opowieści*.

- W porządku, w takim razie ja pójde zapytać, a ty wybierz suknię.

- Ty wybierz! Ja nie wiem, jaka najbardziej mi pasuje.

- Dobrze. - Noora rozsunęła drzwi prowadzące do garderoby.  
- Zobaczmy, co tu masz...

Ellona miała całe mnóstwo sukni, od dziewczęcych aż po kreacje stosowne raczej dla dojrzałych kobiet. Noora rozsunęła je, po czym zrobiła to, co zawsze, gdy znalazła się w pobliżu dużego lustra.

Przejrzała się w nim.

Nosiła dziś pozbawioną kuszących rozcięć spódnicę i bluzkę z najpłytszym dekoltem, jaki zdołała znaleźć. Kolory jej stroju były stonowane (szarość oraz przydymiony róż), całości zaś dopełniały trzy dzieła sztuki: skórzane rękawiczki, skórzany pasek oraz skórzany rzemyk, na którym wisiała srebrna lęzka będąca w rzeczywistości - widać to było, jeśli ktoś się dobrze przyjrzał - małą figurką dziecka zwinętego w pozycji płodowej. Tak skromny ubiór nie był przypadkiem. Dziś rano, czytając wywiad z Ibrisem Marelym, Noora przypomniała sobie ów moment, gdy w noc Skoku obudziła się naga pośród nagich ciał, jak bardzo czuła się wtedy winna, zbrukana, upokorzona na swoje własne życzenie.

„Nie jesteś piękny, mądry ani uzdolniony w żadnym kierunku? Spróbuj przynajmniej być skromnym, przyzwoitym człowiekiem. To zwiększy twoje szanse. Głęboko w to wierzę”.

Słowa Marely'ego trafiły Noorze do przekonania, więcej nawet - były jak olśnienie. Bo jakim cudem nikt wcześniej nie zauważył, że Przedksiężycowi podczas Skoku mogą brać pod uwagę również ludzką moralność?

- Co dla mnie wybrałaś? - zapytała niecierpliwie zza jej pleców Ellona.

- To. - Noora sięgnęła po suknię najmniej okazałą i jednocześnie najbardziej dziewczęcą. Nie zaszkodzi, jeśli mała także zmieni styl.

## 5

Tellis osłoniła dłonią oczy i przyglądała się łunie płonącej nad północno-wschodnią częścią miasta. Był zimowy, chłodny

ranek, a wiatr prócz wyraźnie wyczuwalnej woni dymu niósł ze sobą także zapach lodowych zimnorośli, które kwitły tylko wtedy, gdy temperatura przez dłuższy czas utrzymywała się poniżej zera. Spojrzała w stronę budynku korporacji Okaleczonych. Wiszący nad wejściem ozdobny zegar - tarcza podtrzymywana przez tłum kulawych, oślepionych bądź pozbawionych rąk - wskazywał, że pozostał jej niecały kwadrans.

Powodowana impulsem, wskoczyła na ruchome i wciąż działające schody, które zgrzytając, wiły się wokół korporacyjnej wieży. Wjechała nimi aż na sam szczyt, na taras, który łączył się z jednym z podniebnych traktów i z którego mogła widzieć niemal całe Lunapolis.

Płonęły Głębińce, Przedświat oraz znaczna część Szklanych Piasków i choć na razie nic nie wskazywało, żeby ogień miał dotrzeć aż do Wieży Okaleczonych, Tellis poczuła w żołądku znajomy skurcz przerażenia.

Pierwszy pożar i zarazem pierwszy tak wyraźny znak, że żyła w przeszłości, a nie w normalnym świecie. Będą dalsze, coraz częściej, aż wreszcie wszystko pogrąży się w chaosie.

Zacisnęła palce na barierce oddzielającej ją od kilkudziesięciopiętrowej przepaści. Porywisty wiatr przynosił teraz zdecydowanie więcej woni dymu niż kwiatów. Ociągając się, nasunęła na głowę kaptur. Nie wolno jej było ryzykować, choć najchętniej pozwoliłaby, żeby zimne podmuchy rozwiewały włosy, w których ostatnio zauważała coraz więcej siwych pasemek.

Wyjęła spod płaszcza bukłak i zakropiła na język dawkę środka telepatycznego dziesięciokrotnie większą od tej, jaką zazwyczaj zażywała. Na efekt nie trzeba było długo czekać. W Tellis uderzyły skoncentrowane myśli mieszkańców Lunapolis, niemy wrzask opuszczonych i zdradzonych, wszystkie „dlaczego ja” i „to niesprawiedliwe”, a przede wszystkim „proszę, błagam, nie chcę tu umierać, niech mi ktoś pomoże, kurwa, kurwa, nie zdążę, jak gorąco”.

Krzyk ginących w ogniu.

Kapitan zgięła się wół, łapiąc oddech. Na szczęście z daleka



nie potrafiła odbierać emocji, ale i tak... ci wszyscy ludzie...

Nie myśl o nich. Skup się na Mahamenim.

Mahameni tkwiący w górnym świecie, wierny jak pies, Mahameni w swoich wiecznie poplamionych koszulach, Mahameni chowający głowę w ramionach, kiedy był speszony.

Wyprostowała się, ścierając zwisającą z ust nitkę śliny. Krzyki stopniowo cichły, aż wreszcie zmieniły się w szum na obrzeżach świadomości.

Miasto wciąż płonęło. Strugi ognia spływały niczym rudoczerwona rzeka wzdłuż Schodów Miedzianych, aż wreszcie na placu Siepaczy osaczyły psokształtnego mechanoida. Ktokolwiek sterował mechanizmem, za późno zorientował się, że pora uciekać. Tellis obserwowała, jak metalowe zwierzę miota się wśród płomieni, i wyobrażała sobie, że tak mogłaby wyglądać walka o życie żywego zwierzęcia. Desperacka, chaotyczna, z góry skazana na niepowodzenie, a jednocześnie pełna swoistej godności. Mechanoid nie chciał się poddać. Szukał drogi ucieczki nawet wtedy, gdy metal jego ciała rozgrzał się do czerwoności, tak że z trudem można go było odróżnić od szalejących wokół płomieni. Animator siedzący w środku z pewnością już nie żył. Co więc sterowało mechanizmem? Ostatnie myśli zmarłego człowieka, zapisane w jakiś sposób w metalowym umyśle? Tellis nie miała pojęcia, a chętnie by kogoś o to zapytała. Uświadomiła sobie, że istnieje mnóstwo rzeczy, których prawdopodobnie nigdy już się nie dowie.

Mahameni. Wciąż o nim myślała.

Metalowy pies zwałił się ciężko na bok, gdy w głowie Tellis odezwał się głos mężczyzny.

*Jesteś tam?* Dźwięk był przytłumiony, jakby ktoś wołał do niej przez grubą ścianę, ale słyszała go, na zły gust Przedksięży-cowych, słyszała!

*Tak, jestem.* Spróbowała oczyścić umysł ze wszystkiego poza tym, co zamierzała przekazać Mahameniemu. Nie życzyła sobie, aby usłyszał jej przypadkowe myśli, drobne pragnienia czy tęsknoty, tak upokarzające dla starzejącej się kobiety, której nie zostało już wiele życia.

*Heh, wygląda na to, że to działa, co nie?* Mahameniemu

ukrywanie przypadkowych myśli najwyraźniej nie przyszło do głowy, bo z szumu tła wyławiała przytłumione słowa, czasem nawet strzępy zdań. Starła się je ignorować.

Mówiłam, że będzie działać.

*Co tam u ciebie? Przy okazji usłyszała też: ...czy nic jej nie... kurewsko zimno...*

Lunapolis płonie.

*Płonie? Tym razem miała wrażenie, że niemal krzyknął jej do ucha. Aż się skrzywiła. Musisz znaleźć bezpieczne miejsce, najlepiej idź do Archiwum, słyszysz? Do Archiwum!*

*jestem w Archiwum.* Uznała, że nie ma sensu tłumaczyć mu, iż ogień do niej nie dotrze, bo już teraz pożar zaczyna przygasać.

Brakowało na to czasu, kontakt zaraz miał się urwać, a poza tym Tellis była ciekawa, czy telepatycznie można kłamać.

Można było, bo Mahameni wyraźnie się uspokoił.

*To w porządku, zostań tam, dopóki ogień nie zgaśnie. Masz co jeść? Potrzebujesz czegoś do ubrania? Lekarstw? Z tła dobiegło jeszcze ... cieplej bielizny...*

Czy on zamierzał zaproponować, że przyniesie jej ciepłą bieliznę?

*Mam wszystko, czego potrzebuję.* Żałowała, że nie rozmawiają normalnie, bo wtedy mógłby usłyszeć lodowaty chłód w jej głosie.

W porządku, gdybyś coś... tylko... pamiętaj...

*Chyba kontakt nam się urywa. Skwapliwie wykorzystała okazję. Porozmawiamy wieczorem. Wtedy prawdopodobnie będę już coś wiedziała.*

... wieczora. Dbaj o siebie.

Głos Mahamieniego był coraz słabszy i wreszcie rozplątał się w ciszy. Tellis słyszała już tylko gwizdanie zimowego wiatru. Odetchnęła głęboko, aż zakłuło ją w płucach, z nadzieją, że chłód wygoni z ciała uczucie upokorzenia.

Nienawidziła litości, zwłaszcza teraz, gdy tak bardzo była świadoma, że na litość rzeczywiście zasługuje.

Wzmianka o ciepłej bieliźnie zmąciła radość płynącą z tego, że środek telepatyczny działał także pomiędzy światami.

Będziemy mogli dopaść Brina Issę, powtarzała w myślach, gdy zjeżdżała ruchomymi schodami. Teraz mamy szansę.

Nie potrafiła jednak cieszyć się tak bardzo, jak się tego spodziewała. I w gruncie rzeczy wiedziała, że nie chodzi tu o tę głupią wzmiankę o bieliźnie. Mahameni wraz ze swoją litością nie był wystarczająco ważny, by popsuć jej humor na dłużej.

Problem polegał na tym, że kapitan chciała się czymś wykazać. Udowodnić samej sobie, że wciąż jest utalentowanym detektywem, choć Przedksiężycowi zostawili ją z tyłu. Wcale nie musiała brać na celownik akurat Issy. Gdyby znalazła się w przeszłości przed zakończeniem jednej ze spraw, prawdopodobnie starałaby się rozwiązać właśnie ją. Lecz niczego takiego nie miała.

I wciąż piekło ją upokorzenie, którego dwukrotnie doznała w gabinecie Brina Issy.

Chodziło o sprawiedliwość, owszem, bądź co bądź mężczyzna, nawet jeśli sam nie był mordercą, to mordercę krył. Ale ważne też było to, żeby kapitan mogła się odegrać.

Zeskoczyła z ruchomych schodów i skierowała się w stronę Hal. Potem, dźwigając zawinięte w chustę mrożone mięso oraz warzywa (zanotowała w pamięci, żeby poszukać koszyka), ruszyła do domu Brina Issy.

Skoro jej śledztwo i tak miało się rozpocząć w tym właśnie miejscu, równie dobrze mogła tu zamieszkać.

Budynek wyglądał tak, jak zapamiętała: duży, pełen przybudówek i sterczących nad dachem wieżyczek, z frontem ozdobionym konstrukcją przedstawiającą dziesiątki wielkich mrugających oczu. Wydawał się pusty, lecz Tellis wolała nie ryzykować. Wzięła na język kroplę środka telepatycznego i skupiła się, z wysiłku marszcząc brwi. Usłyszała gniewne myśli (... *co za durna suka, już ja jej pokażę...*), ale tak odległe, że kimkolwiek był ów człowiek, z pewnością nie mógł jej zagrozić.

Z ulgą weszła do środka. W holu i w głównym korytarzu wciąż leżały przewrócone żelazne trójnogi i strzaskane posągi; posadzka zasłana była odłamkami gliny oraz marmuru. Teraz, w dziennym świetle i bez krążących świetlików, pobojuwisko

sprawiało wrażenie nie tyle dziwaczne, ile po prostu żalosne. Tellis przeszła przez nie i zerknęła do jadalni. Tak jak się spodziewała, sztuczne słońce wypaliło się, ale wcześniej zdążyło spopielić wszystkie sprzęty i stopić mozaikę ścienną, która spływając, zastygła w grubych, miedzianozłotych łzach. Tylko gdzieś tam dało się rozpoznać resztki dawnego wzoru. Jadalnia była pusta; wiatr wpadający przez pozbawione szyb okna poddrywał z posadzki drobinki sadzy i popiołu.

Tellis zasunęła drzwi, także zresztą nadtopione. Cóż, i tak nie zamierzała korzystać z tego pomieszczenia.

Na pierwszym piętrze natknęła się na trupa. Młody mężczyzna leżał na boku, przyciskając dłonie do brzucha, z którego wylały się wnętrzności. Obok leżało niewątpliwie narzędzie zbrodni: zakrwawiony ostry nóż, przeznaczony do krojenia mięsa. Kapitan zaklęła. Skoro zamierzała tu zostać - a zamierzała - musiała usunąć zwłoki.

Uznała jednak, że najpierw coś zje. Martwe ciało nie ucieknie, a ona powinna dbać o zdrowie. Posiłki o regularnej porze to niby nic, ale w ostatecznym rozrachunku właśnie takie drobiazgi mogły przedłużyć jej życie o kilka kluczowych dni.

Znalazła kuchnię, rozpałała w piecu i nastawiła wodę na zupę. W międzyczasie zastanawiała się, czy ci, którzy zabili człowieka na piętrze, jeszcze tu wrócą. Doszła do wniosku, że to mało prawdopodobne. To wyglądało na typową kłótnię przy podziale łupów, a skoro narzędzie zbrodni zostało porzucone, zabójca zapewne sam wystraszył się tego, co zrobił.

Miała nadzieję, że dom Issy został porządnie splądrowany, i to przez kilka różnych grup rabusiów. W ten sposób mniejsze było ryzyko, że ktoś tu jeszcze przyjdzie, szukając broni czy wynalazków pomagających w przeżyciu. Czy groziło jej, że któraś z krążących po Lunapolis band zdecyduje się w tym domu zamieszkać? Raczej nie. Żyła w przeszłości wystarczająco długo, by zorientować się, że takie bandy wołały mieszkania mniejsze i łatwiejsze do obrony. W domu Issy było za dużo okien i wejść.

Wytarła z kurzu stół, przysunęła krzesło i zjadła posiłek tak, jak przywykła jadać przez całe swoje życie. Przy stole, z talerza,

a nie z garnka, posługując się właściwymi sztuczkami. Być może została skazana na powolną śmierć, ale to nie powód, żeby zrezygnować z tej odrobiny dobrych manier, jaka jej została. Było to dla niej ważne zwłaszcza teraz, gdy z oczywistych względów nie mogła się elegancko ubierać.

Potem pozbyła się trupa. Zajęło jej to ponad półtorej godziny, ale wreszcie zwlokła ciało po schodach, przeciągnęła je przez pobojowisko w głównym korytarzu i wyrzuciła na zewnątrz. Na posadzce pozostał szeroki, lepki i czerwony ślad, jak pozostawiony przez rannego ślimaka. Próbowwała go splukać wodą z wiadra, ale szybko się poddała. Trudno, odrobina krwi to z pewnością nie najgorsze, z czym będzie musiała się pogodzić.

Umyła ręce i powędrowała do gabinetu Issy.

Zaczęła od najbardziej oczywistego miejsca, czyli od biurka. Opróżniła je, układając wszystkie znalezione rzeczy na dywanie. Starła się je wstępnie posegregować: listy do listów, rachunki do rachunków, a na osobne stosy notatki, stare zaproszenia i wycinki z gazet. Obok kładła różne drobne przedmioty: ołówki i strugaczki, linijki, teatralne lornetki i zasuszone kwiaty, puste koperty od zegarków, pióra i kałamarze z zaschniętym atramentem, laseczki laku, monety, a także części mechanizmów. Najwyraźniej Issa miał naturę chomika.

Tellis wzięła do ręki jedną z monet i w zamyśleniu obróciła ją w palcach. Biorąc pod uwagę, że kapitan nigdy takiej nie widziała, prawdopodobnie została wycofana z obiegu jakiś czas temu. Dłuższy czas, bo przecież Tellis miała swoje lata.

Zapadał zmrok, zapaliła więc dwie świece oraz lampę naftową i w jej świetle odczytała datę na lekko zaśniedziałej powierzchni. Rok pięćset trzynasty przed Przebudzeniem.

Serce kobiety zabiło mocno. Moneta została wybita, zanim urodził się jej pradziadek.

Co więcej, dwie koperty od zegarków, jeden kałamarz oraz kasetka z przegródkami na listy wyglądały na równie stare, jeśli nie starsze. Do tego żaden z tych przedmiotów, przynajmniej na tyle, na ile Tellis zdołała się zorientować, nie był dużo wart. To oznaczało, że Issa zatrzymał je nie ze względów kolekcjoner-

skich, lecz z sentymentu.

Ciekawy rys charakteru, zanotowała w pamięci.

Puste biurko przetrząsnęła w poszukiwaniu tajnych skrytek. Wyjęła wszystkie szuflady, sprawdziła, czy Issa nie przykleił czegoś na ich dnie od spodu, zmierzyła krawędzie i ryzykując spalenie włosów, ze świecą w ręku dokładnie obejrzała wnętrze mebla. Skrytkę znalazła, lecz była w niej tylko aplikacja z barwnych koralików, przedstawiająca roześmianą buzię: ozdoba, jaką w czasach dzieciństwa Tellis zwykło się naszywać na dziewczęce sukienki. Kolejna sentymentalna pamiątka? Kapitan w to wątpiła. Issa zdawał sobie sprawę, że ktokolwiek będzie w przeszłości szukał jego sekretów, znajdzie ukrytą szufladkę, postanowił więc zrobić ciekawskiemu dowcip.

Tellis wyprostowała się i potarła bolący kark. Zobaczymy, kto kogo przechytry, pomyślała z ustami zaciśniętymi w wąską, gniewną kreskę. Od intensywnego poszukiwania skrytki zaczęła boleć ją głowa. Z nadzieją spojrzała na sufit, lecz inoszyba lśniła blaskiem tak nikłym, że równie dobrze mogłoby go nie być. Widać niebo tego wieczoru zasnuły gęste chmury. Kapitan westchnęła. Tak bardzo tęskniła za słońcem, żółtym i jaskrawym, takim, jakie pamiętała z czasów swej młodości.

Dość tego. Poradzi sobie z tym, co ma.

Znalazła jeszcze jedną świecę - dzięki Przedksiężycowym za staroświeckie upodobania Issy - i zapaliła ją. Biurko chwilowo zostawiła w spokoju, a zajęła się przedmiotami znajdującymi się na półkach i w przeszklonych szafkach. Astrolabium, globus, mechanizmy i wypchane ptaki. Wszystko wyglądało nie tylko na stare, lecz także wartościowe, o tak, zdecydowanie wartościowe. Widać było, że Issa o swoją kolekcję dbał, inaczej już dawno zostałyby z tyłu, a jednak... jednak to dbanie skończyło się chyba jakiś czas temu. Na mechanizmach znać było ślady rdzy, które nie mogły być efektem krótkotrwałego pobytu w przeszłości, ptakom zaczynały wypadać pióra.

Issie znudziło się zbieranie staroci? Zmienił hobby?

Odłożyła problem na później i zajęła się szukaniem innych skrytek, tym razem być może zawierających coś naprawdę inte-

resującego.

Mało brakowało, a przegapiłaby kawałek papieru, który połyskiwał bielą w szparze pod obudową mechanicznej głowy. Wydłubała go za pomocą spinki do włosów. Koperta bez adresu, zakurzona i wymięta. Wewnątrz znajdowała się lekko pożółkła, zwyczajna fotografia. Przedstawiała grupę kilkunastu młodych ludzi zebranych na schodach jakiegoś budynku. Niektórzy obejmowali się, inni robili głupie miny za plecami kolegów, kilku miało w rękach butelki. Wszyscy wyglądali na szczęśliwych. U dołu biegł napis: „Stowarzyszenie Wolnomyślicieli świętuje dzień założenia”. A na odwrocie kilkanaście odręcznych podpisów, w tym Brina Udaja.

Ojciec Issy? Dziadek?

Tellis uznała, że skoro Issa tak przemyślnie ukrył kopertę, to zdjęcie musi być ważniejsze, niż mogłoby się wydawać. Sama jednak nic więcej nie mogła zrobić, a do kontaktu z Mahamenim - spojrzała na wiszący zegar - zostało pół godziny.

Odłożyła kopertę i raz jeszcze, tym razem starannie, przejrzała wyciągnięte z biurka papiery. Najbardziej liczyła na wycinki z gazet, lecz te wydawały się najzupełniej niewinne. Większość to były zapowiedzi aukcji, na których wystawiano stare oraz nowe dzieła sztuki: skórzane ubrania, obrazy malowane na płótnie i szkłe, rzeźby z płonącego świetlika czy miniaturowe mechanoidy. Kilka artykułów reklamowało najnowsze osiągnięcia poszczególnych korporacji. Okaleczeni informowali, że udało im się stworzyć ślepeca, który doskonale orientuje się w przestrzeni i potrafi wyczuwać przez skórę podstawowe kolory. Telepaci pracowali nad genami telekinezy oraz jasnowidzenia - lecz notka została sformułowana tak niejasno, że Tellis zgadywała, iż prace nie są zbyt zaawansowane. Ekwilibrium promocyjnie obniżało cenę genów biseksualizmu, a Principium oferowało, że na życzenie stworzy człowieka całkowicie szczęśliwego, niezależnie od warunków, w jakich przyszedłoby mu żyć, lub też jego przeciwieństwo - kogoś, kto walczy do ostatka i nigdy nie zadowala się tym, co ma. Ta cecha została podkreślona dwa razy czerwonym atramentem.

Issa chciał sobie sprawić takie dziecko? Czy sam zamierzał przejść genozmianę, a jeśli tak, to po co, na osiągnięciu jakiego celu mu zależało?

W listach nie było niczego ciekawego - większość dotyczyła interesów, kilkanaście napisanych zostało przez kobiety, a ich treść sprawiła, że Tellis, która niejedno przecież w życiu widziała, zarumieniała się lekko. W tych listach znajdowała różne drobne przedmioty: bileciki z godziną schadzki oraz informacjami w rodzaju „Pokaż to służącemu przy bramie”, płatki suszonych kwiatów, złote i srebrne wisiorki, serduszka wycięte z koronkowych majtek i nasączone perfumami papierowe figurki ptaków, a w jednym przypadku nawet długie, kolorowe ptasie pióro - Tellis nie wiedziała, do jakiego ptaka należy, ale wyglądało na prawdziwe.

Kilku początkujących artystów - przeważnie malarzy lub rzeźbiarzy, choć nie tylko - prosiło o wsparcie. Pewien poeta załączył próbki swoich miłosnych wierszy, a Issa najwyraźniej znakomicie się bawił, podkreślając błędy ortograficzne i najzabawniejsze sformułowania. Była też korespondencja od córki Issy - jeden z listów nosił ślady, jakby zgnieciono go w kulkę, a potem rozprostowano, dwa najnowsze nie zostały nawet otwarte.

W rachunkach nie trafiła na nic interesującego, za to w notatkach znalazła coś, co wyglądało na początek listu.

„Droga córko - głosił nagłówek - wydałem na ciebie czterysta surimów, kiedy cię zamawiałem, a potem jeszcze dwa razy tyle, żeby cię wykarmić, ubrać i wychować. Gdybym wiedział, że będziesz mnie za to zadręczać opowieściami o twoich nic niewartych dzieciach, zadbałbym zawczasu o to, żebyś urodziła się nie tylko bez ust, lecz także bez rąk, którymi piszesz do mnie listy. A propos dzieci: jak sądzisz, kto z twojej piątki przetrwa Skok? Daj mi, proszę, znać (ha, więc może jednak ręce przydadzą ci się do czegoś bardziej konstruktywnego niż zaspokajanie samej siebie), bo już założyłem się z Ankisem o butelkę starego wina. On twierdzi, że co najmniej jeden dzieciak da radę, ja, że wszystkie zostaną z tyłu...”

Tellis nie wiedziała, czy Issa ostatecznie wysłał ten list, czy też



nie, ale niezależnie od tego jej sympatia do mężczyzny spadła jeszcze o kilka poziomów.

Jedna, sądząc po kolorze papieru stara już notatka dotyczyła planowanych prezentów na dzień założenia Lunapolis. Issa miał trzy osoby do obdarowania: syna Niraja („dorosły model *darakki*?”), córkę Noorę („cokolwiek”) oraz drugą córkę Kairę, przy której imieniu widniał spis kilkunastu przedmiotów. W większości były to książki opowiadające o dawnych bohaterach, choć znalazła się też gra logiczna i mechaniczna lalka do samodzielnego składania. Przy niektórych prezentach widniały pytajniki, inne były przekreślone.

Kontrast pomiędzy owym „cokolwiek” a długą, starannie przemyślaną listą był zdumiewający. Tellis wiedziała, że Issa ma dwanaścioro żyjących dzieci, jedenaście dziewczynek i jednego syna, lecz wyglądało na to, że zależy mu wyłącznie na chłopcu oraz na Kairze.

Może Issa interesował się córkami, dopóki były małe, a potem zrywał z nimi kontakt, kiedy zaś upierały się, by go podtrzymać,,: celowo obrażał je i ranił? Ale przecież Noora i Kaira były chyba w podobnym wieku? Poza tym Issie wciąż zależało na Kairze, mimo że osiągnęła dojrzałość. Tellis doskonale pamiętała błysk radości w jego oczach, gdy powiedziała mu, że widziała dziewczynę na zdjęciu znalezionym w mieszkaniu Jainy.

Podsumowała to, co wiedziała o Issie.

Miał słabość do staroci, i to niekoniecznie wartościowych, a część z nich prawdopodobnie odziedziczył (po mężczyźnie na zdjęciu?), bo Tellis wątpiła, żeby gdziekolwiek w Lunapolis można było kupić wycofane z obiegu monety czy stare kałamarze.

Był przewidujący i miał dziecinne poczucie humoru.

Potrafił być okrutny, także - a może zwłaszcza - wobec własnych dzieci.

Interesowały go aukcje dzieł sztuki oraz osiągnięcia duszo-inżynierii. Jego szczególną ciekawość wzbudziła wzmianka o stworzeniu genotypu człowieka, który do celu będzie dążył,

zapewne dosłownie, po trupach.

Miał słabość do kobiet (albo one miały słabość do niego), lecz prawdopodobnie żaden z jego romansów nie trwał zbyt długo.

Ze wszystkich swoich dzieci interesował się tylko synem Nirajem oraz - przede wszystkim - najmłodszą córką Kairą.

Nie trzymał w gabinecie żadnych zdjęć poza jednym, zmyślnie ukrytym, co było dość osobliwe. Ludzie, którzy w szufladach chomikują drobne przedmioty po ojcu czy dziadku, zazwyczaj uwielbiają stare fotografie.

Miał staroświeckie pismo.

W tym momencie coś ją tknęło. Brak zdjęcia, pismo, eliksir, który pozwala zachować młodość...

Wśród rozrzuconych na dywanie przedmiotów znalazła lupę i starannie obejrzała grupę młodych ludzi na zdjęciu. Tak jak się spodziewała, był wśród nich drobny, jasnoskóry i ciemnowłosy chłopak o nieco dziewczęcej urodzie, jak dwie krople wody podobny do Issy. Odwróciła kartonik i porównała podpis Brina Udaja z podpisem jego potomka.

Były niemal identyczne.

Mahameni odezwał się, gdy tylko zażyła środek i wyciszyła myśli z tła.

*Masz coś?* - zapytał.

*Tak* - odparła. - *Chcę, żebyś coś dla mnie sprawdził.*

## 6

Następnego dnia Tellis udała się do Archiwum. Mogła to zrobić wcześniej, bała się jednak, że w sali z wynalazkami natknie się na agresywne grupy szabrowników. Teraz było tam pusto, a szlak, którym rabusie przeszli, znaczyły klatki z wyłamаныmi zamkami, smugi rozmazanej na podłodze krwi, kawałki szkła oraz jeden trup, rozdarty niemal na strzępy, tak iż nie dało się nawet rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Jak spodziewała się kapitan, sporo buteleczek zostało rozbitych podczas walk, ale sporo też ocalało. Rabusie nie interesowali się ich zawartością, gdyż niepodpisane albo

oznaczone niezrozumiałymi kodami niosły ze sobą zbyt wielkie ryzyko natknięcia się na truciznę. W powszechnym mniemaniu Archiwum produkowało więcej mikstur odbierających życie niż leków, co nie było prawdą - po prostu wiadomości o tych pierwszych jako bardziej atrakcyjne częściej trafiały do prasy. Niemniej przekonanie to wystarczyło, by szabrownicy woleli nie ryzykować eksperymentowania z czymś, co nie wiadomo jak działało, a tym samym równie dobrze mogło zabić wroga, jak i właściciela trucizny.

Kierując się charakterystycznym kształtem buteleczek, kapitan znalazła niemal ćwierć litra środka telepatycznego i - o cudzie! - sporą ilość eliksiru Fabbiniego, który schowała pod płaszczem jak największy skarb.

Wróciwszy do domu Issy, zabrała się do przeszukiwania reszty pomieszczeń. Starła się robić to metodycznie, posuwając się od piwnic aż po strych, ze wschodu na zachód. Przetrzasała szafki i kartkowała książki, opukiwała rzeźby, zaglądała w głąb ozdobnych mechanizmów, które uruchamiały windę towarową, miniaturowe fontanny czy rozsuwany, przeszklony dach nad wewnętrznym ogrodem. Rozpruwała materace, a także śledziła bieg wzorów na kafelkach posadzek oraz na pokrywających ściany złotych, srebrnych i miedzianych płytkach w nadziei, że znajdzie nieprawidłowość, która naprowadzi ją na trop tajnej skrytki.

Coś, co jest tak ważne, że warto to schować, a jednocześnie nie aż tak znaczące, by postarać się o zabezpieczenie likwidujące ową rzecz podczas Skoku. Coś, co samo w sobie nie stanowiłoby żadnego dowodu, ale co mogłoby naprowadzić ją na właściwy trop.

Skoro Issa ukrył w ten sposób jedno zdjęcie, to mógł też ukryć inne rzeczy.

Znalazła pokoje, które zidentyfikowała jako należące do Niraja. Mało prawdopodobne, aby Issa akurat tutaj urządził sobie skrytkę - zwłaszcza że, jak Tellis podejrzewała, zdjęcie chował właśnie przed ciekawskimi dziećmi i służącymi - ale z drugiej strony sekrety syna Issy także mogły okazać się interesujące.

Przejrzała więc rzeczy młodego mężczyzny. Kilka pogiętych od uderzeń napierśników i jeden hełm, sporo białej broni - w tym nie tylko *darakki*, lecz także staroświeckie miecze, szable i sztylety, kolcze rękawice, mechanizmy tarczy deflekcyjnych, antypoślizgowe buty. Poza tym sporo literatury fachowej dotyczącej szermierki - jak walczoneo niegdyś i jak walczy się teraz, systemy i szkoły. Łóżko przykryte zwyczajnym kocem, we wnękach ściennych ubrania w jednolitych, zazwyczaj ciemnych barwach. Ogólnie przygnębiająca i niezbyt sympatyczna atmosfera wojskowych koszarów.

Nic ciekawego.

Pokoje Noory wyglądały zupełnie odwrotnie - tu pełno było fantazyjnych mebelków, o które Tellis bałaby się nawet oprzeć, w obawie, że je połamie, porcelanowych lalek w sukniach dorosłych kobiet, kolorowych ozdóbek, figurek i pozytywek, a także kosmetyków i ciężkich butli perfum, rytych w barwnym szkłe. Zapach nie wywietrzał, wciąż był duszący, na pozór kwiatowy, a jednak z głębszą, piżmową i drażniącą nutą, która nie pasowała do demonstracyjnej dziewczęcości.

Ten pokój Tellis postanowiła przeszukać szybko, nim od zaduchu i nadmiaru różowego koloru rozboli ją głowa. I omal nie przeoczyła czegoś ciekawego.

W biurczku - bo nazwa „biurko” stanowczo wydawała się zbyt poważna - znalazła szkatułkę wyłożoną muszelkami. Wyglądały na prawdziwe, więc dotknęła ich z pokorą i podziwem, nim podniosła wieczko. W środku spoczywały wirofotografie starszych córek Issy, wszystkie podpisane, z dedykacjami „dla małej/młodszej/kochanej siostrzyczki”.

Tellis wyciągnęła z kąta zakurzony wiroaparat i zabrała się do oglądania.

Dziewięć płytek, dziewięć młodych kobiet.

Cztery z nich były podobne do Noory, której portret wisiał nad zarzuconym poduszkami łóżkiem. Ciemnowłose, o bladej cerze i drobnej budowie ciała, raczej gibkie i zręczne niż silne. Ładne, a przy tym w wyraźny sposób podobne do Issy, jakby mężczyzna zamówił u duszoinżynierów swój żeński odpowiednik.

Pozostałe były dziwolągami.

Jedna sfotografowana została na stole, po którym raczkowała jak niemowlę. Miała krótki tułów i dużą głowę, którą unosiła z wyraźnym trudem. Pozbawiona była nóg, z pachwin, wystając spod krótkiej spódniczki, wyrastała druga para rąk, dłuższych i bardziej umięśnionych niż górne, a jednak niezdolnych unieść ciężaru ciała. Tellis zgadywała, że dziewczyna musiała chodzić na czworakach jak okaleczony pająk.

Druga nie miała ust, w ich miejscu widniał pas gładkiej, różowej skóry, a powyżej, w opuchniętym i zaczerwienionym nosie, tkwiła zamocowana na stałe rurka sondy żołądkowej.

„... zadbałbym zawczasu o to, żebyś urodziła się nie tylko bez ust, lecz także bez rąk, którymi piszesz do mnie listy...”.

Kobieta trzymała na kolanach chłopca zaskakująco podobnego do Brina Issy. Tellis zastanawiała się przez chwilę, czy jest to jej pomysł na to, by wkupić się w łaski ojca, czy też jakiś osobliwy dowód bezinteresownej dziecięcej miłości, która przetrwała mimo upokorzeń.

Trzecia dziewczyna wyglądała zdecydowanie najlepiej, choć na jej nagim, prezentowanym w całej okazałości ciele nie było ani jednego włoska. Bezrzęse powieki, brak brwi nad ciemnymi oczami i czaszka gładka niczym wielkie jajo. Za to jej skóra pokryta była rysunkami w kolorach od bieli wapna, poprzez cielisty róż i brąz, aż po czerń. Na piersiach obraz przedstawiający ogród, na plecach zawijający do portu żaglowiec, a pod jego pokładem ryby i morskie stwory. Pnącza egzotycznych roślin owijające się wokół łydek i ramion, kwiaty, ptaki i miniaturowe krajobrazy dalekich krain na krągłych pośladkach. Tellis w pierwszej chwili sądziła, że to tatuaże, lecz nie, to były naturalne barwy skóry, w której natężenie pigmentu rozkładało się tak, by stworzyć te wszystkie cuda.

Jak długo duszoinżynierowie opracowywali wzór genetyczny kogoś takiego? I ile Issa musiał za nią zapłacić?

Dopiero teraz Tellis zauważyła, że wynaturzone córki mają rysy Brina Issy - czasem zniekształcone, jak w przypadku czwartej z dziewcząt, której czaszka została spłaszczona i rozciągnięta wszerek, ale zawsze na tyle podobne, że nie mógł to

być przypadek.

Wyglądało to tak, jakby Issa starał się odtworzyć samego siebie w żeńskiej postaci - jako piękność lub dziwadło. Jak się miało to do istnienia Kairy, która nie była ani jednym, ani drugim, a Issy nie przypominała w najmniejszym stopniu?

Tellis znalazła wreszcie pokoje najmłodszej latorośli Brina Issy, przeszukała biurko i szafki, przejrzała biblioteczkę. Gdy skończyła, coś zaczęło jej świtać.

Pamiętała, że w jednym z rzadko używanych pomieszczeń znalazła łóżko z przymocowanymi do poręczy pasami, a przy nim zestaw igieł oraz sprzęt do sztucznego odżywiania człowieka pogrążonego w śpiączce.

Wyszła na korytarz. Zapadał już zmierzch i zablakany, prawdopodobnie ostatni w tym domu świetlik gasł w załomie muru. Tellis patrzyła, jak czerwona iskierka kurczy się powoli i czerwieje, aż wreszcie znika zupełnie. Brakowało jej Mahamieniego. Gdy nie odezwał się rano o ustalonej porze, poczuła się niemal... zdradzona? A przecież sama wcześniej nakazała mu stanowczo, by kontaktował się z nią tylko wtedy, gdy będzie miał coś do powiedzenia.

Oto skutki samotności, myślała, idąc korytarzem w gęstniejącym mroku.

Dwie godziny później usłyszała w głowie głos Mehusa.

*Sprawdziłem, co mi kazałaś, ale wygląda na to, że Stowarzyszenie Wolnomyślicieli to ślepy trop. Założył je dziadek Brina Issy i działało przez kilka lat aż do Skoku, który zabrał kilku najważniejszych członków, w tym Brina Udaja. Mieli swoją gazetkę, spotykali się najczęściej w kawiarni Pod Głową Minotaura.*

*Najczęściej? A gdzie jeszcze?*

*Skąd mam wiedzieć? To było dawno temu, przed kilkunastoma Skokami, i nikt już tego nie pamięta - bronił się Mahameni. - W gazetce czasem wspominają nazwę lokalu, więc znalazłem właściciela knajpy, który słyszał o stowarzyszeniu od swojego poprzednika. Poprzednik podobno twierdził, że zjawiali się tak ze dwa, trzy razy w miesiącu, a w gazetce opisy spotkań są częściej, jakby co*

*któreś zebranie wypadalo im gdzie indziej, ale to inne miejsce nigdzie nie jest wymienione. To ważne?*

*Nie wiem, wszystko może być ważne. Co jest w tych opisach?*

*Nic ciekawego. Wygłaszali referaty, zadawali pytania, a potem następował „tradycyjny poczęstunek”, co pewnie oznacza chlanie do upadłego.*

*Do ilu numerów gazetki dotarłeś?*

*Do kilkunastu, reszta zniknęła w czasie Skoków. Możesz ich poszukać w przeszłości.*

*Spróbuję, chociaż tu pewnie już zaczęły niszczyć. Ty znajdź potomków ludzi, którzy należeli do stowarzyszenia, i zapytaj, co o nim wiedzą. Może słyszeli coś od rodziców, może mają w domu stare listy albo numery gazetki. Papier przechowywany we właściwych warunkach może przetrwać sporo Skoków.*

*Postaram się dowiedzieć czegoś więcej - obiecał Mahameni. -A ty masz coś nowego?*

*Opowiedziała mu o znalezionych w pokoju Noory zdjęciach.*

*Cudak - skomentował Mehus, a potem dodał tak cicho, że Tellis nie miała pewności, czy ta myśl była przeznaczona dla niej: Biedne dzieciaki.*

*Nie o to chodzi. Odruchowo potrząsnęła głową, choć oczywiście nie mógł tego zobaczyć. Issa ma dość ekscentryczne upodobania, owszem, jednak nie bardziej niż wielu innych mieszkańców Lunapolis. Nie zdziwiłabym się, gdyby nie tylko tworzył córki na swoje podobieństwo, ale także z nimi sypiał. To niemal jak seks z samym sobą, a założę się, że Issa jest wystarczająco zapatrzony w siebie, by mu się coś takiego podobało. Może zobaczyć w twarzy kochanki własne odbicie, w zależności od humoru doskonale piękne albo wręcz przeciwnie, dziwaczne i wynaturzone. Zauważyłeś, że nie daje własnych rysów synom? Nie chce mieć konkurencji? Jedyiny chłopiec w tym domu, Brin Niraj, jest do ojca zupełnie niepodobny i najwyraźniej stworzono go do walki, jako osobistą ochronę. Mniejsza zresztą z tym. Zastanawiałam się, jak się ma do tego wszystkiego najmłodsza córka, Kaira. Ona też nie przypomina ojca, a w*

jej pokoju znalazłam parę ciekawych rzeczy.

To znaczy?

Przede wszystkim cała biblioteczka monotematycznych książek.

O bohaterach broniących uciśnionych i stawiających czoła złu, zazwyczaj samotnych i niedocenianych, którym dopiero historia po wielu latach przyznała sprawiedliwość. Co ciekawe, te książki są dostosowane do różnych przedziałów wiekowych, niemal jakby Kaira przez całe życie czytała wciąż tę samą historię. Poza tym układanki i rozwijające umysł zagadki dla dzieci, ale żadnych lalek - poza mechanicznymi, do składania - żadnych przytulank czy typowo dziewczęcych zabawek. To dziwne, bo skoro dziewczyna zachowała układanki z czasów dzieciństwa, to dlaczego nie miałyby zachować lalek?

Może się ich wstydziała?

Może, ale raczej mam wrażenie, że nigdy ich nie miała. Za to w jej biurku znalazłam dwie lustrzane gry. Wiesz, co to takiego?

Lustrzane od tego, że grające w nie dzieciaki są równie samotne, jak pijący do lustra dorośli?

Tak naprawdę nazwa pochodzi od szybek, których się używa w co trzeciej turze, ale owszem, wersję z samotnym pićem do lustra też słyszałam i nieźle oddaje, o co chodzi. Wiesz, że kiedyś chciano zakazać sprzedawania tych gier? Mówiono, że powodują u dzieci alienację, że grający w nie zaczynają postrzegać świat jako wrogi i pełen pułapek, a siebie jako jedynego sprawiedliwego. Dostrzegasz prawidłowość?

Niespecjalnie.

Issa od dzieciństwa kształtował osobowość córki, i to nie tylko poprzez książki czy gry, ale też w sposób znacznie bardziej bezpośredni. W jednym z nieużywanych pokoi znalazłam Nocny Zestaw Bashrana.

Masz na myśli igły, które się wbija ludziom w mózg?

Pogrążonym we śnie ludziom, owszem. Można za ich pomocą kontrolować sny, można je rozbudowywać albo sprawić, że człowiek zacznie mieć koszmary, wedle woli. I



*można też drugą osobą manipulować. Zręczny operator zestawu może wmówić śniącemu mnóstwo rzeczy.*

Niemal ujrzała, jak Mahameni gwizdnął. Ciekawe, czy jest teraz u siebie w domu?, przemknęło jej przez myśl. I czy ma na sobie tę poplamioną koszulę, która tak ją denerwowała...

Ogarnęło ją gorąco, na policzki wypełził rumieniec. Najchętniej wymazałaby gąbką własne myśli, ale było za późno, po stronie Mahameniego panowało pełne zakłopotania milczenie, a Tellis straciła wątek. Oto skutki telepatycznych rozmów: wystarczy chwila nieuwagi i człowiek robi z siebie idiotę. A przecież wiedziała, że tak może być, i obiecała sobie, że będzie ostrożna.

*Skoro Issa chciał mieć wyalienowaną córkę, to dlaczego sobie takiej nie zamówił u duszoinżynierów?* - odezwał się po chwili Mahameni.

Tellis skupiła się na odpowiedzi.

*Może znudziły mu się gotowe produkty? Może chciał ukształtować jej osobowość sam, od podstaw, tak jak artyści rzeźbią w drewnie czy marmurze? Geny to nie wszystko, liczy się także wychowanie. Dzieci są jak diamenty - dostajesz nieoszlifowany kamień i musisz nad nim popracować, żeby zaczął błyszczeć. A... -* zawahała się, ale mężczyzna chyba tego nie dostrzegł - *... niektóre korporacje specjalnie oferują po niższej cenie dzieci o wielkim potencjale, ale trudne do prowadzenia. Issę... Issę mogło bawić podjęcie takiego ryzyka.*

*To znaczy? Jeśli włożysz w wychowanie dzieciaka mnóstwo pracy, to masz geniusza, a jak popełnisz błąd, na przykład dasz mu raz klapsa, kiedy nie zasłużył, to co?*

*To zamiast geniusza masz młodego człowieka o wybuchowej naturze i niestabilnej psychice, potencjalnego samobójcę i mordercę. Nawet nie art-mordercę, lecz zwyczajnego wariata gotowego dźgać nożem każdego, kto mu się nawinie.*

Słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Tylko prosta informacja, nic więcej.

Żałowała, że poruszyła ten temat.

*Tellis?*

*Tak?*

*Wszystko w porządku?*

*Nie.* Ulotna myśl przemknęła jej przez głowę, zanim zdążyła ją zatrzymać. Zamknęła oczy i sformułowała następną, tym razem jasną i precyzyjnie skierowaną do Mahameniego. *Wszystko w porządku.*

Z pewnością nie uwierzył, ale przynajmniej nie zadawał więcej pytań.

7

- Tu jest tak dużo ludzi! - Ellona ścisnęła rękę Noory. - Boję się!

- Spokojnie, jesteś przecież ze mną.

W tłumie zaproszonych wchodziły po stopniach niemal równie szerokich jak te prowadzące na plac Wodny. Co chwila ktoś je potraçał lub wbijał łokcie pod żebra. Idący obok tęgi mężczyzna sapał, rozsiewając wokół woń pudru do włosów, a jego smukła partnerka - córka lub kochanka albo jedno i drugie naraz - gubiła wpięte we włosy kwiaty, po które z cichym piskiem protestu usiłowała się schylać, lecz nieubłagana masa ludzka pchała ją naprzód, deptając świeżo rozkwitłe cenne pąki. Schodami przemknęło dwóch mechanicznych, niosących przystrojone wstążkami i klejnotami krzesło. Siedziała na nim kobieta o bielonej twarzy, z ustami szarymi jak popiół i oczami zamalowanymi czarną kredką. Mechaniczni torowali sobie drogę za pomocą krzyków oraz tępo zakończonych pik, tłum cofał się przed nimi jak fala odpływu i od czasu do czasu odzywały się głosy oburzenia, gdy jakiemuś nieszczęśnikowi podeptano buty lub przyparto go do poręczy rzeźbionej na kształt łuskowatej smoczej szyi. Nad tym wszystkim unosiły się wsparte na smukłych kolumnach łuki ze szkła, wypełnione migotliwym słonecznym światłem, którego czerwona barwa kontrastowała z bielą schodów.

- Trzymaj mnie za rękę, proszę - szepnęła Ellona drżącym głosem.

- Nie bój się, nie pozwolę ci się zgubić. Wszystko w porządku? Nie boli cię?

- Na razie nie - odparła dziewczynka, jednak Noora na wszelki wypadek sprawdziła, czy w torebce spoczywa bezpiecznie puzderko wypełnione pigułkami przeciwbólowymi. Przed wyjściem dostały je od ojca Ellony, a Noora dobrze zapamiętała wyraz niepokoju na jego twarzy.

- Idźcie na ten bal - zgodził się Marouti - niech Ellona trochę się zabawi. Należy jej się, biedactwu, tak niewiele czasu ma przed sobą. Obiecuj mi tylko, że się nią zaopiekujesz.

Noora obiecała i dopiero później dotarły do niej i zmroziły ją jego słowa. „Tak niewiele czasu ma przed sobą”.

Jak to się miało do podobno wielkiej pewności Maroutiego, że jego córka jest kimś niezwykłym, a jej talenty ujawnią się po okresie dorastania? Ojciec okłamał córkę, czy córka okłamała przyjaciółkę?

Wspinając się po schodach (krok na pół minuty, w ścisku nie dało się iść szybciej), Noora obrzuciła towarzyszkę uważnym spojrzeniem. Mała wyglądała na wystraszoną i zarazem przejętą. Z pewnością nie sprawiała wrażenia kogoś, komu zostało niewiele czasu. A jeśli... jeśli jednak tak było i Ellona Noorę okłamała, to Noora wiedziała, że dziewczynka zrobiła to jedynie po to, by nie martwić przyjaciółki.

- Jesteś smutna - odezwała się Ellona.

- Nie, wcale nie jestem.

Patrząc na małą, Noora przyrzekła sobie, że jeśli dziewczynka rzeczywiście ma nie przetrwać swojego pierwszego dorosłego Skoku, to nie zostawi jej samej w przeszłości. Że będzie przy niej do końca.

- Wyglądasz, jakbyś się miała zaraz rozplakać. Ja też jestem smutna, ale tylko trochę.

- Czemu?

- Nim dotrzemy na górę, moja suknia będzie cała pognieciona...

- Wschodzi pierwszy księżyc! - krzyknął ktoś z przodu. Wokół usłyszały westchnięcia podziwu.

Przezroczyście dotąd szkło kolumn oraz łuków zmętniało nagle

i szerniało. Zgasł czerwony blask słońca, a w zamian na tychże kolumnach oraz łukach rozjarzyły się księżycowym światłem niewidoczne dotąd ornamenty: wzory z kwiatów i twarzy, smoki i smukłe wodne stworzenia, zaplątane w dziewczęce włosy.

- Inoszyby! - rozległ się szept.

Niemniej jakkolwiek niewątpliwie piękne, ornamenty nie dawały wiele światła, wspinali się więc w półmroku jeszcze wolniej niż wcześniej. Wyciągając głowę ponad tłumem, Noora dostrzegła, że tam, gdzie zaczynało się wejście do głównych sal, jest znacznie jaśniej.

- Witamy w...

Była już wystarczająco blisko, by słyszeć słowa wypowiedane przez gospodarzy do każdej kolejnej fali gości, jednak umykał jej ostatni wyraz.

Witamy w czym? Ten bal był niewiadomą także dla córki Brina Issy.

Tęgi mężczyzna popchnął Ellonę i wymamrotał zdawkowe przeprosiny. Noora rzuciła mu mordercze spojrzenie. Wyczuwała, że ludzka ciżba robi się niespokojna, od strony jasno oświetlonych sal napływała woń kurzu i kwiatów, które zbyt długo stoją w niezmienionej wodzie. Powiało chłodem niosącym ze sobą zapaszek spaleniźny.

Ellona mocniej zacisnęła dłoń na dłoni przyjaciółki.

- Witamy w...

W czym, u licha?

Smród dymu stawał się coraz ostrzejszy, woń gnijących roślin dławiała oddech. Kilka osób odruchowo próbowało się cofnąć, lecz napierający tłum pchnął je do przodu.

- Witamy w przeszłości - usłyszała w końcu Noora.

## 8

Ściany w salach, w których trwało przyjęcie, nosiły ślady ognia: ściennie obicia zwisające w osmalonych strzępach, nadtopione złote i srebrne płytki, poczerniałe drogie kamienie. Na

posadzce rozlewały się błotniste kałuże. Było zimno, a na zakurzonych stołach prócz półmisek ze smakowicie pachnącymi potrawami stały także wazony pełne zwiędłych kwiatów.

- Mam ochotę na pieczoną gruszkę, wziąć ci te... aj! - pisnęła Ellona, kiedy ze stołu uniosła się chmura szarego pyłu. - Cały rękaw sukni mam teraz brudny... I buty przez to błoto też.

- Osobiście uważam, że bal w realiach przeszłości to uroczy pomysł - oznajmiła kobieta stojąca obok Ellony i Noory. - Bo przecież my wszyscy, którzy tak chętnie tracimy czas na zabawę, powinniśmy pamiętać, że nas także może spotkać odrzucenie. Ale - dodała konspiracyjnym szeptem - jeśli panienki chcą coś przekąsić, to niech lepiej idą do dalszych sal. Tam jest cieplej, nie ma błota, no i zapach - pociągnęła wymownie nosem - jest zdecydowanie przyjemniejszy.

W dalszej części rezydencji już bez problemów i w zdecydowanie miłszym otoczeniu zjadły owoce oraz kilka ciastek z kremem posypanym płatkami złota. Grała muzyka, choć Noora nigdzie nie widziała orkiestry. Po parkiecie największej sali sunęły pary, księżycowy blask rozpałał iskry w wypolerowanych do połysku skórzanych butach, paskach i bransoletach, ślizgał się po płatkach białych kwiatów, które kobiety wplotły we włosy na znak, że nastąpiła najzimniejsza, najbardziej mroczna pora roku. Drogie kamienie, niedbale naszyte na suknie i kamizelki, spadały z głośnym stukotem na parkiet przy gwałtowniejszych obrotach czy bardziej skomplikowanych figurach. Na głowy tancerzy ze sztucznych chmur sypał się sztuczny śnieg. A może prawdziwy śnieg sypał z prawdziwych chmur?

Pary znikwały w księżycowym półmroku jak korowód duchów, zamierało echo rytmicznych kroków i pozostawała tylko muzyka, a kiedy po zdawałoby się nieskończenie długim czasie tancerze pojawiali się znowu, Noora wcale nie miała pewności, że są to te same osoby. W głębi domu mogła następować wymiana, zmęczeni szli odpocząć w mniejszych, bardziej dyskretnych pokojach, by cieszyć się radością opiumowych fajek czy synestetycznych pastylek, ich miejsca na parkiecie zajmowali zaś inni tancerze, niemal identyczni, lecz o bardziej

energicznych ruchach. W przewijającym się przez liczne sale tłumie Noora szukała znajomych, ale dziś nie potrafiła ich rozpoznać. Dziś ludzie zdawali jej się - a może i samym sobie - jednym ciałem, składającym hołd zabawie niezależnie od tego, czy tańczyli, rozmawiali, czy też pogrążali się w sztucznych snach. Niektórzy nosili stroje wyzywające, niektórzy - jak Noora i Ellona - skromne, jeszcze inni, najwyraźniej wcześniej uprzedzeni o konwencji balu, przebrali się za nieszczęśników z przeszłości, straszących oczami podkrążonymi czarną kredką i strzępami brudnych ubrań. Lecz dziś nie miało to znaczenia, dziś wszyscy byli wybrani, najlepsi z najlepszych, bo otrzymali zaproszenie na Zimowy Bal.

- Tu jest jak w bajce - szepnęła Ellona, a Noora skinęła głową.

Dwaj młodzi mężczyźni poprosili je do tańca. Noorze wydali się interesujący - zwłaszcza starszy z nich, który nie miał oczu, a na ich miejscu znajdowały się płyty skóry wywiniete i pomalowane tak, że do złudzenia przypominały wyrastające z oczodołów kwiaty. Jednak gdy spojrzała w stronę Ellony, ta dyskretnie potrząsnęła głową.

- Nie mam ochoty teraz tańczyć - powiedziała, kiedy mężczyźni odeszli. - Najpierw chcę się tu trochę rozejrzeć.

- W porządku.

Krażyły więc po salach otoczone rojem świetlików, pijąc zimnego szampana i słuchając rozmów.

... uważam, że ten wystrój jest zdecydowanie niesmaczny...

... niektórzy wyglądają tu jak ciężko chorzy i nawet nie jest to pomysłowe. Za czasów mojej młodości lunapolijczycy potrafili uczynić cierpienie interesującym. Pamiętacie modę na umieranie? Znałam kiedyś kobietę, która zaraziła się gruźlicą i zrobiła z tego cały spektakl, biedaczka przetrwała w ten sposób kilkanaście Skoków, ale w końcu przesadziła i rzeczywiście skoła...

... nie przy szłabym tu, gdyby mnie ostrzeżono, jaka będzie konwencja balu, liczyłam na niespodziankę, a co dostałam? Smród przy wejściu, poczerniałe ściany...

... to największe zaskoczenie sezonu, nie sądziłem, że jeszcze

kiedykolwiek zobaczę w tym mieście coś świeżego...

... pomysł ciekawy i przy okazji inteligentny...

... daje do myślenia, prawda? Dzięki temu być może niektórzy uświadomią sobie...

Noora wyczuwała różne wibracje, podskórne prądy pchające jednych ludzi ku drugim. Bo tłum nie wydawał się już jednolity, teraz rozróżniała w nim grupki, kliki i koterie. Jedna z takich grupek zebrała się w salonie zwanym Ognistym, gdzie ściany zdobiły płaskorzeźby z płonącego świetlika, i dyskutowała o czymś zawzięcie. Dziewczęta nie bez problemów przepchnęły się przez tłumek aż do centrum całego zamieszania.

Centrum owym był jasnowłosy mężczyzna drobnej postury, a jednak wyglądający na silnego i zdecydowanego. Noora odniosła niejasne wrażenie, że skądś zna jego twarz, że już go kiedyś widziała.

Jednak pierwsza rozpoznała go Ellona.

- Ibris Marely - powiedziała.

## 9

- Podobał ci się, przyznaj.

- Wszystkim kobietom się podoba.

- Mnie nie. - Ellona wydeła usta. - Jest za stary.

- Dla mnie byłby w sam raz.

- No widzisz, mówiłam, że ci się podoba.

W kołyszącym się wnętrzu mechanoidu Noora wysunęła język. Jeszcze niedawno sądziła, że wyrosła z tak niemądrych przekomarzanek, lecz w towarzystwie Ellony powrót do dzieciennych zachowań wydawał się naturalny.

- Jeśli zostaniesz jego kochanką, prawdopodobnie każe ci nosić suknie zapięte aż pod szyję - prorokowała Ellona. - I nie będziesz mogła chodzić na przyjęcia, chyba że ze służącym, który będzie pilnował, czy nie robisz niczego niewłaściwego. Założę się, że Marely nazywa takie zachowanie „bronieniem honoru”, czytałam o tym w książkach.

- Co ty tam wiesz. Jesteś jeszcze dzieckiem.

- Nieprawda.

- Prawda. I zaraz, kiedy tylko dotrzemy do domu twojego ojca, pójdziesz spać. Na ciebie już najwyższa pora.

- Nie chce mi się spać - naburmuszyła się Ellona. - Wzięłam tabletkę i nic mnie nie boli. Mogłabym się bawić jeszcze przez pół nocy.

- Ale nie będziesz się bawić, tylko powędrujesz do łóżka jak wszystkie małe, grzeczne dziewczynki.

- Nie jestem małą dziewczynką!

Noora, której się zdawało, że to dalszy ciąg przekomarzanek, zmarszczyła brwi ze zdumienia. Dopiero teraz zauważyła, że Ellona traktuje rozmowę śmiertelnie poważnie, że oczy jej płoną, a twarz zacięta jest w wyrazie determinacji.

Chwyliła przyjaciółkę za rękę.

- Co ci się stało?

- Nie chcę iść spać - wymamrotała dziewczynka, odwracając głowę.

Noora zaczynała rozumieć.

- Z powodu snów, tak?

- Stają się coraz gorsze - chlipnęła Ellona. - Takie... straszniejsze i wyraźne. I trwają dłużej. Wiem, że to nic takiego, tato mówi, że mam się nie przejmować i być dzielna, i ja się staram, naprawdę się staram, ale czasem tak bardzo bym chciała, żeby choć przez jedną noc nic mi się nie śniło...

- Moje biedactwo. - Noora przesiadła się na miejsce obok dziewczynki, przytuliła ją i głaskała, dopóki mała się nie uspokoiła.

## 10

Przez trzy dni Tellis wstawała o brzasku i wykorzystując dzienne światło, przeszukiwała dom Issy. Marzła, ręce grabiły jej w nieogrzewanych pokojach, a kurz osadzał się w gardle, tak że wieczorem, gdy wpełzała do łóżka, rozmyślała, czy warto się tak poświęcać.

Zawsze jednak była metodyczna i sumienna. Postanowiła, że



najpierw przetrząśnie dom, a dopiero potem skupi się na zdjęciu. Może jeszcze znajdzie coś ciekawego, a może nie - w tym drugim przypadku, tłumaczyła sobie, i tak opłaca jej się godziny spędzone na poszukiwaniach, bo dzięki nim coraz lepiej poznawała Issę oraz jego dzieci. Czasu miała sporo, zwłaszcza teraz, gdy z Archiwum przyniosła dodatkowe butelki eliksiru Fabbiniego, a Mahameni nie miał dla niej żadnych ciekawych wieści.

Interesowały ją zarówno pomieszczenia najwyraźniej często używane przez rodzinę - zadbane salony, halle z miniaturowymi fontannami - jak i zagracone pokoje, o których najprawdopodobniej dawno zapomniano. Przeszukiwała je metodycznie, krok po kroku. Gdy pracowała, nie miała czasu myśleć o niczym poza swoim małym, prywatnym śledztwem. Dlatego nawet po zmroku próbowała kontynuować poszukiwania czegoś, co zdradziłoby jej sedno natury Brina Issy i naprowadziło ją na trop jego niewątpliwiej winy, w którą wierzyła, bo w coś wierzyć musiała. Szybko jednak dawała za wygraną. Noce były zachmurzone, z inoszyb płynęło niewiele światła, a jej oczy męczyły się przy blasku świecy czy lampy naftowej.

Dwa razy dziennie czekała na rozmowę z Mahamenim, a ponieważ odzywał się, nie mając nic ważnego do powiedzenia, tylko po to, by spytać, jak Tellis się czuje, karciała go, lecz nawet dla niej nie brzmiało to przekonująco. Za towarzystwem najbardziej tęskniła wieczorami, gdy trzeba było czymś wypełnić długie, ciemne i puste godziny. Kładła się wcześniej do łóżka i leżała owinięta w koce po czubek nosa, z butelką gorącej wody pod stopami. Obok chybotliwy płomyk topił wosk, który spływał mlecznymi łzami na blat stolika - płomyk tak maleńki, że nie rozpraszał mroku, stanowił jedynie punkt odniesienia, coś, na czym Tellis mogła zawiesić wzrok i dzięki czemu nie myliły jej się kierunki, gdy wstawała w głębokiej czerni nocy.

Leżała z otwartymi oczami, bojąc się nieuniknionych koszmarów i odpychając od siebie wspomnienia.

„Niektóre korporacje specjalnie oferują po niższej cenie dzieci o wielkim potencjale, ale trudne do prowadzenia”.

Któż mógł wiedzieć o tym lepiej niż ona? Jej własna córka była takim właśnie dzieckiem. Tellis zamówiła ją w Wieży Principium, gdy sama była jeszcze bardzo młoda i nie miała wiele pieniędzy - za to nieskończone, jak jej się wówczas wydawało, pokłady wiary we własną nieomyślność. Odebrawszy w siedzibie korporacji niemowlę zawinięte w kocyk, wracała do domu tak radosna, że gdyby nie słodki ciężar maleństwa, najchętniej podskakiwałaby na schodach.

Mała Erla za pomocą odpowiednich metod wychowawczych wyrosnąć miała na niebanalną osobowość, artystkę jeśli nie genialną, to przynajmniej intrygującą. I była intrygująca, o tak, niewątpliwie była. Wielkooka dziewczynka, która w ciemnych kątach mieszkania godzinami śledziła zaczajone pająki, a później rysowała je na wielkich płachtach papieru, w skupieniu, z językiem wysuniętym z przejęcia, zawsze sama, milcząca i zamknięta w sobie. Nie lubiła, by ją przytulać - jej ciało sztywniało wtedy, a ona odwracała głowę; nie lubiła, gdy do domu przychodzili obcy ludzie ani gdy matka zabierała ją na zewnątrz. Nie znosiła mnóstwa rzeczy i czasem, gdy miała szczególnie zły humor, podkreślała swoją niechęć, wrzeszcząc, kopiąc i gryząc.

Rozkręcała wszystkie zabawki, a potem układała ich części na posadzce, tworząc przedziwne, wijące się węzowo wzory lub mandale ze sprężyn, drutów i zębatach kółek. Kroiła jedzenie jak od linijki - chleb oraz mięso w kostkę, warzywa i owoce w podłużne paski, według zasad niepojętych dla zwyczajnego człowieka. Miała znakomity słuch, lecz piosenki traktowała jak zabawki: rozkręcała je, rozbijając na zdania i słowa, tak by z chaosu mogła powstać zupełnie nowa całość - zlepek wykrzykiwanych na schodach reklam, dzieciennych rymowanek i tęsknych ballad, mimo całej swej absurdalności jakimś cudem melodyjny.

Gdy Erla odeszła, zabrana przez Skok, Tellis pozostały płachty papieru z rysunkami pajaków, skłonność do przekręcania słów piosenek oraz wyrzuty sumienia - bo czasem, sfrustrowana, szarpała swoje dziwne dziecko za włosy i krzyczała mu prosto w twarz. Teraz w ciemności to wszystko wracało, cała winna i

kłeska wychowawcza, wszystkie chwile, gdy Tellis bezradnie patrzyła, jak dziewczynka oddała się od niej niczym lampion, któremu odcięto sznurek.

Czy Kaira była takim samym dzieckiem? Mało prawdopodobne, uciekła przecież z domu i radziła sobie sama, do czego Erla z pewnością nie byłaby zdolna. Lecz mimo to Tellis miała do córki Issy osobliwy sentyment.

W ciemności litowała się nad Kairą i nad samą sobą, przede wszystkim nad sobą.

Kiedy przychodziły te myśli, a przychodziły każdej nocy, wstawiała i owinięta kocem, wspinała się na dach. Stała potem, patrząc, jak z ust przy każdym oddechu unosi się para, i słuchała głosów umierającego miasta. W takich chwilach miała wrażenie, że ktoś stoi tuż za nią, ktoś cichy i ostrożny, oddychający w tym samym rytmie co ona. Wdech, wydech, wdech, wydech. Tak blisko, że mogłaby go dotknąć, gdyby się odwróciła.

Nie odwróciła się ani razu, ale polubiła tę ulotną, milczącą obecność.

## 11

Czwartego dnia, gdy przeszukała już dom Issy od piwnic aż po strych, Tellis wyszła na zewnątrz i zmrużyła oczy, bo słońce, to samo stare, czerwone słońce, na które tak często narzekała, wydało jej się niemal oślepiające.

Była głodna, uznała jednak, że zapasy uzupełni później. Najpierw skierowała się w stronę Wschodniej Stacji Mechanoidów, znajdującej się najbliżej domu Issy. Jej budynek oplatała częściowo ruchoma konstrukcja, przedstawiająca koto-, pso-, byko- i koniopodobne stworzenia. Mechanizm wciąż działał - składające się z dziesiątek rurek oraz prętów zwierzęta poruszały się ze zgrzytem metalowych stawów, potrząsając przy tym łbami. Żelazne i miedziane elementy lśniły w słońcu, zaskakująco czyste, jakby od Skoku minęło kilka godzin, a nie dni. Gdyby nie zacinająca się od czasu do

czasu konstrukcja i podejrzone trzaski dobiegające z wnętrza silnika, Tellis mogłaby ulec złudzeniu, że znajduje się w górnym świecie.

Stała przez chwilę, pozwalając sobie na odrobinę słabości, potem energicznie ruszyła przed siebie. Wewnątrz budynku, pod wysokim, gwiaździstym sklepieniem i oknami wyciętymi w kształt geometrycznych kwiatów, znajdowały się mechanoidy. Pośrodku te podobne do psów, połyskujące metaliczną czerwienią w kolumnach słonecznego blasku, nieco dalej te przypominające koty, przy ścianie i w mroku, gdzie ich oczy jarzyły się zielonkawo jak bagienne ogniki. Dziesięć sztuk psów i może z piętnaście kotów, a przecież kapitan pamiętała, że stały ich tu setki. W samej hali zniszczenia były już wyraźne - rozbite szyby przy kasach, poprzewracane stoiska sprzedawców zimnych i ciepłych przekąsek, gdzie wśród resztek gnijącej żywności buszowały wielkie jak palec karaluchy, plakietki z oznaczeniem poszczególnych torów kołyszące się leniwie na rdzewiejących łańcuchach.

Tellis znalazła sobie miejsce na obiegającej halę galerijce i czekała.

Godzinę później na stacji pojawił się przysadzisty i lekko łysiejący mężczyzna. Chodził wśród mechanoidów, pomrukując coś pod nosem. Oglądał je.

On badał mechanoidy, a kapitan badała jego. Uznała, że się nada. A zresztą jakie miała wyjście?

Zeszła z galerijki po ślimaczo skręconych schodkach, które wibrowały metalicznie pod jej stopami. Dźwięk był na tyle głośny, że zaalarmowany mężczyzna odwrócił się. Tellis zeskoczyła z ostatniego stopnia, zatrzymała się i pomachała mu uspokajającym - jak miała nadzieję - gestem.

- Jest pan animatorem?

Oczy miał czujne, mięśnie napięte, jakby w każdej chwili gotów był do ucieczki. Zabawne, bo jeśli ktoś tu kogoś powinien się bać, to prędzej Tellis jego.

Może nada się nawet bardziej, niż kapitan się wydawało.

- Tak, o co chodzi?

- Spóźnił się pan, prawda? - Powiodła spojrzeniem po

mechanoidach. - Większość już została zabrana. Wygląda na to, że oboje się spóźniliśmy, ale może znajdzie się tu jeszcze chociaż jedna sprawna sztuka.

- Czego pani ode mnie chce?

- Żeby podrzucił mnie pan w parę miejsc. Ja nie jestem animatorką.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

Mogłaby obiecać, że w zamian da mu kilka kropel odmładzającego eliksiru, to jednak byłoby niebezpieczne. Wolą, aby nikt nie wiedział, że ma coś tak cennego. Dlatego przyszło jej do głowy, że animator może się zgodzić z najprostszego w świecie powodu.

- Może dlatego - powiedziała - że i tak nie ma pan nic lepszego do roboty?

## 12

Zabrał ją do Hal, gdzie uzupełniła zapasy jedzenia, a potem do redakcji „Księżycowego Kuriera”. Animator został na zewnątrz, ona weszła do środka i odszukała archiwum wirofotografii. Było takie, jak zapamiętała - okrągła sala zwieńczona przeszkloną kopułą, pod ścianami wypełnione płytkami półki i ustawione przy nich drabinki, pośrodku zaś stoliki z wiroprojektorami. Miejsce, w którym swego czasu spędziła sporo godzin. Nie tutaj, oczywiście, lecz w innym, lepszym świecie, gdzie siedząc dokładnie na tym samym krześle, słyszała, jak korytarzami przebiegają goniący za sensacją dziennikarze, a cały budynek rozbrzmiewał ich lekko sztucznym, modulowanym śmiechem.

Zbiory „Kuriera” były bogate - najstarsze zdjęcia, doskonale zabezpieczone przed upływem czasu, a tym samym przed zabraniami przez Skok, sięgały okresu pierwszych eksperymentów z wirofotografią. Tellis dokonała w myślach szybkich obliczeń. Powinna znaleźć tu portrety ojca Issy i jego dziadka, a może nawet pradziadka.

W archiwum „Kuriera” panował porządek, ale i tak, nim

odszukała potrzebne płytki, zdążył zapaść szybki, wczesnozimowy zmierzch. Na szczęście świetliki w redakcji wciąż działały.

Pochylona nad obiektywem wiroaparatu, uważnie obejrzała zdjęcia trzech mężczyzn: Brina Issy, Brina Kareemy oraz Brina Udaja, to ostatnie co prawda dość ziarniste, ale wystarczająco wyraźne, by mogło potwierdzić jej teorię.

Siedziała, w zamyśleniu patrząc na szklaną kopułę, po której spływały pierwsze krople deszczu. Rozmieszczone sprytnie między zwykłymi szybami inoszyby lśniły zielonkawo niczym kocie oczy, księżycowy blask drgał i falował, rozmywając się w coraz gęściejszych strugach.

W ostatniej chwili przypomniała sobie o ustalonej godzinie rozmowy i zażyła środek.

*Zagapiłaś się?* - w jej głowie rozległ się dobrze znany głos.

*Trochę.*

*Co robisz?*

Przeglądałam zdjęcia przodków Brina Issy.

Po stronie Mahameniego zapadło milczenie. Tellis wychwyciła tylko strzęp zdania: *...czy zapytać...*

- Tak, możesz mnie o to zapytać - odparła na głos z wyraźnym rozbawieniem, po czym dodała już tylko w myślach:

*Prawdę powiedziazoszy, czekałam, aż to zrobisz.*

*Czemu tak cię interesują przodkowie Issy? Znaczy, ja rozumiem, rodzina zawsze ma znaczenie, ale mieliśmy przecież szukać haka na Issę, a nie na jego ojca czy dziadka, niezależnie od tego, co zrobili.*

*Nic nie rozumiesz. Issa, jego ojciec, dziadek i pradziadek to jedna osoba. Podejrzywałam to już wcześniej, ale teraz mam pewność. Oni wszyscy wyglądają tak samo.*

*Może to po prostu klonny. Zdarza się.*

*I każdy z tych klonów ma małą bliznę na płatku prawego ucha? Nie znamię, tylko bliznę, zwracam uwagę. Issa stara się zasłaniać ją włosami, ale znalazłam zdjęcia, na których jest wyraźnie widoczna. Poza tym widziałam próbki pisma Issy oraz Udaja. Są identyczne. A upodobania tego człowieka? Jego zamiłowanie do lamp naftowych, do starych,*

*niepotrzebnych rupieci?*

*To znaczy, że ile Issa ma lat? Doskonale wyobrazila sobie niedowierzanie w głosie Mahameniego.*

*Nie wiem, ale niewątpliwie bardzo dużo. Możliwe, że to najstarszy obywatel Lunapolis.*

*I co jakiś czas udaje śmierć, żeby potem pojawić się jako własny syn?*

*Owszem. Dlatego nie trzyma w domu zdjęć przodków. W razie czego mógłby się wykręcić, twierdząc, że podobieństwo wynika z tego, że jest klonem, i większość ludzi pewnie bez trudu by uwierzyła, ale z drugiej strony lepiej unikać niebezpiecznych pytań, więc stare fotografie powędrowały do kosza.*

*Ale w takim razie czemu nie przeszedł genozmiany? Nawet powierzchowna by wystarczyła, żeby się nie musiał bać żadnych pytań... Tym razem nie tylko sobie wyobrazila, ale niemal to usłyszała - zdumienie w głosie mężczyzny tak bezbrzeżne, że omal nie parsknęła śmiechem.*

*Bo ty nie rozumiesz takich ludzi. Dla ciebie wygląd nie ma znaczenia, a dla Issy ma bardzo duże.*

*Przymknęła oczy. Monotonne bębnienie deszczu o szyby uspokajało ją, pod powiekami rozkwitały powidoki złocistego blasku wirujących nad stolikiem świetlików. Zaczynała Issę rozumieć, jeszcze w sposób bardzo niedoskonały, bo wciąż wiele aspektów jego osobowości pozostawało przed nią zakrytych, lecz na pytanie Mahameniego potrafiła odpowiedzieć.*

*On sądzi, że właśnie taki, a nie inny wygląd pomoże mu osiągnąć Przebudzenie. Może nie tylko to, może wygląd w połączeniu z pewnymi cechami charakteru czy zdolnościami, ale niewątpliwie uroda ma dla Issy wielkie znaczenie.*

*A blizna na uchu? Są różne specyfiki, zabiegi...*

*Albo nie potrafił jej całkiem zlikwidować, bo była zbyt rozległa, albo uznał, że powinna zostać, bo ta minimalna wada podkreśla doskonałość całej reszty. On uważa się za ideał, przynajmniej pod względem fizycznym. O ile się*

*założysz, że jego wzór genetyczny będzie zastrzeżony? I dlatego tworzy na swoje podobieństwo tylko córki. Z jednej strony wciąż pragnie odtwarzać tę doskonałość, oglądać siebie jak w lustrze, a z drugiej pojawienie się identycznego genetycznie syna prowadziło do niebezpieczeństwa, bo co jeśli Przedksiężycowi wybraliby nie Issę, lecz jego potomka?*

*Przecież ten facet wygląda jak lalka. Chudy, niski, z wielkimi ślepiami... Takie oczy powinny mieć małe dziewczynki albo kocięta, ale nie mężczyźni.*

Tym razem Tellis musiała się roześmiać, zaraz jednak umilkła, gdyż jej głos zabrzmiał głucho w pustym pomieszczeniu.

### 13

Byli grupą nomadów podróżujących z domu do domu w wiecznym poczuciu czyhającego zagrożenia, rodziną jak sprzed czasów duszoinżynierii: z dwojgiem rodziców i gromadką zmartwychwstałych pociech. To Kaira wpadła na pomysł, by nadać dzieciom imiona ich zamordowanych poprzedników, a sieroty podchwyciły ideę z entuzjazmem. Być może czuły się dzięki temu inne, wyróżnione, a może doszły już do takiego etapu, że każda propozycja Kairy wydawała im się bezdyskusyjnie wspianała. Mieli więc nowego Ionne, który nie był już włamywaczem o zręcznych palcach, lecz animatorem, nową Arikol i nowego Tuira...

Jedenaścioro dzieci zwerbowanych na miejsce tych, które zginęły w noc Skoku. Kaira nalegała, aby zgadzała się ich liczba, a także by każdego kandydata szczegółowo testował telepata, w dawnym wcieleniu nazywający się Johar, a teraz Mirris. Finnen musiał zmienić zdanie co do tego wiecznie kulącego się nastolatka, który jednym tchem wyrzucał z siebie całe zdania i rzadko patrzył rozmówcy w oczy. Chłopak rzeczywiście nie był zbyt inteligentny, ale okazał się nadzwyczaj przydatny. I potrafił wykazać się niesamowitą cierpliwością. Gdy Kaira umówiła się z nim na placu Haków, a później nie przyszła na spotkanie, tkwił tam przez następne trzy dni, robiąc przerwy tylko na to,



by ukraść coś do jedzenia lub wypróżnić się w bramie. I doczekał się, bo dziewczyna wreszcie przyszła. Nie spodziewała się, że Johara na placu zastanie - liczyła co najwyżej na to, że ktoś wcześniej zwrócił na chłopaka uwagę i będzie potrafił powiedzieć, gdzie go szukać. A jednak Johar tam był, śmierdzący niczym człowiek z przeszłości i na wpeł przytomny ze zmęczenia, ale wciąż gotów entuzjastycznie zaoferować swoją pomoc.

Po nim przysłyły inne dzieci, wszystkie rozpaczliwie młode; młodsze nawet niż te, które zginęły w noc Skoku. Dziewczynki i chłopcy, którzy podróżując z domu do domu, nieśli ze sobą pamiątki po utraconych rodzicach. Mieli zabawki oraz ostre noże i używali ich z zaskakującą sprawnością, podrzynając każdego wieczoru gardła wypchanym szmatami kukłom. Finnen czasem się zastanawiał, czy równie łatwo przyjdzie im wbić ostrze w ciało człowieka. Miał nadzieję, że tak, i miał nadzieję, że nie, i wiedział, że prawdopodobnie tak, w oczach dzieci płonął bowiem ten sam ogień, który w tamtych dniach sprawił, że Kaira z dziewczyny co najwyżej ładnej stała się piękną.

Była słońcem, wokół którego członkowie ich niewielkiej grupki krążyli niczym planety. To ona podejmowała najważniejsze decyzje, jej pomysłem było spędzanie każdej nocy w innym miejscu. Finnen uważał, że to bez sensu, że przenosząc się w ten sposób, prędzej zwrócą na siebie uwagę, niż unikną zagrożenia ze strony straży miejskiej, lecz ona nie dała się przekonać. A Finnen nie próbował z nią walczyć. Od Kairy bił żar wiary we własny wybór, poczucie słuszności, które spopielało najmniejszą próbę buntu.

Chłopak codziennie zdierał sobie buty, przemierzając Lunapolis w poszukiwaniu dawnych kolegów-artystów. Niektórych zabrał Skok, inni nie poznawali go albo przynajmniej tak twierdzili. Jeszcze inni witali gościa serdecznie, by zaraz zacząć się nerwowo żegnać, gdy tylko dowiadywali się, że Finnen przeszedł genozmianę i jest teraz art-zbrodniarzem.

Znalazło się jednak i sporo takich, którzy słuchali, co chłopak ma do powiedzenia.

W tym samym czasie Kaira odwiedzała Muzeum Sztuki

Użytkowej, gdzie jednym z eksponatów była głowa zawierająca osobowość Gurleena. Stała na postumencie w bocznej, cichej salce, otoczona szybami z hartowanego szkła. Teoretycznie powinny one całkowicie tłumić dźwięki, lecz dziewczyna odkryła szparę pomiędzy dwiema taflami. Gdy przyłożyła do niej ucho, słyszała słowa starego nauczyciela, a gdy przykładła usta, on z kolei słyszał ją. W ten sposób rozmawiali - czasem zdążyli zamienić ledwo parę słów, a czasem, gdy mieli szczęście i strażnik przysnął nad układanką logiczną, mogli gawędzić nawet przez kilkanaście minut.

Dwa razy dziewczyna o włos minęła się z inną osobą, która również przychodziła porozmawiać z Gurleenem. Jednak osoba ta nigdy nie zostawała długo.

## 14

*Tellis?*

*Tak?*

*Nie wiem, czy to ważne...*

*Prawdopodobnie nie, pomyślała odruchowo, znów zapomniawszy, że Mahameni ją słyszy. I znów przejęła się tym, bardziej niż powinna. Ich śledztwo posuwało się w tak ślimaczym tempie, że bywały chwile, gdy kapitan bała się, iż któregoś dnia Mahameni zrezygnuje i przestanie się do niej odzywać.*

*Mów.*

*Jest taki człowiek, Ibris Marely. Ostatnio co się otworzy gazetę, to on tam jest. Wiesz, wywiady, zdjęcia, artykuły...*

*Jakaś nowa znakomitość? Tellis wciąż nie czuła się szczególnie zainteresowana. W Lunapolis ludzie szybko stawali się modni i równie szybko o nich zapominano.*

*Coś w tym rodzaju, ale facet jest specyficzny. To żaden artysta, tylko inspektor do spraw wewnętrznych straży miejskiej. I szalenciec skokowy. Kiedy jego poprzednia osobowość nabroila, sam napisał na siebie donos, żeby sędzia oczyścił go z zarzutów. Wyobrażasz sobie? O niczym innym*

*się teraz nie mówi. Gazety nazywają go ostatnim sprawiedliwym człowiekiem w Lunapolis.*

*Ładnie - przyznała Tellis. - I zarazem zupełnie bez sensu. Co z nim?*

*Mówi się, że on też ma na oku Issę. Jak my.*

*Skąd to wiesz?*

*Mahameni najprawdopodobniej wzruszył ramionami.*

*Chodzą takie plotki.*

*Plotki niewiele nam dadzą, stwierdziła, a potem, ponieważ strach przed samotnością znów zajrzał jej w oczy, dodała: Ale dobrze, że mi powiedziałeś. Coś jeszcze?*

*Mehus zawahał się.*

*W Lunapolis panuje strasznie napięta atmosfera. Ostatni Skok przyszedł za szybko, ludzie są podenerwowani. Nie wiem, co z tego będzie.*

*Na to i tak nie mamy wpływu.*

*Nazwisko Ibrisa Marely'ego zapamiętała. Człowiek, który „miał na oku Issę”, cokolwiek to znaczyło, mógł się okazać potencjalnym sojusznikiem.*

## 15

„Tyle się ostatnio zdarzyło - napisał Pantalekis - że prawie całkiem zapomniałem o moim dzienniku.

Pora go uzupełnić.

Mam teraz nową tożsamość. Nazywam się Jesry Mehta, a od Brina Issy dostałem stosowne dokumenty. Mogę więc wychodzić z domu, pod warunkiem że wszystkim nowo poznanym osobom tak się będę przedstawiał i nikomu nie powiem, że pochodzę z innego świata. Oficjalnie zostałem stworzony przez korporację Okaleczonych, która odebrała mi urodę, a w zamian dała gen szczęścia. Issa twierdzi, że trzeba jakoś wyjaśnić, skąd mam taką paskudną gębę. Powinienem się wkurzyć, ale raczej mnie to rozbawiło. Od dawna wiem, że nie jestem jakoś szczególnie przystojny, zdążyłem się już przyzwyczaić, a poza tym moja brzydota ma dla niektórych

kobiet szczególny urok, więc czego tu żałować? Przynajmniej się wyróżniam na tle tych wszystkich gładkich buziek.

Ten gen szczęścia to jakiś dowcip, jak przypuszczam. Ludzie, którym mówię, że go mam, twierdzą, że niczego takiego w ofercie Okaleczonych nie ma. Wtedy - zgodnie z tym, co poradził mi Issa - robię tajemniczą minę i mówię: specjalna okazja, a oni wytrzeszczają na mnie ślepią i zienienieją z zazdrości.

I mają czego zazdrościć, bo przecież ja naprawdę jestem szczęściarzem, choć żadna z korporacji nie ma z tym nic wspólnego.

Issa ufa mi trochę bardziej. Na początku, kiedy wychodziłem z domu, zawsze towarzyszył mi Niraj albo któryś z mechanicznych służących. Teraz mogę chodzić sam, tylko po powrocie podlatuje do mnie ten stwór, telepata, i czyta moje myśli, żeby się przekonać, czy nikomu nic nie chlapnąłem.

Ciekawe, co Issa by zrobił, gdybym jednak chlapnął? Zamknąłby mnie w piwnicy i rozpuścił wieści, że mam nie po kolei w głowie? Wymazałby pamięć ludziom, z którymi rozmawiałem? A może kiedy wychodzę na zewnątrz, to tak naprawdę wcale nie sam, może śledzi mnie ktoś, kto umie zniknąć w tłumie? Tak czy inaczej Issa sprawia wrażenie cholernie pewnego w swoim przekonaniu, że potrafi trzymać mnie na smyczy, i to irytuje mnie znacznie bardziej niż aluzje do mojej brzydoty. Aż czasem mam ochotę udowodnić facetowi, że się myli.

Ale tego nie zrobię. Nie jestem idiotą. Może później, kiedy już połapię się, na jakich zasadach działa świat, w którym się znalazłem. Na razie za mało wiem, żeby sobie tu poradzić samemu.

Inna rzecz, że niespecjalnie mam teraz ochotę wychodzić gdziekolwiek. Ludzie w mieście zrobili się niespokojni, czasem przyłapują ich, jak gapią się na mnie wilkiem albo szepczą za plecami, a raz jakiś małolat napluł mi na nowe skórzane buty. Pytałem Issę, co jest grane, a on na to, że jestem za bogato ubrany, ostatnio zaś tu takich nie lubią.

Mówi, żebym się nie przejmował, więc się nie przejmuję. Mam to gdzieś.

Codziennie Niraj ćwiczy ze mną walkę czymś, co tutaj nazy-

wają *darakką*. To biała broń z regulowanym ostrzem - można je wydłużać albo skracać wedle woli albo też zupełnie zablokować i wtedy powstaje coś w rodzaju miecza, mniej więcej takiego, jaki widziałem u kochanka Sarimel. Niraj wścieka się na mnie, bo lubię krótkie ostrze, jak nóż. Walczyłem już kiedyś nożem i nieźle mi szło. Długie to idiotyzm, czuję się wtedy jak postać z historycznego holowidu.

Po ćwiczeniach czasem siedzimy jeszcze i gadamy. Wyciągam z Niraja różne informacje. Dziś na przykład dowiedziałem się, że mój »idealny zestaw genów«, jak to nazywa Issa, odziedziczyłem po przodku, który urodził się w tym świecie i przeszedł pełny cykl aż do Przebudzenia. To dlatego nie grozi mi pozostanie z tyłu podczas Skoku, dlatego mam szczęście i dobrze widzę w półmroku.

Swoją drogą gdyby Niraj nie zwrócił mi uwagi, sam bym pewnie na to nie wpadł. Rzeczywiście, tu nigdy nie jest naprawdę jasno - nawet za dnia, w słońcu, a tym bardziej nocą, przy blasku inoszyb czy świetlikach. Ludzie z mojego świata - taka Katerina na przykład, czy Ivain - bez latarek czuliby się tu jak półślepi. Ale ja nie.

Co nie znaczy bynajmniej, że wierzę Nirajowi. Jego teoria sprawia wrażenie zwariowanej, chociaż z drugiej strony... kto wie? Byłoby to jakieś wyjaśnienie.

Dziś też dowiedziałem się, że nie można tu zbić majątku tak, jak myślałem, czyli schodząc do odrzuconych światów i zabierając stamtąd kopie tego, co oni tu uważają za dzieła sztuki (a mogą to być na przykład skórzane buty czy spódniczka). Liczyłem, że takie kopie można by sprzedać z zyskiem, ale nie - Niraj powiedział mi, że najcenniejsze dzieła są zabezpieczone jak wynalazki Archiwum, które rozpadają się w pył przy próbie wyniesienia na górę, a te mniej cenne nawet po krótkim pobycie w przeszłości noszą już ślady rozkładu, łatwe do wykrycia przy badaniu eksperta.

Najwyraźniej moje szczęście ma swoje granice. Zresztą co by mi przyszło z tutejszych »dzieł sztuki« czy pieniędzy? Przecież wrócę na Kerberosa, a tam będą warte tyle, co każdy wystarczająco niezwykły produkt tej cywilizacji. Po co więc w

ogóle o czymś takim myślę?

Może dlatego - kreślił litery szybko, niespokojnie - że zaczynam godzić się z tym, że zostanę tu do końca życia".

Dopiero gdy spojrział na napisane słowa, zrozumiał, że to prawda. Zrobiło mu się żal, ale stłumił go, pochylając się nad kartką i gryzmołąc zawzięcie.

„Właściwie dlaczego nie? Mógłbym się całkiem nieźle urządzić, no i ciekawe, jak będzie wyglądało to ich Przebudzenie. Ale wtedy musiałbym znaleźć sposób, żeby wbrew Issie powiedzieć ludziom, kim naprawdę jestem. Skoro mam tu zostać, to nie jako przeciętniak. Wtedy dopiero miałbym powodzenie u kobiet! Noora wydawała się całkiem chętna...”.

Właśnie: wydawała się, bo potem nagle, ni z tego, ni z owego, zrobiła się zaskakująco cnotliwa. Daniel pluł sobie w brodę, że nie wykorzystał okazji wcześniej. Miło byłoby dla odmiany przespać się z kimś innym niż jaskrawo ubrane akrobatki, które podrywał na placu Żonglerów, hojnie szafując pieniędzmi Issy. Powstrzymała go jednak myśl o Issie, który prawdopodobnie nie byłby zadowolony z tego, że przybysz z innego świata bałamuci mu córkę. Pantalekis bał się tego człowieka, jakkolwiek niechętnie to przyznawał. Nawet teraz rozglądał się niespokojnie, jakby spodziewał się, że Issa dzięki sobie tylko znanym sposobom przeczyta jego wpis w dzienniku, zrozumie go i uzna za próbę buntu.

Zaczynasz popadać w paranoję, pomyślał Daniel, jednak ostatnią kartkę podarł i spalił w piecyku. Poczul się lepiej, gdy zniknęła.

Najważniejszego, czyli sekretu, jaki niedawno odkrył, nawet nie próbował zapisywać. Zastanawiał się za to, w jaki sposób najlepiej go wykorzystać. Miał do wyboru zagrać przeciwko Issie albo po jego stronie i jak zawsze w przypadku podobnych wątpliwości rzucił monetą.

Jednak bogowie tego świata najwyraźniej nie mieli swojego zdania, bo pieniążek spadał raz na jedną, raz na drugą stronę.

Wyglądało na to, że Pantalekis zdany jest na samodzielną decyzję.

Za niewyjawianiem sekretu Issie przemawiało, że Daniel

zwyczajnie sukinsyna nie lubił. Za wyjawieniem - Issa zapewne prędzej czy później dowie się prawdy, a wtedy będzie miał pretensje, bo domyśli się, że gość musiał ją znać wcześniej. Pantalekis tak często przebywał z Nirajem, że trudno byłoby przegapić... pewne oznaki.

A więc powiedzieć czy nie?

Zwyciężył rozsądek. Jeśli istniał sposób, by zjednać sobie Issę i pokazać mu, jak bardzo Pantalekis jest lojalny, należało to zrobić.

## 16

Animator wraz ze swoim kotopodobnym mechanoidem zjawiał się pod drzwiami Tellis każdego ranka. Czasem go odprawiała, ale częściej przyjmowała pomoc i razem, skryci w brzuchu metalowego stwora, przemierzali coraz cichsze miasto. Mężczyzna wydawał się apatyczny, pogodzony z losem. Tellis na początku próbowała z nim rozmawiać, lecz odpowiadał burknięciami, tak że wkrótce zaczęła go uważać jedynie za przedłużenie mechanoidu, coś na kształt obdarzonego inteligencją silnika.

Na imię miał Sumil i była to jedyna informacja, jaką zdołała z niego wyciągnąć. Nie wiedziała, dlaczego wciąż jej pomaga, czemu przychodzi każdego ranka, a potem czeka z tępą cierpliwością, bez słowa skargi, w każdym miejscu, w jakim każe mu na siebie zaczekać. Liczyło się to, że dzięki niemu mogła szybko docierać w różne punkty miasta.

Obejrzała niszczącą kawiarnię, w której dawno temu spotykali się członkowie Stowarzyszenia Wolnomyślicieli.

Sprawdziła rejestry najpopularniejszych korporacji i odkryła, że Issa przeszedł kilkanaście genozmian - być może nawet więcej, lecz zapiski sięgały tylko dziesięciu Skoków wstecz. Tak jak się spodziewała, nigdy nie zmieniał wyglądu zewnętrznego, lecz jedynie cechy osobowości oraz uzdolnienia.

Znalazła także potwierdzenia zamówienia, a później odbioru przez Issę dzieci, wszystkich z wyjątkiem Kairy. Która korpora-

cja stworzyła tę dziewczynę? A kto stworzył samego Brina Issę? To także stanowiło tajemnicę.

W Muzeum Sztuki Użytkowej trafiła także na coś niezwykle przydatnego - przestarzały, dawno nieużywany, lecz na szczęście wciąż działający sprzęt do powiększania zdjęć. Zwykłych zdjęć, nie wirofotografii, pamiętała takie urządzenia z czasów dawno minionego dzieciństwa i wciąż potrafiła je obsługiwać. Wyczyściła go na tyle, na ile było to możliwe, zamknęła rybie łuski przesłony w oknach i włączyła urządzenie.

Aparat ożył z cichym pomrukiem, rzucając na ścianę zbiorowy portret członków Stowarzyszenia Wolnomyślicieli. Obraz był lekko rozmazany, drgający, w kilku miejscach, w których Tellis nie udało się doczyścić sprzętu, poznaczony ciemnymi plamami, a mimo to i tak o niebo wyraźniejszy niż fotografia wielkości ludzkiej dłoni. Drobinki kurzu wirowały w snopie jaskrawożółtego światła, w budynku muzeum panowała niczym niezmacona cisza. Tellis usiadła na biurku, dziwnie wzruszona. Wróciły dni, gdy była małą dziewczynką i tak właśnie, w mroku i pełnym napięcia milczeniu, oglądała wraz z rodzeństwem powiększane zdjęcia.

Chwila szybko minęła, wspomnienia odeszły. Cisza była ciszą samotności, a nie oczekiwania pośród braci i sióstr, mrok miał w sobie chłód umierającego świata.

Tellis patrzyła na zdjęcie.

Kim byli ci młodzi chłopcy i dziewczęta? Co łączyło ich z Brinem Issą?

I przede wszystkim najważniejsze pytanie ze wszystkich: dlaczego mężczyzna zachował właśnie tę fotografię?

Bo ze Stowarzyszeniem Wolnomyślicieli wiązały się jakieś szczególnie przyjemne wspomnienia? A może odwrotnie, może Issa zachował zdjęcie na przykład po to, by szantażować jedną z obecnych na nim osób? Jeśli tak, to kogo? I czemu trzymał kartonik tak długo? Szantaż oznaczałby, że Issa albo o fotografii zapomniał, bo szantażowany zmarł i teraz zdjęcie na nic już nie mogło się przydać, albo też jeden z członków stowarzyszenia był równie długowieczny jak ojciec Kairy.

Tellis patrzyła na zdjęcie.



Istniała jeszcze inna możliwość - że Issa zachował je nie ze względu na sentymenty czy chęć szantażu, lecz z powodu konkretnej osoby. Kogoś, kto był dla niego bardzo ważny, a kto znajdował się tylko na tym jednym jedynym zdjęciu.

Dziewczyny?

Jedna z młodych kobiet stała nieco z boku, odwracając głowę od obiektywu. Ciemne, opadające włosy zasłaniały jej pół twarzy. Wyglądała na speszoną, w jej sylwetce wyczuwało się napięcie. Sąsiadka trzymała ją za rękę, co w pierwszej chwili można było wziąć za zwyczajny przyjacielski gest, lecz im dłużej Tellis patrzyła, tym większą zyskiwała pewność, że koleżanka ciemnowłosej stara się powstrzymać ją przed ucieczką.

Dziewczyna, która nie lubiła aparatów fotograficznych i która na zdjęciu znalazła się tylko raz, namówiona, może niemal zmuszona przez przyjaciół ze stowarzyszenia?

Neru Geeta, Tellis przywołała w pamięci jej imię, bo przy pomocy Mahameniego zdołała już dopasować nazwiska do twarzy. Przeniosła wzrok na Issę i tak... teraz zauważyła, że ojciec Kairy zerkał w stronę Geety. Uśmiechał się nawet, jakby chciał dodać jej otuchy.

Wieczorem jak zwykle odezwał się Mehus.

*Sprawdzam po kolei potomków ludzi, którzy należeli do stowarzyszenia, ale to cholernie długa lista. Jak dotąd nie trafiłem na nikogo, kto pamiętałby cokolwiek z opowieści rodziców albo miał w domu gazetki z tamtych czasów czy coś. Jutro czeka mnie wizyta u wnuka Kushmiego...*

*Zostaw go w spokoju i poszukaj spadkobierców Neru Geety. To ta dziewczyna na samym końcu, z włosami opadającymi na twarz. Czemu?*

Tellis mu wytłumaczyła.

Telepata unosił się pod sufitem na czymś, co do złudzenia przypominało złotą tacę. To właśnie był jego warunek, gdy zgadzał się na pracę dla Issy. Nie chciał pieniędzy, lecz jedynie

by Issa wypożyczył dla niego z Archiwum wynalazek zwany Skrzydlatym Dyskiem. Podobno od wczesnego dzieciństwa marzył o lataniu. Miał umysł kilkulatek, skarłate ciało z rachitycznymi kończynami i dla odmiany normalnej wielkości głowę przystojnego młodzieńca, w której uwagę przyciągały wielkie, błękitne oczy oraz zmysłowe usta, teraz rozciągnięte w pełnym zadowolenia uśmiechu. Dyskiem sterował za pomocą ruchów ciała, zręcznie lawirując pomiędzy kolumnami sali balowej.

Issa poczekał, aż dysk znajdzie się nad jego głową, po czym wyciągnął rękę i chwycił telepatę za kostkę. Kruche dziecięce ciało runęło na posadzkę, zza czerwonych warg wyrwał się wrzask.

- Ostatni raz zatrudniłem takiego żalostnego pędraka jak ty. - Issa trącił karła czubkiem buta. Telepata przewrócił się na plecy, odsłaniając wrażliwy brzuch. W błękitnych oczach malowało się zdumienie.

- Co złego zrobiłem?

- Kiedy czytałeś mojego syna, co zauważyłeś?

- Nic, panie. Jest ci oddany, nie myśli zdradzać twoich tajemnic.

- To wiem. Pytam, czy zauważyłeś coś niezwykłego w jego osobowości?

- Osobowości, panie?

- Nie udawaj większego idioty, niż jesteś. Wiesz, co to osobowość. Czy Niraj wydał ci się w jakiś sposób inny od pozostałych ludzi, których czytasz?

- Inny, tak. Inaczej myśli, jakby dwóch różnych ludzi. Ale żaden nie chce zdradzić...

Issa kopnął telepatę w twarz, ciesząc się z przypływu intensywnej wściekłości. I jeszcze raz. I jeszcze.

Gniew szybko opadł, a na jego miejsce wkradło się dobrze znane Issie znużenie i poczucie bezsensu tego, co robi.

Wyszedł, pozostawiając karła łkającego na posadzce.

Wraz z nastaniem mrozów pojawiły się w Lunapolis pierwsze rysunki. Na schodach, na ścianach budynków pod rurowatymi konstrukcjami i na samych konstrukcjach. Powstawały błyskawicznie, w kilka-kilkanaście minut, gdy miasto pustoszało o świcie. Były proste, nierzadko wręcz prymitywne i celowo karykaturalne, lecz robiły wrażenie.

Jeden, wymalowany farbami na Schodach Aylena - tak sprytnie, że widać go było tylko z pewnej odległości i pod odpowiednim kątem - przedstawiał wysoką, chudą postać w czarnym płaszczu z kapturem. Postać trzymała w kościstych rękach przerażonego człowieka, którego wykręcała niemiłosiernie na wszystkie strony. Pod stopami zakapturzonego spoczywała figurka podobna do lalki z połamanymi rękami i nogami; wywrócone białka oczu oraz otwarte usta sugerowały kogoś martwego. Podpis nabazgrany czerwonym, krzyczącym kolorem głosił: „Niedoskonały = śmieć”.

Inny obraz, tym razem na ścianie Archiwum, przedstawiał dwie zakapturzone postacie, które przebierały w gromadce maleńkich ludzików. „Nie, ten mi się nie podoba” - mówiła jedna. „Móglby mieć większe oczy. A może raczej mniejsze?” - odpowiadała druga. - „Tak czy inaczej, jest do kitu. Wrzucmy go w przeszłość”.

Te i podobne rysunki szybko zostawały zmyte, ale wcześniej widziało je mnóstwo ludzi. Informacje o każdym kolejnym graffiti rozchodziły się lotem błyskawicy i ledwo powstało, już gromadził się przy nim komentujący tłum. Nikt nie wątpił, że owe zakapturzone postacie to Przedksięzycowi, nikt też nie wiedział, kto był autorem rysunków. Podejrzewano kilka grup alternatywnych artystów, a nawet paru znanych mistrzów, o których mówiono, że znudziła im się wielka sztuka. Albo - ta opinia szybko zaczęła przeważać - że ruszyło ich sumienie i zamiast tworzyć za pieniądze, postanowili powiedzieć ludowi prawdę.

W tym samym czasie w Lunapolis pojawiły się zdjęcia dziewczyny, która stała się znana jako Jarisel. Fotografie - od

niewielkich aż po płachty zajmujące całe ściany - wieszano tak, jak malowano obrazy: chyłkiem, o świcie, z dala od oczu patrolujących strażników. I tak jak w przypadku rysunków, nic nie pomagało, że władze miasta szybko nakazywały je zdjąć, gdy tylko zniknęły bowiem jedne zdjęcia, zaraz w innym miejscu pojawiały się nowe. Twarz Jarisel zdobiła przez pewien czas słupy ogłoszeniowe na siedmiu najważniejszych placach Lunapolis, jej wielkie oczy spoglądały z przesł co niższych podniebnych traktów, a ludzie znajdowali malutkie fotografie ukryte w menu restauracji oraz w bukietach kupowanych kwiatów.

Finnen musiał przyznać, że dziewczyna została dobrana idealnie. Nie była piękna ani nawet szczególnie ładna, ot, zadartonosy podłotek, obdarzony przez źle opłaconych duszozinynie- rów mnóstwem piegów oraz zbyt szerokimi ustami, z grzywą splecionych włosów, które nadawały jej wygląd nastroszonego kociaka. Było w niej jednak coś niezwykle sympatycznego, tak że na widok smutnej buzi - która, co każdy dostrzegał, powinna przecież być zabawna - ścisnęło się serce.

Jarisel miała na sobie typowy strój ludzi z przeszłości: zabłocone, trudne do zidentyfikowania szmaty, bluzki czy koszule pozakładane jedne na drugie, by zachować ciepło w nieogrzewanych pomieszczeniach. Była brudna i wychudzona. Podpis pod zdjęciem, identyczny na wszystkich fotografiach, głosił: „Czy naprawdę sobie na to zasłużyłam?”.

Wraz z nastaniem mrozów Jarisel stała się jedną z najpopularniejszych osób w Lunapolis. Śpiewano o niej piosenki, w których mnóstwo zwrotek poświęconych zostało okrucieństwu Przedksiężycowych, a groszowe powieści o losach nieszczęśnicy rozchodziły się jak ciepłe bułeczki. Ludzie spontanicznie organizowali zrzutki „na jedzenie i leki dla biednej dziewczyny”, która została w przeszłości. O ile Finnen wiedział, żadna z paczek nigdy do celu nie dotarła. Prawdziwa Jarisel, ze zmienionymi rysami twarzy, ciemniejszą skórą oraz innym kolorem włosów, żyła sobie spokojnie w Lunapolis, odrzucone światy widując co najwyżej na zdjęciach.

Nieznani artyści nie ograniczali się jedynie do bazgrania po

ścianach oraz rozprowadzania i wieszania portretów. Przeprowadzali także ambitniejsze akcje. I tak któregoś szczególnie mroźnego ranka na placu Aylena stanął ruchomy tryptyk z lodu - wcześniej przygotowany, a potem naprędce złożony - który wymownie zatytułowano: *Zbrodnie Przedksiężycowych*. Nim został przez przedstawicieli służb porządkowych obłożony drewnem, podpalony i stopiony, zobaczyło go kilkuset ludzi, kolejne zaś tysiące obejrzały przekazywane z rąk do rąk płytki wirofotograficzne.

Innym razem wieczorem przez plac przeszedł osobliwy korowód: kilkanaście płaczących i drących na sobie ubrania osób poganianych przez pięć czy sześć postaci na szczudłach, w czarnych, powiewających płaszczach z kapturami. Każda z nich na ramionach miała zamontowany stelaż, na którym wznosiła się czaszka wyrzeźbiona z drewna płonącego świetlika. W mroku, kołysząc się wysoko nad ziemią, gorejące czerepy wyglądały tak upiornie, że przypadkowi przechodnie w panice wpadali na siebie, byle tylko zejść czarnym płaszczom z drogi.

Za korowodem podążała grupa muzyków grających ostrą, jazgotliwą muzykę, zaś w tym samym czasie dzieci, których twarze podczas przesłuchań nikt nie potrafił sobie przypomnieć, rozdawały błękitne ulotki.

Artyści zniknęli w cieniu bocznych schodów, a kilka dni później nierejestrowana nigdzie trupa teatralna dała w podcieniach uniwersytetu przedstawienie zatytułowane *Przebudzenie oraz inne nieszczęścia przez Przedksiężycowych spowodowane*. W połowie drugiego aktu na scenę wpadła straż miejska, jednak udało się aresztować tylko inspicjenta, zbyt tłustego, by mógł szybko uciekać. W Arkadii wyznał on, że do pracy zaangażował go człowiek przedstawiający się jako „Syn Aylena”, lecz niczego więcej o nim nie potrafił powiedzieć.

Uważny obserwator być może dostrzegłby, że twarze aktorów są zaskakująco podobne do twarzy ludzi, którzy szli w korowodzie, poganiani przez postacie na szczudłach.

Wkrótce w Lunapolis odnotowano pierwszą ofiarę narastającej niechęci do Przedksiężycowych. Był nią specjalista od

bakterii, który pracując w laboratorium, zaraził się trędem i zamiast chorobę wyleczyć, jedynie zahamował jej rozwój, sądził bowiem, że tak niezwykle kalectwo zapewni mu przychyłność Przedksiężycowych. Pokrytą guzami twarz chętnie prezentował na towarzyskich imprezach, lecz gdy chodził po mieście, zazwyczaj wkładał płaszcz z obszernym kapturem.

Znaleziono go powieszzonego na latarni przy placu Zegarów. Wisiał do góry nogami z drutem oplecionym wokół kostek, a krew z poderżniętego gardła tworzyła pod nim krzepnącą kałużę. Morderca umoczył w niej róg płaszcza i napisał na bruku: „Oprawca”.

Były kolejne przypadki. Pewnego mężczyznę pobito, gdy wracał nad ranem do domu, kobieta została wypchnięta z podniebnego szlaku, inna zaś stanęła w płomieniach, gdy na Schodach Solnych ktoś podbiegł do niej, oblał naftą, a potem rzucił zapalną. Wszystkie ofiary łączyło jedynie zamiłowanie do ciemnych płaszczy z kapturem, jakie na popularnych ilustracjach nosili Przedksiężycowi.

Zdarzały się także drobniejsze incydenty: napisy na murach, wśród których powtarzało się „Pozwólcie nam być sobą!” oraz „Pierdolić Przed księżycowych”, okna wybijane w Archiwum oraz w wieżach co bardziej popularnych korporacji, wreszcie - to już było poważne - kolejne trzy czy cztery morderstwa, których sprawcy przesyłali prasie komunikaty w rodzaju: „Nie myślcie, że to sztuka. Zabiłem, bo sukinsyn był wyjątkowo wredny”.

Jednak największą sławą obok Jarisel w tamtych mroźnych, wczesnozimowych dniach cieszył się mężczyzna o imieniu Gashrami. Pewnego dnia pojawił się na placu Siepaczy w towarzystwie czterech identycznych młodzieńców, z których co najmniej jeden musiał być brzuchomówcą.

Gashrami rozłożył na środku placu matę, rozebrał się, prezentując ładnie ukształtowane białoskóre ciało, i rozpoczęło się przedstawienie.

„Jak sądzicie - zapytał w imieniu milczącego nagusa brzuchomówca - czy jestem wystarczająco doskonały, żeby dotrzeć do Przebudzenia?”.

Pytanie powtarzano przez kwadrans, aż wokół mężczyzny na macie zebrał się zaintrygowany tłumek. Wówczas brzuchomówca dodał: „Nie jestem utalentowany w żadnej dziedzinie, nic nie potrafię, mam tylko to ciało. Sądźcie, że wystarczy?”.

W tłumie rozległy się chichoty i szepty, wreszcie ktoś krzyknął: „Nie!”.

„A gdybym był dziwniejszy?”.

Po czym jeden z pomocników wyjął z kieszeni ostry nóż, włożył go Gashramiemu do ust i naciął mu policzki, poszerzając uśmiech aż do uszu. Drugi zmył krew, która szybko przestała płynąć - część świadków twierdziła potem, że tak wielkie panowanie nad ciałem Gashrami zawdzięczał sztuce medytacji, inni, bardziej cyniczni, uważali, że mężczyzna został zaprojektowany do tego, aby znosić cierpienie i nie krwawić.

Jednak tak czy inaczej przedstawienie robiło wrażenie na wszystkich.

„A teraz, czy teraz jestem wystarczająco dobry?” - zapytał brzuchomówca.

Część ludzi krzyczała „Tak”, część „Nie”. Gashrami postanowił posłuchać tych drugich.

„A więc muszę zrobić coś jeszcze - oznajmił przez brzuchomówcę - może wryję sobie w skórze coś, czego nikt nie ma? Przedksięźcowi lubią oryginalność”.

Gdy położył się na macie, pomocnik wyciął na jego brzuchu, piersi, ramionach i udach najbardziej plugawe słowa. Także i tym razem krew szybko przestała płynąć, a mężczyźnie udało się podnieść z powrotem do pozycji siedzącej, choć wyglądał na bardzo osłabionego.

„Chyba to jednak nie wystarczy - powiedział brzuchomówca ze smutkiem. - Może powinienem się stać idealnie obły, odciawszy sobie palce, uszy, nos oraz przyrodzenie?”.

Gashrami umierał na placu Siepaczy przez dwa dni w asyście czterech niezmordowanych pomocników i na oczach rosnącego tłumu. Dwa razy usiłowała usunąć go straż miejska, jednak ludzie utworzyli kordon, nie dopuszczając nikogo w pobliże maty, pospiesznie wezwani prawnicy wymachiwali zaś kodeksami, w których napisane było, że publiczne popełnienie

samobójstwa jako akt sztuki jest prawem każdego człowieka.

Gdy w milczeniu skołał, brzuchomówca powiedział: „Byłem głupcem, że próbowałem spełniać kaprysy tyranów. Teraz nareszcie jestem wolny!”.

W tym momencie ludzie, ci, którzy wcześniej krzyczeli „Nie”, i ci, którzy krzyczeli „Tak”, cyniczni i naiwni pospołu, zgodnie zaczęli klaskać.

Czterech pomocników zabrało martwego towarzysza, lecz nie był to koniec. Potwornie okaleczone i jednocześnie doskonale zakonserwowane ciało widywano później w różnych miejscach. Pojawiało się przy kawiarnianych stolikach, w urzędach, sklepach i na imprezach publicznych. Zawsze witano je tak samo: wstając z miejsc i głośno klaszcząc.

Wreszcie straż miejska zwłoki skonfiskowała, lecz szybko rozeszła się wieść, że zginęły z Kwartału Kandrisa i na powrót podjęły swą wędrówkę po Lunapolis.

## 19

Ellona i Noora spotykały Ibrisa Marely'ego coraz częściej: na wystawach, w kawiarniach, podczas zabaw i tanecznych wieczorków. Zupełnie jakby ten człowiek był wszędzie, śmiała się Ellona. Zupełnie jakby łączyło ich przeznaczenie, myślała Noora nieśmiało. Zawsze starała się kręcić w pobliżu inspektora, lecz trudno było zwrócić na siebie jego uwagę. Otoczony wianuszkami wielbicieli mężczyzna zbyt było zajęty rozprawianiem na swoje ulubione tematy. Co prawda Ellona złośliwie twierdziła, że w kółko opowiada o jednym i tym samym (jego ulubionym słowem zdawało się „zepsucie”, drugie miejsce zajmowała „niemoralność”), ale nawet ona musiała przyznać, że coś w Ibrisie Marelym jest.

Niewątpliwie potrafił mówić z wielką pasją, niewątpliwie też jego słowa mocno na słuchaczy działały. Wśród lunapolijskiej elity coraz częściej spotykało się sobowtóry jasnowłosego inspektora. Mężczyźni - choć zdarzyło się też kilka kobiet - przechodzili genozmiany, by wyglądać jak on, ubierali się tak



samo, a na palcach tatuowali sobie motyw pnączy powojnika. Powtarzano jego słowa, małpowano gesty. A stroje kobiece stawały się coraz skromniejsze: w przeszłość odchodziły odsłonięte, uszmkowane sutki i rozcięcia sięgające połowy uda, jaskrawe barwy i dziwaczne fryzury. Teraz królowała dziewczęca prostota, czyli suknie z miękkich materiałów i rozpuszczone włosy. Furorę robiły wisioriki o kształcie małych, zwiniętych w pozycję płodową dzieci - dawny symbol Przedksiężycowych - oraz literki ze słowa „przebudzenie” tatuowane na powiekach lub między brwiami.

Jeśli tak dalej pójdzie, twierdziła złośliwie Ellona, dziewczyny w ogóle zrezygnują z ozdób, zaczną owijać się w czarne kapy, a na czołach każą sobie tatuować piętnaście zasad cnotliwego życia filozofki Pratimy. Noora śmiała się z tego, ale w głębi duszy czasem myślała: czemu nie? Może tego właśnie dla odmiany potrzebowali?

Moda na przyjęcia w realiach przeszłości najwyraźniej okazała się zbyt ekscentryczna nawet jak na Lunapolis, bo szybko wygasła.

Jednak tak czy inaczej w mieście powiało zmianami. Tworzyły się naprędce stowarzyszenia, których członkowie uroczyście, na zorganizowanych specjalnie z tego powodu wieczorkach, przysięgali wierność dawnym regułom. Do łask wróciło umiarkowanie w korzystaniu z rozkoszy cielesnych, prawdomówność i skromność, a nawet zwyczajna dobroć - słowo przez dłuższy czas tak niemodne i rzadko używane, że ci, którzy teraz je pisali, nader często robili przy tym ortograficzne błędy.

Czasem ze śmiechem mówiono o tym wszystkim jako o „inwestowaniu w ducha”. Zainwestowaliśmy już w ciało i umysł, powtarzali ludzie, pora więc pomyśleć o trzeciej stronie klasycznej triady.

Noora słyszała plotki o przyjęciach, na których nie było alkoholu, narkotyków, tańców ani tym bardziej seksu, a które polegały w głównej mierze na tym, że zaproszony deklamator czytał na głos ustępy z pism Aylena i Pratimy. Chciała nawet na taki wieczorek zabrać Ellonę, lecz dziewczynka stawiała opór. „Nie po to tyle czasu siedziałam jak głupia w domu, żebym

teraz miała słuchać tego, co sama mogę sobie przeczytać" - oznajmiła.

Jej coraz wyraźniejsza żądza zabawy czasem Noorę martwiła, lecz dziewczyna pocieszała się myślą, że Ellona to przecież jeszcze dziecko i z pewnością wyrośnie z tak wulgarnych upodobań.

Pewna kobieta zamówiła sobie syna w korporacji Principium, a kiedy pytano ją, jakie cechy będzie miał chłopczyk, odparła: szlachetność ducha. I co jeszcze? - dociekano. Nic, odparła, promieniając uśmiechem niezmaconej wiary. To wystarczy.

Obecny wówczas w salonie Ibris Marely skinął jej głową z wyraźną aprobatą, a Noora postanowiła, że w najbliższym czasie, gdy tylko ojciec będzie w dobrym humorze, poprosi go o pieniądze na dziecko: małą, czarnowłosą, podobną do niej dziewczynkę.

Wybrała już nawet imię: Kahmeer, co w jednym ze starych języków oznaczało „prawda”. Bardzo chciała skonsultować ów wybór z Ibristem Marelym. Pragnęła podejść i zapytać go, czy jest godna takiej córki. Nie ukrywałyby przed nim niczego, wręcz przeciwnie - opowiedziałyby nawet o nocy ostatniego Skoku, gdy on został przemieniony, a ona wzięła udział w orgii i, co gorsza, zrobiła to po to, by okazać lekceważenie Przedksiężycowym.

Każdego dnia na dziesięć różnych sposobów wyobrażała sobie tę rozmowę i każdego dnia coraz większą zyskiwała pewność, że tylko inspektor, jeśli będzie z nim absolutnie szczerą, może zmazać jej winy. Marely był surowy dla ludzi, lecz jednocześnie rozumiał ich słabości. Być może narzuciłby jej taką czy inną pokutę - na tę myśl Noora czuła pełznący wzdłuż kości słodki lęk - ale ostatecznie na pewno by jej wybaczył.

Jednak bała się go zagadnąć, co niewątpliwie zrobiłaby w przypadku każdego innego mężczyzny. Zbyt nią onieśmiała. Czuła się przy nim trochę jak w towarzystwie ojca. Jak dawniej, w dzieciństwie, gdy zakradała się do gabinetu Issy i patrzyła, wiedząc, że źle robi, że nie wolno jej ojca podglądać, przepełniona miłością i zarazem strachem. Z biegiem czasu intensywność tamtych emocji zbladła, a teraz wróciły, jakby

ktoś wskrzesił przeszłość.

To Ellonie Noora zawdzięczała, że Ibris Marely wreszcie zwrócił na nią uwagę. Ellonie z każdym dniem coraz później chodzącej spać, coraz bledszej i bardziej niespokojnej, z większymi kręgami wokół oczu. Dziewczynce, która potrafiła się śmiać i tańczyć z tak dziką pasją, że Noorze czasem wydawało się to w pewien sposób... niewłaściwe.

Ellona zemdląca na tańcach. Padła na podłogę niespodziewanie, w brzęku skrytego pod ubraniem żelastwa, co natychmiast zapewniło jej zainteresowanie wszystkich obecnych. Przeniesiono ją na leżankę, podano wodę, rozluźniono metalowy gorset. Kilka kobiet z oburzeniem wyraziło swoje zdanie na temat przyspieszania rozwoju u dzieci.

Gdy dziewczynka odzyskała przytomność, przejęta Noora zaaplikowała Ellonie tabletki przeciwbólowe, skarciła za to, że mała nie powiedziała, że jej słabo, po czym siedziała, trzymając ją za rękę. Wówczas podszedł do nich Marely.

- Widzę, że zajmuje się pani cierpiącą przyjaciółką - odezwał się. - To godne pochwały. Niewielu ludzi zdecydowałoby się zabrać na tańce dziecko tak wymagające uwagi.

- Nie powinnam była tego robić... - wymamrotała Noora.

- Ależ tak, powinna pani. Dziecka nie można przecież trzymać zamkniętego w sypialni, ono potrzebuje rozrywki, kontaktów z innymi ludźmi. I świetnie się pani wywiązuje ze swoich obowiązków opiekunki. O proszę, dziewczynka już śpi. Nic złego jej się nie stało, zaraz z pewnością odzyska siły.

- Pan nie rozumie. Ja robiłam różne... złe rzeczy.

Ibris Marely położył rękę na jej ramieniu. Noora zadrżała.

- Niezależnie od tego, co wcześniej pani robiła, troska o tę dziewczynkę uwalnia panią od jakiegokolwiek winy.

Tamtego wieczoru Noora czuła się tak, jakby przypięto jej do ramion skrzydła. Nie chodziła, tylko unosiła się nad mozaikowymi posadzkami. Przepelniająca ją dobroć domagała się ujścia.

Była dla wszystkich miła, co chwila biegała do pokoiku, w którym odpoczywała Ellona, i sprawdzała, czy już jej lepiej, śmiała się z nudnych żartów, a nawet wyciągnęła z ciemnego kąta naj-

brzydszą na przyjęciu dziewczynę, by prawić jej komplementy.

Wówczas kątem oka dostrzegła ironiczne spojrzenie jednej z kobiet i złowiła szept: „Biedna mała, tak bardzo się stara. Łapanie mężczyzn na cnotę jest strasznie skomplikowane, nie sądzicie?”. Wyrzuciła go jednak z pamięci. Dziś nic nie miało prawa popsuć jej humoru.

Starala się być dobra, jednak to było mało, o wiele za mało. Dlatego gdy w drodze powrotnej do domu Ellona znów poskarżyła się na niepokojące sny, Noora nie musiała się nawet zastanawiać. Wcześniej miała wątpliwości, wahała się i trochę też bała, lecz teraz, oczyszczona z winy, była po prostu wdzięczna za okazję, dzięki której mogła pokazać, jak wierną jest przyjaciółką.

- Powiedz służącej, żeby wpuściła mnie bocznymi drzwiami tak gdzieś... o której zazwyczaj chodzisz spać?

- Koło północy.

- Więc o północy. Przyjdę i przyniosę ze sobą coś, dzięki czemu choć jedną noc prześpisz spokojnie.

## 20

Daniel Pantalekis wyczuwał panujące w domu napięcie. Podczas posiłku Brin Issa był milczący i jednocześnie niespokojny (w przypadku każdego innego człowieka Pantalekis użyłby określenia „zdenerwowany”), a Noora sprawiała wrażenie roztargnionej i nieobecnej. Niraj na szczęście postanowił zjeść w swoich pokojach, co Daniel przyjął z głęboką ulgą. Prędzej czy później będzie musiał stawić mu czoła, zdecydowanie jednak wolał, by nastąpiło to później.

Posiłek upłynął w atmosferze tak ciężkiej, że nawet podający do stołu mechaniczni służący wydawali się mieć kwaśny humor, co w innych okolicznościach Pantalekisa z pewnością by rozbawiło. Ale nie teraz. Teraz Daniela dręczyła wątpliwość, czy podejmując taką, a nie inną decyzję, nie pogorszył aby swojej sytuacji. Może tu nie lubią donosicieli? Ale - czuł, jak narasta w nim złość - przecież zrobił to jedynie dla dobra Issy i

jego syna, więc, do cholery, facet powinien być wdzięczny, a nie krzywić się, jakby podsunięto mu pod nos coś śmierdzącego.

Gdy Noora wstała od stołu, Pantalekis czym prędzej poszedł w jej ślady. Nie miał ochoty przebywać sam na sam z gospodarzem ani tym bardziej martwić się, że Niraj jednak zmieni zdanie i zejdzie do jadalni.

Nie chciał też być sam.

Pomimo wyraźnie widocznej niechęci dziewczyny poszedł za nią do jej pokoi, przysunął sobie krzesło i usiadł, gdy zmywała przed lustrem makijaż. Starał się po przyjacielsku nawiązać rozmowę, lecz Noora odpowiadała półsłówkami.

Pantalekis poddał się po półgodzinie i wyszedł od niej jeszcze bardziej sfrustrowany, niż był wcześniej.

- Durna cipa - skomentował na korytarzu, dzięki czemu zrobiło mu się odrobinę lepiej.

Chwilę później zrobiło mu się gorzej, gdy ujrzał, jak dwóch postawnych służących wnosi do pokoi Issy trumnę.

## 21

Tego ranka Mahameni nie odezwał się po raz pierwszy od dnia, gdy postanowili wspólnie prowadzić śledztwo, i delikatne ukłucia lęku (znudził się w końcu i zajął czymś ciekawszym, dlaczego miałby poświęcać swój czas starej, niepotrzebnej babie?) zmieniły się w przerażenie ciężące na sercu jak kamień. Tellis miotała się po domu Issy, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. W górę schodów i w dół, i znowu w górę, na dach, jakby naprawdę wierzyła, że stamtąd mężczyzna lepiej usłyszy jej telepatyczne krzyki.

*Odezwij się, proszę!*

Próbowała co kilka sekund, lecz odbierała jedynie stłumione myśli nieszczęśników, którzy wraz z nią zostali z tyłu.

Wreszcie działanie środka osłabło, a kapitan z największym trudem powstrzymała się, by nie wziąć kolejnej porcji. Pewnie jest zajęty, tłumaczyła sobie, i nie może teraz rozmawiać. Nie ma się czym martwić.

Noszone w kieszeni spodni zdjęcie paliło jej skórę przez materiał. W głębi duszy czuła, że owszem, jest się czym martwić. Jej niepokój miał wiele wspólnego z fotografią oraz z tym, co kazała Mehusowi zrobić.

Wyjęła z kieszeni kartonik i stojąc na dachu, patrzyła na niego intensywnie, podczas gdy płatki śniegu osiadały na jej włosach.

Myśl, nakazała sobie.

Popęłniła błąd?

Może... może tak.

Świadomość takiej możliwości - na razie tylko możliwości - docierała do niej z oporem, powoli. Bo Tellis rzadko się myliła, Tellis była bystra i zauważała wiele rzeczy, które umykały innym śledczym.

Lecz przecież nie aż tak bystra, by jako jedyna znaleźć zdjęcie, prawda? Ktoś, kto poświęciłby na przeszukanie gabinetu wystarczająco dużo czasu, prędzej czy później by na nie trafił. A skoro już miałby fotografię w rękach, dotarłby i do Geety, czy to dostrzegając pewne szczegóły, jak zrobiła Tellis, czy też po prostu sprawdzając po kolei każdego członka stowarzyszenia.

Od konsekwencji takiego założenia kapitan ścierpła skóra. Kwadrans później szła szybkim krokiem w kierunku Archiwum. Nie czekała na Sumila. Nie miała na to czasu. Na brzuchu czuła pokrzepiający ciężar bukłaka zawierającego środek telepatyczny, który aplikowała sobie za każdym razem, gdy tylko poprzednia porcja przestawała działać. Nie przejmowała się już oszczędnością.

Winda czasową zjechała do niższego z odrzuconych światów i popędziła w stronę domu Issy. Bez zachowania środków ostrożności, niemal biegiem przez miasto, w którym z konstrukcji oplatających budynki rdza osypywała się niczym śnieg. Miasto jeszcze cichsze niż jej własne i jeszcze bardziej puste, z martwymi ślepiami okien i mlaskającym pod butami rozmarzniętym błotem. Do gabinetu, by sprawdzić, czy zdjęcie jest tam, gdzie powinno być.

Nie było go, a przecież nawet gdyby papier zetlał i się skruszył, zostałyby po nim choć resztki.

Wciąż istniała nadzieja, że żadnego niebezpieczeństwa nie ma,

że w najgorszym razie wyjdzie na to, iż Tellis i Mahameni zmarnowali tylko czas, bo fotografia okaże się całkowicie niewinna. Jednak kapitan miała coraz bardziej paskudne przecucia. Teraz musiała podjąć decyzję. Mogła zejść jeszcze niżej, do starszej rzeczywistości, ryzykując tym samym, że nie zdoła nawiązać kontaktu z Mehusem, albo mogła czekać i od czasu do czasu próbować go wywołać.

Nie powinno mieć znaczenia, jak głęboko w przeszłości jestem, myślała. Przecież poszczególne światy nie są oddzielone od siebie fizyczną odległością.

Jednak pewności nie miała.

Niemniej kiedy miała do wyboru działanie albo bierne oczekiwanie, zazwyczaj stawiała na to pierwsze.

W kolejnej rzeczywistości niebo było czyste jak po burzy; schodami spływały strumienie mętej wody, niosąc ze sobą resztki nadpalonych mebli, drogie kamienie, popiół i kępkę ludzkich włosów, wyrwanych razem z kawałkiem skóry. Tellis przeskoczyła nad nimi. Z poczerniałych ścian budynków unosiły się smużki dymu, wygięte pod wpływem gorąca rury tworzyły wzory bardziej fantastyczne, niż śniło się jakimkolwiek architektowi w górnym świecie.

Najwyraźniej jednak deszcz nadszedł w samą porę i ogień zatrzymał się na wysokości placu Żonglerów. Dom Issy był nieknięty. A w gabinecie, za obudową mechanicznej głowy, tkwiła fotografia. Tellis spodziewała się, że papier rozpadnie jej się w palcach, ale nie - kartonik był w zaskakująco dobrym stanie, lekko tylko pożółkł.

Paskudne przecucia zmieniły się w pewność.

## 22

Noora wymknęła się jak spiskowiec, w płaszczu z kapturem i butach, które kupiła specjalnie ze względu na miękkie, nieczyńiące hałasu podeszwy. Nie po raz pierwszy w życiu ich używała; zarówno płaszcz, jak i buty były jej wiernymi towarzyszami podczas wielu późnych schadzek, choć tak naprawdę nikt jej

nie zabraniał wychodzić nocą z domu. Tak jednak było ciekawiej, a dziś naprawdę nie chciała zostać przyłapana. Dziś bowiem niosła ze sobą skradziony (pożyczony, poprawiła się w myślach, przecież go odda) Zestaw Bashrana.

Pod cienkim jedwabiem bluzki czuła chłód przewodów, które oplatały jej pas i piersi; dotyk metalu na nagiej skórze nie był nieprzyjemny. W jednej kieszeni grzechotały igły, drugą obciążało ogniwo galwaniczne. Teraz, gdy moc słów Marely'ego nieco zbladła, Noorę opadły wątpliwości. Ojciec powiedział jej kiedyś, że dzięki tej aparaturze można zabrać śniącemu sny, pokazał nawet, jak coś takiego zrobić, ale to było dawno temu, a Noora nigdy nie miała pamięci do technicznych szczegółów.

Co, jeśli zamiast pomóc, zrobi Ellonie krzywdę? Albo samej sobie?

Nim dotarła do stojącego przy placu Wodnym mechanoidu i kopnięciem obudziła śpiącego animatora, niemal gotowa była zrezygnować. Wtedy jednak przypomniała sobie, jak twarz Ellony rozjaśniła się radością, kiedy Noora przedstawiła jej swój plan, i pomyślała, że nie może tego dziewczynce zrobić.

## 23

- El, posłuchaj mnie.

- Chcę to zrobić. - Dziewczynka siedziała na łóżku, bliska płaczu. - Obiecałaś!

- Posłuchaj mnie, proszę. To niebezpieczne, a ja nie jestem pewna, czy potrafię tego użyć właściwie. Mogę zrobić ci krzywdę...

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Nie obchodzi cię, że możesz skończyć jako śliniaca się idiotka? Pomyśl...

- Nie będę nad tym myśleć. Daj spokój, Noora, nie bądź taka cholernie dorosła i odpowiedzialna. Czasem trzeba zaryzykować, nie? A ja wierzę, że dasz sobie radę. - Ellona posłała Noorze uśmiech pełen ufności. W tej chwili jak nigdy wcześniej przypominała Kairę.



- To będzie tylko jedna noc, nie więcej. Czy dla jednej nocy warto...

- Warto. Chcę chociaż raz się porządnie wyspać. A poza tym - w jej oczach pojawił się szelmowski błysk i teraz już nie była do Kairy podobna ani trochę - chcę, żebyś zobaczyła, co mi się śni.

Noora westchnęła, po czym rozłożyła na łóżku całe oprzyrządowanie, podpięła igły do przewodów, a przewody do ogniwa.

Sprawdziła poziom mocy. Ellona kręciła się obok, wyraźnie zafascynowana i równie wyraźnie wystraszona.

- Czy będę musiała ogolić głowę?

- Tylko w dwóch miejscach, o tu... - Przesuwając palcami po czaszce dziecka, wyczuła dwa okrągłe, bliznowate zgrubienia.

- Co się stało? - Ellona zauważyła jej nagle podenerwowanie.

- Nic. - Ostatecznie Noora mogła się mylić. Może dziewczynka po prostu upadła i skaleczyła się o coś ostrego?

- Będzie widać rany?

- Skąd, to tylko maleńkie wkłucia, które bez problemu zasłonięsz włosami.

- W porządku.

Noora przystrzygła czuprynę dziewczynki, a potem, ostrożnie używając brzytwy, wygoliła dwa kręgi brązowej skóry. Z jej własną głową poszło nie tak łatwo, musiała zrobić to, patrząc w lustro, i zacięła się dwa razy.

- Wszystko w porządku - powiedziała, ocierając płynącą krew. - Wszystko w porządku.

Wcale nie miała pewności, ale teraz nie było już odwrotu.

W obszernych kieszeniach płaszcza przyniosła też buteleczkę spirytusu oraz fiolkę silnych pastylek nasennych. Spirytusem zdezynfekowała igły, a dwie tabletki podała Ellonie na wyciągniętej dłoni.

- Gotowa?

- Gotowa. - Dziewczynka połknęła je bez popijania.

Gdy środek zaczął działać i Ellona zamknęła oczy, Noora delikatnie pogłaskała jej włosy, a potem, nie mogąc się powstrzymać, rozpięła dwa górne guziki koszuli nocnej i ostrożnie, jakby dotykała szklanych płatków kwiatu, przesunęła

palcami po nabie- głych czerwienią odciskach, jakie pozostawił żelazny gorset.

- Biedne dziecko - powiedziała, po czym pod wpływem nagłego impulsu pochyliła się i pocałowała ją w czoło. - Nie bój się, nie zawiodę cię.

## 24

- Pan Mahameni Mehus?

- Tak, to ja.

- Pan wypytywał o panią Geetę? Pan jej szuka?

Chłopczyk o skórze barwy mąki sięgał Mahameniemu do pasa. Ile mógł mieć za sobą Skoków? Trzy, góra cztery? Tak czy inaczej był za mały, żeby samotnie włóczyć się po mieście. A jego oczy... czy on widział cokolwiek za pomocą tych bladobłękit- nych, jakby spranych rybich oczu?

- Owszem.

- Proszę pójść za mną. Pani Geeta się z panem zobaczy.

- Ona żyje? - zdziwił się mężczyzna.

- Żyje, ale jest strasznie stara. Nie może nawet wyjść z domu. Dlatego przysłała mnie. Pan ma czas teraz?

Mahameni obejrzał się niepewnie na stragan, przy którym właśnie kupił placek z siekanym mięsem. Był to jego pierwszy posiłek tego zwariowanego dnia, pierwszy i być może ostatni, bo wciąż czekało na niego mnóstwo pracy. Powinien wracać.

Mimo tej świadomości podjęcie decyzji nie kosztowało go dużo.

- Tak, mam czas.

Miał również wątpliwości, czy dziwnooki, niepewnie poruszający się chłopiec poradzi sobie z zadaniem zaprowadzenia go gdziekolwiek, uznał jednak, że warto zaryzykować.

Powinien także skontaktować się z Tellis, lecz skoro i tak był już spóźniony, równie dobrze mógł to zrobić potem, gdy już będzie miał coś konkretnego do przekazania.

W płaskim pudle spoczywało ciało mechanicznego - na razie pozbawiona świadomości, a tym samym i iskry życia pusta powłoka. Chudy, niewysoki człowieczek zdjął jej głowę i przysiadłszy na posadzce zimowego salonu, w skupieniu studiował układ kabli.

Z wygodnych foteli obserwowali go Issa oraz Darika, tym razem dla odmiany ubrana z przesadną wręcz przyzwoitością w szarą suknię do kostek, która przekornie sprawiała, że jej wybujała seksualność jeszcze bardziej rzuciła się w oczy.

- Naprawdę chcesz to zrobić własnemu dziecku? - W drapieźnym uśmiechu pokazała białe zęby, po czym zakładając nogę na nogę, zademonstrowała zgrabne kostki.

Issa ostrzegawczo skinął głową w stronę pochylonego nad mechaniczną powłoką człowieczka.

- Nie martw się. - Darika lekceważąco pokiwała stopą. - Jest głuchy, a jego oczy... Przecież widziałeś jego oczy.

Istotnie, przyprowadzony przez kobietę specjalista miał wokół oczu kostne wyrostki, które w znaczny sposób ograniczały jego pole widzenia.

- Więc jak brzmi odpowiedź na moje pytanie?

- Chcę.

- I nie dręczy cię z tego powodu sumienie? Ibris Marely powtarza, że każde zło wyrządzone innej osobie prędzej czy później zwróci się...

- Przestań.

Roześmiała się.

- Ależ dlaczego? To nasza nowa moda, a ja zawsze za modą nadążałam. Mógłbyś spróbować, przynajmniej byłaby to dla ciebie jakaś odmiana. Nigdy nie marzyłeś, żeby choć przez chwilę być innym człowiekiem? Uczciwym, pełnym empatii...

- Marely taki właśnie jest?

- Uczciwy prawdopodobnie tak. Pełen empatii zdecydowanie nie. Wiesz, że wczoraj po południu na placu Miedzianym demonstrowali zwolnieni przez niego strażnicy? W straży miejskiej nienawidzą go jak zarazy i ja się temu nie dziwię -

dla większości tych ludzi jedyna szansa dotrwania do Przebudzenia to wykazanie się w pracy, a on im to odbiera.

- Skoro chcą się wykazać, niech pracują tak, żeby nie było powodu ich zwalniać - rozsądnie odparł Issa. - A ponadto jeśli Marely tak bardzo strażnikom przeszkadza, to zawsze mogą wynająć art-zabójcę. Nikt tego jeszcze nie próbował?

- O tak, chodzą słuchy, że inspektor przeżył już trzy zamachy na swoje życie. Zauważ, że powiedziałam „chodzą słuchy”, bo nie wiem, ile w tym prawdy, a ile reklamy... - Nagle jej oczy rozbłysły i z nowym zainteresowaniem pochyliła się w stronę Issy. - Chciałbyś tego, co? Żeby ktoś zamordował Marely'ego, bo wtedy ty nie musiałbyś tego robić. Ale dlaczego? Cóż ten człowiek ci uczynił?

Issa obserwował pracującego nad mechaniczną powłoką specjalistę. Odezwał się dopiero po chwili:

- Pamiętasz może, jaki byłem w dzieciństwie?

Darika przyglądała mu się uważnie, niewątpliwie próbując odgadnąć, o co tak naprawdę Issie chodzi. Gdyby jej się udało, miałaby materiał do smakowitych plotek.

- A co ty pamiętasz?

- Niewiele.

Przypominał sobie pojedyncze obrazy. Darika nad brzegiem stawu w ostrym, jaskrawym słońcu, krople wody spływające pomiędzy dziecięcymi piersiami i sterczące łopatki, gdy dziewczyna gwałtownie, zaśmiewając się z czegoś, pochyliła się do przodu, by wytrzeć włosy w ręcznik. Pamiętał, że coś wtedy czuł, lecz co to było? Podziw dla jej nagiego ciała, pożądanie, zazdrość? Pamiętał też, że za czasów ich dzieciństwa wybuchła potężna awantura, że któreś z dzieci zostało poważnie skrzywdzone, inne zaś zawiniło; kulił się wtedy pod kocem, bo ojciec biegał po domu i krzyczał... ale czy kulił się ze strachu, czy też przeciwnie, pełen satysfakcji z tego, co zrobił? Był oprawcą, ofiarą czy może biernym obserwatorem? I czy to zdarzyło się później, czy wcześniej niż owa noc, gdy drżąc na całym ciele, stał przed gabinetem ojca? Te dwa wydarzenia były ze sobą związane czy nie? Potrafił przywołać w pamięci walkę z Ankisem o pochodzący ponoć z

księżycy kamień, ale zapomniał, kto wygrał. Pamiętał naukę jazdy na łyżwach na zamrożonym stawie, ale kto go uczył?

W ich dziecięcym mikrokosmosie istniały różne układy: ktoś kogoś nienawidził, a ktoś inny kogoś kochał, ktoś z kimś spiskował, ktoś zdradzał... Tylko gdzie w tym wszystkim było miejsce Issy? Strzępy jego wspomnień pozbawione zostały prawdziwej treści; zniknęły z nich emocje, powody i cele, dla których robił to czy tamto. Pozostały mu zamrożone w czasie sceny, jak kawałki rozsypanej układanki, które po latach odnajduje się w zakurzonej kącie, pod łóżkiem czy za szafą. Nie umiałby z nich ułożyć sensownej całości i nie czuł więzi z ciemnowłosym bohaterem owych wspomnień-obrazów. Wszystko to przydarzyło się obcej osobie i to właśnie Issę niepokoiło.

- Powiedz chociaż, czy miałem skłonności do gniewu albo okrucieństwa. Musisz przecież pamiętać. Byłem taki jak teraz czy inny?

- Taki jak teraz, to znaczy jaki? Gotów skrzywdzić bliską osobę bez wyrzutów sumienia? - droczyła się z nim i Issa pojął, że Darika niczego nie powie. Nawet jeśli pamięta. Zbyt wielką miała nad nim przewagę i nie zamierzała z niej rezygnować.

- Dajmy temu spokój.

- Nie, dlaczego? - Jej oczy błyszczały radośnie, w gardle wzbierał chichot. - Chciałbyś wiedzieć, czy byłeś cichym, wrednym i podstępny skurwysynem jak teraz, czy może dopiero później coś ci się w mózgu poprzestawiało? Issa, ja wiem, o co chodzi... Och, nie rób takiej miny, bo zaraz pękne ze śmiechu. Przed kim próbujesz się ukrywać, przede mną? Byłam twoją pierwszą kochanką, pamiętasz? Nie, jak cię znam, pewnie zapomniałeś, co nie jest dla mnie szczególnie pochlebne, ale wybaczam ci, bo zawsze miałeś z nas wszystkich najslabszą pamięć. I teraz boisz się, moje biedactwo, że się zmieniłeś przez te wszystkie lata, że nie jesteś już tym ideałem, jaki stworzył ojciec... Bo człowiek to przecież nie tylko zestaw genów, ale też charakter kształtowany przez całe życie, tak? Zaprojektowano nas,

żebyśmy dotrwali do Przebudzenia, ale z zastrzeżeniem, że nie stanie się nic, co by zmieniło naszą osobowość. Możemy zmieniać nasze talenty, ale nie charakter, nie to, co na najgłębszym poziomie decyduje o tym, kim jesteśmy. A ty myślisz, że stałeś się kimś innym? Jeśli powiem ci, że w dzieciństwie byłeś łagodny i kochający, to czy zrezygnujesz ze swoich planów? - Ruchem głowy wskazała głuchego specjalistę, który skończył już dostrajanie mechanicznej powłoki i teraz, nieruchomy jak posążek i zwrócony bokiem, czekał na dalsze polecenia.

- Oczywiście, że nie. Opowiadasz bzdury.

- Ale nie tak do końca, co? - Uniosła jedną z brwi w wystudiowanym geście. Czy w dzieciństwie Darika również unosiła brew, kiwała kształtną stopą, z której uwodzicielsko zsuwał się bucik, i śmiała się serdecznie, odchyłona do tyłu tak mocno, że pod suknią odznaczały się sutki? - I pomyśleć, że przez chwilę naprawdę wierzyłam, że ruszyło cię sumienie! A przecież zupełnie nie o to chodzi. Ty się boisz nie tego, że stałeś się niemoralny, cokolwiek by to znaczyło, tylko tego, że się zmieniłeś i nie osiągniesz Przebudzenia. To cię dręczy, prawda? Dążyłbyś do tego, żeby przez cały czas zachowywać się tak jak kiedyś, myśleć i czuć jak dawniej... tylko że ty, biedaku, zupełnie zapomniałeś, kim byłeś.

- Gdybym bardzo się zmienił, nie przetrwałbym tyle czasu.

- Nie twierdzę, że zmieniłeś się bardzo. Mogłeś zmienić się tylko trochę. Powiedzmy, że tuż po urodzeniu miałeś stu procentowo pewny zestaw cech pozwalający ci dotrzeć do Przebudzenia. A teraz z tych stu procent zostało, powiedzmy, ile, dziewięćdziesiąt pięć? To może oznaczać, że gładko przejdiesz wszystkie kolejne Skoki, z wyjątkiem ostatniego i najważniejszego.

Ignorując ją Issa wstał i sięgnął do dzwonka.

- Pora posłać służącego po Niraja. Chcesz zostać i popatrzeć, jak radzę sobie z synem?

- Najpierw przyznaj, że się boisz.

- Niepokoję się - przyznał, znużony rozmową i zirytowany.

- A jeśli dla ciebie to nie ma znaczenia, to znaczy, że jesteś

większą idiotką, niż sądziłem.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko, bynajmniej nieurazona. Wstała, zarzuciła mu ręce na szyję i szepnęła do ucha:

- Zdradzę ci więc...

Zręcznie wyślizgnął się z jej objęć i wyciągnął rękę, by dotknąć kobiecej twarzy. Najpierw ruchem niemalże pieszczotliwym otulił czerwone, wciąż uśmiechające się wargi, by po chwili przycisnąć dłoń mocniej, zatykając usta i zarazem nos. Trwało to ledwo ułamek sekundy, ale w oczach Dariki dostrzegł cień strachu.

- Nie. Myliłem się, kiedy myślałem, że lepiej jest wiedzieć. I tak nie mogę wrócić do tego, co było kiedyś. Żadne z nas nie może.

## 26

Noora śniła sen Ellony.

Noora była Elloną, która znalazła się w przesiąkniętym zapachem wilgoci pomieszczeniu. Przez wąskie, zakurzone okna wpadał błękitnozielony blask Wołu, trzy świece stały na posadzce w kałuży rozlanego wosku. Ze ścian płatami odpadały srebrne ornamenty, pod nimi widać było tynk i szare, mokre zacieki. Nie było tu żadnych sprzętów, choć na podłodze w warstwie brudnobiałego pyłu odbiły się ślady po meblach, a także szeroki wężowy odcisk, jakby po posadzce przeciągnięto wypełniony czymś ciężkim worek.

Ellona oddychała płytko, czując, jak z każdą chwilą mrok głębiej wnika w jej żyły. Rozrastał się jak pajęczyna, czepiał kości i wypełniał płuca, by wreszcie gęstą masą spłynąć do żołądka. Na szczęście stał za nią ktoś wielokrotnie od niej wyższy i silniejszy, mądry, dobry człowiek, który się o nią troszczy i któremu mogła zaufać.

Dwie szerokie dłonie ujęły jej drobne ramiona i pchnęły ją do przodu.

- Patrz.

Jedna ze ścian pomieszczenia, szklana, była częścią wielkiego

akwarium. Woda miała zielonkawy poblask, jakby przesączało się przez nią księżycowe światło. Wewnątrz pływały strzępy gnijących roślin, śmieci...

- Patrz.

Ellona patrzyła, aż rozboleły ją oczy. Wówczas spomiędzy szarozielonych pędów, niczym przedziwna ryba, wychynęła ludzka dłoń barwy mąki, a za nią twarz. Równie blada, z rozmięczonymi wodą rysami i gąbczastą, napuchłą skórą, która wyglądała, jakby lada chwila miała się zsunąć z czaszki. Rzadkie włosy falowały, wsuwając się od czasu do czasu pomiędzy bez-krwiste wargi. Dziewczynka cofnęła się odruchowo, lecz silne dłonie osadziły ją na miejscu.

- Nie odwracaj się.

Do pierwszego widma dołączyło drugie, potem trzecie i czwarte. I piąte, i szóste... Było ich coraz więcej, napływały pchane podwodnymi prądami, zderzając się ze sobą, czasem szczipione kończynami w groteskowych bliźniaczych i nagich parach. Martwe dziewczęta kłębiły się, przepychały, rozdzielaly i na powrót łączyły, ciągnąc za sobą welony włosów przyczepione do skóry odchodzącej od czaszek. Uderzały o szybę akwari-um, by spojrzeć mlecznymi kulami martwych oczu. Ich dłonie bijące w szkło kojarzyć się mogły z trzepotem białych ptasich skrzydeł, lecz Ellona nie patrzyła na nie - widziała tylko twarze.

Wszystkie miały rysy jej lub zbliżone: trochę inne usta, odmieniony kształt nosa lub oczu, ale to zawsze była ona, powielona w dziesiątkach starszych i młodszych ciał. Także w ciele Kairy, bo jedna z dziewcząt stanowiła wierną kopię siostry Noory, druga różniła się od niej tylko nieco węższymi brwiami.

Kairy, Ellony oraz formy pośrednie pomiędzy nimi kłębiły się w zielonkawej wodzie.

Tylko dlaczego one wszystkie miały białą skórę zamiast brązowej?

Na to pytanie odpowiedziała Noora skryta w umyśle Ellony: „Zwłoki pozostawione w wodzie tracą barwę”.

Nie pamiętała, skąd o tym wiedziała, być może powiedział jej to Niraj, gdy byli dziećmi, a on lubił znęcać się nad siostrami, opowiadając o różnych okropieństwach.



Noora znów była Elloną i dotarła do niej świadomość...

*... ja też tak mogę skończyć...*

*... zabije mnie człowiek, który stoi za mną...*

To właśnie było najgorsze. Nie widok martwych ciał, ale ów krótki jak mgnienie oka moment niszczonego zaufania, zdrada, przez którą wyciekło poczucie bezpieczeństwa, a zamiast niego pojawiły się groza i rozpacz.

Noora zbudziła się równocześnie z Elloną.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - szepnęła, dotykając czoła dziewczynki, która wydawała się rozluźniona, po raz pierwszy od wielu dni nie miała ciemnych kręgów wokół oczu.

- O czym?

- O człowieku, który stoi za tobą we śnie. To twój ojciec, prawda? Jednocześnie kochasz go i się go boisz...

- Skąd. Mój tato nigdy nie zrobiłby mi krzywdy. To Przedksiężycowy. - Dziewczynka chwyciła Noorę za rękę i ścisnęła. Jej oczy lśniły gorączkowo, w głosie słychać było triumfalną nutę. - Teraz już wiesz, ale nie wolno ci o tym mówić. Mają swoich agentów wśród ludzi i dlatego nie możemy ufać nikomu. A oni są niebezpieczni, rozumiesz?

- Przedksiężycowi?

- Przedksiężycowi, tak. Chcą nas wszystkich pozabijać. Dlatego my musimy zabić ich pierwsze. Nie martw się. - Ellona źle zinterpretowała wyraz twarzy Noory. - Ja potrafię to zrobić.

- W jaki sposób?

- Dowiem się, jak tylko dorosnę. Tak mówi tato. To właśnie jest moje tajemnicze przeznaczenie. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Robi wrażenie, nie?

Mahameni czekał, aż oczy przyzwyczają mu się do półmroku. Po chwili dostrzegł sześciokątny kształt pomieszczenia, do którego zaprowadził go chłopiec, stolik i dwa fotele, a także kilka posągów przedstawiających dzieci. Białe i nieruchome, stały

zbite w gromadkę, jakby komuś, kto urządzał pokój, zależało nie tyle na efekcie artystycznym (Mahameni nie znał się na sztuce, był jednak niemal pewien, że posągi nie powinny tak stać), ile na tym, by marmurowe pociechy miały towarzystwo.

Klasnął, by przywołać świetliki, lecz bez efektu. Szyby w oknach miały barwę ciemnego fioletu i przepuszczały ledwo odrobinę światła.

- Tu powinno być tak ciemno? - rzucił w przestrzeń, bo chłopiec już zniknął.

Nadstawił uszu, ale w domu panowała cisza.

- Hej, jest tu ktoś?

Przesłony w oknach zasunęły się z lekkim zgrzytem metalowych łusek i w pomieszczeniu zapanowała ciemność niemal nieprzenikniona, teraz bladą poświatą odcinały się od czerni tylko sylwetki posągów. Mahameni odruchowo sięgnął po służbową darakkę.

- Hej!

- Przepraszam, już do pana idę! - dobiegł z głębi mieszkania drżący kobiecy głos. - Zaraza na mechanizm tych przesłon, ciągle się psuje. Wezmę świecę, na świetliki mnie nie stać.

Mahameni uspokoił się odrobinę. Sięgnął do kieszeni po butelczkę ze środkiem telepatycznym i wytrząsał na język kilka kropel.

*Tellis?*

*Dzięki niech będą Przedksiężycowym, nareszcie!*

*Przepraszam, że nie odzywałem się wcześniej. Miałem...*

*Nieważne. Gdzie jesteś?*

*W mieszkaniu Geety. Ona żyje, wyobrazasz to sobie? Zaraz do mnie przyjdzie. Strasznie tu ciemno.*

*Uciekaj stamtąd. To pułapka.*

*O czym ty mówisz?*

*Potem ci wytłumaczę, teraz uciekaj!*

Mahameni powoli cofnął się w stronę drzwi. Przywykł ufać Tellis, ale przecież ona sama mówiła wcześniej, że właśnie zdjecie doprowadzi ich do rozwiązania sprawy. Czemu więc nagle miałyby okazać się to pułapką? Kobiety, nawet te najgenialniejsze, miewają czasem chwile słabości.

- Mam dość czekania! - wrzasnął w czerń, dodając sobie tym krzykiem odwagi.

- Już idę, niech się pan tak nie denerwuje, stara jestem i sił mi brakuje.

Drżący, zgrzytliwy głos był głosem staruszki, lecz kroki brzmiały jak kroki dziecka: lekkie, zaskakująco pewne w ciemności. Jakże inaczej poruszał się bladokóry chłopiec, który prowadząc Mahameniego, momentami sprawiał wrażenie błądzącego po omacku ślepca.

*Uciekaj!*, krzyczała Tellis.

Mrok zgęstniał w miejscu, w którym Mahameni domyślał się przejścia do dalszej części mieszkania. Jego wrażliwy nos wychwycił ludzki zapach.

Woń bladokórego chłopca?

Zaciśnięta na rękojęści *darakki* dłoń była wilgotna od potu, Tellis wciąż wrzeszczała w jego głowie. Zmysły Mahameniego szalały, podając sprzeczne informacje. Zapach chłopca, głos staruszki, kroki kogoś drobnego i pewnie poruszającego się w ciemności. A zgęstniała w przejściu czerń tworzyła jakby... kształt dorosłego człowieka?

Mrok wypełnił cichy, metaliczny warkot, jak odgłos pracy niewielkiego silnika.

Tellis przestała krzyczeć i zaczęła coś tłumaczyć, lecz jej nie słuchał. Wiedział, że i ona nie zdoła pojąć, co tu się dzieje, nie teraz, gdy serce pompowało adrenalinę w jego żyły, a wszystko w nim przestrzegało przed niebezpieczeństwem. Musiał podjąć decyzję na ślepo, ufając instynktowi albo wbrew niemu.

Wybrał instynkt.

Postać w przejściu wybuchnęła śmiechem ni to zgrzytliwie starczym, ni to po dziecięcemu radosnym. Mahameni wysunął ostrze broni na całą długość i skoczył. Śmiech przeszedł w ostry, przenikliwy krzyk, gdy mężczyzna wbił *darakkę* w ciało, jednocześnie drugą ręką na oślep chwytając chudy łokieć. Na szyi czuł oddech przeciwnika, na piersi ciepło jego krwi, lecz tam, gdzie stojąca w progu sylwetka powinna mieć nogi, nie było nic.

Co u licha?

Słabe, niezborne ciosy spadały na głowę Mahameniego, drobne stopy kopały jego uda. Walczył z dzieckiem. Wiszącym w powietrzu dzieckiem.

Przytrzymał je i raz jeszcze dźgnął *darakką*. Potem dla pewności drugi i trzeci, aż spływająca krew zmoczyła mu spodnie do kostek, przenikliwy krzyk ucichł, a maleńkie ciało zwiotczało. Puścił je i nie bez trudu, obmacując na ślepo ściany, odszukał wajchę sterującą systemem okiennych przesłon. Pociągnął ją w dół, metaliczne łuski rozsunęły się z cichym szelestem, a co więcej, szyby zmieniły barwę z fioletowej na jasnoblękitną.

Blask słońca ujawnił dziecko zwisające głową w dół, tak że końce włosów nurzały się w szybko rosnącej kałuży krwi. Stopy tkwiły na wysokości pasa Mahameniego w bucikach zaopatrzonych w maleńkie skrzydełka, które młóciły powietrze z cichym warkotem. Drobną sylwetka obracała się powoli wokół własnej osi, ukazując od czasu do czasu twarz wymazaną czarną pastą.

*Mahameni! Co się dzieje?! Odezwij się do mnie!*

*Już w porządku. Patrzył, jak strużki krwi pęcznieją na zlepionych czerwienią kosmykach. Już wszystko w porządku.*

## 28

Świt - ów czas, gdy nocni imprezowicze poszli spać, a poranni jeszcze nie wstali - był jedyną porą, gdy Lunapolis sprawiało wrażenie opustoszałego. Na niebie wciąż lśniły coraz bledsze gwiazdy, lecz od wschodu rozlewała się już ognista plama słońca. Poranek był szaro-czerwony, cienisto-światlisty i mroźny. Z oplatających budynki konstrukcji zwisły sople, woda w kałużach zamarzała i lód kruszył się z trzaskiem pod stopami nielicznych przechodniów. Noora czuła, jak zimno szczypie ją w policzki.

Wsunęła dłonie do kieszeni i odruchowo przyspieszyła, mijając lokale, w których za zaparowanymi szybami właściciele sprząтали bałagan po ostatnich klientach. Z oddali dobiegał dźwięk pierwszych rozstawianych straganów: metaliczne

kliknięcia rurek szepianych z innymi rurkami i łopot wydętego na wietrze płótna; czasem słycać było odgłos kroków albo cichy, jakby speszony pijacki śmiech. Poza tym w mieście panowała cisza.

Noora zatrzymała się przed kamienicą, w której mieszkał Finnen. Znała go słabo, lecz tylko on przyszedł jej w tej chwili do głowy. Żadnemu ze swoich rozrywkowych przyjaciół – ostatnio zresztą widywała się z nimi coraz rzadziej - nie mogłaby powierzyć tajemnicy, którą dźwigała na barkach.

Jednak Finnen miał towarzystwo. Z okien mieszkania promieniowało światło, za szybą widać było poruszające się cienie. Noora stała i gapiała się na front kamienicy, a potem odeszła, nie mając pojęcia, dokąd właściwie zmierza.

Dotarła do dzielnicy zwanej Przedświt, na plac wyłożony lodem. Jak przez mgłę pamiętała, że już tu kiedyś była i że wówczas plac wcale placem nie był, że dawniej w miejscu gładkiej lodowej tafli widniała głęboka na kilkanaście metrów dziura, na której dnie spoczywały maszyny zaopatrujące pobliską manufakturę w ciepłą wodę i gaz. Ludzie stawali na skraju przepaści i podziwiali czarne, niemal pozbawione ozdób potwory, mówiono bowiem, że to najstarsze z wciąż działających silników.

Noora zrozumiała, co musiało się stać.

Skok wyrwał kawałek rury z pobliskiego budynku i woda zalała maszyny, wypełniając nieckę aż po brzegi. Potem przyszedł mróz i na powierzchni utworzył się lód. Jednocześnie pod nim silniki wciąż pracowały, odporne na zimno, na wilgoć, na wszystko. Z wyjątkiem, rzecz jasna, przeszłości.

Przypominały ciemne, podmorskie stwory, zniekształcone i rozmazane, gdy patrzyło się na nie przez warstwę lodu. Bardziej cienie niż prawdziwe zwierzęta, a przecież mające swoje ciała i ciężar.

Noora nie była już sama. Obok niej przemknął na łyżwach jasnowłosy chłopczyk, potem dziewczynka powiewająca czerwonym szalikiem. Dzieci przybywało, podczas gdy na brzegu lodowiska gromadzili się dorośli. Tęga kobieta nalewała z wielkiego parującego samowaru herbatę, tęgi mężczyzna podpierał

nad zaimprovizowanym paleniskiem jabłka, nadziewał je na patyczki i posypywał cynamonem. W powietrzu fruwały kolorowe wstążki, serpentyny i balony, pachniało watą cukrową oraz rozgrzanym tłuszczem.

Było zdecydowanie za wcześnie na taką zabawę i Noora czuła się, jakby wciąż śniła.

Po strojach poznała, że to nie są ludzie z jej sfery. Musieli się tu zgromadzić niżsi urzędnicy, mniej utalentowani artyści oraz drobni sprzedawcy, a pewnie nawet ci, którzy nigdzie nie pracowali, żyjąc jedynie dzięki temu, co przywiozła Kolejka i co znaleźli w opuszczonych mieszkaniach. Do nich nowa moda jeszcze nie dotarła, oni wciąż ubierali się krzykliwie i nieskromnie, aż Noora, odzwyczajona od takich widoków, miała ochotę odwrócić wzrok. Dawno już nie czuła się tak bardzo... nie na miejscu, a bawiący się omijali ją zgrabnie, jakby świadomi jej inności. Nikt nie zaproponował jej herbaty ani pieczonego jabłka, nikt nawet się do niej nie uśmiechnął i nie powitał choćby jednym słowem. Jakby była niewidzialna.

Może zresztą i była. Tak czasem bywa we śnie.

Na łód prócz serpentyn i barwnych konfetti sypały się także niebieskie ulotki. Noora podniosła jedną z nich.

„Czy jesteś pewien, że Przebudzenie kiedykolwiek nastąpi? - przeczytała. - A może padłeś ofiarą największego oszustwa w dziejach świata? Przedksięźcowi są winni śmierci milionów ludzi, którzy podczas Skoków zostali z tyłu. Może już czas zbuntować się i powiedzieć głośno NIE CHEMY UMIERAĆ ZA DOSKONAŁOŚĆ? Zdecyduj, zanim i Ty skończysz w przeszłości!”.

Zmięła papier w kulkę i schowała do kieszeni. Zebrani na placu nieplacu ludzie wreszcie zwrócili na nią uwagę, lecz nie było to przyjazne zainteresowanie. Kobieta z samowarem popatrywała wilkiem, szepcząc coś do sprzedawcy cukrowej waty, młody mężczyzna potrącił ją i odwrócił się, by przeprosić - jednak twarz wykrzywił mu grymas niechęci i tylko splunął pod nogi. Dzieci pokazywały ją sobie palcami, chichocząc między sobą, aż wreszcie jedno z nich rzuciło w dziewczynę śnieżną kulą. Wewnątrz ukryty był kawałek lodu, który rozprysł się tuż

pod jej stopami, gdy cofała się odruchowo, zdjęta nagłą grozą jak wtedy, jak we śnie Ellony.

A przecież jeszcze niedawno Noora wraz z przyjaciółmi często bawili się w lokalach przeznaczonych dla przedstawicieli niższych warstw społecznych. Pili z nimi i flirtowali, śmiali się, fundowali synestetyczne narkotyki, a bywało, że i przemycali na bardziej wyrafinowane imprezy. Do licha, niektórych biedaków Noora nawet lubiła i sądziła, że i oni lubią ją. Lubią, podziwiają, są jej wdzięczni i nigdy w życiu nie ośmielią się skrzywdzić.

Przypomniła sobie wpadające jej od czasu do czasu w ucho strzępy zdań wypowiedzianych niespokojnym szeptem. Ze równocześnie z bogatym, zmieniało się także Lunapolis ubogie, i to ewoluując w zupełnie inną stronę; że w mieście działy się dziwne, straszne rzeczy.

Dlaczego nie chciała słuchać? Dlaczego nawet gdy słuchała, to nie zastanawiała się, nie dopytywała i zaraz zapominała?

Kolejna śnieżka, na szczęście tym razem bez lodu, pacnęła ją w ramię. Wycofując się, dziewczyna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że oto na jej oczach Lunapolis rozpada się na połowy, pomiędzy którymi ziele coraz większa przepaść.

## 29

- To kawał skurwysyna - sapnął Mahameni, pociągając tęgi łyk z butelki. - Tak mnie załatwił... Wiesz, jak się połapałem, że coś nie gra?

- Jak? - Tellis swoją porcję grzanego wina piła z kamionkowego kubka. Piecyk w kształcie cedrowej szyszki promieniował ciepłem, sprawiając, że obskurny pokój z przeszłości wydawał się niemal przytulnym miejscem.

- Czuję go, wiesz? Tego chłopaka. Węchem czuję, że to ta sama osoba. Jednocześnie nijak mi nie pasowało, że za dnia mikrus chodził jak półślepy, a w mroku poruszał się pewnie.

I wtedy sobie pomyślałem, że to może specjalnie, rozumiesz? Taka mutacja, przystosowanie do ciemności. Błada skóra by

się zgadzała, nie? Ale na latające buty bym nie wpadł. - Pokręcił głową. - To w ogóle był dziwny dzieciak. Wiesz, że potrafił zmieniać głos?

- Nie sędzę, żeby to było dziecko. Prawdopodobnie sztucznie powstrzymano jego wzrost. - Tellis odwróciła się w stronę piecyka i z twarzą gorącą od żaru zadała pytanie, na którym najbardziej jej zależało - miał broń?

- Nie, chyba nie. W każdym razie żadnej nie znalazłem. Mówiłem ci, że jak tam wróciłem...

Mahameni już o tym opowiadał. Gdy wrócił do mieszkania wraz z ekipą techniczną, po zwłokach nie było śladu, została tylko rozmazana plama krwi. A tuż przy drzwiach odkryto mechanizm zapadni, który sprawiał, że w posadzce otwierała się na podobieństwo mechanicznych szczęk zębata dziura, wystarczająco szeroka, by zmieścić dorosłego człowieka. Identyczne szczęki istniały w pomieszczeniach na niższych poziomach, ułożone jedna pod drugą, tak że nieszczęśnik spadał przez siedem pięter, kłany po drodze metalowymi kłami.

Dla Mahameniego Mehusa był to ostateczny dowód, że trafił w pułapkę, a bladokóre dziecko niedziecko miało uruchomić mechanizm. Dla Tellis nie. Ona dopuszczała możliwość, choć mało prawdopodobną, że chłopak znalazł się tam przypadkiem, tak jak Mahameni zwabiony w pułapkę na skutek intryg Issy.

Zdaje się, pomyślała z odrobiną wisielczego humoru, że zaczynam tego człowieka demonizować. To niebezpieczne nie mniej niż lekceważenie.

Mahameni wypił resztkę wina, siorbiąc z wyraźnym ukontentowaniem. Dla niego problem nie istniał. Z wyraźnym zadowoleniem opisał jej, jak chłopiec piszczał, i teraz nie mogła pozbyć się z głowy tego dźwięku. Wyobrażała sobie wysoki, przenikliwy jęk, podobny do tego, jaki czasem wydawała jej córka.

To nie było dziecko, upomniała się surowo.

Ale przecież nie mogła mieć pewności, prawda?

- ... słucham? - zorientowała się, że Mahameni o coś ją pyta.

- A ty skąd wiedziałaś, że to pułapka?



- Uświadomiłam sobie, że znalezienie zdjęcia wcale nie było takie trudne. Zostało ukryte dobrze, owszem, ale nie aż tak, żeby nikomu przede mną nie udało się go znaleźć, a trudno przecież przypuszczać, że bym była jedyną osobą, która wpadła na to, żeby w przeszłości poszukać haka na Issę. Byłam głupia, że o tym nie pomyślałam. - Potrząsnęła głową. - Chociaż z drugiej strony nie można odmówić Issie sprytu. Ludzie lubią czuć się lepsi od innych, bystrzejsi, a znalezienie zdjęcia na to pozwalało. Dlatego pułapka działała. W końcu jednak coś mnie tknęło, zesłam do starszego z odrzuconych światów i tam fotografii nie było. Znaczący, ktoś ją zabrał. Ale jeśli tak, to czemu tajemnice Issy nie wyszły na jaw? Szantażowano go? Może, ale wtedy pozbyłby się zdjęcia niezależnie od tego, jak wielki miałby do niego sentyment, i z kolei ja nie trafiłabym na nie po kolejnym Skoku. Zesłam jeszcze niżej, do rzeczywistości mocno już zniszczonej, i tam obejrzałam wcześniejszą kopię. I zdziwiłam się, że papier nawet nie jest pożółkły. A przynajmniej nie bardzo, nie tak, jak powinien być w tamtym świecie. Wtedy zrozumiałam, że Issa zabezpieczył zdjęcie przed upływem czasu.

- Bo zależało mu, żeby ktoś je znalazł?

- Bo zastawił sprytną pułapkę i żał mu było, żeby z powodu głupiej entropii wpadło w nią mniej osób, niż by mogło. Tu popełnił błąd.

Który prawie przegapiłam, dodała w myślach.

Poruszyła się niespokojnie. Issa... Issa w gruncie rzeczy wcale nie musiał tej pułapki zastawiać, a przynajmniej, na zły gust Przedsięwzięcowych, nie w tak skomplikowanej formie.

Kim był człowiek, który robił takie rzeczy?

- Wszystko w porządku? - zapytał Mahameni.

- Tak - jej głos zabrzmiał dziwnie, ale mężczyzna tego nie zauważył.

Może pułapka służyła do tego, żeby odciągnąć uwagę od czegoś oczywistego, czegoś na wierzchu, czego Issa nie był w stanie ukryć? Człowiek grzebiący w przeszłości ojca Kairy szukałby właśnie sekretu, lecz gdyby go nie znalazł, prędzej czy później zwróciłby na ową oczywistość uwagę.

Dlatego właśnie tajemnica musiała być.

A co było oczywistością?

Mahameni odstawił butelkę i sięgnął po ciastka. Przyniósł je z górnego świata i Tellis była mu za to wdzięczna, tak samo jak za same odwiedziny, że siedział tu z nią pośród zetłanych ściennych obić. A jednocześnie ta wdzięczność dławiała ją upokorzeniem jak nigdy wcześniej.

Tą oczywistością jest Kaira, odpowiedziała sobie kapitan.

Mehus połknął ciastko w dwóch wielkich kęsach. Okruszki posypały się na koszulę, odrobina kremu została na brodzie. Tellis odwróciła wzrok.

### 30

Gdy Noora się zbudziła, w sypialni panował zaduch, a ona sphywała potem. Niecierpliwym ruchem wyplątała się z koca, półnaga, tylko w bieliznie i wilgotnej koszulce, która przywarła do ciała. Spodnie i buty leżały na posadzce, tak jak porzuciła je rankiem, gdy kładła się spać. Miała się zdrzemnąć tylko chwilę, ale teraz musiało się już zbliżyć południe, a obok rozgrzanego piecyka siedział Brin Issa. W ręku trzymał szklanekę wody.

Przysunął krzesło do jej łóżka.

- Masz, napij się.

Woda była ciepława, jakby ojciec już od dłuższego czasu czekał, aż Noora się obudzi. Nie przeszkadzało jej to. Piła, jednocześnie kątem oka zauważając, że w progu sypialni ktoś stoi. Nie człowiek, lecz mechaniczny. Jego metalową powłokę uformowano w kształt niezwykle dobrze zbudowanego mężczyzny. Mięśnie były aż przesadnie podkreślone, wypukłe i połyskujące sporą ilością złota. Nigdy wcześniej nie widziała w domu takiego służącego.

Piła, podczas gdy ojciec przesunął dłonią po jej kręgosłupie. Powoli, jakby liczył kręgi albo próbował wyczuć przez koszulę blizny. Od krzyża aż po kark, masując skórę przyjemnie chłodnymi palcami. Miała wrażenie, że jeśli spróbuje się

cofnąć, tymi samymi palcami chwyci ją za szyję.

- Lepiej?

- Tak. - Noora przymknęła oczy. Dlaczego tu był? I co znaczył ten stojący w progu nowy służący?

Przyszedł mnie ukarać, pomyślała i uśmiechnęła się do niego prosząco, wdzięcznie i przepraszająco.

- Kazałeś swojemu telepacie, żeby sprawdził moje myśli, prawda? - mówiła szybko, czując, że coś jej umyka.

- Zawsze to robię.

- W takim razie wiesz, co widziałam we śnie Ellony, i wiesz, że wcale mnie to nie obchodzi. Nie mam pojęcia, kim są te wszystkie utopione dziewczyny i czemu Ellona jest klonem Kairy. Nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć. Nawet nie zamierzałam pytać.

- Nie zamierzałaś - przytaknął Issa. - Ale mnie martwi coś innego. Telepata śledził cię dziś w nocy, kiedy wychodziłaś z domu, i odebrał twoje myśli. A ty się nie bałaś.

- Nie bałam się? - Jej oczy rozszerzyły się zdumieniem. - To o to chodzi? Że się nie bałam?

- Znam cię, Nooro. Wcześniej, kiedy wymykałaś się nocą, zawsze miałaś nadzieję, że ktoś cię przyłapie. Że ja cię przyłapię, dla ścisłości. Bałaś się i jednocześnie tego pragnęłaś.

- S...skąd ci to przyszło do głowy?

- Mówiłem już, znam cię. A przynajmniej kiedyś znałem. Byłaś moją małą słodką córeczką. - Poglaskał Noorę jeszcze raz, z czułością, która rozdzierała jej serce, a potem cofnął dłonie nagłym, niecierpliwym gestem.

„Byłaś”. Nie: „jesteś”. Byłaś.

Zaskakujące, myślała Noora, jak w takich chwilach zwraca się uwagę na drobiazgi. Patrzyła na paznokcie ozdobione maleńkimi rysunkami oczu, które śledziły ją, gdy poruszała dłońmi. W mózgu wypalał jej się obraz rozżarzonego do czerwoności piecyka i błękit zmiętej ulotki, leżącej na posadzce obok butów i spódnicy. Bładość jej skóry i ścieżki pulsujących żył. Wszystko, z wyjątkiem twarzy ojca.

- Wolałabyś, żeby teraz na moim miejscu był tamten, praw-

da? Jak on się nazywa? - Issa zawiesił głos, a Noora zrozumiała, że ojciec tylko udaje. Natychmiast wystraszyła się swojej wiedzy, bo nie powinna była znać Brina Issy tak, jak on znał ją. - Ibris Marely, tak?

- On dla mnie nic nie znaczy - powiedziała, i to była prawda. Inspektor wydawał się teraz tak odległy, że z trudem przywoływała w pamięci jego rysy.

Instynktownie odwróciła się, chwyciła ojca za rękę i podniosła je do ust. Były suche i chłodne, tak jak pamiętała. Jak mogła kiedykolwiek choć na chwilę o nim zapomnieć?

- Przepraszam, jeśli zrobiłam coś, co cię uraziło. Przepraszam. To już się nie powtórzy. Tamten człowiek... Marely... widzisz, już prawie nie pamiętam, jak się nazywał... Nie zobaczę się z nim więcej. Jeśli przypadkiem się gdzieś spotkamy, wyjdę... Albo - na tę myśl oczy jej rozbłysły - mogłabym, tak jak Kaira, od tej pory tylko siedzieć w domu. Chciałbyś tego? Mogłabym być dla ciebie tym, kim była Kaira.

- Ona żyje.

Noora zamrugwała.

- Nie rozumiem.

- Nie zdążysz zrozumieć. - Issa ruchem głowy wskazał pustą szklanę.

- Och - powiedziała Noora. - Ale ja nigdy bym...

- Wiem, ale nie mogę ryzykować, że zmienisz zdanie, kiedy tylko Marely znajdzie się bliżej, a ja dalej. W innych okolicznościach być może zczekałbym, aby się przekonać, czy ostatecznie wybierzesz mnie, czy też jego. Coś takiego mogłoby być interesujące. Ale teraz nie mogę sobie na to pozwolić. Niech ta wiedza będzie twoim małym zwycięstwem. Tyle mogę ci dać.

Ostatnio popełnił kilka błędów, poza tym niepokoiło go też, że jedna z jego pułapek została odkryta i zlikwidowana, a Ibris Marely - choć ojciec Kairy przyznawał to z najwyższą niechęcią

- mógł okazać się niebezpieczniejszy, niż Issa początkowo sądził.

Gdy Noora konała, podniósł z posadzki ulotkę i rozprostował ją. Uśmiechał się, czytając.

Finnen kupił sobie czarny płaszcz z kapturem. Nie przepadał za ciemnymi kolorami, płaszcz był na niego zbyt duży, a kaptur irytował, spadając bezustannie na oczy, jednak chłopak nie zamierzał rezygnować. Codzienny lęk, gdy w płaszczu przemierzał miasto, był jego pokutą za to, co rozpętali w Lunapolis, zadośćuczynieniem za śmierć ludzi posądzonych o to, że są Przedksiężcowymi.

Próbował wytłumaczyć to Kairze - niezręcznie, bo to, co robił, było tak nieadekwatne do jego winy, że wyglądało na pusty gest - ale ona nie rozumiała.

- Ludzie specjalnie zmieniają teraz czarne płaszcze na jasne, a ty zrobiłeś odwrotnie? Nie po to, żeby prowokować - wiem, że niektórzy to lubią - ale dlatego, że się czujesz winny?

- Owszem.

Chwyliła go za rękę. Jej oczy płonęły dobrze znanym Finnenowi blaskiem.

- Nie wolno nam tak myśleć. Ludzie umierają, wiem, i to jest straszne, ale jeśli zaczniemy rozpaczać nad każdą pojedynczą śmiercią, stracimy z oczu nasz cel. Teraz nie możemy być słabi, rozumiesz? Musimy być silni, nawet gdyby oznaczało to bycie okrutnym... Myślisz, że mi się to podoba?

- Nie wiem. Podoba ci się?

- Uwierz mi, gdyby istniał jakikolwiek sposób, żeby połączyć światy bez ofiar...

- Ale nie ma takiego sposobu, co? Ale mówienie o nim nic nie kosztuje.

Kaira chciała coś jeszcze dodać, ale jej przerwał. Bał się, że jeśli posłucha tego dłużej, wreszcie dziewczynie uwierzy.

Kilka dni później do ich aktualnego mieszkania trafił młody mężczyzna. Wszedł przez otwarte drzwi - Arikol, której Kaira natarła później uszu, zapomniała je zasunąć - i natychmiast zaczął się wycofywać.

- Przepraszam - mówił. - Nie wiedziałem, że ktoś tu jest...

Ubrany był ubogo i wyglądał na kogoś, kto plądruje opuszczone po Skoku domy.

- Jest ciekawy kim jesteście co tu robimy jest ciekaw - odezwał się Mirris, który siedział w kącie pokoju, wpatrzony we własne stopy. - Jeszcze bardziej ciekawy...

- Byłby mniej ciekawy, gdybyś się, kurwa, zamknął - warknął Finnen, ale było za późno. Oczy mężczyzny ze zdziwienia zrobiły się okrągłe jak monety, a po chwili pojawił się w nich chytry błysk.

- Opowie już myśli kto kupi informację...

Kaira spojrzała na Finnena nagle, z wyzwaniem, a jednocześnie jakby przepraszająco. Choć w przypadku tego ostatniego - zdawał sobie sprawę - mógł widzieć jedynie to, co chciał zobaczyć.

Finnen wstał, młody mężczyzna cofnął się jeszcze pół kroku. Uniósł ręce.

- Hej, powiedzcie temu małemu, że gada głupoty. Nikomu nic nie powiem, w porządku? Obiecuję.

- Powie powie - śpiewał za plecami Finnena Mirris.

Finnen pomyślał: za drugim razem to powinno być prostsze.

I rzeczywiście było. Gdy kucnąwszy, wycierał już krew z rąk, usłyszał, jak za nim staje Mirris.

- Nie był sam - oznajmił telepata. - Słyszałem jego myśli umierał i myślał moja dziewczyna żeby była bezpieczna.

- Dajmy jej spokój. Nie wie o nas, więc nie może nam zagrozić.

- Ale może tu trafić, szukając swojego towarzysza. - Kaira podała Finnenu czystą chusteczkę. Chłopak pomyślał, że powinien zabić mężczyznę gdzie indziej, nie tam, gdzie zatrzymali się na noc, a ponadto powinien to zrobić szybciej i sprawniej, żeby nie było tyle krwi. I dopiero później, zdecydowanie zbyt późno, by potem go to nie prześladowało, pojął, czym właściwie się przejmuje.

- Lepiej ją znajdźcie - dodała Kaira.

Finnen chciał odruchowo wstać, ale dziewczyna go powstrzymała.

- Niech Tuir, Nalle i Chira się tym zajmą. Ty tylko pomóż im,

gdyby coś poszło źle.

Nie musiał im pomagać. Dzieciaki poradziły sobie zaskakująco dobrze, choć w ziemię wsiąkło więcej krwi, niż wcześniej znalazło się na posadzce.

Tego samego wieczoru Finnen wyrzucił swój czarny płaszcz. Noszenie go rzeczywiście było głupie.

## 32

Kwiaty lodowych zimnorośli były czarne, z granatowym połyskiem na obrzeżach i purpurowym wewnątrz, tam gdzie płatki wyrastały z czerwonego niczym upiorze oko środka. Gdy temperatura utrzymywała się przez dłuższy czas poniżej zera, twardymi lodygami przebijały warstwę śniegu i rozkładały kielichy. Nocą rozsiewały wokół siebie srebrzysty blask leśnego próchna, w dzień na tle śniegu były najczarniejszymi z czarnych plamami ciemności.

Tak naprawdę nie były to kwiaty, lecz rodzaj pokrewnych świetlikom grzybów. Zostały zmutowane dawno temu, podczas prób przystosowania fauny i flory do coraz mniej przyjaznego klimatu Lunapolis. Była to jedyna udana próba, pozostałe formy - zarówno zwierzęce, jak i roślinne - wyginęły. Zresztą eksperymenty szybko zakończono, gdy okazało się, że Przedksiężycowi nie są zadowoleni. Pozostały po nich lodowe zimnorośla odporne na mróz, a wręcz go lubiące, czerpiące siłę życiową z czerwonego słońca. Rosły dziko, gdyż ludzie niechętnie sadzili je w swoich ogrodach. Powszechnie uważano je za wulgarne; ich czarne, mięsiste i śliskie od srebrzystego śluzu płatki zbyt wiele miały z dawnych grzybiastych form, by budzić zachwyt. I pachniały co prawda słodko, ale z nutą bagiennej zgnilizny, która na zewnątrz była niemal niewyczuwalna, lecz w pomieszczeniu stawała się ostra i dusząca, tak że kwiaty nie nadawały się do tego, by je zrywać i wstawiać do wazonów.

Niraj pamiętał ich zapach - wspomnienie coraz bardziej bladło w pamięci, w miarę jak to, co jest, zastępowało to, co było. Ale

niczego nie czuł, choć powinien, szedł bowiem po lodowych zimnoroślach, miażdżąc je stopami, i słodka woń musiała otaczać go jak chmura. Śnieg skrzypiał, popołudniowe słońce zapalało czerwone iskry w mlecznej zmarzlinie, a Noora była w jego ramionach lekka jak poduszka wypełniona gołębim puchem. Trzy razy omal jej nie upuścił, zawsze jednak udawało mu się schwytać siostrę, nim dotknęła ziemi. Spod białego płótna wysunęły się jednak włosy i blada dłoń, która zwisała teraz, kołysząc się w rytm jego kroków.

W Kwartale Kandrisa panowała cisza, która możliwa jest tylko pośród umarłych. Widział ich czasem, usadzonych przy oknach i spoglądających na niego zza szyb ozdobionych wzorami, jakie wymalował mróz. Czy ktokolwiek naprawdę sądził, że dla zwłok ma znaczenie, na co patrzą? Cóż, najwyraźniej tak. Niraj nie był równie sentymentalny - polecono mu zanieść Noorę w głąb kwartału, nie bliżej niż na plac Kukulek, i zamierzał to zrobić, pozostawiając ją w pierwszym domu, na jaki natrafi, choćby jedynym wolnym miejscem był tam ciemny kąt.

Unaj chciał coś powiedzieć, lecz Niraj mu nie pozwolił.

I znów dziewczyna omal nie wylądowała na ziemi. Chwycił ją natychmiast. Jego nowa mechaniczna powłoka miała refleks lepszy niż ciało z krwi i kości, choć wciąż jeszcze na dobre się do niej nie przyzwyczyił. Czasem zdawało mu się, że traci równowagę, albo - jak przed chwilą - zawodzą go receptory informujące, iż dźwiga w ramionach ciężar. Wiedział jednak, że to tylko kwestia czasu. Przywyknie. Już teraz wiedział, że nowe ciało ma wiele zalet. Nie czuł zimna, nie męczył się, był szybszy i silniejszy...

Unaj znów spróbował przebić się na powierzchnię ich wspólnego umysłu. Na razie Niraj nie dopuszczał go do głosu. Wciąż jeszcze czerpał satysfakcję z możliwości panowania nad podosobowością. Prędzej czy później pozwoli jednak Unajowi mówić.

Jego metalowe nozdrza nie wychwytywały woni nieistotnych, takich jak zapach kwiatów czy jedzenia, a za to bez trudu, nawet z dużej odległości, wyczuwały truciznę lub pot ściganey ofiary. Czyż nie było to zaletą? Jeść i tak nie musiał, a dzięki



nowym wrażliwym zmysłem mógł się przysłużyć swemu twórcy.

Tym razem pozwolił Unajowi się odezwać.

*Tylko się streszczaj - ostrzegł na wstępie. - Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich żalów.*

*Ty pieprzony, porąbany, po dwudziestokroć przekłęty idioto! - warknął Unaj. - Przedksiężycowi powinni cię zabrać, zanim wyrosłeś z pieluch, no chyba że zajmujesz specjalną niszę skokową przeznaczoną dla półmózgów. Jesteś pewien, że duszoinżynierowie nie dali ci aby osobowości psa?*

*Tylko tyle masz mi do powiedzenia? W takim razie...*

*Czekaj! Wiem, że teraz ty tu rządysz i w ogóle. Ale ten drań załatwił nas obu, więc powinienes przynajmniej mnie wysłuchać.*

*Słucham, chociaż nie mam pojęcia, o kim mówisz. Niraj nie pozwolił się sprowokować.*

*Naprawdę ci się podoba siedzenie w tej metalowej puszcze? Co z tego, że masz więcej siły i nie musisz jeść ani spać, skoro jesteś teraz mechanicznym? Jak zwykły służący, jak schwytyany nieudolny art- -zbrodniarz...*

*Nie jestem służącym, ani tym bardziej przestępcą.*

*Być może, ale tak właśnie będą cię teraz postrzegać ludzie. Naprawdę myślisz, że twoi znajomi zaakceptują cię w takiej... formie? Ze nadal będziesz traktowany tak samo? Istoty takie jak ty piorą ich brudne gacie i przynoszą do łóżka nocnik, kiedy twoim przyjaciółom nie chce się wstać. A twoje wielbicielki? Myślisz, że będą się ślinić na widok metalowych mięśni, tak jak kiedyś śliniły się na widok prawdziwych? Że którakolwiek zechce pójść z tobą do łóżka? Aha, zapomniałbym, przecież ty i tak nie możesz mieć kobiety. Zamknij się.*

*Przecież możesz sprawić, że będę siedział cicho. No? Czemu tego nie zrobisz? Mówienie „zamknij się” nic nie kosztuje, a ty chcesz mnie wysłuchać, bo wiesz, że mam rację. Pomyśl o ojcu, który pozbawił cię ludzkich przyjemności, a w zamian zrobił z ciebie swojego psa... Nie żebyś już wcześniej nim nie*

był, ale kiedyś miałeś przynajmniej trochę godności. Nie czujesz do niego nienawiści za to, co nam zrobił? Bo ja tak. Z chęcią przegryzłbym sukinsynowi gardło naszymi nowymi metalowymi zębami...

Dlatego właśnie ja jestem osobowością dominującą, a nie ty. Ojciec może mi zaufać. Nie jego wina, że zmienił mnie w mechanicznego. Musiał to zrobić, bo ty się pojawiłeś. To była dla mnie ostatnia deska ratunku, bo tylko w mechanicznym ciele mogę cię kontrolować.

Tak ci powiedział, biedny idioto? I uwierzyłeś mu? A zastanawiałeś się może, dlaczego się pojawiłem? No? Zgaduj, do trzech razy sztuka. Nie chcesz? To ja ci powiem. Bo twój kochany tatuś, wyobraź sobie, od lat mieszał ci w mózgu, podłączał cię do Nocnego Zestawu Bashrana i dawał sprzeczne polecenia. Miałeś ochraniać Kairę i jednocześnie próbować ją zabić, wiedzieć o tym, że żyje, i jednocześnie nie zdawać sobie z tego sprawy. Nic dziwnego, że w którymś momencie obhuzowały ci się klepki. Nie chcesz robić ojcu krzywdy? W porządku, nie rób, ja cię rozumiem, lojalny piesek i tak dalej. Ale na twoim miejscu zapytałbym przynajmniej, czemu cię tak traktował. Do czego hodowana była Kaira, że trzeba było z nią postępować w taki sposób? Albo, to też jest interesująca kwestia, dlaczego zabił Noorę? Bo przecież nie jesteś aż takim głupcem, żeby nie wiedzieć, że ją otrul, prawda? To chyba oczywiste. A czym ta nieszczęsna dziewczyna mogła zawinić? Zrobiła się cnotliwa i zaczęła nosić zgrzebną bieliznę? Albo odwrotnie: rozłożyła nogi przed niewłaściwą osobą? Dlaczego biedna, głupiutka Noora musiała umrzeć? Naprawdę cię to nie ciekawi?

Nie, odparł Niraj, po czym kazał Unajowi zamilknąć.

Dotarł już na plac Kukulek i tak jak wcześniej sobie obiecał, wszedł do pierwszego z brzegu domu. Wydawał się pusty, choć Niraj wiedział, że tak nie jest, z dalszych pomieszczeń dolatywała bowiem słodkawa woń psującego się mięsa. Rejestrował ją, wciąż unoszącą się w powietrzu niczym tłusty dym, mimo że ciało z pewnością zamrożone było na kość.

Noora będzie miała towarzystwo, pomyślał.

Położył ją na stole i rozwinął płótno. Dziewczyna wciąż jeszcze nie zeszywniała, a jej piersi w dotyku były jędrne i gładkie, co jego mózg odnotował jako „nieistotny szczegół”. Nie potrafił o tym myśleć inaczej, choć wspomnienia, kłócąc się z rozumem, podpowiadały, że powinien.

Nieistotny szczegół. Czy można żałować czegoś, do czego odczuwania nie ma się już odpowiednich mechanizmów? Może tak, tylko przez tę chwilę, zanim wspomnienia tego, co było kiedyś, nie zblakną zupełnie.

Tylko przez tę chwilę.

Gdy sięgał dłonią między jej nogi, by sprawdzić, czy jest wciąż ciepła, w głębi siebie usłyszał śmiech Unaja.

### 33

- Spóźniłaś się - powiedział urzędnik, porównując zdjęcie na przepustce z twarzą Kairy. - To już trzeci raz w tym tygodniu, prawda? Dobrze pamiętam?

- Drugi - poprawiła dziewczyna, choć tak naprawdę spóźnień było jeszcze więcej.

- Zaspało się, he?

Schyliła głowę i wymamrotała coś, co przy odrobinie dobrej woli można by wziąć za usprawiedliwienie. Chwilę później strażnik - żywy, nie mechaniczny - przeszukał ją, obmacując z idiotycznie zadowolonym, porozumiewawczym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „Ty i ja wiemy, że nic nie chowasz, zło-ciutka, ale rozkaz to rozkaz. Nie masz pretensji o taki drobiazg, prawda?”. Kaira zniosła to, zacisnąwszy usta w wąską kreskę. Gdyby nie to, że się spóźniła, strażnik nie pozwoliliby sobie na taką poufałość.

Nie mogła jednak przyjść punktualnie, gdyż istniało spore zagrożenie, że spotkałaby się wtedy z dawnym kolegą lub koleżanką, a ci wiedzieli, że Kaira już w Archiwum nie pracuje. Dlatego każdego dnia stała w bramie naprzeciwko, czekając, aż przez wzmożoną ostatnimi czasy kontrolę przejdzie fala pracowników porannej, popołudniowej lub wieczornej zmiany.

Trwało to tak długo, że nawet najwięksi spóźnialscy zdążyli przebiec przez plac, w pośpiechu przeczesując włosy i dołączyć do tłumu. Kaira tupiała dla rozgrzewki i chowała dłonie pod pachami, a gdy za bramą znikął ostatni człowiek, wychodziła z ukrycia i kierowała się do punktu, w którym pokazywała fałszywą przepustkę, zręcznie przerobioną z jej starej, nieważnej. Urzędnik był już wtedy zmęczony i głodny - dwa czy trzy razy weszła akurat w momencie, gdy rozrywał papier, z którego unosił się aromat bułek posmarowanych masłem sojowym, a na jej dokumentach zostawały potem ślady tłustych palców. Najczęściej patrzył tylko na zdjęcie oraz na pieczętki, po czym machnięciem ręki dawał znak, że dziewczyna może iść dalej. Rzadko zadawał pytania, a nawet jeśli, to odpowiedzi nie słuchał, zadowolając się kilkoma wymruczanymi pod nosem zdaniem.

Starła się nigdy nie przychodzić dwa razy z rzędu na tę samą zmianę, lecz mimo to istniało ryzyko, że któryś ze strażników zapamięta ją i opowie w końcu komuś o białowłosej, wiecznie przychodzącej jako ostatnia dziewczynie, zaś ów ktoś skojarzy opis z pracownicą, która z dnia na dzień zerwała umowę. Z powodu tego właśnie ryzyka Finnen przez pewien czas upierał się, że to on powinien chodzić do Archiwum, ale Kaira zawsze wysuwała ten sam argument.

- Ja znam Archiwum - mówiła. - Wiem, gdzie co jest, i umiem się po nim poruszać. Poza tym w mojej przepustce wystarczy dodać uaktualnienie, a twoją musielibyśmy tworzyć od podstaw.

Co oznaczało także, że nie mogła zmienić wyglądu, bo w dokumentach było jej zdjęcie oraz rysopis.

A przynajmniej nie mogła tego zrobić przed przekroczeniem punktu kontrolnego.

Po przekroczeniu szła do najbliższej łazienki, skąd wychodziła jako młody mężczyzna. To był pomysł Finnena, a Kaira, choć z początku buntowała się przeciwko dodatkowej stracie czasu, wreszcie doceniła prostotę i skuteczność tego konceptu. Wystarczyło dziesięć minut - zdejmowała białą perukę, pod którą miała krótkie, ufarbowane na ciemny brąz włosy, na zęby

wsuwała wkładki sprawiające, że jej szczęka wyglądała na masywniejszą i bardziej kwadratową, nozdrza rozpychała kulkami z jedwabiu - dodatkowo dzięki temu jej głos brzmiał mniej dziewczęco - cieniowała brwi, by wydawały się bardziej obfite, a brodę oraz policzki pokrywała cienką, chropowatą folią, która doskonale imitowała lekki zarost. Strój już wcześniej miała męski, czemu strażnik w punkcie kontroli nie powinien się dziwić, bo wiele pracowników Archiwum wołało nosić spodnie - wygodniejsze i bezpieczniejsze w pobliżu maszyn.

Aksesoria do przemiany chowała w kosmetyczce, obok cieni do powiek, różu i pęset, barwnych sztyftów, fałszywych tatuaży oraz piór, które kobiety przyklejały do rzęs. Trafnie zgadywała, że ewentualnie przeszukujący jej torebkę strażnik w całym tym bałaganie nie zwróci uwagi na dwa czy trzy nietypowe przedmioty. Zresztą szukał przecież broni, więc dlaczego miałby się interesować czymś, co wyglądało najzupełniej niewinnie?

Kaira długo nie mogła uwierzyć, że przemiana jednej osoby w drugą może być tak łatwa. Żadnej genozmiany, po prostu kilka sprytnych aktorskich sztuczek. Finnen śmiał się, gdy mu to powiedziała, wyraźnie zadowolony, że przydało się jego niewielkie doświadczenie na deskach teatru. Potem nauczył ją poruszać się jak mężczyzna - ostatni szlif, który sprawiał, że mogła chodzić po Archiwum bez obaw, iż ktoś ją rozpozna. Pikanterii całej sprawie dodawało to, że gdyby zmieniła kolor włosów, skóry, a nawet rysy twarzy, nadal jednak pozostając kobietą, nie mogłaby się czuć aż tak bezpiecznie. Popularność genozmian sprawiała bowiem, że spora część ludzi wyćwiczona była w rozpoznawaniu starych znajomych z nowymi nosami, podbródkami, ustami czy brwiami, lecz mało komu przyszłoby do głowy, że dziewczyna mogła stać się młodzieńcem. To się zdarzało, owszem - podobnie jak zmiany w drugą stronę - jednak zmiana płci była na tyle droga, długotrwała i jednocześnie bolesna, że w powszechnej opinii podpadała pod kategorię ekstrawagancji zarezerwowanej dla klasy najbardziej znudzonych obywateli Lunapolis.

Z łazienki Kaira kierowała się do głównego holu, po czym

wjeżdżała ruchomymi schodami na czwarte piętro, starając się przy tym zachowywać zaaferowany wyraz twarzy kogoś, kto spieszy się w ważnym celu i komu w związku z tym nie należy przeszkadzać. Potem mijiała bufet, gdzie pewnego razu wpadła na dziewczynę, z którą pracowała w sali 9C. Dawna koleżanka uśmiechnęła się, a Kaira omal nie uciekła i dopiero po kilku sekundach grozy pojęła, że to nie był uśmiech rozpoznania, lecz zachęta do flirtu, wysłana zresztą bez większego przekonania - ot, bezmyślny odruch samicy na widok samca mniej więcej w odpowiednim wieku i o stosownym wyglądzie.

Pół godziny później Kaira wychodziła z Archiwum tylnym wyjściem. Tu już przepustki nie musiała pokazywać - wystarczyło, że znów poddała się przeszukaniu, tym razem mającym na celu sprawdzenie, czy nie wynosi z pracy cennych dokumentów lub wynalazków. Znów była dziewczyną, lecz jej białe włosy zasłaniała chustka, rysy twarzy zaś pozostawały męskie (odklejała imitującą zarost folię, ale pozostawiała wkładki na szczękach i grube brwi). Gdyby strażnik stojący przy wejściu chciał dogadać się z tym pilnującym wyjścia, i tak najprawdopodobniej nie udałoby im się jej zidentyfikować.

Bystry obserwator być może zauważyłby jeszcze jedno - otóż dziewczyna wchodząca do Archiwum miała na bluzce ozdobę, która komuś starszemu mogłaby przywieść na myśl czasy, gdy moda nakazywała przyszywać do ubrań drobne części maszyn. Był to lekko wygięty kawałek metalu wielkości dłoni, czasem kształtem przypominający kwadrat, czasem prostokąt, a czasem jeszcze inną figurę.

Dziewczyna, która z Archiwum wychodziła, już tej ozdoby nie miała.

## 34

Tłum zaczął gromadzić się przed Archiwum późnym rankiem. Najpierw sprawiał wrażenie stosunkowo spokojnego; zbici w grupki mieszkańcy dyskutowali, a gdy z budynku wychodzili strażnicy, odsuwali się, ponaglani natarczywym „Proszę się

rozejść". Zaraz jednak wracali na swoje miejsca, ich twarze były bardziej zacięte, czoła zmarszczone, a dłonie nabierały niepokojącej skłonności do zaciskania się w pięści. Za każdym kolejnym razem rozstępowano się mniej chętnie, mnąc w ustach więcej przekleństw.

Ludzi na placu przed Archiwum przybywało, tłum gęstniał.

Przed południem poleciały w stronę budynku pierwsze kamienie.

### 35

W hallu przeznaczonym na poczekalnię dla odwiedzających panował nieznośny chłód. Miedziane posągi dziwołagów we wnękach pokrywała warstwa szronu, z ich brwi zwisały lodowe sople, a posadzka śliska była od błota i wody z rozmiękłego śniegu. Płonący w trójnogach ogień - prawdziwy, nie świetlikowy - dawał ledwo tyle ciepła, by rozgrzać zmarznięte palce, podczas gdy w plecy uderzał ostry zimowy wiatr, niosący ze sobą od strony zawsze otwartych drzwi tumany białych płatków. Wysoko nad głową Finnena piętrzyły się łuki, pomiędzy którymi rozmieszczono owalne okna z kolorowego szkła. W cieplejszych porach roku wpadało przez nie słoneczne światło, teraz jednak kopułę hallu pokrywała czapa śniegu i w pomieszczeniu panował półmrok.

Chłopak przytupywał dla rozgrzewki, podczas gdy zbite w gromadkę dzieci rozmawiały szeptem. Do uszu Finnena dobiegały poszczególne słowa i z nich wywnioskował - ale może tylko to sobie wyobraził? - że mowa jest właśnie o nim.

Nalle, Hannen, Arikol oraz Chira zostali wybrani ze względu na dziecięcą urodę, podkreśloną jeszcze strojem oraz charakteryzacją. Dziewczynki miały niewinne buzie z krągłymi, rumianymi policzkami, chłopcy zaś byli wielkoocy i szczupli, tak iż nikt nie domyśliłby się, że w ich ciałach kryje się niemal męska siła, podobnie jak nikt nie mógł podejrzewać, że w grubych warkoczach dziewcząt schowany został komplet wytrychów. Tylko Finnen widział, że chłodne spojrzenia nie

pasują do młodziutkich twarzy, dostrzegał zacięty wyraz ust i tłumioną niecierpliwość w ruchach, która nic nie miała wspólnego z dziecięcą ciekawością.

Od pół godziny czekali na pozwolenie zwiedzania Archiwum, podczas gdy na zewnątrz narastał hałas manifestacji. Finnen słyszał go, mimo że oblodzony hall znajdował się na tyłach Archiwum, a demonstrujący zebrali się przed głównym wejściem. Skandowane okrzyki nabierały mocy, rozpoznawał już nawet poszczególne słowa.

- ... ze Skokiem wynalazki!

- Precz ze...

Gdy - jak się domyślał Finnen - w tłum wkraczali strażnicy, głosy cichły, zmienione w nieskoordynowany chór wrzasków, by zaraz znów zjednoczyć się w rytmicznym skandowaniu. Obserwował, jak jego oddech zamienia się w parę, i w tej samej chwili poczuł, że ktoś na niego patrzy. Obejrzał się w samą porę, by dostrzec pospiesznie odwracającego głowę Nallego. Chłopiec powiedział coś do pozostałych dzieci i cała czwórka zachichotała.

Finnen poczuł ciężar gęstego smutku. Brał udział w grze, której zasady znał, lecz nie był w niej tak dobry jak te dzieci, kierujące się bardziej instynktem niżli rozumem, pozbawione wątpliwości i wyrzutów sumienia. Dzieci, które poznawszy Kairę, wyzbyły się niemal własnych charakterów, stając się przedłużeniem pragnień i ambicji dziewczyny. Mówiły jak ona, śmiały się jej śmiechem i miały ten sam błysk w oczach, gdy z radością witały przyspieszające tętno zagrożenie. A Finnen mógł tylko pochylić głowę w niemym podziwieniu przed siłą, z jaką osobowość Kairy odcisnęła na nich swe piętno.

Kto by przypuszczał, że niepewna siebie, trochę nijaka dziewczyna, która jesienią poprosiła go o pomoc, okaże się mieć tak wielką charyzmę?

Chuchnął w dłonie, rzucając jednocześnie z ukosa spojrzenie na towarzyszące mu dzieciaki. Znów złowił wzrok Nallego i znów wydało mu się, że dostrzegł w nim jakby... wyzwanie? Finnen miał nad chłopakiem przewagę starszeństwa oraz genów art-zabójcy, był jednak świadom, że to może nie



wystarczyć. Dzieci dorastały szybko, dzięki nowo odkrytej umiejętności podrażniania gardła z dnia na dzień nabierały pewności siebie. Już wkrótce chłopcy uznają, że właściwie do niczego nie jest im potrzebny ten wiecznie marudzący i szukający dziury w całym mężczyzna. Ze umie zabijać? Cóż, oni potrafiли również, może nie tak szybko i elegancko, ale równie skutecznie. Zwłaszcza Nalle, którego widok krwi wyraźnie fascynował. Kwestię tego, co będzie musiał wtedy zrobić, Finnen zostawił na później.

Czuł podniecenie zmieszane z mdlącym lękiem. Chciał, żeby już się zaczęło, wtedy kontrolę przejąłoby jego ciało - wykształcone w procesie genozmiany odruchy, które nie pozostawiały miejsca na nic poza chłodną, błyskawiczną kalkulacją ryzyka i spodziewanego zysku. Przypominało to przełączenie trybu pracy w maszynie - jedno naciśnięcie guzika i zwykły człowiek zmienia się w zabójcę. Wciąż bał się, że owa przemiana nie nadejdzie, i wciąż, gdy jednak nadchodziła, budziła w nim zdumienie. Czasem z odrobiną rozbawienia myślał, że to, co czuje teraz, niewiele różni się od tego, co czuł dawniej, jeszcze jako malarz. Wtedy też zdarzało się, iż stawał przed białym płótnem z pędzlem w rękę i przerażeniem w sercu, przekonany, że nie zdoła nic namalować. Jednak gdy tylko pędzel dotykał płótna, paraliżujący strach znikał, a Finnenem zaczynało kierować coś głębszego niż rozum.

Wówczas nazywał to talentem, teraz przywykł mówić raczej o instynkcie, jednak zasada była taka sama.

Czekał więc, wzdrygając się nerwowo za każdym razem, gdy słyszał odgłos kroków na schodach, i od czasu do czasu posyłał dzieciom spojrzenia pełne otuchy - choć, szczerze mówiąc, sam bardziej jej potrzebował niż one.

Czas upływał nieubłaganie, a Finnen zdawał sobie sprawę, że jeszcze chwila i cały ich plan już na starcie posypie się w gruzy. Liczyli się co prawda z tym, że przyjdzie im w halu poczekać i przewidzieli pewien margines bezpieczeństwa, jednak z pewnością nie aż tak duży, by tkwić tu w nieskończoność.

Nalle najwyraźniej pomyślał o tym samym, bo podszedł i szarpnął Finna za łokieć.

- Zrób coś - zażądał. - Ktoś tu już do nas powinien przyjść.

- Dzwoniłem.

- Więc zadzwoń jeszcze raz.

Finnen z westchnieniem pociągnął sznur wiszący przy wejściu prowadzącym do dalszych, niedostępnych dla ogółu pomieszczeń Archiwum. W głębi budynku, stłumiony przez grube mury, rozległ się dźwięk dzwonka. W tym samym momencie zza drzwi dobiegł odgłos kroków. Ktoś pędził po schodach i Finnen wstrzymał oddech, lecz nie - ów człowiek, kimkolwiek był, minął wejście i pobiegł dalej.

Finnen poczuł rozczarowanie, a zarazem ulgę.

- Jeszcze raz - domagał się Nalle.

- Nie.

W oczach Nallego pojawił się triumfalny błysk.

- Wiedziałem, że...

Finnen złapał go za ramię i ścisnął, aż chłopiec syknął z bólu. Uśmiech na twarzy mężczyzny był najdoskonalej niewinny.

- Czyż nie uczyłem was o filozofce Pratimie, która twierdziła, że największą cnotą człowieka jest cierpliwość?

Patrzył z satysfakcją, jak oczy Nallego ogromnieją pod wpływem zdumienia, w ślad za którym przyszło zrozumienie.

- Myślisz...? - szepnął, lekkim ruchem głowy wskazując ściany hallu.

Finnen przytaknął, choć wcale nie był pewien, czy ktoś ich obserwuje. W gruncie rzeczy sądził, że raczej nie - pracownicy Archiwum mieli inne zajęcia.

- Jeśli się wam nudzi, powtórzcie sobie materiał z ostatniej lekcji... - Na dobre wśliznął się w rolę nauczyciela z dzielnicy sierot.

Gdyby spojrział w tej chwili w lustro, miałby trudności z rozpoznaniem samego siebie, nosił bowiem jasną bródkę dopasowaną kolorystycznie do nieporządnie uczesanych włosów oraz okrągłe okulary, które bezustannie zjeżdżały mu z nosa. „To już przesada” - uznała Kaira, lecz Finnen odparł, że ludzie spodziewać się będą właśnie sztampy. Pod okiem miał atramentową smugę, a dzięki obszernej kurtce wydawał się drobniejszy i bardziej wąty.

Zrozumiawszy aluzję, Nalle dołączył do pozostałych. Finnen także powinien skoncentrować umysł na czymś neutralnym, na wszelki wypadek, gdyby badał ich w tej chwili telepata. Owa umiejętność skupiania się na rzeczach nieistotnych, niemyślenia o prawdziwym celu wizyty w Archiwum, stanowiła drugie po niewinnym wyglądzie kryterium doboru dzieci. One miały swoje wierszyki i fikcyjne lekcje, a Finnen miał Kairę.

Tym razem odgłos kroków na schodach usłyszał późno, ledwo kilka sekund przed tym, jak w zamku zazgrzytał klucz i drzwi rozsunęły się z cichym skrzypnięciem.

Finnen nie podskoczył z wrażenia, choć jeszcze przed chwilą sądził, że tak zrobi. Uśmiechnął się za to szeroko, z ulgą, czerpiąc spokój oraz siłę z tego przedstawienia.

- Już myślałem, że się nie doczekamy - powiedział do dziewczyny o marchewkoworudych, krótko przyciętych włosach.

Jej fryzura mogłaby świadczyć, że nowo przybyła pracuje przy maszynach, lecz przeczył temu prawy rękaw jej bluzki, który ozdobiono koronkami sięgającymi końca wytatuowanych palców. Lewy, znacznie krótszy, odsłaniał protezę ręki z metalu i szkła. Wewnątrz przedramienia rozkładał skrzydła wściekle kolorowy sztuczny motyl.

- Ci młodzi ludzie pragną zwiedzić Archiwum. - Finnen ruchem głowy wskazał dzieci, które jak na komendę zrobiły słodkie minki. - Dziś jest dzień odwiedzin, prawda? Nic nie pokręciłem, mam nadzieję. - Pozwolił sobie na nerwowy, niepełny uśmiech, który powinien dziewczynę rozbroić. - Przy okazji, na imię mam Ary, a to moje urwisy... Znajdzie pani chwilkę, żeby nas oprowadzić?

- W inny dzień nie byłoby problemu. - Była wyraźnie zakłopotana. - Ale dziś, sam pan rozumie, ta demonstracja... Nie możemy ryzykować, przykro mi.

Cofała się z przepaszającym uśmiechem na ustach. Jeszcze chwila, a zniknie za drzwiami.

Nieco zbyt gwałtownie rzucił się w przód i chwycił jej rękę. Szklane palce były cienkie i kruche, metal stawów chłodny w dotyku. Przez głowę przemknęło mu „Nie będzie stawiać

oporu" i natychmiast po tym, zacierając mentalne ślady, przerobił ową myśl na obraz erotycznej uległości.

- Czy nie mogłaby pani zrobić dla nas wyjątku? Jest nas tylko piątka, a dzieciaki z pewnością nie sprawią kłopotu. Nie liczymy wcale na długie zwiedzanie, dzieci oczywiście najbardziej interesuje sala z wynalazkami i jeśli tylko udałoby się tam zajrzeć... Bardzo proszę...

- Przykro mi. - Finnen wiedział, że traci jej przychylność. Dziewczyna spróbowała, na razie delikatnie, wyjąć palce z jego dłoni.

Przytrzymał je i zbliżył usta do ucha.

- Proszę mnie zrozumieć - szepnął. - To dzieci biedne i niezbyt utalentowane, dla których jedyną szansą jest nauka. Muszą znaleźć sobie jakąś specjalność i stać się w niej ekspertami, bo tylko w ten sposób mogą uniknąć Skoku. Muszą pracować morderczo ciężko, rozumie pani? Tak ciężko jak ani ja, ani zapewne pani nigdy nie musieliśmy pracować. Są do tego zdolne, ale potrzebują odpowiedniego bodźca. Nie gadania nauczyciela, ale czegoś więcej. Wynalazki... wynalazki mogłyby im taki bodziec zapewnić. Jeśli pani i ja... jeśli pokażemy im kawałek innego życia, niż to, które znają, wtedy będą się uczyć jeszcze mocniej i być może choć jedno z nich dotrwa do Przebudzenia. Proszę naprawdę o niewiele, a dzięki temu możemy ocalić życie.

- Może w inny dzień... - Dziewczyna zaczynała mięknać.

- Nawet kilka dni może mieć znaczenie. - Finnen zastanowił się przelotnie, czy nie przesadza z dramatyzmem. - Poza tym dzieci tak się cieszyły na to zwiedzanie, że jeśli teraz się rozczarują, to mogą zupełnie stracić zapal do nauki...

- Niech będzie - ustąpiła wreszcie. - Ale zaprowadzę was tylko do sali z wynalazkami, nigdzie więcej.

- Oczywiście.

- I wszyscy musicie przejść przez kontrolę.

- Nie widzę przeciwwskazań.

Finnen odetchnął. W ten sposób być może zjawia się na dziewiątym piętrze nawet wcześniej, niż powinni.

Kontrola okazała się znacznie bardziej szczegółowa, niż Finnen zapamiętał z czasów, gdy jako dziecko brał udział w podobnym zwiedzaniu. Dziewczyna zaprowadziła ich do kołowrotu z brązu, w którym każde z ramion zakończone było głową innego zwierzęcia. Ów mechanizm piętnaście lat temu wydawał się Finnenowi gigantyczny, teraz był jedynie spory. Przed przejściem urzędnik o zręcznych palcach z wprawą art-złodzieja przetrząsnął im wszystkim kieszenie, kazał zdjąć kurtki, a potem buty, obmacał i powygniatał ubrania w poszukiwaniu broni oraz złodziejskich akcesoriów.

Dwóch uzbrojonych w pałki mechanicznych pilnowało ich, taksując leniwie oczami błyszczącymi jak wypolerowane srebrne łyżki.

Finnen odwrócił się, gdy dłonie urzędnika musnęły warkocz na karku Arikol. Stojąc na jednej nodze, drugą niezgrabnie usiłował wepchnąć w but. Posadzka była zimna i mokra od naniesionego na podeszwach błota, które topniało, tworząc brudnobrązowe kałuże. Chłopak najpierw rozmyślał o tym, że ma wilgotne skarpetki i że być może się przeziębii, dostanie zapalenia płuc i będzie chorował tak długo, aż przez głupotę urzędników Archiwum zostanie z tyłu podczas następnego Skoku (w jego mniemaniu takie właśnie rozważania pasowały do nerwowego nauczyciela), potem skupił się na Kairze. Ćwiczył już wcześniej w obecności Mirrisa i wiedział, że jest w tym dobry. Nie miało znaczenia, że urzędnik obmacuje właśnie Chirę i że lada moment może mu przyjść do głowy pomysł, by kazać jej rozpuścić włosy, nie miało znaczenia to, że z półmroku ściennej niszy wychyla się krągła niczym księżyc w pełni twarz uśmiechniętego idioty.

Myślał o Kairze, wyobrażając sobie szczegół po szczególe jej nagie ciało oraz to, co mógłby z nim zrobić, aż odstające uszy telepaty zapłonęły szkarłatem, a jego głowa z zabawnym ociąganiem pochyliła się w przyzwalającym geście.

Przeszli przez kołowrót gęsiego, popychając przed sobą

ramiona zakończone zwierzęcymi łbami; rogate i zębate cienie omiotły posadzkę. Od wyłożonych mozaiką ścian korytarza powiało ciepłem, ognie palące się w metalowych trójnogach wystrzeliły w górę, reagując na obecność ludzi.

Oficjalnie znaleźli się na terenie Archiwum.

Finnen złowił triumfalne spojrzenie Nallego i zdążył się wystraszyć, zanim pojął, że telepata został w tyle i nie może już słyszeć ich myśli. Chwilę po tym, wciąż jeszcze oszołomiony nagłym przyplywem przerażenia, z opóźnieniem zareagował na słowa marchewkowo-szklanej przewodniczki.

- Sairal to śliczne imię... - wybąkał. - I wcale niepospolite.

Widać nie zabrzmiało to przekonująco, bo dziewczyna spojrzała na niego z dezaprobatą. Finnen wziął się w garść i przywołał na usta najbardziej uroczy ze swoich uśmiechów.

- Proszę wybaczyć - powiedział. - Chyba jestem trochę oszołomiony. Dawno tu nie byłem.

To wystarczyło, by Sairal się rozluźniła. Finnen stłumił poczucie winy - przewodniczka przypominała mu Dime i nie chodziło tylko o rudy kolor włosów. Miała tak samo otwartą, szczerą twarz i starała się być dla wszystkich tak samo entuzjastycznie miła. Na tyle, na ile chłopak potrafił się zorientować, rzeczywiście prowadziła ich prosto do sali z wynalazkami, po drodze jednak, chcąc najwyraźniej zrekompensować krótką trasę, przystawała co jakiś czas i opowiadała o pracy w Archiwum. Finnen słuchał, przywoławszy na twarz stosowny wyraz fascynacji zmieszanej z lekką grozą („Naprawdę, trzymają tu te wszystkie dziwolągi?"), a czasem, w nielicznych chwilach, gdy Sairal dopuszczała go do słowa, pozwalał sobie na lekki flirt.

Mijali po drodze pracowników o zasepionych twarzach i nerwowych ruchach, widzieli biegających tam i z powrotem strażników, słyszeli narastający za murami Archiwum hałas demonstracji. Jednak nic z tego nie przeszkadzało Finnenowi oraz Sairal w przesyłaniu sobie coraz bardziej obiecujących spojrzeń.

Wreszcie dotarli do sali z wynalazkami. Wewnątrz na łańcuchach kołysały się klatki - od tak gigantycznych, że zdolne były pomieścić mechanoida, aż po tak malutkie, że człowiek

zauważał je dopiero wtedy, gdy podczas lawirowania w półmroku uderzały go w czoło bądź ramię. Podświetlone wynalazki były jedynym źródłem światła, lecz gdy oczy Finnena się przyzwyczaiły, rzekomy półmrok okazał się co najwyżej ćwierćmrokiem.

Szkoda, pomyślał, zręcznie chwytając i odsuwając od siebie jedną z małych klatek.

Będę widział jej oczy.

Sairal mówiła, a chłopak patrzył z miną, która z pewnością by ją zaniepokoiła, gdyby dziewczyna nie była zajęta własnymi słowami i gdyby nie zdążyła się już poczuć bezpiecznie w jego towarzystwie.

- Patrzcie, Skrzydła!

- Myślicie, że na takich latały ptaki?

Dzieci pokazywały sobie nawzajem co ciekawsze eksponaty i dla zabawy trącały klatki, które ze zgrzytem zderzały się z innymi klatkami, podczas gdy długie cienie przemykały po roześmianych twarzach. Zupełnie jakby zapomnieli, po co tu przyszli, pomyślał Finnen i wtedy Nalle się odwrócił.

On nie zapomniał.

Finnen skorzystał z okazji, gdy Sairal odwróciła się do niego tyłem, i przydusił ją ramieniem, drugą ręką zasłaniając dziewczynie usta. Przewodniczka stęknęła; wyczuł ogrom jej zdumienia.

- Cicho bądź - szepnął gorączkowo, podczas gdy po głowie galopowały mu szalone myśli. - Posłuchaj, nie chcę robić ci krzywdy. Obiecuj tylko, że będziesz cicho. Obiecujesz?

Skinęła głową i puścił ją.

Sairal odwróciła się; jej oczy były rozszerzone z szoku i niedowierzania.

- Ch...chcecie okraść Archiwum?

Uśmiechnął się do niej, zachęcając, by potraktowała to jako przygodę.

- Czemu nie? Wszyscy tak robią, nie chcemy zostać w tyle.

Sairal chwyciła lewą ręką przegub prawej i powoli, wciąż patrząc na Finnena wielkimi oczami, zaczęła wsuwać szklaną dłoń pod rękaw koronkowej bluzki. Chłopak byłby to przegapił,

gdyby nie to, że po wpadce z kradzieżą kota nauczył się wszystkiego, co tylko mógł na temat...

Alarm. Osobisty alarm wzywający strażników.

Złapał dziewczynę za ręce i rozdzielił je szarpnięciem. Sairal wrzasnęła, a Finnen, który nie był już ani nerwowym nauczycielem, ani tym bardziej romantycznym złodziejem, puścił ją na ułamek sekundy i zanim zdążyła zrobić cokolwiek, skręcił jej kark.

Gdy upadła, Nalle kopnął ją kilka razy. Potem odsunął rękaw bluzki - tak jak Finnen się spodziewał, na szczupłym przedramieniu tkwiła bransoleta, miedziana, z niewielkim przyciskiem w kształcie róży.

Nalle patrzył na Finnena z ponurym triumfem.

- Wiedziałem, że nie dasz rady - w podnieceniu głos mu się złamał do dziecięcego pisku. Musiał przerwać, żeby dodać - moja babcia byłaby lepszym art-zabójcą niż ty.

- Świetnie, następnym razem radzisz sobie sam. - Finnen sprawdził na kieszonkowym zegarku godzinę. Zostało pięć minut, a on miał przeczucie, że każda z nich potrwa co najmniej pół godziny. - Staruszka, niech jej przeszłość lekka będzie, nauczyła cię, jak kopać trupa, więc starcie z żywym przeciwnikiem to dla ciebie żaden problem.

Chira zachichotała, Hannen uśmiechnął się ostrożnie, a Nalle poczerwieniał. Nie zareagowała tylko Arikol, która sprawiała wrażenie najbardziej zdenerwowanej i jako jedyna z całej piątki najwyraźniej ani na chwilę nie potrafiła zapomnieć o strachu.

Miał rację, to było cholernie długie pięć minut. Miał też zajęcie - starał się nie patrzeć na twarz martwej Sairal i jednocześnie udawał, że wcale tego widoku nie unika. Dzieci w tym czasie odnalazły klatkę, w której znajdował się niewielki słoiczek, po czym radosnymi okrzykami oznajmiły o sukcesie. Gdy wskazówki zegarka dopełżyły do wyznaczonej godziny, Finnen przyjął z rąk Hannena jeden z wytrychów i wsunął go w kłódkę klatki.

Pół minuty później kilkoro zaalarmowanych strażników biegło w stronę sali z wynalazkami. Z półpiętra dostrzegli jednak, że przy drzwiach już stoi mechaniczny.



Szybkonogi uniósł dłoń w geście, który zgodnie z kodem straży oznaczał „Dam sobie radę sam”, a jego powolni koledzy wrócili na dół, by odpierać ataki coraz bardziej rozsierzonego tłumu.

### 37

- Jeśli chcemy na poważnie myśleć o wysadzeniu w powietrze osi światów, musimy ukraść z Archiwum Eksplodującą Mieszaną Gillaina - oznajmiła przed tym wszystkim Kaira. Za oknem lada moment miał wstać zamglony zimowy świt, ogień przygasł, a Finnen kulił się, owinięty w koc. - Jeden słoik co prawda nie wystarczy, ale gdy już będziemy go mieć, możemy znaleźć kogoś, kto przeanalizuje skład i zrobi tego więcej. Na obrzeżach Lunapolis są małe zakłady, gdzie produkuje się nielegalnie broń palną. Teraz brakuje nam już tylko planu, jak dostać się do Archiwum. Masz jakiś pomysł?

- Może - powiedział chłopak ostrożnie. - Ty znasz Archiwum, wiesz, jak tam wszystko funkcjonuje. Moglibyśmy to wykorzystać...

### 38

Wbiegający do sali z wynalazkami mechaniczny potknął się i przewrócił z głuchym łoskotem, jaki mogłaby wydać ciśnięta na posadzkę pusta i bardzo duża puszka.

- Zdejmijcie to ze mnie - zażądała Kaira z jej wnętrza.

Finnen rzucił się na pomoc.

- Najpierw odciągnijmy cię od drzwi. Ktoś z zewnątrz może cię zobaczyć.

- Wątpię - oznajmiła, ale odsunęła się posłusznie, na wpół turlając się, na wpół wlokąc, przy akompaniamencie serii przeraźliwych zgrzytów, gdy metal tarł o kamienne płytki. - Na dole panuje teraz niezłe pandemonium, nikt nie pracuje, wszyscy tylko biegną tam i z powrotem albo tkwią przy

oknach i gapią się na demonstrantów. Nie stój tak, Finnen, dzieciaki mi pomogą, ty zajmij się kłódką.

Wrócił do manipulowania wytrychem, podczas gdy za jego plecami dzieci uwalniały dziewczynę. Kilkanaście kilo żelaza i kilkadziesiąt płytek połączonych zatrzaskami, tak by człowiek po włożeniu kombinezonu do złudzenia przypominał mechanicznego. Z bliska można było oczywiście dostrzec różnice, Finnen oraz Kaira liczyli jednak, że kombinezonowi nikt się nie będzie dokładnie przyglądał. A już zwłaszcza nie w dzień, gdy pracownicy Archiwum zajęci będą czymś zupełnie innym.

Znajomy artysta za jego wykonanie policzył sobie osiemdziesiąt surimów, co oznaczało pozbycie się reszty sumy, którą swego czasu Kaira otrzymała od ojca, lecz było warto. Całość, prosta i jednocześnie funkcjonalna, została perfekcyjnie zbudowana - jedna osoba mogła w dwadzieścia minut złożyć kombinezon, wsunąwszy się w międzyczasie do środka. Potem wystarczyło przypiąć się rzemieniami i z wnętrza sterować sporo większym metalowym ciałem. Rzecz jasna wymagało to praktyki; Kairze nauka zajęła całe dwa tygodnie.

- Czuję się parszywie. - Spocona dziewczyna z ulgą pozbyła się ostatniego kawałka zbroi, którą w częściach wnieśli do Archiwum. Może i była ona prosta do założenia, ale cholernie niewygodna. - Pospiesz się z tym zamkiem.

- Spieszę się - wymruczał przez zaciśnięte zęby.

### 39

- Załóżmy - powiedział Finnen w inny dzień, gdy za oknem na dobre wstał już świt - że uda nam się zmylić pierwszych strażników. Przybiegną następni?

- Jasne, że tak. - Kaira zmarszczyła brwi. - A, co gorsza, nie możemy wyłączyć alarmu. Do tego potrzebny jest klucz, który strażnicy mają wbudowany w palec wskazujący lewej dłoni. Będziemy więc mieli na kradzież pięć-dziesięć minut, potem zwałą się nam na głowę mechaniczni.

- Przyjmijmy dla bezpieczeństwa pięć minut - oznajmił

chłopak. - Powinno wystarczyć.

Wówczas, mimo całej swej skłonności do malkontenctwa, szczerze wierzył, że to prawda.

## 40

Zakrzywiony drucik drapał wewnątrz kłódki, ślizgając się w coraz bardziej spoczonej dłoni Finnena. Gdzie te cholerne zapadki?

Otwieranie zamków jeszcze przed chwilą wydawało się tak proste. Wystarczyło wsunąć do środka wytrych i manipulować nim, aż rozlegnie się cichy, satysfakcjonujący trzask zwalnianej blokady. Finnen robił to wcześniej setki razy; otwierał drzwi, okiennice i skrytki w nieużywanych mieszkaniach najpierw dla wprawy, a potem, gdy nabrał doświadczenia, po prostu dla przyjemności, jaką dawała nowa umiejętność. Nigdy nie zajmowało mu to więcej niż dwie-trzy minuty. Znał konstrukcję wszystkich najpopularniejszych zamków, potrafił w każdej chwili przywołać schemat ich budowy, wyobrażając go sobie z precyzją, z jaką animatorzy tworzą w głowie obraz wnętrza maszyny.

Tak jednak było wcześniej. Nie teraz.

Kaira nic nie mówiła, lecz na jej twarzy widział każdą upływającą sekundę. Kątem oka dostrzegał spojrzenia dzieciaków, trzy wyraźnie zaniepokojone i jedno pełne satysfakcji. Przemknęło mu przez myśl, że jeśli wyjdą z tego cało, będzie musiał porozmawiać z Kairą na temat Nallego. Ktoś, kto w takiej sytuacji bardziej cieszy się z cudzej porażki niż martwi o własne bezpieczeństwo, nie zasługuje na zaufanie.

- Finnen...

- Kaira, proszę. Ten pieprzony zamek jest dziwny, ale dam sobie radę.

Ucichła, za co był jej wdzięczny.

Nie wyczuwał tego zamka. Nie potrafił nawet odtworzyć w głowie jego budowy. Dlaczego, do cholery, nikt mu nie powiedział, że w Archiwum kłódki są inne? Pocił się, zalewany

przez złość i strach. Jego umysł krążył wokół wciąż tych samych rozwiązań.

Mechanizm obrotowy, na nim trzy zapadki, które otwiera się po kolei: pierwsza, druga, trzecia. Proste. Musi tak być. A jeśli nie? Wiedział, że powinien wyjść poza to, czego już się nauczył, ale nie potrafił. Za każdym razem, gdy próbował, odbijał się jak od ściany, a jego myśli stawały się coraz bardziej chaotyczne.

Przerażenie spętało mu rozum, chwila, a zostaną w nim tylko bezsensowne pretensje. Od kilkunastu sekund nie tyle próbował otworzyć zamek, co na ślepo grzebał w kłódce, mając równie wielkie szanse powodzenia, co człowiek, który poluje w lesie, strzelając po kolei do każdego krzaka.

Weź się w garść, nakazał sam sobie.

- Nie zdążymy - oznajmiła Kaira z zadziwiającym spokojem.

- Nie zdążymy - przyznał, wyjmując wytrych z zamka. Zmusił się, by spojrzeć dziewczynie w twarz. Rozczarowanie, jakie zobaczył, wreszcie przedarło się przez chmury spowijające jego umysł i Finnen znów mógł jasno myśleć. - Lepiej, żeby dzieci wyszły - powiedział. - Ty zamknij drzwi.

- My zostajemy - obruszyła się Chira. Hannen i Arikol przytaknęli energicznie, a Nalle wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że i on nigdzie się nie wybiera.

- Dzieci zostają - poparła je Kaira, a Finnen nie miał siły, czasu ani ochoty się z nią kłócić.

Wrócił do pracy nad zamkiem, podczas gdy za jego plecami rozległ się jękliwy zgrzyt przesuwanych drzwi, ciężkich, żelaznych, z rzeźbioną kratą. Drzwi te, jak kiedyś powiedziała mu Kaira, zamykano tylko na noc i wtedy trzeba było dwóch silnych mężczyzn, by ruszyć z miejsca oba skrzydła. Teraz radziła sobie z nimi jedna dziewczyna i czwórka przeszkadzających sobie nawzajem dzieciaków. Ich pełne napięcia szeptu byłyby może i zabawne - w innej opowieści, tam gdzie Finnen grałby rolę pewnego siebie, nonszalanckiego art-złodzieja, a nie wystraszonego eksartysty, który art-złodziejem co najwyżej od czasu do czasu bywał.

Weź się w garść.

Może popełniał błąd, starając się otwierać zapadki po kolei,

może należało podważyć je jednocześnie? Ale czy coś takiego w ogóle da się zrobić? Przymknął oczy, próbując wyobrazić sobie schemat. Był niekompletny, rozmyty, w niektórych miejscach wciąż bezsensowny. A mimo to Finnen czuł, że jest na właściwym tropie. Wsunął w zamek jeszcze dwa wytrychy, najcieńsze z możliwych. Da sobie radę. Musi dać.

Z wrażenia zrobiło mu się gorąco, przestał słyszeć głosy dzieci i Kairy, zgrzyt drzwi, wszystko. Teraz ostrożnie, jak malarz pracujący nad najtrudniejszą partią obrazu, w miejscu, gdzie jedna niepotrzebna kreska może wszystko zepsuć, jak rzeźbiarz operujący dłutem z miłością i troską.

Zamek puścił, klatka się otworzyła. Finnen sięgnął po słoik z Mieszanką Gillainą. Na zewnątrz demonstracja zaczynała przechodzić niemal w bitwę, wściekle wrzaski mieszały się z okrzykami rannych, ktoś - najprawdopodobniej pracownik Archiwum albo wezwany strażnik miejski - nawoływał przez megafon: „Uspokójcie się i rozejdźcie, a nikt nie wyciągnie wobec was konsekwencji! Jeśli nie, wszyscy zostaniecie aresztowani!”. Dzwoniły kamienie odbijające się od okiennic na dolnych piętrach.

- Wyjdźcie i poddajcie się, a nikt nie wyciągnie wobec was konsekwencji! - Tym razem głos dobiegł nie z dołu, lecz od strony drzwi. Strażnik uderzył w nie pięścią, aż zawibrował metal rzeźbionej kraty. Za nim stali jeszcze trzej mechaniczni, wszyscy ściskali w dłoniach pałki.

- Akurat wierzę... - Kaira wróciła do Finnena. - Masz mieszankę?

- Tak.

Przesypali proszek do skórzanej sakiewki, którą dziewczyna podała Arikol.

- Masz, schowaj to i pilnuj. I trzymaj się z dala od ognia, bo wylecimy w powietrze razem z połową Archiwum.

- Czemu akurat ona?

- Bo jest najmniejsza i najłatwiej jej będzie się przemknąć, kiedy wejdą tu strażnicy. My musimy...

- Wyjdźcie, a nikomu nic się nie stanie!

- ... mieć broń. Znajdźmy coś. Dalej, jeśli otworzyłeś jedną

kłódkę, to otworzysz też inne. Nie mamy dużo czasu.

Stojący najbliżej drzwi strażnik wciąż walił w nie z uporem, powtarzając swoje „Wyjdźcie, a nikomu nic się nie stanie”. Jeden z jego kolegów zniknął - najpewniej poszedł po przecinacz metalu. Rzeczywiście, nie mieli dużo czasu.

Z drugim zamkiem poszło jednak Finnenowi sprawniej niż z pierwszym, a z trzecim poradził sobie jeszcze szybciej. Czwarty, piąty. Z kolejnych otwartych klatek dzieci wywlekały wynalazki, kłócąc się, który do czego służy. Na posadzkę spadały podświetlone uprząże, skomplikowane konstrukcje z drutu i metalowych łusek. Spadały i gasły jak porzucone pancerze fosforyzujących żuków, jak wyciągnięte na powierzchnię pęki wodorostów, które rozjaśniają głębiny mórz; ich blask matowieł do purpury rozżarzonych węgli, a potem nikł zupełnie, pograżając halę w coraz gęstszym mroku. Kaira - musiała to być ona, bo głosy dzieci wciąż słyszał blisko - znalazła wajchę manipulującą przesłonami w oknach i pomieszczenie zalało światło słońca. Zamrugnął, bo jego oczy zdążyły już przywyknąć do ciemności, dźwięki z zewnątrz dotarły nagle do uszu, czystsze i głośniejsze.

Dzieci wciąż się spierały. Niespodziewanie przewagę zyskała Chira, która o wynalazkach zdawała się wiedzieć najwięcej. Finnen nie znał jej od tej strony.

- Z każdą chwilą coraz bardziej się pograżacie! - Strażnik łomotał pięścią w kratownicę. Głuche *łup, łup* metalu o metal. - Zostaliście ostrzeżeni! Otwórzcie drzwi!

Za oknami wykwitły plamy fioletu i żółci, szyby w Archiwum zadrżały. Jedna z nich pękła - Finnen usłyszał to między jednym uderzeniem a drugim, mimo bitewnych wrzasków, nawoływania przez megafon i klótni dzieci. Dźwięk sypiącego się w odłamki szkła, gdzieś niedaleko, prawdopodobnie na tym samym piętrze.

Broń palna?, pomyślał z nagłym skurczem ni to strachu, ni nadziei, lecz dopiero po chwili zrozumiał, że nie, że demonstranci strzelają w budynek rakietami sygnalizacyjnymi. Czerwień bardziej czerwona niżli blask słońca, pomarańcz, zieleń... Fale różnokolorowego światła zalewały halę, jakby ktoś

chlustał farbami z kubła - na dzieci, Kairę, na podczepione do łańcuchów klatki, których długie, rozszczipione cienie rozbiegły się niczym stado szaronogich pajaków. Finnen zapamiętał ten widok, przyjął go jak prezent dany mu w chwili największego szaleństwa, po czym wrócił do pracy nad kolejnym zamkiem.

Tymczasem Chira z małą zręcznością wspięła się na jedną z wyżej wiszących klatek, zajrzała, po czym przeskoczyła do następnej.

- Tu nic ciekawego! - wołała. - A tu... czekajcie... To się przyda!

Gdy szarpała łańcuchami, klatki zjeżdżały w grzechocie rozwijanych zwojów, a coraz szybszy i sprawniejszy Finnen otwierał kłódki jedną po drugiej. Chira śmigała pod sufitem jak wiewiórka, Kaira i pozostałe dzieci już wkładali na siebie wynalazki. Chcieli zabrać ich jak najwięcej, jak najbardziej różnorodnych; taki był plan. A najważniejszy, czyli Mieszanka, spoczywał bezpiecznie przy pasie Arikol.

Wrócił strażnik z przecinaczem metalu, płomień wgrzył się w ozdobną kratę drzwi.

- Finnen, dość, już wystarczy!

Chłopak puścił wytrych, z ulgą prostując zeszywniałe palce.

- Chira, złaź.

Dziewczynka zgrabnie zeskoczyła na ziemię, podniosła jeden z wynalazków i rzuciła nim w Finnena. Była to śliska, chłodna w dotyku i przeciekająca przez palce płatanina srebrzyście połyskujących żyłek.

- To Siatka Ochronna Raivina. - Widząc jego minę, dodała - coś jak tarcza deflekcyjna, tyle że osłania całe ciało.

Pełen wątpliwości Finnen strzepnął srebrzyste kłębowisko - ku jego zdumieniu płatanina rozwinęła się bez trudu, okazując się czymś w rodzaju kombinezonu. Włożył go, zapiął w stosownych miejscach, po czym z niesmakiem spojrzął na materiał koszuli oraz spodni, które wylazły przez oczka siatki. Z dużą dozą prawdopodobieństwa Finnen wyglądał teraz jak urodzinowy prezent, okręcony przez niedbałe dziecko kilkoma metrami błyszczącej wstążki, ale cóż - było za późno, by

rozbierać się, ściągać ubranie, a potem na powrót wkładać kombinezon.

- I jeszcze to. - Chira cisnęła w niego kolejnym przedmiotem. Zanim zdążył zapytać, co to takiego, jej twarz zniknęła pod przyłbicą hełmu w kształcie głowy ni to małpy, ni łasicy.

Drugi wynalazek był znacznie prostszy - zwyczajna obręcz, złota, z wyrytymi na niej symbolami, których znaczenia Finnen nie rozumiał. Szerokością pasowała na szyję, założył ją więc i zapiał.

Obręcz zacisnęła się, wbijając w ciało kolce. Wrzasnął, w oczach mu pociemniało, na kołnierzu koszuli spłynęły strużki krwi. Spanikowany, sięgnął do gardła, palce drapały metal w poszukiwaniu zatrzasku - i wtedy ból minął, cofając się jak fala odpływu, na brzegu zaś został rozdygotany, spocony Finnen.

- Wszystko w porządku? - zapytała Kaira. Jej głos zabrzmiał głucho spod ptasiego hełmu, błyszczącego jak świeżo wybita moneta. Krzywizna krótkiego dzioba (sowy?), rzeźbione z miedzi pióra i okrągłe ślepia, w których w gagatowej czerni rozkwitały i wędły kwiaty sygnalizacyjnych rac. Finnenowi zachciało się śmiać - Kaira wyglądała dziwacznie, on wyglądał dziwacznie i dzieci też wyglądały dziwacznie. Hannen miał na sobie wilczą zbroję, jakimś cudem dopasowaną do dziecięcych rozmiarów. Nalle nosił żelazne naramienniki, krótką żelazną kamizelę oraz coś w rodzaju pancernych portek do połowy ud. Nogi Arikol tkwiły w skomplikowanej konstrukcji, obrosłe metalowym bluszczem. Tylko Chira prezentowała się zgrabnie w swoim małpio-łasicyzycznym półpancerzu, z ogonem i niewielkimi skrzydełkami. Te ostatnie, jak Finnen uświadomił sobie w przebłysku geniuszu, służyły nie tyle do latania, ile do stabilizacji przy długich skokach.

Wyglądali jak banda szaleńców, co więcej, najprawdopodobniej bandą szaleńców byli.

- Wszystko w porządku? - powtórzyła Kaira.

- Tak - odparł, choć nic nie było w porządku. Adrenalina szumiała mu w uszach, każde słowo Kairy odciskało się w mózgu płonącym piętrem. Dziewczyna mówiła o poświęceniu, o odwadze, o tym, że razem dadzą sobie radę, bo przecież



walczą o słuszną sprawę. W gardle Finnena wzbierała chichot, a kiedy zobaczył, jak dzieciaki pod wpływem jej słów prostują się i nabierają animuszu, odwrócił głowę. Istniała granica rzeczy, które mógł znieść.

Chciał, żeby strażnicy wreszcie przecięli kratę w drzwiach i weszli, chciał, żeby już się zaczęło.

Strażnicy weszli. I wtedy się zaczęło.

Pierwsza skoczyła na nich Chira, na wpół frunąc w długich, pełnych niezmiętej gracji susach. Wyciągnęła ręce, jakby chciała wydrapać pierwszemu strażnikowi oczy. Mechaniczny machnął pałką, szybkim, niedbałym ruchem, jak człowiek oganiający się od muchy, dziewczynka przeokożkowała w powietrzu i z żelazistym brzękiem wylądowała na posadzce.

Podniosła się zaraz, nonszalanckim gestem dając znać, że nic jej nie jest, ale Kairy to nie powstrzymało. Wrzasnęła i pobiegła, a Finnen za nią, bo co właściwie mógł w tej sytuacji zrobić? Wszystko mi jedno, zadudniło mu pod czaszką, gdy zaatakował pierwszego z brzegu strażnika, wszystko mi jedno, wybuchło radosną piosenką, gdy strażnik uderzył pałką, a cios odbił się od niewidzialnej bariery otaczającej chłopaka.

Zadzwonilo mu tylko w uszach, wibrowanie osłony poczuł aż w korzonkach zębów, lecz najeżony kolcami metal pałki odskoczył i nie zmiażdżył mu twarzy. Przez chwilę chłopak spoglądał wprost na mordercze narzędzie: pałkę wielkości męskiego ramienia z ostrzami osadzonymi na grubszym końcu. Gdy na nie patrzył, kolce przestały być kolcami - teraz cieńsze i wydłużone, przypominały raczej wirujące ze śpiewnym poświstem igły, pomiędzy którymi przebiegały błękitne iskry wylądowań.

Finnen cofnął się, a strażnik zamachnął się jeszcze raz i uderzył z drugiej strony. Tym razem cios był mocniejszy, chłopak odczuł go w zębach, żołądku, kościach; głęboki, wzbierający pomruk mocy, jakby stał nad epicentrum trzęsienia ziemi. Z trudem utrzymał się na nogach. Wtedy dostrzegł, że coś koło niego przebiega: rozmazana smuga, staccato kroków zlanych niemal w jeden płynny dźwięk, a za tym wszystkim - raczej wspomnienie niż prawdziwy widok, bo ten dawno znikł za

rozprutymi palnikiem drzwiami - rozwiane jasne włosy. Właśnie po nich poznał, że to Arikol, mała, zwinna i szybka Arikol, która dzięki założonej na nogi konstrukcji stała się tak szybka, że nikt i nic nie zdołałoby jej dogonić.

Wyglądało na to, że przynajmniej Mieszanka Gillaina jest bezpieczna.

Podniesiony na duchu, Finnen zaatakował strażnika, bił i kopał, sięgając do arsenału sztuczek, jakie podsuwała osobowość art-zabójcy. Genozmiana nie przystosowała go do walki wręcz, lecz do czajenia się w ciemnych zaułkach, skradania, wspinania się po oplatających budynki konstrukcjach i podrzynania gardeł we śnie. To były jego nowe umiejętności, jednak, do licha, i tak powinien bić się nieco lepiej niż przeciętny człowiek, miał przecież wzmocnione mięśnie i podkreślony refleks. Ale wszystko to zdało się na nic, bo odnosił wrażenie, że wali pięściami w skałę. W dodatku osłona przepuszczała tylko błyskawiczne ciosy, przy wolniejszych Finnen odbijał się od własnej blokady - prawie jak pogrzebany za życia nieszczęśnik, tłukący w wieko trumny dłońmi, których nie może unieść.

Za każdym takim razem jego serce na ułamek sekundy zamierało, a w żołądku otwierała się paskudna czarna dziura, wysysająca coraz więcej sił i pewności siebie. Pięści zaczęły mu krwawić, trzeźwa częśćka umysłu już dawno doszła do wniosku, że prędzej połamie sobie kości albo zamieni dłonie w dwa siekane kotlety, niż cokolwiek osiągnie. W myślach klął, bo zrozumiał już, że osłona, którą założył, nie służy do walki wręcz, lecz do ochrony przed atakiem z większej odległości - strzałą z kuszy, pistoletową kulą, czymś w tym rodzaju.

Klął, bo strażnik wciąż walił go pałką i choć ta nigdy nie docierała do celu, lada moment sam impet ciosu wystarczy, by Finnena przewrócić. Doprawdy, mogli znaleźć wśród zasobów Archiwum coś bardziej przydatnego. Na przykład sympatyczny wynalazek, który wyrzucałby ogniste kule. Albo taki, który pozwoliłby im wszystkim teleportować się do domu.

Wreszcie stało się to, czego się obawiał - nie utrzymał równowagi i runął na posadzkę, nie na zimne kamienie, tylko na

miękką powietrzną poduszkę. Strażnik uniósł pałkę i w tym momencie drugi mechaniczny, walczący z Kairą, wpadł na niego od tyłu, strażnik zachwiał się, a Finnen skulił odruchowo, gotów na przyjęcie góry spadającego żelastwa. Lecz żelazo nie spadło, lecz zawisło nad nim, ciała strażnika i Finnena odpychały się na podobieństwo dwóch magnesów o identycznych biegunach.

Patrząc wprost w oblicze mechanicznego, chłopak widział, jak zmienia się wyraz jego srebrzystej twarzy. Fala szła od czoła, poprzez brwi, oczy, aż do ust - znikająca zadowolona z siebie pewność, a pozostawało zdumienie tak ludzkie, że Finnen wybuchnął śmiechem.

Wymachując rękami i nogami, strażnik stoczył się z powietrznej poduszki, znalazł oparcie dla stóp i wstał. Zdumienie znikło, zastąpione wyraźnym niezadowoleniem. Finnen w bezpiecznym kokonie osłony na przemian chichotał i łapał oddech.

Mechaniczny pochylił się i spróbował chwycić go za stopę, lecz jego dłoń ześliznęła się jak po mydle. I jeszcze raz. I jeszcze, zupełnie jakby ktoś próbował złapać węgorza. Chłopak związał się ze śmiechu, świadom jednocześnie, że nie może to długo trwać, musi wstać, co z tego, że poranione dłonie boją, wstać i pomóc Kairze oraz dzieciakom, wstać, zanim strażnik wpadnie na to, by walić w osłonę Finnena aż do momentu, gdy leżącemu krew popłynie z uszu.

Gdy odchylił głowę, zobaczył Kairę walczącą z drugim strażnikiem. Cudem unikała ciosów - zawsze o ułamek sekundy szybsza, zwinna i przewidująca, jakby zgadywała, nie, więcej, jakby dokładnie wiedziała, co mechaniczny za chwilę zrobi. Helm?, zastanowił się przelotnie Finnen. Nawet jeśli tak, to niewiele jej to dawało. Nie miała przecież broni, mogła tylko uchylać się przed ciosami, a niedługo i tak padnie z wyczerpania.

Nalle i Hannen radzili sobie lepiej. Obstąpili trzeciego strażnika niczym psy, szarpali go, uskakiwali przed pałką i znów kąsali. Finnen widział, jak w szczupłych, wciąż jeszcze dziecięcych dłoniach Nallego został fragment srebrzystego

ramienia, widział, jak wilcze szczęki Hannena zgruchotały strażnikowi pół barku. Mechaniczny słabł; pałkę przerzucił do ocalałej ręki i machał nią coraz bardziej niezdolnie, drobił w miejscu i kręcił głową, jakby nie mógł się nadziwić zaistniałej sytuacji.

A gdzie czwarty strażnik i Chira?

Finnen musiał odchylić głowę jeszcze mocniej, by ich dostrzec. Pod oknem na szczątkach rozbitej szyby stała zapędzona w kąt dziewczynka, przed nią zaś tkwił nieruchomy strażnik. Mówiła coś do niego, wyciągając przed siebie ręce. Finnen mógł nawet wyobrazić sobie jej słowa: „Nie, zaczekaj, mam ci coś ważnego do powiedzenia”.

Tak prawdopodobnie brzmiały.

Co ona chce osiągnąć? Przecież wiadomo, że mechaniczny zatrzymał się najwyżej na chwilę, potem i tak ruszy, by zmieść przeciwniczkę jednym ruchem pałki. Blokował jej drogę ucieczki, a dziewczynka najwyraźniej była u kresu sił. Stała zgarbiona, nogi pod nią drżały; w całej jej postawie - twarzy pod przyłbicą Finnen nie widział - nie było nic z wcześniejszej gibkości i siły, tylko wyczerpanie.

Jednak Chira zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek. Gdy strażnik zawahał się, skoczyła na parapet okna z wybitą szybą. Za jej plecami zieleń nieba przechodziła właśnie w soczysty fiolet, barwę świeżo zerwanych śliwek, kolor sińców i wieczornych chmur. A Chira wyglądała teraz tak, jak wcześniej: wyprostowana, dumna, pełna gracji.

Finnen zrozumiał, co dziewczynka planuje.

Nie, pomyślał, nie rób tego. Te skrzydła nie służą do latania.

Pomachała Finnenowi. Poznał ten gest, widział go już wcześniej w jej wykonaniu. Nie martwcie się, mówił, dam sobie radę. Otworzył usta, żeby krzyknąć, choć i tak by go nie usłyszała.

Odwróciła się i skoczyła.

Chłopak zacisnął powieki, a kiedy je na powrót otworzył, jego własny przeciwnik poszedł właśnie po rozum do głowy i zamiast próbować Finnena chwytać, zamachnął się pałką. Pierwsze uderzenie odezwało się w korzonkach zębów i zatele-

pało żołądkiem, drugie...

- Zaczekaj - wydyszał Finnen. - Przestań, proszę.
- Zdejmij z siebie wynalazki - oznajmił strażnik.
- Moment, daj mi się podnieść.

Czwarty mechaniczny - ten, który zapędził Chirę w kąt - wracał biegiem. Finnen nie widział go, lecz słyszał odgłos ciężkich kroków. Coraz szybszych, głośniejszych. Wstał.

Rzucić się na sukinsyna, podpowiadała jedna cząstka umysłu, ratować Nallego i Hannena, mówiła druga, bo wracający strażnik prawdopodobnie biegł na pomoc rannemu koledze, a z dwoma mechanicznymi chłopcy sobie nie poradzą.

Nie umiał wybrać.

Finnen zaatakował stojącego przed nim mechanicznego i Finnen zastąpił drogę temu, który wracał. Mignął mu widok Kairy, która zdjęła hełm i klęczała teraz na posadzce, krew spływająca z ust na podbródek, wielkie, zdumione oczy. A jednak to ona najszybciej zrozumiała, co się dzieje, szybciej może nawet niż Finnenowie, którzy napierali na mechanicznych z lewej, z prawej.

Pierwszy strażnik, drugi, trzeci - wszyscy prócz tego, który wykończony przez chłopców, padł wreszcie na ziemię - cofali się, wciąż mieląc pałkami, jednak teraz na każde trafione ciało przypadało mnóstwo innych ciał, naciskających i popychających, słabych pojedynczo, lecz silnych w masie. Finnen widział, jak Kaira krzyczy do Nallego i Hannena, a potem jak przekopuje leżący pod klatkami stos - prawdopodobnie by znaleźć wynalazek bardziej przydatny niż ten, który wybrała wcześniej. Spieszyła się, zerkając za siebie, zniecierpliwiona i zirytowana, że jest tu, a nie w ogniu walki. Chciał jej pomóc, coś doradzić, schylił się i powiedział:

- Może...

... a głos wydobyty z dziesiątek gardeł odbił się od sklepienia. Finnen zamilkł, stropiony, jeden ze strażników przewrócił się pod naporem tłumu, drugi też, choć liczba napastników już się zmniejszyła. I jeszcze bardziej, tak że jeden jedyny Finnen po chwili znów musiał odwrócić głowę, by sprawdzić, co się dzieje za jego plecami.

Zobaczył, jak chłopcy sprawnie i z nowym przyplływem sił rozdierają dwóch leżących na ziemi strażników. Hannen zębami i pazurami, Nalle gołymi dłońmi. Finnena szczególnie fascynował widok Nallego. Naramienniki pozwalały rękoma rwać metal jak papier, a pancerne gacie - do niedawna tak zabawne - sprawiały najprawdopodobniej, że dzieciak jednym kopnięciem chudej nogi mógłby przewrócić ceglany mur.

- Finnen - w głosie Kairy słychać było napięcie.

Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem - mechaniczny, o którym na chwilę wszyscy zapomnieli, szedł rakiem w stronę drzwi. Już był przy wyjściu, już odwracał się, by biec po pomoc. Finnen zrozumiał, że nie zdołają mu przeszkodzić. Nie dogonią go. Arikol by mogła, lecz oni nie. Pojął to dokładnie w tej samej chwili, gdy głowa mechanicznego rozprysła się jak upuszczona na podłogę rzeźba z lodu.

Nigdy wcześniej nie słyszał strzału z broni palnej, teraz jednak bez najmniejszej wątpliwości wiedział, że to właśnie to. Zgiął się, odruchowo podnosząc dłonie do uszu, huk wypełnił salę i szarpnął już i tak nadwreżonymi bębenkami. Chłopak na chwilę ogłuchł, a kiedy odzyskał słuch, pierwszym dźwiękiem, jaki do niego dotarł, był odgłos turlających się po posadzce części mechanicznego mózgu.

Kaira pierwsza odzyskała władzę w nogach i wybiegła na korytarz, skąd padł strzał. Finnen ruszył za nią. Nalle i Hannen następowali mu na pięty.

W ślad za znikającą na schodach sylwetką zbiegli na ósme piętro.

Nie było tam nikogo. Na posadzce rozlewała się kałuża kawy, obok leżały zdeptane szczątki kamionkowego kubka, a od szeroko otwartych drzwi sali, gdzie pracować powinien tłum, wiało pustką porzuconego w pośpiechu pomieszczenia.

Część krzeseł została przewrócona, kartki, które zapomniano spiąć spinaczami, sfruwały z biurek i krążyły w powietrzu poruszonym przez ramiona potężnych wiatraków. Nie słychać było tu nic poza szelestem papieru i szmerem maszyny pracującej za kratą jednej ze ścian. Za to od strony niższych pięter dobiegał częściowo tłumiony przez mury hałas: krzyki, nawoływania

strażników i odgłosy bezładnej bieganiny.

Cokolwiek działo się tam, na dole, było na tyle absorbujące, że awanturę na dziewiątym piętrze pracownicy Archiwum po prostu przegapili. Finnen uśmiechnął się na tę myśl, zaraz jednak zrzędał mu mina. Kolejni strażnicy wjeżdżali bowiem po ruchomych schodach, słyszał już strzępy rozmowy:

- ... jeszcze... sala 15D...

- ... nie ma...

Finnen spojrział na Kairę. Gdy dziewczyna wytarła usta w rękaw, na materiale został ślad czerwieni. Chciał dotknąć jej ramienia, ale potrząsnęła głową - zresztą i tak osłona odepchnęła jego rękę. Zaklął, zdjął z siebie oba wynalazki, po czym, znów kosztem chwili paskudnego bólu, z powrotem nałożył na szyję obręcz.

Kaira nasłuchiwała. Napięcie rozświetlało ją od wewnątrz, jakby w jej żyłach zamiast adrenaliny płynął ogień. Niemal się uśmiechała.

- Zaraz tu będą - powiedziała. - Teraz są pewnie na piątym albo szóstym piętrze. Mamy niewiele czasu.

- Sprawdzają wszystkie sale po kolei - dodał niepotrzebnie Hannen. - Znajdą nas.

- Co robimy? - zapytał Nalle.

- Nic - odparł Finnen pospiesznie, zanim Kaira zdążyła się odezwać. - Zdejmijcie to żelazstwo.

- Może wy macie dość, ale ja wciąż mogę walczyć. - Nalle zadarł podbródek, rysy jego naznaczonej zmęczeniem twarzy zastygły w wyrazie determinacji. Ponurej, nie radosnej, jak w przypadku Kairy, choć i tak byli do siebie w tym momencie zdumiewająco podobni.

- Nie będziecie walczyć. Zdejmiecie wynalazki, a potem zjedziecie na dół i już z daleka zaczniecie krzyczeć, żeby nie robić wam krzywdy, że jesteście tylko dziećmi, które przyszły tu z wycieczką, zgubiły się i teraz nie wiedzą, co się dzieje.

- Chyba cię posrało. - Nalle, choć wydawało się to niemożliwe, zrobił się jeszcze bardziej ponury i nastroszony. Hannen, rozdarty między lojalnością wobec kolegi a obawą o własną skórę, patrzył na nich niepewnie.

Finnen wzrokiem poprosił Kairę o pomoc. To dzieci, mówiły jego oczy, pozwól im odejść.

Obserwował, jak zrozumienie przebija się przez spowijający ją blask. Kaira przygasła.

- Zrobicie, co powiedział Finnen - oznajmiła, gdy niemal już stracił nadzieję.

- Nie mamy zamiaru z nikim się bić - dodał chłopak - więc nie musicie się martwić, że coś straciecie.

Kaira przytaknęła, bez trudu wygrywając pojedynek na spojzenia z Nallem.

- Właśnie tak, my po prostu wyjdziemy inną drogą. A teraz zdejmijcie z siebie to żelastwo i zostawcie je tutaj. Najważniejsze, że mamy Mieszankę Gillaina. Idźcie.

Gdy ruchome schody poniosły dzieci w dół, dziewczyna mruknęła:

- To było sprytne, ja bym nie wpadła na to, żeby przekonać go czymś takim.

- A ja mam nadzieję, że naprawdę nie będziemy musieli się z nikim bić. Rzeczywiście znasz inne wyjście z Archiwum?

- Wiem, jak przejść na niższe piętra, omijając strażników na schodach - przyznała z ociąganiem. - Weź kilka wynalazków, mogą się przydać.

Nie mieli czasu, by wybierać starannie. Finnen zadbał tylko o to, by zabrać strój, który wcześniej nosił, poza tym złapał, co wpadło mu w ręce: kilka uprząży mających tę zaletę, że były lekkie, jeden półpancerz i siatkowe rękawice. Część rzucił Kairze.

- Liczę, że nie narażamy życia dla wynalazku, który chroni przed katarem albo zapewnia przyjemne sny - wymamrotał, gdy prowadziła go przez pustą salę w stronę znajdującej się za kratą maszyny. Zatrzymała się przy niej.

- Przedostatni zamek w tym dniu. - Uśmiechnęła się, ukazując różowe zęby, krew pocięła jej po brodzie. Wytarła ją szybkim, niecierpliwym gestem. Twarz miała bardziej szarą niż czarną, jednak i tak wyglądała lepiej, niż czuł się Finnen.

- Żartujesz, prawda?

- Nie.



- Tam jest wystarczająco dużo miejsca, żeby zmieścił się człowiek?

- Tak myślę.

- Tak myślisz? Poza tym masz połamane zebra.

- Prawdopodobnie, i co z tego? - Zniecierpliwienie zaczynało przechodzić w irytację. - Od tego się nie umiera. A i tak nie mamy innego wyjścia.

Finnen położył wynalazki na ziemi, otworzył zamek i rozsunął kratę. W płuca wciągnął woń gorącą, suchą, o smaku skruszonego na pył żelaza.

W mroku głębokiego na dziesięć pięter szybu pracowała maszyna.

- Włóż to. - Podał Kairze strój dodający sił. Myślał, że będzie musiał ją przekonywać, jednak posłuchała bez protestów. Musiała być bardziej osłabiona, niż chciała przyznać. Jej milczącą zgodę Finnen uznał za dowód zaufania, które sprawiło mu niespodziewaną przyjemność.

Świadom tego, że nie zdoła unieść wszystkich wynalazków, zaplątał uprząże wokół torsu, włożył półpancerz i rękawice. Nie zapinał ich - nie miał zamiaru ryzykować, że uruchomi mechanizm, którego przeznaczenia nie zna. Zasunęli drzwi w kracie i zaczęli po niej schodzić.

Finnen zwykł później wspominać owe pół godziny jako najdłuższe w swoim życiu. Pełzli po wewnętrznej stronie gigantycznej klatki, w której znajdowała się maszyna, w głąb szybu ciągnącego się przez wszystkie piętra Archiwum, w ciemności przycinanej prostokątami szarego światła. Kaira była szybsza, to ona prowadziła i ona za każdym razem, gdy docierali do kolejnego piętra, zawisała do góry nogami w akrobatycznej pozie, po czym ostrożnie wysuwała głowę, by sprawdzić, czy w sali za kratami nikogo nie ma. Chłopak cieszył się, że dał jej strój dodający sił. Dzięki temu bez poczucia winy mógł czuć ulgę, że to ona robi to, co powinien był robić on.

Na szóstym piętrze natknęli się na ludzi i musieli czekać, aż sobie pójdą. Finnenowi drżały ręce i nogi, gdy przyciskał się do kraty na bezpiecznej wysokości, tuż nad miejscem, gdzie w klatce otwierały się drzwi prowadzące do sali. Tkwił tak, płaski

jak naleśnik, z wciągniętym brzuchem i świadomością, że tuż za jego plecami znajduje się monstrualna maszyna. Czuł na karku jej oddech, podmuchy niosące ze sobą zapach kurzu szarpały ubraniem, ciężar gniotący płuca i żołądek nabierał złowrogiej realności za każdym razem, gdy zbliżała się łopata turbiny. Świst wiatru w uszach, cień pełznący po kracie i spadający na twarz. Ułamek sekundy, nie więcej, lecz w tej chwili Finnen umierał, wciągnięty w tryby, zmiażdżony i rozdarty na krwawe ochłapy mięsa.

Potem napięcie mijało, łopata oddalała się, a wyobraźnia przestawała pracować, aż do następnego razu. Bywało, że chłopak był już bliski zerwania z siebie wynalazków i rzucenia ich w głąb szybu - bo to one właśnie ze swoimi zwisającymi pasami i łańcuchami stanowiły największe zagrożenie - zawsze jednak tłumaczył sobie, że skoro dotarł tak daleko, to dotrze szczęśliwie i do końca, zwłaszcza że przed nim szła Kaira, też niosąca uprząże, a cała i zdrowa.

Z rozmowy toczonej na szóstym piętrze wywnioskował, że już jest po wszystkim. Demonstranci się rozeszli, straż miejska aresztowała kilkunastu największych krzykaczy, ranni zostali zabrani do szpitala. Pracownikom pozwolono pójść do domów przed końcem zmiany, teraz więc wracali do sali, by zabrać pozostawione przy biurkach torby, myli kubki i rozprawiali, wyraźnie ociągając się z wyjściem. Zirytowany Finnen bał się, że podobnie będzie i niżej, lecz na szczęście zastali kogoś jeszcze tylko na drugim piętrze - tam zresztą siedziała tylko jedna kobieta, szlochająca i z twarzą ukrytą w dłoniach.

Przeszli za jej plecami jak para szarych i szybkich duchów.

## 41

Dotarli do piwnic, gdzie Finnen, wysuwając dłoń przez kratę, od zewnątrz otworzył ostatni w tym dniu zamek.

Rzucili wynalazki na zakurzoną posadzkę. Chłopak otarł pot z czoła, pozostawiając na skórze smugę brudu. Syczące gazowe płomienie za osłonami w kształcie psich głów rozpraszały

mrok. Fotele, w których - jak Finnen zgadywał - powinni siedzieć animatorzy zajmujący się konserwacją sprzętu, były puste. Na emanującym mlecznożółtym blaskiem stoliku ze świetlikowego szkła leżały porzucone karty i stała butelka. Finnen dopiero teraz uświadomił sobie, jak sucho ma w gardle.

Wino było kwaśne, aż wykrzywiło mu twarz.

- Proszę, powiedz, że jest tu tylne wyjście... - Podał Kairze butelkę. Odmówiła ruchem głowy.

- Bezpośrednio z piwnic to obawiam się, że nie. - Przelotny, przepraszający grymas, oczy rozszerzone i błyszczące.

Finnenowi zdecydowanie się to nie podobało. Ostatnie, na co miał ochotę, to desperacka szarża na stanowiska strażników przy którejś z bram. Zwłaszcza że w każdej chwili ktoś mógł zejść do piwnic i nie mieli nawet czasu, by przetestować ukradzione wynalazki.

- Uda się nam. - Kaira uśmiechnęła się zachęcająco. Wyglądała teraz niemal frywolnie, prawie jakby próbowała z Finnenem flirtować, wyczuwało się w niej jednak zniecierpliwienie i napięcie. - Dalej, Finnen, nie bądź tchórzem. Zobaczysz, że z tym wszystkim - wskazała kłęb porzuconych uprząży - przejdziemy przez nich jak nóż przez masło.

- A może, skoro i tak nie potrafimy sprawić, że nikt nas nie zauważy, powinniśmy zrobić tak, żeby zauważyli nas wszyscy?

- Co masz na myśli?

- Wyjście w wielkim stylu. - Finnen wyszczerzył zęby.

Później dowiedział się, że prócz licznych rannych były też ofiary śmiertelne. Piętnaścioro demonstrantów zabitych przez strażników i troje zaduszonych w ścisku, jeden urzędnik, który miał pecha znaleźć się na drodze tłumu, gdy ten wdarł się do Archiwum - stratowany, zmarł w szpitalu jeszcze tego samego dnia, nie odzyskawszy przytomności.

Mechaniczne zwierzęta w głównym hallu zostały zniszczone, ich części rozwłóczono po całej sali. Demonstranci wdarli się aż na drugie piętro, gdzie połamali maszyny szyfrujące i zniszczyli większość dokumentów. Gdy buszowali w sali 3A, obok w schowku na płaszcze siedziała zabarykadowana, bliska ataku serca urzędniczka. Jej dramatyczną relację zamieścił

następnego dnia „Księżycowy Kurier”. W gazecie można też było zobaczyć zdjęcia zabitych - ziarniste, czarno-białe fotografie przedstawiały twarze zaskakująco młode i spokojne.

Fakt, że krwawo stłumiona demonstracja zbiegła się w czasie z najbardziej zuchwałą kradzieżą w dziejach Archiwum, nie pozostał niezauważony. Czasopisma używały słów, takich jak „prowokacja” czy „bezprecedensowy atak na serce naszej społeczności”. Zginęło czworo strażników, w tym jeden od strzału z broni palnej, której nikt nie powinien mieć.

Z oficjalnych źródeł można się było dowiedzieć, że skradzionych zostało pięć wynalazków, nieoficjalnie mówiono o dwudziestu. Z ust do ust przekazywano plotki, dyskutowano o grupie uzbrojonych w pistolety terrorystów i spekulowano, że wkrótce ich celem stanie się kolejny z ważnych gmachów Lunapolis: Wieża Principium lub Ekwilibrium.

Jednak najbardziej zdumiewający moment tamtego dnia nastąpił, gdy zdawało się, że jest już po wszystkim.

Wtedy, gdy główną bramą przemaszerowała armia identycznych młodzieńców. Nadeszli od strony podziemi, łomocząc butami o posadzkę w zgodnym rytmie, aż drżały w oknach szyby. Wszyscy szarzy od kurzu i ze splątanymi włosami spadającymi na twarze, tak że później, gdy nieliczni urzędnicy, którym zdumienie nie odebrało zdolności obserwacji, usiłowali ich opisać, nic z tego nie wyszło. Zamieszczony w gazetach rysopis był wystarczająco niedokładny, by pasował do połowy lunapolijczyków.

Dwie czy trzy osoby wspomniały, że w tłumie młodzieńców dostrzegły inną osobę: drugiego mężczyznę lub może kobietę, ich zeznania jednak były tak sprzeczne, że ostatecznie straż miejska postanowiła je zignorować.

A fala sobowtórów wylała się na zewnątrz, odpychając strażników, którzy usiłowali stanąć jej na drodze. Po czym znikła, roztapiając się w mroku, jakby wsiąkła w zasypany śniegiem plac Aylena.

## Interludium Kirmin Nerhu

Jeszcze do niedawna Kirmin Nerhu miał sporo znajomych i przyjaciół, z którymi umawiał się na partyjkę kart przy butelce wina czy wyjście do Teatru Cieni. Potem opuścili go jeden po drugim, by znaleźć pracę albo ją porzucić, zakochać się, upić, dać się aresztować, naszprycować synestetykami albo przejść radykalną genozmianę i zmienić widownię Teatru na jego scenę. Nerhu, rusz się, mówili przed odejściem, naprawdę chcesz spędzić resztę życia, grając w karty?

Tak, odpowiadał, tego właśnie chcę. Każdy wydawał się mieć pomysł na to, co trzeba zrobić w ostatnich dniach istnienia miasta. Każdy, tylko nie Kirmin Nerhu. On miał swoje karty, wino i miejsce na widowni Teatru Cieni. Miał też swoje projekty, dziesiątki rozrysowanych modeli pojazdów kołowych, które od lat każdego pierwszego dnia miesiąca zanosił do Archiwum - i od lat otrzymywał niezmiennie tę samą odpowiedź.

Każdy odrzucony projekt Kirmin odkładał do pustego pudła na kapelusze i opłakiwał przy kieliszku wina.

sklep.powergraph.pl



Czarne to letnisko, gdzie spędza wakacje rodzina bohaterki książki. Opowieść, w którą wplatają się dramatyczne losy pięknej aktorki Jadwigi Rathe – muzy ojca narratorki, rozgrywa się w letnie miesiące lat: 1893, 1914 i 1935. Warszawskie kawiarnie, spotkania w Towarzystwie Spirytystycznym, leniwa atmosfera podwieczorków w starym dworku i budzący się erotyzm nastolatki tworzą niepowtarzalny klimat powieści.

Czytelnik powoli odkrywa, czym tak naprawdę są wspomnienia narratorki i jaką tajemnicę skrywa rok 1863, rok Powstania.

**KONTRAPUNKTY**

sklep.powergraph.pl

sklep.powergraph.pl

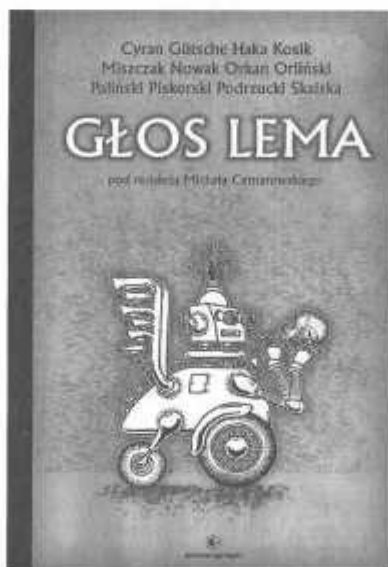


KONTRAPUNKTY



Kontrapunkty – polska proza wymykająca się ze schematów, uciekająca z szufladek. Literatura dla czytelników lubiących niebanalne fabuły, piękną frazę i niejednoznaczne interpretacje.

sklep.powergraph.pl



Dla pokoleń czytelników był Mistrzem, dla pokoleń autorów wzorem. Zmarły przed pięcioma laty pisarz i filozof, Stanisław Lem, w tym roku obchodziłby 90. rocznicę urodzin. Ten zbiór powstał po to, żeby go uhonorować. Sztuczne inteligencje, wirtualne światy, androidy zastępujące człowieka. Fabuły, których areną jest cały Wszechświat. Obce planety, na których odkryto ślady życia. I kosmos, niezbadany i niebezpieczny, wciąż na wyciągnięcie ręki.

„Żadna dobra książka nie przejdzie nieukarana, a każdy gest artystyczny jest zarazem przedmiotem gry rynkowej. I jak w przypadku wielu podobnych przedsięwzięć, także inicjatorem antologii opowiadań inspirowanych twórczością Stanisława Lema łatwo przypisać niskie intencje: że oto wykorzystują znane nazwisko dla darmowej reklamy, by przebić się z tytułem marketingowo.

W istocie zaś mamy tu do czynienia z próbą niemalże heroiczną.

Bo, po pierwsze, czy „Głos Lema” rzeczywiście wykorzystuje znaną markę – czy też raczej stara się ją dopiero stworzyć, odtworzyć?”

Jacek Dukaj, ze *Wstępu*



sklep.powergraph.pl



Honor i wierność, wytrwałość i żelazna wola. W książkach Roberta M. Wegnera odżywają dawne wartości, a pomiędzy barwnymi pojedynkami, intrygami, bitwami wielkich armii i krwawymi starciami jest miejsce na emocje, które potrafią skruszyć serce największego twardziela. Opowiadania z Północy, Południa, Wschodu i Zachodu składają się na epicką opowieść o egzotycznych światach różnych nacji, języków, wierzeń i magii.

*Opowieści z meekhańskiego pogranicza* to - napisana z rzadko spotykanym w polskiej literaturze rozmachem - mocna proza, w której odnajdujemy nasze marzenia o szlachetności i odwadze.

„Gdyby kiedykolwiek w Sevres chcieli położyć obok wzorca metra i kilograma wzorzec dobrego opowiadania fantasy, powinni sięgnąć po utwory Wegnera.”

Wojciech Chmielarz, „Nowa Fantastyka”

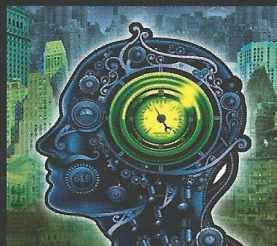
sklep.powergraph.pl

## Przedksiężycowi

Oto Lunapolis – ostatnia metropolia na samotnej planecie. Miasto artystów i morderców, którzy z zabijania uczynili sztukę, niezwykły tygiel mechanooidów, duszoinżynierów projektujących dzieci na zamówienie rodziców, miasto eksperymentów z ciałem, które pozwalają osiągnąć perfekcję i dają szansę na przetrwanie.

Oto Lunapolis – miejsce oczekiwania na Skok, który szczęśliwców przybliży do Przebudzenia, a niegodnych strąci w otchłań przeszłości.

Oto tajemniczy świat Przedksiężycowych.



Nagrody dla Przedksiężycowych t. 1:

- Nagroda Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla
- Złote Wyróżnienie Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego

**Anna Kańtoch** – pisarka i orientalistka (specjalność: arabistyka), autorka m.in. *Miasta w zieleni i błękicie* (2004), *Diabła na wieży* (2005) oraz powieści niesamowitej *Czarne* (2012). Laureatka nagrody Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction za 2007 rok dla najbardziej obiecującego młodego twórcy. Trzykrotna zdobywczyni Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla, najważniejszego wyróżnienia dla polskich fantastów.



Patroni medialni:

fantastyko

ESENSJA  
WWW.ESENSJA.PL

Banzaj.pl  
Portal dla facetów

Santasta  
Twoje zasoby fantastyki

SILDIA.PL

kawerna.pl

Katedra  
www.katedra.nast.pl

HATAK

POLTERGEIST  
POLTER.PL

Wyłączniey dystrybutor:



cena 42,00 zł

ISBN 978-83-61187-76-9



powergraph.pl

powergraph

lesiojot